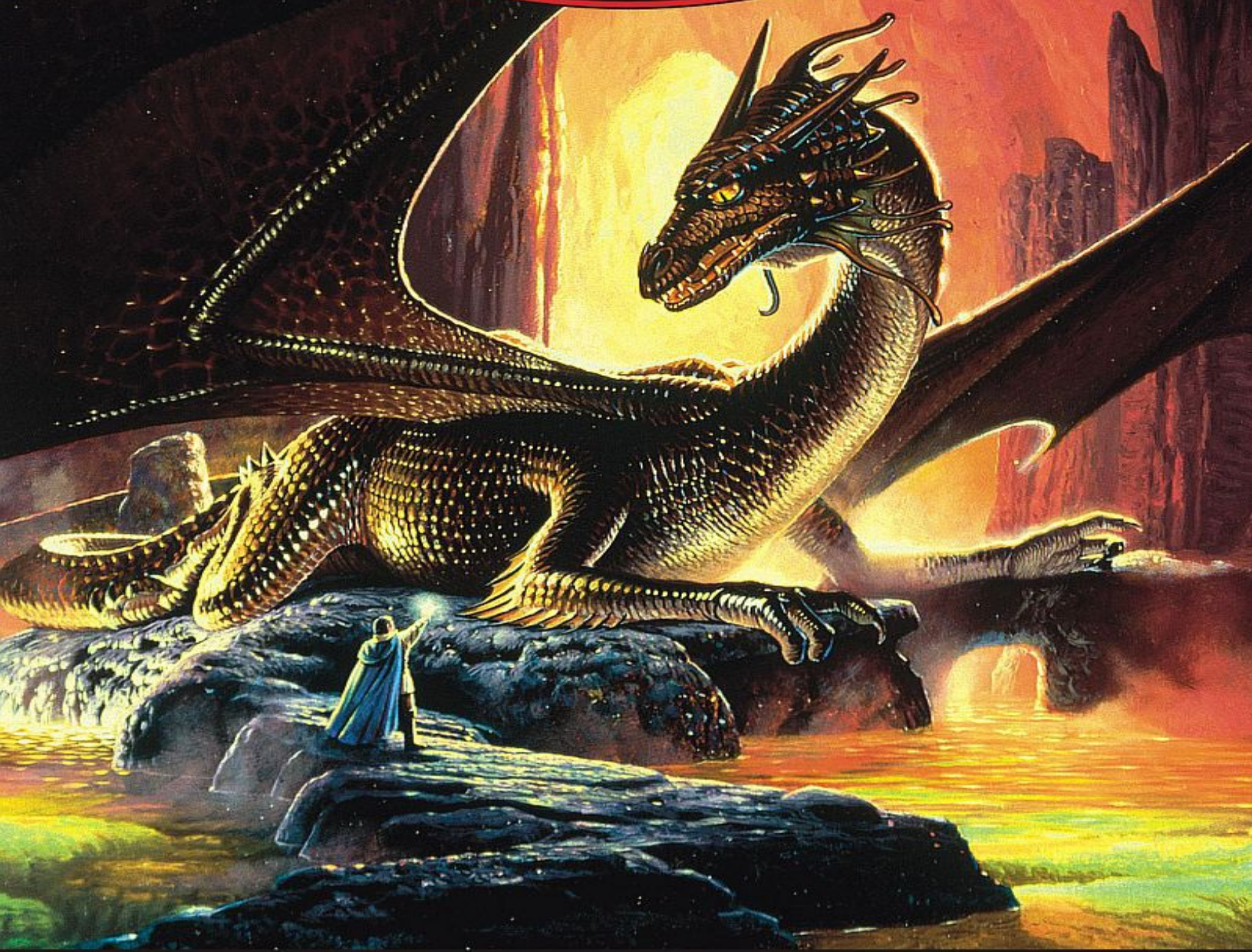


Fantasy

BRACTWO CZYSZEJ KRWI



TERRY GOODKIND

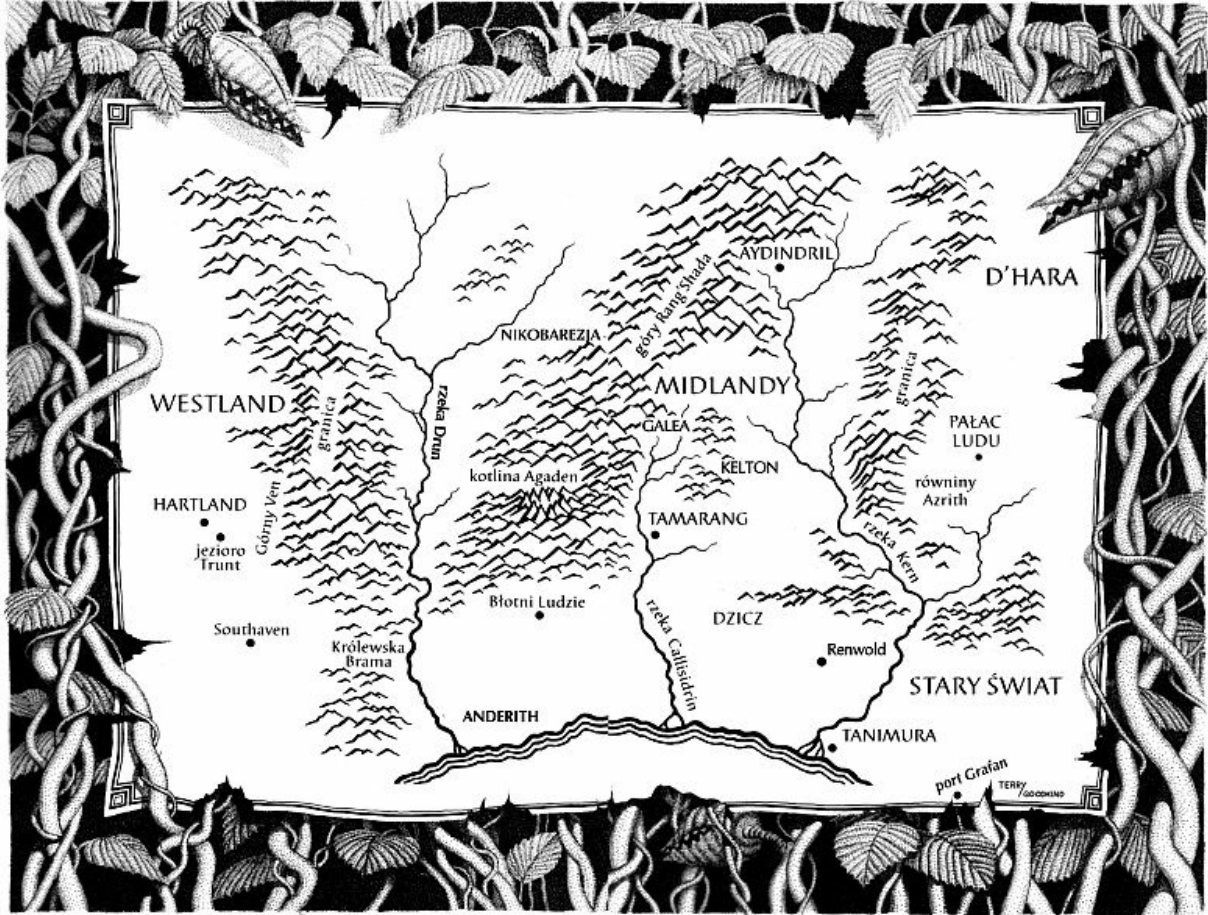
Terry Goodkind

Bractwo Czystej Krwi

Tom III serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



Dla Ann Hansen, światła w ciemnościach

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle gorąco dziękuję tym wszystkim, którzy mi pomagali: mojemu wydawcy, Jamesowi Frenkelowi, za biegłość w stałym podnoszeniu poprzeczki; mojemu brytyjskiemu wydawcy, Caroline Oakley i wspaniałym ludziom w Orionie, za ich oddanie doskonałości; Jamesowi Minzowi za cenne wskazówki; Lindzie Quinton oraz pracownikom działu sprzedaży i marketingu wydawnictwa Tor za ich zapał i sukcesy; Tomowi Doherty'emu, za wiarę we mnie, która nieustannie daje mi siły do wytężonej pracy; Kevinowi Murphy'emu za godny nagrody projekt okładki; Jeri za jej wyrozumiałość i cierpliwość; a przede wszystkim duchom Richarda i Kahlan, które nadal mnie inspirują.

ROZDZIAŁ 1

Sześć kobiet zbudziło się jednocześnie, echo ich krzyków wciąż jeszcze odbijało się od ścian zatłoczonej kajuty oficerskiej. Siostra Ulicia słyszała w mroku, jak tamte z trudem oddychają. Starając się uspokoić przyspieszony oddech, przełknęła ślinę i natychmiast się skrzywiła, poczuwszy ostry ból w gardle. Powieki miała wilgotne, lecz wargi tak spieczone, iż ze strachu, że popękają i zaczną krwawić, musiała je zwilżyć językiem.

Ktoś dobijał się do drzwi. Jego krzyki brzęczały głucho w uszach Ulicii. Nie zaprzętała sobie jednak głowy znaczeniem wykrzykiwanych słów; ów człowiek nic nie znaczył.

Wyciągnąwszy drżącą dłoń ku środkowi czarnej jak węgiel kajuty, siostra Ulicia uwolniła strumień swojej Han, esencji życia i ducha, i skierowała iskrę ku wiszącej na niskiej belce lampie naftowej. Knot posłusznie zapłonął, a smuzka dymu chwiała się w rytm kołysania statku.

Pozostałe kobiety, również nagie, siedziały i wpatrywały się w słaby żółtawy płomyk, jakby oczekiwały odeń zbawienia lub zapewnienia, że wciąż jeszcze żyją i że ujrzą światło. Widok płomienia sprawił, że po policzku Ulicii spłynęła łza. Przedtem czerń pozbawiała Siostrę oddechu niczym góra czarnej, wilgotnej ziemi. Jej poślanie było zimne i wilgotne od potu, ale nawet gdy się nie pociła, w słonym powietrzu i tak wszystko było zawsze wilgotne, zwłaszcza że od czasu do czasu fale spadały na statek i woda ściekała na pokład. Ulicia dawno już zapomniała, jak wyglądają suche ubrania czy nie przemoczona pościel. Nienawidziła tego statku, panującej na nim bez przerwy wilgoci, obrzydliwych zapachów, nieustannego, przyprawiającego ją o mdłości kołysania. Lecz przynajmniej żyła i dzięki temu mogła go nienawidzić. Delikatnie przełknęła ślinę, pozbywając się z ust smaku żółci. Starła palcami ciepłą wilgoć zalegającą nad oczami i spojrzała na wyciągniętą rękę - czubki palców połyskiwały krwią. Niektóre z Sióstr, jakby ośmielone jej przykładem, uczyniły ostrożnie to samo. Każda miała krwawe zadrapania na powiekach, dokoła brwi i na policzkach - ślady po tym, jak desperacko, acz bezskutecznie usiłowały rozewrzeć powieki i wyrwać się z sideł snu, snu, który nie był snem.

Siostra Ulicia starała się odzyskać jasność myślenia. To musiał być

zwykły koszmar. Z trudem oderwała wzrok od płomyka i spojrzała na pozostałe kobiety. Siostra Tovi garbiła się na dolnej koi naprzeciwko. Grube fałdy skóry na jej bokach obwisły i wydawało się, że dopasowują się do posępnego wyrazu poznaczonej zmarszczkami twarzy, kiedy wpatrywała się w lampę. Siwe, kręcone włosy Siostry Cecilii, zwykle starannie ułożone, sterczały teraz na wszystkie strony, a nie znikający z jej oblicza uśmiech, gdy patrzyła ze swego miejsca oobk Tovi, zastąpiła poszarzała maska strachu, Ulicia pochyliła się trochę i spojrzała na górną koję. Siostra Armina - nie tak stara jak Tovi czy Cecilia, a raczej w wieku Ulicii i wciąż jeszcze atrakcyjna - wyglądała na półprzytomną. Zrównoważona zazwyczaj Armina ocierała drżącymi palcami krew z powiek.

Po drugiej stronie wąskiego przejścia, na kojach nad Tovi i Ceciliją, siedziały dwie najmłodsze i najbardziej opanowane Siostry. Nieskazitelne policzki Siostry Nicei przecinały krwawe zadrapania. Kosmyki blond włosów przylgnęły do splamionej potem, łzami i krwią twarzy. Siostra Merissa, równie piękna jak Nicei, przyciskała koc do nagich piersi - nie ze skromności, ale z przeraźliwego strachu. Jej długie, ciemne włosy tworzyły splątaną gęstwinię.

Pozostałe Siostry były starsze i po latach ćwiczeń wprawnie posługiwały się ujarzmioną mocą, lecz Nicei i Merissa miały rzadko spotykane, wrodzone mroczne umiejętności - talent, którego nie zastąpi największe nawet doświadczenie. Przenikliwsze, niż można by się spodziewać po osobach w ich wieku, nie dawały się omamić sympatycznym uśmiechom i uprzejmościom Cecilii lub Tovi. Młocie i pewne siebie Siostry doskonale wiedziały, że Cecilia, Tovi, Armina, a zwłaszcza Ulicia, gdyby tylko zechciały, mogłyby je z łatwością rozerwać na strzępy. Jednak ta świadomość w niczym nie umniejszała ich opanowania i biegłości - były jednymi z najgroźniejszych kobiet. Opiekun wybrał je właśnie ze względu na ich zdecydowaną wolę zwycięstwa.

Widok dobrze jej znanych kobiet znajdujących się w takim stanie mógł wytrącić z równowagi, ale dopiero niepohamowane przerażenie Merissy naprawdę wstrząsnęło Ulicia. Nigdy przedtem nie spotkała Siostry tak opanowanej, tak nieskorej do wzruszeń, tak bezlitosnej i nieugiętej jak Merissa. Ta kobieta miała serce z czarnego lodu.

Ulicia знаła Merissę od blisko stu siedemdziesięciu lat i nie mogła sobie

przypomnieć, by przez ten czas choć raz widziała ją płaczącą. A teraz Merissa łkała.

Ulicia czerpała siłę z widoku odrażającej słabości tamtych i prawdę mówiąc, cieszyło ją to - była ich przywódczynią, była silniejsza od nich.

Ów mężczyzna wciąż dobijał się do drzwi, chciał się dowiedzieć, co to za zamieszanie i skąd te krzyki. Ulicia zionęła gniewem ku drzwiom.

- Zostaw nas w spokoju! Jeśli będziesz nam potrzebny, wezwiemy cię!

Stłumione przekleństwa oddalającego się marynarza wkrótce ucichły. Słysząc było jedynie łkanie Merissy i trzeszczenie wręg kołyszącego się na wzburzonych falach statku.

- Przestań się mazać, Merisso - warknęła Ulicia. Skarcona spojrzała na nią. W jej ciemnych oczach wciąż jeszcze widać było przerażenie.

- Nigdy przedtem tak nie było. Tovi i Cecilia przytaknęły jej.

- Wypełniłam jego wolę. Czemuż to uczynił? Przecież go nie zawiodłam.

- Gdybyśmy go zawiodły, byłybyśmy tam, razem z Siostrą Lilianą - powiedziała Ulicia.

- I ty ją widziałaś? Była... - Armina wzdrygnęła się.

- Widziałam ją. - Obojętny ton głosu Ulicii miał ukryć jej przerażenie.

Siostra Nicei odgarnęła z twarzy splątany kosmyk wilgotnych blond włosów. Opanowała się i powiedziała normalnym tonem:

- Siostra Liliana zawiodła Pana.

Spojrzenie Siostry Merissy, której łzy już zasychały, pełne było lodowatej pogardy.

- Płaci cenę zawodu, jaki sprawiła. - Chłód w jej głosie przybrał na sile jak zimowy szron na szybach. - I będzie ją płacić przez wieczność. - Merissa niemal nigdy nie pozwalała, by na jej gładkiej twarzy malowały się jakiegokolwiek uczucia, tym razem jednak ściągnęła brwi w krwiożerczym gniewie. - Postąpiła wbrew twoim rozkazom, Ulicio, wbrew rozkazom Opiekuna. Zniweczyła nasze plany. To jej wina.

Liliana rzeczywiście zawiodła Opiekuna. Gdyby nie ona, nie tkwiłyby na tym przeklętym statku. Ulicia aż poczerwieniała ze złości, gdy pomyślała o pysze tamtej kobiety. Liliana chciała chwały tylko dla siebie. Ma to, na co zasłużyła. Ale i tak Ulicia przełknęła nerwowo ślinę na wspomnienie widoku jej męki i nawet nie poczuła ostrego bólu gardła.

- Ale co z nami? - spytała Cecilia. Znow się uśmiechała, lecz raczej

przepraszająco niż wesoło. - Musimy uczynić to, co nakazał ów... człowiek?

Ulicia przesunęła dłonią po twarzy. Jeśli to była prawda, jeśli naprawdę wydarzyło się to, co zobaczyła, nie miały czasu na wahania. Ale to nie mogło być nic więcej niż zwykły koszmar senny, dotychczas jedynie Opiekun przychodził do niej we śnie, który nie był snem. Tak, to na pewno był tylko koszmar senny. Ulicia obserwowała pływającego w nocniku karalucha. Gwałtownie podniosła wzrok.

- Ów człowiek? Nie widziałaś Opiekuna? Widziałaś jakiegoś człowieka?

- Jaganga - odparła drżąca Cecilia.

To vi uniosła dłoń ku ustom, żeby ucałować palec serdeczny - był to starożytny gest szukania opieki Stwórcy, nawyk nabyty pierwszego dnia szkolenia nowicjuszek. Wszystkie nauczyły się go wykonywać każdego ranka po przebudzeniu, a także w chwilach cierpienia. Tovi wykonała zapewne ów gest tysiące razy, podobnie jak one wszystkie. Siostra Światła była symbolicznie zaślubiona Stwórcy, spełniała jego wolę. Ucałowanie serdecznego palca stanowiło rytualne odnowienie tych ślubów.

Nie wiadomo jednak, czym skończyłby się teraz ów pocałunek, skoro zdradziły. Przesąd głosił, że oznacza on śmierć tej, która oddała swą duszę Opiekunowi: Siostra Mroku umrze, jeżeli pocałuje serdeczny palec. Choć nie było pewne, czy rzeczywiście rozgniewa to Stwórcę, nie było wątpliwości, że wzbudzi to gniew Opiekuna. Dłoń była już w połowie drogi ku ustom, kiedy Tovi zdała sobie sprawę, co czyni, i gwałtownie ją cofnęła.

- Wszystkie widziałyście Jaganga? - Ulicia popatrzyła po kolei na każdą, a one przytaknęły. Wciąż migotał w niej płomyk nadziei. - A więc widziałyście imperatora. To nic nie znaczy. - Nachyliła się ku Tovi. - Czy słyszałaś, by mówił cokolwiek?

Tovi podciągnęła okrycie aż pod brodę.

- Byłyśmy tam wszystkie, jak za każdym razem, gdy wzywa nas Opiekun. Siedziałyśmy półkolem, nagie, jak zawsze. Ale to Jagang się zjawił, a nie Pan. Z górnej koi dobiegł ich cichy szloch Arminy.

- Cicho! - nakazała Ulicia i ponownie skupiła uwagę na roztrzęsionej Tovi. - Ale co powiedział? Jak brzmiały jego słowa?

Tovi wbiła wzrok w podłogę.

- Powiedział, że nasze dusze należą teraz do niego. Powiedział, że należymy do niego i że może z nami zrobić, co zechce. Oznajmił, że mamy

jak najszybciej się u niego stawić, bo w przeciwnym razie pozazdrościmy Siostrze Lilianie jej losu. - Spojrzała w oczy Ulicii. - Powiedział, że pożałujemy, jeśli każemy mu czekać. - Zapłakała. - A potem pokazał mi, co czeka tych, którzy mu się narażą.

Ulicia poczuła nagły chłód i zdała sobie sprawę, że i ona otuliła się przykryciem. Z trudem zmusiła się, żeby je opuścić na kolana.

- Armina? - Z góry dobiegło ciche potwierdzenie. - Cecilia? - Zapytana skinęła głową. Ulicia spojrzała na Siostry zajmujące przeciwległą górną koję: choć z trudem, udało im się jednak zapanować nad sobą. - No i? Czy wy również słyszałyście te słowa?

- Tak - potwierdziła Nicei.

- Dokładnie te sarnę - rzuciła obojętnie Merissa. - Liliana to na nas sprowadziła.

- Może Opiekun nie jest z nas zadowolony i oddał nas na służbę imperatorowi, byśmy w ten sposób zapracowały na powrót do jego łask - zastanawiała się Cecilia.

Merissa wyprostowała się dumnie. Spojrzenie miała równie lodowate jak serce.

- Przysięgam i ofiarowałam Opiekunowi moją duszę. Skoro mamy służyć temu wulgarnemu bydlakowi, żeby odzyskać łaskę naszego Pana, to będę służyć. Jeżeli będzie trzeba, nawet lizać jego stopy.

Ulicia przypomniała sobie, że w tamtym śnie, który nie był snem, Jagang - zanim opuścił półkole - nakazał Merissie wstać. Potem niespodziewanie wyciągnął rękę, chwycił krzepkimi palcami prawą pierś Merissy i ścisnął ją dopóty, dopóki pod Siostrą nie ugięły się kolana. Ulicia spojrzała na jej pierś i zobaczyła fioletowe siniaki.

Merissa nie starała się przykryć i spokojnie spojrzała Ulicii w oczy.

- Imperator powiedział, że pożałujemy, jeśli każemy mu czekać. Siostra Ulicia usłyszała to samo. To, co zrobił Jagang, graniczyło z lekceważeniem Opiekuna. Jak imperator zdołał zająć miejsce Opiekuna w tym śnie, który nie był snem? Uczynił to - i tylko to się liczyło. Przytrafiło się to każdej z nich. To nie był zwyczajny sen.

Nikły płomyczek nadziei zgasł i żołądek Ulicii skurczył się z przeraźliwego strachu. I ona poznała przedsmak tego, co czeka nieposłusznych. Krew, która zakrzepła nad oczami, przypomniła Siostrze,

jak bardzo pragnęła uciec z owej lekcji. To się naprawdę wydarzyło - wszystkie to wiedziały. Nie miały wyboru. Nie było chwili do stracenia. Kropla lodowatego potu spływała między piersiami Ulicii. Jeśli się spóźnią...

Zeskoczyła z posłania.

- Zawróćcie statek! - wrzasnęła, otwierając gwałtownie drzwi. - Natychmiast zawróćcie statek!

W korytarzu nie było nikogo. Siostra z krzykiem ruszyła na pokład. Pozostałe biegły za nią, uderzając po drodze w drzwi kajut. Ulicia nie traciła na to czasu - to sternik wyznaczał kurs statku i posyłał marynarzy do żagli.

Gdy Siostra Ulicia z trudem odrzuciła klapę luku, powitał ją mrok: świt jeszcze nie nadszedł. Nad ciemną powierzchnią morza wisały ołowiane chmury. Kiedy statek ześliznął się z potężnej fali i przez moment zdawało się, że wpadają w czarną otchłań, tuż za relingiem zabieliła się piana. Pozostałe Siostry wypadły na wilgotny od morskiej wody pokład.

- Zawróćcie statek! - wrzasnęła Ulicia do bosych marynarzy, którzy w niemym zdumieniu spoglądali na kobiety.

Ulicia mruknęła jakieś przekleństwo i popędziła na rufę, ku sterowi. Pięć Sióstr rzuciło się za nią po nasmołowanym pokładzie. Sternik poczuł, że ktoś chwyta goza bluzę, i podniósł głowę, by sprawdzić, co się dzieje. Z luku u jego stóp wydostawało się światło latarni, ukazując twarze czterech ludzi kierujących rumplem. W pobliżu brodatego sternika zgromadzili się marynarze i stali, wpatrując się w sześć kobiet.

Ulicia z trudem łapała oddech.

- Co z wami, opieszali głupcy? Nie słyszeliście, co powiedziałam? Kazałam zawrócić statek!

Nagle pojęła, dlaczego się tak gapią - ona i pozostałe Siostry były nagie. Merissa stanęła u boku Ulicii, dumnie wyprostowana, jakby osłaniała ją sięgająca pokładu szata.

- No, no. Wygląda na to, że paniusie przyszły się zabawić - odezwał się jeden z majtków, przyglądając się młodszej kobiecie.

Merissa, chłodna i nieprzystępna, spojrzała władczo na uśmiechającego się lubieżnie marynarza.

- Wszystko, co moje, należy tylko do mnie i nikomu nie wolno na to patrzeć, dopóki mu nie pozwolę. Natychmiast przestań mi się przyglądać albo się tym zajmę.

Gdyby majtek miał dar i władał nim tak mistrzowsko jak Ulicia, wyczułby, że Merissę otacza nimb mocy. Marynarze wiedzieli jedynie, że pasażerki są bogatymi szlachciankami płynącymi do dziwnych, odległych miejsc, i nie zdawali sobie sprawy, z kim naprawdę mają do czynienia. Kapitan Blake wiedział, że są Siostrami Światła, lecz Ulicia zakazała mu informować o tym marynarzy.

Majtek drwił z Merissy, poruszając obscenicznie biodrami i przybierając pożądlive miny.

- Nie bądź taka sztywna, dziewczuszko. Nie przyszłybyście tu w takim stroju, gdybyście miały na myśli coś innego niż my.

Powietrze dokoła Merissy, zasyczało. Krew splamiła w krocisku spodnie majtka. Wrzasnął i podniósł oszalałe oczy. Wyszarpnął zza pasa długi nóż, po czym z krzykiem rzucił się ku kobiecie, najwyraźniej chcąc ją zabić.

Pełne usta Merissy uśmiechnęły się zimno.

- Ty sprośna szumowino, wysyłam cię w lodowate objęcia mojego Pana - mruknęła do siebie.

Ciało mężczyzny popękało niczym dzielony kijem przejrzały melon, a uderzenie mocy wyrzuciło je za burtę. Krwawy ślad znaczył jego drogę przez deski. Mroczna woda niemal bezgłośnie pochłonęła zwłoki. Pozostali marynarze skamieniali ze zdumienia.

- Macie patrzeć wyłącznie na nasze twarze. Nie wazcie się spoglądać na cokolwiek innego - syknęła Merissa.

Tamci potaknęli tylko, zbyt przerażeni, żeby się odezwać. Jeden spojrział bezwiednie na ciało Merissy, jakby jej zakaz wyzwolił w nim niepowstrzymany odruch. Strwożony zaczął się natychmiast usprawiedliwiać, lecz cięła go po oczach ostrym niczym topór bojowy uderzeniem mocy. Wypadł za burtę jak tamten.

- Wystarczy, Merisso. Myślę, że zrozumieli lekcję - powiedziała cicho Ulicia.

Spojrzwały na nią lodowate, zamglone Han oczy.

- Nie pozwolę, żeby patrzyli na to, co do nich nie należy. Ulicia uniosła znacząco brew.

- Potrzebujemy ich, żeby wrócić. Nie zapomniałaś chyba, że się nam spieszy?

Merissa popatrzyła na marynarzy, jakby obserwowała kłębiące się u jej

stóp robactwo.

- Oczywiście, że nie, Siostró. Musimy natychmiast wracać. Ulicia odwróciła się i stwierdziła, że właśnie zjawił się kapitan Blake. Stał za nimi z otwartymi szeroko ustami.

- Zawróć statek, kapitanie - poleciła. - Natychmiast. Wysunął język i oblizwał wargi, a następnie przebiegł wzrokiem po twarzach Sióstr, patrząc im kolejno w oczy.

- Teraz chcesz zawracać? Dlaczego? Ulicia wyciągnęła w jego stronę palec.

- Dobrze ci zapłaciłyśmy, kapitanie, żebyś zabrał nas tam, dokąd chcemy, i wtedy, kiedy chcemy. Mówiłam, że umowa nie daje ci prawa zadawania pytań, i obiecałam, że obedrę cię ze skóry, jeżeli pogwałcisz któryś z jej punktów. Jeśli wystawiasz mnie na próbę, przekonasz się, że nie jestem tak pobłażliwa jak Merissa. Nie obiecuję szybkiej śmierci. A teraz zawróć statek, i to już!

Kapitan Blake niezwłocznie zaczął działać. Obciągnął bluzę i spojrzał gniewnie na marynarzy.

- Do roboty, lenie! - Dał znak sternikowi. - Zawróć pan statek, panie Dempsey - Tamten wciąż stał jak skamieniały. - Cholera, natychmiast, panie Dempsey! - Kapitan Blake zerwał z głowy wymiętoszony kapelusz i skłonił się przed Ulicią uważając, by cały czas patrzeć jej w oczy - Wedle twego życzenia, Siostró. Z powrotem wokół wielkiej bariery ku Staremu Światu.

- Obierz bezpośredni kurs, kapitanie. Każda chwila jest na wagę złota.

- Bezpośredni kurs! - Kapitan zmiął w dłoni kapelusz. - Nie możemy zeglować przez wielką barierę! - Natychmiast złagodził ton głosu. - To niemożliwe. Wszyscy zginiemy.

Ulicia przycisnęła dłoń do pulsującego bólem żołądka.

- Wielka bariera zniknęła, kapitanie. Nie stanowi już dla nas przeszkody. Obierz bezpośredni kurs.

- Wielka bariera zniknęła? - Uderzył pięścią w kapelusz. - To niemożliwe. Na jakiej podstawie sądzisz...

- Znów pytania i wątpliwości? - Ulicia nachyliła się ku niemu.

- Nie, Siostró. Oczywiście, że nie. Skoro mówisz, że bariera zniknęła, to musi tak być. Choć nie mam pojęcia, jak zdarzyło się coś, co nie mogło się zdarzyć. Wiem, że nie mam prawa wątpić i pytać. Zatem bezpośredni kurs. -

Otarł wargi kapeluszem. - Chroń nas, miłosierny Stwórco - mruknął i odwrócił się do sternika, byle tylko nie patrzeć w gniewne oczy Ulicii. - Ster maksymalnie na sterburtę, panie Dempsey!

Sternik spojrział w dół na marynarzy trzymających rumpel.

- Maksymalnie na sterburtę, chłopcy! - Ostrożnie podniósł wzrok i spytał: - Jest pan tego pewny, kapitanie?

- Nie sprzeczasz się ze mną, bo popłyniesz wpław!

- Rozkaz, kapitanie! Do lin! - krzyknął do marynarzy, którzy i tak już luzowali jedne i ciągnęli inne liny - Przygotować się do zwrotu!

Ulicia obserwowała załogę zerkającą nerwowo za siebie.

- Siostry Światła mają oczy z tyłu głowy, panowie. Zadbajcie, żeby patrzeć tylko tam, albo będzie to ostatnia rzecz, jaką ujrzycie w waszym życiu.

Skinęli potakująco głowami i zajęli się swoją robotą. Gdy wróciły do ciasnej kajuty, Tovi owinęła prześcieradłem drżące, pulchne ciało.

- Już tak dawno młodzi nie patrzyli na mnie pożądliwie. - Zerknęła na Nicei i Merissę. - Cieszcie się ich podziwem, dopóki jeszcze nań zasługujecie.

Merissa wyciągnęła okrycie ze skrzyni stojącej w tyle kajuty.

- Nie na ciebie tak pożądliwie patrzyli.

Cecilia skrzywiła twarz w macierzyńskim uśmiechu.

- Wiemy o tym, Siostrzo. Myślę, że Siostrze Tovi chodziło o to, że teraz, nie chronione zaklęciem Pałacu Proroków, będziemy się starzeć jak wszyscy. Nie będziesz miała tyle czasu, ile nam było dane, żeby radować się swoim wyglądem.

Merissa zeszywniała.

- Kiedy wrócimy do łask naszego Pana, zatrzymam to, co mam. Tbvi patrzyła przed siebie z dziwną, groźną miną.

- Chcę odzyskać to, co kiedyś miałam. Armina opadła na kolę.

- To wina Liliany. Gdyby nie ona, nie musiałybyśmy opuszczać pałacu i jego zaklęć. Gdyby nie ona, Opiekun nie wydałby nas Jagangowi. Nie utraciłybyśmy przychylności Pana.

Milczały przez chwilę. Zaczęły się ubierać, uważając, by nie trącać się łokciami. Merissa wciągnęła koszulę przez głowę.

- Zamierzam uczynić, co tylko będzie trzeba, żeby odzyskać łaskę Pana.

Zamierzam uzyskać nagrodę za moją przysięgę. - Zerknęła na Tovi. - I zachować młodość.

- Wszystkie pragniemy tego samego, Siostro - odezwała się Cecilia, wpychając ręce w rękawy prostej, brązowej sukni. - Lecz Opiekun życzy sobie, byśmy służyły teraz Jagangowi.

- Naprawdę? - spytała Ulicia.

Merissa przykucnęła i szukała czegoś w kufrze. Wyjęła swoją purpurową szatę.

- A po cóż innego zostałyśmy wydane na łaskę i niełaskę tego człowieka?

- Wydane? - Ulicia uniosła brew. - Tak sądzisz? Ja myślę, że jest inaczej. Myślę, że imperator Jagang działa na własną rękę.

Siostry znieruchomiały i spojrzały na nią.

- Sądzisz, że mógłby się sprzeciwić Opiekunowi? - zapytała Nicei. - Żeby zaspokoić własną ambicję?

Ulicia postukała palcem w głowę Nicei.

- Zastanów się. Opiekun nie przyszedł do nas we śnie, który nie jest snem. To się nigdy przedtem nie stało. Nigdy. Zamiast niego pojawił się Jagang. Nie sądzisz, że Opiekun - nawet gdyby nie był z nas zadowolony i chciał, byśmy odpokutowały winy w służbie Jaganga - przyszedłby osobiście i rozkazał nam służyć imperatorowi, okazując w ten sposób swoje niezadowolenie? Nie sądzę, by była to sprawka Opiekuna. To sprawka Jaganga.

Armina porwała swą błękitną szatę. Była odrobinę jaśniejsza niż suknia Ulicii, lecz równie wymyślna.

- Ale i tak to Liliana sprowadziła na nas to wszystko!

- Czyżby? - Ulicia uśmiechnęła się nieznacznie. - Liliana była zachłanna. Sądzę, że Opiekun chciał wykorzystać tę jej cechę, jednak ona go zawiodła. - Uśmiech zniknął. - To nie Siostra Liliana sprowadziła to na nas.

- Oczywiście. To ten chłopiec. - Nicei przerwała na chwilę sznurowanie stanika czarnej sukni.

- Chłopiec? - Ulicia z wolna potrząsnęła głową. - Żaden chłopiec nie zdołałby zniszczyć bariery. Żaden zwyczajny chłopiec nie zrujnowałby planów, nad którymi tak ciężko pracowałyśmy przez te wszystkie lata. Dzięki przepowiedniom wiemy, kim on jest. - Ulicia powiodła wzrokiem po Siostrach. - Znalazłyśmy się w wielkim niebezpieczeństwie. Musimy zrobić

wszystko, żeby przywrócić panowanie Opiekuna na tym świecie, bowiem w przeciwnym razie, kiedy Jagang skończy z nami, zabije nas i znajdziemy się w zaświatach, bezużyteczne dla Pana. Jeśli tak się stanie, Opiekun z pewnością będzie niezadowolony i sprawi, że wszystko, co zademonstrował nam imperator, wyda się nam jedynie pieszczotami kochanka.

Statek trzeszczał i jęczał, a Siostry rozważały jej słowa. Wracały pospiesznie, żeby służyć człowiekowi, który je wykorzysta, a potem odtrąci, nie poświęcając im jednej myśli ani - zwłaszcza - nie nagradzając ich, a przecież żadna nawet nie pomyślała, by mu się sprzeciwić.

- Chłopak czy nie, to on jest wszystkim winien. - Merissa zacisnęła szczęki. - I pomyśleć, że miałam go w garści. Był w naszej mocy. Powinnyśmy były go schwytać, kiedy miałyśmy po temu okazję.

- Liliana także chciała go schwytać i przywłaszczyć sobie jego moc, lecz była zbyt nierozważna i skończyła z jego przeklętym mieczem w sercu. Musimy być sprytniejsze od niej. Wówczas zdobędziemy jego moc, a Opiekun dostanie jego duszę - odezwała się Ulicia.

- Ale musi być jakiś sposób, żeby uniknąć powrotu... - Armina otarła łzę z oka.

- Jak długo, według ciebie, możemy nie spać? - warknęła Ulicia. - Wcześniej czy później zapadniemy w sen. I co wtedy? Jagang udowodnił, że dosięgnie nas bez względu na to, gdzie jesteśmy.

Merissa kończyła zapinać guziki stanika swej purpurowej sukni.

- Zrobimy teraz to, co musimy zrobić, ale to nie znaczy, że nie możemy myśleć.

Ulicia zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się z przymusem.

- Imperator Jagang może wierzyć, że nas sobie podporządkował, lecz my żyjemy już bardzo długo. Może jeśli wykorzystamy nasz rozum i doświadczenie, nie będziemy wcale tak zastraszone, jak mu się wydaje.

- O taaak - syknęła Tovi. Jej oczy błyszczały wrogością. - Istotnie, żyjemy długo i nauczyłyśmy się powalać odyńce oraz patroszyć je mimo ich kwików.

Nicei wygładziła fałdy swej czarnej sukni.

- Patroszenie świń jest wskazane i dobre, lecz to nie imperator Jagang sprawił, że znalazłyśmy się w tarapatkach. Nie należy też marnować naszego gniewu na Lilianę: była jedynie zachłanną idiotką. Jest ktoś, kto sprowadził

na nas te kłopoty, i to on powinien za to odpokutować.

- Mądrze powiedziane, Sostro - pochwałała ją Ulicia. Merissa z roztargnieniem dotknęła posiniaczonej piersi.

- Wykąpię się we krwi tego młodziana. - Jej oczy znów zamieniły się w zwierciadło mrocznego serca. - A on będzie na to patrzył.

Ulicia zacisnęła pięści i skinęła głową:

- To on, Poszukiwacz, ściągnął to na nas. Przysięgam, że zapłaci za to swoim darem, swoim życiem i swoją duszą.

ROZDZIAŁ 2

Richard wlał właśnie do ust łyżkę gorącej polewki korzennej, kiedy usłyszał groźne basowe warczenie. Spojrzał z niezadowoleniem na Gratcha. Ślepie chimery płonęły zimnym zielonym blaskiem, a zwierzę wpatrywało się w mrok panujący pomiędzy kolumnami u podnóża szerokich schodów. Skórzaste wargi uniosły się i odsłoniły potężne kły. Richard uświadomił sobie, że w ustach wciąż ma polewkę, i połknął ją. W gardzieli Gratcha narastał basowy pomruk przypominający dźwięk otwieranych po raz pierwszy od stu lat masywnych wrót lochów starego, wilgotnego zamczyska. Chłopak spojrzał w szeroko otwarte, piwne oczy pani Sanderholt. Pani Sanderholt, Pierwsza Kucharka w Pałacu Spowiedniczek, wciąż jeszcze czuła się niepewnie w obecności Gratcha i nie całkiem wierzyła zapewnieniom Richarda, że chimera jest nieszkodliwa. Groźny pomruk nie poprawiał sytuacji.

Kobieta dopiero co przyniosła Richardowi bochenek świeżego chleba oraz miseczkę aromatycznej polewki korzennej. Zamierzała posiedzieć z nim na schodach i porozmawiać o Kahlan, lecz zorientowała się, że chwilę wcześniej zjawiała się tu chimera. Mimo to Richardowi udało się nakłonić ją, by przyłączyła się do niego.

Wypowiedziane głośno imię Kahlan bardzo zainteresowało Gratcha. Richard podarował mu kiedyś pukiel włosów dziewczyny i zawiesił na szyi na rzemyku razem z zębem smoczycy. Chłopak powiedział Gratchowi, że on i Kahlan się kochają i że Kahlan, tak jak zrobił to Richard, też chce się z nim zaprzyjaźnić. Dlatego też ciekawski Gratch przysiadł na schodach, żeby posłuchać, lecz Richard zdążył ledwo skosztować polewki, a pani Sanderholt nie zdołała jeszcze rozpocząć rozmowy, gdy jego nastrój nagle się zmienił. Teraz chimera intensywnie i wrogo wpatrywała się w coś, czego Richard nie widział.

- Dlaczego on się tak zachowuje? - szepnęła pani Sanderholt.

- Nie mam pojęcia - wyznał Richard. Uśmiechnął się promiennie i lekceważąco wzruszył ramionami, bo jeszcze bardziej się wystraszyła. - Musiał po prostu zobaczyć królika albo coś takiego. Chimery mają rewelacyjny wzrok, widzą doskonale nawet w ciemnościach i są wspaniałymi

łowcami. - Wciąż miała niepewną minę, więc dodał: - On nie je ludzi. Nigdy nie zrobiłby nikomu krzywdy. Wszystko jest w porządku, naprawdę. - Zerknął na groźne oblicze warczącej chimery. - Nie warcz, Gratch. Straszysz ją - szepnął cicho.

- Chimery to niebezpieczne bestie, Richardzie - powiedziała pani Sanderholt, pochylając się ku chłopakowi. - Nie są domowymi zwierzątkami. Nie można im ufać.

- Gratch nie jest zwierzątkiem domowym, to mój przyjaciel. Znam go od małego, od czasu, kiedy był o połowę niższy ode mnie. Jest łagodny jak kociak.

Pani Sanderholt uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

- Skoro tak twierdzisz, Richardzie - rzekła, ale w jej oczach nagle pojawiło się przerażenie. - On nie rozumie ani słowa z tego, co mówię, prawda?

- Trudno powiedzieć. Czasem pojmuję więcej, niż mi się wydaje możliwe - odparł Richard.

Gratch w ogóle nie zwracał uwagi na rozmawiających. Zastygł w napięciu, jakby zobaczył lub wywęszył coś, co mu się nie podobało. Richard pomyślał, że kiedyś już widział Gratcha zachowującego się w ten sposób, lecz nie mógł sobie przypomnieć, ani gdzie to było, ani kiedy. Próbował, ale bez powodzenia. Im bardziej się starał, tym bardziej owo mgliste wspomnienie mu się wymykało.

- Gratch? - Chłopak chwycił potężne ramię chimery. - Co się dzieje, Gratch?

Chimera nie zareagowała na dotyk. Blask zielonych ślepi przybrał na sile, kiedy Gratch dorósł, jednak jeszcze nigdy nie jarzyły się one tak dziko. Lśnienie było wręcz oślepiające.

Richard popatrzył uważnie na zalegające w dole ciemności, tam gdzie spoglądała chimera, ale nie dostrzegł niczego niezwykłego. Ani wśród kolumn, ani przy murze okalającym teren pałacu nikogo nie było. To z pewnością jakiś królik, uznał w końcu. Gratch uwielbiał króliki.

Świt zaczynał właśnie różowić i czerwienić obłoczki nad rozjaśniającym się powoli horyzontem, na zachodnim niebie migotały jeszcze tylko nieliczne, najjaśniejsze gwiazdy. Pierwszym promykiem światła towarzyszył łagodny, wyjątkowo ciepły jak na zimę wiaterek, który stroszył futro

potężnego zwierzęcia i rozwiewał zdobytą przez Richarda czarną pelerynę mriswitha.

Podczas pobytu w Starym Świecie, u Sióstr Światła, chłopak wybrał się do lasów Hagen, w których grasowały mriswithy - niegodziwe stwory o połączonych w koszmarną całość gadzich i ludzkich zarazem cechach. Richard walczył z mriswithem i zabił go, a potem odkrył zadziwiające właściwości jego peleryny. Okrycie to tak wspaniale, wręcz nieskazitelnie wtapiało się w tło, przybierając jego barwy, że czyniło mriswitha - albo Richarda, jeśli tylko wystarczająco się skoncentrował - całkowicie niewidocznym. Sprawiało również, że nikt z darem nie mógł odkryć jego lub bestii. Jednak z jakiegoś powodu dar chłopaka pozwalał mu wyczuć obecność mriswitha. Ta właśnie zdolność, umiejętność wycucia niebezpieczeństwa pomimo czarodziejskiej mocy peleryny, ocaliła Richardowi życie.

Chłopak nie brał poważnie zachowania Gratcha. Poprzedniego dnia odkrył, że jego ukochana, Kahlan, żyje, i w jednej chwili zniknęły ból oraz niema męka przepelniające go od momentu, gdy dowiedział się o jej egzekucji. Szalał z radości, że jest bezpieczna, i był wniebowzięty po nocy spędzonej w owym osobliwym miejscu pomiędzy światami. Tego pięknego poranka wszystko w nim śpiewało i nie zdając sobie z tego sprawy, ciągle się uśmiechał. Nawet irytujące zachowanie Gratcha, który wypatrywał królika, nie zdołało zepsuć mu humoru.

Mimo to chłopaka trochę denerwował ów gardłowy dźwięk, panią Sanderholt zaś najwyraźniej przerażał. Siedziała nieruchomo obok Richarda na krawędzi stopnia i mocno ścisnęła w dłoniach wełniany szal.

- Cicho, Gratch. Dostałeś cały udziec barani i pół bochenka chleba. Nie możesz już być aż tak głodny.

Warczenie przeszło w gardłowy pomruk, bo Gratch starał się zadowolić Richarda, wciąż jednak się w coś wpatrywał.

Chłopak ponownie zerknął w stronę miasta. Zamierzał znaleźć konia i jak najszybciej dołączyć do Kahlan oraz swojego dziadka i starego przyjaciela, Zedda. Choć niecierpliwie oczekiwał spotkania z Kahlan, tęsknił też ogromnie do Zedda. Nie widział go od trzech miesięcy, lecz zdawało mu się, że od ich ostatniego spotkania minęły lata. Zedd był czarodziejem pierwszego stopnia i było wiele spraw, o których Richard - zwłaszcza w

świetle tego, czego dowiedział się o sobie - chciał z nim porozmawiać. Wtedy jednak pani Sanderholt przyniosła polewkę i świeżo upieczony chleb, a chłopak umierał z głodu.

Richard popatrzył na to, co znajdowało się poza białym, eleganckim Pałacem Spowiedniczek: na osadzoną na stromym górskim zboczu ogromną, imponującą Wieżę Czarodzieja, na jej strzeliste mury z ciemnego kamienia, na wały obronne, bastiony i wieże, na łączące je przejścia i mosty. Całość wyglądała jak wyrastająca ze skały ponura inkrustacja, jak coś żywego, co przygląda się z góry chłopakowi. Od miasta ku ciemnym murom wiała się szeroka droga. Prowadziła przez most, który z tej odległości wydawał się kruchy i delikatny, przebiegała pod ostro zakończonymi palami opuszczanej bramy i niknęła w mrocznym wnętrzu wieży. Może są tam tysiące komnat, a może tylko jedna. Chłodne, kamienne spojrzenie Wieży Czarodzieja sprawiło, że Richard ciaśniej owinął się peleryną i odwrócił wzrok.

W tym pałacu, w tym mieście dorastała Kahlan. To tutaj spędziła większość życia, aż do ubiegłego lata, kiedy to, szukając Zedda, przekroczyła granicę z Westlandem i przypadkiem spotkała Richarda.

Zedd dorastał w Wieży Czarodzieja i mieszkał w niej do momentu, gdy - jeszcze przed narodzinami Richarda - opuścił Midlandy. Kahlan opowiadała chłopakowi o tym, ile czasu spędzała w wieży, ucząc się, lecz także w jej opowieściach było to ponure miejsce. A teraz wyrastająca niewzruszenie z górskiego stoku baszta wydawała się Richardowi przerażająca i zgubna.

Chłopak pomyślał o tym, jak wyglądała Kahlan, gdy była małą dziewczynką, i uśmiech powrócił. Kahlan szkolona na Spowiedniczkę, przemierzająca hole tego pałacu i korytarze wieży, przebywająca wśród czarodziejów i mieszkańców miasta.

Lecz Aydindril upadło pod naporem Imperialnego Ładu i nie było już wolnym miastem, siedzibą władzy Midlandów.

Zedd posłużył się jedną ze swoich czarodziejskich sztuczek i sprawił, że wszyscy sądzili, iż są świadkami egzekucji Kahlan. Dzięki temu czarodziej i dziewczyna mogli uciec z Aydindril. Teraz nikt nie będzie ich ścigał. Pani Sanderholt znała Kahlan od urodzenia i nie posiadała się z radości, kiedy Richard powiedział jej, że dziewczyna jest cała i zdrowa. Chłopak znów się uśmiechnął.

- Jaka była Kahlan w dzieciństwie?

Pani Sanderholt zapatrzyła się w dal i również się uśmiechnęła.

- Zawsze była bardzo poważna. Była słodkim dzieckiem, które wyrosło na dzielną i piękną kobietę. Dzieckiem obdarzonym nie tylko magicznym darem, ale i wspaniałym charakterem. Żadna Spowiedniczka nie była zdziwiona, że to właśnie ona została Matką Spowiedniczka. Przeciwnie, wszystkie się z tego cieszyły, bo nie starała się dominować, lecz zawsze dążyła do zgody. Chociaż jeśli ktoś z uporem trwał w błędzie i sprzeciwiał się jej, potrafiła być twarda i nieustępliwa jak żadna z dotychczasowych Matek Spowiedniczek. Nigdy nie znałam Spowiedniczki, która tak bardzo kochałaby lud Midlandów. Zawsze byłam dumna z tego, że ją znam. - Pani Sanderholt pogrążyła się we wspomnieniach. Zaśmiała się leciutko, a nie był to dźwięk równie kruchy jak ona. - Nawet wtedy, gdy dałam jej klapsa za to, że wyniosła bez pytania dopiero co upieczoną kaczkę.

Richard uśmiechnął się na myśl o tym, że usłyszy opowieść o niegrzecznej małej Kahlan.

- Nie bałaś się ukarać Spowiedniczki, nawet tak małej?

- Nie - odparła zdecydowanie pani Sanderholt. - Gdybym pobłażała Kahlan, jej matka natychmiast by mnie zwolniła. Mieliśmy ją traktować z szacunkiem, ale sprawiedliwie.

- Płakała? - spytał Richard, zanim ugryzł spory kęs pysznego chleba z grubo mielonej pszenicy, z odrobinką melasy.

- Nie. Zdziwiła się. Była przekonana, że nie postąpiła źle, i zaczęła się tłumaczyć. Jakaś kobieta z dwójką dzieciaków, które były niemal w wieku Kahlan, czekała pod pałacem na łatwowierną osobę. Gdy Kahlan wyruszyła do Wieży Czarodzieja, owa kobieta zaczepiła ją i opowiedziała smutną historyjkę, twierdząc, że potrzebuje złota, by nakarmić dzieci. Kahlan kazała jej poczekać i zabrała swoją pieczoną kaczkę, bo uznała, iż kobieta ta potrzebuje jedzenia, a nie pieniędzy. Posadziła dzieciaki o, tam - pani Sanderholt wskazała obandażowaną dłońią w lewo - i nakarmiła je kaczką. Ich matka się wściekła i zaczęła wrzeszczeć, oskarżając Kahlan, że jest samolubna i żałuje jej pałacowego złota. Kiedy Kahlan mi o tym opowiadała, w kuchni zjawił się patrol Gwardii Obywatelskiej, wlokąc ze sobą ową kobietę i jej dzieci. Najwyraźniej gwardia przyłapała ją, gdy złorzeczyła Kahlan. Akurat wtedy w kuchni zjawiła się matka Kahlan, chcąc się

dowiedzieć, co się dzieje. Mała wszystko jej opowiedziała, kobieta zaś przeraziła się, bo nie tylko została pochwycona przez gwardię, ale jeszcze stanęła przed obliczem samej Matki Spowiedniczki. Matka Kahlan wysłuchała opowieści córki i owej kobiety, a następnie powiedziała małej, że jeżeli się komuś pomaga, to bierze się za niego odpowiedzialność i trzeba zadbać, by ów ktoś mógł znów stanąć na własnych nogach. Cały następny dzień Kahlan spędziła na Kings Row, z gwardzistami prowadzącymi ową kobietę. Chodziła od pałacu do pałacu i pytała, czy nie trzeba im pracownicy. Nie miała zbyt wiele szczęścia, bo wszyscy wiedzieli, że ta kobieta to pijaczka. Czułam się winna, że spuściłam Kahlan lanie, nawet nie słuchając, dlaczego wzięła tę kaczkę. Miałam przyjaciółkę, surową kobietę, szefową kucharek w jednym z pałaców. Pobiegłam do niej i przekonałam, żeby przyjęła ową kobietę, gdy Kahlan ją przyprowadzi. Nigdy nie powiedziałam Kahlan, co zrobiłam. Ta kobieta długo tam pracowała, ale już nigdy nie zbliżyła się do Pałacu Spowiedniczek. Kiedy jej młodszy syn dorósł, wstąpił do Gwardii Obywatelskiej. Został ranny, gdy ostatniego lata D'Haranczyzy zajęli Aydindril, i tydzień później zmarł.

Richard także walczył z D'Hara i w końcu zabił jej władcę, Rahla Posępnego. Wciąż jeszcze czuł ukłucie żalu na myśl, że spłodził go ów zły człowiek, lecz nie miał już poczucia winy z tego powodu. Wiedział, że zbrodnie ojców nie przechodzą na dzieci, a już na pewno nie było winą jego matki, że Rahl ją zgwałcił. Ojczym wcale nie kochał przez to mniej matki Richarda ani nie okazywał mniej miłości chłopakowi za to, że nie jest jego synem. Również miłość Richarda nie zmniejszyła się ani trochę, kiedy dowiedział się, że George Cypher nie jest jego prawdziwym ojcem.

Richard też był czarodziejem, teraz już o tym wiedział. Dar, magiczna siła w jego wnętrzu zwana Han, pochodził od dwóch linii czarodziejów: od Zedda, dziadka ze strony matki, i od ojca, Rahla Posępnego. Dzięki temu zyskał magiczną moc, jakiej od tysięcy lat nie miał żaden czarodziej: władał nie tylko magią addytywną, ale i subtraktywną. Richard niewiele wiedział o byciu czarodziejem i o magii, lecz Zedd na pewno go nauczy. Pomoże mu kontrolować dar i korzystać zeń ku pożytkowi ludzi.

- To podobne do Kahlan, którą znam - oznajmił Richard, przełknąwszy chleb.

Pani Sanderholt ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Zawsze czuła się bardzo odpowiedzialna za mieszkańców Midlandów. Wiem, jak bardzo dotknęło ją to, że zwrócili się przeciwko niej otumanieni obietnicą otrzymania złota.

- Założę się, że nie wszyscy - powiedział chłopak. - Ale nie wolno ci nikomu zdradzić, że ona wciąż żyje. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, żeby Kahlan była bezpieczna.

- Wiesz, że nie zdradzę sekretu, Richardzie. Wydaje mi się jednak, że już o niej zapomnieli. I że wybuchną zamieszki, jeżeli nie dadzą im obiecanych pieniędzy.

- I dlatego ci ludzie zbierają się przed Pałacem Spowiedniczek? Pani Sanderholt skinęła głową.

- Uważają, że mają prawo do złota, bo ktoś z Imperialnego Ładu powiedział im, że je dostaną. Co prawda ten człowiek już nie żyje, ale jego słowa sprawiły, że złoto magicznym sposobem stało się ich. Jeśli Imperialny Ład nie zacznie rozdawać złota ze skarbcza, ci ludzie gromadzący się na ulicach wkrótce uderzą na pałac, żeby je sobie wziąć.

- Może obiecał to po to, żeby odwrócić ich uwagę, a Imperialny Ład cały czas zamierzał zatrzymać złoto dla siebie jako łup i będzie bronić pałacu.

- Może i masz rację. - Pani Sanderholt zapatrzyła się w dal. - Prawdę mówiąc, nie wiem, co ja tu jeszcze robię. Nie mam wcale ochoty patrzeć, jak Imperialny Ład panoszy się w pałacu. Nie zamierzam dla nich pracować. Chyba powinnam wyjechać i poszukać pracy tam, gdzie ludzie są jeszcze wolni od tej zgrai. Ale dziwnie jest o tym myśleć, bo większość życia spędziłam w pałacu.

Richard ponownie spojrzął poza białą wspaniałość Pałacu Spowiedniczek, na miasto. Czy i on powinien stąd uciec i pozostawić rodową siedzibę Spowiedniczek i czarodziejów we władaniu Imperialnego Ładu? Czyż jednak miał inne wyjście? Zwłaszcza że żołnierze Ładu z pewnością już go szukali. Byłoby lepiej, gdyby się wymknął, dopóki są wciąż rozproszeni i zdeorganizowani po śmierci członków ich rady. Chłopak nie wiedział, co powinna zrobić pani Sanderholt, za to on sam musi zniknąć, nim Ład go odnajdzie. Musi dotrzeć do Kahlan i Zedda.

Warczenie Gratcha przeszło w straszliwe dudnienie, które wstrząsnęło Richardem do głębi, wyrывая go z zadumy. Chimera podniosła się płynnym ruchem. Chłopak znów przyjrzał się miejscu u podnóża schodów i

nic nie zobaczył. Pałac Spowiedniczek zbudowano na wzgórzu, roztaczała się stąd wspaniała panorama Aydindril. Z tego punktu obserwacyjnego Richard widział, że na ulicach miasta są oddziały wojska, lecz żaden z nich nie znajdował się w pobliżu ich trójki siedzącej na bocznym dziedzińcu przed kuchennym wejściem. W zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty, na którą Gratch mógłby tak patrzeć.

Richard wstał i przelotnie dotknął gardy miecza. Był wyższy niż większość mężczyzn, ale chimera i tak go przerastała. Gratch był jeszcze zupełnie młody, a już miał prawie siedem stóp. Chłopak oceniał, że ważył półtora raza tyle, ile on. Prawdopodobnie urośnie jeszcze stopę, może nawet więcej. Richard nie był ekspertem od chimer krótkoogoniastych: nie widział ich zbyt wiele, a te, które widział, akurat próbowały go zabić. Chłopak zabił w samoobronie matkę Gratcha i musiał zaadoptować małą sierotkę. Z czasem zostali serdecznymi przyjaciółmi.

Pod różową skórą potężnej piersi i brzucha Gratcha napinały się węzły mięśni. Stał nieruchomo, spięty, trzymając łapy przy bokach, kierując kosmate uszy ku temu, czego inni nie widzieli. Nigdy - nawet wtedy, gdy był głodny i chwycił jakieś zwierzę - nie wyglądał tak groźnie i dziko. Richard poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Tak bardzo chciał sobie przypomnieć, kiedy widział Gratcha warczącego tak jak teraz. Musiał odsunąć na bok radosne myśli o Kahlan i skupić uwagę na tym, co się tutaj działo.

Pani Sanderholt stała obok chłopaka i nerwowo zerkała to na Gratcha, to na miejsce, w które się wpatrywał. Choć szczupła i krucha, wcale nie była strachliwą kobietą, lecz Richard miał wrażenie, że chętnie załamałaby ręce, gdyby nie spowijały ich bandaże.

Chłopak poczuł się nagle zupełnie odsłonięty na tych szerokich schodach. Jego bystre, szare oczy przeszukiwały mrok oraz zakamarki pośród kolumn i eleganckich pawilonów rozrzuconych poniżej pałacu. Od czasu do czasu podmuchy wiatru unosiły migocące płatki śniegu, poza tym jednak nie było widać żadnego ruchu. Richard tak intensywnie wpatrywał się w mrok, że aż rozboleły go oczy, lecz nie dostrzegł żadnej żywej istoty, żadnego śladu zagrożenia.

Niczego nie dostrzegł, a mimo to narastało w nim poczucie niebezpieczeństwa. Nie była to wyłącznie reakcja na niezwykle rozdrażnienie Gratcha - owo uczucie budziło się we wnętrzu Richarda, w

jego Han, i promieniowało do wszystkich mięśni, tak że napinały się, przygotowując do działania. Magia stała się jego dodatkowym zmysłem, który często ostrzegał go, gdy inne zawodziły. Chłopak uświadomił sobie, że i tym razem to właśnie magia go przed czymś ostrzega.

Dręczyło go pragnienie ucieczki, zanim będzie za późno. Musi dotrzeć do Kahlan, więc nie powinien się pakować w żadne kłopoty. Mógłby znaleźć konia i odjechać, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby natychmiast uciekł, a konia znalazł później.

Gratch rozłożył skrzydła i przykucnął. Przybrał groźną postawę, gotów wznieść się w powietrze. Skórzaste wargi jeszcze bardziej się skurczyły, a basowemu, wibrującemu warczeniu towarzyszyła para oddechu, która z sykiem wydobywała się spomiędzy kłów.

Ramionami Richarda wstrząsały dreszcze. Oddychał coraz szybciej, w miarę jak wyraźne poczucie zagrożenia przechodziło w groźbę.

- Może weszłaby pani do środka, pani Sanderholt - zaproponował, przenosząc spojrzenie z jednego długiego cienia na drugi. - Później przyjdę do pani i porozmawiamy...

Słowa uwięzły Richardowi w gardle, gdy wśród białych kolumn dostrzegł szybki ruch: falowanie powietrza przypominające drżenie ciepłych prądów nad ogniskiem. Wpatrywał się w to miejsce, nie mając pewności, czy naprawdę dostrzegł to zjawisko, czy też tylko je sobie wyobraził. Gwałtownie starał się zrozumieć, co by to mogło być, jeśli rzeczywiście widział ów ruch. Może była to jedynie garść śnieżnego pyłu niesiona porywem wiatru. Teraz nie widział już nic, choć wciąż z uporem wpatrywał się w to miejsce.

Prawdopodobnie to tylko poruszony wiatrem śnieg, próbował się uspokoić.

Niespodziewanie, niczym lodowata ciemna woda buchająca ze szczeliny w lodowej okrywie rzeki, owładnęło nim zrozumienie. Richard przypomniał sobie, kiedy słyszał tak warczącego Gratcha. Delikatne włoski na karku chłopaka zjeżyły się, wbijając się w jego ciało jak lodowe igły. Dłoń odnalazła rękojeść miecza.

- Proszę już iść - szepnął do pani Sanderholt nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Natychmiast.

Gdy brzęk stali oznajmił, że Miecz Prawdy wydostał się na rzeńskie powietrze poranka, kobieta bez wahania skoczyła w górę schodów,

zmierzając ku odległym drzwiom prowadzącym do kuchni.

W jaki sposób się tu pojawiły? Przecież to niemożliwe, a tymczasem Richard był pewny, że tu są - wyczuwał je.

- Tańcz ze mną, śmierci. Jestem gotów - wyszeptał, już w transie gniewu, który płynął weń z Miecza Prawdy.

Nie były to słowa chłopaka - przyszły wraz z magią miecza, wraz z duchami tych wszystkich, którzy przed nim władali owym orężem. Słowom towarzyszyło instynktowne zrozumienie ich znaczenia: to była poranna modlitwa ostrzegająca, że można umrzeć owego dnia, więc - dopóki się żyje - powinno się uczynić wszystko, co tylko można.

Echo innych wewnętrznych głosów uświadomiło Richardowi, że słowa te znaczą jednocześnie coś zupełnie innego, że są bojowym okrzykiem.

Gratch, rycząc, wystrzelił w powietrze, odbiwszy się jednym potężnym zamachem ramion. Śnieg zawirował za nim, poderwany silnymi uderzeniami skrzydeł, które rozwiały również zdobytą przez Richarda pelerynę mriswitha.

Chłopak wyczuł obecność bestii, zanim jeszcze ujrzał, jak materializują się w zimowym powietrzu. Zobaczył je w umyśle, nim spostrzegły je jego oczy.

Wyjący wściekle Gratch spadał jak błyskawica ku podstawie schodów. Ukazały się niedaleko kolumn akurat wtedy, kiedy dotarła tam chimera. Ich białe łuski, szpony i peleryny rysowały się niewyraźnie na tle śniegu. Ich biel była nieskalana jak dziecięca modlitwa.

Mriswithy.

ROZDZIAŁ 3

Mriswithy zareagowały na zagrożenie, materializując się i rzucając na chimere. Widok atakowanego przyjaciela sprawił, że magia miecza, jego gniew, rozszalały się w Richardzie z całą furją. Runął w dół schodów ku rozpoczynającej się walce.

Uszy chłopaka rozdzierał ryk - Gratch szarpał mriswithy. Teraz, w ogniu walki, znów można było je dostrzec. Trudno było co prawda rozróżnić bestie na tle śniegu i białego kamienia, ale Richard widział je dość dobrze. Wydawało mu się, że jest ich około dziesięciu, przynajmniej tyle naliczył w całym tym zamieszaniu. Pod pelerynami nosiły skóry - równie białe jak wszystko dokoła. Wcześniej chłopak widział tylko czarne mriswithy, lecz zdawał sobie sprawę, że mogą przybierać barwę otoczenia. Naciągnięta gładka skóra, która okrywała ich głowy, na szyjach zmieniała się w zachodzące na siebie łuski. Z rozwartych, pozbawionych warg ust wystawały drobne, ostre jak igły zęby. W szponach potwory trzymały noże o trzech ostrzach. Ich przypominające paciorki oczy nienawistnie wpatrywały się w chimere.

Mriswithy kłębiły się dokoła znajdującej się pośród nich ciemnej postaci. Pęd rozwiewał ich białe peleryny, kiedy mknęły po śniegu, unikając zamachów potężnych ramion Gratcha, lub ślizgały się i koziółkowały wskutek ciosów chimery. Gratch z pełną okrucieństwa sprawnością chwycił je szponami, rozdzierał i odrzucał, plamiąc przy tym śnieg krwią.

Mriswithy tak zajadle atakowały chimere, że Richard niepostrzeżenie zaszedł je od tyłu. Wcześniej walczył zawsze tylko z jednym mriswithem i już to było strasliwym doświadczeniem, teraz jednak, przepełniony magiczną furją, nie zastanawiał się nad niebezpieczeństwem i myślał jedynie o tym, by pomóc Gratchowi. Zanim bestie zdążyły się odwrócić i skoncentrować na obronie przed nowym zagrożeniem, powalił już dwie z nich. W porannym powietrzu rozległo się przeszywające śmiertelne wycie, raniąc uszy chłopaka.

Richard wyczuł, że za jego plecami, od strony pałacu, pojawiły się kolejne mriswithy. Zdążył się odwrócić i zobaczyć, jak materializują się jeszcze trzy bestie. Pędziły, by przyłączyć się do walki a na drodze stała im jedynie pani

Sanderholt. Kobieta krzyknęła, zorientowawszy się, że odcinają jej drogę ucieczki. Odwróciła się i pobiegła przed nimi. Richard widział, że nie zdoła uciec potworom, a sam był zbyt daleko, by mógł przybyć na czas z pomocą. Potężnym, wyprowadzonym zza pleców zamachem miecza rozciął pokrytego łuskami stwora.

- Gratch! - krzyknął. - Gratch!

Chimera spojrzała w górę, urywając głowę mriswithowi. Richard wyciągnął miecz.

- Ochroniaj ją, Gratch!

Gratch pojął natychmiast, co grozi pani Sanderholt. Odrzucił bezgłowy tułów i wzniósł się w powietrze. Richard przykucnął. Skórzaste skrzydła przeniosły chimere nad głową chłopaka, w górę schodów. Gratch pochwycił kobietę futrzastymi ramionami, a jej stopy oderwały się od ziemi i poszybowały nad zadającymi ciosy nożami mriswithów. Chimera pochyliła się w skrecie, zanim ciężar pani Sanderholt wyhamował jej pęd, zniżyła lot za plecami stworów, potężnym uderzeniem skrzydeł powstrzymała opadanie i postawiła Pierwszą Kucharke na ziemi, po czym natychmiast ponownie rzuciła się do walki, szarpiąc kłami i pazurami ciała bestii i zręcznie uchylając się przed ciosami ich noży.

Richard *obrócił się* ku trzem mriswithom znajdującym się u podstawy schodów. Poddał się furii miecza, zjednoczył z magią i z duchami tych, którzy przed nim władali tym orężem. Ruchy nabrały płynnej elegancji tańca, tańca ze śmiercią. Bestie ruszyły na chłopaka, wirując z chłodną gracją i błyskając ostrzami noży. Rozdzieliły się i pomknęły w górę schodów, żeby go otoczyć. Richard pchnął jednego mieczem. Ku jego zdziwieniu pozostałe dwa krzyknęły:

- Nie!

Zaskoczony chłopak znieruchomiał. Nie zdawał sobie sprawy, że mriswithy potrafią mówić. Przystanęły na stopniach, patrząc nań paciorkowatymi, zmijowatymi oczami. Niemal już go minęły, spiesząc ku Gratchowi. Richard domyślił się, że chcą przede wszystkim rzucić się na chimere. Skoczył w górę schodów i przeciął im drogę. Raz jeszcze się rozdzieliły, tym razem chciały go obejść z obu stron. Richard zamarkował cios wymierzony w tego po lewej, a następnie gwałtownie obrócił się ku bestii mijającej go z prawej strony. Miecz roztrzaskał jeden z noży o trzech

ostrzach. Mriswith uchylił się przed śmiertelnym ciosem, po czym ruszył ku chłopakowi z drugim nożem, a wtedy Richard ciął go w kark. Bestia z wyciem padła na ziemię i wiła się, plamiąc śnieg krwią.

Drugi mriswith spadł na chłopaka, zanim ten zdążył się ku niemu odwrócić. Stoczyli się ze schodów. Miecz oraz jeden z noży wysliznęły się im z rąk i zniknęły w śniegu. Tarzali się, a każdy starał się zdobyć przewagę. Żyłasty stwór chciał przyciągnąć do siebie Richarda, otaczając go łuskowatymi ramionami. Chłopak czuł na karku smrodliwy oddech bestii. Nie widział swojego miecza, ale wyczuwał jego magię i wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Spróbował sięgnąć po niego, lecz uniemożliwiał mu to ciężar bestii. Usiłował się wyrwać, jednak śliski kamień nie dawał dostatecznego oparcia. Miecz pozostawał poza zasięgiem rąk Richarda.

Gniew dodał mu sił i chłopak się podniósł. Mriswith, wciąż czepiając się go łuskowatymi ramionami, podstawił Richardowi nogę. Poszukiwacz Prawdy raz jeszcze padł twarzą w śnieg, a mriswith zwałił mu się na plecy, pozbawiając tchu. Drugi nóż stwora był tuż przy twarzy Richarda. Stękając z wysiłku, chłopak uniósł się na ramieniu, a wolną dłonią złapał pięść trzymającą nóż. Płynnym, silnym ruchem zrzucił z siebie mriswitha, zanurkował pod jego ramieniem i mocno je wykręcił. Trzasnęła kość. Drugą ręką Richard sięgnął po wiszący u pasa nóż i przystawił go do piersi napastnika. Mriswith i jego peleryna nabrały paskudnego bladozielonego koloru.

- Kto was nasłał!?

Stwór nie odpowiedział, więc Richard wy-giął mu ramię aż za plecy.

- Kto was nasłał!?

Ciało mriswitha zwiotczało.

- Nawiedzający Ssssny - wysyczał.

- Kim jest ten Nawiedzający Sny? Dlaczego tu jesteście? Stwora oblały fale woskowej żółci. Wytrzeszczył oczy i starał się wyrwać.

- Zielonooka!

Nagle Richard otrzymał potężny cios w plecy. Ciemna futrzasta błyskawica porwała mriswitha. Zakończona szponami łapa odchyliła głowę stwora, kły wbiły się w jego szyję, a straszliwe szarpnięcie rozerwało gardziel. Wstrząśnięty Richard z trudem chwycił powietrze. Nim uspokoił oddech, chimera skoczyła na niego. Jej zielone ślepie płonęły dziko. Chłopak

wyrzucił w górę ramiona, osłaniając się przed potężnym zwierzem. Nóż wypadł mu z dłoni. Gratch górował nad nim i rozmiarami, i siłą. Równie dobrze Richard mógłby próbować powstrzymać walącą się nań górę. Ociekające krwią i śliną kły zmierzały ku twarzy chłopaka.

- Gratch! - Richard chwycił oburącz futro chimery. - Gratch, to ja, Richard!

Warczące oblicze cofnęło się nieco; pałające ślepia zamrugały i chłopak pogłaskał ciężko dyszącą pierś.

- Już w porządku, Gratch. Już po wszystkim. Uspokój się. Stalowe mięśnie ramion, które trzymały Richarda, rozluźniły się. Gniewny grymas zmienił się w uśmiech. Gratch, z oczami pełnymi łez, przycisnął chłopaka do piersi.

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg.

- I ja cię kocham, Gratch - wysapał z trudem Richard, poklepując chimere po plecach.

Gratch, którego zielone ślepia znów pały, odsunął Richarda i dokładnie go obejrzał, jakby chciał się upewnić, że przyjaciel jest cały i zdrowy. Chimera zagulgotała z ulgą. Chłopak nie był pewny, czy ucieszyło ją to, że jest cały i bezpieczny, czy też to, że nie rozdarła go na strzępy, lecz on, Richard, cieszył się, że jest po wszystkim. Strach, gniew i szal bitewny minęły już i teraz bolały go wszystkie mięśnie.

Chłopak odetchnął głęboko, uradowany, że przetrwał nagły atak, ale niepokoiła go przemiana łagodnego zazwyczaj Gratcha w śmiertelnie niebezpieczną bestię. Rzucił okiem na barwiące śnieg plamy zakrzepniętej, cuchnącej krwi. Gratch sam tego nie dokonał. Richard uciszył ostatnie iskry magicznego gniewu i wówczas uderzyło go, że chimera prawdopodobnie zobaczyła go w podobnym świetle. Gratch zareagował na zagrożenie tak samo jak Richard.

- Gratch, wiedziałeś, że tu są, prawda?

Chimera przytaknęła entuzjastycznie, podkreślając ruchy głowy krótkim warknięciem. Chłopak zdał sobie sprawę, że kiedy ostatnio widział Gratcha tak zawzięcie warczącego pod lasami Hagen, chimera musiała wyczuć obecność mriswistów.

Siostry Światła powiedziały Richardowi, że mriswithy oddalają się czasami od lasów Hagen i że nikt - ani one, ani czarodziejki, ani nawet

czarodzieje - nie potrafił nigdy wyczuć ich obecności i nie przeżył spotkania z jednym ze stworów. Chłopak potrafił natomiast wyczuć obecność mriswithów, gdyż jako pierwszy od blisko trzech tysięcy lat urodził się z podwójnym darem. Skąd zatem Gratch wiedział, że tu są?

- Czy tyje widzisz, Gratch?

Chimera wskazała kilka leżących ciał, jakby pokazywała je chłopakowi.

- Nie, teraz i ja je widzę. Chodzi mi oto, czy widziałeś je wcześniej, kiedy warczałeś, a ja rozmawiałem z panią Sanderholt. Widziałeś je wtedy?

Gratch potrząsnął głową.

- Usłyszałeś je, a może wywęszyłeś?

Chimera zmarszczyła brwi w namyśle, zastrzygła uszami, a potem znów potrząsnęła przecząco głową.

- Ib skąd wiedziałeś, że tu są, zanim jeszcze je zobaczyliśmy?

Wielkie jak styliska bojowych toporów brwi chimery ściągnęły się, kiedy ogromna bestia nachmurzyła się i spojrzała na Richarda. Gratch wzruszył ramionami, zakłopotany tym, że nie potrafi odpowiedzieć.

- Czy to znaczy, że wyczułeś je, zanim jeszcze je dostrzegłeś? Że coś w tobie ostrzegło cię, że tu są?

Gratch uśmiechnął się i przytaknął, szczęśliwy, że Richard go zrozumiał. Chłopak w podobny sposób dowiadywał się o obecności mriswithów: wyczuwał je, zanim jeszcze je zobaczył, dostrzegał je najpierw w umyśle. Jednak Gratch nie miał daru. Skąd więc ta umiejętność?

Może po prostu zwierzęta potrafią wyczuć coś szybciej niż ludzie. Wilki zwykle doskonale wiedzą, gdzie jesteś, nim zorientujesz się, gdzie one są. A jelenia dostrzegasz w chaszczach dopiero wtedy, gdy z nich wyskoczy, ponieważ wyczuł cię na długo przedtem, zanim go zobaczyłeś. Zmysły zwierząt są zazwyczaj bardziej wyostrzone niż ludzkie, zwłaszcza zmysły drapieżców. Gratch z całą pewnością był drapieżnikiem. I ów zmysł służył mu lepiej, niż magia Richardowi.

Pani Sanderholt zeszła ze schodów i położyła obandażowaną dłoń na pokrytym futrem ramieniu Gratcha.

- Gratch... dziękuję. - Obróciła się ku Richardowi. - Myślałam, że mnie również zabije - zwierzyła się zniżonym głosem, po czym spojrzała na kilka rozdartych ciał. - Widziałam, jak chimery postępowały w ten sposób z ludźmi. Kiedy mnie złapał, byłam pewna, że także mnie chce zabić. Jednak

myliłam się. On jest inny. - Zerknęła na Gratcha. - Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

Gratch ukazał w promiennym uśmiechu wszystkie okrwawione zębiska. Na ten widok pani Sanderholt aż się zachłysnęła. Richard spojrzał na uśmiechnięte, groźne oblicze chimery.

- Przestań się śmiać, Gratch. Znów ją wystraszyłeś.

Wargi opadły, zakrywając potężne, ostre kły. Gratch posmutniał. Uważał się za sympatycznego stwora i był święcie przekonany, że inni również tak myślą.

Pani Sanderholt pogłaskała okryte futrem ramię.

- Wszystko w porządku. To szczerzy i na swój sposób uroczy uśmiech. Ja tylko... po prostu nie jestem do tego przyzwyczajona i tyle.

Gratch znów się uśmiechnął do pani Sanderholt i niespodziewanie zatrzepotał z animuszem skrzydłami. Pierwsza Kucharka nie zdołała się opanować i uskoczyła do tyłu o jeden stopień. Zrozumiała właśnie, że ta chimera jest inna niż pozostałe, które zawsze zagrażały ludziom, lecz instynkt wciąż brał górę. Gratch nachylił się ku niej i zamierzał ją objąć. Richard był przekonany, że biedna pani Sanderholt umrze ze strachu, zanim uświadomi sobie pokojowe zamiary chimery, więc wyciągnął ostrzegawczo ramię.

- On panią lubi, pani Sanderholt. Chce tylko panią uściskać, nic więcej. Myślę jednak, że pani podziękowania wystarczą.

Pierwsza Kucharka szybko odzyskała zimną krew.

- Nonsens. - Uśmiechnęła się ciepło i wyciągnęła ramiona. - Uściskajmy się, Gratch.

Gratch zagulgotał z zachwytu i porwał kobietę w objęcia. Richard ostrzegł go cicho, żeby był ostrożny. Pani Sanderholt wydała zduszony, bezradny chichot. Kiedy ponownie znalazła się na ziemi, wygładziła suknię, wyprostowała swoją kościstą postać i poprawiła szal. Uśmiechała się promiennie.

- Masz rację, Richardzie. To nie jest oswojone zwierzątko. To przyjaciel.

Gratch przytaknął z zapalem, strzygąc przy tym uszami i trzepocząc skórzastymi skrzydłami.

Chłopak ściągnął z leżącego najbliżej mriswitha białą, prawie czystą pelerynę. Poprosił panią Sanderholt o pozwolenie, a kiedy wyraziła zgodę,

ustawił ją przed dębowymi drzwiami małego, niskiego, kamiennego domku. Narzucił jej pelerynę na ramiona i naciągnął kaptur na głowę.

- Chcę, żeby się pani skoncentrowała. Żeby się pani skoncentrowała na brzoje drzwi poza nią. Proszę zebrać pelerynę pod brodą, zamknąć oczy, jeśli to pozwoli się pani skupić, a następnie wyobrazić sobie, że stanowi jedno z drzwiami. Ze ma pani ten sam kolor.

- Po co mam to robić? - nachmurzyła się kobieta.

- Chcę sprawdzić, czy także pani wyda się niewidzialna jak one.

- Niewidzialna!

- Spróbuje pani? - Richard uśmiechnął się, dodając jej odwagi. Westchnęła i w końcu przytaknęła. Powoli zamknęła oczy. Jej oddech uspokoił się. Nic się nie wydarzyło. Richard odczekał jeszcze chwilę, lecz wciąż nic się nie działo. Peleryna pozostała biała, ani odrobinę nie zbrązowiła. W końcu pani Sanderholt otworzyła oczy.

- Stałam się niewidzialna? - spytała, najwyraźniej przestraszona, że istotnie tak było.

- Nie - odrzekł Richard.

- I nie sądziłam, że do tego dojdzie. Ale w jaki sposób te węzowate stwory stają się niewidzialne? - Zrzuciła pelerynę z ramion i wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Dlaczego sądziłeś, że i ja bym to potrafiła?

- To są mriswithy. I właśnie peleryny pozwalają im pozostawać niewidzialnymi, więc myślałem, że może również pani się to uda.

Kobieta spojrzała nań podejrzliwie.

- Pokażę pani.

Richard zajął jej miejsce pod drzwiami i naciągnął kaptur swojej peleryny. Otulił się ciasno materiałem i skoncentrował. W mgnieniu oka okrycie przybrało dokładnie taki sam kolor jak drzwi. Richard zdawał sobie sprawę, że magia peleryny, wspomagana dodatkowo przez jego magiczny dar, osłania części ciała wystające spod okrycia, tak że wydaje się on niewidzialny. Odszedł od drzwi, a kolor materiału zmieniał się, dopasowując do tego, co pani Sanderholt widziała za plecami chłopaka. Kędy stanął na tle muru z białego kamienia, pojawiły się na nim jaśniejsze fragmenty i ciemniejsze miejsca po łączeniach, zupełnie jakby kobieta na wylot patrzyła przezeń. Richard wiedział z doświadczenia, że nie ma żadnego znaczenia, jak skomplikowane jest tło, wiedział, że peleryna dostosuje swój wygląd do

wszystkiego.

Gdy chłopak odszedł od drzwi, pani Sanderholt wciąż na nie patrzyła. Za to wzrok Gratcha podążał za nim. W zielonych ślepiach, które śledziły ruchy Poszukiwacza Prawdy, narastała groźba. W gardzieli chimery narastało warczenie.

Richard przestał się koncentrować. Barwy tła odpłynęły z peleryny, materiał znów był czarny. Chłopak odrzucił kaptur.

- To ciągle ja, Gratch.

Pani Sanderholt podskoczyła i rozejrzała się, wypatrując Richarda. Gratch przestał warczeć. Najpierw miał zaskoczoną minę, potem jednak się uśmiechnął. Wybuchnął bulgoczącym śmiechem, rozradowany nową zabawą.

- Jak to zrobiłeś, Richardzie? - wyjąkała pani Sanderholt. - W jaki sposób stałeś się niewidzialny?

- To ta peleryna. Tak naprawdę nie sprawia, że jestem niewidzialny, lecz w jakiś sposób zmienia kolor, dopasowując się do tła, i dlatego oszukuje wzrok patrzących. Sądzę, że potrzeba do tego magii. Ty nie masz daru, aleja tak, i dlatego gdy ją wkładam, zmienia barwę. - Richard popatrzył na martwe mriswithy. - Lepiej spalmy peleryny, żeby nie dostały się w niepowołane ręce.

Chłopak rozkazał Gratchowi zabrać okrycia ze szczytu schodów, a sam poszedł, by zebrać te, które leżały na dole.

- Czy nie sądzisz, Richardzie, że... że korzystanie z peleryn należących do takich złych stworów może być niebezpieczne?

- Niebezpieczne? - Chłopak wyprostował się i podrapał po karku. - Chyba nie. Peleryna jedynie zmienia kolor. Podobnie jak niektóre żaby i salamandry zmieniają ubarwienie i upodabniają się do tego, na czym akurat siedzą - do skały, kłody czy liścia.

Pani Sanderholt pomogła mu, najlepiej jak zdołała obandażowanymi dłońmi, zwinąć peleryny w tobołek.

- Widziałam takie żaby. Zawsze uważałam, że ich umiejętność to jeden z cudów Stwórcy. - Uśmiechnęła się do Richarda. - Może Stwórca pobłogosławił cię takim samym cudem, bo masz dar. Chwała mu za to, jego łaska pomogła nas uratować.

Gratch podawał po jednej pelerynie, żeby Pierwsza Kucharka mogła je dodawać do tobołka. Richarda ponownie ogarnął lęk. Spojrzał na chimere.

- Czy wyczuwasz jeszcze jakiegoś mriswitha, Gratch?

Gratch podał pani Sanderholt ostatnią pelerynę, po czym uważnie rozejrzał się dokoła. W końcu pokręcił przecząco głową. Richard odetchnął z ulgą.

- Jak ci się zdaje, Gratch, skąd przyszły? Możesz wskazać kierunek?

Gratch raz jeszcze powoli się obrócił, obserwując przy tym otoczenie. Przez chwilę wpatrywał się w Wieżę Czarodzieja, ale jednak przesunął wzrok. Ostatecznie wzruszył przepaszająco ramionami.

Richard patrzył uważnie na Aydindril, przyglądał się dokładnie oddziałom Imperialnego Ładu. Powiedziano mu, że są tam żołnierze pochodzący z wielu ludów, lecz rozpoznał kolczugi, pancerze i ciemne skóry, które nosiła większość z nich. To byli D'Harańczycy.

Chłopak zawiązał luźne końce, tworząc z peleryn ścisły tłumoczek, i położył go na ziemi.

- Co się stało z pani dłońmi?

Pani Sanderholt uniosła ręce i obróciła dłonie. Białe płótno, które je spowijało, było poplamione sosami, olejami, popiołem i sadzą.

- Wyrwali mi szczypcami paznokcie, żeby zmusić mnie do świadczenia przeciwko Matce Spowiednicze... przeciwko Kahlan.

- I pani to zrobiła? - Odwróciła wzrok, a Richard się zaczerwienił, ponieważ zrozumiał, jak musi brzmieć jego pytanie. - Przepraszam, źle się wyraziłem. Rzecz jasna nikt nie mógłby oczekiwać, że odmówi im pani po torturach. Dla takich ludzi jak oni prawda nie ma znaczenia. Kahlan nie uwierzyłaby, że ją pani zdradziła.

Kobieta opuściła dłonie i poruszyła ramieniem.

- Nie powiedziałałabym tego, co kazali mi o niej mówić. Ona to rozumiała, tak jak powiedziałeś. Kahlan rozkazała mi zeznawać przeciwko sobie, chcąc oszczędzić mi dalszych tortur. Ale i tak ciężko było powtarzać te kłamstwa.

- Urodziłem się z darem, ale nie wiem, jak z niego korzystać. Gdybym potrafił, tobym ci pomógł. Tak mi przykro. - Chłopak był pełen współczucia. - Czy ból już choć trochę zelżał?

- Obawiam się, że cierpienia dopiero się zaczęły, skoro Imperialny Ład zajął Aydindril.

- Czy to D'Haranczycy cię torturowali?

- Nie. Rozkaz wydał keltoński czarodziej. Kahlan zabiła go, kiedy uciekała. Jednak większość oddziałów Imperialnego Ładu stacjonujących w Aydindril tworzą D'Haranczycy.

- Jak traktowali mieszkańców miasta?

Pani Sanderholt potarła obandażowanymi dłońmi ramiona, jakby zmarzła w zimowym powietrzu. Richard miał już narzucić jej na ramiona swoją pelerynę, ale zdążył się zreflektować i tylko pomógł jej otulić się szalem.

- D'Hara zdobyła Aydindril ubiegłej jesieni i choć jej żołnierze byli okrutni podczas walki, od czasu kiedy zdusili już opór i zajęli miasto, nie zachowują się brutalnie wobec mieszkańców, jeśli tylko ci wykonują ich rozkazy. Prawdopodobnie chcą po prostu, żeby ich łup pozostał nietknięty.

- To całkiem możliwe. A co z Wieżą Czarodzieja? Ją też zajęli? Kobieta obejrzała się na stok góry.

- Nie jestem pewna, ale nie wydaje mi się. Chronią ją zaklęcia, a mówiono mi, że d'harańskie oddziały boją się magii.

Richard potarł w zadumie brodę.

- Co się wydarzyło, gdy skończyła się wojna z D'Hara? - Wygląda na to, że D'Haranczycy, podobnie zresztą jak inni, zawarli układ z Imperialnym Ładem. Keltończycy stopniowo przejęli władzę w mieście, a D'Haranczycy pozostali przede wszystkim ich zbrojnym ramieniem. Keltończycy, w przeciwieństwie do D'Haranczyków, nie boją się magii. Książę Fyren z Keltonu i ten keltoński czarodziej przewodzili Naczelnej Radzie Midlandów. Teraz wszyscy oni - Fyren, czarodziej, członkowie rady - nie żyją, więc nie mam pojęcia, kto rządzi. Przypuszczam, że D'Haranczycy, i dlatego wciąż jesteśmy na łasce Imperialnego Ładu. Boję się tego, co nas czeka w przyszłości, skoro nie ma już ani Matki Spowiedniczki, ani czarodziejów. Wiem, że Kahlan musiała uciec, gdyż w przeciwnym razie zamordowałiby ją, ale...

Umilkła, więc Richard dokończył za nią:

- Ale od czasu utworzenia Midlandów i od momentu, kiedy Aydindril stało się ich sercem, władała tu jedynie Matka Spowiedniczka.

- Znasz nasze dzieje?

- Kahlan mi trochę opowiadała. Konieczność opuszczenia Aydindril była dla niej bardzo bolesna. Zapewniam panią jednak, że nie zostawimy

Imperialnemu Ładowi ani Aydindril, ani Midlandów.

Pani Sanderholt odwróciła z rezygnacją wzrok.

- Nie ma już tego, co było. Z czasem Imperialny Ład zapisze na nowo dzieje tej krainy i Midlandy pójdą w zapomnienie. Wiem, Richardzie, że spieszno ci, by do niej dołączyć, by znaleźć miejsce, w którym moglibyście żyć w spokoju, wolni. Nie żałuj tego, co utracone. Kiedy już dotrzesz do Kahlan, powiedz jej, że choć znaleźli się tacy, którzy cieszyli się z jej rzekomej egzekucji, to więcej było takich, którzy zasmucili się na wieść o jej śmierci. W ciągu tygodni, jakie minęły od jej ucieczki, widziałam tę stronę rzeczywistości, której ona nie mogła zobaczyć. Są tutaj, tak jak i wszędzie, ludzie źli i chciwi, ale są również dobrzy, którzy zawsze będą o niej pamiętać. Chociaż jesteśmy teraz poddanymi Imperialnego Ładu, do końca życia zachowamy w sercach pamięć o Midlandach.

- Dziękuję pani, pani Sanderholt. Wiem, że Kahlan doda otuchy świadomość, iż nie wszyscy zwrócili się przeciw niej i Midlandom. Niech pani jednak nie traci nadziei. Dopóki Midlandy żyją w naszych sercach, dopóty jest nadzieja. Zwycięzimy.

Kobieta uśmiechnęła się, lecz Richard po raz pierwszy ujrzał w jej oczach całą głębię rozpacz. Nie uwierzyła mu.

Życie pod władzą Imperialnego Ładu, choć trwało tak krótko, było wystarczająco ciężkie, żeby zgasić najmniejszą iskierkę nadziei. To dlatego nie martwiła się o opuszczenie Aydindril. Bo i dokąd niby miała odejść?

Richard wy dobył miecz ze śniegu, wytarł dokładnie klingę o skórzane okrycia mriswithów, po czym wsunął oręż do pochwy.

Pani Sanderholt i chłopak odwrócili się, usłyszawszy za sobą nerwowe szepty. Niedaleko szczytu schodów zebrał się tłumek ludzi pracujących w kuchni i z niedowierzaniem patrzył na leżące w śniegu ciała oraz na Gratcha. Jeden z mężczyzn podniósł nóż o trzech ostrzach i przyglądał mu się, obracając w dłoni. Bał się zejść po schodach w pobliże chimery, więc tylko nagląco gestykulował, starając się przyciągnąć uwagę pani Sanderholt. Zniecierpliwiona wskazała, żeby do niej podszedł. Wyglądało na to, że bardziej przygarbiły go lata ciężkiej pracy niż wiek, choć jego rzędzące włosy zaczynały siwieć. Zszedł po stopniach, kołysząc się, jakby niósł na pochylonych ramionach ciężki wór ziarna. Pospiesznie uklonił się Pierwszej Kucharce, przebiegł wzrokiem od niej do leżących w śniegu ciał, a następnie

do Gratcha i Richarda, w końcu znów spojrzał na nią.

- O co chodzi, Hank?

- Kłopoty, pani Sanderholt.

- W tej chwili jestem zajęta własnymi. Nie możecie beze mnie wyciągnąć chleba z pieca?

- Możemy, pani Sanderholt. - Pokiwał głową. - Ale tu chodzi o... - Spojrzał nienawistnie na leżące w pobliżu cuchnące zwłoki mriswitha. - Tu chodzi o te stwory.

- O nie? - spytał Richard.

Hank zerknął na miecz wiszący u boku chłopaka i odwrócił wzrok.

- Myślałem, że to było... - Spojrzał na Gratcha, a kiedy ten się do niego uśmiechnął, głos uwiązł mężczyźnie w gardle.

- Popatrz na mnie, Hank. - Richard poczekał, aż tamten posłucha. - Chimera cię nie skrzywdzi. Tamte bestie to mriswithy. To Gratch i ja je zabiliśmy. A teraz powiedz, o co chodzi.

Hank potarł wnętrzem dłoni wełniane spodnie.

- Przyjrzałem się tym ich nożom, ich trzem ostrzom. Myślę sobie, że one to zrobiły. - Zasepił się. - Rozchodzą się niemal paniczne wieści. Zginęli ludzie. Chodzi o to, że nikt nie widział, kto ich zabił. Tym zamordowanym otwarto brzuchy jakimś narzędziem o trzech ostrzach.

Richard westchnął z udręką i przetarł twarz dłonią.

- Właśnie w ten sposób zabijają mriswithy. Rozpruwają brzuchy swoich ofiar, a biedacy nawet nie widzą, jak się zbliża zabójca. Gdzie zabiły tych ludzi?

- Na terenie całego miasta, niemal w tym samym czasie, o pierwszym brzasku. Z tego, co słyszałem, zabójców musiało być wielu. Z liczby tych tu stworów wynika, że mam rację. Tamci zabici ułożyli się jak po sznurku, niczym szprychy w kole, które zbiegają się w tym miejscu. Mordowały każdego, kto stanął im na drodze: mężczyzn, kobiety, nawet konie. Żołnierze się burzą, bo zginęło też kilku ich ludzi, więc reszta myśli, że to jakaś napaść na nich. Jeden z tych mriswithów przeszedł przez zgromadzony na ulicy tłum. Sukinsyn nie trudził się, żeby go obejść, ale po prostu wyrąbał sobie drogę przez środek. - Hank spojrzał z żalością na panią Sanderholt. - Kolejny przeszedł przez pałac. Zabił służącą, dwóch strażników i Jocelyn.

Pani Sanderholt straciła na chwilę oddech i zasłoniła usta obandażowaną

dłonią. Zamknęła oczy, szepcząc modlitwę.

- Tak mi przykro, pani Sanderholt, ale Jocelyn chyba nie cierpiała. Natychmiast do niej skoczyłem, lecz już nie żyła.

- Czy zginął jeszcze ktoś z personelu kuchni?

- Tylko Jocelyn. Akurat nie było jej w kuchni, załatwiała jakieś sprawy.

Gratch w milczeniu łypał oczyma na Richarda, który patrzył na wznoszące się na stoku góry mury Wieży Czarodzieja. Leżący wysoko śnieg różowił się w promieniach świtu. Chłopak wyduł usta i spojrzał na miasto. W gardle czuł smak złości.

- Hank.

- Panie?

Richard obrócił się ku niemu.

- Chcę, żebyś zebrał kilku ludzi. Wynieście mriswithy przed pałac i ułóżcie je przy głównym wejściu. Zróbcie to zaraz, nim zupełnie zamarzną. - Chłopak tak mocno zacisnął zęby, że napięte mięśnie wybrzuszyły skórę. - Nabijcie oderwane głowy na piki i ustawcie je równo po obu stronach, tak by musiał przejść między nimi każdy, kto wchodzi do pałacu.

Hank chrząknął i miał ochotę zaprotestować, jednak gdy zerknął na miecz wiszący u biodra Richarda, powiedział:

- W tej chwili, panie.

Skinął głową pani Sanderholt i pobiegł do pałacu po pomocników.

- Mriswithy muszą władać magią. Może strach przed nią choć na pewien czas zniechęci D'Harancyzkow do wchodzenia do pałacu.

Pani Sanderholt się zatroskała.

- Chyba masz rację, Richardzie, te bestie najwyraźniej mają jakąś magię. Czy jeszcze ktoś oprócz ciebie może dostrzec owe wężopodobne stwory, gdy się podkradają, zmieniając przy tym barwę?

Richard potrząsnął głową.

- Z tego, co mi mówiono, pozwala je wyczuć wyłącznie mój szczególny dar. Ale, rzecz jasna, również Gratch to potrafi.

- Imperialny Ład głosi, że magia i ci, którzy mają dar, to zło. A co, jeśli ten Nawiedzający Sny posyła mriswithy, żeby ich zabijały?

- To brzmi sensownie. O co ci konkretnie chodzi? Pani Sanderholt patrzyła na Richarda długo, z powagą.

- Twój dziadek, Zedd, ma magiczny dar i Kahlan także.

Na ramionach chłopaka pojawiła się gęsia skórka, gdy usłyszał, jak kobieta wypowiada głośno jego obawy.

- Wiem, może jednak coś wymyślę. Na razie muszę się zająć tym, co się tutaj dzieje. Muszę się zająć Imperialnym Ładem.

- Co chcesz zrobić? - Pani Sanderholt odetchnęła głęboko i powiedziała łagodniej: - Nie chciałam cię urazić, Richardzie. Masz dar, lecz nie potrafisz z niego korzystać. Nie jesteś czarodziejem, nie pomożesz nam. Uciekaj, dopóki jeszcze możesz.

- Dokąd!?! Skoro mriswithy znalazły mnie tutaj, to znajdą wszędzie. Nie ma takiego miejsca, w którym można by się ukryć na dłużej. - Odwrócił wzrok, czując, jak się czerwieni. - Wiem, że nie jestem czarodziejem.

- Cóż zatem...

Popatrzył na nią złowrogo.

- Kahlan jako Matka Spowiedniczka wypowiedziała w imieniu Midlandów wojnę Imperialnemu Ładowi i jego tyranii. Imperialny Ład chce wykorzenić całą magię i władać wszystkimi ludami. Jeżeli nie będziemy walczyć, wszyscy wolni ludzie i każdy, kto posiada dar, zostaną wymordowani lub staną się niewolnikami. Dopóki nie zgniecie się Imperialnego Ładu, dopóty nie będzie pokoju w Midlandach, w żadnej krainie. Nie będzie pokoju dla żadnych wolnych ludów.

- Jest ich tu zbyt wielu, Richardzie. Co chcesz zdziałać w pojedynkę?

Richard był już znużony wiecznymi niespodziankami. Zmęczyło go bycie więźniem, zmęczyły go tortury, nauki, okłamywanie i wykorzystywanie go. Zmęczyło go przyglądanie się śmierci bezbronnych ludzi. Musiał coś zrobić.

Nie był czarodziejem, ale znał czarodziejów. Zedd był ledwie kilka tygodni drogi stąd, na południowym zachodzie. On zrozumie konieczność uwolnienia Aydindril od Imperialnego Ładu, zrozumie potrzebę chronienia Wieży Czarodzieja. Kto wie, co by nieodwracalnie zginęło, gdyby Imperialny Ład zniszczył magię.

A w razie potrzeby w leżącym w Starym Świecie Pałacu Proroków są też inni, którzy prawdopodobnie zechcą i będą potrafili pomóc. Warren był przyjacielem Richarda. Co prawda nie był jeszcze w pełni wyszkolony, ale z pewnością był czarodziejem i wiedział sporo o magii. A już na pewno więcej niż Richard.

Pomogłaby mu też Siostra Verna. Siostry były czarodziejkami i miały

dar, choć nie tak potężny jak czarodzieje. Co prawda chłopak ufał tylko Siostrze Vernie. No, może jeszcze Ksieni Annalinie. Nie podobało mu się, że ukrywała przed nim informacje i naginała prawdę do swoich potrzeb, lecz nie wynikało to z wrogiego nastawienia. Zrobiła to, co musiała, żeby ochronić świat żywych. Tak, Annalina mogłaby mu pomóc.

No i był jeszcze Nathan, Prorok. Większość życia spędził pod zaklęciem pałacu i miał już niemal tysiąc lat. Richard nawet nie potrafił sobie wyobrazić rozległości wiedzy tego człowieka. Nathan wiedział, że chłopak jest pierwszym od tysięcy lat czarodziejem wojny, i pomógł mu zrozumieć i zaakceptować znaczenie tego faktu. Prorok już raz przyszedł mu z pomocą i Richard był przekonany, że nie odmówiłby mu jej raz jeszcze. Nathan należał do linii Rahlów, był przodkiem Richarda.

W umyśle chłopaka kłębiły się rozpaczliwe myśli.

- Agresor ustanowił własne prawa. Muszę je jakoś zmienić.

- Co zamierzasz zrobić?

Richard spojrzał gniewnie na miasto.

- Muszę zrobić coś, czego się nie spodziewają. - Przesunął palcami po wypukłym, uplecionym ze złotego drutu słowie PRAWDA na gardzie miecza, poczuł magię tkwiącą w orężu. - Noszę Miecz Prawdy, który powierzył mi prawdziwy czarodziej. Mam obowiązki. Jestem Poszukiwaczem. - Ogarnięty gniewem, który wywołała w nim myśl o pomordowanych przez mriswithy ludziach, Richard wyszeptał do siebie: - Przysięgam, że ześlę koszmary na Nawiedzającego Sny.

ROZDZIAŁ 4

- Aż mnie ciarki przechodzą - poskarżyła się Lunetta. - Musi tu być potężna.

Tobias Brogan obejrzał się przez ramię. Lunetta drapała się i w nikłym świetle widział, jak chwieją się i kołyszą na niej spłowiałe łachmany. Pośród równych szeregów żołnierzy odzianych w połyskujące pancerze, kolczugi i szkarłatne peleryny kobieta wyglądała jak tkwiąca na koniu sterta szmat. Podrapała się raz jeszcze i zaśmiała do siebie, a nieco szczerbaty uśmiech sprawił, że na jej pulchnych policzkach utworzyły się dołeczki.

Brogan skrzywił się zdegustowany i odwrócił. Musnął twarde jak drut wąsy, po czym przesunął wzrokiem po wznoszącej się na zboczu góry Wieży Czarodzieja. Pierwsze, słabe jeszcze promienie zimowego słońca zaróżowiły leżący wyżej śnieg, a teraz dotarły do ciemnoszarych kamiennych murów wieży. Brogan mocniej zacisnął wargi.

- Magia, mówię ci, lordzie generale - upierała się Lunetta. - Tu jest magia. Potężna magia - paplała, utyskując, że swędzi ją od niej skóra.

- Zamilcz, stara jędzo. Nawet pozbawiony twoich przeklętych zdolności półgłówek wie, że Aydindril przepaja magiczna skaza. Dzikie oczy błysnęły spod grubych brwi.

- To zupełnie inne od tego, co widziałeś wcześniej - powiedziała głosem bardziej piskliwym, niż oczekiwano się od jej postaci. - Inne niż wszystko, co przedtem wyczuwałam. I jest nie tylko tu, ale również na południowym zachodzie. - Zachichotała raz jeszcze i energiczniej podrapała ramiona.

Brogan popatrzył ponad tłumami spieszących traktem ludzi, obrzucił krytycznym spojrzeniem wspaniałe pałace wznoszące się po obu stronach szerokiej ulicy nazywanej, jak mu powiedziano, Kings Row. Siedziby te miały olśnić oglądającego je bogactwem, potęgą i sztuką ludu, którego chwałę głosiły. Każdy przyciągał uwagę olbrzymimi kolumnami, wymyślnymi ozdobami, strzelistymi dachami i oknami oraz dekoracyjnym belkowaniem. Dla Tobiasa Brogana były tylko kamiennymi symbolami pychy: największym, ostentacyjnym marnotrawstwem, jakie kiedykolwiek widział.

Na odległym wzgórzu wznosił się rozległy Pałac Spowiedniczek. Żadna z

budowli stojących przy Kings Row nie dorównywała elegancji jego kamiennych kolumn i iglic. Wydawał się bielszy niż leżący dokoła śnieg, zupełnie jakby chciał osłonić iluzją czystości oczywistą bezbożność swojego istnienia. Brogan przyglądał się uważnie zakątkom tego sanktuarium nikczemności, świątyni magicznej mocy władającej pobożnymi, gładząc przy tym odruchowo palcami zawieszzone u pasa skórzane puzderko na trofea.

- Lordzie generale, słyszałeś, co mówiłam... - nalegała pochylona ku niemu Lunetta.

Brogan odwrócił się, a jego błyszczące buty zaskrzypiały w zmarzniętych skórzanych strzemionach.

- Galtero!

Spod lśniącego hełmu, który zdobiła szkarłatna kita, błysnęły czarne, lodowate oczy żołnierza okrytego szkarłatną peleryną. Wodze trzymał w obleczonej w rękawicę dłoni i kołysał się w siodle z płynną gracją górskiego lwa.

- Lordzie generale?

- Jeśli moja siostra nie będzie cicho, kiedy jej to nakazę - Brogan zerknął gniewnie na Lunette - to ją zaknebluj.

Lunetta spojrzała niespokojnie na jadącego przy niej potężnie zbudowanego żołnierza, na jego wspaniale wypolerowany pancerz i kolczugę, na doskonale wyostrzoną klingę miecza. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz popatrzyła w jego lodowate oczy i natychmiast zrezygnowała. Za to znów się podrapała.

- Wybacz mi, lordzie generale - wyszeptała, chyląc kornie głowę przed bratem.

Galtero agresywnie zbliżył swojego rumaka do konia Lunetty i potężny siwy wałach potrącił gniadą klacz.

- Milcz, streganicho.

Usłyszawszy tę obelgę, kobieta zaczerwieniła się, a w jej oczach przez moment błyszczała groźba, lecz trwało to bardzo krótko. Po chwili spuściła pokornie oczy i schowała się w swoich szmatach.

- Ja nie wiedźma - szepnęła do siebie.

Nad lodowatym okiem uniosła się brew i Lunetta jeszcze bardziej się skuliła, po czym umilkła na dobre.

Galtero był dobrym żołnierzem: gdyby otrzymał rozkaz, nie zważałby na to, że Lunetta jest siostrą lorda generała Brogana. Była streganichą, osobą naznaczoną przez zło. Zarówno Galtero, jak i każdy inny żołnierz bez wahania przelałby jej krew, gdyby mu to nakazano. To, że pochodziła z rodu Brogana, jeszcze bardziej skłaniało go do wypełniania swojej powinności. Lunetta była żywym dowodem na to, że Opiekun może uderzyć nawet w najcnotliwszych, skazać nawet najznamienitsze rody.

Siedem lat po przyjściu na świat Lunetty Stwórca wyrównał tę niesprawiedliwość narodzinami Tobiasa. Chłopiec urodził się, żeby zrównoważyć to, co nazaczył złem Opiekun, jednak stało się to zbyt późno dla ich matki, która popadała już z wolna w szaleństwo. Od ósmego roku życia Tobiasa, kiedy to hańba wpędziła przedwcześnie jego ojca do grobu, a matka ostatecznie pogrążyła się w szaleństwie, chłopiec musiał panować nad darem siostry, nie dopuszczając, by nią owładnął. Wówczas dziewczyna nie widziała poza nim świata, a on wykorzystał tę jej miłość. Nakłaniał Lunette, by była posłuszna wyłącznie woli Stwórcy, i tak kierował jej czynami, jak nauczyli go ludzie z królewskiego kręgu. Lunetta zawsze potrzebowała doradcy i skwapliwie na to przystała. Była bezradną duszą dotkniętą klątwą, której nie mogła ani zmazać, ani przed nią uciec.

Strasliwym wysiłkiem Tobias zmazał z rodziny hańbę, jaką przynosiło posiadanie osoby z darem. Zajęło mu to większość życia, lecz przywrócił honor rodowemu nazwisku. Pokazał im wszystkim - zmienił piętno w zaletę i został najwierniejszym z wiernych.

Tobias Brogan kochał siostrę, kochał ją wystarczająco mocno, by w razie potrzeby osobiście poderżnąć jej gardło i uwolnić w ten sposób z objęć Opiekuna, z udręki powodowanej przez skazę, którą nazaczył dziewczynkę, gdyby skaza owa wymknęła się spod kontroli. Lunetta będzie żyć dopóty, dopóki będzie użyteczna, dopóki będzie im pomagać wykorzeniać zło, wykorzeniać banelingi. Na razie stawiała opór złu, które toczyło jej duszę, i była użyteczna.

Brogan zdał sobie sprawę, że siostra nie wygląda najpiękniej owinięta strzępami różnobarwnych tkanin, które nazywała swoimi "ślicznościami" i które jako jedyne sprawiały jej radość, ale Opiekun dał jej rzadko spotykany talent i moc. A Tobias zapanował nad nimi dzięki swojej wytrwałości i nieustępliwości.

To był słaby punkt dzieła Opiekuna, słaby punkt wszystkiego, co tworzył: jeśli tylko wierni byli wystarczająco przebiegli, mogli to obrócić na swoją korzyść. Stwórca zawsze wręczał im oręż do walki z bezbożnością. Trzeba było jedynie go odnaleźć i wykazać się mądrością oraz biegłością, by się nim posługiwać. Tb właśnie podobało się Broganowi w Imperialnym Ładzie: byli wystarczająco bystrzy, żeby to zrozumieć, i wystarczająco zaradni, żeby wykorzystywać magię do wykrywania i niszczenia bezbożności.

Imperialny Ład, podobnie jak Tobias, korzystał z usług streganich, najwyraźniej ceniąc je i ufając im. Lord generał ganił tylko to, że mogły się poruszać swobodnie i bez straży, zbierając informacje i odkrywając ukryte plany Cóż, sam miał pod ręką Lunette, gdyby tamte kiedyś obróciły się przeciwko sprawie.

Mimo to niechętnym okiem spoglądał na tak bliskie sąsiedztwo zła. Budziło w nim wstręt, choć przecież nosiła je jego rodzona siostra.

Dopiero świtało, a ulice były już zatłoczone. Pełno też było żołnierzy pochodzących z rozmaitych krain, którzy patrolowali obszary należące do ich pałaców. Inni z kolei, przeważnie D'Haranczycy patrolowali miasto. Wiele oddziałów okazywało niepokój, jakby lada chwila zagrażał im jakiś atak. Brogan był pewny, że nad wszystkim panują. Ostatniej nocy, jak zawsze nie dowierzając temu, co mówiono, wysłał własny patrol i jego ludzie potwierdzili, że nigdzie w pobliżu Aydindril nie ma midlandzkich buntowników.

Brogan zawsze lubił się pojawiać wtedy, gdy się go najmniej spodziewano, i z większymi siłami, niż oczekiwano, na wypadek gdyby musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Przywiódł do miasta pięciuset żołnierzy, ale w razie jakichkolwiek kłopotów zawsze mógł sprowadzić do Aydindril główne siły. A jego wojska udowodniły już, że potrafią stłumić każdy bunt.

Gdyby D'Haranczy nie byli sprzymierzeńcami, zaniepokoiłaby go ich liczebność. Brogan doskonale znał możliwości swoich ludzi, lecz tylko głupiec, zarozumiały głupiec, podejmuje walkę, kiedy szansę są wyrównane, a tym bardziej - przedłuża ją. A Stwórca nie obdarzał łaskami zarozumiałych głupców.

Podniósłszy rękę, Tobias zwolnił krok koni, zanim jego ludzie stratowali mijający ich oddziałek D'harańczyków. Pomyślał, iż to niezbyt stosowne z ich strony, że przemierzają główną ulicę w bojowym szyku

przypominającym klin, jaki uformowało jego wojsko, może jednak patrolując podbite miasto, nie mieli innej rozrywki jak straszenie rozbójników i rzezimieszków taką manifestacją.

D'Haranczycy byli chyba w złym nastroju. Poruszając się z orężem w garści, rzucili okiem spode łba na przyglądający im się oddział kawalerzystów, wypatrując jakiegoś zagrożenia. Broganowi wydało się dziwne, że przemierzają miasto z dobytą bronią. Ostrożne typy z tych D'Harańczyków.

Oddział, nie poruszony tym, co zobaczył, nie zmienił tempa. Tobias się uśmiechnął: gorzej wyszkoleni żołnierze z pewnością popędziliby konie. Ich broń, przeważnie miecze i topory bojowe, nie była wytworna ani ozdobna, ale dzięki temu wywierali jeszcze większe wrażenie. Nosili broń nie dla ozdoby, lecz by skutecznie i bez litości walczyć. Żołnierze odziani w ciemne skóry oraz kolczugi spoglądali obojętnie na wypolerowaną stal nawet wtedy, kiedy wróg był z górą dwudziestokrotnie liczniejszy Połysk i precyzja często oznaczały jedynie pychę, a choć w tym wypadku świadczyły o zaprowadzonej przez Brogana dyscyplinie i o dbałości o każdy szczegół, D'Haranczycy prawdopodobnie o tym nie wiedzieli. Tam gdzie Tobias i jego żołnierze byli lepiej znani, samo spojrzenie na ich szkarłatne peleryny wystarczało, żeby najsilniejsi bledli niczym płótno, natomiast lśnienie ich pancerzy sprawiało, że wróg łamał szyki i uciekał.

Kiedy przybyli z Nikobarezji, pokonawszy góry Rang'Shada, Brogan natknął się na jedną z armii Imperialnego Ładu. Składała się z żołnierzy pochodzących z wielu nacji, jednak najwięcej było wśród nich D'Harańczyków. Duże wrażenie wywarł na Broganie jeden z d'harańskich generałów, Riggs, który z uwagą i zainteresowaniem przyjął jego rady. Brogan był tak zachwycony Riggsem, że zostawił mu kilka swoich oddziałów, by pomogły w podboju Midlandów. Wojska Imperialnego Ładu podążały wówczas na pogańską Ebinissię, stolicę Galei. Dzięki łasce Stwórcy Imperialny Ład zwyciężył.

Lord generał dowiedział się, że D'Haranczycy nie są zwolennikami magii, i spodobało mu się to. Ale jednocześnie mieszkańcy D'Hary bali się magii, a to już wzbudziło jego niechęć. Magia to pnącza Opiekuna w świecie ludzi. Stwórcy należało się bać, lecz magię, czary Opiekuna, trzeba było wykorzenić. D'Hara była przez wiele pokoleń oddzielona od Midlandów.

Stan ten utrzymywał się aż do minionej wiosny, kiedy to zniknęły granice, dlatego też zarówno kraina, jak i lud były dla Brogana czymś nie znanym, rozległym terytorium, które potrzebowało oświecenia, a może nawet oczyszczenia.

Rahl Posępny, władca D'Hary, zniszczył granicę i umożliwił w ten sposób swoim wojskom dostanie się do Midlandów i zajęcie wielu miast, w tym również Aydindril. Gdyby Rahl przywiązywał większą wagę do spraw tego świata, mógłby zająć całe Midlandy, nim ich mieszkańcy zdołaliby wystawić przeciw niemu armię. Jego jednak bardziej zajmowała pogoń za magią i dlatego poniósł klęskę. Po śmierci Rahla Posępnego, którego - jak doniesiono Broganowi - zamordował pretendent do tronu, wojska D'Hary przyłączyły się do Imperialnego Ładu.

Na tym świecie nie było już miejsca dla starożytnej, ginącej religii zwanej magią. Teraz władał nim Imperialny Ład. Człowiek będzie się wreszcie kierował jedynie chwałą Stwórcy. Modły Tobiasa Brogana zostały wysłuchane i każdego dnia dziękował Stwórcy, że pozwolił mu się urodzić właśnie teraz, gdy mógł pozostawać w centrum wydarzeń, patrzeć, jak ginie bluźniercza magia, i prowadzić wiernych do ostatecznej bitwy. Tworzyła się historia, a on, Tobias, w tym uczestniczył.

Prawdę mówiąc, ostatnio Stwórca ukazał mu się w snach i powiedział, jaką radość czerpie z jego wysiłków. Tobias nie zdradził się z tym żadnemu ze swoich ludzi, gdyż mogliby to odczytać jako przejaw jego pychy. Wystarczało mu, że Stwórca tak go uhonorował. Rzec jasna powiedział o tym Lunecie i przeraziło ją to: w końcu Stwórca nieczęsto przemawiał bezpośrednio do któregoś ze swoich dzieci.

Patrząc, jak D'Haranczyki skręcają w boczną ulicę, Brogan ścisnął konia nogami i zmusił go w ten sposób do przyspieszenia kroku. Żaden z d'haranskich wojowników nie obejrzał się, by zobaczyć, czy ktoś za nimi idzie lub czy ich atakuje, ale jedynie głupiec wziąłby to za wyraz beztroski, a Tobias głupcem nie był. Tłum rozstał się przed jadącym Kings Row oddziałem. Brogan rozpoznał mundury żołnierzy przy poszczególnych pałacach: Sandarianie, Jarianie i Keltończycy. Nie dostrzegł Galejczyków, z czego wnosił, że Imperialnemu Ładowi musiało się poszczęścić w ich stolicy, Ebinissii. W końcu zobaczył wojska swojej krainy. Niecierpliwym gestem zmusił oddział do pośpiechu. W rozwianych szkarłatnych pelerynach minęli

zbrojnych, lansjerów, chorążych i na koniec Brogana. Z brzękiem uderzających o kamień podków ruszyli w górę rozległych schodów Pałacu Nikobarezji. Była to budowla równie zbytkowna jak wszystkie inne zbudowane przy Kings Row, ze smukłymi, zwężającymi się ku górze kolumnami wyrzeźbionymi w cennym, rzadko spotykanym i trudnym do wydobywania, poznaczonym białymi żyłkami marmurze, który sprowadzono tu z gór leżących we wschodniej Nikobarezji. Taka rozrzutność wywołała odrazę Tobiasa.

Żołnierze strzegący pałacu cofnęli się na widok jeźdźców i zasalutowali drżącymi rękami. Oddział odpędził ich jeszcze dalej, otwierając szerokie przejście dla swojego lorda generała.

Brogan zeskoczył z siodła na szczycie schodów, pomiędzy posągami żołnierzy dosiadających stojących dęba wierzchowców, które wyrzeźbiono w płowóżłtym kamieniu. Oddał wodze jednemu z pobladłych ze strachu pałacowych strażników i uśmiechnął się, spoglądając na miasto i na Pałac Spowiedniczek. Tobias Brogan był dziś w dobrym humorze. Ostatnio zdarzało się to nadzwyczaj rzadko. Głęboko wciągnął powietrze poranka, poranka nowego dnia.

Żołnierz, który odebrał wodze, skłonił się, gdy Brogan odwrócił się ku niemu.

- Niech żyje król.

- Trochę na to za późno. - Lord generał wygładził pelerynę. Żołnierz odchrząknął i zebrał się na odwagę.

- Panie?

- Król - powiedział Brogan, gładząc wąsy - okazał się kimś więcej, niż podejrzewali ci, którzy go kochali. Spłonął za swoje grzechy. Zajmij się moim koniem. - Tobias dał znak innemu strażnikowi. - A ty powiedz kucharzom, że jestem głodny. I niech nie każą mi czekać.

Strażnik skłonił się i odszedł, a Brogan spojrział na żołnierza, który wciąż dosiadał konia.

- Galtero.

Tamten podjechał bliżej; jego szkarłatna peleryna sływała swobodnie w nieruchomym powietrzu.

- Weź połowę ludzi i przyprowadź ich do mnie. Zjem coś szybko, a potem ich osądzę.

Kościste palce Tobiasa leciutko, z roztargnieniem pogładziły mieszek zawieszony u pasa. Wkrótce doda do swojej kolekcji łup nad łupami. Uśmiechnął się ponuro na tę myśl. Uśmiech napiął starą bliznę w kącie ust, ale nie rozświetlił mrocznych oczu. Jego będzie chwała moralnego zadośćuczynienia.

- Lunetto.

Siostra lorda generała wpatrywała się w Pałac Spowiedniczek, otulona ciasno pstrokatymi strzępami tkanin, i zawzięcie się drapała.

- Lunetto.

Usłyszała go w końcu i drgnęła.

- Słucham, lordzie generale?

Odrzucił z ramienia szkarłatną pelerynę i poprawił szarfę, oznakę swojej rangi.

- Chodź, posil się ze mną. Porozmawiamy. Opowiem ci o śnie, który miałem tej nocy.

- Jeszcze jeden sen, lordzie generale? - Jej oczy zabłysły z podniecenia. - O tak, bardzo chętnie o tym posłucham. Poczytuję to sobie za zaszczyt.

- W rzeczy samej tak powinno być - rzucił.

Ruszyła za nim, kiedy wszedł do Pałacu Nikobarezji przez wysokie, dwuskrzydłowe, okute mosiądzem drzwi.

- Mamy sprawy do omówienia. Będziesz uważnie słuchać, prawda, Lunetto?

- Tak, lordzie generale. - Człapała tuż za nim. - Jak zawsze.

Brogan zatrzymał się przy oknie z ciężką, błękitną zasłoną. Wyciągnął nóż i odciął z boku zasłony spory kawałek materii razem z wykończeniem ze złotymi chwastami. Lunetta czekała, oblizując wargi i przestępując z nogi na nogę.

- Ślicznośćka dla ciebie, Lunetto. - Tobias uśmiechnął się.

Oczy jej zabłysły, przytuliła ów kawałek tkaniny, a potem przymierzała go to tu, to tam, sprawdzając, w jakim miejscu będzie najlepiej pasował do innych. Chichotała przy tym z zachwytem.

- Dziękuję, lordzie generale. To jest przepiękne.

Brogan ruszył przed siebie, a ona pospieszyła za nim. Na wspaniałej boazerii wisiły portrety królów, posadzkę wyściełały przepyszne dywany. Złoto pokrywało framugi zaokrąglonych u góry drzwi. Lustra w złożonych

ramach odbijały błysk szkarłatu.

Służący ubrany w brązowo-białą liberię, kłaniając się nieustannie, zaprowadził Brogana do holu, wskazał drogę do jadalni i pośpiesznie odszedł, spoglądając na boki, czy aby na pewno nic mu nie grozi, i kłaniając się co kilka kroków.

Tobias Brogan nie przerażał swoją posturą, lecz wszyscy, którzy wpadli do holu, by sprawdzić, co to za zamieszanie: służący, nadzorcy, Gwardia Pałacowa i częściowo ubrani urzędnicy, pobledli na jego widok. Pobledli na widok samego lorda generała, człowieka, który dowodził Bractwem Czystej Krwi.

Na jego rozkaz banelingi płonęły za swoje grzechy - nieważne, czy byli to żebracy, czy żołnierze, lordowie czy szlachetne damy, czy nawet królowie.

ROZDZIAŁ 5

Siostra Verna stała nieruchomo, wpatrując się w płomienie. Spoglądała na zmieniające się nieustannie barwy i splatające się płynnie, pozyskujące promienie, na strzelające w górę palce ognia rozwiewające w pędzie okrycia zebranych i buchające żarem, który zmusiłby ich do cofnięcia się, gdyby nie chroniące ich osłony. Wielkie, krwistoczerwone słońce wysunęło się do połowy zza horyzontu, przyćmiewając w końcu blask ognia, który strawił ciała. Kilka Sióstr, które stały dokoła, Verny, wciąż jeszcze cicho szlochało, lecz jej samej zabrakło już łez.

Z górą stu chłopców i młodzieńców tworzyło krąg wokół ognia, który otaczał dwakroć liczniejsze, w jakim stały Siostry Światła i nowicjuszek. Oprócz jednej Siostry i jednego chłopięca, którzy trzymali symboliczną wartę w pałacu, oraz jeszcze jednej Siostry, która straciła zmysły i dla jej dobra zamknięto ją zabezpieczonymi osłonami w pustym pomieszczeniu, wszyscy stali na wzgórzu wznoszącym się nad Tanimurą i patrzyli na strzelające ku niebu płomienie. Każdy, choć razem tworzyli spory tłum, czuł się bardzo samotny i pogrążył się we wspomnieniach i modlitwie. Podczas ceremonii pogrzebowej, zgodnie z wymogami rytuału nikt się nie odezwał.

Siostrę Verne bolały plecy po całonocnym trzymaniu warty przy zwłokach. Stały tu wszystkie podczas godzin mroku, modląc się i utrzymując nad ciałami osłonę w symbolicznej ochronie godnych czci. Przynajmniej nie docierał tu nieustający gwar miasta.

O pierwszym brzasku osłona opadła i każda z Sióstr Światła wysłała swoją Han do stosu pogrzebowego, podpalając go. Wzniesiony siłą magii ogień ogarnął kłody i dwa przykryte całunem ciała: jedno niskie i pulchne, drugie zaś wysokie i potężnie zbudowane, zamykając wszystko w kłębowisku płomieni.

Musiały szukać wskazówek w podziemiach, ponieważ nikt z żyjących nie uczestniczył w podobnej ceremonii. Odbyła się po raz pierwszy od blisko ośmiuset lat, a dokładnie od siedmiuset dziewięćdziesięciu jeden, kiedy to umarła ostatnia Ksieni.

Ze starych ksiąg Siostry dowiedziały, że w owej świętej ceremonii pogrzebowej jedynie dusza Ksieni mogła ulecieć pod opiekuńcze skrzydła

Stwórcy, lecz w tym wypadku wszystkie uznały zgodnie, iż trzeba przyznać ten przywilej również temu, który tak dzielnie walczył, żeby ocalić Annalinę. Księgi mówiły, że tylko jednomyślna zgoda może pozwolić na taki wyjątek od reguły. Trzeba było gorących namów, by ją uzyskać.

Kiedy słońce całkiem już wyłoniło się zza horyzontu i zalało płonący stos blaskiem światła Stwórcy, ustał, jak tego wymagał obyczaj, dopływ Han. Stos się zapadł, pozostawiając na zielonym stoku wzgórze tylko garść popiołów i kilka zwęglonych kłód - jedyny ślad po obrzędzie.

Dym uniósł się w górę i rozwiął w ciszy wstającego dnia.

Tylko szarobiałe popioły zostały w świetle żywych po Ksieni Annalinie i Proroku Nathanie. Dokonało się.

Siostry zaczęły rozchodzić się w milczeniu, niektóre samotnie, inne otaczając w pocieszającym geście ramieniem barki jakiegoś chłopca lub nowicjuszki. Niczym zagubione dusze schodzili stokiem ku miastu, ku Pałacowi Proroków, wracali do pozbawionego matki domu. Siostra Verna ucałowała serdeczny palec i uświadomiła sobie, że brak im także ojca, gdyż nie żył również Prorok. Splotła przed sobą dłonie i patrzyła, jak odchodzą. Nie miała okazji, by pogodzić się z Ksienią przed jej śmiercią. Ta kobieta wykorzystała ją, upokorzyła i pozwoliła, by Verne zdegradowano za to, że spełniła swój obowiązek i wykonała rozkazy samej Ksieni. Choć wszystkie Siostry służyły Stwórcy, a Annalina zrobiła to, co zrobić musiała dla dobra sprawy, Verne bolało, że przełożona wykorzystała jej wierność. Właśnie dlatego czuła się jak idiotka.

Ksieni Annalina odniosła rany w starciu z Ulicią, Siostrą Mroku, i przez blisko trzy tygodnie, aż do swojej śmierci, nie odzyskała przytomności, więc Verna nie miała już okazji z nią porozmawiać. Ksienię otaczał opieką wyłącznie Nathan, niestrudzenie próbując ją uleczyć, lecz mu się to, niestety, nie powiodło. Okrutny los i jemu odebrał życie. Nathan zawsze wydawał się Vernie pełen energii, ale wysiłek ten musiał zbyt mocno nadwątlić jego siły; w końcu prorok miał niemal tysiąc lat. Verna podejrzewała, że postarzał się przez owe dwadzieścia lat, które spędziła, starając się odnaleźć Richarda i w końcu przywieść go do pałacu.

Siostra Verna uśmiechnęła się na wspomnienie chłopaka. Jego również jej brakowało. Irytował ją tak, że niemal przeciągał strunę, lecz i on padł ofiarą planów Ksieni, choć z drugiej strony wyglądało na to, że pojął i

zaakceptował to, co uczyniła Annalina, i nie żywił do niej urazy.

Verne zabolalo serce na myśl, że Kahlan, ukochana Richarda, straciła prawdopodobnie życie w kulminacyjnym momencie wydarzeń, które przepowiedziało owo straszliwe prorocstwo. Miała nadzieję, że może jednak tak się nie stało. Ksieni była stanowczą kobietą i kontrolowała przebieg zdarzeń w życiu bardzo wielu ludzi. Verna miała nadzieję, iż działo się tak istotnie dla dobra dzieci Stwórcy, a nie dla zaspokożenia ambicji Ksieni.

- Wyglądasz na rozgniewaną, Siostrze Verno.

Odwróciła się i zobaczyła młodego Warrena. Stał z dłońmi wsuniętymi w srebrne, brokatowe rękawy ciemnofioletowej szaty. Rozejrzała się. Na stoku wzgórza pozostało już tylko ich dwoje. Reszta dawno już odeszła, tak że teraz Siostry, nowicjuszek i młodzieńcy tworzyli jedynie odległe punkciki.

- Chyba rzeczywiście jestem zła, Warrenie. - Na co, Siostrze?

Wyglądziła na biodrach ciemną spódnicę.

- Może po prostu jestem zła sama na siebie. - Poprawiła jasnoblękitny szal i spróbowała zmienić temat. - Jesteś taki młody, to znaczy tak krótko się uczysz, że wciąż trudno mi się przyzwyczaić, iż nie nosisz Rada'Han.

Warren, jakby mu o tym przypomniawszy, pogładził palcami szyję, na której przez większą część życia nosił obrożę.

- Jestem młody dla tych, którzy żyją pod zaklęciem pałacu, ale na pewno nie dla tych, którzy mieszkają poza nim. Mam sto pięćdziesiąt siedem lat, Siostrze. Jestem wdzięczny za to, że zdjęłaś mi obrożę. - Cofnął palce z szyi i odgarnął pukiel kręconych blond włosów. - Mam wrażenie, że w ciągu ostatnich paru miesięcy cały świat stanął na głowie.

- I ja tęsknię za Richardem. - Verna zachichotała.

- Naprawdę? - Uśmiech rozjaśnił twarz Warrena. - Był nadzwyczajny, prawda? Trudno mi uwierzyć, że zdołał zapobiec ucieczce Opiekuna z zaświatów. Musiał jednak przeszkodzić duchowi swojego ojca i położyć z powrotem Kamień Łez na właściwe miejsce, bo inaczej świat zmarłych już by nas pochłoniął. Prawdę mówiąc, w czasie całego zimowego przesilenia nieustannie oblewał mnie zimny pot.

Siostra Verna skinęła głową, aby podkreślić szczerą swoją słów.

- Pomogłeś nauczyć go wielu ważnych rzeczy. I ty dobrze się spisałeś, Warrenie. - Przez chwilę obserwowała jego łagodny uśmiech. Jakże mało się zmienił przez te wszystkie lata. - Cieszę się, że postanowiłeś zostać w pałacu

przez pewien czas, choć nie nosisz już obroży. Zostaliśmy bez Proroka.

Warren spojrzął na garstkę popiołów.

- Przez większą część życia studiowałem w podziemiach prorocstwa i nie miałem pojęcia, że niektóre pochodzą od Proroka, który wciąż jeszcze żył, i to na dodatek w pałacu. Szkoda, że Siostry mi tego nie powiedziały. Szkoda, że nie pozwoliły mi z nim porozmawiać, uczyć się od niego. Teraz okazja przepadła.

- Nathan był niebezpiecznym człowiekiem, zagadką, której żadna z nas nigdy w pełni nie mogła zrozumieć ani zaufać, lecz może istotnie Siostry postąpiły źle, nie pozwalając ci się z nim zobaczyć. Wiedz jednak, że z czasem, kiedy nauczyłbyś się więcej, nie tylko przystałyby na to, ale wręcz domagałyby się tego.

- Teraz jednak okazja przepadła. - Warren odwrócił wzrok.

- Wiem, Warrenie, że chętnie byś stąd odszedł, skoro nie nosisz już obroży, ale mówiłeś, że chcesz jeszcze przez pewien czas zostać w pałacu i się uczyć. Teraz nie ma tu Proroka. Uważam, że powinieneś wziąć pod uwagę to, że twój dar przejawia się najpełniej w tej właśnie dziedzinie. Pewnego dnia ty mógłbyś zostać Prorokiem.

Łagodny wiatr targał szatą Warrena, który patrzył ponad zielonymi wzgórzami ku pałacowi.

- Nie tylko mój dar, ale i zainteresowania i nadzieje zawsze wiązały się z prorocstwami. Dopiero niedawno zacząłem je pojmować inaczej niż pozostali, jednak rozumienie to nie to samo co prorokowanie.

- Na to trzeba czasu, Warrenie. Jestem przekonana, że gdy Nathan był w twoim wieku, nie był bardziej zaawansowany w tej dziedzinie niż ty teraz. Jeżeli zostaniesz i będziesz się uczył, to za jakieś czterysta, pięćset lat możesz zostać równie wspaniałym Prorokiem jak on.

Warren milczał przez chwilę.

- Ale tam jest cały świat. Słyszałem, że księgi są w Wieży Czarodzieja w Aydindril, a i w innych miejscach również. Richard mówił, że całe ich mnóstwo musi być też w Pałacu Ludu w D'Harze. Chcę się uczyć, a tu z pewnością nie zdołam się dowiedzieć wielu różnych rzeczy.

Siostra Verna wzruszyła ramionami, rozluźniając zeszywniałe mięśnie.

- Pałac Proroków pozostaje pod działaniem zaklęcia, Warrenie. Jeśli go opuścisz, będziesz się starzał tak samo jak ci wszyscy, którzy tu nie

mieszkają. Spójrz, co stało się ze mną przez jedyne dwadzieścia lat, które spędziłam poza Pałacem Proroków. Nasze urodziny dzieli tylko rok, a ty wciąż wyglądasz jak kawaler, ja zaś, jakbym miała bawić wnuki. Teraz, kiedy wróciłam, znów będę się starzeć zgodnie z pałacowym czasem, ale nigdy nie odzyskam tego, co straciłam. Warren odwrócił wzrok.

- Uważam, Sostro Verno, że widzisz na swojej twarzy o wiele więcej zmarszczek, niż jest na niej w rzeczywistości.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Czy wiesz, Warrenie, że kiedyś się w tobie durzyłam? Tak go to zaskoczyło, że aż cofnął się o krok.

- We mnie? Żartujesz sobie. Kiedy?

- Och, już dawno temu. Chyba przed ponad stu laty. Byłeś taki mądry i inteligentny, miałeś takie wspaniałe kręcone blond włosy. A twoje błękitne oczy sprawiały, że moje serce biło jak szalone.

- Sostro Verno!

Warren się zaczerwienił i Verna nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- To było dawno temu, Warrenie, kiedy oboje byliśmy jeszcze młodzi. To było przejściowe zauroczenie. - Uśmiech zniknął. - Teraz wydajesz mi się dzieckiem, a ja wyglądam wystarczająco staro, bym mogła być twoją matką. Czas spędzony poza pałacem postarzył mnie na wiele sposobów. Z dala od Pałacu Proroków będziesz miał na naukę zaledwie kilka krótkich dziesięcioleci, a potem się zestarzejesz i umrzesz. Tutaj miałbyś na to mnóstwo czasu i może zostałbyś Prorokiem. Tamte księgi zawsze można wypożyczyć i przywieźć tutaj. Ze wszystkich naszych uczniów ty jeden się do tego nadajesz. Teraz, kiedy Ksieni i Nathan nie żyją, najprawdopodobniej wiesz o prorocत्वach więcej niż ktokolwiek z żyjących. Potrzebujemy cię, Warrenie.

Popatrzył na lśniące w słońcu iglice i dachy Pałacu Proroków.

- Przemyślę to, Sostro.

- Tylko o tyle cię proszę, Warrenie. Westchnął i spojrzał na nią.

- Co teraz będzie? Jak myślisz, która z Sióstr zostanie nową Ksienią?

Kiedy poszukiwały wiadomości na temat ceremonii pogrzebowej, dowiedziały się, że procedura wyboru nowej Ksieni jest dość zawiła. Warren powinien o tym wiedzieć, gdyż mało kto tak dobrze jak on znał księgi zgromadzone w podziemiach.

Verna wzruszyła ramionami.

- To stanowisko wymaga dużego doświadczenia i rozległej wiedzy. Powinno zatem przypaść jednej ze starszych Sióstr. Najbardziej prawdopodobne kandydatki na nie to Siostra Leoma Marsick, Siostra Philippa i Siostra Dulcinia. No i oczywiście Siostra Maren. Jest wiele Sióstr, które mają odpowiednie kwalifikacje.

Mogłabym wymienić ich przynajmniej trzydzieści, choć poważne szansę, by zostać Ksienią, ma może około dwunastu.

- Prawdopodobnie masz rację. - Warren z roztargnieniem potarł palcem nos.

Siostra Verna nie wątpiła, że Siostry już podjęły starania, by znaleźć się wśród kandydatek, a może i na czele listy. Nie wątpiła również, że mniej godne czci spośród nich wybrały swoją kandydatkę i robiły co w ich mocy, żeby została wybrana, w nadziei że jeśli ich faworytka zwycięży, zajmą wpływowe stanowisko u boku nowej Ksieni. W miarę jak lista kandydatek będzie się zmniejszała, nasiliły się starania o pozyskanie głosów najbardziej wpływowych Sióstr, które nie opowiedziały się jeszcze za żadną z nich. To doniosła decyzja, która wpłynie na życie w Pałacu Proroków w nadchodzących stuleciach. Walka będzie więc zacięta.

Siostra Verna westchnęła.

- Wcale się nie cieszę na myśl o tych zmaganiach, uważani jednak, że należy rygorystycznie przestrzegać reguł wyboru, tak by Ksienią została najsilniejsza i najlepsza z Sióstr. To może długo potrwać. Możemy nie mieć Ksieni przez miesiące, a nawet i przez rok.

- Kogo poprzesz, Siostro?

- Ja!?! - Parsknęła śmiechem. - Znów widzisz tylko zmarszczki, Warrenie. One nie zmienią tego, że jestem jedną z najmłodszych Sióstr. Nie mam żadnych wpływów wśród tych, które się liczą.

- W takim razie lepiej postaraj się jakies zdobyć. - Pochylił się ku niej i zniżył głos, choć w pobliżu nikogo nie było. - Pamiętasz te sześć Sióstr Mroku, które uciekły na okręcie?

Spojrzała w jego błękitne oczy i zmarszczyła brwi.

- A jaki to ma związek z tym, która zostanie Ksienią? Warren skręcił w fioletowy supeł szatę na brzuchu.

- A kto zagwarantuje, że było ich tylko sześć? Co, jeśli w pałacu są jeszcze

inne? Dwanaście? Sto? Ty jedna, jesteś dla mnie prawdziwą Siostrą Światła. Musisz się jakoś postarać, żeby żadna z Sióstr Mroku nie została Ksienią.

Verna spojrzała na odległy pałac.

- Już ci mówiłam, Warrenie, że jestem jedną z najmłodszych Sióstr. Moje słowo nic nie znaczy, a pozostałe sądzą, że wszystkie Siostry Mroku uciekły.

Warren spojrzał w bok, starał się wygładzić załamania szaty. Nagle ponownie spojrzał na Siostrę Verne, tym razem podejrzliwie.

- Myślisz, że mam rację, prawda? Ty także uważasz, że w Pałacu Proroków wciąż są Siostry Mroku.

Siostra spokojnie spojrzała na natarczywie przyglądającego się jej Warrena.

- Chociaż nie sądzę, by było to całkowicie niemożliwe, jednak nie ma powodu, by wierzyć, iż istotnie tak jest. Poza tym jest to tylko jedna z ważnych spraw, które należy wziąć pod uwagę, kiedy...

- Oszczędź mi tych górnolotnych słów, które z taką łatwością przychodzą wszystkim Siostram. To naprawdę ważne.

Siostra Verna zeszywniała.

- Jesteś uczniem, Warrenie, i rozmawiasz z Siostrą Światła, okaż mi więc należny szacunek.

- Nie okazuję braku szacunku, Siostro. Richard pomógł mi zrozumieć, że powinienem obstawać przy tym, w co wierzę, i nie dawać się zastraszyć. Poza tym to właśnie ty zdjęłaś mi obrożę i, jak sama powiedziałaś, jesteśmy rówieśnikami. Nie jesteś ode mnie starsza.

- Mimo to w dalszym ciągu pozostajesz uczniem, który...

- Który, według twoich słów, prawdopodobnie wie o prorocत्वach więcej niż ktokolwiek inny. W tym wypadku to ty jesteś moją uczennicą, Siostro. Przyznaję, że o wielu sprawach, na przykład o posługiwaniu się Han, wiesz więcej niż ja, lecz ja z kolei wiem więcej o innych. Jednym z powodów, dla których zdjęłaś mi Rada'han jest to, że wiesz, iż nie należy trzymać nikogo w niewoli. Szanuję cię jako Siostrę. Szanuję cię też za dobro, które czynisz, i za twoją wiedzę, ale nie jestem niewolnikiem Sióstr. Zyskałaś mój szacunek, Siostro, nie zaś ślepe posłuszeństwo.

Dłuższy czas wpatrywała się w jego niebieskie oczy.

- Któż mógł wiedzieć, co kryje się pod tą obróżą. - W końcu skinęła potakująco głową. - Masz rację, Warrenie. Podejrzewam, że w pałacu są

jeszcze inni, którzy oddali swoje dusze Opiekunawi.

- Inni. - Warren spojrział jej w oczy. - Powiedziałaś "inni", a nie "Siostry". Masz na myśli również młodych czarodziejów, prawda?

- Tak prędko zapomniałaś o Jedidiahu?

- Nie, nie zapomniałem o nim. - Warren lekko zbladł. - Jak sam powiedziałaś, tam gdzie jest jeden, mogą być także inni. Niektórzy z młodych mężczyzn przebywających w pałacu również mogli złożyć przysięgę Opiekunowi.

Warren jeszcze bardziej pochylił się ku Siostrze i znów zwijał w dłoniach szatę.

- Co zrobimy, Siostrze Verno? Nie możemy dopuścić, by Ksienią została Siostra Mroku. To by było nieszczęście. Musimy się upewnić, że żadna z nich nie zostanie Ksienią.

- A skąd mamy wiedzieć, czy przysięgała Opiekunowi? I, co gorsza, cóż byśmy mogli na to poradzić? Oni władają magią subtraktywną, a my nie. Nawet gdybyśmy odkryli, którzy to, i tak nic byśmy nie mogli zrobić. Przypominałoby to sięganie do worka i chwytanie żmii za ogon.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy. - Warren pobladł. Siostra Verna splótła dłonie.

- Coś wymyślimy. Może Stwórca ześle nam radę.

- Może uda się nam skłonić Richarda, żeby wrócił i pomógł nam, tak jak z tamtymi sześcioma Siostrami Mroku. Przynajmniej one na dobre zniknęły. Nigdy tu nie wrócą. Richard posiadał w nich strach przed Stwórcą i zmusił je do ucieczki.

- A przy okazji Ksieni została ranna i w końcu zmarła, Nathan zresztą też - przypomniała mu Verna. - Śmierć chodzi z tym człowiekiem pod rękę.

- Ale nie dlatego, że on ją sprowadza - zaprotestował Warren. - Richard jest czarodziejem wojny. Walczy o prawdę, żeby móc pomagać ludziom. Gdyby postąpił inaczej, Ksieni i Nathan tylko zapoczątkowałiby śmierć i zagładę.

- Masz oczywiście rację. - Verna ścisnęła ramię Warrena, jej głos złagodniał. - Wszyscy mamy wielki dług wobec Richarda. Lecz to, że go potrzebujemy, i to, czy go znajdziemy, to dwie różne sprawy. Moje zmarszczki są tego dowodem. - Puściła ramię Kreta. - Coś mi się zdaje, że możemy liczyć wyłącznie na siebie. Coś wymyślimy.

Warren wpatrywał się w nią ponuro.

- Już coś mamy. W prorocत्वach zapisano złowieszcze zapowiedzi dotyczące panowania przyszłej Ksieni.

Kiedy wrócili do Tanimury, ponownie otoczył ich dobiegający zewsząd głos bębnów, grzmiący, niski, miarowy rytm, który zdawał się wibrować w piersi Verny. Wyprowadzał ją z równowagi i - jak podejrzewała - o to właśnie chodziło.

Dobosze i ich strażnicy zjawili się na trzy dni przed zgonem Ksieni i natychmiast rozstawili w różnych punktach miasta potężne kotły. Zaczęli powolne, miarowe bębnienie, które nie ustawało ani w dzień, ani w nocy. Dobosze zmieniali się przy kotłach, łoskot więc nie milkł nawet na chwilę.

Ów przenikliwy dźwięk z wolna rozstroił wszystkim nerwy. Ludzie stali się rozdrażnieni i zapalczywi, jakby w mrokach czaiło się przeznaczenie i czyhało, by zniecka na kogoś spaść. Ogólny ponury nastrój wzmagął jeszcze niesamowity spokój, który zastąpił zwykle pokrzykiwania, rozmowy, śmiechy i muzykę.

Biedacy kulili się w swoich krzywych chatkach na obrzeżach miasta, zamiast, jak zwykle, rozprawiać, zachwalać głośno swoje drobne towary, prać odzież w wiadrach i gotować coś na ogniskach. Kupcy stali w drzwiach sklepów lub przy stołach, na których wyłożyli towary; twarze mieli ponure, ramiona skrzyżowane na piersiach. Smutni, zgarbieni ludzie ciągnęli wózki. Klienci kupowali pospiesznie, pobieżnie oglądając towary. Dzieci czepiały się matczynych spódnic i zerkwały dokoła. Mężczyźni, którzy niegdyś grali w kości czy w inne gry, teraz tkwili pod ścianami.

W odległym Pałacu Proroków co parę minut odzywał się samotny dzwon, tak jak odzywał się przez całą noc i będzie odzywać aż do zachodu słońca, oznajmiając wszystkim, że Ksieni nie żyje - Bębny nie miały nic wspólnego ze śmiercią Annaliny. Oznajmiały zbliżający się przyjazd imperatora.

Siostra Verna patrzyła w udęczone oczy mijanych ludzi. Dotykała głów tych, którzy podchodzili, szukając pocieszenia, i ofiarowywała im błogosławieństwo Stwórcy.

- Pamiętam tylko królów - powiedziała do Warrena - a nie ten Imperialny Ład. Kim jest ów imperator?

- Nazywa się Jagang. Przed dziesięcioma, może piętnastoma laty,

Imperialny Ład zaczął pochłaniać królestwa, łącząc je pod jego rządami. - Warren w zamyśleniu potarł palcem policzek. - Jak wiesz, prawie cały czas spędzałem w podziemiach na nauce, nie jestem zatem pewny wszystkich szczegółów. Jednak z tego, co wiem, wynika, że błyskawicznie opanowali Stary Świat i zjednoczyli go pod swoją władzą. Imperator nigdy nie spowodował żadnych kłopotów. Przynajmniej tu, w Tanimurze. Nie miesza się do spraw Pałacu Proroków i oczekuje od nas tego samego.

- W jakim celu tu przybywa?

- Nie wiem. - Wrarren wzruszył ramionami. - Może chce odwiedzić tę część imperium.

Siostra Verna udzieliła błogosławieństwa Stwórcy wychudzonej, ponurej kobiecie i ominęła świeże końskie odchody.

- Cóż, byłoby dobrze, gdyby się pospieszył i przybył tu jak najszybciej. Chciałabym, żeby się wreszcie skończyło to piekielne bębnienie. Uderzają w kotły już cztery dni, prawdopodobnie zjawi się lada chwila.

Warren najpierw się rozejrzał, a dopiero potem powiedział:

- Pałacowi strażnicy są żołnierzami Imperialnego Ładu. To, że tu są, jest dowodem łaskawości imperatora, bo tylko jego ludzie mogą nosić broń. Rozmawiałem z jednym z nich i powiedział mi, że bębny jedynie zapowiadają przybycie Jaganga. Nie znaczy to więc, że imperator wkrótce się tu zjawi. Żołnierz zdradził mi, że kiedy Jagang miał przybyć do Breaston, bębny grzmiały w tym mieście niemal przez sześć miesięcy.

- Sześć miesięcy! Twierdzisz, że musimy znosić ów hałas przez sześć miesięcy?!

Warren uniósł szatę i przekroczył kałużę.

- Niekoniecznie. Imperator może się zjawić za parę miesięcy lub jutro. W ten sposób oznajmia tylko łaskawie, że się pojawi, a nie kiedy to nastąpi.

Siostra Verna zmarszczyła się gniewnie.

- Hmm, jeżeli się wkrótce nie zjawi, Siostry zadbają o to, by te piekielne bębny zamilkły.

- Bardzo by mi to odpowiadało, ale ten imperator nie wygląda na kogoś, kogo można lekceważyć. Słyszałem, że ma największą armię, jaka kiedykolwiek istniała. - Spojrzał znacząco na Siostrę Verne. - Dotyczy to również wielkiej wojny, która oddzieliła Stary Świat od Nowego.

Verna zmrużyła oczy.

- Po co mu taka armia, skoro już zawładnął wszystkimi starymi królestwami? Wydaje mi się, że to tylko przechwałki żołnierzy. Oni zawsze lubią przesadzać.

Warren wzruszył ramionami.

- Strażnicy powiedzieli mi, że widzieli to na własne oczy. Mówili, że kiedy Imperialny Ład się zbiera, wojska zajmują obszar aż po horyzont. Jak ci się zdaje, co Pałac Proroków na to poradzi, gdy on się tu zjawi?

- Hmm. Pałac nie wtrąca się do polityki.

- Zawsze trudno cię było zastraszyć. - Warren uśmiechnął się.

- Dla nas ważne są sprawy Stwórcy, a nie imperatora, ot i tyle. Pałac Proroków będzie trwał jeszcze długo po tym, jak zniknie imperator.

Przez chwilę szli w milczeniu, potem Warren odchrząknął.

- A wiesz, dawno temu, kiedy dopiero co się zjawiliśmy w pałacu, a ty byłaś jeszcze nowicjuską... kochałem się w tobie.

- Kpisz sobie ze mnie. - Verna zerknęła na niego z niedowierzaniem.

- Wcale nie. To prawda. - Zacerwienił się. - Uważałem, że masz najpiękniejsze kręcone kasztanowe włosy, jakie w życiu widziałem. Byłaś bystrzejsza niż inne dziewczęta i bardzo pewnie posługiwałaś się swoją Han. Uważałem, że żadna ci nie dorównuje. Chciałem cię poprosić, żebyś się ze mną uczyła.

-I dlaczego nie poprosiłeś? Wzruszył ramionami.

- Zawsze byłaś taka pewna siebie, taka śmiała. Ja nigdy taki nie byłem. - Z zażenowaniem odgarnął do tyłu włosy. - Poza tym interesowałaś się Jedidiahem, a w porównaniu z nim ja byłem nikim. Zawsze myślałem, że wyśmiałabyś mnie.

Verna zorientowała się, że ona również odgarnia do tyłu włosy, więc opuściła rękę.

- Cóż, może bym i wyśmiała. - Zreflektowała się. - Młodzi potrafią być tacy niemądry.

Podeszła kobieta z małym dzieckiem i padła przed nimi na kolana. Verna przystanęła, by pobłogosławić ją i jej potomka. Tamta podziękowała i pospiesznie się oddaliła, a Siostra powiedziała do Warrena:

- Mógłbyś odejść na jakieś dwadzieścia lat i studiować te księgi, które cię tak ciekawią, a przy okazji zrównać się ze mną wiekiem. Znów wyglądalibyśmy jak rówieśnicy. Wtedy mógłbyś zapytać, czy możesz mnie

potrzymać za rękę... jak tego kiedyś pragnęłam.

Usłyszeli, że ktoś ich nawołuje, i spojrzeli w tamtym kierunku. Przez tłum przedzierał się członek Gwardii Pałacowej, machając do nich, żeby przyciągnąć ich uwagę.

- Czyż to nie Kevin Andellmere? - spytała Verna. Warren potaknął i dorzucił:

- Ciekawi mnie, co go tak podekscytowało?

Zdyszany zbrojny Andellmere przeskoczył nad jakimś małym chłopaczkiem i chwiejnie zatrzymał się przed nimi.

- Siostrzo Verno! Jak to dobrze! W końcu cię znalazłem. Chcą cię zobaczyć. W pałacu. Natychmiast.

- Kto? O co chodzi?

Kevin łapczywie chwycił powietrze, usiłując jednocześnie mówić:

- Siostry chcą cię zobaczyć. Siostra Leoma złapała mnie za ucho i kazała cię odszukać i natychmiast przyprowadzić. Powiedziała, że jeśli będę się ociągać, to przeklnę dzień, w którym matka mnie urodziła. Tam się musi coś dziać.

- Ale co?

Kevin wyrzucił w górę rękę.

- Kiedy o to spytałem, spojrzała na mnie tak, jak to Siostry potrafią, tym spojrzeniem, co może człowiekowi rozmiękczyć kości, i powiedziała, że to nie moja sprawa.

Siostra Verna westchnęła ze znużeniem.

- Lepiej będzie, jeśli wrócimy z tobą, bo inaczej obedną cię ze skóry i zrobią z niej chorągiew.

Młody żołnierz zbladł, jakby jej uwierzył.

ROZDZIAŁ 6

Na przerzuconym przez rzekę Kern kamiennym moście, który wiódł na wyspę Halsband i do Pałacu Proroków, stały w rzędzie, ramię przy ramieniu Siostry Philippa, Dulcinia i Maren. Były niczym trzy jastrzębie obserwujące zbliżanie się ofiary. Niecierpliwie zaciskały dłonie. Słońce świeciło im w plecy, więc ich twarze kryły się w cieniu, ale Siostra Verna i tak widziała ich gniewne miny. Zbrojny Andellmere wypełnił zadanie i pospieszył w swoją stronę, a Warren wszedł na most razem z Verna.

Siwowłosa Siostra Dulcinia pochyliła się ku Siostrze Vernie z wyrazem zaciętości na twarzy.

- Gdzieżeś ty była!? Wszyscy na ciebie czekają!

W mieście wciąż były bębny, ich odgłos przypominał powolne kapanie deszczu. Siostra Verna wyrzuciła je ze swoich myśli.

- Przechadzałam się, rozmyślając o przyszłości pałacu i o dziele Stwórcy. Prochy Ksieni Annaliny jeszcze dobrze nie ostygły, więc nie sądziłam, że oszczerstwa zaczną się aż tak szybko.

Siostra Dulcinia jeszcze bardziej pochyliła się ku Vernie, a jej przenikliwe niebieskie oczy zalśniły groźnie.

- Nie waż się traktować nas bezczelnie, Siostrze Verno, bo bardzo szybko ponownie zostaniesz nowicjuską. Teraz, kiedy wróciłaś już do pałacowego życia, przypomnij sobie lepiej panujące tu obyczaje i zacznij okazywać wyższym rangą należny im szacunek.

Siostra Dulcinia wyprostowała się. Pogroziła już Vernie i mogła schować pazury. Nie spodziewała się sprzeciwu. Siostra Maren, krępa kobieta z mięśniami drwała i takim samym językiem, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wysoka i posępna Siostra Philippa, której wystające kości policzkowe i wąska szczeka nadawały egzotyczny wygląd, wbiła w Siostrę Verne ciemne oczy osadzone w pozbawionej wyrazu twarzy.

- Wyższym rangą? - odezwała się Siostra Verna. - W oczach Stwórcy wszystkie jesteśmy równe.

- Równe! - prychnęła z irytacją Siostra Maren. - Ciekawy pomysł. Gdybyśmy zwołały zebranie i przedyskutowały twoje swarliwe i bezczelne zachowanie, przekonałabyś się o swojej "równości" i z pewnością raz jeszcze

dołączyłabyś do moich nowicjuszek. Tym razem jednak nie miałabyś pod bokiem Richarda, który mógłby się wtrącić i wydobyć cię z tarapatów!

- Naprawdę, Siostrze Maren? - Siostra Verna udała zdumienie. - A więc to tak. Warren cofnął się nieco i ukrył za plecami Verny.

- Przypominam sobie i popraw mnie, proszę, jeśli się mylę, że kiedy ostatnio "wydobyłam się z tarapatów", to twierdziłaś, że modliłaś się do Stwórcy, a on natchnął cię myślą, że lepiej będę mu służyć jako Siostra niż jako nowicjuszka. Teraz zaś mówisz, że to sprawa Richarda. Czyżby zawiodła mnie pamięć?

- Śmiesz mnie wypytywać? Ośmielasz się podawać w wątpliwość moje słowa? - Siostra Maren tak mocno zacisnęła dłonie, że aż zbieleły jej kłykcie. - Karałam bezczelne nowicjuszki już dwieście lat przed tym, zanim się urodziłaś! Jak śmiesz...

- Podałaś dwie wersje tego samego wydarzenia. Skoro obie nie mogą być prawdziwe, to znaczy że jedna mija się z prawdą. Czyż nie? Można by pomyśleć, że zostałaś przyłapana na kłamstwie, Siostrze Maren. A sądziłam, że właśnie ty powstrzymasz się od popełnienia tego grzechu. Siostry Światła wysoko cenią sobie uczciwość, a kłamstwa nienawidzą bardziej nawet niż braku szacunku. Jaką karę wyznaczyła sobie za kłamstwo moja przełożona, dyrektorka nowicjuszek?

- No, no, no - rzuciła z afektowanym uśmiechem Siostra Dulcinia. - Cóż za zuchwalstwo. Na twoim miejscu, Siostrze Verno, gdybym chciała wziąć udział w walce o stanowisko Ksieni, a wszystko wskazuje na to, że masz taki zamiar, natychmiast zrezygnowałabym z tych wygórowanych ambicji. Kiedy Siostra Leoma z tobą skończy, niewiele z ciebie zostanie.

Siostra Verna odwzajemniła afektowany, kpiący uśmiech.

- Hmm, Siostrze Dulcinio. Zamierzasz poprzeć Siostrę Leomę, nieprawdaż? A może starasz się usunąć ją sobie z drogi, ponieważ pragniesz tego stanowiska dla siebie?

- Dosyć tego - stwierdziła Siostra Philippa spokojnym, rozkazującym tonem. - Musimy się zająć ważniejszymi sprawami. Skończmy wreszcie tę komedię i skoncentrujmy się na wyborach.

- O jakąż to komedię chodzi? - Siostra Verna wsparła się pod boki. Siostra Philippa odwróciła się ku Pałacowi Proroków, kołysząc przy tym wdzięcznie prostą, elegancką, złotą szatą.

- Pozwól z nami, Siostrze Verno. Straciłyśmy już przez ciebie wystarczająco dużo czasu. Jesteś ostatnia. Potem będziemy się mogły zająć naszymi sprawami. Twoje zuchwalstwo rozpatrzemy przy innej okazji.

Siostra Philippa z gracją popłynęła przez most, Dulcinea i Maren za nią. Siostra Verna i Warren wymienili pytające spojrzenia, po czym ruszyli ich śladem.

Warren zwolnił i pozwolił, żeby tamte ich wyprzedziły. Z niespokojną miną nachylił się ku Vernie i wyszeptał, dbając, by trzy Siostry tego nie słyszały:

- Czasami wydaje mi się, Siostrze Verno, że zdołałabyś rozwścieczyć samego Stwórcę. Tak tu było spokojnie przez ostatnie dwadzieścia lat, że zdążyłem zapomnieć, ile kłopotów może narobić twój niewyparzony język. Dlaczego to robisz? Bawi cię to? - Przewrócił oczami, widząc jej groźną minę, i zmienił temat: - Jak myślisz, dlaczego te trzy są razem? Sądzę, że będą przeciwniczkami.

Verna zerknęła na Siostry, upewniając się, że niczego nie słyszą.

- Jeśli chcesz wbić wrogowi nóż w plecy, to najpierw musisz podejść wystarczająco blisko.

W samym sercu Pałacu Proroków, przed drzwiami z orzechowego drewna, które prowadziły do wielkiego holu, Siostry zatrzymały się tak nagle, że Verna i Warren niemal na nie wpadli. Wszystkie trzy się odwróciły. Siostra Philippa dotknęła czubkami palców piersi Warrena i zmusiła go, żeby cofnął się o krok. Uniosła długi, smukły palec na wysokość nosa chłopaka, po czym obrzuciła przyszłego czarodzieja chłodnym, gniewnym spojrzeniem.

- To sprawa Sióstr. - Przyjrzała się jego gołej szyi. - Kiedy już wybierzemy Ksienię, jeśli w dalszym ciągu będziesz chciał zostać w Pałacu Proroków, ponownie otrzymasz Rada'han. Nie będziemy tu trzymać chłopców, których nie można kontrolować.

Siostra Verna oparła niewidoczną dłoń na plecach Warrena, żeby się dalej nie cofał.

- To ja zdjęłam mu obrożę, do czego mam prawo jako Siostra Światła. Uczyniłam to w imieniu pałacu, więc nie można tego cofnąć.

Mroczne spojrzenie Siostry Philippy prześliznęło się na Siostrę Verne.

- To zagadnienie omówimy później, we właściwym czasie.

- Skończmy już z tym. Powinniśmy się zająć poważniejszymi sprawami - wtrąciła się Siostra Dulcinia.

Siostra Philippa potaknęła.

- Pozwól z nami, Siostrze Verno.

Warren stał przygarbiony i zagubiony, gdy jedna z Sióstr siłą swojej Han otworzyła przed nimi trzema ciężkie drzwi. Siostra Verna nie chciała wyglądać jak podążający za tamtymi skarcony psiak, więc przyspieszyła kroku i zrównała się z nimi. Siostra Dulcinia parsknęła przez nos. Siostra Maren przybrała jedną ze swoich min, które tak dobrze znały nieszczęsne nowicjuszeki, lecz nie ośmieliła się głośno zaprotestować. Siostra Philippa uśmiechnęła się nieznacznie. Każda z patrzących mogłaby podejrzewać, że to na jej polecenie Siostra Verna szła obok nich.

U końca sklepionego nisko przejścia, pomiędzy białymi kolumnami o złotych kapitelach rzeźbionych w liście dębu, czekała na nie Leoma. Zatrzymała się przed stojącą tyłem do nich Siostrą. Posturą przypominała Verne, a proste białe włosy, związane luźno złocistą wstążką spływały jej do połowy pleców. Skromna brązowa suknia sięgała niemal podłogi.

Wielki hol przechodził dalej w rozległą komnatę, którą przykrywała potężna kopuła. Witraże okien na górnym balkonie barwiły snopy światła padające na żebrowane sklepienie, na którym wymalowano sylwetki Sióstr odzianych w staromodne szaty. Wszystkie otaczały jaśniejącą postać symbolizującą Stwórcę. Wyciągał ramiona ku Siostrze i wyglądał, jakby słał im swoją miłość, one zaś z kolei czule wyciągały ku niemu ręce.

Siostry oraz nowicjuszeki stały przy ozdobnych kamiennych balustradach okalających balkony i w milczeniu patrzyły na dół. Tam na pokrytej zygzakowatym wzorem, błyszczącej posadzce także stały Siostry. Te, jak zauważyła Siostra Verna, przeważnie były starsze i miały wyższy status. Czasem któraś zakaszła, lecz nie padło ani jedno słowo.

Pośrodku pomieszczenia, pod postacią wyobrażającą Stwórcę, stała skąpana w słabym blasku, sięgająca na wysokość talii smukła biała kolumna. Padające na nią światło nie miało żadnego źródła. Kolumnę i jej świetlną osłonę otaczał z dala pierścień Sióstr. Kobiety zostawiły tyle miejsca, ile tylko mogły i ile powinny, jeśli ten blask był tym, co podejrzewała Verna. Na płaskim szczycie kolumny spoczywał jakiś niewielki przedmiot. Siostra Verna nie wiedziała, co to jest.

Siostra Leoma się odwróciła.

- Och. Rada jestem, że dołączyłaś do nas, Siostro.

- Czy to jest to, o czym myślę? - zapytała Siostra Verna.

Nieznaczny uśmiech pogłębił zmarszczki na twarzy Siostry Leomy.

- Jeśli myślisz, że to sieć światła, to masz rację. Przypuszczam, że nawet połowa z nas nie ma ani wystarczającego talentu, ani mocy, by coś takiego utkać. Godne uwagi, nieprawdaż?

Siostra Verna zmrużyła oczy, próbując dojrzeć, co tkwi na kolumnie.

- Nigdy przedtem nie widziałam tego piedestału, a przynajmniej nie tutaj. Co to jest? Skąd się wziął?

Siostra Philippa wpatrywała się w białą kolumnę. Po jej wyniosłości nie pozostał nawet ślad.

- To już tu było, kiedy wróciłyśmy z uroczystości pogrzebowej. Czekają na nas.

- Co na tym leży? - Siostra Verna raz jeszcze spojrzała na kolumnę.

- To pierścień Ksieni, symbol jej urzędu. - Siostra Leoma splótła dłonie.

- Pierścień Ksieni! A cóż on tam robi, na Stwórcę?

- Otóż to. - Siostra Philippa uniosła znacząco brew. Siostra Verna dostrzegła w jej ciemnych oczach cień niepokoju. - Co to...

- Po prostu podejdź i spróbuj go stamtąd wziąć - powiedziała Siostra Dulcinia. - Choć oczywiście wątpię, czy ci się to uda - dodała szeptem.

- Nie wiemy, dlaczego tam jest - dodała Siostra Leoma przyjaźniejszym tonem. - Kiedy wróciłyśmy, spoczywał już na piedestale. Chciałyśmy się temu przyjrzeć, lecz nie możemy się zbliżyć. Z uwagi na szczególnie charakter tarczy ochronnej postanowiłyśmy, że zanim przystąpimy do obioru, jedna z nas spróbuje podejść i, być może, rozwikła tajemnicę. Wszystkie już próbowałyśmy, ale żadna nie zdołała się zbliżyć. Pozostałaś jedynie ty, ty ostatnia musisz podjąć tę próbę.

- Co się dzieje, gdy usiłujecie podejść? - Siostra Verna poprawiła szal.

Siostry Dulcinia i Maren spojrzały w bok. Jedynie Siostra Philippa nie odwróciła spojrzenia i powiedziała:

- To nie jest przyjemne. Ani trochę.

Siostry Verny wcale to nie zdziwiło. Zaskoczyło ją wyłącznie to, iż żadnej nic się nie stało.

- Takie rozżarzenie osłony świetlnej i pozostawienie jej tam, gdzie ktoś

niewinny mógłby przypadkiem w nią wejść, graniczy niemal z przestępstwem.

- Niekoniecznie - odezwała się Siostra Leoma. - A przynajmniej nie tutaj. Znalazły to sprzątaczkę. Te kobiety miały dość rozumu, żeby się trzymać z daleka.

Nadzwyczaj złowieszcze było to, że żadna z Sióstr nie zdołała przełamać osłony i zdjąć pierścienia z kolumny, choć - o czym Siostra Verna była przekonana - wszystkie próbowały. Gdyby któraś udowodniła, że ma wystarczającą moc, by wziąć pierścień Ksieni, miałyby to doniosłe znaczenie. Verna spojrzała na Siostrę Leomę.

- Czy użyłyście sieci odciągających energię? Siostra Leoma potrząsnęła głową.

- Postanowiłyśmy, że najpierw każda z nas spróbuje podjąć pierścień, ponieważ może to być osłona dostosowana do jednej z Sióstr. Nie znamy powodu zarzucenia takiej sieci, jednak może tak być. Jeśli jest to osłona ochronna, to próby odciążenia energii mogłyby zniszczyć przedmiot, który ona chroni. Ty jedna nie starałaś się jeszcze dostać do pierścienia. - Leoma westchnęła ze znużeniem. - Przywiodłyśmy tu nawet Siostrę Simonę.

- Lepiej jej? - Siostra Verna zniżyła głos w nagłej ciszy. Siostra Leoma podniosła wzrok na podobiznę Stwórcy.

- Nadal słyszy głosy, a tej nocy, kiedy byliśmy na wzgórzu, miała kolejny z owych obłąkanych snów.

- Podejdz i spróbuj wziąć pierścień - poleciała Siostra Dulcinia, rzucając groźne spojrzenie na Siostry Philippe i Leomę, jakby chciała oznajmić, że wystarczy już gadania.

Philippa przyjęła to obojętnie. Siostra Maren popatrzyła niecierpliwie na delikatny blask otaczający obiekt ich pragnień.

- Verno, kochanie, przynieś nam pierścień, jeżeli zdołasz. Czekają na nas sprawy pałacu. Jeśli ci się to nie uda, będziemy zmuszone odciągnąć energię i spróbować odzyskać pierścień Ksieni. Idź, dziecko. - Siostra Leoma wskazała zdeformowaną dłonią białą kolumnę.

Siostra Verna głęboko zaczerpnęła powietrza. Postanowiła nie wyklócać się o to, że inna Siostra, równa jej rangą, nazwałają dzieckiem. Ruszyła ku białej kolumnie, a w obszernej komnacie słyhać było tylko echo jej kroków i odległy głos bębnow. Verna uznała, że ponieważ Siostra Leoma jest starsza,

należą się jej pewne względy. Spojrzała na balkony i dostrzegła swoje przyjaciółki, Siostry Amelię, Phoebe i Janet, które przesyłały jej niezdecydowane uśmiechy. Siostra Verna kroczyła z determinacją. Nie pojmowała, co pierścień Ksieni robi pod tak niebezpieczną osłoną, pod siecią światła. Coś było nie tak. Zaczęła szybciej oddychać, ponieważ przyszło jej na myśl, że być może jest to sprawka Sióstr Mroku. Jedna z nich mogła dostosować osłonę do Han Verny, podejrzewając, że wie za dużo. Nieco zwolniła kroku. Jeżeli istotnie tak było i chodziło o to, by ją wyeliminować, może niespodziewanie spłonąć.

Kiedy dotarła do granicy sieci, słyszała jedynie odgłos swoich kroków. Zobaczyła, że złoty pierścień lśni. Napięła mięśnie, oczekując czegoś nieprzyjemnego, czegoś, co się przytrafiło tamtym, lecz poczuła tylko ciepło przypominające ciepło letniego słońca. Powoli, krok za krokiem posuwała się do przodu, ale nie robiło się cieplej. Usłyszała kilka pełnych zdumienia westchnień Sióstr i pojęła, że żadna z nich nie dotarła tak daleko. Wiedziała również, iż bynajmniej nie oznacza to, że zdoła przebyć całą odległość lub uciec. Przez łagodny biały blask widziała Siostry, które przyglądały się jej rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

I nagle, jakby w mglistym blasku sennego marzenia, Verna stanęła przed kolumną. Wewnątrz osłony jasność tak się wzmożła, że Siostra nie widziała już twarzy swoich towarzyszek.

Złoty pierścień Ksieni leżał na złożonej karcie pergaminu zapieczętowanej czerwonym woskiem, w którym odcisnięty został wyryty na pierścieniu symbol promienistego słońca. Część tekstu była widoczna. Verna odsunęła pierścień i tak przesunęła palcem pergamin, żeby mogła go przeczytać.

Jeśli chcesz ujść z życiem z tej sieci, wsuń pierścień na trzeci palec lewej dłoni, ucałuj go, a potem złam pieczęć i odczytaj Siostrom to, co tam napisano.

Tekst podpisany był: *Ksieni Annalina Aldurren.*

Siostra Verna wpatrywała się w te słowa. Wydawało się, że również one na nią patrzą i czekają. Nie wiedziała, co zrobić. Rozpoznała aż nadto dobrze pismo Ksieni, ale zdawała sobie sprawę, że może to być fałszerstwo. Jeśli była to sztuczka którejś z Sióstr Mroku, zwłaszcza takiej, która lubi dramatyczne efekty, to wypełnienie polecenia mogło oznaczać śmierć. Jeśli jednak nie była to sztuczka, Verne zabije zlekceważenie instrukcji. Przez

chwilę stała bez ruchu, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Nic nie przyszło jej na myśl.

W końcu sięgnęła po pierścień. Z mroku, jaki panował za osłoną świetlną, dobiegły zdumione sapnięcia. Obracała pierścień w palcach, przyglądając się symbolowi promienistego słońca i śladom lat, które znaczyły ten przedmiot. Pierścień był ciepły, zupełnie jakby ogrzewało go jakieś wewnętrzne źródło żaru. Wyglądał jak pierścień Ksieni, co potwierdziło uczucie, którego doznała Verna. Raz jeszcze spojrzała na wypisane na pergaminie słowa.

Jeśli chcesz ujść z życiem z tej sieci, wsuń pierścień na trzeci palec lewej dłoni, ucałuj go, a potem złam pieczęć i odczytaj Siostrom to, co tam napisano.

Ksieni Annalina Aldurren

Oddech Siostry Verny był ciężki i płytki. Wsunęła pierścień na trzeci palec lewej dłoni. Uniosła ją do ust, pocałowała pierścień i odmówiła modlitwę do Stwórcy, prosząc o radę i siłę. Drgnęła, gdyż z wymalowanej na kopule postaci Stwórcy strzelił promień światła i skąpał ją w jasnym blasku. Powietrze wokół Verny wprost brzęczało. Dobiegły ją urywane piski i krzyki Sióstr, ale nie widziała ich, obłana światłem.

Siostra Verna drżącymi palcami uniosła pismo. Powietrze brzęczało donośniej. Chciała uciec, lecz zamiast tego złamała pieczęć. Promień blasku, który wybiegł z postaci Stwórcy, stał się wręcz oślepiający. Verna rozwinęła pergamin i podniosła wzrok, choć nie mogła dostrzec twarzy otaczających ją osób.

- Ten list nakazano mi odczytać pod groźbą śmierci.

Nikt się nie odezwał, więc spuściła oczy na starannie wypisane słowa.

- Oto jego treść: *Poznajcie moją ostatnią wolę, zebrani tutaj, a także ci, których tu nie ma.*

Siostry zachłysnęły się oddechem, a Verna przerwała i przełknęła ślinę.

- *To ciężkie czasy i Pałac Proroków nie może sobie pozwolić na przedłużające się spory o sukcesję. Nie dopuszczę do nich. Korzystam z uprawnień Ksieni, które zapisano w pałacowych regułach, i wyznaczam swoją następczynię. Oto stoi przed wami, mając na palcu pierścień, oznakę swojego urzędu. Ksienią jest teraz ta z Sióstr, która czyta moje słowa. Siostry Światła winny być jej posłuszne. Wszyscy powinni jej słuchać. Czar chroniący pierścień rzuciłam za radą i z pomocą samego Stwórcy. Jeżeli sprzeciwiacie się mojemu nakazowi, uczynicie to na własną odpowiedzialność. Do*

nowej Ksieni. Masz obowiązek służyć Pałacowi Proroków i chronić go oraz wszystko, co reprezentuje. Oby Światło zawsze otaczało cię opieką i wskazywało ci drogę. Pisałam własną ręką, zanim odeszłam z tego świata w łagodne dłonie Stwórcy. Ksieni Annalina Aldurren.

Rozległ się grom, który wstrząsnął posadzką pod stopami Verny, po czym zniknął promień światła i otaczający Siostrę blask.

Verna Sauventreen opuściła dłoń, w której trzymała list, i spojrzała na zdumione twarze otaczających ją Sióstr. W rozległym holu cicho zaszleściło - to Siostry Światła, jedna po drugiej, przyklękały i skłaniały głowy przed nową Ksienią.

- To niemożliwe - szepnęła do siebie Verna.

Ruszyła po wypolerowanej podłodze z ułożonych w zygzakowaty wzór deszczulek, pozwalając, by list wyśliznął się jej z palców. Siostry pospiesznie porwały go, żeby przeczytać ostatnie słowa Ksieni Annaliny.

Cztery Siostry powstały, kiedy Verna zbliżyła się do nich. Delikatne, piaskowoblond włosy Siostry Maren okalały poszarzałą twarz. W zaczerwienionym obliczu Siostry Dulcinii tkwiły szeroko otwarte, niebieskie oczy. Siostra Philippa, zwykle tak spokojna, całkowicie osłupiała. Pomarszczone policzki Siostry Leomy rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu.

- Będziesz potrzebować rad i wskazówek, Sios... Ksieni. - Bezwiednie przełknęła ślinę, co nieznacznie skrzywiło ów uśmiech. - Pomożemy ci w miarę naszych możliwości. Wiedz, że pozostajemy do twojej dyspozycji. Jesteśmy tu, by służyć...

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem Verna i znów ruszyła przed siebie, ale odnosiła wrażenie, że jej stopy poruszają się własnym rytmem.

Warren czekał na zewnątrz. Verna zamknęła drzwi i stanęła oszołomiona przed młodym, jasnowłosym czarodziejem. Chłopak opadł na kolano i nisko się pokłonił.

- Ksieni. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Podśluchiwałem - wyjaśnił.

- Nie nazywaj mnie tak. - Vernie zdawało się, że jej głos brzmi głucho.

- Dlaczego? Przecież nią jesteś. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - To jest...

Verna odwróciła się i ruszyła przed siebie. Jej umysł zaczął w końcu ponownie pracować.

- Chodź ze mną.
- Dokąd idziemy?

Verna położyła palec na ustach i rzuciła przez ramię tak groźne spojrzenie, że Warren natychmiast zamilkł. Pospiesznie do niej dołączył. Starał się dotrzymać kroku nowej Ksieni, kiedy wychodziła z Pałacu Proroków. Za każdym razem, gdy zamierzał się odezwać, Verna kładła palec na ustach. W końcu Warren westchnął, ukrył dłonie w rękawach szaty i zapatrzył się w dal. Wciąż szedł obok Verny.

Kiedy opuścili Pałac Proroków, na widok pierścienia kłamali się jej młodzieńcy i nowicjuszeki, którzy słyszeli dźwięk dzwonów oznajmiający wybór nowej Ksieni. Verna mijała ich, patrząc przed siebie. Pokłonili się jej również gwardziści stojący na moście ponad rzeką Kern, kiedy go przekraczała.

Nowa Ksieni znalazła się po drugiej stronie rzeki i od razu zeszła na brzeg, a następnie ruszyła ścieżką prowadzącą wśród sitowia. Warren spiesznie podążył za nią, gdy mijała małe, puste teraz doki. Wszystkie łodzie były na rzece, a rybacy wiosłowali powoli w górę jej biegu, zarzucając sieci lub wlokąc linki wędzisk. Wkrótce powrócą, żeby sprzedać ryby na miejskim targu.

Dotarli wreszcie na położony z dala od Pałacu Proroków spłachetek jałowej ziemi znajdujący się, w pobliżu odsłoniętej skały, wokół której bulgotała i szumiała woda. Tu Verna się zatrzymała. Zapatrzyła się gniewnie w niespokojną wodę i wsparła pięściami pod boki.

- Przysięgam, że gdyby ta wścibska stara baba jeszcze żyła, udusiłabym ją własnymi rękami.

- O kim mówisz? - zainteresował się Warren.

- O Ksieni. Gdyby nie znajdowała się już w dłoniach Stwórcy, zacisnąłabym jej na szyi moje.

- Ależ byłby to widok, Ksieni - zachichotał Warren.

- Nie nazywaj mnie tak! Czarodziej zmarszczył brwi.

- Przecież teraz jesteś Ksienią.

Verna chwyciła szatę na ramionach Warrena.

- Musisz mi pomóc. Musisz mnie z tego wyciągnąć.

- Co takiego!?! Przecież to wspaniałe! Teraz jesteś Ksienią, Verno.

- Nie. Nie mogę. Znasz księgi, które znajdują się w podziemiach,

Warrenie, studiowałeś pałacowe prawa. Musisz znaleźć coś co by mnie od tego wybawiło. Musi być na to jakiś sposób. Znajdź w księgach coś, co temu zapobiegnie.

- Zapobiegnie? To już się stało. A nawiasem mówiąc, to najlepsze, co mogło się zdarzyć. - Przechylił głowę. - Po co mnie tu przywiodłaś?

Verna puściła jego szatę.

- Zastanów się, Warrenie. Dlaczego zabito Ksienię?

- Zabiła ją Siostra Ulicia, jedna z Sióstr Mroku. Ksieni zginęła, ponieważ walczyła ze złem, które reprezentowały.

- Nie, Warrenie. Powiedziała, żebyś się zastanowił. Zginęła, gdyż pewnego dnia powiedziała mi w swoim gabinecie, że wie o istnieniu Sióstr Mroku. Siostra Ulicia była jedną z jej administratorok i usłyszała to. - Verna pochyliła się ku niemu. - Upewniłam się, że pokój chroniły osłony, ale nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że Siostry Mroku mogą się również posługiwać magią subtraktywną. Siostra Ulicia usłyszała naszą rozmowę przez osłony i wróciła, żeby zabić Ksienię. Tutaj natomiast nie ma się gdzie schować, więc natychmiast zobaczylibyśmy, że ktoś chce nas podsłuchać. - Skinęła głową ku szmerzącej wodzie. - A woda zagłusza nasze głosy.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - Warren rozejrzał się nerwowo. - Jednak czasami woda może daleko zanieść dźwięk głosów, Ksieni.

- Powiedziała ci, żebyś przestał zwracać się do mnie w ten sposób. Jeżeli będziemy mówić cicho, to przy tych wszystkich hałasach dnia woda zagłuszy nasze słowa. Nie możemy rozmawiać o tych sprawach w pałacu. Jeśli będziemy musieli porozmawiać na takie tematy, powinniśmy zawsze wyjść na zewnątrz, tam gdzie zobaczymy każdego, kto zamierzałby nas podsłuchać. Chcę, żebyś znalazł sposób, który pozwoli mi złożyć urząd Ksieni.

Warren westchnął z rozdrażnieniem.

- Przestań mówić w ten sposób. Masz kwalifikacje, żeby piastować ten urząd, i to prawdopodobnie najlepsze z wszystkich Sióstr. Oprócz doświadczenia Ksieni powinna mieć również wyjątkową moc. - Odwrócił wzrok, kiedy znacząco uniosła brew. - Mam nieograniczony dostęp do wszystkiego, co jest przechowywane w podziemiach. Czytałem raporty - Znow na nią spojrział. - Zanim schwytałaś Richarda, umarły dwie inne Siostry, które przekazały ci swoją moc. Masz moc, Han, trzech Sióstr.

- To zaledwie jeden z warunków, Warrenie. Pochylił się ku niej.

- Mówiłem, że mam nieograniczony dostęp do ksiąg. Znam wymagania stawiane Ksieni. W księgach nie znajduje się nic, co świadczyłoby przeciw tobie. Spełniasz wszelkie warunki. Powinnaś zostać Ksienią. To najlepsze, co się mogło wydarzyć.

Verna westchnęła.

- Czy razem z obrozą postradałeś zmysły? A z jakiegoż to powodu miałabym pragnąć tego stanowiska?

- Teraz możemy podejść Siostry Mroku. - Uśmiechnął się z przekonaniem. - Będziesz miała władzę, by dokonać tego, co konieczne. - Niebieskie oczy Warrena roziskrzyły się. - Jak już powiedziałem, to najlepsze, co się mogło zdarzyć.

Verna wyrzuciła w górę rękę.

- Warrenie, moje wyniesienie do godności Ksieni to najgorsze, do czego mogło dojść. Powaga stanowiska ogranicza równie mocno jak obroza, której z taką radością się pozbyłeś.

- Co masz na myśli? - Warren się nachmurzył. Verna odgarnęła z czoła kręcone kasztanowe włosy.

- Ksieni jest więźniem swojego stanowiska, Warrenie. Często widywałeś Ksienię Annalinę? Nie. A dlaczego? Ponieważ tkwiła w swoim gabinecie, nadzorując zarządzanie Pałacem Proroków. Musiała się zajmować tysiącem spraw, rozwiązywać tysiące problemów, nadzorować setki Sióstr i młodzieńców, że nie wspomnę już o nieustannie pojawiających się kłopotach z Nathanem. Nie masz pojęcia, do czego potrafił doprowadzić ów człowiek. Trzeba go było wciąż trzymać pod strażą. Ksieni nigdy nie może odwiedzić Siostry czy któregoś z uczniów, gdyż ci wpadliby w panikę i zaczęli się zastanawiać, co też nabroili, że doniesiono jej o nich. Rozmowy prowadzone przez Ksienię nigdy nie mogą być zdawkowe, za to zawsze pełne są ukrytych znaczeń. Nie dlatego, że ona tak chce, lecz dlatego, że dzierży władzę i wszyscy powinni o tym pamiętać. Kiedy opuszcza swoje apartamenty, natychmiast otacza ją pompa i ceremoniał związane z piastowanym przez nią urzędem. Jeśli przyjdzie do jadalni na kolację, cichną wszelkie rozmowy. Wszyscy siedzą w milczeniu i obserwują ją, mając nadzieję, że na nich nie spojrzy lub, co gorsza, nie poprosi, by przysiedli się do niej.

Warrenowi zrzęda mina.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Jeśli twoje podejrzenia dotyczące Sióstr Mroku są słuszne, a nie twierdzą, że są, to objęcie urzędu Ksieni tylko przeszkodzi mi w ich wykryciu.

- Nie przeszkodziło to jednak Ksieni Annalinie.

- Skąd wiesz? Może gdyby nie była Ksienią, wykryłaby je już całe wieki temu, wtedy gdy mogłaby coś na to zaradzić. Może zdołałaby je wytępić, nim zaczęły zabijać naszych chłopców i kraść ich Han, nim stały się tak potężne. A tak jej odkrycie przyszło za późno i tylko sprawiło, że zginęła.

- Przecież one mogą się obawiać twojej wiedzy i jakoś się ujawnić.

- Jeżeli w Pałacu Proroków są jeszcze Siostry Mroku, to znają mój udział w wykryciu tamtych sześciu, które uciekły. Będą się tylko cieszyć z tego, że zostałam wyniesiona na urząd Ksieni, ponieważ zwiąże mi to ręce i usunie im z drogi.

Warren dotknął palcem ust.

- Lecz musi być przecież jakaś korzyść z tego, że zostałam Ksienią.

- To tylko przeszkoda w powstrzymaniu Sióstr Mroku. Musisz mi pomóc, Warrenie. Znasz księgi. Powinno być w nich coś, co mnie od tego wybawi.

- Ksieni...

- Nie nazywaj mnie tak! Warren skrzywił się sfrustrowany.

- Ależ ty jesteś Ksienią! Nie mogę używać niższego tytułu. Verna westchnęła.

- Ksieni, Ksieni Annalina, prosiła przyjaciół, żeby mówili do niej Ann. Skoro jestem teraz Ksienią, to proszę, byś zwracał się do mnie Verno.

Warren rozważał to z powagą.

- Hmm... sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteśmy więcej niż przyjaciółmi, Warrenie. Tylko tobie mogę ufać. Teraz tylko tobie.

Skinął głową.

- Dobrze, niech tak będzie. - Zamyślił się i przygryzł wargi. - Masz rację, Verno. Znam księgi. Znam wymagania stawiane Ksieni i wiem, że wszystkie je spełniasz. Jesteś młoda jak na Ksienię, ale tylko w porównaniu z poprzednią, poza tym księgi nie wspominają o żadnych ograniczeniach dotyczących wieku. Co więcej, masz Han trzech Sióstr. Pod tym względem

nie dorównuje ci żadna z Sióstr, a przynajmniej żadna z Sióstr Światła. Już to sprawia, że najbardziej nadajesz się na to stanowisko. Moc, władanie Han, to podstawowy warunek pozwalający zostać Ksienią.

- Przecież tam musi coś być, Warrenie. Zastanów się. Wyraz niebieskich oczu mówił o jego głębokiej wiedzy i smutku. - Znam księgi, Verno. Nie ma w nich niejasności. Wyraźnie zabraniają Ksieni zrzeczenia się urzędu, kiedy już zostanie wybrana. Jedynie śmierć zwalniają od obowiązków. Jeśli tylko Annalina Aldurren nie wróci do życia i nie upomni się o stanowisko, nie ma sposobu, który pozwoliłby ci zrezygnować. Jesteś Ksienią. Verna nie potrafiła nic wymyślić. Wpadła w pułapkę.

- Od kiedy pamiętam, ta kobieta robiła z moim życiem, co tylko chciała. Dostroiła ów czar do mojej Han, wiem, że to zrobiła. Wpakowała mnie w to. Szkoda, że nie mogę jej udusić!

Warren położył łagodnie dłoń na jej ramieniu.

- Czy pozwoliłabyś, Verno, żeby któraś z Sióstr Mroku została Ksienią?

- Oczywiście, że nie.

- A sądzisz, że Ann by pozwoliła?

- Nie, ale nie rozumiem...

- Powiedziałaś, Verno, że tylko mnie możesz zaufać. Pomyśl o Ann. Ona również była w potrzasku. Nie mogła pozwolić, by któraś z nich została Ksienią. Umierała. Tylko to mogła uczynić. Mogła ufać wyłącznie tobie.

Verna wpatrywała się w oczy Warrena, a słowa młodzieńca dźwięczały w jej umyśle. Po chwili osunęła się na gładką, czarną skałkę stojącą w pobliżu wody. Ukryła twarz w dłoniach.

- Drogi Stwórco - wyszeptała. - Czyżbym była aż tak samolubna?

Warren usiadł przy niej.

- Samolubna? Uparta tak, czasami, ale z pewnością nie samolubna.

- Ależ ona musiała być samotna, Warrenie. Przynajmniej miała przy sobie Nathana... pod koniec.

Warren przytaknął. Po chwili spojrzął na Verne.

- Mamy mnóstwo problemów, prawda, Verno?

- Pałac aż roi się od nich, a wszystko czysto i schludnie wiąże złoty pierścień.

ROZDZIAŁ 7

Richard zakrył usta dłonią i ziewnął. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie spał, a ubiegłej nocy w ogóle nie zmrużył oka, więc był tak zmęczony brakiem snu, o walce z mriswithami nie wspominając, że z trudem trzymał się na nogach. Przemierzał labirynt ulic, gdzie co kilka kroków zapachy zmieniały się z paskudnych na przyjemne i odwrotnie, trzymając się blisko budynków i unikając ścisku. Szedł zgodnie ze wskazówkami pani Sanderholt. Miał nadzieję, że się nie zgubił.

Przewodnik zawsze powinien wiedzieć, gdzie się znajduje i jak ma dojść tam, dokąd zmierza. Richard był leśnym przewodnikiem, uważał więc, że wybaczone by mu, gdyby się zgubił w wielkim mieście. Poza tym już dawno przestał być leśnym przewodnikiem i podejrzewał, że raczej nie wróci już do tego zajęcia.

Wiedział za to, gdzie znajdowało się słońce. Chociaż miasto starało się go zmylić swoimi zatłoczonymi głównymi traktami, ciemnymi zaułkami i gmatwaniną wąskich, krętych bocznych uliczek, które biegły wśród rozrzuconych bezładnie starych, pozbawionych okien budowli - południowy wschód pozostawał wciąż południowym wschodem. Richard wykorzystywał wyższe budowle jako punkty orientacyjne, zupełnie jakby były to wspaniałe drzewa lub wzniesienia, i starał się nie martwić tym, czy istotnie idzie tymi ulicami, którymi powinien.

Chłopak torował sobie drogę przez tłumy. Mijał nędznie ubranych kramarzy za słojami suszonych korzeni, koszami gołębi, ryb i węgorzy, przechodził obok węglarzy, którzy pchali wózki z węglem drzewnym i śpiewnie wykrzykiwali cenę swojego towaru, zostawiał za sobą handlarzy nabiałem w czerwono-złocistych strojach. Mijał juki z wiszącymi na hakach sztukami świniny, baraniny i dziczyzny, sprzedawców soli oferujących różne rodzaje tej przyprawy i sklepiki, w których sprzedawano chleb, placki, paszteciki, drób, przyprawy korzenne, worki ziarna, baryłki wina i piwa oraz setki innych towarów wystawionych w witrynach lub na stołach przed sklepami. Przechodził obok ludzi oglądających towary, plotkujących i narzekających na ceny i nagle uświadomił sobie, że dręczy go ostrzegawczy niepokój - ktoś go śledził.

Richard, nagle zupełnie przebudzony, odwrócił się i ujrzał mnóstwo twarzy, ale żadnej z nich nie rozpoznał. Miecz okrywał peleryną, nie chcąc zwracać nikomu uwagi. Przynajmniej obecni wszędzie żołnierze nie interesowali się nim za bardzo, choć niektórzy D'Haranczyści spoglądali na niego, kiedy ich mijał, jakby wyczuwali coś, lecz nie mogli zrozumieć co. Chłopak przyspieszył kroku.

Ostrzegawcze drżenie serca było bardzo słabe, tak więc Richard pomyślał, iż widocznie śledzący go są na tyle daleko, że nie może ich dostrzec. Ale skąd właściwie miałby wiedzieć, kto go śledzi? To mógł być każdy z tych, których widział. Spojrzał na dachy domów, jednak nie dostrzegł tego, kto z całą pewnością podążał jego śladem, i tylko sprawdził, pod jakim kątem pada słoneczny blask, żeby utrzymać kierunek.

Chłopak zatrzymał się w pobliżu narożnikowego budynku i obserwował ludzi idących ulicą, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś mu się nie przygląda, czy ktoś nie pasuje do obrazu tłumu, lecz nie dostrzegł niczego niepokojącego.

- Ciasteczko z miodem, milordzie?

Richard obrócił się ku dziewczynce w za dużym płaszczu, która stała za rozklekotanym stolikiem. Uznał, że ma jakieś dziesięć, może dwanaście lat, ale nie miał zbyt dużego doświadczenia w odgadywaniu wieku dziewczynek.

- Co powiedziałaś?

Mała przesunęła dłonią nad rozłożonymi na stoliku towarami.

- Ciasteczko z miodem? Moja babcia je piecze. Są pyszne, mówię ci, i kosztują tylko grosik. Kup jedno, milordzie, proszę. Nie będziesz żałował.

Za dziewczynką, na położonej na śniegu desce siedziała krępa stara kobieta owinięta wystrzępionym brązowym kocem. Uśmiechnęła się do Richarda. Chłopak niechętnie odwzajemnił jej uśmiech, analizując owo wewnętrzne drżenie i próbując ustalić, co wyczuwa, określić charakter przecucia. Dziewczynka oraz staruszka uśmiechały się z nadzieją i czekały.

Richard raz jeszcze spojrział w górę i w dół ulicy, pozwolił lekkiemu wiatrkowi unieść parę głębokiego oddechu i przetrząsnął kieszeń. W czasie pospiesznej dwutygodniowej podróży do Aydindril jadł niewiele i wciąż jeszcze był osłabiony. Miał tylko srebrne i złote monety z Pałacu Proroków. W plecaku, który zostawił w Pałacu Spowiedniczek, również nie było chyba innych monet.

- Nie jestem lordem - powiedział, chowając do kieszeni wszystkie monety oprócz jednej, srebrnej.

Dziewczynka wskazała na jego miecz.

- Każdy, kto nosi taki piękny miecz jak ten, z pewnością jest lordem.

Staruszka przestała się uśmiechać. Podniosła się i zaczęła się wpatrywać w oręż. Richard pospiesznie okrył peleryną srebrno-złotą pochwę i podał dziewczynce monetę. Mała wbiła w nią wzrok.

- Mam za mało monet, żeby wydać ci resztę, milordzie. Nawet nie wiem, ile musiałabym dać. Jeszcze nigdy nie miałam w dłoni srebrnego pieniądza.

- Już ci powiedziałem, że nie jestem lordem. - Uśmiechnął się, kiedy nań spojrzała. - Mam na imię Richard. Wiesz co, zatrzymaj tę monetę jako zadatek. Za każdym razem, kiedy tędy przejdę, dasz mi ciastko z miodem. Będziesz mi je dawać dopóty, dopóki nie zjem ciastek, które mógłbym za nią kupić.

- Och, milordzie... to znaczy, Richardzie. Dziękuję. Rozpromieniona dziewczynka podała pieniądz babce. Stara kobieta bacznie przyglądała się monecie, obracając ją w palcach.

- Nigdy przedtem nie widziałam takich znaków. Musiałeś przybyć z daleka.

Kobieta nie mogła wiedzieć, skąd pochodzi moneta, gdyż przez ostatnie trzy tysiące lat Stary i Nowy Świat dzieliła granica.

- Istotnie. Niemniej jednak srebro jest wystarczająco dobre. Spojrzała na niego oczami, z których lata wypłykały już niemal cały ich niegdysiejszy błękit.

- Zabran czy otrzymany, milordzie?

Richard zmarszczył brwi, więc wskazała gestem.

- Ten twój miecz, milordzie. Zabrałeś go czy ci go dano?

Richard wytrzymał jej spojrzenie i w końcu zrozumiał. Poszukiwacza powinien wyznaczyć czarodziej, ponieważ jednak Zedd uszedł z Midlandów przed wieloma laty, oręż padał łupem tych, którzy albo sobie mogli nań pozwolić, albo mogli go ukraść. Fałszywi Poszukiwacze sprawili, że Miecz Prawdy zdobył złą sławę i nie wzbudzał zaufania. Wykorzystywano jego magię do samolubnych celów, a nie tak, jak to zakładali twórcy magicznej klingi. Richard był pierwszym od dziesięcioleci Poszukiwaczem, którego mianował czarodziej. Rozumiał magię, jej straszliwą moc, i spoczywającą na

nim odpowiedzialność. Był prawdziwym Poszukiwaczem Prawdy.

- Dostałem go od kogoś, kto ma pierwszy stopień. Zostałem mianowany - powiedział tajemniczo.

Kobieta zacisnęła koc na wydatnym biuście.

- Poszukiwacz - wysapała przez szczyby w uzębieniu. - Dzięki niech będą duchom. Prawdziwy Poszukiwacz.

Dziewczynka, która nie pojmowała nic z tej rozmowy, zerkała na monetę leżącą na dłoni babki. Podała Richardowi największe spośród leżących na stole ciastek z miodem. Przyjął je z uśmiechem. Staruszka pochyliła się nad stołem i nieznacznie zniżyła głos:

- Przybyłeś, żeby wybawić nas od tego robactwa?

- Coś w tym rodzaju. - Ugryzł kęs ciastka i raz jeszcze uśmiechnął się do dziewczynki. - Takie smaczne, jak obiecywałaś.

- Mówiłam ci. - Oddała uśmiech. - Babcia piecze najlepsze ciastka na Stentor Street.

Stentor Street. Przynajmniej udało mu się odnaleźć właściwą ulicę. Za targowiskiem przy Stentor Street, powiedziała pani Sanderhoit. Richard mrugnął do dziewczynki, jedząc ciastko.

- Jakiego robactwa? - spytał staruszkę.

- Mój syn - odrzekła, wskazując oczami małą - i jej matka zostawili nas i stoją koło pałacu, czekając na obiecane złoto. Mówiłam im, żeby pracowali, ale odparli, że jestem stara i głupia i że dostaną więcej, niżby zdołali zarobić. Muszą tylko zaczekać na to, co się im należy.

- Skąd wiedzą, że coś się im należy? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Bo ktoś z pałacu tak powiedział. Powiedział, że mają do tego prawo, że wszyscy mają do tego prawo. Niektórzy uwierzyli, jak tych dwoje. Mojemu leniwemu synowi bardzo się to spodobało. W tych czasach młodzi są strasznie leniwi. Siedzą i czekają, żeby im coś dano, żeby ktoś się nimi zaopiekował, kiedy tymczasem powinni sami o siebie zadbać. Kłócą się, kto pierwszy ma otrzymać złoto. Biją się o to. Przy tej okazji zginęło kilku słabszych i starych ludzi. A w tym samym czasie ceny idą w górę, bo mało kto pracuje. Ledwo starcza nam na chleb. - Przybrała smutną, pełną żalu minę. - A wszystko przez głupią żądzę złota. Mój syn pracował u piekarza Chalmera, lecz teraz, zamiast pracować, czeka, aż mu dadzą złoto, więc mała jest coraz częściej głodna. - Staruszka zerknęła kątem oka na dziewczynkę i

uśmiechnęła się dobrotliwie. - Ale pracuje. Pomaga mi piec ciastka, więc możemy się jakoś wyżywić. Nie pozwolę, by włóczyła się po ulicach, jak robi teraz wielu młodych. - Kobieta znów spojrzała z wyrazem przygnębienia w oczach. - To oni są tym robactwem. Ci, którzy zabierają nasz nędzny zarobek lub skromne produkty, obiecując, że wkrótce dostaniemy je z powrotem, i którzy oczekują, że będziemy im wdzięczni za łaskawość. Ci, którzy namawiają dobrych ludzi do nieróbstwa, by łatwiej było nimi rządzić. Ci, którzy odebrali nam wolność i tradycję. Nawet taka głupia stara baba jak ja wie, że lenie i nieroby nie zastanawiają się nad sobą; oni tylko myślą o sobie. Nie wiem, dokąd zmierza ten świat.

Wyglądało na to, że staruszce wreszcie zabrakło tchu, bo zamilkła, więc Richard, przetykając kęs ciastka z miodem, wskazał na monetę, którą wciąż trzymała w dłoni. Spojrzał znacząco na kobietę.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zapomniała, jak wygląda mój miecz. Staruszka ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jak sobie życzysz. Skoro tak chcesz, milordzie. Niech cię chronią dobre duchy. I dołoż ode mnie tym drabom.

Richard odszedł kawałek w górę ulicy i przysiadł na chwilę na baryłce stojącej obok wejścia do zaułka, żeby dokończyć ciastko. Było naprawdę smaczne, lecz prawdę mówiąc, nie bardzo zwracał uwagę na jego smak, no i bynajmniej nie uspokoiło owego dziwnego ssania w żołądku. Uświadomił sobie, że nie było to uczucie, jakie towarzyszyło wyczuwaniu mriswithów. Bardziej przypominało to, co czuł, kiedy ktoś na niego spoglądał. Chłopakowi zjeżyły się włosy na karku. Tak, to właśnie czuł: ktoś nań patrzył, patrzył i szedł za nim. Przyjrzał się twarzom, ale nikt szczególnie się nim nie interesował.

Zlizywał miód z palców i szedł ulicą, omijając konie ciągnące wózki i wozy i przebijając się przez tłum spieszących za swoimi sprawami ludzi. Czasem przypominało to płynięcie pod prąd. Zgiełk, chrzęst uprzęży, tętent kopyt, szuranie przewożonych w wozach pakunków, skrzypienie kół, odgłosy wydawane przez ubijany śnieg, krzyki straganiarzy, wrzaski handlowców, gwar rozmów prowadzonych w językach, których częstokroć nie rozumiał - wszystko to wyprowadzało Richarda z równowagi. Był przyzwyczajony do ciszy lasów, w których słyszał jedynie szum wiatru w drzewach lub szmer wody spływającej ze skał. Często bywał w Hartlandzie,

ale było to przecież bardziej nawet niż małe miasto, które nie mogło się równać z miastami, jakie Richard widział po opuszczeniu rodzinnych stron.

Chłopak tęsknił do swoich lasów. Kahlan obiecała, że pewnego dnia pojedzie tam z nim. Uśmiechnął się do siebie, myśląc o przepięknych miejscach, które jej pokaże: roztaczających się ze wzgórz widokach, wodospadach, ukrytych górskich przełęczach. Uśmiechnął się szerzej, rozmyślając, jaka będzie zdumiona i jacy będą oboje szczęśliwi. Ucieszyło go też wspomnienie owego specjalnego uśmiechu Kahlan, który był przeznaczonego wyłącznie dla niego, Richarda. Do Kahlan tęsknił jeszcze bardziej niż do swoich lasów. Pragnął jak najszybciej dołączyć do niej. To nastąpi już wkrótce, ale wcześniej musiał załatwić kilka spraw tu, w Aydindril.

Nagle Richard usłyszał krzyk, spojrzał w górę i zorientował się, że zatopiony w marzeniach zmierzał wprost pod kopyta żołnierskich koni. Dowódca zatrzymał oddział.

- Jesteś ślepy?! Jaki głupiec wchodzi pod kopyta kolumny jeźdźców?!

Chłopak rozejrzał się dokoła. Wszyscy odsunęli się od dosiadających wierzchowców żołnierzy i usilnie starali się sprawiać wrażenie Jakby wcale nie zamierzali zapuszczać się na środek ulicy. Udawali, że wojskowi w ogóle nie istnieją. Miny większości przechodniów świadczyły, że najchętniej staliby się niewidzialni.

Richard przyjrzał się jeźdźcowi, który na niego wrzasnął, i pomyślał przelotnie, że sam również wolałby się stać niewidzialny, nim zaczną się kłopoty i ktoś zostanie ranny, lecz w porę przypomniał sobie drugie prawo magii: najlepsze intencje mogą spowodować największe szkody. Już się nauczył, że skutki korzystania z magii mogą być wprost fatalne. Uznał, że ostrożniej będzie poprzestać na przeprosinach.

- Przepraszam. Nie patrzyłem, gdzie idę. Wybacz mi.

Chłopak nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział takich żołnierzy, żołnierzy siedzących na stojących w równych szeregach wierzchowcach. Każdy z wojowników miał ponurą minę, a ich pancerze błyszcząły oślepiająco w słońcu. Miecze, noże i lance również. Każdego okrywała purpurowa peleryna, która w taki sam sposób spływała z boku białego wierzchowca. Wyglądali jak wojsko mające przededefilować przed jakimś potężnym królem.

Oficer, który wrzasnął na Richarda, patrzył nań gniewnie spod krawędzi lśniącego hełmu ozdobionego czerwonym pióropuszem z końskiego włosia. W chronionej rękawicą dłoni trzymał wodze swojego potężnego siwka i pochylał się ku chłopakowi.

- Z drogi, półgłówku, albo cię stratujemy i nic z ciebie nie zostanie.

Richard wreszcie rozpoznał akcent, z jakim mówił ów żołnierz. Tak samo mówiła Adie. Nie wiedział, z jakiego kraju pochodziła kościana babka, lecz było pewne, że ci ludzie pochodzili z tych samych terenów. Wzruszył ramionami i cofnął się o krok.

- Przecież przeprosiłem. Nie miałem pojęcia, że dzieje się tu coś aż tak ważnego i naglącego.

- Walka z Opiekunem to zawsze ważna i nie cierpiąca zwłoki sprawa.

Chłopak raz jeszcze się cofnął.

- O to nie będę się z tobą sprzeczał. Jestem pewny, że w tej chwili trzęsie się w jakimś kącie, oczekując, aż przybędziesz i go pokonasz, zatem lepiej się pośpiesz.

Ciemne oczy tamtego załśniły niczym lód. Richard starał się niczego po sobie nie pokazać. Żałował, że nie potrafił się oduczyć nonszalancji. Podejrzewał, że to dlatego, że był taki duży. Chłopak nigdy nie lubił się bić. Gdy dorósł, stał się celem ataków tych, którzy chcieli się popisać. Właściwie dopiero Miecz Prawdy nauczył go, że czasami należy uwolnić gniew, który Richard zawsze zdecydowanie kontrolował. Wcześniej, nim Zedd wręczył mu magiczny oręż, przekonał się, że uśmiech i dowcip potrafią uspokoić rozgniewanych przeciwników, rozbroić tych, którzy chcą wywołać bójkę. Chłopak doskonale znał swoją siłę, ale właśnie dlatego nabrał skłonności do nonszalancji. Czasami wydawało mu się, że nie potrafi nad sobą zapanować: odzywał się, zanim zdążył pomyśleć.

- Jesteś bezczelny. Może należysz do tych, których omamił Opiekun.

- Zapewniam cię, panie, że walczę z tym samym wrogiem.

- Służalców Opiekuna cechuje arogancja.

Richard zdążył ledwie pomyśleć, że nie trzeba mu żadnych kłopotów i czas się szybko wycofać, a żołnierz zaczął już zsiadać z konia. W tym samym momencie chłopaka chwyciły z obu stron krzepkie dłonie. Dwaj potężni żołnierze podnieśli go.

- Ruszaj swoją drogą, eleganciku - rozkazał jeźdźcowi żołnierz, który

trzymał prawe ramię Richarda. - Ten tutaj nie do ciebie należy.

Chłopak usiłował odwrócić głowę, ale zdołał tylko zerknąć na boki i dostrzec brązowe skórzane mundury D'Haranczykow. Jeździec zamarł, zjedną stopą wysuniętą już ze strzemienia.

- Jesteśmy po tej samej stronie, bracie. Tego tu trzeba przesłuchać, i to my powinniśmy to zrobić, a potem nauczyć pokory. My...

- Ruszaj, mówię!

Richard otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Stojący po prawej D'Haranczyk natychmiast wysunął spod grubej, brązowej, wełnianej peleryny umięśnione ramię i potężna dłoń zakryła chłopakowi usta. Richard zdążył jednak zobaczyć złocisty pierścień zapięty tuż powyżej łokcia żołnierza. Jego ostre jak brzytwa kolce zaśniły w słońcu. Poszukiwacz o mało nie udławił się własnym językiem.

Prawie wszyscy d'harancy żołnierze byli wysocy, lecz ci dwaj znacznie przewyższali ich wzrostem. Co gorsza, nie byli wcale zwykłymi wojownikami; Richard widział już takich żołnierzy, którzy nosili pierścienie tuż nad łokciem. Należeli do przybocznej straży Rahla Posępnego. Dwaj z nich niemal zawsze towarzyszyli Rahlowi.

D'Haranczyk bez trudu podnieśli chłopaka. Był teraz równie bezradny jak marionetka. Przez dwa tygodnie pospiesznej podróży do Aydindril, do Kahlan, Richard nie tylko mało co jadł, ale też prawie w ogóle nie spał. Kilka godzin temu walczył z mriswithami i to ostatecznie go wyczerpało. Przerazenie uwolniło co prawda ukryte zapasy siły, lecz nie wystarczyły one niestety przeciwko tym dwóm.

Jeździec chciał przerzucić nogę przez grzbiet konia i zsiąść.

- Mówię, że on należy do nas. Zamierzamy go przepytac. Jeśli służy Opiekunowi, to wyzna ten grzech.

- Podejź tylko tutaj - mruknął groźnym głosem D'Haranczyk stojący po lewej stronie Richarda - a zetnę ci głowę i zagram nią w kule. Szukaliśmy go i teraz jest nasz. Kiedy już z nim skończymy, to jeśli zechcesz, będziesz mógł przesłuchać jego zwłoki.

Tamten zastygł, zsiadając z konia, i spojrzał wściekle na D'Harańczyka.

- Mówiłem, bracie, że jesteśmy po tej samej stronie. Walczymy wspólnie ze złem, które sieje Opiekun. Nie powinniśmy ze sobą walczyć.

- Jeżeli chcesz się sprzeczać, to dobądź miecza, albo znikaj! Blisko

dwustu jeźdźców patrzyło na dwóch D'Harancyków, nie okazując przy tym żadnych emocji, a zwłaszcza strachu. W końcu byli to tylko dwaj żołnierze i mimo swoich rozmiarów nie stanowili wielkiego zagrożenia. Tak przynajmniej sądziłby głupiec. Richard widział w całym mieście oddziały D'Harancyków. W razie potrzeby mogliby się tu natychmiast pojawić.

Mimo to jeździec nie wydawał się przejęty ewentualnym nadejściem posiłków.

- Jest was tylko dwóch, bracie. Niezbyt to korzystna sytuacja. Żołnierz trzymający lewe ramię Richarda przyjrzał się obojętnie jeźdźcom, odwrócił głowę i splunął.

- Masz rację, eleganciku. Ten tu Egan stanie sobie z boku, żeby wyrównać wasze szansę, a ja rozprawię się z tobą i z tymi twoimi przebierańcami. Ale dobrze się zastanów, bracie - to słowo wypowiedział jeszcze bardziej ironicznie - bo jeśli tylko muśniesz stopą ziemię, umrzesz pierwszy.

Lodowate, nieruchome i obojętne oczy spoglądały przez chwilę na obu D'Harancyków, a potem żołnierz w lśniącej zbroi i purpurowej pelerynie opadł na siodło, mrużąc przy tym w obcym języku jakieś przekleństwo.

- Czekają nas ważne sprawy - oznajmił. - Nie będziemy tracić naszego czasu na tego człowieka. Jest wasz.

Dał znak i kolumna jeźdźców runęła ulicą, o włos unikając stratowania Richarda i dwóch porywaczy. Chłopak szarpał się, lecz byli zbyt silni. Wlekli go, a on nie mógł dosięgnąć rękojeści miecza. Badał wzrokiem dachy domów, ale niczego nie dostrzegł.

Przechodnie odwracali oczy, nie chcąc mieszać się do tego, co się działo. Potężni D'Harancyki ciągnęli Richarda ku skrajowi ulicy, a wszyscy rozbiegali się na boki, jak gdyby widzieli wszystko, co się dzieje za ich plecami. Zgiełk miasta skutecznie zagłuszał krzyki chłopaka, tłumione łapą jednego z olbrzymów. Richard szarpał się, jednak nie mógł dosięgnąć broni. Bezskutecznie starał się wbić buty w śnieg.

Porwany wrywał się, lecz zanim zdążył pomyśleć, co mógłby zrobić, żołnierze zawlekli go do wąskiego, ciemnego przejścia między zajazdem a jakimś innym budynkiem.

W jego głębi, w gęstym mroku, czekały cztery otulone pelerynami postacie.

ROZDZIAŁ 8

Potęźni D'Haranczycy postawili ostrożnie Richarda na ziemi. Chłopak dotknął stopami podłóża i natychmiast położył dłoń na rękojeści miecza. Obaj żołnierze rozstawili nogi i splekli dłonie na plecach. Cztery otulone w peleryny postacie ruszyły ku nim z mrocznego końca przejścia.

Ucieczka byłaby lepszym rozwiązaniem niż walka. Richard nie dobył miecza, lecz zanurkował w bok, potoczył się po śniegu i poderwał na nogi. Oparł się plecami o zimną ścianę z cegły Zadyszany, owinął się peleryną mriswitha. Okrycie natychmiast przybrało barwę ściany i chłopak zniknął.

Teraz łatwo będzie się wysliznąć. Lepiej uciec, niż walczyć. Odejdzie, kiedy tylko złapie oddech.

Cztery postacie wciąż zmierzały w ich kierunku. Weszły w blask dnia z rozwianymi pelerynami. Ich ciemnobrązowe skórzane uniformy, ufarbowane na ten sam kolor co mundury obu żołnierzy, okrywały od stóp do głów kształtne sylwetki. Na brzuchu każdej z kobiet widniała żółta gwiazda tkwiąca między rogami półksiężyca.

Richard rozpoznał tę gwiazdę i półksiężyc. Wydawało mu się, że jego umysł przeszła błyskawica. Nie pamiętał już, ile razy tulił zalaną krwią twarz do owego emblematu. Skamieniał, niezdolny ani dobyć miecza, ani odetchnąć. Przez krótką przerażającą chwilę widział jedynie symbol, który poznał aż nazbyt dobrze.

Mord-Sith.

Stojąca na przedzie kobieta odrzuciła kaptur, ukazując jasne włosy splecione w jeden gruby warkocz. Niebieskie oczy przesuwają się po ścianie, o którą opierał się Richard.

- Lordzie Rahlu? Lordzie Rahlu, gdzie... Richard drgnął.

- Cara?

Chłopak przestał się tak mocno koncentrować, jego peleryna ponownie stała się czarna i Cara go dostrzegła., lecz w tym momencie runęło na nich niebo. Gratch spłynął na ziemię z łopotem skrzydeł, rycząc i błyskając kłami. Dwaj żołnierze niemal natychmiast dobyli mieczy, ale nie byli tak szybcy jak Mord-Sith. Trzymały Agiele w zaciśniętych pięściach, zanim tamci zdążyli wysunąć klingi z pochew. Agiel wyglądał zaledwie jak cienki pręt z

czerwonej skóry, jednak Richard wiedział, jak straszliwa była to broń. Przecież "tresowano" go nim.

Chłopak rzucił się na chimerę i pchnął ją na drugą ścianę, nim żołnierze i kobiety zdążyli ruszyć do ataku. Gratch odepchnął chłopaka i chciał się rzucić na zagrażających mu ludzi.

- Stójcie! Wszyscy!

Krzyk Richarda sprawił, że sześcioro ludzi i chimera zamarło. Chłopak nie wiedział, kto zwyciężyłby w tej walce, jednak wcale nie chciał się tego dowiedzieć. Wykorzystał chwilę, kiedy tamci nie postanowili jeszcze, czy ponownie rzucić się na chimerę, czy nie, i skoczył przed Gratcha. Stał przed nim i rozłożył szeroko ramiona.

- Gratch jest moim przyjacielem. On tylko chce mnie bronić. Nie ruszajcie się, a nic wam nie zrobi.

Gratch otoczył chłopaka futrzastym ramieniem w pasie i przycisnął go do różowej skóry na piersi i brzuchu. W wąskiej uliczce zabrzmiał pełen czułości pomruk, który zawierał jednocześnie ostrzeżenie dla żołnierzy i Mord-Sith.

- My również jesteśmy tutaj, żeby cię chronić, lordzie Rahlu - powiedziała Cara, a obaj żołnierze wsunęli miecze do pochew.

Richard odsunął ramię chimery.

- Już dobrze, Gratch. Znam ich. Rewelacyjnie wykonałeś zadanie, tak jak cię prosiłem, ale wszystko już jest w porządku. Uspokój się.

Gardłowy pomruk Gratcha odbił się echem od ścian budynków otaczających wąskie, mroczne przejście. Richard wiedział, że to oznaka zadowolenia. Wcześniej powiedział chimerze, żeby podążała nim, albo wysoko w górze, albo przelatując z dachu na dach, i żeby pokazała się dopiero wtedy, gdy coś się wydarzy. Gratch spisał się naprawdę doskonale. Chłopak dostrzegł go dopiero wtedy, kiedy chimera już na nich spadła.

- Co tu robicie, Caro?

Cara ze złością dotknęła jego ramienia, zdziwiona, że okazało się prawdziwe. Uderzyła go palcem w bark, a następnie się uśmiechnęła.

- Nawet Rahl Posępny nie potrafiłby być niewidzialny. Potrafił rozkazywać bestiom, lecz nie potrafił się stać niewidzialny.

- Nie rozkazuję Gratchowi, on jest moim przyjacielem. A ja właściwie nie... Co tu robicie, Caro?

Zdumiało ją to pytanie.

- Chronimy cię.

- A oni? - Richard wskazał obu żołnierzy. - Powiedzieli, że mnie zabiją.

D'Haranczycy stali nieruchomo jak bliźniacze dęby.

- Lordzie Rahlu, oddalibyśmy życie w twojej obronie - odezwał się jeden z nich.

- Już cię doganialiśmy, gdy wpadłeś na tych elegancików - wyjaśniła Cara. - Powiedziałam Eganowi i Ulicowi, żeby cię stamtąd zabrali, unikając przy tym bijatyki, gdyż w innym wypadku mogłoby ci się stać coś złego. Gdyby ci jeźdźcy uznali, że chcemy cię ocalić, mogliby spróbować cię zabić. Nie chcieliśmy ryzykować twojego życia.

Richard spojrzął na dwóch wielkich, jasnowłosych żołnierzy. Ciemne skórzane pasy, pancerze i rzemienie ich mundurów przylegały do wydatnych mięśni jak druga skóra. Pośrodku napierśników widniały ozdobne litery "R", a pod nim dwa skrzyżowane miecze. Jeden z nich - chłopak nie był pewny, czy to Egon, czy też Ulic - potwierdził słowa Mord-Sith. Richard był skłonny jej uwierzyć, bo przecież Cara i inne Mord-Sith pomogły mu przed dwoma tygodniami, w D'Harze, dzięki czemu zdołał pokonać Rahla Posępnego.

Kiedy Richard uwalniał Mord-Sith z więzów dyscypliny, nie miał pojęcia, jak postąpią. Odzyskały wolność i postanowiły być jego przyboczną, bardzo opiekuńczą gwardią. Wyglądało na to, że nie zdoła zmienić ich decyzji.

Jedna z kobiet ostrzegawczo wymówiła imię Cary i skinęła głową w stronę ulicy. Przechodnie zwalniali kroku, zaglądali w wąskie przejście i patrzyli na nich. Dwaj żołnierze odwrócili się i spojrzeli groźnie ku wylotowi przejścia, co wydatnie przyspieszyło tempo, w jakim poruszali się przechodnie, i sprawiło, że odwrócili oczy.

Cara chwyciła ramię Richarda tuż nad łokciem.

- Tu nie jest zbyt bezpiecznie. Chodź z nami, lordzie Rahlu. Nie czekając ani na odpowiedź, ani na współpracę, pociągnęła go w mrok panujący w głębi uliczki. Richard w milczeniu dał Gratchowi znak, że wszystko jest w porządku. Cara uniosła luźną okiennicę i wepchnęła chłopaka do środka. Pokój, do którego weszli, miał tylko to jedno okno. Znajdował się tam zakurzony stół, na którym stały trzy świece, kilka ławek i jedno krzesło. Z boku leżał ich ekwipunek.

Gratchowi udało się w taki sposób złożyć skrzydła, że również on wepchnął się do środka. Stał tuż przy Richardzie i spokojnie obserwował pozostałych. Żołnierz i Mord-Sith, dowiedziawszy się, że Gratch jest przyjacielem chłopaka, nie wydawali się wcale przejęci tym, że z odległości kilku stóp spogląda na nich olbrzymia chimera.

- Co tu robicie, Caro?

Ściągnęła brwi tak, jakby to pytanie świadczyło o jego tępotcie.

- Przecież powiedziałam, że zjawiliśmy się, żeby cię chronić. - Kąciki ust Mord-Sith uniosły się w kpiącym uśmiechu. - Wygląda na to, że przybyliśmy w samą porę. Mistrz Rahl powinien przeciwstawiać magię magii, co jest stosownym dla niego zadaniem, i pozwolić nam odpierać oręż orężem. - Wskazała trzy kobiety. - W Pałacu Ludu nie było czasu, by ci je przedstawić. Oto moje siostry w Agielu: Hally, Berdine i Raina.

Richard przyjrzał się uważnie trzem twarzom widocznym w migotliwym blasku świec. Przed dwoma tygodniami miał bardzo mało czasu, tak więc teraz przypominał sobie tylko Carę. To ona mówiła w ich imieniu i to jej przyłożył nóż do szyi i cofnął go dopiero wtedy, kiedy przekonała go, że mówi prawdę. Hally, podobnie jak Cara, była jasnowłosa, niebieskooka i wysoka. Berdine i Raina były odrobinę niższe. Berdine miała niebieskie oczy i faliste, kasztanowe włosy splecione w warkocz, natomiast Raina ciemne włosy i oczy. Jej oczy zdawały się badać duszę chłopaka, oceniać niuanse mocy, słabe strony charakteru. Było to charakterystyczne dla Mord-Sith, ostre, przenikliwe spojrzenie. A ciemne oczy Rainy nadawały mu jeszcze większą ostrość i przenikliwość.

Chłopak nie poczuł się zaniepokojony tym, jak na niego spoglądają. Nie odwrócił wzroku.

- Byłyście wśród tych, które bezpiecznie przeprowadziły mnie przez pałac?

Przytaknęły.

- Jestem wam za to dozgonnie wdzięczny. A pozostałe?

- Inne zostały w D'Harze, na wypadek gdybyś tam wrócił, nim cię odnajdziemy - powiedziała Cara. - Naczelną dowódca Trimack nalegał, żeby wyruszyli z nami także Egan i Ulic, ponieważ należą do przybocznej straży mistrza Rahla. Wyruszyliśmy jakąś godzinę po tobie i staraliśmy się cię dogonić. - Potrząsnęła ze zdziwieniem głową. - Nie traciliśmy czasu, a

jednak wyprzedziłeś nas niemal o cały dzień.

- Bardzo się spieszyłem. - Richard wyprostował pendent miecza. Cara wzruszyła ramionami.

- Jesteś mistrzem Rahlem. Nie zadziwi nas żaden twój czyn.

Richard pomyślał, że jednak wyglądała na ogromnie zdziwioną, kiedy stał się niewidzialny, lecz zachował tę myśl dla siebie, odnosząc w ten sposób kolejne zwycięstwo nad swoim niewyparzonym językiem. Rozejrzał się po słabo oświetlonym, zakurzonym pokoju.

- Po co wam ten pokój?

Cara zdjęła rękawice i położyła je na stole.

- Miał nam służyć jako baza wypadowa podczas poszukiwań. Byliśmy tu bardzo krótko. Wybraliśmy go, bo znajduje się niedaleko głównej kwatery D'Harancyków.

- Powiedziano mi, że są w dużym budynku za rynkiem.

- Są - odezwała się Hally. - Sprawdziliśmy to. Richard spojrział w jej przenikliwe niebieskie oczy.

- Akurat tam szedłem, kiedy mnie znaleźliście. Wasze towarzystwo na pewno mi się przyda. - Rozluźnił pod szyją pelerynę mriswitha i podrapał się w kark. - Jak zdołaliście mnie odszukać w tak dużym mieście?

Obaj żołnierze nie dali po sobie niczego poznać, za to kobiety ze zdumieniem uniosły brwi.

- Jesteś mistrzem Rahlem - odparła Cara, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

- No i? - Richard wsparł się pięściami pod boki.

- Więc - odezwała się Berdine. Zaskoczyła ją zdziwiona mina chłopaka. - Jesteśmy związani z mistrzem Rahlem.

- Nie rozumiem, co to znaczy. Co to ma wspólnego z odszukaniem mnie? Mord-Sith wymieniły spojrzenia. Cara przechyliła na bok głowę.

- Jesteś lordem Ranieni, władcą D'Hary, a my D'Harancykami. Jak możesz tego nie rozumieć?

Richard odgarnął włosy z czoła i westchnął z rozpaczą.

- Wychowałem się w Westlandzie, od D'Hary dzieliły mnie dwie granice. Dopóki nie zniknęły, nie miałem pojęcia o istnieniu tego kraju, a tym bardziej o istnieniu Rahla Posępnego. Dopiero parę miesięcy temu dowiedziałem się, że Rahl Posępny był moim ojcem. - Odwrócił wzrok od ich

twarzy, na których malował się wyraz zaskoczenia. - Zgwałcił moją matkę, a ona uciekła do Westlandu, nirn się urodziłem, nim pojawiły się granice. Rahl Poępny nie miał pojęcia, że żyję i że jestem jego synem. Dowiedział się o tym tuż przed śmiercią. Nic nie wiem o byciu władcą Rahlem.

Dwaj żołnierze w dalszym ciągu zachowywali obojętne miny, za to cztery Mord-Sith wpatrywały się w Richarda przez długą chwilę. Kąciki ich oczu odbijały płomyk świecy, gdy powtórnie badały duszę chłopaka. Zastanawiał się, czy żałują, że przysięgły mu wierność.

Richard czuł się zażenowany tym, że musiał opowiedzieć o swoim pochodzeniu ludziom, których nie znał.

- Jeszcze mi nie wyjaśniliście, jak udało się wam mnie odnaleźć.

Berdine zdjęła pelerynę, po czym położyła ją na leżącym w pokoju ekwipunku, a Cara dotknęła ramienia Richarda i skłoniła go, żeby usiadł na krześle. Zachwiało się pod nim, aż się wystraszył, że nie wytrzyma. Cara spojrzała na dwóch żołnierzy.

- Chyba wy najlepiej mu to wytłumaczycie, bo właśnie wy najsilniej odczuwacie tę więź. Ulic?

Ulic przestąpił z nogi na nogę.

- Od czego mam rozpocząć?

Cara zaczęła coś mówić, lecz Richard jej przerwał.

- Czekają na mnie ważne sprawy, więc nie mam zbyt wiele czasu. Mów tylko o tym, co jest najważniejsze. Opowiedz mi o tej więzi.

Ulic skinął głową.

- Opowiem ci tak, jak nas uczono.

Richard wskazał mu ławkę, dając do zrozumienia, że chce, by Ulic usiadł. Czuł się nieswojo, gdy żołnierz sterczał nad nim niczym żywa góra. Chłopak zerknął przez ramię: ukontentowany Gratch lizał sierść, ale nie spuszczał ludzi z zielonych błyszczących ślepi. Richard uśmiechnął się do niego uspokajająco. Chimery jeszcze nigdy nie otaczało tylu ludzi, a chłopak, który miał pewne plany, nie chciał, żeby się wystraszyła. Gratch zmarszczył się w uśmiechu, jednak nastawił uszu, słuchając. Richard bardzo chciał wiedzieć, ile też Gratch rozumie.

Ulic przyciągnął ławę i usiadł na niej.

- Dawno temu...

- Jak dawno? - zapytał Richard, przerywając żołnierzowi.

Ulic zadumał się nad tym pytaniem i pocierał kciukiem wykonaną z kości rękojeść noża zatkniętego za pas. Wydawało się, że niski głos żołnierza zdmuchnie płomienie świec.

- Dawno temu... na początku istnienia D'Hary. Myślę, że kilka tysięcy lat temu.

- Co się wtedy wydarzyło?

- To wtedy powstała więź. U zarania czasów pierwszy władca Rahl rzucił na lud D'Hary magiczny czar, żeby nas chronić.

Richard uniósł brew.

- Chyba, żeby wami władać. Ulic potrząsnął głową.

- To był pakt. Dynastia Rahlów - postukał w ozdobne "R" wycięte na skórzanym napierśniku - jest magiczną mocą, a lud D'Hary orężem. My chronimy władcę, a on z kolei chroni nas. Jesteśmy ze sobą związani.

- Po co czarodziejowi ochrona oręża? Przecież czarodzieje dysponują magiczną mocą.

Ulic wsparł łokieć o kolano i pochylił się przy wtórze skrzywienia skózanego uniformu. Miał poważną minę.

- I ty masz magiczny dar. Czy zawsze cię chronił? Nie możesz nie spać, widzieć zawsze, kto stoi za twoimi plecami lub nadażyć z rzucaniem zaklęć na liczebnie przeważającego przeciwnika. Nawet ci, którzy mają magiczny dar, umierają, kiedy im ktoś poderżnie gardło. Potrzebujesz nas.

Richard przyznał mu rację.

- A co ta więź ma wspólnego ze mną?

- Pakt, magia, wiąże lud D'Hary z władcą Rahlem. Gdy władca umiera, więź przenosi się na dziedzica obdarzonego magiczną mocą. - Ulic poruszył ramionami. - Owa więź to magiczna łączność. Wszyscy D'Haranczyki to odczuwają. Rozumiemy to od urodzenia. Dzięki tej więzi rozpoznajemy władcę Rahl'a. Czujemy jego obecność, kiedy jest w pobliżu. W ten właśnie sposób cię odnaleźliśmy. Jeśli jesteśmy wystarczająco blisko, wyczuwamy twoją obecność.

Richard zacisnął dłonie na poręczach krzesła i pochylił się.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy D'Haranczyki czują moją obecność i wiedzą, gdzie jestem?

- Nie. Tu chodzi o coś więcej. - Ulic wepchnął palec pod skórzany naramiennik i podrapał się w ramię, zastanawiając się, jak chłopakowi to

wyjaśnić.

W sukurs przysłała mu Berdine. Postawiła obok niego stopę na ławie, oparła łokieć o kolano i nachyliła się ku Richardowi. Gruby, kasztanowy warkocz zsunął się jej z ramienia na piersi.

- Najpierw musimy uznać nowego władcę Rahla, czyli musimy formalnie zaakceptować jego władzę. Nie chodzi tu o jakąś ceremonię, ale raczej o zrozumienie i przyzwolenie, które musi się pojawić w naszych sercach. Nie musi to być zgoda, jakiej pragniemy, i w przeszłości, przynajmniej w naszym wypadku, tak nie było. Jednak akceptacja jest niezbędna.

- Chodzi ci o to, że musicie uwierzyć. Zwrócone ku Richardowi twarze pojaśniały.

- Tak. To dobre określenie - wtrącił Egan. - Kiedy już uznamy władzę mistrza Rahla, jesteśmy z nim związani aż do jego śmierci. Gdy umiera, jego miejsce zajmuje nowy władca Rahl i z kolei jesteśmy związani z nim. Przynajmniej podobno ma to tak działać. Tym razem jednak coś poszło nie tak, jak trzeba, i Rahl Posępny czy też jego duch zdołał częściowo pozostać na tym świecie.

Richard się wyprostował.

- Brama. Szkatuły w Ogrodzie Życia to brama prowadząca do zaświatów, a jedną z nich pozostawiono otwartą. Zamknąłem ją, gdy wróciłem przed dwoma tygodniami, i na dobre odesłałem Rahla Posępnego do zaświatów.

Ulic potarł jedną dłoń o drugą, napinając przy tym potężne mięśnie ramion.

- Kiedy na początku zimy umarł Rahl Posępny, a ty przemówiłeś przed pałacem, wielu z obecnych tam D'Harancyków uwierzyło, że jesteś nowym władcą Rakiem. Byli też jednak i tacy, którzy nie uwierzyli. Ci wciąż pozostają wierni Rahlowi Posępnemu. Jest tak prawdopodobnie dlatego, że otwarta była ta brama, o której mówiłeś. O ile wiem, nigdy wcześniej nic takiego się nie przytrafiło.

Kiedy wróciłeś do Pałacu Ludu i wykorzystując swój dar, pokonałeś ducha Rahla Posępnego, pokonałeś jednocześnie zbuntowanych oficerów, którzy cię zdradzili. Przepędzając ducha Rahla Posępnego, zerwałeś więź, która wciąż ich z nim łączyła, i sprawiłeś, że reszta obecnych w pałacu uznała w tobie władcę Rahla. Teraz są wobec ciebie lojalni. Cały pałac. Wszyscy są z tobą związani.

- Tak jak powinno być - orzekła zdecydowanie Raina. - Masz dar, jesteś czarodziejem. Jesteś magią przeciwko magii, a D'Harańczycy, twój lud, są żelazem przeciwko żelazu.

Richard spojrział w jej ciemne oczy.

- O tej więzi, o stali przeciwko stali i magii przeciwko magii, wiem mniej niż o byciu czarodziejem, a o byciu czarodziejem nie wiem prawie nic. Nie mam pojęcia, jak się posługiwać magią.

Kobiety wpatrywały się w niego przez chwilę, a następnie roześmiały się, jakby opowiedział jakiś dowcip, i chciały, by myślał, że je rozbawił.

- Wcale nie żartuję. Nie wiem, jak wykorzystywać mój dar. Hally klepnęła go w ramię i wskazała na Gratcha.

- Rozkazujesz bestiom, tak jak to robił niegdyś Rahl Posępny. My tego nie potrafimy. Nawet z nią rozmawiasz. Z chimerą!

- Niczego nie rozumiesz. Uratowałem Gratcha, kiedy był mały. Wychowałem go, ot co. Zaprzyjaźniliśmy się. To nie jest magia.

Hally raz jeszcze poklepała chłopaka po ramieniu.

- Ty, lordzie Rahlu, możesz nie widzieć w tym żadnej magii, lecz żadne z nas by tego nie dokonało.

- Ale...

- Dziś widzieliśmy, jak się stajesz niewidzialny - odezwała się Cara. Już się nie śmiała. - Chcesz nam powiedzieć, że i w tym nie ma magii?

- Hmm, cóż, chyba jest, ale nie tak, jak myślisz. Po prostu nie rozumiesz...

Cara uniosła znacząco brew.

- Dla ciebie to jest zrozumiałe, lordzie Rahlu, ponieważ masz dar. Jednak dla nas to magia. Z pewnością nie zechcesz nam wmawiać, że któreś z nas mogłoby tego dokonać?

Richard przetarł dłonią twarz.

- Nie, nie moglibyście. Lecz i tak to nie jest to, o czym myślicie. Raina obrzuciła go tym szczególnym spojrzeniem Mord-Sith, które świadczyło, że oczekuje poddania się, a nie sporu. Twardy jak stal wzrok sparaliżował chłopaka. Richard nie był już więźniem Mord-Sith i te kobiety chciały mu pomóc, a mimo to owo spojrzenie wciąż odbierało mu mowę.

- Lordzie Rahlu - w panującej w pokoju ciszy rozległ się spokojny głos Rainy - w Pałacu Ludu walczyłeś z duchem Rahla Posępnego. Ty, zwyczajny

człowiek, toczyłeś bój z duchem potężnego czarodzieja, który powrócił z zaświatów, ze świata zmarłych, by nas wszystkich zniszczyć. Nie miał ciała, istniał dzięki magii. Z takim demonem mogłeś walczyć wyłącznie za pomocą własnej magii. W trakcie tej walki posłałeś magiczną błyskawicę, która obiegła pałac i zniszczyła zbuntowanych dowódców pragnących triumfu Rahla Posępnego. Tego właśnie dnia związali się z tobą wszyscy ci, którzy jeszcze nie czuli owej więzi. Nikt z nas nigdy nie widział takiej magii, jaka wówczas szalała w pałacu. - Raina pochyliła się ku Richardowi, w dalszym ciągu wiążąc go spojrzeniem swoich ciemnych oczu. W jej spokojnym dotąd głosie zabrzmiała pasja. - To była magia, lordzie Rahlu. O mało nie zginęliśmy, o mało nie pochłonał nas świat zmarłych. Ty nas ocaliłeś. Dotrzymałeś swojej części paktu: byłeś magią przeciwko magii. Jesteś władcą Rahlem i my oddamy za ciebie życie.

Chłopak zorientował się, że z całej siły zaciska lewą dłoń na rękojeści miecza. Czuł, jak w dłoń wpijają mu się wypukłe litery słowa PRAWDA. Udało mu się oderwać wzrok od oczu Rainy i spojrzeć na pozostałych.

- Wszystko, co powiedziałaś, to prawda, lecz to nie jest takie proste, jak ci się wydaje. To wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane. Nie chcę, byście uważali, że zdołałem tego wszystkiego dokonać, bo wiedziałem jak. To się po prostu stało. Rahl Posępny uczył się całe życie, jak być czarodziejem, jak posługiwać się magią. Ja prawie nic o tym nie wiem. Za bardzo mi ufacie.

Cara wzruszyła ramionami.

- Rozumiemy, że musisz się sporo nauczyć o magii. To dobrze. Zawsze dobrze jest się więcej nauczyć. Im więcej będziesz wiedział, tym lepiej się nam przysłużysz.

- Nie, nie rozumiesz...

Cara uspokajającym gestem dotknęła ramienia Richarda.

- Choćbyś wiedział nie wiadomo jak wiele, zawsze pozostanie coś, czego można by się jeszcze nauczyć. Nikt nie wie wszystkiego. Ale to niczego nie zmienia. Jesteś władcą Rahlem, a my jesteśmy z tobą związani. - Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. - I choćby nawet któreś z nas chciało to zmienić, nie możemy tego uczynić.

Richarda nagle ogarnął spokój. Wcale nie zamierzał ich od tego odwozić. Mógł skorzystać z ich pomocy, wykorzystać ich lojalność.

- Pomogliście mi, może nawet tam, na ulicy, uratowaliście mi życie, nie chcę jednak, żebyście pokładali we mnie więcej nadziei, niż jest to uzasadnione. Nie chcę was zawieść. Pragnę, byście poszli za mną dlatego, że to, co czynimy, jest słuszne, a nie dlatego, że łączy nas magiczna więź. To niewolnictwo.

- Lordzie Rahlu - Raina po raz pierwszy odezwała się niepewnie - byliśmy związane z Rahłem Posępnym. Wtedy nie miałyśmy więcej do powiedzenia na ten temat niż teraz. Zabrał nas z rodzinnych domów, gdy byliśmy młode, wytresował i używał do...

Richard wstał, położył jej palec na ustach i uciszył.

- Wiem. W porządku. Teraz jesteście wolne.

Cara chwyciła chłopaka za koszulę i przyciągnęła jego twarz do swojej.

- Nie rozumiesz? Choć wiele z nas nienawidziło Rahla Posępnego, musiałyśmy mu służyć, ponieważ łączyła nas z nim więź. To było niewolnictwo. Dla nas nie jest ważne, że nie wiesz wszystkiego. I tak jesteśmy z tobą związane jako z władcą Rahleni. Po raz pierwszy w naszym życiu nie jest to ciężar. Postąpiłybyśmy w ten sposób nawet wtedy, gdyby owa więź nie istniała. To nie jest niewolnictwo.

- Nic nie wiemy o twojej magii - odezwała się Hally - ale możemy pomóc ci nauczyć się, jak być władcą Rahlem. - Ironiczny uśmiech złagodził ostrość spojrzenia niebieskich oczu i pokazał kobietę kryjącą się w Mord-Sith. - W końcu Mord-Sith zostały przeznaczone do tego, by uczyć i tresować. - Jej uśmiech zniknął, spoważniała. - Dla nas nie ma znaczenia, czy twoja podróż ma więcej etapów, i tak cię nie opuścimy.

Richard przecesał palcami włosy. Wzruszyły go ich słowa, ale zaniepokoiło ślepe oddanie.

- Zgodzę się na to, pod warunkiem że zrozumiecie, iż nie jestem czarodziejem, za jakiego mnie uważacie. Co prawda wiem trochę o magii, na przykład o magii mojego miecza, lecz nie mam pojęcia, jak mógłbym się posługiwać moim darem. Dotychczas wykorzystywałem to, co wychodziło ode mnie, nie rozumiejąc tego jednak i nie mogąc kontrolować. Pomagały mi dobre duchy. - Zamilkł na chwilę i spojrzał głęboko w pełne oczekiwania oczy. - Denna jest z nimi.

Cztery kobiety uśmiechnęły się, każda na swój sposób. Znały Denne, wiedziały, że go tresowała i że zabił ją, aby uciec. Uczyniwszy to, uwolnił

Mord-Sith od więzi, jaka łączyła ją z Rahlem Posepnym, i od tego, czyni się stała. Jednak dla Richarda wspomnienie owego czynu zawsze będzie wyrzutem sumienia, chociaż duch Denny osiągnął spokój. Richard musiał sprawić, że zbieła klinga Miecza Prawdy, i zabić Denne tą właśnie stroną magii: swoją miłością i przebaczeniem.

- Cóż może być korzystniejszego niż to, że dobre duchy są po naszej stronie? - spytała spokojnie Cara w imieniu ich wszystkich. - Dobrze wiedzieć, że Denna jest wśród nich - stwierdziła.

Richard unikał ich spojrzeń i próbował również uniknąć dręczących wspomnień. Otrzeptał spodnie z kurzu i zmienił temat rozmowy.

- Szedłem właśnie jako Poszukiwacz Prawdy dowiedzieć się, kto dowodzi stacjonującymi w Aydindril D'Haranczykami. Mam coś ważnego do załatwienia i muszę się spieszyć. Nie wiem nic o tej więzi, ale wiem za to, co to znaczy być Poszukiwaczem. Wydaje mi się, że wasze towarzystwo nie będzie mi przeszkadzać.

Berdine potrząsnęła kręconymi kasztanowymi włosami.

- Jak to dobrze, że w porę go znaleźliśmy.

Pozostałe trzy Mord-Sith mruknęły potakująco. Richard przesunął wzrokiem po ich twarzach.

- Dlaczego?

- Bo oni jeszcze nie uznali w tobie władcy Rahla - wyjaśniła Cara.

- Mówiłem, że jestem Poszukiwaczem. To ważniejsze niż bycie władcą Rahlem. Nie zapominajcie, że ostatniego władcę Rahla zabiłem właśnie jako Poszukiwacz. Ale teraz, skoro powiedziałyście mi o tej więzi, zamierzam powiedzieć dowódcom D'Haranczyków, że jestem również nowym lordem Rahlem, i zażądać, by mi się podporządkowali. To na pewno ułatwi zrealizowanie moich planów.

Berdine zaśmiała się krótko.

- Nawet nam się nie śniło, że mieliśmy aż tyle szczęścia, chwytając cię w porę.

Raina odgarnęła do tyłu ciemną grzywkę i spojrzała na swoją siostrę w Agielu.

- Skóra mi cierpnie na myśl, jak mało brakowało, byśmy go stracili.

- O czym wy mówicie? Przecież to D'Haranczyki. Myślałem, że wyczują mnie dzięki tej więzi.

- Tłumaczyliśmy ci, że najpierw musimy formalnie uznać i zaakceptować władzę mistrza Rahla. Nie odprawileś tej ceremonii z tutejszymi żołnierzami. Poza tym więź nie jest taka sama w każdym z nas - odezwał się Ulic.

Richard wyrzucił w górę ramiona.

- Najpierw mówicie mi, że za mną pójdą, a teraz temu zaprzeczacie?

- Musisz ich ze sobą związać, lordzie Rahlu - powiedziała Cara i westchnęła. - Jeżeli zdołasz. Generał Reibisch nie jest czystej krwi.

- Co to znaczy? - Richard zmarszczył brwi.

- U zarania dziejów, kiedy pierwszy władca Rahl rzucał czar, wiążąc nas ze sobą, D'Hara nie była taka jak dzisiaj - odezwał się Egan, podchodząc do Richarda. - Była krainą wchodzącą w skład większego kraju, podobnie jak obecnie Midlandy są konfederacją rozmaitych krain.

Richard przypomniał sobie nagle historię, którą opowiedziała mu Kahlan podczas ich nocnego spotkania. Siedzieli drżący przy ognisku osłoniętym przez sosnę-strażniczkę, wystraszeni jeszcze niedawnym spotkaniem z chimera, kiedy Matka Spowiedniczka powiedziała mu co nieco o dziejach świata leżącego poza jego rodzinnym Westlandem. Przypominając sobie tę opowieść, chłopak spoglądał w ciemny kąt izby.

- Dziadek Rahla Posępnego, Panis, władca D'Hary, postanowił połączyć wszystkie krainy pod swoim panowaniem. Opanował wszystkie krainy oraz wszystkie królestwa i zamienił je w jedną, zamienił je w D'Hare.

- Właśnie tak - rzekł Egan. - Nie wszyscy, którzy nazywają siebie D'Haranczykami, są potomkami owych pierwszych związanych mieszkańców D'Hary. Niektórzy mają tylko kroplę d'harańskiej krwi, inni nieco więcej, a jeszcze inni, jak ja i Ulic, są czystej krwi D'Haranczykami. Są również tacy, w których żyłach w ogóle nie płynie d'haranska krew, i ci nie czują owej więzi. Rahl Posępny, a przed nim jego ojciec, zgromadzili wokół siebie podobnych sobie ludzi, ludzi pragnących władzy. Wielu z nich nie jest czystej krwi D'Haranczykami, za to przepętnia ich niepohamowana ambicja.

- Naczelny dowódca Trimack i żołnierze Pierwszej Kompanii Gwardii Pałacowej - Richard wskazał na Ulica i Egana - oraz straż przyboczna władcy Rahla to chyba D'Haranczyki czystej krwi?

Ulic przytaknął.

- Rahl Posępny, jak przedtem jego ojciec, ufał wyłącznie czystej krwi

mieszkańcom D'Hary, tak więc nikt inny nie mógł go strzec. Żołnierzy mających mieszaną krew i tych, którzy w ogóle nie czuli więzi, wykorzystywał w walkach toczących się na terenach leżących z dala od serca D'Hary. Zdobywali dlań inne kraje.

Richard zamyślił się i skubał palcami dolną wargę.

- A ten człowiek, którzy dowodzi w Aydindril d'haranskimi oddziałami. Jak on się nazywa?

- Generał Reibisch - odpowiedziała Berdine. - W jego żyłach płynie mieszana krew, więc nie pójdzie z mm tak łatwo. Jeśli jednak skłonisz go, by uznał w tobie władcę Rahla, to odczuje więź, ponieważ ma wystarczająco dużo d'haranskiej krwi. Kiedy dowódca odczuje więź, jednocześnie odczuje ją też wielu jego żołnierzy, ponieważ ufają swojemu zwierzchnikowi. Będą wierzyć w to co on. Jeśli uda ci się rozbudzić więź u generała Reibischa, zdobędziesz kontrolę nad wojskami stacjonującymi w Aydindril. Chociaż niektórzy żołnierze nie mają d'haranskiej krwi, dochowują wierności swoim dowódcom i, że tak to ujmę, poprzez nich właśnie będą z tobą związani.

- Muszę zatem przekonać generała Reibischa, że jestem nowym wiadcą Rahlem.

-I właśnie w tym celu jesteśmy ci potrzebni. - Cara uśmiechnęła się figlarnie. - Przynieśliśmy ci coś od naczelnego dowódcy Trimacka. - Dała znak Hally. - Pokaż mu.

Hally odpięła górne guziki skórzanego uniformu i wyjęła ukrytą na piersiach sakiewkę. Z pełnym dumy uśmiechem podała ją Richardowi. Chłopak wyjął ze środka zwój. W złocistym wosku była odcisnięta czaszka, a pod nią dwa skrzyżowane miecze.

- Co to takiego?

- Naczelnny dowódca Trimack chciał ci pomóc - powiedziała Hally, a jej oczy w dalszym ciągu się uśmiechały. Dotknęła woskowej pieczęci. - To osobista pieczęć naczelnego dowódcy Pierwszej Kompanii. Tekst napisał własnoręcznie. Pisał, a ja czekałam przy nim, następnie wręczył mi zwój i powiedział, żeby oddać go tobie. Oznajmia w nim, że jesteś nowym wiadcą Rahlem i że uznała cię Pierwsza Kompania oraz wszystkie oddziały i dowódcy polowi w D'Harze. Donosi, że uznali cię i że są teraz z tobą związani i gotowi własnym życiem bronić twojego prawa do tronu. Grozi zemstą tym, którzy ci się przeciwstawiają.

- Chętnie bym cię ucałował, Hally. - Richard spojrział w jej niebieskie oczy. Natychmiast przestała się uśmiechać.

- Darowałeś nam wolność, lordzie Rahlu. Nie musimy dłużej znosić... - Zaciśnęła usta i zaczerwieniła się, jej trzy towarzyszki również. Hally pochyliła głowę, wbiła wzrok w podłogę i wyszeptała ulegle: - Wybacz mi, lordzie Rahlu, Jeśli tego od nas żądasz, chętnie ci się oddamy.

Richard łagodnie uniósł jej głowę.

- To tylko takie powiedzonko, Hally. Jak sama stwierdziłaś, teraz nie jesteście już niewolnicami, choć łączy nas więź. Jestem nie tylko władcą Rahlem, ale i Poszukiwaczem Prawdy. Chcę, żebyście poszły za mną dlatego, że gra toczy się o słuszną sprawę. Właśnie z tą sprawą macie być związane, a nie ze mną. Nie obawiaj się, nigdy nie odbiorę wam wolności. Hally przełknęła ślinę.

- Dziękuję, lordzie Rahlu. Richard machnął zwojem.

- A teraz pozwólmy generałowi Reibischowi spotkać się z nowym władcą Rahlem, żebym mógł zacząć to, co muszę zrobić.

Berdine położyła dłoń na ramieniu chłopaka i powstrzymała go.

- Słowa naczelnego dowódcy mają służyć jako pomoc, lordzie Rahlu. Same nie zwiążą z tobą stacjonujących tu wojsk.

Richard wsparł się pod boki.

- Wszystkie cztery macie obrzydliwy zwyczaj wymachiwania mi czymś przed nosem, a następnie odbierania mi tego. Cóż jeszcze mam zrobić? Jakaś magiczną sztuczkę?

Wszystkie cztery przytaknęły, jakby wreszcie odgadnął ich plan.

- Co takiego?! - Chłopak pochylił się ku nim. - Myślicie, że ten generał każe mi wykonać jakąś sztuczkę i udowodnić tym moje prawa?

Cara z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

- To tylko zapisane na pergaminie słowa, lordzie Rahlu. Mają ci pomóc, nie zaś wykonać za ciebie zadanie. W pałacu w D'Harze słowo naczelnego dowódcy jest rozkazem i jedynie ty przewyższasz go tam rangą, lecz w polu jest inaczej. Tutaj rozkazy wydaje generał Reibisch. Musisz go przekonać, że masz wyższą rangę. Tych żołnierzy nie będzie łatwo sobie podporządkować. Muszą zobaczyć we władcy Rahlu kogoś obdarzonego wielką mocą, kogoś potężnego. Muszą się ugiąć przed tobą, żeby poczuć więź. Zupełnie jak oddziały w pałacu, kiedy rozjarzyłeś błyskawicą ściany. Sam powiedziałeś, że

muszą uwierzyć. A do tego trzeba więcej niż słowa zapisane na papierze. List naczelnego dowódcy Trimacka ma pomóc, sam list jednak nie wystarczy.

- Magia - mruknął do siebie Richard, opadając na rozchwiane krzesło.

Chłopak pocierał dłonią policzek i mimo straszliwego zmęczenia usiłował coś wymyślić. Był mianowanym przez czarodzieja Poszukiwaczem, co dawało mu władzę, ale i nakładało nań odpowiedzialność, gdyż Poszukiwacz sam stanowił prawa. Zamierzał tego dokonać jako Poszukiwacz. Wciąż mógł tego dokonać jako Poszukiwacz. Potrafił być Poszukiwaczem.

Gdyby jednak stacjonujący w Aydindril D'Haranczycy byli mu wierni...

Dla otumanionego zmęczeniem Richarda jasne było jedno: musi się upewnić, że Kahlan nic nie zagraża. Musi się posłużyć głową, nie tylko sercem. Nie może pognać do niej, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje. Nie może, jeśli chce, żeby naprawdę była bezpieczna. Musi to uczynić. Musi podporządkować sobie D'Haranczykow. Poderwał się.

- Zabrałyście czerwone uniformy?

Czerwone skórzane uniformy Mord-Sith wkładały do tresury, ponieważ nie było na nich widać plam krwi. Gdy Mord-Sith wkładała taki uniform, wszyscy wiedzieli, że poleje się mnóstwo krwi. Nie jej oczywiście.

Hally uśmiechnęła się przebiegle, po czym skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Mord-Sith nie rusza się nigdzie bez swojego czerwonego stroju. Cara zatrzepotała powiekami.

- Wymyśliłeś coś, lordzie Rahlu?

- Tak. - Uśmiechnął się do niej słodko. - Muszą zobaczyć moc i potęgę? Chcą pokazu straszliwej magii? No to go zobaczą. Pognębimy ich. - Uniósł znacząco palec. - Ale musicie zrobić, co każę. Nie chcę, by ktokolwiek przy tym ucierpiał. Nie po to was uwolniłem, żebyście zginęły.

Hally zmierzyła go twardym jak stal spojrzeniem.

- Mord-Sith nie umierają w łożu, stare i bezzębne.

W jej niebieskich oczach Richard dostrzegł cień szaleństwa, które zmieniło te kobiety w bezlitosną broń. On również doświadczył tego, co im czyniono. Wiedział, co to znaczy żyć w owym szaleństwie. Wytrzymał jej spojrzenie i łagodnym głosem spróbował zmiękczyć jego twardość.

- A kto będzie mnie bronił, Hally, jeśli was zabiją?

-Jeśli będziemy musiały poświęcić życie, to je poświęcimy. W innym wypadku nie byłoby lorda Rahla, którego mogłybyśmy chronić. - Nieoczekiwany uśmiech złagodził twarde spojrzenie Hally i delikatnie rozjaśnił panujący mrok. - Chcemy, żeby lord Rahl zmarł w łóżu, stary i bezzębny. Co mamy zrobić?

Przez myśli Richarda przemknął cień zwątpienia. Czyżby to samo szaleństwo wypaczało jego ambicje? Nie. Nie miał wyboru. To ocali ludzkie życie, nie będzie wymagało złożenia go w ofierze.

- Włóżcie czerwone uniformy. Poczekamy na zewnątrz, kiedy będziecie się przebierać, a potem wszystko wam wyjaśnię.

Odwrócił się, żeby odejść, lecz Hally chwyciła go za koszulę.

- Teraz, kiedy w końcu cię odnalazłyśmy, z pewnością nie spuścimy cię już z oka. Zostaniesz tu, podczas gdy będziemy się przebierać. Jeśli chcesz, możesz się odwrócić.

Richard westchnął, odwrócił się do nich plecami i skrzyżował ramiona. Dwaj żołnierze przyglądali się kobietom. Chłopak zmarszczył brwi i wskazał, że oni również mają się odwrócić. Zdumiony Gratch przechylił na bok głowę, wzruszył ramionami i także się odwrócił, naśladując Richarda.

- Cieszymy się, lordzie Rahlu, że postanowiłeś związać ze sobą tych żołnierzy - odezwała się Cara. Chłopak słyszał, jak wyciągają coś z plecaków.

- Będziesz bezpieczniejszy, gdy będzie cię chronić cała armia. Kiedy tylko obudzisz w nich więź, wyruszymy do D'Hary, gdzie nic ci nie zagrozi.

- Nie wyruszymy do D'Hary - rzucił przez ramię Richard. - Czekają na mnie ważne sprawy. Mam własne plany.

- Plany, lordzie Rahlu? - Niemal czuł na karku oddech Rainy zdejmującej brązowy skórzany uniform. - Jakie plany?

- A jakież plany może mieć władca Rahl? Chcę zdobyć świat.

ROZDZIAŁ 9

Nie musieli się przedzierać przez tłum: poprzedzała ich fala paniki i ludzie z wrzaskiem rozpierzchali się niczym owce na widok wilków. Matki uciekały, trzymając dzieci na ramionach, mężczyźni padali twarzami w śnieg i odczołgivali się, uciekający w popłochu handlarze porzucali swoje towary, a sklepikarze zatrzaskiwali drzwi sklepów.

Richard uznał, że panika to dobry znak. Przynajmniej nikt ich nie zignoruje. Trudno było rzecz jasna zignorować siedmiostopową chimere spacerującą sobie po mieście w biały dzień. Chłopak podejrzewał, że Gratch wspaniale się bawi. Pozostali nie podzielali prostoduszności chimery i z ponurymi minami maszerowali środkiem ulicy.

Gratch podążał za Richardem, Ulic i Egan na przedzie, Cara i Berdine po lewej ręce chłopaka, natomiast Hally i Raina po prawej. Nie było to przypadkowe rozstawienie. Ulic i Egan upierali się, że jako przyboczni strażnicy lorda Rahla właśnie oni powinni iść po bokach. Kobietom się to nie podobało i twierdziły, że one powinny otaczać lorda Rahla ochronnym pierścieniem. Gratchowi było wszystko jedno, chciał tylko iść w pobliżu Richarda.

Chłopak musiał podnieść głos, by przerwać tę sprzeczkę. Powiedział, że Ulic i Egan powinni być na przedzie, żeby w razie potrzeby torować drogę. Mord-Sith miały iść po bokach, a Gratch z tyłu, ponieważ przewyższając ich wzrostem, widzi wszystko, co dzieje się dokoła. Każdy wydawał się zadowolony, sądząc, że idzie na pozycji, z której najlepiej będzie mógł strzec lorda Rahla.

Ulic i Egan zsunęli z ramion peleryny, odsłaniając tym samym najeżone ostrymi kolcami pierścienie zapięte tuż powyżej łokci, lecz nie dobyli mieczy. Cztery kobiety, odziane od stóp do głów w czerwone skóry z umieszczonymi na brzuchu żółtymi gwiazdami i półksiężycami, emblematami Mord-Sith, trzymały Agiele w dłoniach chronionych czerwonymi rękawicami.

Richard aż nazbyt dobrze wiedział, jaki ból powoduje takie trzymanie Agiela. Tak jak jego ranił Agiel, którym tresowała go Denna i który mu potem oddała, tak i owe kobiety musiały odczuwać ból, zaciskając w pięściach

swoje. Chłopak wiedział, że musiał on być straszliwy, lecz Mord-Sith uczono odporności nań i wciąż uparcie się tym szczyciły.

Chłopak usiłował namówić je, by zrezygnowały z Agieli, ale się nie zgodziły. Prawdopodobnie mógłby im to nakazać, lecz oznaczałoby to naruszenie wolności, którą im ofiarował, a na to nie miał ochoty. Same musiały podjąć taką decyzję. Nie sądził jednak, by to zrobiły.”Wystarczająco długo nosił u boku Miecz Prawdy, żeby rozumieć, jak często pragnienia kłóca się z zasadami. Nienawidził miecza i chciał się go pozbyć, uwolnić się od tego, co nim czynił, od tego, co oręż czynił jemu, ale w razie konieczności walczył, żeby miecz zatrzymać.

Przed dwupiętrowym budynkiem, w którym mieścił się d’harański sztab, kręciło się około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu żołnierzy. Chyba tylko sześciu z tych, którzy znajdowali się na podeście przed wejściem, stało na posterunkach. Zmierzając ku schodom, Richard i jego towarzysze nie zwolnili kroku, lecz przedzierali się prosto przez grupkę żołnierzy. Ci schodzili im z drogi zaskoczeni osobliwym widokiem.

Nie przerazili się tak, jak ludzie przebywający na rynku, po prostu usuwali się z drogi. Gniewne spojrzenia czterech kobiet przepłoszyły maruderów równie skutecznie jak obnażona broń. Niektórzy żołnierze, cofając się, zaciskali dłonie na rękojeściach mieczy.

- Przejście dla lorda Rahla - zawołał Ulic.

Żołnierze beładnie cofnęli się jeszcze bardziej. Kilku było zaskoczonych, lecz nie chcąc ryzykować, pokłoniło się.

Richard, spięty i skupiony, obserwował to wszystko spod kaptura peleryny mriswitha.

Nim ktokolwiek wpadł na pomysł, żeby ich zatrzymać i przepytać, zdołali przejść przez tłumek żołnierzy i wchodzili już po dwunastu stopniach wiodących ku skromnym, okutym żelazem drzwiom. Jeden ze stojących na podeście strażników, żołnierz, który niemal dorównywał wzrostem Richardowi, uznał, że nie wiadomo bynajmniej, czy przybysze mogą wejść. Stanął przed drzwiami.

- Zaczekacie...

- Przejście dla lorda Rahla, głupcze - warknął Egan, nie zwalniając kroku. Żołnierz wbił wzrok w pierścienie na ramionach Egana i Ulica. - Co...?!

Egan, nie zwolniwszy nawet, uderzył go i odrzucił na bok. Strażnik spadł

z podestu. Dwaj inni odskoczyli, robiąc przejście, a trzej ostatni otworzyli drzwi i wycofali się przez nie tyłem.

Richard drgnął. Powiedział wszystkim, Gratchowi również, że nikomu nie powinna się stać krzywda, chyba że będzie to konieczne. Teraz martwił się tym, co każdy z nich mógłby uznać za ową konieczność.

Wewnątrz usłyszano zamieszanie i ze słabo oświetlonych holi nadbiegali ku nim żołnierze. Widok Ulica i Egana oraz ich złotych pierścieni powstrzymał nadbiegających od dobytcia broni, niemniej jednak wciąż byli gotowi to uczynić. Pełne groźby warknięcie Gratcha sprawiło, że zwolnili. Stanęli jak wryci na widok Mord-Sith odzianych w czerwone skóry.

- Generał Reibisch - powiedział Ulic. Kilku żołnierzy zbliżyło się.

- Lord Rahl do generała Reibischa - rzucił władczy, spokojnym tonem Egan. - Gdzie generał?

Żołnierze wpatrywali się w nich podejrzliwie bez słowa. Po prawej przez tłumek przepchnął się krzepki oficer i wsparł się pięściami pod boki. Na jego naznaczonej bliznami po przebytej ospie twarzy pojawiła się gniewna mina.

- O co chodzi?

Napastliwie postąpił krok do przodu, o jeden krok za daleko, po czym wyciągnął ku nim groźnie palec. Raina w mgnieniu oka dotknęła Agielem ramienia oficera, rzucając go na kolana. Przesunęła bicz nieco wyżej i wcisnęła jego czubek w nerw z boku szyi. Wrzask żołnierza odbił się echem w licznych holach. Jego ludzie się cofnęli.

- Masz odpowiadać na pytania - oznajmiła Raina charakterystycznym, nie znoszącym sprzeciwu tonem Mord-Sith, która całkowicie panuje na swoją ofiarą - a nie je zadawać. - Ciało krzyczącego dowódcy wiło się w konwulsjach. Raina nachyliła się nad nim, zaskrzypiał jej czerwony skórzany uniform. - Dam ci ostatnią szansę. Gdzie jest generał Reibisch?

Ramię biedaka skoczyło w górę, dygocząc, i wskazało kierunek w środkowym z trzech holi.

- Drzwi... na końcu... holu.

- Dziękuję - rzekła Mord-Sith i cofnęła Agiel.

Oficer osunął się na ziemię niczym marionetka, której niespodziewanie przecięto wszystkie sznurki. Richard wciąż był w pełni skoncentrowany i nie pozwolił sobie na okazanie współczucia. Dotknięcie Agiela sprawiło żołnierzowi ogromny ból, lecz Raina nie zabiła go; oficer z tego wyjdzie.

Tymczasem jednak podwładni przyglądali się rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jak jeden z dowódców wił się w straszliwych męczarniach.

- Pokłońcie się władcy Rahlowi. Wszyscy - syknęła Raina.

- Władcy Rahlowi? - spytał czyjś przerażony głos.

- Oto władca Rahl. - Hally wskazała Richarda.

Żołnierze gapili się nań skonsternowani. Raina strzeliła palcami i wskazała na podłogę. Opadli na kolana. Nim zdążyli pomyśleć, Richard i jego towarzysze ruszyli w głąb holu, a odgłos kroków, które stawiali na podłodze z szerokich desek, odbijał się echem od ścian. Niektórzy żołnierze poszli za nimi, dobywszy mieczy.

Przy końcu holu Ulic gwałtownie otworzył drzwi prowadzące do obszernego, sklepionego wysoko pomieszczenia, w którym nie było żadnych ozdób. Spod białego wapna tu i tam przebijał błękit, który niegdyś pokrywał ściany. Gratch musiał się schylić, żeby przejść przez drzwi. Richard starał się nie zwracać uwagi na odczucie, że wchodzi właśnie w kłębowisko żmij.

W środku czekały na nich trzy szeregi d'haranskich żołnierzy, z których każdy dzierżył w dłoni miecz lub topór bojowy. Była to lita ściana ponurych, zaciętych twarzy, mięśni i stali. Za żołnierzami, pod ścianą, na której znajdowały się nie upiększone niczym okna wychodzące na zaśnieżony podwórzec, stał długi stół. Za najdalszym murem dziedzińca Richard dostrzegł iglice Pałacu Spowiedniczek, a ponad nimi, na stoku góry, Wieżę Czarodzieja.

Za stołem siedzieli srogo wyglądający żołnierze i patrzyli na intruzów. Na ich ramionach, przysłonięte częściowo rękawami kolczug, widniały równe blizny. Richard przypuszczał, że były to odznaki rangi. Wyglądali na oficerów, ich oczy wyrażały pewność siebie i oburzenie.

Siedzący pośrodku oficer odchylił do tyłu krzesło i skrzyżował muskularne ramiona, które pokrywało najwięcej blizn. Kędzierzawa, rdzawa broda częściowo zakrywała starą białą szramę, biegnącą od skroni aż do szczęki. Z niezadowoleniem ściągnął gęste brwi.

Hally spojrzała gniewnie na żołnierzy.

- Przyszliśmy do generała Reibischa. Z drogi albo was usuniemy. Kapitan gwardzistów wyciągnął ku niej rękę.

- Musisz...

Hally uderzyła go w głowę wzmocnioną metalem rękawicą, a Egan trafił

łokciem w ramię, cofnął się nieco, złapał za włosy, po czym wygiął kark na swoim kolanie i chwycił go za gardło.

- Jeśli chcesz umrzeć, to powiedz.

Kapitan tak mocno zacisnął wargi, że aż zbieleły. Reszta żołnierzy przysunęła się, klnąc gniewnie. Agiel Mord-Sith uniósł się ostrzegawczo.

- Przepuścić ich - polecił siedzący za stołem brodacz.

Żołnierze cofnęli się, robiąc wąskie przejście. Idące po bokach kobiety uniosły Agiele i przejście się poszerzyło. Egan puścił kapitana. Mężczyzna opadł na zdrowe ramię i kolana i zaczął kaszleć, z trudem łapiąc przy tym powietrze. Hol i drzwi wypełnili uzbrojeni wartownicy.

Brodacz ze stukiem opuścił na podłogę przednie nogi swojego krzesła. Położył dłonie na papierach leżących pomiędzy schludnymi stosikami.

- O co wam chodzi?

Hally stanęła między Ulikiem i Eganem.

- Generał Reibisch?

Brodacz przytaknął. Hally delikatnie się mu ukloniła. Richard jeszcze nigdy nie widział, by Mord-Sith skłoniła niżej głowę, nawet przed królową.

- Przynosimy wiadomość od naczelnego dowódcy Trimacka z Pierwszej Kompanii. Rahl Posępny nie żyje, a nowy władca Rahl przegnał jego ducha do zaświatów.

- Czyżby? - zdziwił się brodacz.

Hally wyjęła zwój z sakiewki i podała mu go. Przez chwilę przyglądał się pieczęci, a następnie złamał ją kciukiem. Ponownie odchylił do tyłu krzesło, rozwinął list i zaczął czytać. Szarozielone oczy przesuwają się po liniijkach tekstu. Krzesło raz jeszcze opadło ze stukiem.

- I trzeba było was wszystkich, żeby dostarczyć ów list?

Hally wsparła o stół kłykcie chronione przez pancerną rękawicę i pochyliła się ku niemu.

- Przynieśliśmy nie tylko list, generale Reibisch. Przeprowadziliśmy też lorda Rahla.

- Ach tak. I gdzież jest ten wasz lord Rahl?

Hally przybrała postawę Mord-Sith, dając tym samym do zrozumienia, że nie życzy sobie kolejnych pytań.

- Stoi przed tobą.

Reibisch spojrzał na nieznanomych, przelotnie zatrzymał wzrok na

chimerze. Hally wyprostowała się i wskazała Richarda.

- Oto lord Rahl, władca D'Hary oraz wszystkich jej mieszkańców.

Żołnierze zaczęli szeptać, przekazując jej słowa znajdującym się w holu towarzyszom. Zdumiony generał Reibisch wskazał na kobiety.

- Jedna z was twierdzi, że jest lordem Rahiem?

- Nie bądź głupcem - odezwała się Cara. Wskazała Richarda. - To jest lord Rahl.

Generał gniewnie ściągnął brwi.

- Nie wiem, co to za gierki, ale moja cierpliwość już...

Richard odrzucił kaptur peleryny mriswitha i przestał się koncentrować. Ukazał się oczom generała i żołnierzy.

Wszyscy D'Haranczy wstrzymali oddech. Niektórzy się cofnęli, inni padli na kolana, oddając głęboki pokłon.

- To ja jestem lordem Rahlem - powiedział spokojnie Richard. Przez chwilę panowała całkowita cisza, potem jednak generał Reibisch uderzył dłonią w stół i wybuchnął śmiechem. Odrzucił do tyłu głowę i ryczał ze śmiechu. Niektórzy żołnierze zawtórowali mu i zaczęli chichotać, ale ich spojrzenia wskazywały, że nie wiedzą, dlaczego się śmieją. Po prostu uznali, że tak będzie lepiej. Generał Reibisch przestał się śmiać i wstał.

- Niezła sztuczka, młodzieńcze, ale od początku mojego pobytu w Aydindril zobaczyłem już wiele sztuczek. Pewnego dnia jakiś człowiek zabawiał mnie, wypuszczając ptaki ze spodni. - Znów przybrał gniewną minę. - Przez moment niemal ci uwierzyłem, lecz żadna sztuczka nie sprawi, że zostaniesz lordem Rahlem. Być może w oczach Trimacka, ale nie w moich. Nie kłaniam się ulicznym magikom.

Podczas gdy wszyscy wpatrywali się w niego, Richard stał nieruchomo i szybko starał się wymyślić, jak się teraz zachować. Nie był przygotowany na śmiech. Nie przychodziło mu do głowy żadne inne magiczne działanie, a zresztą ów człowiek i tak nie odróżniłby prawdziwej magii od zwykłej sztuczki. Nie potrafił niczego wymyślić, lecz przynajmniej zadbał o to, żeby w jego głosie zabrzmiała pewność siebie.

- Jestem Richard Rahl, syn Rahla Pośepnego. Mój ojciec nie żyje. Teraz ja jestem lordem Rahlem. Jeśli chcesz zachować swoje stanowisko, oddaj mi pokłon i uznaj moją władzę. W przeciwnym wypadku zastąpię cię kimś innym.

Generał Reibisch ponownie się zaśmiał i wsunął kciuk za pas.

- Pokaż jeszcze jedną sztuczkę, a jeśli mi się spodoba, zanim was odeślę, dam tobie i twojej trupie monetę. I tak zamierzam cię nagrodzić, choćby za twoją zuchwałość.

Żołnierze podeszli bliżej. Nastrój stawał się coraz bardziej ponury.

- Lord Rahl nie wykonuje sztuczek - parsknęła Hally. Reibisch oparł o blat stołu mięsiste dłonie i pochylił się ku niej.

- Twoje przebranie jest bardzo przekonujące, ale nie powinnaś udawać, że jesteś Mord-Sith, młoda damo. Jeżeli wpadniesz którejś z nich w ręce, nie ujdzie ci to na sucho. One bardzo poważnie traktują swoją profesję.

Hally dotknęła Agielem jego dłoni i wstrząśnięty generał Reibisch odskoczył z krzykiem do tyłu. Dobył noża.

Warknięcie Gratcha sprawiło, że zadrżały szyby. Chimera wyszczerzyła kły, a jej zielone ślepia zapłonęły. Skrzydła rozwinęły się z łopotem jak żagle na wietrze. Żołnierze cofnęli się, unosząc broń.

Richard jęknął w głębi duszy. Sprawy błyskawicznie wymykały się spod kontroli. Żałował, że lepiej wszystkiego nie przemyślał, ale był przekonany, że gdy się zmaterializuje, przerazi D'Harańczyków i skłoni ich, by w niego uwierzyli. Powinien przynajmniej obmyślić plan ucieczki. Teraz nie miał pojęcia, jak zdołają się stąd wydostać, nie tracąc życia. Nawet gdyby im się to udało, mogłoby ich to słono kosztować. Mogłaby to być krwawa łaźnia. Nie chciał tego. Zapragnął zostać władcą Rahlem tylko dlatego, żeby móc ocalić ludzi od krzywdy, nie zaś po to, by ich ranić. Dokoła narastały krzyki. Richard dobył miecza, nim zdał sobie sprawę z tego, co czyni. W pokoju rozległ się charakterystyczny szcęk stali. Magia miecza wniknęła w chłopaka, spiesząc mu na ratunek, wypełniając go swoją furją. Miał wrażenie, że żar przepalił go aż do szpiku kości. Dobrze znał to uczucie i przyzywał je: w tej sytuacji nie miał wyboru. Gniew rozszalał się w nim. Pozwolił, by wraz z nim wniknęły weń duchy tych, którzy przed nim władali Mieczem Prawdy.

Reibisch machnął nożem.

- Zabić oszustów!

Generał właśnie rzucił się ku Richardowi przez stół, kiedy w pokojach rozległ się przeraźliwy łoskot. W powietrzu zaroilo się od odłamków szkła, które połyskiwały odbijającym się w nich światłem.

Richard przykucnął, kiedy Gratch przeleciał nad nim. W górze, ponad ich głowami, furkotały odłamki szyb. Stojący za stołem oficerowie pochylili się do przodu, niektórych poraniły kłębiące się w powietrzu odłamki. Chłopak z osłupieniem uświadomił sobie, że okna eksplodują do wewnątrz.

Wśród deszczu szkła błysnęły barwne plamy. Na podłogę spadły cienie i błyski światła. Wstrząśnięty Richard rozpoznał je dzięki gniewowi miecza.

Mriswithy.

Dotknęły podłogi i stały się cielesne.

W pomieszczeniu wybuchła walka. Richard widział błyski czerwieni, fruujące strzępy sierści, lśnienie stalowych kling. Jeden z oficerów padł twarzą na stół, a jego krew splamiła rozłożone na nim dokumenty. Ulic odepchnął dwóch żołnierzy, Egan przerzucił kolejnych dwóch przez stół.

Richard zignorował panujący wokół zgiełk i dotarł do wewnętrznego ośrodka spokoju. Ogłuszająca kakofonia ucichła, kiedy chłopak przycisnął do czoła chłodną stalową klingę, milcząco błagając miecz, by nie zawiódł go i tym razem.

Widział i czuł jedynie mriswithy. Z całej duszy pragnął, by tak właśnie było.

Właśnie poderwała się ta z bestii, która znajdowała się najbliżej chłopaka, *odwrócona do niego* plecami. Z gniewnym okrzykiem Richard uwolnił furię Miecza Prawdy. Czubek klingi świsnął w powietrzu, ostrze odnalazło cel i magia posmakowała krwi. Bezgłowy mriswith osunął się na podłogę, wypuszczając z dłoni noże o trzech ostrzach.

Richard gwałtownie obrócił się ku potworowi, który stał po jego prawej stronie. Hally skoczyła pomiędzy nich, zagradzając chłopakowi drogę. Ten wykorzystał jednak impet obrotu, żeby odepchnąć ją ramieniem, i jednocześnie przeciął drugiego mriswitha, zabijając go, zanim głowa pierwszej zgładzonej bestii zdążyła spaść na podłogę. W powietrzu zawisły krople cuchnącej krwi.

Chłopak ponownie wykonał obrót. Ogarnięty furią stanowił jedno z mieczem, z jego magią, z jego duchami. Był - jak nazwał sam siebie, jak nazwały go zapisane w górnod'harańskim starożytnym proroctwa - *fuer grissa ost drauka*: dawcą śmierci. W innym wypadku jego przyjaciółom groziłaby śmierć, w tej chwili jednak Richard nie potrafił rozsądnie myśleć.

Chociaż trzeci mriswith był ciemnobrażowy jak skórzane mundury

wojskowych, chłopak i tak go dopadł, gdy tamten przedzierał się przez grupę żołnierzy. Potężnym ciosem wbił miecz pomiędzy łopatki bestii. Powietrzem wstrząsnął przedśmiertny wrzask mriswitha.

Usłyszawszy ten dźwięk, żołnierze zamarli i w sali zapanowała cisza.

Richard, dysząc z wysiłku i z gniewu, odrzucił na bok zwłoki mriswitha. Martwy stwór ześliznął się z klingi, potoczył po podłodze i uderzył w nogę stołu. Ta złamała się, mebel przechylił się i posypały się papiery.

Chłopak zacisnął zęby, zatoczył łuk klingą, mierząc w żołnierza stojącego tam, gdzie przed chwilą znajdował się mriswith. Ociekający krwią czubek ostrza znieruchomiał przy gardle D'Harańczyka. Gniew oręza wymykał się spod kontroli, chciał zabić, wyeliminować zagrożenie.

Pałające śmiertcionym gniewem oczy Poszukiwacza napotkały spojrzenie generała Reibischa. Nie można było nie rozpoznać magii tańczącej w oczach Richarda. Nie było żadnej wątpliwości: wrażenie przypominało spojrzenie w słońce, doznanie jego żaru.

Nikt nic nie powiedział, zresztą Richard i tak nie usłyszałby niczego: widział wyłącznie człowieka, którego gardło trzymał na czubku klingi, na ostrzu zemsty. Chłopak przekroczył granicę śmiertcionego zapamiętania, znalazł się pod wpływem rozszalałej magii. Powrót był straszliwie trudny.

Generał Reibisch padł na kolana, a jego spojrzenie powędrowało wzdłuż klingi Miecza Prawdy aż do gniewnych, jastrzębich oczu Richarda. W dzwoniącej ciszy dał się słyszeć głos d'haranskiego dowódcy:

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w *twojej* chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Nie były to nieszczerze słowa, wypowiedane przez generała po to tylko, żeby ocalić życie, lecz pełne czci słowa człowieka, który zobaczył coś, czego w ogóle nie spodziewał się zobaczyć.

Richard również mnóstwo razy wypowiadał je podczas modłów. Na dwie godziny przed porankiem i południem dźwięk dzwonów zwoływał mieszkańców Pałacu Ludu w D'Harze na plac modlitewny. Dotykali czołami ziemi i recytowali tę samą modlitwę. Richard, zgodnie z rozkazem, wypowiedział je, gdy pierwszy raz zobaczył Rahla Posepnego. Teraz, patrząc na generała i słysząc je, poczuł odrazę, a jednocześnie ulgę.

- Lordzie Rahtu, *ocaliłeś* mi życie. Ocaliłeś życie nam wszystkim. Dziękuję
- wyszeptał Reibisch.

Richard zdawał sobie sprawę, że gdyby teraz chciał zabić generała, Miecz Prawdy nie uczyniłby tamtemu krzywdy. W głębi serca wiedział, że ów człowiek nie jest już jego wrogiem. Miecz nie zrani nikogo, kto nie stanowi zagrożenia, chyba że chłopak sprawiłby, iż zbielałaby klinga, i posłużył się miłością oraz przebaczeniem. Jednak gniew nie ustępował przed rozsądkiem i powstrzymanie go wymagało strasznego wysiłku. W końcu Richard zdołał zapanować nad nim i wsunął Miecz Prawdy do pochwy, oddalając wraz z nim magię i gniew.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Richardowi wydawało się, że to przelotny sen, moment przemocy - i już było po wszystkim.

W poprzek przechylonego stołu leżał martwy oficer, *jego* krew spływała po wypolerowanym blacie. Podłogę zaścielały okruchy szkła, porozrzucone dokumenty i zakrzepła, cuchnąca krew mriswithów. Żołnierze, którzy znajdowali się w sali i w holu, klęczeli. Oni również widzieli magię.

- Czy innym nic się nie stało? - Richard spostrzegł, że ochrypl od krzyku.
- Ktoś jeszcze został ranny?

Odpowiedziała mu cisza. Kilku żołnierzy opatrywało rany. Były bolesne, lecz nie zagrażały życiu. Pośród klęczących żołnierzy stali Ulic i Egan. Obaj członkowie straży przybocznej byli zasapani i mieli okrwawione pięści, ale w ogóle nie dobyli mieczy. Przybyli tu z Pałacu Ludu, już to widzieli.

Gratch złożył skrzydła i uśmiechnął się. Przynajmniej jego jednego wiąże ze mną przyjaźń, pomyślał Richard. Na podłodze leżały zwłoki czterech mriswithów: Gratch zabił jednego, a Richard trzy. Na szczęście udało im się tego dokonać, zanim bestie zdążyły zabić jeszcze kogoś. Starcie z nimi mogło się skończyć o wiele gorzej. Cara odrzuciła z twarzy kosmyk włosów, Berdine wyczesywała odłamki szkła, a Raina puściła ramię żołnierza, pozwalając mu upaść i złapać oddech.

Chłopak spojrzał poza leżące na podłodze zwłoki mriswitha. Hally stała pochylona, krzyżując ramiona na brzuchu. Czerwień jej skózanego uniformu kontrastowała ostro z jasnymi włosami. Agiel wisiał na łańcuszku okalającym nadgarstek Mord-Sith. Jej twarz była szara. Richard spojrzał w dół i przebiegł go lodowaty dreszcz. Czerwony skórzany uniform maskował

to, co teraz chłopak zobaczył: Hally stała w kałuży krwi. Swojej krwi. Przeskoczył ponad mriswithem i chwycił ją w ramiona.

- Hally! - Podtrzymał ją i ułożył na podłodze. - Co się stało, na dobre duchy?

Jeszcze nie skończył mówić, a już wiedział: tak zabijały mriswithy. Trzy pozostałe kobiety już były przy nich i uklękły za Richardem, który podtrzymywał głowę Hally. Gratch przycupnął obok chłopaka.

Hally podniosła na niego niebieskie oczy.

- Lordzie Rahlu...

- Tak mi przykro, Hally. Nie powinienem był...

- Nie... posłuchaj. Byłam głupio roztargniona... a on był szybki... ale... itak... kiedy mnie ciął... pochwyciłam jego magię. Przez chwilę... zanim go zabiłeś... był mój.

Gdy ktoś używał magii przeciwko Mord-Sith, te mogły przejąć nad nią kontrolę i przeciwnik stawał się bezradny. Właśnie w ten sposób Denna pojmała Richarda.

- Tak mi przykro, Hally, że nie działałem wystarczająco szybko.

- To był dar.

- Co takiego?

- Jego magia była taka jak twoja... to dar.

Chłopak głaskał jej zimne czoło, zmuszając się, żeby spoglądać jej w oczy i nie odwracać wzroku.

- Dar? Dziękuję za ostrzeżenie, Hally. Jestem ci bardzo zobowiązany.

Zacisnęła okrwawioną dłoń na koszuli Richarda. - Dziękuję, lordzie Rahlu... za wolność. - Walczyła o każdy płytki oddech. - Choć trwała tak krótko... warto... było. - Spojrzała na swoje siostry w Agielu. - Chronicie go...

Po raz ostatni odetchnęła chrapliwie, a po chwili w chłopaka wpatrywały się niewidzące oczy.

Richard zapłakał i przytulił do siebie bezwładne ciało. Płakał, bo nie mógł odwrócić tego, co się stało. Gratch czule dotknął łapą pleców Hally, a Cara położyła dłoń na ramieniu chłopaka.

- Nie chciałem, by któraś z was umarła. O dobre duchy, nie chciałem.

- Wiemy, lordzie Rahlu. - Raina ścisnęła jego ramię. - To dlatego musimy cię chronić.

Richard ostrożnie złożył ciało Hally na podłodze i pochylił się nad nią,

nie chcąc, by inni ujrzeli jej straszliwą ranę. W pobliżu dostrzegł pelerynę mriswitha. Odwrócił się do stojącego niedaleko żołnierza:

- Daj mi swoją bluzę.

Żołnierz tak szybko zdarł z siebie bluzę, jakby się paliła. Richard zamknął Hally oczy i okrył ją bluzą, ze wszystkich sił powstrzymując mdłości.

- Wyprawimy jej d'haranski pogrzeb, lordzie Rahlu. - Stojący obok generał Reibisch wskazał stół. - Razem z Edwardsem.

Richard mocno zacisnął powieki, pomodlił się do dobrych duchów, żeby strzegły duszy Hally, po czym wstał.

- Po modłach.

- Lordzie Rahlu? - Generał spojrział na niego z ukosa.

- Walczyła dla mnie. Zginęła, ponieważ starała się mnie zasłonić. Chcę, by przed odejściem na spoczynek jej dusza wiedziała, że nie był to daremny wysiłek. Hally i twój człowiek odejdą w pokoju tego popołudnia, po modłach.

- Lordzie Rahlu, pełnego rytuału nie odprawia się w terenie, lecz w D'Harze. Poza nią praktykuje się tylko hołd samego dowódcy, który złożył ci generał Reibisch - szepnęła Cara, nachylając się ku niemu.

Generał przytaknął jej słowom przepraszająco. Richard omiótł wzrokiem salę. Wszyscy patrzyli na niego. Bielone ściany plamiła krew mriswithow. Chłopak znów spojrział twardo na generała.

- Nie obchodzi mnie, jak postępowaliście w przeszłości. Dzisiaj w Aydindril odbędzie się pełny rytuał. Jutro możecie wrócić do dawnych obyczajów, lecz dziś wszyscy D'Haranczycy w tym mieście mają odprawić pełny rytuał.

Generał przeczesał palcami brodę.

- W okolicy stacjonuje mnóstwo oddziałów, lordzie Rahlu. Trzeba wszystkie zawiadomić i...

- Nie interesują mnie usprawiedliwienia, generale Reibisch.

Jeśli nie potrafisz sobie z tym poradzić, nie oczekuj, bym uwierzył, że poradzisz sobie z innymi zadaniami.

Generał Reibisch spojrział szybko przez ramię na swoich oficerów, jakby dawał im znać, że zobowiąże się także w ich imieniu. Przeniósł wzrok na Richarda i przycisnął dłoń do serca.

- Daję słowo żołnierza pozostającego w służbie D'Hary, żelazo przeciwko żelazu, że stanie się tak, jak rozkazał lord Rahl. Tego popołudnia wszyscy

D'Haranczycy ze złości odprawiają pełny rytuał zawierzenia nowemu władcy Rahlowi. - Generał rzucił okiem na leżącego pod stołem mriswitha. Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś władca Rahl walczył żelazem przeciwko żelazowi razem ze swoimi żołnierzami. Wydawało się, że same duchy kierowały twoim ramieniem. - Odchrząknął. - Czy wolno mi zapytać, lordzie Rahlu, jakaż to trudna droga przed nami?

Richard badał wzrokiem poznaną bliznami twarz generała. - Jestem czarodziejem wojny. Walczę, wykorzystując wszystko, co mam: magię i miecz.

- A moje pytanie, lordzie Rahlu?

- Właśnie na nie odpowiedziałem, generale Reibisch.

Kąciki ust generała uniosły się w delikatnym uśmiechu. Chłopak bezwiednie spojrzał na leżącą na podłodze Hally. Bluza nie zasłaniała wszystkiego. Kahlan miałaby jeszcze mniej szans w spotkaniu z mriswithem. Znowu poczuł mdłości.

- Wiedz, lordzie Rahlu, że umarła tak, jak chciała. Jak Mord-Sith - powiedziała pocieszająco Cara.

Richard próbował sobie przypomnieć uśmiech, który znał zaledwie od paru godzin, ale nie potrafił. Pamięć podsuwała mu tylko obraz straszliwej rany, którą widział przez parę sekund. Zaciśnął pięści, tłumiąc mdłości, i spojrzał gniewnie na pozostałe Mord-Sith.

- Na duchy, chcę, żebyście wszystkie umarły w łóżu, stare i bezzębne. Przyzwyczajcie się do tej myśli!

ROZDZIAŁ 10

Tobias Brogan pocierał wąż i zerkał kątem oka na Lunettę. Kiedy odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy, skrzywił z goryczą usta. Opuścił go tak u niego rzadki dobry nastrój. Mężczyzna mówił prawdę. Lunetta nie myliła się w tych sprawach, a przecież Brogan wiedział, że to nie jest prawda. Nie był taki głupi. Popatrzył na człowieka stojącego przed nim po drugiej stronie stołu, przy którym mogło ucztować nawet siedemdziesiąt osób, i zmusił się do uprzejmego uśmiechu.

- Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

Tamten spojrział podejrzliwie na stojących po jego bokach żołnierzy w lśniących zbrojach.

- Tylko tego chciałeś się dowiedzieć? Kazałeś mnie tu przywlec tylko po to, żeby spytać o to, co wszyscy wiedzą? Powiedziałbym to samo twoim żołnierzom, gdyby mnie spytali.

Brogan zmusił się do podtrzymania uśmiechu.

- Przepraszam za niedogodności. Przysłużyłeś się i Stwórcy, i mnie. - Uśmiech wymknął się Broganowi spod kontroli. - Możesz odejść.

Mężczyzna spostrzegł wyraz oczu naczelnego wodza, więc pochylił głowę i pospiesznie ruszył ku drzwiom.

Brogan postukał kciukiem w przyczepiony do pasa pojemnik i popatrzył niecierpliwie na Lunettę.

- Jesteś pewna?

Lunetta, która była w swoim żywiole, spokojnie odwzajemniła spojrzenie.

- Mówił prawdę, naczelnny wodzu, podobnie jak tamci. Znała swój tak przecież odrażający fach, a praktykowanie go dawało jej pewność siebie. Zirykowało to Tobiasa. Uderzył pięścią w stół.

- To nie jest prawda!

Wydawało mu się, że w spoglądających na niego spokojnych oczach siostry dostrzega Opiekuna.

- Nie mówię, że to jest prawda, naczelnny wodzu, ale twierdzę, że oni mówią to, co uważają za prawdę.

Tbbias chrząknął teatralnie. Zgadzał się z tym. Całe życie spędził na

tropieniu zła i nauczył się kilku jego sztuczek. Rozpoznawał magię. Zwierzyna była tak blisko, że niemal wyczuwał ją węchem.

Przez szparę w ciężkich złocistych zasłonach wpadał snop słonecznych promieni. Słońce późnego południa rzucało błyszczący promień na poślacaną nogę krzesła, ozdobiony kwiatowym motywem dywan w kolorze królewskiego błękitu oraz na narożnik długiego, błyszczącego blatu stołu. Dawno minęła pora, kiedy należało podać południowy posiłek, gdyż Broganowi spieszno było do poprowadzenia przesłuchań, tymczasem zaś wódz nawet o krok nie zbliżył się do celu. Wciąż tkwił w punkcie wyjścia. Przygnębiało go to i irytowało.

Galtero zazwyczaj wykazywał się talentem w sprowadzaniu świadków, którzy mogliby dostarczyć pożądanых informacji, tym razem jednak wszyscy, którzy stanęli przed Broganem, na nic się nie przydali. Naczelny wódz zastanawiał się, co też Galtero odkrył: w mieście z jakiegoś powodu wrzało, a Tobias Brogan nie lubił rozruchów, chyba że to on i jego ludzie byli ich przyczyną. Zamieszki mogą być potężną bronią, on jednak nie przepadał za tym, co nieznane. Galtero z pewnością już dawno wrócił.

Tobias odchylił się do tyłu w skórzanym, przesywanym w romby fotelu i zapytał jednego ze strzegących drzwi żołnierzy w purpurowych pelerynach:

- Czy Galtero już wrócił, Ettore?

- Nie, naczelny wodzu.

Ettore był młody i bardzo chciał się odznaczyć w walce ze złem. Był dobrym żołnierzem, bystrym, lojalnym i bezwzględny dla służalców Opiekuna, Pewnego dnia zostanie jednym z najlepszych tropicieli banelingów. Tobias rozmasował bolące plecy.

- Ilu jeszcze mamy świadków?

- Dwoje, naczelny wodzu.

- Zatem wprowadź następnego. - Brogan niecierpliwie dał znak ręką.

Ettore wymknął się przez drzwi, a Tobias zerknął przez snop słonecznych promieni na stojącą pod ścianą siostrę. - Jesteś pewna, Lunetto, tak? Patrzyła na niego, tuląc do siebie barwne strzępy tkanin.

- Tak, naczelny wodzu.

Brogan westchnął. Ettore wprowadził chudą i niezbyt zadowoloną kobietę. Tobias przybrał najuprzejmiejszy ze swoich uśmiechów - dobry myśliwy bez potrzeby nie straszy zdobyczy. Kobieta wyszarpnęła łokieć z

dłoni Ettore.

- O co chodzi? Zabrano mnie wbrew mojej woli i przez cały dzień trzymano zamkniętą w pokoju. Kto wam dał prawo ściągania ludzi wbrew ich woli!?

Tobias uśmiechnął się przepaszająco.

- Musiała zajść jakaś pomyłka. Przepraszam. Po prostu chcieliśmy zadać kilka pytań ludziom, których uznaliśmy za godnych zaufania. Sama pani wie, że większość ludzi nie odróżnia jednej rzeczy od drugiej. Wyglądała pani na inteligentną kobietę, więc...

Pochyliła się ku niemu nad stołem.

- Więc zamknęliście mnie w tamtym pokoju? To tak Bractwo Czystej Krwi traktuje ludzi, których uważa za godnych zaufania? Słyszałam, że bractwo nie zawraca sobie głowy przesłuchaniami i działa, kierując się pogłoskami, byle tylko doprowadziło to do wykopania świeżego grobu.

Brogan poczuł, jak nerwowo ściąga mu się twarz, lecz zdołał zachować uśmiech.

- Źle pani słyszała, szanowna pani. Bractwo Czystej Krwi interesuje wyłącznie prawda. Służymy Stwórcy i spełniamy jego wolę, tak jak i kobieta o pani reputacji. Czy zechciałaby pani odpowiedzieć nam na kilka pytań? Potem bezpiecznie odprowadzimy panią do domu.

- Teraz odprowadźcie mnie do domu. To wolne miasto. Żaden pałac nie ma prawa wlec ludzi na przesłuchanie. Nie w Aydindril. Nie muszę odpowiadać na twoje pytania!

Tobias uśmiechnął się jeszcze szerzej i zmusił się, by lekko poruszyć ramieniem.

- Słusznie, szanowna pani. Nie mamy do tego prawa i nie zamierzamy go sobie uzurpować. Po prostu szukamy pomocy uczciwych, skromnych ludzi. Jeśli zechcesz nam pomóc rozwikłać kilka prostych spraw, odejdziesz swobodnie, a my będziemy ci serdecznie wdzięczni.

Kobieta przez chwilę patrzyła na niego gniewnie, potem poruszyła kościstymi ramionami, poprawiając wełniany szal.

- No, to przechodź do sprawy, skoro ma mi to pozwolić wrócić do domu. Co chcesz wiedzieć?

Tobias poprawił się w fotelu, rzucając Lunecie ukradkowe spojrzenie. Chciał się upewnić, że jego siostra czuwa.

- Jak pani wie, szanowna pani, ostatniej wiosny przez Midlandy przetoczyła się wojna i staramy się dowiedzieć, czy służalcy Opiekuna maczają łapy w konfliktach, które obecnie rozdierają tworzące je krainy. Czy któryś z członków Naczelnej Rady wypowiedział się przeciw Stwórcy?

- Oni nie żyją.

- Tak, słyszałem te pogłoski, lecz Bractwo Czystej Krwi nie wierzy plotkom. Musimy mieć solidne dowody, takie jak zeznanie świadka.

- Ostatniej nocy widziałam ich ciała w komnacie rady.

- Taaak? Hmm, więc to przekonujący dowód. W końcu usłyszeliśmy prawdę od osoby godnej zaufania, która była tego świadkiem. Widzisz, już nam pomogłaś. Kto ich zabił?

- Nie widziałam, jak ich zabijano.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, by któryś z członków rady wypowiedział się przeciwko pokojowi Stwórcy?

- Oni przysięgli się przeciwko pokojowi Midlandów, a dla mnie to tak, jakby przysięgli się przeciwko pokojowi Stwórcy, choć nie nazywali tego w ten sposób. Próbowali nas przekonać, że białe to czarne, a czarne to białe.

Tobias uniósł brew. Starał się wyglądać na zaciekawionego.

- Takich metod używają ci, którzy służą Opiekunowi. Starają się sprawić, byś czyniąc zło, myślała, że czynisz dobro. - Uniósł dłoń w nieokreślonym geście. - Czy któraś z krain szczególnie pragnęła zerwać pokój panujący w konfederacji?

Kobieta stała wyprostowana sztywno i przyglądała mu się. - Wszyscy oni, w tym również twoi ludzie, wydają się równie chętni do oddania świata w niewolę Imperialnego Ładu.

- W niewolę? Słyszałem, że Imperialny Ład stara się zjednoczyć krainy i dać ludziom należne im miejsce w świecie, a wszystko to pod przewodnictwem Stwórcy.

- To źle słyszałeś. Słuchają tylko kłamstw, które służą ich celom, a ich prawdziwym celem jest podbój i zdobycie panowania.

- Nic o tym nie słyszałem. To cenne wiadomości. - Brogan odchylił się do tyłu w fotelu, założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona na piersi. - A gdzie była Matka Spowiedniczka, kiedy w komnacie rady knuto te spiski i szykowano plany buntów?

Kobieta zawahała się przez moment.

- W podróży. Zajmowała się sprawami Spowiedniczek.

- Rozumiem. Ale wróciła? - Tak.

- A czy po powrocie próbowała stłumić bunt? Czy starała się utrzymać jedność Midlandów?

Kobieta zmrużyła oczy.

- Oczywiście, że tak. I dobrze wiesz, co jej za to zrobili. Nie udawaj, że nie wiesz.

Tobiasz niedbale zerknął ku oknu. Lunetta wpatrywała się w kobietę.

- Cóż, słyszałem pewne pogłoski. Jeśli widziałaś te wydarzenia na własne oczy, to twoje świadectwo byłoby przekonującym dowodem. Czy byłaś, pani, świadkiem któregoś z tych wydarzeń?

- Widziałam egzekucję Matki Spowiedniczki, jeśli o to ci chodzi. Brogan podparł się na łokciach i złączył palce dłoni.

- Tak, tego się obawiałem. A więc nie żyje? Kobieta zapłonęła gniewem.

- Dlaczego cię tak interesują szczegóły? Tobiasz otworzył szeroko oczy.

- Ależ szanowna pani, Midlandy przez trzy tysiące lat były zjednoczone pod przewodnictwem Spowiedniczek i Matki Spowiedniczki. Wszystkim nam dobrze się powodzi i mieliśmy wiele lat pokoju pod władzą Aydindril. Kiedy zniknęła granica i rozpoczęła się wojna z D'Hara, bałem się o los Midlandów...

- Dlaczego w takim razie nie ruszyłeś nam z pomocą?

- Chciałem zaofiarować pomoc, lecz król zabronił Bractwu Czystej Krwi wtrącać się w te sprawy. Rzecz jasna protestowałem, jednak ostatecznie to był nasz król. Nikobarezja cierpiała pod jego władzą. W końcu okazało się, że miał jak najgorsze zamiary wobec naszego ludu i, jak to powiedziałaś, jego doradcy byli gotowi zaprzedać nas w niewolę. Kiedy tylko ujawniono, że król był w istocie banelingiem, i kiedy poniósł za to zasłużoną karę, od razu przeprowadziłem żołnierzy przez góry do Aydindril, żeby oddać ich do dyspozycji Midlandów, Naczelnej Rady i Matki Spowiedniczki. Po przyjeździe wszędzie ujrzałem oddziały D'Haranczyków, ale mówiono, że nie prowadzą już przeciwko wam wojny. Usłyszałem, że Imperialny Ład przyszedł Midlandom z odsieczą. W czasie podróży, zanim się tu pojawiłem, słyszałem najróżniejsze pogłoski. Mówiono, że Midlandy padły, że Midlandy zbierają siły, że członkowie rady nie żyją, że żyją i się ukrywają, że Keltończycy przejęli kontrolę nad konfederacją, że uczynili to D'Harańczycy

lub Imperialny Ład, że Matka Spowiedniczka nie żyje, że oni wszyscy żyją. W co mam wierzyć? Gdyby Matka Spowiedniczka żyła, moglibyśmy ją chronić i pomagać jej. Jesteśmy ubogą krainą, jednak na ile tylko zdołamy; chcemy pomóc Midlandom.

Kobieta rozluźniła się trochę.

- Część z tego, co słyszałeś, jest prawdą. W wojnie z D'Hara zginęły wszystkie Spowiedniczki oprócz samej Matki Spowiedniczki. Nie żyją także czarodzieje. Potem zmarł Rahl Posępny, a D'Haranczycy tak jak Keltończycy i inni, przyłączyli się do Imperialnego Ładu. Matka Spowiedniczka wróciła i starała się nie dopuścić do rozpadu Midlandów. Zbuntowani członkowie rady skazali ją za to na śmierć.

Brogan potrząsnął głową.

- To smutne wieści. Miałem nadzieję, że to fałszywe pogłoski. Potrzebujemy jej. - Ibbias zwilżył język. - Jesteś pewna, że ją zabito? Może się mylisz? W końcu to magiczna istota. Może zdołała ujść w kłębach dymu lub coś w tym rodzaju? Może wciąż żyje?

Kobieta wbiła weń gniewny wzrok. - Matka Spowiedniczka nie żyje.

- Ale słyszałem pogłoski, że ją widziano żywą na drugim brzegu Kernu.

- To czcza paplanina głupców. Matka Spowiedniczka nie żyje. Sama widziałam, jak ją ścięto.

Brogan wpatrywał się w kobietę, pocierając palcem gładką bliznę w kąć ust.

- Otrzymałem również raport, z którego wynika, że zbiegła w przeciwnym kierunku, na południowy zachód. Może jednak jest jakaś nadzieja?

- Nie. Po raz ostatni mówię, że byłem świadkiem jej egzekucji. Nie uciekła. Matka Spowiedniczka nie żyje. Jeśli chcesz pomóc Midlandom, to zrób, co trzeba, żeby ponownie je złączyć.

Tobias przez chwilę obserwował ponurą twarz kobiety.

- Tak, tak, masz słuszność. To ogromnie niepokojące wieści, ale dobrze mieć wreszcie wiarygodnego świadka i poznać dzięki niemu światło prawdy. Dziękuję, pomogłaś nam, pani, bardziej, niż ci się zdaje. Zobaczę, co się da zrobić, by moje oddziały jak najlepiej przysłużyły się tej sprawie.

- Najlepszą przysługą byłoby przepędzenie Imperialnego Ładu z Aydindril, a potem z całych Midlandów.

- Uważasz ich za takich niegodziwców? Wyciągnęła ku niemu swoje obandażowane dłonie.

- Zerwali mi paznokcie, żeby zmusić do opowiadania kłamstw.

- Cóż za okropieństwo! A jakież to kłamstwa chcieli na tobie wymusić?

- Że czarne to białe, a białe to czarne. Podobnie jak czyni to Bractwo Czystej Krwi.

Brogan uśmiechnął się, udając, że ubawił go jej dowcip.

- Ogromnie nam pomogłaś, pani. Jesteś lojalna wobec Midlandów i to budzi moją wdzięczność. Przykro mi jednak, że tak źle myślisz o Bractwie Czystej Krwi. Może i ty nie powinnaś słuchać plotek. Bo to tylko plotki. Nie chcę cię już dłużej narażać na niewygodę. Do widzenia.

Kobieta spojrzała na niego groźnie i energicznie wyszła z komnaty. W innych okolicznościach jej niechęć do szczerości kosztowałaby ją o wiele więcej niż paznokcie, lecz Brogan ścigał przedtem niebezpieczną zwierzynę i wiedział, że chwilowe ustępstwo przyniesie później korzyści. Łup był tak cenny, że warto było znieść kpiący ton kobiety. Poza tym nawet bez jej współpracy wydobył z niej coś bardzo wartościowego, a ona nawet się nie zorientowała. Takie były przecież jego zasady: zwierzyna nie mogła wiedzieć, że znalazł ślad.

W końcu Brogan spojrzał w błyszczące oczy Lunetty.

- Kłamie, naczelnny wodzu. Przeważnie mówi prawdę, by ukryć kłamstwa, ale w gruncie rzeczy kłamie.

Galtero istotnie przyprowadził mu skarb.

Brogan pochylił się do przodu. Chciał usłyszeć, jak Lunetta to mówi, usłyszeć, jak wypowiada głośno jego podejrzenia. Pragnął, by jej talent to potwierdził.

- Co jest kłamstwem?

- Dwóch kłamstw strzeże jak królewskiego skarbcza. Tobias cmoknął z irytacją.

- Jakich?

Lunetta uśmiechnęła się przebiegle.

- Po pierwsze, kłamie, mówiąc, że Matka Spowiedniczka nie żyje.

Brogan uderzył dłonią w stół.

- Wiedziałem! Kiedy to mówiła, wiedziałem, że kłamie! - Zamknął oczy, przełknął ślinę i pomodlił się krótko do Stwórcy. - A drugie?

- Kłamała, mówiąc, że Matka Spowiedniczka nie uciekła. Wie, że ona żyje i że uciekła na południowy zachód. Wszystko, co poza tym powiedziała, jest prawdą.

Tobiasowi wrócił dobry nastrój. Mężczyzna zatarł dłonie i poczuł, jak się rozgrzały. Nie opuściło go szczęście myśliwego. Odnalazł trop.

- Słyszałeś, co powiedziałam, naczelny wodzu?

- Co? Tak, słyszałem. Żyje i jest na południowym zachodzie. Dobrze się spisowałaś, Lunetto. Stwórca ucieszy się, gdy powiem mu, jak mi pomogłaś.

- Chodziło mi o to, czy słyszałeś, że reszta jest prawdą.

- O czym ty mówisz? - Brogan nachmurzył się. Lunetta mocniej owinęła się strzępami tkanin.

- Powiedziała, że wymordowani członkowie rady byli zbuntowanymi uzurpatorami. To prawda. Powiedziała, że Imperialny Ład słucha tylko kłamstw, które służą jego celom, a celem Imperialnego Ładu jest podbój i zdobycie panowania. To również prawda. Powiedziała też, że wyrwali jej paznokcie, by zmusić ją do opowiadania kłamstw. I to jest prawdą. Stwierdziła w końcu, że Bractwo Czystej Krwi działa, opierając się na pogłoskach, byle tylko doprowadziło to do wykopania świeżego grobu. To również prawda.

Brogan skoczył na równe nogi.

- Bractwo Czystej Krwi walczy ze złem! Jak śmiesz twierdzić co innego, ty plugawa streganicho?!

Lunetta wzdrygnęła się i przygryzła dolną wargę.

- Nie powiedziałam, że to prawda, naczelny wodzu, ale że ona uważa to za prawdę.

Poprawił szarfę. Nie chciał psuć smaku zwycięstwa paplaniną Lunetty.

- Dobrze wiesz, że ona błędnie to widzi. - Wymierzył palec w siostrę. - Na to, byś zrozumiała charakter dobra i zła, poświęciłem więcej czasu, niż ci się należało, więcej czasu, niż byłaś warta.

Lunetta wpatrywała się w podłogę.

- Tak, naczelny wodzu. Czyniąc to, spędziłeś więcej czasu, niż na to zasługiwałam. Wybacz mi. To były jej słowa, nie moje.

Brogan odwrócił w końcu od siostry gniewne spojrzenie i odpiął od pasa puzderko. Postawił je na stole i pstryknął palcem, by ułożyło się na skraju blatu. Ponownie usiadł. Wyrzucił z myśli zuchwalstwo Lunetty i zastanawiał

się nad kolejnym posunięciem. Miał już zażądać, by podano kolację, gdy przypomniał sobie, że pozostał jeszcze jeden świadek. Znalazł już to, czego szukał, i dalsze przesłuchania nie były konieczne... ale zawsze lepiej było wysłuchać wszystkich.

- Wprowadź kolejnego świadka, Ettore.

Brogan spojrział groźnie na Lunette, a ona stanęła z boku pod ścianą. Dobrze się spisała, ale potem to zepsuła, prowokując brata. Wiedział, że to zło się w niej burzy, ilekroć dziewczyna postąpi słusznie, lecz drażniło go, że nie dokłada większych starań, by zwalczyć jego zgubny wpływ. Może ostatnio był dla niej zbyt miły. W chwili słabości dał jej kawałek tkaniny, ponieważ chciał, żeby podzieliła jego radość. Musiała uznać to za znak, że puści jej płazem zuchwalstwo. Otóż nie, nie puści.

Wódz poprawił się na krześle i położył ręce na stole. Znów rozmyślał o triumfie, o najwyższej nagrodzie. Tym razem jego uśmiech nie był wymuszony.

Podniósł wzrok i z lekka się zdumiał, zobaczywszy dziewczynkę, która wpłynęła do komnaty przed dwoma strażnikami. Ubrana była we wlokący się po podłodze stary płaszcz. Za nią, pomiędzy dwoma strażnikami, kuśtykała chwiejnie stara kobieta owinięta w wystrzępiony brązowy koc.

Cała grupa podeszła do stołu i zatrzymała się. Dziewczynka uśmiechnęła się do Brogana.

- Masz przemiły, ciepły dom, milordzie. Cieszymy się, że mogłyśmy tu spędzić dzień. Czym możemy ci się odwdziaczyć za gościnę?

Krępa staruszka też się uśmiechnęła.

- Miło mi, że mogłyście się rozgrzać. Byłbym wdzięczny, gdybyś ty i twoja... - Zrobił pytającą minę.

- Babcia - odparła dziewczynka.

- Ach tak, babcia. Byłbym wdzięczny, gdybyście, ty i twoja babcia, zechciały odpowiedzieć na kilka pytań.

- Aaaa. Pytania, tak? Pytania mogą być niebezpieczne, milordzie - odezwała się stara kobieta.

- Niebezpieczne? - Tobias potarł dwoma palcami głębokie zmarszczki na czole. - Ja tylko szukam prawdy, szanowna pani. Jeśli odpowiesz szczerze, nie spotka cię nic złego. Masz na to moje słowo.

Stara uśmiechnęła się, ukazując braki w uzębieniu.

- Niebezpieczne dla ciebie, milordzie. - Zachichotała cicho, a następnie z ponurą miną pochyliła się ku Broganowi. - Odpowiedzi mogłyby ci się nie spodobać lub mógłbyś nie zwrócić na nie uwagi.

Brogan zareagował na jej uwagi machnięciem ręki.

- Pozwól, że sam się o to zatroszczę. Wyprostowała się i znów się uśmiechnęła.

- Jak sobie życzysz, milordzie. - Podrapała się w nos. - Jak brzmią twoje pytania?

Tobias odchylił się do tyłu i obserwował wyczekujące oczy kobiety.

- Ostatnio w Midlandach wrzało, więc chcemy się dowiedzieć, czy służalcy Opiekuna przyczynili się do powstania konfliktu, który rozdziera krainy tworzące konfederację. Czy słyszałaś, by któryś z członków Naczelnej Rady Midlandów wypowiadał się przeciwko Stwórcy?

- Członkowie rady rzadko przychodzą na rynek, żeby rozmawiać ze starymi kobietami o teologii, milordzie. Nie sądzę też, by byli na tyle głupi, żeby publicznie ujawniać kontakty z zaświatami, gdyby takowe mieli.

- Hmm, cóż więc słyszałaś o tym, co mieli do powiedzenia? Stara uniosła brew.

- Chcesz usłyszeć plotki krążące na Stentor Street, milordzie? Powiedz, jakiego rodzaju plotki cię interesują, a powtórzę te, które spełnią twoje oczekiwania.

Brogan zabębnił palcami po stole.

- Nie interesują mnie plotki, szanowna pani, lecz prawda. Skiwnęła potakująco.

- Oczywiście, milordzie, i usłyszysz ją. Czasami ludzie interesują się najgłupszymi sprawami.

Wódz chrząknął z irytacją.

- Usłyszałem już dzisiaj wystarczająco dużo plotek. Więcej mi nie trzeba. Chcę znać prawdę o tym, co się działo w Aydindril. Słyszałem na przykład, że zabito wszystkich członków rady i Matkę Spowiedniczkę.

Stara znów się uśmiechała, mrużąc przy tym oczy.

- Dlaczego zatem człowiek twojej rangi, wjeżdżając do miasta, nie zatrzymał się przy pałacu, i nie zażądał widzenia z radą? Tb byłoby rozsądniejsze niż wleczenie tu i przesłuchiwanie najrozmaitszych ludzi, którzy nie znają konkretów. Prawdę najlepiej rozpoznałbyś własnymi

oczami, milordzie.

Brogan zacisnął wargi.

- Nie było mnie tu, kiedy plotki mówiły o egzekucji Matki Spowiedniczki.

- Ach, więc to Matką Spowiedniczką się interesujesz. Dlaczego nie powiesz tego wprost, tylko mnie podpytujesz? Słyszałam, że ją ścięto, ale nie widziałam tego. Za to moja wnuczka widziała, prawda, kochanie?

Dziewczynka przytaknęła.

- Tak, milordzie. Widziałam to na własne oczy, naprawdę widziałam. Czyściutko ucięli jej głowę, ot co.

Brogan westchnął teatralnie.

- Tego się właśnie obawiałem. A więc nie żyje. Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Tego nie powiedziałam, milordzie. Mówiłam, że widziałam, jak ucinają jej głowę. - Spojrzała wodzowi prosto w oczy i uśmiechnęła się do niego.

- Co przez to rozumiesz? - Brogan spojrzał gniewnie na babkę dziewczynki. - Co ona przez to rozumie?

- To, co powiedziała, milordzie. W Aydindril magia zawsze była silna, jednak ostatnio aż od niej iskrzyło. A tam, gdzie wchodzi w grę magia, nie można dowierzać niczym oczom. Ona jest młoda, ale na tyle bystra, że to wie. Człowiek twojej profesji też powinien to wiedzieć.

- Iskrzyło się od magii? To zapowiada zło. Co wiesz o służalcach Opiekuna?

- Straszliwi oni są, milordzie, ale sama magia nie jest zła. Po prostu istnieje i nie jest ani dobra, ani zła.

Brogan zacisnął pięści.

- Magia jest skazą rzuconą przez Opiekuna. Kobieta ponownie zachichotała.

- Tb tak, jakby ktoś powiedział, że lśniący srebrny nóż wiszący u twojego pasa jest znamieniem Opiekuna. Jeśli zrani się kogoś nożem lub zagrozi nim niewinnej osobie, to właściciel broni jest zły. Jeśli jednak nóż posłuży do ochrony życia przed jakimś fanatycznym, nieważne, jak wysoko postawionym głupcem, to jego posiadacz jest dobry. Sam nóż nie jest ani dobry, ani zły, bo można go użyć w obu sprawach. - Oczy kobiety zamglily się, głos przeszedł w syk. - Lecz magia wykorzystana do karania to wcielona zemsta.

- A twoim zdaniem, ta magia w mieście, o której mówiłaś, została wykorzystana w dobrej czy w złej sprawie?

- W obu, milordzie. W końcu to tutaj jest Wieża Czarodzieja i siedlisko mocy Spowiedniczki i czarodzieje rządzą tu przez tysiące lat. Moc przyciąga moc. Znosi się na walkę. Pokryte łuskami stwory zwane mriswithami zaczęły się wylaniać z powietrza i rozpruwać brzuchy wszystkim, którzy stają im na drodze. Złowieszczy to omen. Inna magia też czyha, żeby porwać nierozważnych czy zuchwałych. Nawet noc pulsuje magią niesioną na delikatnych skrzydłach snów. - Zerknęła na Brogana wyblakłym niebieskim okiem. - Zachwycone ogniem dziecko może łatwo w nim spłonąć. Temu dziecku trzeba by doradzić, żeby było bardzo ostrożne i wycofało się przy pierwszej okazji, zanim niebacznie włoży rękę w płomień. Aaa, zabiera się nawet ludzi z ulicy, żeby przesiać ich słowa przez sito magii.

Brogan pochylił się do przodu, twarz mu płonęła.

- A co ty wiesz o magii, szanowna pani?

- To nie jest jednoznaczne pytanie, milordzie. Mógłbyś zapytać jaśniej?

Brogan milczał przez chwilę, starając się wyluskać coś z jej chaotycznej gadaniny. Miał już do czynienia z ludźmi tego typu i zdawał sobie sprawę, że kobieta odciąga od tematu, od tropu. Znów uśmiechnął się uprzejmie.

- Na przykład twoja wnuczka powiedziała, że widziała, jak ścinają Matkę Spowiedniczkę. Stwierdziła też jednak, że nie znaczy to, iż ona nie żyje. Ty z kolei utrzymujesz, że magia może tego dokonać. Takie stwierdzenie ogromnie mnie intryguje. Słyszałem co prawda, że magia może niekiedy oszukać ludzi, ale słyszałem też, że to skutkuje wyłącznie w drobniejszych sprawach. Mogłabyś wyjaśnić, w jaki sposób magia może cofnąć śmierć?

- Cofnąć śmierć? Opiekun ma taką moc. Brogan mocniej wsparł się o stół.

- Twierdzisz, że to sam Opiekun przywrócił ją do życia? Stara zachichotała.

- Nie, milordzie. Tak uporczywie trwasz przy swoich poglądach, że nie zwracasz uwagi na to, co się mówi, i słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. Pytałeś, jak można cofnąć czyjąś śmierć. Opiekun może to uczynić. Tak przynajmniej sądzę, bo to on jest władcą świata zmarłych i ma władzę nad życiem oraz śmiercią. Całkiem spokojnie można zatem uwierzyć, że...

- Żyje czy nie?!

Stara kobieta zamrugła.

- Skąd mam to wiedzieć, milordzie? Brogan zgrzytnął zębami.

- Powiedziałaś, że choć ludzie widzieli, jak ścinają Matkę Spowiedniczkę, to nie znaczy wcale, że ona nie żyje.

- Och, znów do tego wróciliśmy? Cóż, magia może dokonać takiej sztuki, to jednak bynajmniej nie znaczy, że dokonała. Powiedziałam tylko, że tak się mogło stać. A potem zбочyłeś z tematu i zacząłeś mnie wypytywać, jak można cofnąć śmierć. To całkiem odrębna sprawa, milordzie.

- Jak, kobieto!? Jak magia może dokonać takiej trudnej sztuki!? Stara poprawiła na ramionach wystrzępiony koc.

- Czar śmierci, milordzie.

Brogan zerknął na Lunettę. Wpatrywała się w kobietę paciorkowatymi oczami, drapiąc się po rękach.

- Czar śmierci. A cóż to właściwie takiego?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam, jak działał, więc nie mogę dostarczyć wiarygodnego świadectwa. Ale jeśli interesuje cię wiedza z drugiej ręki, to mogę powtórzyć, co słyszałam - zachichotała zadowolona ze swojego żartu.

- Opowiedz - wycodził Brogan przez zaciśnięte zęby.

- Śmierć jest czymś, co dostrzegamy i pojmujemy na poziomie duchowym. Kiedy widzimy ciało, z którego uszła dusza, rozumiemy, że to śmierć. Czar śmierci może naśladować prawdziwy zgon, każąc ludziom wierzyć, że widzieli śmierć, że widzieli ciało bez duszy. Dzięki temu ów czar skłania ludzi, by bez zastrzeżeń uznali, że całe wydarzenie było prawdziwe: - Kobieta potrząsnęła głową, jakby uważała sprawę za zdumiewającą i jednocześnie gorszącą. Po chwili odezwała się ponownie: - Tb bardzo niebezpieczne, bardzo. Wymaga wezwania na pomoc duchów, które muszą przytrzymać ducha owej osoby podczas rzucania czaru. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jej bezradny duch trafi do zaświatów. To ogromnie nieprzyjemny rodzaj śmierci. Mówiono mi, że kiedy wszystko pójdzie, jak trzeba, i duch powróci do ciała, to ta osoba będzie żyć, lecz ci, którzy patrzyli na jej rzekomą śmierć, będą ją uważać za martwą. Tak mi opowiadano. Nie słyszałam jednak, by ktoś ostatnio tego próbował, więc może to tylko plotki.

Brogan siedział spokojnie, wywołując z pamięci strzępy uzyskanych dziś

informacji, łącząc w całość to, czego się dowiedział, i to, czego dowiedział się w przeszłości. Starał się dopasować jedno do drugiego. Musiała to być jakaś sztuczka, która pomagała ujść sprawiedliwości, ale Matka Spowiedniczka z pewnością nie mogła jej wykonać bez współników.

Stara położyła dłoń na ramieniu dziewczynki i zaczęła kuśtykać ku drzwiom.

- Dziękuję za możliwość ogrzania się, milordzie, ale zmęczyły już mnie twoje chaotyczne pytania, no i mam coś lepszego do roboty.

- Kto może rzucić czar śmierci?

Kobieta zatrzymała się. Wyblakłe błękitne oczy błysnęły niebezpiecznie.

- Tylko czarodziej, milordzie. Jedynie czarodziej obdarzony ogromną mocą i wielką wiedzą.

Brogan patrzył na nią groźnie.

- A są w Aydindril jacyś czarodzieje?

Uśmiechnęła się z wolna, jej wyblakłe oczy zalśniły. Sięgnęła pod koc, do kieszeni, i rzuciła na stół monetę. Ta zatoczyła leniwie parę kręgów i zatrzymała się przed Broganem. Naczelny wódz wziął z blatu srebrny pieniądz i przyjrzał się rytowi.

- Zadałem ci pytanie, starucho. Oczekuję odpowiedzi.

- Trzymasz ją w dłoni, milordzie.

- Nigdy nie widziałem takiej monety. Co to za obrazek? Wygląda, jak jakaś wielka budowla.

- Bo nią jest - wysyczała kobieta. - To siedlisko zbawienia i zguby, wylęgarnia czarodziejów i magii. To Pałac Proroków.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Czym jest ten Pałac Proroków?

Stara uśmiechnęła się tajemniczo.

- Zapytaj swoją czarodziejkę, milordzie. - Odwróciła się i chciała wyjść.

Brogan poderwał się gwałtownie.

- Nikt nie pozwolił ci odejść, ty stara, bezzębna wiedźmo! Kobieta spojrzała na niego przez ramię:

- To wątroba, milordzie.

- Co takiego??? - zdumiał się.

- Uwielbiam surową wątrobę, milordzie. Podejrzewam, że właśnie po niej z czasem wypadają zęby.

W tym momencie zjawił się Galtero i przecisnął obok wychodzących

kobiet. Skłonił głowę i dotknął czubkami palców czoła.

- Mam wieści, naczelny wodzu.

- Tak, tak, za chwilę. - Ale...

Brogan uciszył gestem żołnierza i spojrzał na Lunette. - I co?

- Każde jej słowo było prawdziwe, naczelny wodzu. Ona jest niczym wodny owad, który ślizga się po powierzchni. Ledwo muska ją stopami, ale wszystko, co powiedziała, jest prawdą. Ta kobieta wie znacznie więcej, niż mówi, lecz mówi prawdę.

Brogan niecierpliwym gestem przywołał Ettore. Żołnierz stanął na baczność przed stołem, jego purpurowa peleryna rozwiała się z szelestem.

- Naczelny wodzu? Tobias przymrużył oczy.

- Sądzę, że mamy w rękach banelinga. Czy chcesz się okazać godny peleryny, którą nosisz?

- O tak, naczelny wodzu. Bardzo.

- Zabierz ją więc do aresztu, zanim opuści budynek. Cięży na niej podejrzenie bycia banelingiem.

- A co z dziewczynką, naczelny wodzu?

- Czyżbyś niczego nie widział, Ettore? Na pewno okaże się, że należy do rodziny banelinga. Poza tym nie chcę, by chodziła ulicami i wołała, że Bractwo Czystej Krwi więzi jej babkę. Mogliby zauważyć nieobecność tamtej kucharki, a to ściągnęłoby nam na kark podżegaczy. Kto jednak zauważy brak starej i dziewczynki? Teraz są nasze.

- Tak, naczelny wodzu. Natychmiast się tym zajmę.

- Chcę ją przesłuchać tak szybko, jak to tylko możliwe. Dziewczynkę też. -

Brogan ostrzegawczym gestem uniósł palec. - Lepiej niech będą gotowe udzielać prawdziwych odpowiedzi na pytania, które im zadam.

Na młodzieńczej twarzy Ettore pojawił się makabryczny uśmiezek.

- Zeznają wszystko, kiedy do nich przyjdiesz, naczelny wodzu. Na Stwórcę, będą gotowe zeznawać.

- Znakomicie, chłopcze. A teraz się pospiesz i zatrzymaj je, nim wyjdą na ulicę.

Ettore wypadł przez drzwi, natomiast Galtero wysunął się niecierpliwie naprzód i czekał, stojąc bez słowa, przed stołem. Brogan opadł na fotel i powiedział chłodno:

- Galtero, jak zwykle wykonałeś dobrą robotę. Wszyscy świadkowie,

których sprowadziłeś, odpowiadali moim kryteriom.

Tobias Brogan odłożył na bok srebrną monetę. Poluzował skórzane rzemyki na puzderku i wysypał na stół swoje trofea. Czującym, ostrożnym gestem rozgarnął stosik, dotykając żywego niegdyś ciała. Na blacie leżały wysuszone brodawki: brodawki lewej piersi, najbliższej złemu sercu banelinga, otoczone kawałkiem skóry, który wystarczał, by można było na nim wytatuować imię. Trofea pochodziły od zaledwie znikomej części banelingów, które wykrył Brogan. Od najważniejszych z ważnych, najnikczemniejszych sług Opiekuna. Naczelnny wódz chował kolejno owe łupy, odczytując przy tym imię banelinga, którego wydał na pastwę ognia. Przypominał sobie każdą sprawę, każde pojmanie i śledztwo. Na wspomnienie ohydnych zbrodni, które w końcu każdy z nich wyznał, ogarnęły go płomienie gniewu. Pamiętał, że za każdym razem dokonała się sprawiedliwość.

Lecz musiał jeszcze zdobyć najcenniejszy z łupów: Matkę Spowiedniczkę.

- Galtero - odezwał się cichym, lodowatym głosem. - Mam jej ślad. Zbierz ludzi. Wyruszamy natychmiast.

- Lepiej wysłuchaj najpierw tego, co mam do powiedzenia, naczelnny wodzu.

ROZDZIAŁ 11

- Chodzi o D'Harancykow, naczelny wodzu.

Brogan schował ostatnie trofeum, zatrzasnął wieczko puzderka i spojrzął w ciemne oczy Galtera.

- Co z nimi?

- Już wczesnym rankiem, kiedy zaczęli się zbierać, wiedziałem, że coś się szykuje. To przez nich powstało całe to zamieszanie.

- Zbierali się?

Galtero skinął potakująco głową.

- Wokół Pałacu Spowiedniczek, naczelny wodzu, A w połowie popołudnia wszyscy zaczęli śpiewać.

Zdumiony Brogan nachylił się ku swojemu pułkownikowi.

- Śpiewać? Pamiętasz słowa? Galtero zatknął kciuk za pas.

- To trwało pełne dwie godziny. Trudno zapomnieć, skoro słyszało się to tyle razy. D'Harancycy zgięli się w ukłonie, dotknęli czołami ziemi i zaintonowali razem: Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Brogan postukał palcem w blat stołu.

-I robili to wszyscy D'Harancycy? Ilu ich tu jest?

- Wszyscy, co do jednego, naczelny wodzu, a jest ich tu więcej, niż sądziliśmy. Wypełnili skwer przed pałacem, rozlali się do parków, na place i wszystkie pobliskie ulice. Tłum był tak gęsty, że nie można było między nimi przejść, zupełnie jakby każdy chciał być jak najbliżej Pałacu Spowiedniczek. Według moich obliczeń jest ich w mieście około dwustu tysięcy, a większość zgromadziła się dokoła pałacu. Kiedy to się zaczęło, ludzie byli bliscy paniki, bo nie wiedzieli, co się dzieje. Wyjechałem poza miasto, lecz tam było ich jeszcze więcej i robili to samo, co ci, którzy przebywali w obrębie murów. Wszyscy oni, gdziekolwiek byli, dotykali czołami ziemi i śpiewali wraz ze swoimi braćmi znajdującymi się w mieście. Starłem się dojechać jak najdalej i zobaczyć jak najwięcej. Nie zobaczyłem ani jednego D'Harancyka, który nie biłby czołem i nie śpiewał. Ich głosy słyszać było nawet z

okalających miasto wzgórz i przełęczy. Żaden nie zwracał na nas uwagi, kiedy przejeżdżaliśmy obok. Brogan zacisnął usta.

- Więc on musi tu być, ten mistrz Rahl. Galtero przestąpił z nogi na nogę.

- I jest, naczelny wodzu. Przez cały ten czas, kiedy D'Haranczycy śpiewali, stał na szczycie schodów głównego wejścia i patrzył. Kłaniał mu się każdy żołnierz, jak samemu Stwórcy.

Wódz skrzywił się zdegustowany.

- Zawsze podejrzewałem D'Haranczyków o to, że są poganami. Coś takiego, modlić się do zwyczajnego człowieka. A co było potem?

Galtero wyglądał na zmęczonego. Cały dzień spędził w siodle.

- Gdy wreszcie skończyli śpiewać, skakali długo, pokrzykując przy tym radośnie, jakby właśnie wyrwali się z łap Opiekuna. Zdążyłem przejechać ze dwie mile wokół zebranego tłumu, nim krzyki i oklaski umilkły. W końcu żołnierze rozstąpili się i na skwer wniesiono dwa ciała, po czym zapanowała cisza. Zapłonął stos. Ten mistrz Rahl stał na schodach i przyglądał się, dopóki ciała się nie spopieliły i nie zebrano prochów, by je pogrzebać.

- Dobrze się mu przyjrzałeś? Galtero potrząsnął głową.

- Żołnierze stali tak blisko siebie, że bałem się przepychać dalej, by nie zwrócili się przeciwko mnie za to, że zakłócam ich ceremonię.

Brogan potarł kciukiem puzderko i zapatrzył się w dal zamyślony.

- Oczywiście. Nie chciałbym, byś narażał życie po to tylko, żeby się mu przyjrzeć.

Galtero wahał się przez chwilę.

- Sam go wkrótce ujrzysz, naczelny wodzu. Zostałeś zaproszony do pałacu.

Brogan spojrział na niego.

- Nie mam czasu na żarty. Musimy ruszać za Matką Spowiedniczką.

Galtero wyciągnął z kieszeni jakieś pismo i podał swojemu dowódcy.

- Wróciłem w chwili, gdy duża grupa d'haranskich żołnierzy zamierzała wejść do naszego pałacu. Zatrzymałem ich i zapytałem, czego chcą, a oni mi to dali.

Tobias rozwinął papier i przeczytał szybko gryzmoły: *Lord Rahl zaprasza wszystkich dygnitarzy, dyplomatów i urzędników reprezentujących wszystkie kramy do Pałacu Spowiedniczek. Natychmiast. Zmiał list w dłoni.*

- Ja nie bywam na audiencjach, ja ich udzielam. Poza tym, jak już

powiedziałem, nie mam czasu na uprzejmości.

Galtero wskazał kciukiem w kierunku ulicy.

- Też tak pomyślałem i powiedziałem żołnierzom, którzy mi to dali, że co prawda przekażę zaproszenie, ale że jesteśmy zajęci innymi sprawami i nie wiem, czy ktoś z Pałacu Nikobarezji znajdzie czas, by wziąć udział w tej uroczystości. Ich dowódca odparł, że lord Rahl chce, by wszyscy tam byli i byśmy lepiej znaleźli na to czas.

Brogan skwitował tę groźbę machnięciem ręki.

- Nikt nie będzie wzniewał niepokoju w Aydindril, dlatego że nie wzięliśmy udziału w powitaniu nowego plemiennego wodza.

- Naczelnny wodzu, stojący ramię przy ramieniu D'Haranczycy blokują Kings Row. Otoczony jest każdy pałac i wszystkie siedziby administracji miasta. Żołnierz, od którego dostałem to pismo, powiedział, że będzie tu, by "eskortować" nas do Pałacu Spowiedniczek. Oznajmił, że jeśli się nie pospieszymy, to wejdą tu po nas. Kiedy to mówił, za jego plecami przyglądało mi się dziesięć tysięcy ludzi. To nie są sklepikarze i rolnicy, którzy przez kilka miesięcy bawią się w wojsko. Ib zawodowi żołnierze i wyglądają na bardzo zdeterminowanych. Wierzę, że Bractwo Czystej Krwi mogłoby stanąć przeciwko nim, gdybyśmy mogli tu sprowadzić główne siły, lecz wprowadziliśmy do miasta zaledwie garść naszych. Pięciuset ludzi nie wystarczy do utorowania sobie stąd drogi. Wycięliby nas w pień, nim zdołalibyśmy ująć dwieście jardów.

Brogan spojrział na stojącą pod ścianą Lunettę. Gładziła i wyrównywała swoje kolorowe strzępy, nie zwracając uwagi na rozmowę. Może i mieli w Aydindril zaledwie pięciuset żołnierzy, ale mieli także Lunettę. Nie wiedział, o co chodzi temu lordowi Rahlowi, lecz to właściwie nie miało znaczenia. D'Hara przyłączyła się do Imperialnego Ładu i od niego właśnie otrzymywała rozkazy. Prawdopodobnie gra toczyła się o to, by zająć wyższą pozycję w Imperialnym Ładzie. Zawsze znajdowali się tacy, którzy pragnęli władzy, lecz nie zamierzali się kłopotać moralnymi nakazami, jakie się z tym łączą.

- No dobrze. I tak wkrótce będzie ciemno. Pójdziemy na tę ceremonię, pouśmiejemy się do nowego mistrza Rahla, napijemy się jego wina, zjemy jego potrawy i powitamy go. A o świcie zostawimy Aydindril Imperialnemu Ładowi i ruszymy za Matką Spowiedniczką. - Dał znak siostrze. - Chodź z

nami, Lunetto.

- Aw jaki sposób ją znajdziesz? - Lunetta podrapała się w ramię. - Jak odnajdziesz Matkę Spowiedniczkę, naczelnny wodzu? Tobias odepchnął fotel i wstał.

- Jest na południowym zachodzie. Mamy więcej żołnierzy, niż trzeba, żeby prowadzić poszukiwania. Znajdziemy ją.

- Naprawdę? - Lunetta zachowała jeszcze zuchwałość związaną z wykorzystywaniem swojej mocy. - Powiedz mi, jak ją rozpoznasz.

- To Matka Spowiedniczka. Jak moglibyśmy jej nie rozpoznać, ty głupia streganicho!

Uniosła brew i spojrzała dziko w oczy brata.

- Matka Spowiedniczka nie żyje. Jak zobaczysz chodzącą zmarłą?

- Ona nie jest martwa. Kucharka o tym wie, sama to potwierdziłaś. Matka Spowiedniczka żyje i dopadniemy ją.

- Jeśli ta stara kobieta mówiła prawdę i rzucono czar śmierci, to w jakim celu? Powiedz Lunecie.

Tobias się nachmurzył.

- By ludzie myśleli, że jest martwa, i by dzięki temu mogła uciec.

Lunetta uśmiechnęła się przebiegle.

- A dlaczego nie widzieli, jak uciekła? Z tego samego powodu jej nie znajdziesz.

- Skończ z tym magicznym bełkotem i mów, co masz na myśli.

- Jeśli istnieje coś takiego, jak czar śmierci, naczelnny wodzu, i jeśli rzucono go na Matkę Spowiedniczkę, to miałyby to sens wyłącznie wtedy, gdyby magia miała ukryć jej tożsamość. To by wyjaśniało jej ucieczkę. Nikt nie rozpoznałby Matki Spowiedniczki, gdyż osłaniała ją magia. Z tego samego powodu również ty jej nie rozpoznasz.

- Możesz złamać ten czar? - wyjąkał Tobias. Lunetta zachichotała.

- Nigdy wcześniej nie słyszałam o takiej magii, naczelnny wodzu. Nic o niej nie wiem.

Tobias zdał sobie sprawę, że siostra ma rację.

- Znasz się na magii. Powiedz, w jaki sposób możemy rozpoznać Matkę Spowiedniczkę.

Lunetta potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia, naczelnny wodzu, jak dostrzec nici sieci czarodzieja,

która została uwita właśnie po to, żeby ją ukryć. Mówię ci tylko to, co ma sens. Jeżeli użyto takiego czaru, by ją ukryć, to także my jej nie rozpoznamy.

Brogan wymierzył w nią palec.

- Masz magiczną moc. Znasz sposób, który pozwoli ukazać nam prawdę.

- Naczelnny wodzu, stara kobieta powiedziała, że tylko czarodziej mógłby rzucić czar śmierci. Jeśli czarodziej splata taką sieć, to żeby ją rozplatać, musielibyśmy widzieć nici, z których ją utkał. Nie wiem, jak możemy dostrzec prawdę przez magiczny podstęp.

Tobias pocierał brodę i zastanawiał się.

- Musimy spojrzeć przez wprowadzającą w błąd zasłonę. Ale jak?,

- Ćma może wpaść w pajęczynę, ponieważ nie widzi jej nici. My również wpadniemy w ową sieć, jak ci, którzy widzieli egzekucję, bo nie potrafimy dostrzec nitek sieci. Nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy je zobaczyć.

- Czarodziej - mruknął do siebie Tobias. Wskazał leżącą na stole srebrną monetę. - Kiedy spytałem ją, czy w Aydindril jest jakiś czarodziej, dała mi tę monetę z rysunkiem pałacu.

- To Pałac Proroków.

Brogan usłyszał to i podniósł głowę.

- Tak, tak go nazwała. Powiedziała, żebym cię zapytał, co to takiego. Skąd o nim wiesz? Gdzie słyszałaś o Pałacu Proroków?

Lunetta nagle zamknęła się w sobie i spojrzała w bok.

- Mama opowiadała mi o nim tuż przed twoimi narodzinami. To miejsce, w którym czarodziejki...

- Streganichy - poprawił ją. Milczała przez chwilę.

- To miejsce, w którym streganichy szkolą mężczyzn na czarodziejów.

- A więc to siedlisko zła.

Lunetta stała zgarbiona i nieruchoma, a Tobias przyglądał się monecie.

- Skąd mama mogła wiedzieć o tym siedlisku zła? - Mama nie żyje, Tobias. Zostaw ją w spokoju - wyszeptała Lunetta. Rzucił jej groźne spojrzenie.

- Później o tym porozmawiamy. - Wyprostował swoją szarfę, oznakę rangi, doprowadził do porządku haftowaną srebrem szarą bluzę i wziął purpurową pelerynę. - Stara miała prawdopodobnie na myśli to, że w Aydindril przebywa czarodziej, który został wyszkolony w owym siedlisku zła. - Skierował uwagę na Galtero. - Na szczęście Ettore zatrzymał ją na

dalsze przesłuchania. Ta stara ma nam dużo do powiedzenia. Czuję to w kościach.

Galtero przytaknął.

- Lepiej chodźmy już do Pałacu Spowiedniczek, naczelny wodzu. Brogan zarzucił pelerynę na ramiona.

- Po drodze zajrzemy do Ettore.

Kiedy weszli do małego pomieszczenia, żeby sprawdzić, co z Ettore i dwiema zatrzymanymi przez niego kobietami, w kominku płonął już ogień. Żołnierz był rozebrany do pasa, a jego szczupłe ciało lśniło od potu. Na gzymsie kominka połyskiwały brzytwy i cały zestaw ostrych kolców, a z paleniska wystawały rozstawione wachlarzowato żelazne pręty. Ich końce żarzyły się pomarańczowo w płomieniach.

Stara kobieta kulila się w najdalszym kącie, otaczając opiekuńczo ramieniem wnuczkę, która ukrywała twarz w brązowym kocu.

- Sprawiała ci jakieś kłopoty? - zapytał Brogan.

Na twarzy Ettore zabłysnął jego specyficzny uśmiech.

- Arogancja starej zniknęła natychmiast, gdy pojęła, że nie ścierpimy zuchwalstwa. Tak to już jest z banelingami: poddają się, jak tylko dostrzegą moc Stwórcy.

- My troje musimy na pewien czas wyjść. Reszta naszych zostanie w pałacu, na wypadek gdybyś potrzebował wsparcia. - Brogan spojrzął na żarzące się w płomieniach żelazne pręty. - Po powrocie chcę usłyszeć jej wyznanie. Dziewczynka mnie nie obchodzi, ale stara niech lepiej żyje i będzie skora do składania zeznań.

Ettore skłonił się, dotykając palcami czoła.

- Na Stwórcę, będzie, jak rozkazałeś, naczelny wodzu. Wyzna wszelkie zbrodnie, jakich dokonała dla Opiekuna.

- To dobrze. Mam sporo pytań i chcę usłyszeć odpowiedzi.

- Nie odpowiem już na żadne twoje pytania - odezwała się stara kobieta.

Ettore wydał usta i rzucił jej przez ramię groźne spojrzenie. Staruszka jeszcze bardziej wtuliła się w ką.

- Złamiesz tę obietnicę, zanim noc dobiegnie końca, ty stara jędo. Będziesz błagać, żeby pozwolono ci odpowiadać na pytania, jak tylko zobaczysz, co zrobię temu małemu nasieniu zła. Najpierw zajmę się nią, a ty będziesz patrzeć i rozmyślać, co cię spotka, kiedy przyjdzie twoja kolej.

Dziewczynka zapłakała i mocniej wtuliła się w koc okrywający staruszkę. Lunetta wpatrywała się w skuloną w kącie parę i drapała się w ramię.

- Czy chcesz, naczelnny wodzu, bym została i towarzyszyła Ettore? Uważam, że tak byłoby najlepiej.

- Nie. Chcę, żebyś poszła ze mną. - Spojrzał na Galtero. - Dobrze się spisałeś, sprowadzając ją tutaj.

Galtero potrząsnął głową.

- W ogóle nie zwróciłbym na nią uwagi, gdyby nie próbowała mi sprzedać miodowych ciasteczek. Coś w niej wzbudziło moje podejrzenia.

Brogan wzruszył ramionami.

- Tak to już jest z banelingami: ciągną do Bractwa Czystej Krwi jak ćmy do płomienia. Są zuchwali, bo wierzą swojemu złemu panu. - Ponownie spojrzał na kulącą się w narożniku kobietę. - Jednak tracą animusz, kiedy bractwo ma im wymierzyć sprawiedliwość. Ta stara to niewielka zdobycz, ale przysłużymy się tym Stwórcy.

ROZDZIAŁ 12

- Przestań - warknął Brogan. - Ludzie pomyślą, że masz pchły.

Dygnitarze i urzędnicy pochodzący z rozmaitych krain wysiadali z eleganckich powozów na szerokiej ulicy wysadzonej majestatycznymi klonami, których nagie gałęzie splatały się ponad ich głowami, i pieszo przebywali ostatni odcinek drogi do Pałacu Spowiedniczek. Brzegi tego strumienia gości tworzyli d'haranscy żołnierze.

- Nie mogę się powstrzymać, naczelną wodzu - poskarżyła się Lunetta i w dalszym ciągu się drapała. - Od kiedy przybyliśmy do Aydindril, bez przerwy swędzą mnie ręce. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam.

Nadchodzący wciąż goście otwarcie przyglądali się Lunecie. W swoich postrzępionych łachmanach rzucała się w oczy niczym trędowaty na koronacji. Zdawało się, że nie zwraca uwagi na drwiące spojrzenia. Najprawdopodobniej uważała, że są pełne podziwu. Nigdy nie chciała wkładać sukni, które dawał jej Tobias. Twierdziła, iż żadna nie dorównuje jej ślicznym szmatkom. Brat nie nalegał, by ubrała się w coś innego, skoro owe szmatki zaprzętały jej uwagę i odstręczały od poddawania się zmażie Opiekuna. Poza tym Brogan uważał, że nie uchodzi, by ktoś naznaczony przez zło wyglądał pociągająco.

Zaproszeni goście przywdziali najlepsze szaty, peleryny i futra. Niektórzy mieli u boku bogato inkrustowane miecze, lecz Tobias był pewny, że była to jedynie ozdobna broń, która nigdy nie została dobyta w strachu, a tym bardziej w gniewie. Czasem rozchyliła się jakaś peleryna i Nikobarezyjczyk zobaczył, że kobiety włożyły eleganckie suknie. Zachodzące słońce lśniło w klejnotach, jakie miały na szyjach, na nadgarstkach i na palcach. Można by pomyśleć, że wszystkich tak podekscytowało zaproszenie do Pałacu Spowiedniczek na spotkanie z nowym władcą Rahlem, iż nie zwracali uwagi na zagrożenia związane z obecnością d'haranskich żołnierzy. Ich uśmiechy i paplanina świadczyły raczej o tym, że zamierzali się wkraść w łaski nowego władcy Rahla.

Tobias zazgrzytał zębami.

- Przestań się drapać, bo zwiążę ci ręce na plecach.

Lunetta opuściła ramiona, po czym przystanęła, zachłysnąwszy się

powietrzem. Brogan i Galtero spojrzeli w górę i zobaczyli nabite na piki ciała tworzące szpaler po obu stronach alei. Zbliżyli się, naczelny wódz spostrzegł, że nie byli to ludzie, lecz stwory o pokrytych łuskami ciałach. Bestie, które mógł stworzyć jedynie Opiekun. Poszli dalej i otoczył ich fetor tak gęsty jak bagienna mgła. Bali się głębiej odetchnąć, żeby nie szerniały im płuca.

Na niektórych pikach tkwiły same głowy, na innych całe zwłoki, na jeszcze innych - części ciał. Wszystkie stwory zginęły w brutalnej walce. Niektóre zostały rozprute, inne przecięte na pół. Ich zamrożone wnętrzności zwisały z tego, co z nich pozostało.

Wyglądało to jak przejście między pomnikami zła, jak wejście do zaświatów.

Pozostali goście możliwie najszczelniej zasłonili nosy tym, co akurat mieli pod ręką. Kilka elegancko ubranych kobiet osunęło się zemdlnych na ziemię. Pospieszono im z pomocą, wachlowano chusteczkami lub nacierano czoła śniegiem. Jedni patrzyli na bestie ze zdumieniem, inni drżeli tak gwałtownie, że Brogan słyszał, jak szczękają zębami. Zanim minęli dwa rzędy pełne odrażających obrazków i zapachów, ludzie otaczający trójkę Nikobarezyjczyków byli albo głęboko zaniepokojeni, albo wyraźnie zatrwożeni. Tobias, który często widywał zło, patrzył na nich z niesmakiem.

Jeden ze wstrząśniętych dyplomatów zapytał o bestie, a d'harański żołnierz odparł, że zaatakowały one miasto i lord Rahl je zabił. Gościom poprawiły się humory. Szli i z ożywieniem rozprawiali, jaki to honor poznać takiego człowieka jak nowy lord Rahl, władca całej D'Hary. W chłodnym powietrzu rozbrzmiewały pełne ekscytacji, tłumione śmiechy.

Galtero nachylił się ku Broganowi.

- Zanim rozpoczęły się te śpiewy i żołnierze byli jeszcze dość rozmowni, jeden z nich ostrzegł mnie, żebym uważał, bo w mieście grasują jakieś niewidzialne stwory, które zabiły już wielu żołnierzy i mieszkańców.

Brogan przypomniał sobie, że stara kobieta mówiła o pokrytych łuskami stworach, lecz nie przypominał sobie, jak je nazwała. Powiedziała, że wylaniały się z powietrza i rozpruwały każdego, kto stanął im na drodze. Lunetta twierdziła, że stara mówiła prawdę. To musiały być one.

- Jak to dobrze, że nowy lord Rahl zjawił się na czas, by zabić te bestie i ocalić miasto.

- Mriswithy - odezwała się Lunetta. - Co?

- Kobieta powiedziała, że to mriswithy. Tobias skinął potakująco głową.
- Tak, sądzę, że masz rację. To mriswithy.

Wejście do pałacu okalały potężne białe kolumny. Dwa szeregi żołnierzy kierowały gości przez rzeźbione, białe, otwarte szeroko drzwi do rozległego holu, który rozjaśniało światło wpadające przez jasnoniebieskie szyby okien rozmieszczonych między białymi marmurowymi kolumnami o złotych kapitelach. Tobias Brogan czuł się jakby wpadł do siedliska zła. Gdyby pozostali goście byli mądrzejsi, zatrzęśliby się na widok owego monumentu bezbożności, do którego wchodzili, nie zaś na widok umieszczonych przed nim zwłok.

Mijali eleganckie hole i komnaty, w których znajdowało się tyle granitu i marmuru, że starczyłoby go na całą górę. W końcu przeszli przez wysokie mahoniowe drzwi i znaleźli się w ogromnej, nakrytej kopułą komnacie. Ze sklepienia na zgromadzonych spoglądały wymyślne malowidła kobiet i mężczyzn. Okrągłe okna umieszczone wokół podstawy kopuły wpuszczały do środka gasnące światło i ukazywały chmury, które zbierały się na ciemniejącym niebie. Po przeciwległej stronie komnaty, na półkolistym podwyższeniu znajdował się wspinały stół, za którym stały puste krzesła.

Za obiegającymi komnatę łukowatymi przejściami mieściły się schody prowadzące do upiękuszonych kolumnami łóż, które chroniła ozdobna mahoniowa balustrada. Łoże wypełniał teraz tłum ludzi. Brogan zauważył, że nie była to strojnie odziana szlachta, przypominająca zgromadzonych na dole notabli, ale zwykli pracownicy. Inni goście też to spostrzegli i rzucali nieprzychylnie spojrzenia na hołotę kryjącą się w cieniach zalegających za balustradami. Stłoczeni tam ludzie cofnęli się, jakby chcieli się ukryć w mroku, tak żeby nikt nie został rozpoznany i pociągnięty do odpowiedzialności za to, że ośmielił się pojawić na tak wspinałej uroczystości. Przyjęte było, że ważna osoba spotyka się najpierw z notablami, a dopiero później daje się poznać zwykłym ludziom.

Zaproszeni goście, lekceważąc zgromadzoną w łóżach publiczność, rozproszyli się na białej marmurowej posadzce. Nie zbliżali się przy tym do dwóch członków Bractwa Czystej Krwi. Sprawiali wrażenie, że unikają ich przez przypadek, nie zaś z premedytacją - Wypatrywali gospodarza i szeptali do siebie. Ich wspinałe stroje wydawały się częścią ozdobnych rzeźbień i ornamentów. Nikt nie wyglądał na przytłoczonego wspinałością Pałacu

Spowiedniczek. Brogan domyślił się, że większość często tu bywała. Choć sam wcześniej nie był w Aydindril, bezbłędnie rozpoznawał pochlebców. Sporo takich ludzi otaczało jego króla.

Lunetta trzymała się blisko brata; imponujące otoczenie niemal jej nie interesowało. Nie zwracała uwagi na przyglądających się jej bezczelnie ludzi, których - trzeba przyznać - było teraz o wiele mniej, ponieważ bardziej interesowali się sobą i perspektywą poznania lorda Rahla niż dziwną kobietą stojącą pomiędzy dwoma odzianymi w purpurowe peleryny członkami Bractwa Czystej Krwi. Galtero przebiegał wzrokiem rozległą komnatę, nie po to jednak, żeby podziwiać jej wspaniałość. Przyglądał się żołnierzom i obserwował wejścia. Miecze jego i naczelnego wodza nie były ozdobne.

Brogan pomimo odrazy nie zdołał powstrzymać podziwu. To stąd Matki Spowiedniczki i czarodzieje poruszali tajne sprężyny w Midlandach. To tutaj przez tysiące lat Naczelna Rada opowiadała się za jednością konfederacji, w istocie chroniąc i popierając magię. To stąd rozprzestrzeniały się we wszystkich kierunkach macki Opiekuna.

Tamta jedność przestała istnieć. Magia straciła władzę nad ludźmi, straciła ich ochronę. Wiek magii dobiegł końca. Nadszedł kres Midlandów. Pałac wkrótce wypełni się purpurowymi pelerynami i tylko Bractwo Czystej Krwi będzie zasiadać na podwyższeniu. Tobias się uśmiechnął. Wydarzenia nieuchronnie zmierzały ku szczęśliwemu końcowi.

Zbliżyła się jakaś para i Brogan uznał, że uczyniła to z rozmysłem. Kobieta z szopą czarnych włosów i cienkich loczków okalających wymalowaną twarz nachyliła się nieco ku Broganowi.

- Coś takiego, zaprosili nas tutaj i nie podali nic do jedzenia. - Wygładziła koronkę na gorsie żółtej sukni. Na niesamowicie czerwone usta wypełził uprzejmy uśmiech: czekała, żeby Brogan się odezwał. Milczał, więc dodała: - Czy nie sądzisz, że to w bardzo złym guście, że nie poczęstowali nas nawet kroplą wina, zwłaszcza że zjawiliśmy się tutaj tak od razu i w ogóle? Mam nadzieję, że on nie wyobraża sobie, iż po takim prostackim potraktowaniu nas przyjmiemy raz jeszcze jego zaproszenie.

Tobias splótł dłonie za plecami.

- Znasz lorda Rahla?

- Może go i wcześniej spotkałam, nie przypominam sobie. Strzepnęła

jakiś pyłek z odkrytego ramienia, pozwalając Broganowi podziwiać klejnoty na palcach, które były doskonale widoczne nawet z drugiego końca komnaty.

- Zapraszają mnie do pałacu na tyle uroczystości, że mam problemy, by zapamiętać wszystkich ludzi, którzy starają się mnie poznać. Ostatecznie przecież po zamordowaniu księcia Fyrena księżę Lumholtz i ja zajęliśmy najwyższą pozycję w hierarchii. - Jej czerwone wargi rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu. - Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wcześniej spotkała tutaj kogoś z Bractwa Czystej Krwi. Naczelna Rada zawsze uważała członków bractwa za nadgorliwców, choć ja sama nie twierdzę, sam rozumiesz, że się z tym zgadzam, i zabroniła im uprawiania ich... rzemiosła poza rodzinnym krajem. Rzecz jasna, teraz zostaliśmy bez rady. Jakie to okropne. Zabito ich tutaj, kiedy rozprawiali o przyszłości Midlandów. Co cię tu sprowadza, panie?

Brogan spojrział poza nią, i dostrzegł, że żołnierze zamykają drzwi. Dotknął wąsów i z wolna zaczął się przesuwając w stronę podwyższenia.

- Zostałem zaproszony, podobnie zresztą jak i ty - odparł. Księżna Lumholtz szła u jego boku.

- Słyszałam, że Imperialny Ład wysoko ceni Bractwo Czystej Krwi.

Towarzyszący księżnej mężczyzna odziany w zdobiony złotem niebieski surdut i roztaczający dokoła aurę władzy, przysłuchiwał się tej rozmowie z wymuszoną obojętnością, udając, że zajmuje go coś zupełnie innego. Jego ciemne włosy i niskie czoło zdradziły Broganowi, że jest Keltończykiem. Keltończycy szybko przyłączyli się do Imperialnego Ładu i zazdrośnie strzegli zdobytych w ten sposób dużych w nim wpływów. Wiedzieli jednak również, że Imperialny Ład szanuje zdanie Bractwa Czystej Krwi.

- Dziwi mnie, szanowna pani, że słyszysz cokolwiek, skoro tak dużo mówisz.

Twarz kobiety błyskawicznie stała się równie czerwona jak jej usta. Tylko nagłe poruszenie wśród tłumu oszczędziło Broganowi jej pełnej oburzenia i zgorszenia odpowiedzi. Naczelny wódz nie był dość wysoki, by obserwować wydarzenia ponad głowami zgromadzonych gości, czekał więc cierpliwie, wiedząc, że lord Rahl i tak uda się ku podwyższeniu. Tobias stanął ostrożnie w odpowiednim miejscu. Był na tyle blisko, żeby się dobrze przyjrzeć, i na tyle daleko, by nie wyróżniać się z tłumu. W przeciwieństwie do pozostałych gości wiedział, że nie będzie to żadne towarzyskie spotkanie. Zapowiadała

się burzliwa noc i na wypadek gdyby miały padać pioruny, Brogan nie chciał być najwyższym drzewem w lesie. W odróżnieniu od otaczających go rozemocjonowanych głupców wiedział, kiedy należy zachować ostrożność.

Ludzie stojący po przeciwległej stronie komnaty gwałtownie starali się ustąpić miejsca torującemu drogę eszelonowi d'haranskich żołnierzy. Za zwykłą piechotą podążali pikinierzy, którzy tworzyli żelazne, wolne od gości przejście. Eszelon ustawił się przed podwyższeniem w zaciętym ochronnym szpalerze d'haranskich mięśni i stali. Szybkość i precyzja ruchów żołnierzy były imponujące. Nadeszli wysocy rangą d'haranscy oficerowie i stanęli przy podwyższeniu. Brogan spojrział ponad głowę Lunetty w lodowate oczy Galtera. Istotnie nie było to towarzyskie spotkanie.

Tłum szemrał już nerwowo, czekając na to, co jeszcze się stanie. Z szeptów, które dotarły do Tobiasa, wynikało, że czegoś takiego jeszcze w Pałacu Spowiedniczek nie było. Zacerwieniem dygnitarze dzielili się ze sobą oburzeniem na to, co uważali za niedopuszczalne użycie wojsk w komnatach rady, gdzie zasadą było prowadzenie negocjacji dyplomatycznych.

Brogan nie znosił dyplomacji: krew lepiej przemawiała do ludzi i dłużej się ją pamiętało. Zaczynał podejrzewać, że ów lord Rahl, w przeciwieństwie do tłoczących się tu służalców, doskonale to rozumie.

Wiedział, czego chciał tamten. W końcu należało się tego spodziewać, jako że D'Haranczyzy wykonali dla Imperialnego Ładu większą część roboty. W górach spotkał podążający ku Ebinissii oddział, który składał się głównie z żołnierzy pochodzących z D'Hary. D'Haranczyzy zdobyli Aydindril, zaprowadzili w nim porządek i przekazali miasto Imperialnemu Ładowi. W imieniu Ładu poskramiali buntowników, lecz rozkazy wydawali im i władzę sprawowali za nich inni. Na przykład Keltończycy w rodzaju księcia Lumholtza, którzy oczekiwali, że D'Haranczyzy zmierzają za nich z wrogiem.

Lord Rahl bez wątpienia pretendował do zajęcia wysokiej pozycji w Imperialnym Ładzie i zamierzał wymusić na zebranych tutaj oficjelach zgodę na to. Tobiasz żałował niemal, że nie podano żadnych potraw. Z przyjemnością patrzyłby, jak wszyscy oni dławią się, usłyszawszy żądanie lorda Rahla.

Weszli dwaj D'Haranczyzy, którzy byli tak wysocy, że nawet Brogan

zobaczył ich ponad głowami tłumu. Kiedy podeszli bliżej, ujrzał skórzane pancerze, kolczugi i nabijane ostrzami pierścienie zapięte nad łokciami.

- Już ich widziałem - szepnął doń Galtero nad głową Lunetty.

- Gdzie? - spytał cicho Brogan.

Galtero potrząsnął głową, przyglądając się obu wojskowym.

- Gdzieś na ulicach.

Brogan odwrócił się i ku swemu zdumieniu zobaczył, że za potężnymi D'Haranczykami zdążają trzy odziane w czerwone skóry kobiety. Z tego, co słyszał, mogły to być jedynie Mord-Sith. Mówiło się, że Mord-Sith są niebezpieczne dla posiadających magiczny dar osób, które stają przeciwko nim. Chciał kiedyś zatrudnić jedną z tych kobiet, lecz powiedziano mu, że służą jedynie władcy D'Hary, odrzucają wszelkie inne oferty i nie można ich kupić za żadną cenę.

Jeśli widok Mord-Sith zdenerwował tłum, to, co pojawiło się za nimi, zaparło ludziom dech w piersiach. Otworzyli szeroko usta, gdy zobaczyli olbrzymią bestię z kłami, pazurami i skrzydłami. Nawet Brogan zdrętwiał, ujrzawszy chimere. Chimery krótkoogoniaste były bardzo agresywnymi, krwiożerczymi bestiami, które pożerały wszystko, co żyje. Od ubiegłej wiosny, kiedy to zniknęły granice, Bractwo Czystej Krwi miało z nimi sporo kłopotów. A teraz takie monstrum szło sobie spokojnie za trzema kobietami. Brogan sprawdził, czy miecz tkwi luźno w pochwie, i spostrzegł, że Galtero zrobił to samo.

- Błagam, naczelny wodzu - jęknęła Lunetta. - Chcę stąd zaraz wyjść. - Energicznie drapała się po rękach.

Brogan chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i szepnął przez zaciśnięte zęby:

- Albo przyjrzyj się temu lordowi Rahlowi, albo uznam, że już dłużej nie jesteś mi potrzebna. Czy mnie zrozumiałaś? I przestań się wreszcie drapać!

Oczy Lunetty zwilgotniały, gdy wykręcił jej rękę.

- Tak, naczelny wodzu.

- Uważaj na to, co będzie mówił.

Skinęła głową, kiedy dwaj potężni D'Haranczyki zajęli miejsca na obu krańcach podwyższenia. Trzy kobiety w czerwonych skórach stanęły między nimi, zostawiając w środku puste miejsce, najprawdopodobniej dla lorda Rahla, gdy w końcu się zjawi. Chimera sterczała za krzesłami.

Jasnowłosa Mord-Sith, która stała nieomal na środku podwyższenia, omiotła komnatę przenikliwym, nakazującym ciszę spojrzeniem niebieskich oczu.

- Ludu Midlandów - powiedziała, wskazując przy tym powietrze nad stołem - oto lord Rahl.

W powietrzu uformował się cień. Niespodziewanie pojawiła się czarna peleryna, a kiedy rozwinęły się jej poły, na podwyższeniu ukazał się człowiek.

Stojący najbliżej goście, cofnęli się ze strachem. Niektórzy krzyknęli przerażeni. Jedni błagali Stwórcę o opiekę, inni wzywali na pomoc duchy, jeszcze inni padali na kolana. Kiedy wielu stało oniemiałych, po raz pierwszy dobyto ze strachu nieliczne ozdobne miecze. Dowódca d'haranskiego eszelonu nakazał spokojnym, wręcz lodowatym tonem schować broń i oręż niechętnie wrócił do pochw.

Lunetta drapała się przeraźliwie, patrząc na owego mężczyznę, lecz tym razem Brogan jej nie powstrzymywał. Czuł, że i po jego skórze przebiega dreszcz wywołany przez złą magię.

Siedzący na podwyższeniu mężczyzna zaczął cierpliwie, aż tłum zamilknie, a potem przemówił cicho:

- Jestem Richard Rahl, którego nazywają D'Haranczyki lordem Rahiem. Pozostałe ludy tytułują mnie w różny sposób. Proroctwa, które pochodzą z odległych czasów, z czasów poprzedzających jeszcze utworzenie Midlandów, nadały mi specjalne imię. - Zszedł ze stołu i stanął między Mord-Sith. - Ja jednak przyszedłem dzisiaj do was, by mówić o przyszłości.

Choć nie był tak olbrzymi, jak dwaj D'Haranczyki stojący przy końcach wygiętego stołu, i tak był wysoki, muskularny i zdumiewająco młody. Nosił skromne szaty, zwłaszcza jak na lorda. Cały ubiór stanowiła czarna peleryna, wysokie buty, ciemne spodnie i jasna koszula. Trudno było nie zauważyć przytroczonej u jego boku srebrno-złotej pochwy, a mimo to wyglądał na zwykłego człowieka z lasu. Brogan pomyślał, że ów mężczyzna jest zmęczony, zupełnie jakby dźwigał na swoich barkach olbrzymie brzemie odpowiedzialności.

Broganowi nie była obca walka, toteż z płynnych ruchów owego młodziana, ze sposobu, w jaki szarfa pendentu spływała mu z ramienia, a miecz kołysał się u jego biodra podczas ruchu, wywnioskował, że nie można

go lekceważyć. Ta broń nie była noszona dla ozdoby: to był oręż. Ów człowiek wyglądał na kogoś, kto ostatnio podjął wiele rozpaczliwych decyzji i poniósł wszystkie ich konsekwencje. Na pozór był niskiego stanu, lecz mimo to otaczała go aura władzy, a sposób bycia wymuszał posłuszeństwo.

Wiele kobiet natychmiast odzyskało panowanie nad sobą. Zaczęły słać mu uśmiechy i trzepotać rzęsami, czyli jak zwykle starały się przypodobać temu, który dzierżył władzę. Zrobiłyby to samo nawet wtedy, gdyby nie był tak niesamowicie przystojny, choć wówczas prawdopodobnie z mniejszym zapalem. Lord Rahl albo nie zauważył oznak ich zachęty, albo wołał ich nie dostrzegać.

Brogana interesowały przede wszystkim oczy tamtego. Oczy świadczyły o naturze człowieka, w tym jednym punkcie Tobias rzadko się mylił. Gdy nieugięte spojrzenie owego mężczyzny spoczywało na ludziach, niektórzy cofali się bezwiednie, inni nieruchomieli, jeszcze inni z kolei stawiali się niespokojni. W końcu oczy tamtego zwróciły się w kierunku Brogana i po raz pierwszy nań spojrzały. Naczelnny wódz ocenił serce i duszę lorda Rahla.

To jedno krótkie spojrzenie zupełnie wystarczyło Tobiasowi. Patrząc nań osoba była nadzwyczaj niebezpieczna.

Chociaż chłopak był młody i źle się czuł, wystawiony na te wszystkie spojrzenia, walczyłby zawzięcie. Brogan już wcześniej widywał takie oczy. Ten człowiek rzuciłby się w przepaść, byle tylko cię dopaść.

- Znam go - wyszeptał Galtero.

- Co? Skąd?

- Natknąłem się na niego wczoraj, kiedy wyłapywałem świadków. Już miałem przywieść go do ciebie na przesłuchanie, gdy pojawili się dwaj olbrzymi strażnicy i zabrali go.

- Jaka szkoda. To by było...

Cisza, która zapadła w komnacie, sprawiła, że Tobias spojrzał w górę. Lord Rahl wpatrywał się w niego. Broganowi wydawało się, że patrzy w przenikliwe, szare oczy drapieżnego ptaka.

Wzrok lorda Rahla przesunął się na Lunettę. Zamarła pod tym spojrzeniem, a tamten niespodziewanie się uśmiechnął.

- Masz najpiękniejszą suknię ze wszystkich obecnych tu kobiet - powiedział do niej.

Lunetta się rozpromieniła. Brogan o mało się nie roześmiał. Lord Rahl

dał właśnie uszczypliwą nauczkę zgromadzonym w komnacie ludziom. Miejsce, które zajmowali w społecznej hierarchii, nic dla niego nie znaczyło. Tobias zaczął się nagle dobrze bawić. Może dobrze byłoby, gdyby ktoś taki pojawił się wśród przywódców Imperialnego Ładu.

- Imperialny Ład - zaczął lord Rahl - wierzy, że nastał czas, by zjednoczyć świat pod jednym prawem, pod jego prawem. Jego członkowie twierdzą, że magia odpowiada za ludzkie słabości, nieszczęścia i kłopoty. Głoszą, że całe zło się wywodzi z magii. Mówią, że nastał czas, by magia zniknęła z powierzchni ziemi.

Jedni ze zgromadzonych przytaknęli temu, inni dali wyraz swojemu sceptycyzmowi, większość jednak milczała.

Lord Rahl położył ramię na oparciu najokazalszego, stojącego pośrodku krzesła.

- Ponieważ zamierzają urzeczywistnić swoją wizję i twierdzą, że działają ku chwale Stwórcy, nie ścierpią suwerenności żadnej krainy. Chcą, by wszyscy znaleźli się w strefie ich wpływów i w przyszłości utworzyli jeden lud: poddanych Imperialnego Ładu. - Przerwał na chwilę, gdy pochwycił spojrzenia wielu z zebranych osób. - Magia nie jest źródłem zła. To zwyczajne usprawiedliwienie dla ich czynów, które popełniają, dążąc do zdobycia przewagi.

Przez tłum przebiegły szepty, rozległy się przyciszone spory. Księżna Lumholtz wysunęła się naprzód, domagając się uwagi. Uśmiechnęła się do lorda Rahla, skłoniła przed nim głowę.

- Bardzo to ciekawe, co mówisz, lordzie Rahlu, lecz ten tam członek Bractwa Czystej Krwi - niedbałym gestem wskazała Tbbiasa, rzucając mu przy okazji gniewne, zimne spojrzenie - twierdzi, że cała magia to ohydne tchnienie Opiekuna.

Brogan nie odezwał się ani nie poruszył. Lord Rahl nie spojrzał na niego, ale cały czas wpatrywał się w księżną.

- Magia jest niczym dopiero co narodzone dziecko. Czy nazwałabyś to złem?

Księżna władczo uniosła rękę, uciszając tłum za swoimi plecami.

- Bractwo Czystej Krwi głosi, że magia jest tworem Opiekuna, toteż nie może być niczym innym niż wcieleniem zła.

Z różnych miejsc komnaty, także z łóż dały się słyszeć popierające ją

okrzyki. Tym razem to lord Rahl uniósł rękę i uciszył szemrzących.

- Opiekun jest niszczycielem, zatrata światła i życia, tchnieniem śmierci. Mówiono mi, że to Stwórca swoją mocą i majestatem stwarza wszystko, co istnieje.

Tłum niemal jednogłośnie wrzasnął, że to prawda.

- W takim razie - odezwał się lord Rahl - bluźni ten, kto głosi, że magia wywodzi się od Opiekuna. Czyż Opiekun potrafi stworzyć nowo narodzone dziecko? Przypisywać Opiekunowi moc tworzenia, która przynależy wyłącznie Stwórcy, to przyznawać mu to, co jest czyste i należy jedynie do Stwórcy. Opiekun nie może niczego stworzyć. Taka bluźniercza wiara to herezja.

W komnacie zapanowała cisza. Lord Rahl pochylił głowę ku księżnej.

- Czy wystąpiłaś z tłumem, moja pani, by wyznać, że jesteś heretyczką, czy też po to, by dla odniesienia korzyści oskarżyć o to kogoś innego?

Twarz księżnej znów przybrała barwę jej ust. Kobieta cofnęła się i stanęła przy boku męża. Księżę, z którego twarzy zniknęła maska spokoju, pogroził palcem lordowi Rahlowi.

- Słowne sztuczki nie zmieniają tego, że Imperialny Ład walczy ze złem Opiekuna i przybył tu, by nas przeciwko niemu zjednoczyć. Jego członkowie chcą tylko, by wszyscy żyli zgodnie i szczęśliwie. Magia odmówiłaby ludziom tego prawa. Jestem Keltończykiem i napawa mnie to dumą, lecz nadszedł czas, by wznieść się ponad poziom słabych i rozdrobnionych krain. Przeprowadziliśmy z Imperialnym Ładem wyczerpujące rozmowy, a oni, udowodnili, że są cywilizowanymi i obyczajnymi ludźmi, którzy chcą zjednoczyć wszystkie krainy w pokoju.

- Ten szlachetny ideał uosabiała dawniej jedność Midlandów, lecz wasze skąpstwo sprawiło, że odrzuciliście ją - odpowiedział spokojnie lord Rahl.

- Imperialny Ład jest inny. Oferuje prawdziwą siłę i prawdziwy, trwały pokój.

Lord Rahl wbił w księcia gniewny wzrok.

- Cmentarze rzadko burzą pokój. - Przeniósł gniewne spojrzenie na tłum. - Jeszcze nie tak dawno temu Armia Imperialnego Ładu przeszła przez serce Midlandów, szukając takich, którzy przyłączyliby się do niej. Wielu to uczyniło i siły Imperialnego Ładu wzrosły. Dowodził nimi d'haranski generał Riggs wraz z oficerami pochodzącymi z innych krain, a towarzyszył mu

czarodziej Slagle, w którego żyłach płynęła keltońska krew. Ponad sto tysięcy żołnierzy uderzyło na Ebinissię, królewskie miasto Galei. Napastnicy zachęcali mieszkańców Ebinissii, by przyłączyli się do nich i zostali poddani Imperialnego Ładu. Ci jednak bohatersko przeciwstawili się napaści na Midlandy. Odmówili wyrzeczenia się zobowiązań płynących z paktu o jedności i wspólnej obronie Midlandów.

Księżę otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz głos lorda Rahla po raz pierwszy nabrął groźnych tonów i tamtemu odebrało mowę.

- Galejska armia broniła miasta do ostatniego żołnierza. Czarodziej użył swojej mocy do uczynienia wylomu w murach i Imperialny Ład wdarł się do środka. Po zgładzeniu nielicznych obrońców nie okupował miasta, lecz przeszedł przez nie jak wataha rozszalałych zwierząt, gwałcąc, torturując i mordując bezbronnych ludzi. - Lord Rahl zacisnął mocno zęby, przechylił się przez stół i wskazał palcem księcia Lumholtza. - Imperialny Ład wymordował wszystkich mieszkańców Ebinissii: starych, młodych, nawet noworodki. Zabijali bezbronne ciężarne kobiety, pozbawiając życia zarówno matki, jak i nie narodzone dzieci. - Twarz miał czerwoną od gniewu, uderzył pięścią o stół. Wszyscy podskoczyli. - Tym czynem Imperialny Ład zadał kłam wszystkiemu, co głosi. Jego członkowie stracili prawo pouczenia innych, co jest dobre, a co złe. To niegodziwcy. Przybyli tutaj wyłącznie z jednego powodu: by podbijać i ciemiężyć innych. Wymordowali mieszkańców Ebinissii, by pokazać wszystkim, co mają do zaoferowania tym, którzy im się nie poddadzą. Nie powstrzymają ich ani granice, ani rozumne argumenty. Żołnierze, których miecze splamione są krwią dzieci, nie mają żadnych zasad. Nie waż mi się sprzeciwiać i twierdzić inaczej. Czynów Imperialnego Ładu nie można w żaden sposób usprawiedliwić ani wytłumaczyć. Pokazali groźne kły które kryją się za ich uśmiechem, i, na dobre duchy, stracili prawo, by głosić cokolwiek i żądać, by przyjmowano to za prawdę! - Lord Rahl wyprostował się i odetchnął, żeby się uspokoić. - Lecz niewinni na ostrzach kling i ci, którzy dzierżyli miecze, wiele tamtego dnia postradali. Ci, którzy poznali ostrza mieczy, utracili życie. Ci którzy trzymali owe miecze w dłoniach, utracili ludzką naturę i prawo do tego, by ich wysłuchano, a tym bardziej gdyby im wierzono. Stali się moimi wrogami: oni i każdy, kto się do nich przyłączy.

- A skąd pochodzili ci żołnierze? - zapytał ktoś. - Za twoją zgodą było

wśród nich wielu D'Harancyków. To ty, z własnej woli, wiodłeś D'Harancyków. Kiedy wiosną zniknęła granica, to właśnie żołnierze z D'Hary wdarli się tutaj i dopuścili okropieństw bardzo przypominających te, o których mówiłeś. Aydindril oszczędzono gwałtów, ale wiele innych miast spotkało to samo co Ebinissię, tyle tylko że z rąk D'Harancyków. A teraz chcesz, żebyśmy ci wierzyli? Nie jesteś od nich lepszy.

Lord Rahl skinął potakująco głową.

- Prawdą jest to, co mówisz o D'Harze. Władał nią mój ojciec, Rahl Posępny, którego wówczas nie znałem. Nie wychowywał mnie i nie nauczył swoich metod. Chciał właściwie tego samego, czego chce Imperialny Ład. Pragnął podbić wszystkie krainy i władać wszystkimi ludami. Różni ich tylko jedno: on działał sam, gdy Imperialny Ład działa zbiorowo. By dopiąć swego, Rahl Posępny posługiwał się nie tylko brutalną siłą, ale i magią, podobnie zresztą jak czyni to Ład. Jestem przeciwny temu wszystkiemu, co reprezentuje mój ojciec. On nie cofnąłby się przed żadną podłością, byle tylko uzyskać to, czego chciał. Torturował i zabił mnóstwo niewinnych ludzi i zakazywał posługiwania się magią, żeby nikt nie mógł jej wykorzystać przeciw niemu, zupełnie tak samo, jak zamierza uczynić to Imperialny Ład.

- W takim razie jesteś taki sam jak on. Lord Rahl potrząsnął głową.

- Nie, nie jestem. Nie pragnę osiąść władzy. Przyjąłem mój miecz jedynie dlatego, że mogę pomóc przeciwstawić się ciemieniu innym. Walczyłem po stronie Midlandów przeciwko mojemu ojcu. W końcu zabiłem go za jego zbrodnie. Kiedy wykorzystał swoją niegodziwą magię, by wrócić z zaświatów, ja wykorzystałem magię, by powstrzymać go i odesłać jego ducha Opiekunowi. Potem posłużyłem się raz jeszcze magią, żeby zamknąć bramę, przez którą Opiekun wysyłał swoich służalców do naszego świata.

Brogan zacisnął zęby. Wiedział z doświadczenia, że banelingi często starają się ukryć swoją prawdziwą naturę, racząc słuchaczy opowieściami o tym, jak to dzielnie walczyli z Opiekunem i jego służalcami. Usłyszał wystarczająco dużo tych fałszywych relacji, by rozpoznać w nich zasłonę przesłaniającą prawdziwe zło, które kryło się w sercu opowiadającego. Stronnicy Opiekuna byli często zbyt tchórzliwi, żeby ujawnić swoją rzeczywistą naturę, i ukrywali się za takimi chełpliwymi, wymyślonymi opowiastkami.

Brogan zjawiłby się w Aydindril o wiele wcześniej, gdyby od chwili, kiedy

opuścił Nikobarezję, nie natrafił na tyle gniazd nieprawości. Całe miasta i miasteczka, na pozór zamieszkane przez bogobojnych obywateli, okazywały się przeżarte złem. Gdy niektórych z najzagorzalszych obrońców swej prawości poddano odpowiedniemu przesłuchaniu, wyznawali w końcu swoją bluźnierczą postawę. I podawali oczywiście nazwiska mieszkających w sąsiedztwie streganich i banelingów, którzy za pomocą magii skłonili ich do złego.

Jedynym wyjściem było oczyszczenie. Trzeba było palić całe wioski i miasta. Nawet drogowskaz nie pozostał po matecznikach Opiekuna. Bractwo Czystej Krwi wykonało robotę ku chwale Stwórcy, ale kosztowało to sporo czasu i wysiłku.

Brogan, kipiąc z gniewu, znów uważnie słuchał lorda Rahla.

- Przyjąłem to wyzwanie tylko dlatego, że dano mi w ręce miecz. Proszę, byście nie oceniali mnie na podstawie tego, jaki był mój ojciec, lecz na podstawie moich własnych czynów. Nie mordowałem niewinnych, bezbronnych ludzi. Tak postępuje Imperialny Ład. Dopóki nie zawiodę zaufania uczciwych ludzi, dopóty będę miał prawo domagać się sprawiedliwego osądu. Nie mogę stać z boku i przyglądać się, jak triumfują źli ludzie. Będę walczył, wykorzystując wszystkie dostępne mi sposoby, w tym i magię. Jeśli staniecie po stronie tych morderców, to mój miecz nie okaże wam litości.

- Chcemy wyłącznie pokoju - krzyknął ktoś. Lord Rahl skinął potakująco głową.

- I ja chcę tylko tego, żeby zapanował pokój i żebym mógł wrócić do domu, do moich ukochanych lasów, i wieść proste życie. Ale nie mogę, jak żaden z nas nie może powrócić do beztrudnych czasów dzieciństwa. Zostałem obarczony odpowiedzialnością. Odwracanie się plecami do potrzebujących pomocy sprawia, że stajemy się współnikami agresora. To w imieniu owych niewinnych i bezbronnych przyjąłem miecz i toczę tę batalię.

- Lord Rahl ponownie oparł ramię o środkowe krzesło. - To krzesło Matki Spowiedniczki. Przez tysiące lat Matki Spowiedniczki władały Midlandami, czyniąc dobro, zapobiegając o utrzymanie krain we wspólnocie, dbając o to, by wszystkie ludy Midlandów żyły w pokoju z sąsiadami i zajmowały się swoimi sprawami bez obawy, że zagrozi im jakaś zewnętrzna siła. - Przesunął wzrokiem po wpatrzonych weń ludziach. - Naczelna Rada chciała

złamać tę jedność i naruszyć pokój, których symbolem jest ta komnata, ten pałac i to miasto, i o których z taką tęsknotą opowiadacie. Jednogłośnie skazali ją na śmierć i zadbali, by wykonano wyrok. - Lord Rahl dobył powoli miecza i położył go na zewnętrznym brzegu stołu, tak by wszyscy mogli go zobaczyć. - Mówiłem wam, że jestem znany pod rozmaitymi imionami. Jestem również znany jako mianowany przez Pierwszego Czarodzieja Poszukiwacz Prawdy. Mam więc prawo do noszenia Miecza Prawdy. Poprzedniego wieczoru zabiłem członków rady, mszcząc się za ich zdradę. Teraz wy reprezentujecie krainy Midlandów. Matka Spowiedniczka dała wam szansę utrzymania jedności, wy jednak odwróciliście się i od niej, i od owej możliwości.

Martwą ciszę przerwał głos jakiegoś człowieka, którego Brogan nie widział:

- Nie wszyscy zgadzaliśmy się z postanowieniem rady. Wielu z nas chce, żeby Midlandy przetrwały. Midlandy znów się połączą i nabiorą sił do owej walki.

Wiele głosów go poparło, wyrażając chęć uratowania jedności. Inni milczeli.

- Na to jest już za późno. Otrzymaliście już swoją szansę. Matka Spowiedniczka zносиła wasze kłótnie i waszą krnąbrność. - Lord Rahl energicznie wsunął miecz do pochwy. - Ja nie będę.

- Co masz na myśli? - spytał książę Lumholtz drżącym z irytacji głosem. - Pochodzisz z D'Hary. Nie masz prawa pouczać nas, jak powinny funkcjonować Midlandy. Midlandy to nasza sprawa.

Lord Rahl stał nieruchomo jak posąg. Powiedział cichym, rozkazującym tonem:

- Midlandów już nie ma. Rozwiązuję je. Od teraz każda kraina jest suwerenna.

- Midlandy nie są twoją zabawką.

- Keltonu także nie - odparł lord Rahl. - A Kelton zamierzał rządzić Midlandami.

- Jak śmiesz oskarżać nas o...

Lord Rahl uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Nie jesteście bardziej zachłanni niż inni. Wielu spośród was chciało się pozbyć Matki Spowiedniczki i czarodziejów, żeby w spokoju rozszarpać

zdobycz.

Lunetta pociągnęła brata za rękaw.

- To prawda - szepnęła. Brogan uciszył ją lodowatym spojrzeniem.

- Nie jestem tu po to, żeby omawiać sposoby kierowania Midlandami. Dopiero co powiedziałem wam, że je rozwiązuję. - Lord Rahl spojrzał na tłum tak groźnym i gniewnym wzrokiem, że Brogan musiał sobie przypomnieć, iż powinien oddychać. - Jestem tu po to, by dyktować warunki waszego poddania się.

Wszyscy się wzdrygnęli. W komnacie zahuczały gniewne krzyki. Zaczerwieniem mężczyźni potrzęsali pięściami i przeklinali. Książę Lumholtz kazał się im uciszyć i ponownie obrócił się ku podwyższeniu.

- Nie wiem, młodzieńcze, jakimiż to szalonymi pomysłami nabiłeś sobie głowę, ale to miasto pozostaje pod opieką Imperialnego Ładu. Wielu zawarło z nimi sensowne układy. Midlandy ocaleją, pozostaną zjednoczone pod władzą Imperialnego Ładu i nigdy nie poddadzą się krainom podobnym do D'Hary!

Tłum ruszył ku lordowi Rahlowi i w dłoniach Mord-Sith pojawiły się czerwone bicze, eszelon żołnierzy dobył mieczy, nastawiono piki, chimera rozpostarła skrzydła. Stwór zawarczał, ukazując ociekające śliną kły, a jego zielone ślepia zapłonęły. Lord Rahl stał nieruchomo jak granitowa skała. Tłum się zatrzymał, po czym cofnął.

Z ciała lorda Rahla emanowała teraz taka sama groźba jak z jego gniewnych oczu.

- Dano wam szansę ocalenia Midlandów, lecz odrzuciliście ją. D'Hara wyzwoliła się spod władzy Imperialnego Ładu i trzyma Aydindril w garści.

- Tylko ci się wydaje, że Aydindril jest w twoich rękach - wtrącił się książę Lumholtz. - Kelton ma tu swoje wojska, wiele innych krain również i nie oddamy miasta.

- Trochę na to za późno. - Lord Rahl wskazał na kogoś. - Przedstawiam wam generała Reibischa, dowódcę d'haranskich sił stacjonujących w tym sektorze.

Generał, muskularny mężczyzna z rdzawą brodą i bliznami, które były śladami po stoczonych walkach, wszedł na podwyższenie, oddał honory lordowi Rahlowi, przykładając pięść do serca, i spojrzał na zgromadzonych.

- Moi ludzie obsadzili i otoczyli Aydindril. Żołnierze stacjonują tu już od

miesiący. Uwolniliśmy się wreszcie z łap Imperialnego Ładu i na powrót jesteśmy D'Harancykami, którym przewodzi władca Rahl. D'haranskie wojska nie lubią siedzieć bezczynnie. Jeśli ktoś z was zechce walczyć, to sprawi mi tym przyjemność. Lord Rahl wydał rozkaz, byśmy nie wszczynali walki, lecz, na dobre duchy, jeśli będziemy musieli się bronić, to na pewno się obronimy. Śmiertelnie mnie już znużyły nudy okupacji i chętnie zajmę się czymś bardziej interesującym, czymś, w czym jestem dobry. Każdego z waszych pałaców strzeże oddział wojska. Doświadczenie podpowiada mi, że gdybyście wszyscy postanowili walczyć o miasto i uczynili to w zorganizowany sposób, wystarczyłby nam dzień lub dwa, żeby rozgromić wasze oddziały. Potem już nikt by nam nie przeszkadzał. D'Harancycy nie biorą jeńców.

Generał skłonił się lordowi Rahlowi i odstąpił do tyłu.

Wszyscy zaczęli jednocześnie mówić. Niektórzy gniewnie potrząsali pięściami i krzyczeli, tak by ich usłyszano. Lord Rahl wyrzucił w górę rękę.

- Cisza! - Niemal natychmiast zamilkli, więc mówił dalej: - Zaprosiłem was tutaj, żebyście usłyszeli, co mam wam do powiedzenia. Wysłucham tego, co wy macie mi do powiedzenia dopiero wtedy, kiedy poddacie się D'Harze. Nie wcześniej! Imperialny Ład chce władać całą D'Hara i całym Midlandami. Utracił D'Hare, ponieważ władam nią ja. Utracił Aydindril, ponieważ miasto należy do D'Hary. Mogliście zachować jedność, ale zmarnowaliście waszą szansę. Ta możliwość przeszła do historii. Teraz macie tylko dwie inne. Możecie sprzymierzyć się z Imperialnym Ładem. Imperialny Ład będzie rządzić żelazną ręką. Nie będziecie mieli praw ani głosu. Cała magia zostanie wykorzeniona, z wyjątkiem tej, która pozwoli im nad wami panować. Jeśli przeżyjecie, wasze życie stanie się ciężką walką prowadzoną bez iskiej nadziei na odzyskanie wolności. Będziecie ich niewolnikami. Możecie się też jednak poddać D'Harze. Będziecie podlegać panującemu w niej prawu. Kiedy się już z nami zjednoczycie, uzyskacie prawo głosu. Nie zamierzamy niszczyć różnorodności, jaka istnieje w Midlandach. Dopóki nie naruszycie praw i zasad innych, będziecie mieć prawo do zbierania owoców waszej pracy, do handlu i robienia kariery. Magia będzie chroniona, a wasze dzieci narodzą się w wolnym świecie. W świecie, w którym wszystko jest możliwe. A gdy wytrzebimy Imperialny Ład, zapanuje pokój. Prawdziwy pokój. Ceną za to będzie jednak wasza

suwerenność. Zachowacie swoje ziemie i kulturę, ale nie będzie wam wolno utrzymywać armii. Jedyne istniejące wojsko będzie wspólne dla wszystkich i będzie stawać pod sztandarami D'Hary. Nie będzie żadnej rady niezależnych krain. Rządy przekażecie D'Harze. Poddanie się to cena, jaką każda kraina zapłaci za pokój, i dowód na to, że się do niego zobowiązuje. Dotychczas płaciliście daninę Aydindril. Także obecnie żadna z krain, żaden lud nie będzie dźwigał całego ciężaru wolności. Wszystkie krainy i wszystkie ludy zapłacą podatek, który wystarczy na zorganizowanie wspólnej obrony, nie więcej. Wszyscy poniosą równe koszty i nikt nie będzie faworyzowany.

W komnacie rozbrzmiały protesty, większość zgromadzonych głośno, że będzie to rabunek ich własności. Lord Rahl uciszył ich gniewnym spojrzeniem.

- Nie ceni się tego, co przyszło darmo. Właśnie dzisiaj mi o tym przypominano. To ją pogrzebaliśmy. Wolność ma swoją cenę i każdy musi ją zapłacić, żeby wszyscy cenili tę wartość i chronili ją.

Stojące w łóżach tłumy krzyknęły, że obiecano im złoto, że ono do nich należy i że nie będzie ich stać na płacenie podatków. Ludzie zaczęli się domagać złota. Lord Rahl ponownie uniósł rękę, nakazując ciszę.

- Człowiek, który obiecał wam, że otrzymacie złoto za nic, nie żyje. Wykopcie go i poskarżcie się mu, jeśli chcecie. Żołnierzom, którzy będą się bić o waszą wolność, potrzeba żywności, a nasze wojska nie będą jej kraść. Ci, którzy dostarczą żywność albo zaoferują usługi, otrzymają dobrą cenę za swoją pracę i dobra. Wszyscy będą mieli swój udział w walce o wolność i zapewnienie pokoju. Jeżeli nie uczynią tego, służąc w wojsku, zapłacą niewielki podatek na utrzymanie naszej armii. Wszyscy, bez względu na to, ile mają, muszą zainwestować w wolność i zapłacą swoją część. Tak mówi prawo i jest ono nienaruszalne. Jeżeli nie chcecie się do niego dostosować, opuście Aydindril i udajcie się do Imperialnego Ładu. Możecie się od nich domagać złota, bo to oni je wam obiecali. Ja nie przejmę ich zobowiązań. Macie swobodę wyboru: z nami lub przeciwko nam. Jeśli zostanieie z nami, wspomóżecie nas. Dobrze się jednak zastanówcie, nim postanowicie odejść. Jeśli teraz odejdziecie, a potem uznacie, że nie możecie dłużej ścierpieć Imperialnego Ładu, przez dziesięć lat będziecie płacić podwójne podatki, żeby odkupić to, iż początkowo nas opuściliście.

Tłum zgromadzony w łóżach zachłysnął się powietrzem. Jedna z kobiet

stojących niedaleko podwyższenia odezwała się nerwowo:

- A co, jeśli nie wybierzemy żadnej z tych możliwości? Nasze zasady zabraniają nam walczyć. Chcemy, by zostawiono nas w spokoju i pozwolono żyć własnym życiem. A jeżeli postanowimy nie przyłączać się do walki i zająć naszymi sprawami?

- Czyżbyś uważała arogancko, że jesteś od nas lepsza, bo nie chcesz walczyć, a my postanowiliśmy się bić, by powstrzymać rzeź? A może sądzisz, że sami poniesiemy wszelkie związane z tym ciężary, byś i ty mogła się cieszyć swobodą życia według własnych zasad? Nie musisz nosić miecza. Możesz się do tego przyczynić w inny sposób, ale musisz to zrobić. Możesz pomagać, opatrując rannych, opiekując się rodzinami żołnierzy, budując i dbając o drogi, którymi pójdzie zaopatrzenie dla armii. Jest wiele sposobów pomocy, a pomoc musisz. Zapłacisz podatek, jak wszyscy inni. Nie będzie gapiów. Jeśli twój lud nie zechce się nam poddać, zostaniecie sami. Imperialny Ład zamierza podbić wszystkie ludy i wszystkie krainy. Skoro nie ma innego sposobu, który pozwoliłby go powstrzymać, to i ja nie mogę się zadowolić niczym mniejszym. Wcześniej czy później dostaniecie się pod panowanie jednej ze stron. Módl się, żeby to nie był Imperialny Ład. Krainy, które nie zechcą się poddać, zostaną odizolowane, dopóki czas nie pozwoli nam ich podbić lub dopóki nie uczynią tego wojska Ładu. Żadnemu z naszych ludów pod groźbą oskarżenia o zdradę nie będzie wolno z wami handlować, a wy nie będziecie mogli ani przewozić towarów, ani podróżować przez nasz kraj. Propozycji poddania się towarzyszą pewne zachęty. Będziecie mogli się do nas przyłączyć bez uszczerbku i bez sankcji. Kiedy minie termin pokojowego poddania i trzeba będzie was podbijać, to was podbijemy, wtedy jednak warunki będą surowe. Każdy z waszych ludów przez trzydzieści lat będzie płacił potrojony podatek. Przyszłe pokolenia nie powinny płacić za błędy tego. Sąsiednie krainy będą rozkwitać, a wy niej obciążeni wysokimi kosztami. Wasz kraj prawdopodobnie odzyska siły, ale wy raczej tego nie dożyjecie. Ostrzegam was. Zamierzam zetrzeć z powierzchni ziemi rzeźników zwących się Imperialnym Ładem. Jeżeli będziecie na tyle głupi, by się do nich przyłączyć, to czeka was ten sam los. Nie będzie litości.

- To ci się nie uda! - zawołał ktoś z tłumu. - Powstrzymamy cię!

- Midlandy się rozpadły i już nie można ich scalić, inaczej przyłączyłbym

się do was. Co minęło, to nie wróci. Duch Midlandów przetrwa w tych z was, którzy dochowają mu wierności. Matka Spowiedniczka wypowiedziała w imieniu Midlandów bezlitosną wojnę tyranii Imperialnego Ładu. Uszanujcie jej rozkaz i ideały Midlandów w jedyny korzystny sposób: poddajcie się D'Harze. Jeśli przyłączycie się do Imperialnego Ładu, wystąpicie przeciw wszystkiemu, co przedstawiały Midlandy. Oddział galejskich żołnierzy, którym dowodziła sama królowa tej krainy, dopadł morderców mieszkańców Ebinissii i wybił ich do nogi. Udowodniła nam, że Imperialny Ład można pokonać. Mam poślubić królową Galei, Kahlan Amnell, i przyłączyć jej lud do mojego. Udowodnię w ten sposób, że nie osłaniam popełnionych zbrodni, nawet jeśli popełnili je d'haranscy żołnierze. Galea i D'Hara jako pierwsze złączą się w nowej unii, a dojdzie do tego przez poddanie się Galei D'Harze. Moje małżeństwo z królową pokaże, iż będzie to unia oparta na wzajemnym szacunku. Wykaże, że można to osiągnąć, unikając rozlewu krwi i pragnienia sprawowania władzy, że chodzi o uzyskanie siły i nadziei na nowe, lepsze życie. Królowa równie mocno jak ja pragnie wytrzebieńca Imperialnego Ładu. Dowiodła tego czynem.

Tłum - i ten na dole, i ten w łóżach - zaczął wykrzykiwać pytania i żądania.

- Dosyć! - przekrzyczał ich lord Rahl. Ludzie raz jeszcze niechętnie zamilkli. - Usłyszałem wszystko, co chciałem usłyszeć. Powiedziałem wam, jak będą się miały rzeczy. Nie myślcie błędnie, że będę tolerował sposób, w jaki zachowywaliście się jako narody Midlandów. Nie będę. Dopóki się nie poddadcie, dopóty pozostaniecie potencjalnymi wrogami i jako tacy będziecie traktowani. Wasi żołnierze, w taki czy inny sposób, mają natychmiast złożyć broń i nie mają wychodzić poza kordon D'Harańczyków, którzy otaczają teraz wasze pałace. Każdy z was wyśle niewielką delegację do swojej krainy, by dokładnie przekazała to, co wam dzisiaj powiedziałem. Nie próbujcie nadużywać mojej cierpliwości, ponieważ zwlekając, możecie wszystko stracić. I nie sądźcie, że uda się wam wypertraktować dla siebie jakieś specjalne warunki - nie będzie żadnych ulg. Każda kraina, duża czy mała, będzie traktowana tak samo i musi się poddać. Jeżeli postanowicie się poddać, powitamy was z otwartymi ramionami i będziemy oczekiwać, że wniesiecie swój wkład. - Spojrzał ku łóżom. - To samo dotyczy również was. Przyczynicie się do swojego ocalenia albo opuście miasto. Nie twierdzę, że

będzie to łatwe; występujemy przeciwko pozbawionemu sumienia wrogowi. Nasłano na nas stwory, które tkwią na palach przed wejściem. Rozważcie moje słowa i zastanówcie się nad ich losem. Oby duchy były dla was lepsze na tamtym świecie, niż ja będę na tym, jeśli przystaniecie do Imperialnego Ładu. Możecie odejść.

ROZDZIAŁ 13

Gwardzisci skrzyżowali piki przed drzwiami.

- Lord Rahl chce z tobą mówić.

Pozostali goście opuścili już komnatę. Brogan został do końca, gdyż pragnął się przekonać, czy ktoś będzie chciał uzyskać prywatną audiencję u lorda Rahla. Większość przybyłych osób pospiesznie wyszła, lecz zgodnie z tym, czego spodziewał się lord generał, kilku się ociągało. Gwardziści odrzucili ich uprzejme prośby. Opustoszały także łóżce.

Brogan i Galtero przedelfowali po bokach Lunetty ku podwyższeniu. Kopuła odbijała echem odgłos kroków, które stawiali na marmurowej posadzce, i metaliczny szczeł zbroi idących za nimi gwardzistów. Lampy oświetlały ciepłym blaskiem rozległą, bogato zdobioną marmurową komnatę. Lord Rahl odchylił się na oparcie krzesła stojącego obok miejsca Matki Spowiedniczki i patrzył, jak nadchodzą.

Większość d'haranskich żołnierzy odprawiono wraz z gośćmi. Generał Reibisch stał z ponurą miną obok podwyższenia, dwaj olbrzymi członkowie straży przybocznej pozostawali na jego krańcach, a trzy Mord-Sith niezmiennie towarzyszyły lordowi Rahlowi. One również patrzyły uporczywym wzrokiem zwiniętych w kłębek zmij. Chimera sterczała za krzesłami, a jej zielone, lśniące ślepie śledziły ich, gdy zatrzymali się przed stołem.

- Możecie odejść - zwrócił się generał Reibisch do żołnierzy.

Uderzyli pięściami w napierśniki i odeszli. Lord Rahl poczekał, aż zamkną się za nimi dwuskrzydłowe drzwi, a następnie spojrzał na Galtera i Brogana i w końcu zatrzymał wzrok na Lunecie.

- Witaj. Jestem Richard. Jak ci na imię?

- Lunetta, lordzie Rahlu. - Zachichotała i niewprawnie dygnęła.

Lord Rahl przesunął wzrok na Galtera, a ten przestąpił z nogi na nogę.

- Przepraszam, lordzie Rahlu, za to, że o mało cię dziś nie stratowałem.

- Przeprosiny przyjęte. - Lord Rahl uśmiechnął się do siebie. - Widzisz, jakie to było proste?

Galtero nic nie powiedział. Lord Rahl spojrzał na Brogana i spoważniał.

- Chcę wiedzieć, lordzie generale Broganie, dlaczego porywasz ludzi.

Brogan rozłożył ręce.

- Porywanie ludzi? Ani nie czyniliśmy czegoś takiego, lordzie Rahlu, ani nie będziemy czynić.

- Wątpię, generale Brogan, czy tolerował pan wykrętne odpowiedzi. I to nas łączy.

Brogan chrząknął.

- To musi być jakieś nieporozumienie, lordzie Rahlu. Gdy przybyliśmy do Aydindril, żeby pomóc w zaprowadzeniu pokoju, stwierdziliśmy, iż w mieście panuje zamęt i nie wiadomo, kto sprawuje władzę. Zaprosiliśmy do naszego pałacu kilkoro ludzi, by ustalili, co się dzieje. Nic więcej.

Lord Rahl pochylił się do przodu.

- Wygląda na to, że interesowała cię jedynie egzekucja Matki Spowiedniczki. Dlaczegoż to? Brogan wzruszył ramionami.

- Musisz zrozumieć, lordzie Rahlu, że Matka Spowiedniczka przez całe moje życie uosabiała w Midlandach władzę. Odkrycie, że być może została święta, bardzo mnie zaniepokoiło.

- Niemal pół miasta było świadkiem egzekucji i mogło ci o tym opowiedzieć. Dlaczego uznałeś za konieczne porywać ludzi z ulicy i wypytywać ich o to?

- Cóż, ludzie niekiedy przedstawiają odmienne wersje wydarzeń, kiedy się ich na osobności przepytuje. Inaczej je zapamiętują.

- Egzekucja to egzekucja. Co tu można w inny sposób zapamiętać?

- Czy ktoś stojący na drugim końcu placu może widzieć, kogo prowadzą na ścięcie? Jedynie kilku stojących najbliżej ludzi mogło widzieć jej twarz, a i tak wielu z nich mogło nie wiedzieć, że to ona. - Oczy lorda Rahla nie złagodniały, więc Brogan kontynuował pośpiesznie: - Łudziłem się, lordzie Rahlu, że mógł to być podstęp.

- Podstęp? Zgromadzeni ludzie widzieli, jak święto Matkę Spowiedniczkę - stwierdził kategorycznie lord Rahl.

- Czasami ludzie widzą to, o czym sądzą, że mieli zobaczyć. Miałem nadzieję, że było to jedynie widowisko, a nie egzekucja, i że mogła uciec. Taką miałem nadzieję. Matka Spowiedniczka opowiada się za pokojem. Gdyby wciąż żyła, byłby to dla ludzi wielki symbol nadziei. Potrzebujemy jej. Gdyby okazało się, że żyje, zamierzałem jej zaoferować ochronę.

- Porzuć nadzieję i skoncentruj się na przyszłości.

- Ależ, lordzie Rahlu... przecież musiałeś z pewnością słyszeć pogłoski ojej ucieczce?

- Nie słyszałem żadnych takich pogłosek. Znałeś Matkę Spowiedniczkę? Brogan uśmiechnął się miło.

- O tak, lordzie Rahlu. Prawdę mówiąc, dość dobrze. Wiele razy odwiedzała Nikobarezję, która była znaczącym członkiem Midlandów.

- Naprawdę? - Lord Rahl spojrział na niego zza stołu z nieodgadnioną twarzą. - Jak wyglądała?

- Była... hm... miała... - Brogan się nachmurzył. Spotkał ją, lecz, o dziwo, ixświadomił sobie nagle, że zupełnie nie pamięta, jak wyglądała. - Trudno ją opisać, a ja nie jestem w {3011 zbyt biegły.

- Jak się nazywała?

- Nazywała?

- Tak. Jak się nazywała? Powiedziałeś, że dobrze ją znasz. Jak się nazywała?

- Nazywała się...

Brogan znów się nachmurzył. Jak to możliwe? Ścigał kobietę, która, była zmorą pobożnych i symbolem magicznego ucisku wierzących, kobiety, którą pragnął osądzić i ukarać bardziej niż innych stronników Opiekuna, i oto nie mógł sobie przypomnieć ani jak ona wygląda, ani jak się nazywa. Starał się ze wszystkich sił, lecz nie udawało mu się.

Nagle Brogan pojął - to czar śmierci. Lunetta mówiła, że gdyby go jednak rzucono, brat prawdopodobnie by jej nie rozpoznał. Nie sądził, że czar ten zatrze również nazwisko kobiety, ale było to jedyne wytłumaczenie.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Przepraszam, lordzie Rahlu, lecz to, co niedawno powiedziałeś, zoipełnie zamieszało mi w głowie. - Zachichotał i poklepał się w czoło. - Chyba się starzeję i jestem otumaniony. Wybacz mi.

- Porywasz Ludzi z ulicy, żeby wypytywać ich o Matkę Spowiedniczkę, bo masz nadzieję, że ona żyje i że będziesz mógł ją chronić, a nie pamiętasz, jak wygląda ani nawet jak się nazywa? Mam nadzieję, generale, iż rozumiesz, że z mojego punktu widzenia "otumaniony" to łagodne określenie. Nalegam, byś - tak jak jej imię - zapomniał również o tych idiotycznych, nierozsądnych poszukiwaniach i skoncentrował się na przyszłości twojego ludu.

Brogan poczuł, jak tężeją mu policzki. Ponownie rozłożył ręce.

- Czyż nie rozumiesz tego, lordzie Rahlu? Gdyby odnaleziono Matkę Spowiedniczkę żywą, ogromnie by ci to pomogło. Gdybyś zdołał ją przekonać o swej szczerości i o konieczności realizacji twojego planu, byłaby twoim nieocenionym sojusznikiem. Jej zgoda na twoje zamierzenia znaczyłaby bardzo wiele dla mieszkańców Midlandów. Mimo iż nieszczerne posunięcie Naczelnej Rady, które, szczerze mówiąc, sprawia, że krew burzy się we mnie, zdaje się świadczyć o czymś innym... mnóstwo Midlańczyków darzy Matkę Spowiedniczkę ogromnym szacunkiem i jej poparcie mogłoby przesądzić sprawę. A może nawet zdołałbyś ją przekonać, żeby za ciebie wyszła.

- Mam poślubić królową Galei.

- Gdyby żyła Matka Spowiedniczka, nawet w takiej sytuacji potrafiłaby ci pomóc. - Brogan gładził bliznę w pobliżu ust i wpatrywał się w człowieka stojącego za stołem. - Myślisz, lordzie Rahlu, że to możliwe, by ona wciąż żyła?

- Nie było mnie wtedy tutaj, lecz powiedziano mi, że tysiące ludzi widziało jej egzekucję. Są przekonani, że nie żyje. Przyznaję, że gdyby było inaczej, byłaby moim bezcennym sojusznikiem, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, czy potrafisz podać mi choć jeden rozsądny powód, dla którego wszyscy ci ludzie się mylą?

- Cóż, nie, sędzę jednak, że...

Lord Rahl uderzył pięścią w stół. Podskoczyli nawet obaj olbrzymi strażnicy.

- Mam tego dość! Myślisz, że jestem tak głupi, by owe spekulacje odwiodły mnie od najważniejszej sprawy, jaką jest zaprowadzenie pokoju?! Sądziś, że przyznam ci jakieś specjalne przywileje, bo wydaje ci się, że potrafisz mi podpowiedzieć, jak pozyskać mieszkańców Midlandów?! Mówiłem, że nie będzie żadnych szczególnych względów! Będziecie traktowani tak samo jak każda inna kraina!

Brogan oblizał wargi.

- Oczywiście, lordzie Rahlu. Nie zamierzałem...

- Jeśli w dalszym ciągu, kosztem zajmowania się przyszłością swojej krainy, będziesz poszukiwał kobiety, której egzekucję widziało tysiące ludzi, to skończysz na ostrzu mojego miecza.

Brogan się uklonił.

- Oczywiście, lordzie Rahlu. Natychmiast wyjeżdżamy do kraju, przekazać wieści od ciebie.

- Niczego takiego nie zrobisz. Masz zostać tutaj.

- Ależ muszę przecież przekazać królowi wiadomości od ciebie.

- Twój król nie żyje. - Lord Rahl spojrzał nań znacząco. - A może chcesz ścigać również jego cień, podejrzewając, że ukrywa się wraz z Matką Spowiedniczką?

Lunetta zachichotała. Brogan rzucił jej spojrzenie i śmiech natychmiast ucichł. Uświadomił sobie, że już się nie uśmiecha. Zdołał skrzywić wargi w udającym go grymasie.

- Bez wątpienia zostanie obrany nowy król. Taki obyczaj panuje w naszym kraju: przewodzi nam król. To jemu, nowemu królowi, chciałem zanieść wieści, lordzie Rahlu.

- Skoro każdy nowy król będzie niewątpliwie narzędziem w twoich rękach, podróż jest zbędna. Zostaniesz w waszym pałacu, dopóki nie przyjmiesz moich warunków i się nie poddasz.

Brogan uśmiechnął się szerzej.

- Jak sobie życzysz, lordzie Rahlu.

Zaczął wyjmować nóż z przytroczonej do pasa pochwy. Czerwony bicz jednej z Mord-Sith w mgnieniu oka znalazł się tuż przed jego twarzą. Generał zamarł. Spojrzał w niebieskie oczy kobiety i bał się poruszyć.

- Tb obyczaj panujący w moim kraju, lordzie Rahlu. Nie chciałem uczynić nic złego. Chciałem oddać ci nóż na znak, że zamierzam zadośćuczynić twoim życzeniom i pozostać w pałacu. To znak, że daję słowo, symbol mojej szczerości. Pozwolisz?

Kobieta nie odrywała niebieskich oczu od oczu Brogana.

- W porządku, Berdine - powiedział do niej lord Rahl. Cofnęła się, choć z wielką niechęcią, rzucając przy tym Broganowi jadowite spojrzenie. Brogan powoli dobył noża i ostrożnie, rękojeścią ku tamtemu, złożył go na brzegu stołu. Lord Rahl wziął broń i odłożył ją na bok.

- Dziękuję, generale.

Brogan wyciągnął otwartą dłoń, wnętrzem ku górze.

- O co chodzi?

- To obyczaj, lordzie Rahlu. W moim kraju, kiedy uroczyście oddajesz nóż, osoba, która go przyjmuje, aby uniknąć hańby, daje ci za niego monetę.

Srebro za srebro, jako symboliczny akt dobrej woli i pokoju.

Lord Rahl, patrząc wciąż w oczy Tobiasa, zastanawiał się nad tym przez chwilę, potem odchylił się do tyłu, wyjął z kieszeni srebrną monetę i popchnął ją ku niemu po stole. Brogan wyciągnął rękę, wziął pieniądze i wsunął go do kieszeni. Wcześniej jednak przyjrzał się rytowi. Przedstawiał Pałac Proroków.

- Dziękuję, że uszanowałeś mój obyczaj, lordzie Rahlu. - Generał skłonił się. - Jeśli nie masz już do mnie żadnych spraw, to odejdę, by przemyśleć twoje słowa.

- Właściwie jest jeszcze coś. Słyszałem, że Bractwo Czystej Krwi nie aprobuje magii. - Lord Rahl pochylił się nieznacznie ku Broganowi. - Dlaczego zatem masz przy sobie czarodziejkę?

Brogan spojrzał na stojącą przy nim kręłą osobę.

- Lunette? Cóż, to moja siostra, lordzie Rahlu. Zawsze mi towarzyszy. Bardzo ją kocham, mimo że ma dar. Gdybym był tobą, nie przywiązywałbym zbytnej wagi do słów księżnej Lumholtz. Ona jest Keltonką, a słyszałem, że Keltończycy są lojalni wobec Imperialnego Ładu.

- Słyszałem to nie tylko od Keltończyków.

Brogan wzruszył ramionami. Marzył o tym, by dopaść ową gadatliwą kucharkę i obciąć jej zbyt długi język.

- Prosiłeś, żebyśmy oceniali cię na podstawie twoich czynów, nie zaś tego, co inni mówią o tobie. Odmówiłbyś mi tego samego prawa? Nie mam wpływu na to, co słyszysz, lecz moja siostra ma dar i nie zmienię tego.

Lord Rahl odchylił się na oparcie krzesła. Jego spojrzenie było równie przenikliwe jak zawsze.

- Bractwo Czystej Krwi było w oddziałach Imperialnego Ładu, które wymordowały mieszkańców Ebinissii.

- D'Haranczycy też. - Brogan uniósł znacząco brew. - Ci, którzy napadli Ebinissię, nie żyją. Zaproponowałeś dzisiaj, aby zacząć wszystko od podstaw? Każdy może przyjąć twoją pokojową ofertę?

Lord Rahl potaknął z wolna.

- Tak. I jeszcze jedno, generale. Walczyłem ze służalcami Opiekuna i nadal będę to robił. Zwalczając ich, odkryłem, że wcale nie muszą się chować w mrokach. Takim służalcem może się okazać osoba, której nigdy byś o to nie podejrzewał, i, co gorsza, może ona wypełniać wolę Opiekuna, nie

wiedząc nawet, że to czyni.

-I ja o tym słyszałem. - Brogan skinął głową.

- Upewnij się, że nie ścigasz cienia, który sam rzucasz. Brogan zmarszczył brwi. Usłyszał od lorda Rahla wiele uwag, które mu się nie spodobały, lecz ta była pierwszą, której nie zrozumiał.

- Dobrze znam zło, które ścigam, lordzie Rahlu. Nie obawiaj się o moje bezpieczeństwo.

Generał chciał odejść, ale zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Czy mogę ci pogratulować zaręczyn z królową Galei... Chyba rzeczywiście jestem otumaniony. Nie mogę zapamiętać nazwisk. Wybacz mi. Jakżeż się ona nazywa?

- Królowa Kahlan Amnell. Brogan się skłonił.

- Oczywiście. Kahlan Amnell. Drugi raz już tego nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 14

Richard wpatrywał się w wysokie mahoniowe drzwi, które zamknęły się za Broganem. Jakież to odświeżające, zobaczyć kogoś tak prostodusznego pojawiającego się w Pałacu Spowiedniczek pośród ważnych, wystrojonych ludzi w ubraniu składającym się ze strzępów różnobarwnych tkanin. Prawdopodobnie uznali ją za wariatkę. Spojrzał na swoje skromne, zabrudzone odzienie. Zastanowił się, czyjego także uznali za szaleńca. A może nim był.

- Skąd wiedziałeś, lordzie Rahlu, że to czarodziejka? - spytała Cara.

- Była osłonięta swoją Han. Nie widziałeś tego w jej oczach? Skórzany czerwony uniform Mord-Sith zaskrzypiał, gdy oparła biodro o stół obok Richarda.

- Rozpoznamy w kobiecie czarodziejkę dopiero wtedy, gdy próbuje użyć przeciwko nam swojej mocy, nie wcześniej. Co to jest Han?

Richard otarł twarz dłonią i ziewnął.

- To jej wewnętrzna moc, siła życia. Jej magia. Cara wzruszyła ramionami.

- Ty też masz dar, więc to widzisz. My nie.

Chłopak dotknął kciukiem rękojeści miecza i mruknął coś w odpowiedzi.

Z czasem, zupełnie nieświadomie, nauczył się wyczuwać w kimś magiczny dar. Jeżeli ktoś posługiwał się nim, Richard zwykle dostrzegał to w jego oczach. Dar każdej osoby miał szczególne, tylko jej właściwe cechy, lecz istniał pewien wspólny rys, który chłopak rozpoznawał. Może dlatego, że - jak powiedziała Cara - sam miał dar, a może dlatego, że w tyłu już oczach widział owo charakterystyczne, ponadczasowe spojrzenie. Miały je Kahlan, Adie - kościana babka, wiedźma Shota, Du Chaillu - duchowa przewodniczka Baka Ban Mana, Rahl Posępny, Siostra Verna, Ksieni Annalina i wszystkie pozostałe Siostry Światła.

Siostry Światła były czarodziejkami i kiedy łączyły się ze swoją Han, Richard często dostrzegał w ich oczach ów niewidzący, szklisty wzrok. Czasami, gdy otaczała je osłona magii, chłopak niemal widział, jak iskrzy się wokół nich powietrze. Niektóre Siostry emanowały taką mocą, że kiedy przechodziły obok Richarda, temu jeżyły się włoski na karku.

Teraz Richard zobaczył takie samo spojrzenie Lunetty. Siostra Brogana była otulona Han. Nie wiedział za to, dlaczego. Nie wiedział, dlaczego stała tutaj beczynn timer i dotykała swojej Han. Czarodziejki zwykle nie robią tego bez powodu, tak jak on nie dobywa bez potrzeby miecza, a tym samym jego magii. Może to po prostu odpowiadało jej dziecinnej naturze, tak jak owe kolorowe strzępy. Jednak Richard tak nie uważał.

Niepokoilo go to, że Lunetta prawdopodobnie starała się upewnić, czy on, Richard, mówi prawdę. Nie znał na tyle magii, by wiedzieć, czy jest to możliwe, ale czarodziejki często w jakiś sposób wiedziały, że kłamię, i dawały mu do zrozumienia, że jego kłamstwo tak rzuca im się w oczy, jakby płonęła mu od tego czupryna. Nie chciał ryzykować i uważał, by zwłaszcza w sprawie śmierci Kahlan nie skłamać przy Lunecie.

Brogan na pewno interesował się Matką Spowiedniczką. Richard chciałby wierzyć, że tamten mówił prawdę. Jego słowa brzmiały dość sensownie. Może to tylko troska o bezpieczeństwo Kahlan sprawiała, że generał był tak podejrzliwy.

- Ten człowiek to same kłopoty - odezwał się wbrew sobie.

- Czy chcesz, żebyśmy podcięły mu nieco skrzydełka, lordzie Rahlu? - Berdine zakołysała wiszącym jej u nadgarstka Agielem, po czym chwyciła bicz w dłoń i znacząco poruszyła brwią. - A może coś odrobinę niżej? - Pozostałe dwie Mord-Sith zachichotały.

- Nie - odparł znużonym głosem Richard. - Dałem słowo. Poprosiłem ich wszystkich, by zrobili coś bezprecedensowego, coś, co na zawsze odmieni ich życie. Muszę postąpić zgodnie z obietnicą i dać im możliwość dostrzeżenia, że to słuszne, że to dla wspólnego dobra, że to najlepsza szansa na pokój.

Gratch ziewnął, ukazując kły, i usiadł na podłodze obok krzesła Richarda. Chłopak miał nadzieję, że chimera nie jest tak zmęczona jak on. Wydawało mu się, iż Ulic i Egan zupełnie nie zwracają uwagi na rozmowę: stali rozluźnieni z rękoma za plecami. Przypominali kolumny, które zdobiły komnatę. Jednak ich oczy były czujne - bezustannie omiatali wzrokiem kolumny, zakamarki i nisze, obserwując pomieszczenie, choć nie było w nim nikogo poza nimi ośmioma.

Generał Reibisch pocierał odruchowo mięsistym kciukiem cebulastą, złotą podstawę lampy stojącej na skraju podwyższenia.

- Lordzie Rahlu, czy żołnierzom naprawdę nie wolno brać łupów?

Richard spojrział w zaniepokojone oczy generała.

- Tak. W ten sposób postępują nasi wrogowie, ale nie my. Walczymy o wolność, nie o zdobycz.

General odwrócił oczy i twierdząco skinął głową.

- Chcesz coś na ten temat powiedzieć, generale?

- Nie, lordzie Rahlu.

Richard opadł na oparcie krzesła.

- Generale Reibisch, od kiedy urosłem na tyle, że można mi było zaufać, byłem leśnym przewodnikiem. Jeszcze nigdy nie dowodziłem armią. Pierwszy przyznam, że niewiele o tym wiem. Przydałaby mi się twoja pomoc.

- Moja pomoc? Jakiego rodzaju, lordzie Rahlu?

- Mógłbym skorzystać z twojego doświadczenia. Byłbym wdzięczny gdybyś wyraził swoją opinię, zamiast ją przemilczać i mówić: "Tak, lordzie Rahlu". Mogę się z tobą nie zgodzić, mogę się nawet rozzłościć, ale nigdy nie ukarzę cię za to, że powiesz mi, co myślisz. Zastąpię cię kimś innym, jeśli nie posłuchasz rozkazów, lecz możesz swobodnie mówić, co o nich sądzisz. To jedna z rzeczy, o które walczymy.

Generał splótł dłonie za plecami. Mięśnie ramion załśniły pod rękawami kolczugi i Richard dostrzegł blizny oznaczające rangę.

- DTiarańskie oddziały mają zwyczaj łupić pokonanych. Żołnierze się tego spodziewają.

- Poprzedni władcy mogli to tolerować, a nawet zachęcać do tego. Ja nie będę.

Westchnienie generała było aż nadto czytelnym komentarzem.

- Jak sobie życzysz, lordzie Rahlu.

Richard rozmasował skronie. Głowa go bolała, ponieważ dawno już nie spał.

- Nie rozumiesz? Tu nie chodzi o podbijanie krain i odbieranie dóbr ich mieszkańcom. Tym razem chodzi o walkę z ciemżycielami.

Generał wsparł stopę na połączanej poprzeczce krzesła i zatknął kciuk za szeroki pas.

- Nie widzę tu wielkiej różnicy. Z mojego doświadczenia wynika, iż mistrz Rahl zawsze uważa, że wie lepiej, i zawsze chce zapanować nad

światem. Jesteś synem twojego ojca. Wojna to wojna. Powody nie mają dla nas znaczenia. Walczymy, bo tak nam każą, podobnie zresztą jak ci, którzy są po drugiej stronie. Powody nie znaczą wiele dla wymachującego mieczem żołnierza, który stara się ocalić głowę.

Richard uderzył pięścią w stół. Błyszczące, zielone ślepia Gratcha spojrzwały czujnie. Kątem oka chłopak dostrzegł, że czerwone skórzane uniformy przysuwają się niepostrzeżenie.

- Żołnierze, którzy ścigali morderców z Ebinissii, mieli do tego powód! To właśnie ów powód, a nie łup zagrzewał ich do walki i dał im siłę potrzebną do odniesienia zwycięstwa. Ten oddział składał się z pięciu tysięcy galejskich rekrutów, którzy jeszcze nigdy nie walczyli, a przecież pokonał generała Riggsa i jego z górą pięćdziesiąt tysięcy armię.

Generał Reibisch ściągnął krzaczaste brwi.

- Rekruci? Z pewnością się mylisz, lordzie Rahlu. Znałem Riggsa. Był doświadczonym żołnierzem, a jego armia była zahartowana w bojach. Otrzymałem raporty z miejsc owych bitew. Podają przerażające szczegóły tego, co przytrafiło się jego żołnierzom, gdy próbowali się wydostać z gór. Tylko przeważające siły mogły ich w ten sposób unicestwić.

- A więc sądzę, że Riggs nie był wcale takim doświadczonym żołnierzem, jakim powinien być. Ty masz raporty z drugiej ręki, a ja słyszałem tę opowieść od wiarygodnej osoby, która tam była i widziała wszystko na własne oczy. Pięć tysięcy żołnierzy, a właściwie chłopców, trafiło do Ebinissii po tym, jak Riggs i jego ludzie wymordowali w mieście kobiety i dzieci. Owi rekruci ścigali waszego generała i wybili jego armię. Przeżyło ich mniej niż tysiąc, lecz nie ocalał ani Riggs, ani nikt z jego ludzi.

Richard przemilczał to, że bez Kahlan, która nauczyła ich, co trzeba zrobić, i poprowadziła do walki, rekruci prawdopodobnie zostaliby wybici w jeden dzień. Wiedział jednak, że to wola walki dała im siły i odwagę, by słuchać rad Matki Spowiedniczki i dokonać tego, co wydawało się niemożliwe.

- Taka jest potęga motywacji, generale. Oto, czego mogą dokonać żołnierze, którzy mają motyw i walczą o słuszną sprawę.

Pokryta bliznami twarz generała skrzywiła się z goryczą.

- D'Haranczycy walczą przez większą część życia i wiedzą, o co w tym chodzi. Wojna oznacza zabijanie: zabij ich, zanim oni zdążą zabić ciebie, ot

co. Rację ma ten, kto zwycięża. Motywy są dziećmi zwycięstwa. Kiedy już zniszczysz wroga, twoi przywódcy zapisują je w księgach i wygłaszają o nich wzruszające mowy. Jeśli dobrze wykonałeś robotę, to nie został ani jeden wróg, który mógłby zadawać kłam motywom, jakimi kierowali się twoi przywódcy. Przynajmniej do następnej wojny.

Richard przeczesał włosy palcami. Cóż czynił? Cóż zdoła osiągnąć, jeżeli walczący po jego stronie żołnierze nie uwierzą w to, czego próbuje dokonać?

Z góry, z kopuły, spoglądały na chłopaka podobizny Magdy Searus, pierwszej Matki Spowiedniczki, której historię opowiedziała mu Kahlan, i jej czarodzieja, Merritta. Zdawało mu się, że patrzą nań z dezaprobatą.

- Wszystko, co powiedziałem dzisiaj tym ludziom, generale, miało jeden cel: chciałem powstrzymać zabijanie. Staram się, żeby pokój i wolność mogły się na dobre zakorzenić w naszym świecie. Wiem, że to paradoks, lecz czyż tego nie rozumiesz? Jeżeli będziemy postępować szlachetnie, przyłączą się do nas wszystkie krainy, które pragną pokoju i wolności. Kiedy przekonają się, że walczymy o to, by ustały wojny, nie zaś by podbijać, opanować i łupić, przejdą na naszą stronę i siły pokoju będą niezwyciężone. Na razie to agresor ustanawia prawa i nie pozostaje nam nic innego, jak walczyć lub się poddać, ale...

Richard westchnął z irytacją i uderzył głową o oparcie krzesła. Zamknął oczy. Nie mógł patrzeć w oczy podobiznie Merritta. Czarodziej wyglądał, jakby zaraz miał zacząć wykład o głupocie gdybania i arogancji.

Chłopak dopiero co publicznie oświadczył, że zamierza władać światem, więc jego stronnicy sądzili, że reszta była pustym gadaniem. Nagle poczuł się beznadziejnym głupcem. Był prostym leśnym przewodnikiem, którego uczyniono Poszukiwaczem. Nie był władcą. Zdawało mu się, że może coś zmienić, bo ma dar. Dar. Nawet nie wiedział, jak się tym darem posługiwać. Jakże mógł być tak zarozumiały, by myśleć, że to się uda? Był taki zmęczony, że nie potrafił rozsądnie myśleć. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał. Nie chciał nikim rządzić. Chciał tylko, żeby to wszystko się wreszcie skończyło, żeby mógł być z Kahlan i żyć spokojnie, nie tocząc żadnych bojów. Noc z nią była niewysłowionym szczęściem. Tylko tego pragnął.

Generał Reibisch chrząknął.

- Nigdy przedtem o nic nie walczyłem, to znaczy nie miałem innego motywu niż moja więź... Może tym razem wypróbuję twój sposób.

Richard pochylił się do przodu i spojrzał nań, marszcząc przy tym brwi.

- Czy mówisz tak tylko dlatego, że myślisz, iż chcę to usłyszeć?

- Cóż - mruknął generał, skrobiąc paznokciem zdobną krawędź stołu wzór z żółdzi - duchy wiedzą, że nikt w to nie uwierzy, ale żołnierze bardziej niż większość ludzi pragną pokoju. Tylko że boimy się o tym marzyć, bo widzimy wokół tyle zabijania, że zaczynamy sądzić, iż to się nigdy nie skończy. A kiedy zaczynasz się nad tym zastanawiać, przestajesz być hardy i giniesz. Jeśli postępujesz tak, jakbyś uwielbiał walczyć, twój wróg stara się, żeby nie dać ci do tego powodu. To coś jak ten paradoks, o którym mówiłeś. Przyglądanie się walce i zabijanie sprawia, że rozmyślasz o tym, czy masz co innego do roboty niż zabijanie ludzi. Zastanawiasz się, czy nie jesteś przypadkiem jakimś niezdolnym do niczego innego potworem. Może to właśnie przytrafiło się żołnierzom, którzy zaatakowali Ebinissię. Może w końcu ulegli głosowi, którzy szeptał w ich głowach. Możliwe, że jeśli postąpimy tak, jak mówisz, to w końcu przestaniemy się zabijać. - Generał wcisnął na miejsce długą drzazgę, którą zdołał odłupać. - Myślę, iż żołnierz zawsze ma nadzieję, że jeśli zabije wszystkich, którzy chcą zabić jego, to będzie mógł wreszcie odłożyć miecz. Duchy wiedzą, że nikt bardziej nie nienawidzi walki niż ci, którzy muszą walczyć. - Westchnął przeciągle. - Lecz nikt nie zechce w to uwierzyć.

- Ja w to wierzę - uśmiechnął się Richard. Generał spojrzał na niego.

- Rzadko spotyka się kogoś, kto rozumie prawdziwą cenę walki. Większość ludzi albo to gloryfikuje, albo czuje do tego odrazę, nie rozumiejąc ciężaru nieszczęścia i bolesnej odpowiedzialności. Sprawnie zabijasz. Cieszę się, że nie sprawia ci to przyjemności.

Richard oderwał wzrok od generała i spojrzał na cienie narastające pomiędzy marmurowymi kolumnami. Tak jak powiedział zebranym w komnacie przedstawicielom, wspominała o nim jedna z najstarszych przepowiedni, zapisana jeszcze w języku górnodliarańskim. Nazywała go *fuergrissa ost drauka* - ten, który jest dawcą śmierci. Określenie to miało trzy znaczenia: ten, który rozdarłszy zasłonę zaświatów, połączy świat zmarłych ze światem żywych; ten, który przywoływał duchy zmarłych, korzystając z magii miecza i tańcząc ze śmiercią; i najprostsze znaczenie - ten, który zabija.

Berdine tak mocno klepnęła Richarda w plecy, że aż szcęknęły mu zęby,

i przerwała nieprzyjemną ciszę:

- Jeszcze nam nie opowiedziałeś, jak znalazłeś sobie narzeczoną. Mam nadzieję, że wykąpiesz się przed nocą poślubną, bo cię wyrzuci - powiedziała i trzy kobiety się roześmiały.

Chłopak ze zdumieniem stwierdził, że znalazł dość energii, by się uśmiechnąć.

- Nie ja jeden cuchnę jak koń.

- Jeśli to już wszystko, lordzie Rahlu, to zajmę się innymi sprawami. - Generał Reibisch wyprostował się i podrapał rdzawą brodę. - Twoim zdaniem, ilu ludzi będziemy musieli zabić, żeby zaprowadzić pokój, o którym mówiłeś? - Uśmiechnął się krzywo. - Chciałbym wiedzieć, jak długo jeszcze będę musiał wystawiać wartowników, kiedy zechcę się zdrzemnąć.

Richard wymienił z nim długie spojrzenie.

- Może pójdą po rozum do głowy, poddadzą się i nie będziemy musieli walczyć.

Generał Reibisch zaśmiał się cynicznie.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to każę żołnierzom naostrzyć broń. Tak na wszelki wypadek. - Zerknął na niego. - Wiesz, ile krain wchodzi w skład Midlandów?

Chłopak zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Nie wszystkie są wystarczająco duże, by mieć w Aydindril swoich przedstawicieli, lecz wiele spośród nich jest wciąż na tyle dużych, żeby wystawić armię. Królowa będzie wiedziała. Wkrótce się do nas przyłączy i pomoże.

Blask lamp zatańczył w ogniwach kolczugi generała.

- Lepiej od razu, jeszcze tej nocy, zajmę się oddziałami Gwardii Pałacowej, nim zdołają się zorganizować. Może w ten sposób wszystko się odbędzie w miły i pokojowy sposób. Mam jednak wrażenie, że jeszcze przed świtem przynajmniej choć jeden z tych oddziałów spróbuje uciec.

- Upewnij się, że wystarczające siły strzegą Pałacu Nikobarezji. Nie chcę, by lord generał Brogan opuścił miasto. Nie ufam mu, lecz dałem słowo, że będzie miał taką samą szansę jak pozostali.

- Zadbam o to.

-1, generale, niech żołnierze uważają na jego siostrę, Lunettę. - Richard czuł osobliwą sympatię do siostry Tobiasa Brogana za jej, oby prawdziwą,

prostoduszność. Podobały mu się jej oczy. Zebrał się w sobie. - Jeśli wyjdą z pałacu z zamiarem opuszczenia miasta, niech czeka na nich mnóstwo łuczników rozmieszczonych w strategicznych punktach i wokół pałacu. Gdyby zamierzała się posłużyć magią, nie ryzykuj i reaguj natychmiast.

Richard naprawdę nienawidził czegoś takiego. Nigdy nie musiał wysyłać ludzi do walki, w której z łatwością mogli zostać zranieni lub zabici. Przypomniawszy sobie, co mu kiedyś powiedziała Ksieni Annalina: czarodzieje muszą wykorzystywać ludzi do zrobienia tego, co musi zostać zrobione.

Generał Reibisch spojrzawszy na milczących Ulica i Egana oraz na trzy kobiety i rzekł do nich:

- Tysiąc ludzi będzie czuwać w zasięgu głosu, na wypadek gdybyście ich potrzebowali.

Generał wyszedł. Cara przybrała poważną minę.

- Musisz się przespać, lordzie Rahlu. Jako Mord-Sith wiem dobrze, kiedy ktoś jest wyczerpany i ledwo trzyma się na nogach. Jutro, gdy już wypocznesz, zajmiesz się planami podbicia świata.

Richard potrząsnął głową.

- Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę napisać list. Berdine pochyliła się nad stołem obok Cary i skrzyżowała ramiona.

- Miłosny liścik do narzeczonej? - spytała.

- Coś w tym rodzaju - odparł Richard, wysuwając szufladę. Berdine uśmiechnęła się wstydliwie.

- Może będziemy mogły ci w tym pomóc. Powiemy, co masz napisać, by serce mocniej jej biło i by zapomniała, że potrzebujesz kąpieli.

Raina przyłączyła się do swoich sióstr w Agielu. Figlarny uśmiezek zamigotał w jej ciemnych oczach.

- Udzielimy ci lekcji, które nauczą cię, jak być dobrym partnerem. Ty i twoja królowa będziecie zadowoleni, że możecie zasięgnąć u nas rady.

- I lepiej nas posłuchaj - ostrzegła go Berdine. - Albo nauczymy ją, w jaki sposób sprawić, żebyś tańczył, jak ci zagra.

Richard klepnął nogę Berdine i skłonił Mord-Sith, żeby się odsunęła, bo chciał sięgnąć do znajdujących się za nią szuflad. W dolnej znalazł papier.

- Może byście się trochę przespały - rzekł z roztargnieniem, szukając pióra i atramentu. - Jechałyście co koń wyskoczy, żeby mnie dogonić, i z pewnością nie spałyście równie długo jak ja.

Cara zadarła nos z kpiącym oburzeniem.

- Będziemy cię strzec, kiedy zaśniesz. Kobiety są silniejsze od mężczyzn.

Richard przypomniał sobie, że Denna mówiła mu to samo, tylko że wówczas nie były to żarty. Te trzy kobiety nigdy nie traciły czujności, gdy ktoś był w pobliżu. Tylko jemu ufały i tylko na nim ćwiczyły się w towarzyskich uprzejmościach. Richard pomyślał, że będą jeszcze długo praktykować. Może to dlatego nie chciały odłożyć Agieli - zawsze były wyłącznie Mord-Sith i bały się, że się od tego nie wyzwolą.

Cara nachyliła się i zajrzała do pustej szuflady, zanim chłopak ją zasunął. Odrzuciła do tyłu jasny warkocz.

- Musi jej bardzo na tobie zależeć, lordzie Rahlu, skoro chce ci poddać swój kraj. Nie wiem, czy zrobiłabym coś takiego dla mężczyzny, nawet takiego jak ty. To on musiałby mi się poddać.

Richard odsunął ją na bok i znalazł wreszcie pióra oraz atrament w szufladzie, którą utworzyłby jako pierwszą, gdyby Cara jej nie zasłaniała.

- Masz rację, bardzo jej na mnie zależy. A jeśli chodzi o poddanie kraju, to jeszcze jej o tym nie powiedziałem.

Cara opuściła ramiona.

- To znaczy, że musisz ją o to poprosić? Jak tych, którzy tu byli?

Richard odkorkował buteleczkę z atramentem.

- Tb jeden z powodów, dla którego muszę natychmiast napisać ten list i wyjaśnić jej mój plan. Może byście się uspokoili i pozwolili mi pisać?

Raina, szczerze poruszona, przykucnęła obok krzesła chłopaka.

- A jeżeli odwoła ślub? Królowe są dumne. Może nie zechcieć zrobić czegoś takiego.

Richard poczuł dreszcz niepokoju. To było jeszcze gorsze. Te kobiety tak naprawdę nie rozumiały, o co prosił Kahlan. Nie prosił królowej, żeby poddała swój kraj. Prosił Matkę Spowiedniczkę, żeby poddała całe Midlandy.

- Ona tak samo jak ja chce pokonać Imperialny Ład. Walczyła z determinacją, która wprawiałaby w osłupienie nawet Mord-Sith. Równie mocno jak ja chce położyć kres zabijaniu. Kocha mnie i zrozumie, dlaczego o to proszę.

- Jeśli tak się nie stanie, to cię obronimy - westchnęła Raina. Richard spojrzał na nią z taką wściekłością, że aż odchyliła się do tyłu, jakby ją uderzył.

- Nigdy, przenigdy nie waż się nawet pomyśleć o zrobieniu Kahlan krzywdy. Masz ją chronić tak samo jak mnie albo od razu stąd znikaj i przyłącz się do moich wrogów. Jej życie ma być dla ciebie równie cenne jak moje. Przysięgnij na więź która cię ze mną łączy!

Raina przełknęła ślinę.

- Przysięgam, lordzie Rahlu.

Chłopak spojrzał gniewnie na dwie pozostałe Mord-Sith. - Wyteż!

- Przysięgam - powiedziały jednym głosem. Spojrzał na Egana i Ulica.

- Przysięgamy, lordzie Rahlu - powiedzieli.

- No to w porządku - rzekł już łagodniej Richard. Położył przed sobą papier i starał się myśleć. Wszyscy sądzili, że nie żyje, i tak powinno być. Nie mógł dopuścić, by dowiedzieli się, że jest inaczej, ponieważ wtedy ktoś mógłby wpaść na pomysł, żeby dokończyć to, co niby zrobiła Naczelna Rada. Kahlan zrozumie, jeżeli on jej to właściwie wytłumaczy.

Richard czuł, że Magda Searus patrzy nań gniewnie z kopuły. Bał się spojrzeć w górę, żeby jej czarodziej, Merritt, nie ukarał go błyskawicą za to, co czynił.

Kahlan musi mu uwierzyć. Powiedziała mu kiedyś, że oddałaby życie, by go chronić, i że zrobiłaby wszystko, by ocalić Midlandy. Wszystko.

Cara wsparła dłonie o blat. Znów się figlarnie uśmiechała.

- Czy królowa jest ładna? Jak wygląda? Chyba nie każe nam nosić sukien, kiedy się już pobierzecie? Usłuchamy, ale Mord-Sith nie chodzą w sukniach.

Richard westchnął w duchu. One tylko chciały poprawić mu nastrój i dlatego zachowywały się tak figlarnie. Ciekawiło go, ilu ludzi zabiły te figlarne kobiety. Zganił się za to: to nie było sprawiedliwe, zwłaszcza ze strony dawcy śmierci. Jedna z nich oddała dziś życie w jego obronie. Biedna Hally nie miała najmniejszej szansy w starciu z mriswithem.

Kahlan też by nie miała.

Musiał jej pomóc. Tylko o tym potrafił myśleć, a każda mijająca minuta mogła być tą, której zabraknie. Powinien się pospieszyć. Usiłował wymyślić, co napisać. Nie mógł zdradzić, że królowa Kahlan to w istocie Matka Spowiedniczka. Gdyby list wpadł w niepowołane ręce...

Skrzypnęły drzwi i Richard podniósł wzrok.

- Dokąd się wybierasz, Berdine?

- Idę znaleźć sobie jakieś łóżko. Będziemy nad tobą czuwać na zmianę. -

Wsparała dłoń na biodrze i zakołysała Agielem wiszącym na drugim nadgarstku. - Panuj nad sobą, lordzie Rahlu. Już wkrótce będziesz miał w łóżu narzeczoną. Możesz poczekać do owej chwili.

Richard nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Lubił zaprawione ironią poczucie humoru Berdine.

- Generał Reibisch powiedział, że na odległość głosu jest tysiąc żołnierzy, więc nie ma potrzeby...

Berdine puściła do niego oko.

- Wiem, lordzie Rahlu, że jestem twoją ulubienicą, ale przestań się wpatrywać w moje pośladki i zajmij pisaniem listu.

Drzwi się zamknęły. Richard przygryzł szklaną obsadkę. Cara zmarszczyła brwi i spytała:

- Czy królowa będzie o nas zazdrosna, lordzie Rahlu?

- A dlaczego miałyby być zazdrosna? - mruknął, drapiąc się w kark. - Nie ma ku temu powodu.

- Nie uważasz, że jesteśmy pociągające? Richard zamrugał powiekami. Wskazał drzwi.

- Macie obie stanąć przy drzwiach i pilnować, żeby nikt tu nie wszedł zabić waszego lorda Rahla. Jeśli będziecie takie ciche jak Egan i Ulic i pozwolicie mi napisać ten list, to możecie zostać po tej stronie drzwi. W przeciwnym razie będziecie trzymać straż z drugiej strony.

Przewróciły oczami, ale obie się uśmiechały, idąc w stronę drzwi. Najwyraźniej bawiło je, że wreszcie zareagował na ich docinki. Richard domyślał się, że Mord-Sith muszą tęsknić za takim przyjaznym przekomarzeniem się, bo raczej nie miawały do tego okazji, lecz jego umysł zaprzętały ważniejsze sprawy.

Chłopak wpatrywał się w białą kartkę i pomimo zmęczenia starał się coś wymyślić. Gratch położył mu na nodze łapę i otarł się o jego bok. Richard zanurzył pióro w atramencie.

- *Moja najdroższa królowo* - napisał, drugą ręką poklepując łapę Gratcha.

ROZDZIAŁ 15

Brnęli przez narastające zasy, a Brogan wpatrywał się w mrok i śnieg.

- Na pewno zrobiłaś, jak nakazałem?

- Tak, lordzie generale. Mówiłam, że rzuciłam urok.

Światła Pałacu Spowiedniczek i otaczających go budowli w centrum miasta już dawno zniknęły w śnieżnej burzy, która nadciągnęła z gór, kiedy słuchali absurdalnych żądań lorda Rahla kierowanych do przedstawicieli Midlandów.

- Gdzież więc są? Jeżeli ich zgubiłaś i zamarzyli gdzieś tutaj na śmierć, to będę dla ciebie bardziej niż nieprzyjemny, Lunetto.

- Wiem, gdzie są, lordzie generale - upierała się. - Nie puszczę ich. - Zatrzymała się i powąchała powietrze. - Tędy.

Tobias i Galtero spojrzeli na siebie, nachmurzyli się i poszli za Lunettą spieszącą w ciemność poza Kings Row. Od czasu do czasu Brogan dostrzegał poprzez zamieć zarysy wyniosłych pałaców. Ich ledwo widoczne światła dostarczały w tumanach padającego śniegu punktów odniesienia. Z oddali dobiegał szcęk zbroi. Wyglądało na to, że było tam więcej żołnierzy niż w zwyczajnym patrolu. Zanim noc dobiegnie końca, D'Haranczycy z pewnością poczynią kroki, by szczelniej otoczyć AydindriL To właśnie zrobiłby Brogan, gdyby był na ich miejscu: uderz, nim przeciwnik zdąży wszystko przemyśleć. Cóż, i tak nie zamierzał tu zostać. Zdmuchnął śnieg z wąsów.

- Słuchałaś go, prawda?

- Tak, lordzie generale, ale już ci wyjaśniałam, że nie mogę nic powiedzieć.

- Przecież nie jest inny od wszystkich pozostałych. Musiałaś nie uważać. Wiem, że nie uważałaś. Drapałaś się i nie uważałaś. Lunettą rzuciła nań okiem przez ramię.

- On jest inny. Nie wiem dlaczego, ale jest inny. Nigdy przedtem nie czułam takiej magii. Nie potrafię powiedzieć, czy każde jego słowo było prawdą, czy kłamstwem, lecz wierzył w to, co mówił. - Potrząsnęła głową zdziwiona - Nie mogłam pokonać jego blokad. A zawsze mogę. Wszystkie: powietrze, wodę, ziemię, ogień, lód. Wszystkie. Nawet ducha. *Ale to...?*

Brogan uśmiechnął się z roztargnieniem. To i tak nie miało znaczenia. Nie potrzebował jej plugawej zmały. Sam o tym wiedział.

Lunetta mamrotała o dziwnych aspektach magii lorda Rahla, o tym, że chciała się znaleźć jak najdalej od niej, jak najdalej od pałacu, oraz że skóra swędziła ją jak nigdy przedtem. Brogan niemal jej nie słuchał. Załatwi jeszcze kilka spraw i spełni jej życzenie. Opuszczają Aydindril.

- Dlaczego wężysz? - burknął.

- Śmietnik, lordzie generale. Kuchenny śmietnik. Brogan zacisnął dłoń na strzępach kolorowych tkanin.

- Śmietnik? Zostawiłaś ich na stercie odpadków!? Uśmiechnęła się, idąc kołyszącym się krokiem.

- Tak, lordzie generale. Powiedziałeś, że nie chcesz, by ktoś kręcił się w pobliżu. Nie znam tego miasta, więc nie wiedziałam, w jakie bezpieczne miejsce ich wysłać. Ale po drodze do Pałacu Spowiedniczek zobaczyłam stos odpadków. W nocy nikogo tam nie będzie.

Kuchenny śmietnik. Brogan odkaszlnął przesadnie.

- Pomyłona Lunetta - mruknął. Zmyliła krok.

- Proszę, Tobiasz, nie nazywaj mnie...

- W takim razie gdzie są?!

Uniosła rękę, wskazała kierunek i przyspieszyła kroku.

- Tędy, lordzie generale. Przekonasz się. Tędy. To już niedaleko.

Brogan zastanowił się nad tym, brnąc poprzez zasy. To miało sens. O tak, miało sens. Stos kuchennych odpadków to znakomita kara.

- Mówisz prawdę o lordzie Rahlu, Lunetto? Jeżeli mnie okłamałaś, to nigdy ci tego nie wybaczę.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Jej oczy wypełniły się łzami, zacisnęła dłonie na kolorowych strzępach.

- Tak, mój lordzie generale. Błagam cię. Mówię prawdę. Próbowałam wszystkiego. Robiłam, co w mojej mocy.

Brogan nie przyglądał się jej długo. Po pulchnym policzku Lunetty spływała łza. To nie miało znaczenia. Wiedział. Niecierpliwie machnął ręką.

- No dobrze. Idziemy. Lepiej ich nie zgub.

Lunetta rozpromieniła się nagle, otarła policzek, odwróciła od brata i rzuciła naprzód.

- Tędy, lordzie generale. Przekonasz się. Wiem gdzie są.

Tobias westchnął i ruszył za nią. Śniegu było coraz więcej i szybko go przybywało. Sporo go spadnie. Nie szkodzi, sprawy zaczynały się układać po myśli Brogana. Lord Rani był głupcem, jeśli sądził, że lord generał Tobias Brogan, naczelny wódz Bractwa Czystej Krwi, podda się jak baneling pod rozżarzonym żelazem.

- O tam, lordzie generale. Tam są. - Lunetta wyciągnęła rękę i wskazała kierunek.

Nie pomógł nawet wiejący im w plecy wicher: Brogan wyczuł stos kuchennych odpadków, zanim go jeszcze zobaczył. Dotarli do ciemnej sterty oświetlonej słabym blaskiem padającym od pałaców znajdujących się za odległym murem. Brogan strząsnął śnieg z purpurowej peleryny. Biały puch stopił się miejscami i odpadł z dymiącej sterty, pozbawiając ją nawet tej czystej osłony. Brogan wsparł się pięściami pod boki.

- No i? Gdzie są?

Lunetta przysunęła się do brata, by ukryć się za nim przed śniegiem gnanym przez wiatr.

- Stój tutaj, lordzie generale. Przyjdą do ciebie.

Brogan opuścił wzrok i zobaczył dobrze wydeptaną ścieżynę.

- Czar krążenia?

Lunetta zachichotała cicho i otuliła zaczerwienione policzki strzępami materiałów, chroniąc się przed zimnem.

- Tak, lordzie generale. Powiedziałeś, że jeśli odejdą, to się na mnie rozgniewasz. Nie chciałam, żebyś się gniewał na Lunettę, więc rzuciłam na nich czar krążenia. Nie odejdą, choćby nie wiem jak się spieszyli.

Tobias się uśmiechnął. Tak, mimo wszystko dzień dobrze się kończył. Nie brakowało przeszkód, ale ominie je z pomocą Stwórcy. Teraz już nad wszystkim panował. Lord Rahl przekona się, że nikt nie dyktuje warunków Bractwu Czystej Krwi.

Brogan najpierw zobaczył, jak z ciemności wyłania się wydęta porywem wichru żółta spódnica. Księżna Lumholtz oraz jej mąż, który podążał pół kroku za nią, szli zdecydowanym krokiem ku Tobiasowi. Kiedy spostrzegła, kto blokuje ścieżkę, jej wymalowana twarz pociemniała z gniewu. Otuliła się mocniej ośnieżoną narzutą.

- Znów się spotykamy. - Brogan powitał ją szerokim uśmiechem. - Dobrego wieczoru, szanowna pani. - Lekko skłonił głowę. - I tobie również,

książę Lumholtz, życząc miłego wieczoru.

Księżna prychnęła z dezaprobatą i zadarła nos. Książę spojrział na niego srogo, jakby odgradzał się nieprzekraczalną barierą. Oboje przeszli bez słowa i zniknęli w ciemnościach. Brogan zachichotał.

- Widzisz, lordzie generale? Czekali na ciebie.

Brogan zatknął kciuki za pas, rozprostował ramiona i pozwolił, by wiatr rozwiewał jego purpurową pelerynę. Nie musiał ścigać tych dwojga.

- Dobrze się spisałaś, Lunetto - mruknął.

Wkrótce znów pojawiła się żółta spódnica. Tym razem księżna uniosła w zdumieniu brwi, widząc stojących obok ścieżki Tbbiasa, Galtera i Lunettę. Mimo nadmiernego makijażu była naprawdę atrakcyjną kobietą: już nie dziewczęce, ale wciąż młode twarz i figura świadczyły o dojrzałej, bujnej kobiecości. Jej mąż groźnym gestem wsparł dłoń na rękojeści miecza. Brogan wiedział, że ów oręż, choć bogato inkrustowany, nie był - podobnie jak broń lorda Rahla - jedynie ozdobą. W Keltonie wyrabiano jedne z najlepszych mieczy w Midlandach, a wszyscy Keltończycy, zwłaszcza zaś szlachta, szcycili się tym, że doskonale potrafią się nimi posługiwać.

- Generale Broga...

- Lordzie generale, szanowna pani. Spojrzała nań z pogardą.

- Wracamy do naszego pałacu, lordzie generale. Proponuję, by przestał pan za nami iść i wrócił wraz z resztą towarzyszy do swojego pałacu. To zbyt burzliwa noc, by pozostawać na zewnątrz.

Galtero obserwował zza pleców Brogana, jak koronka na piersiach księżnej unosi się i opada w gniewnym oddechu. Księżna to zauważyła i gwałtownie ściągnęła brzegi narzuty. Książę również to dostrzegł i nachylił się w stronę Galtera.

- Przestań się wpatrywać w moją żonę, panie, w przeciwnym razie posiekam cię na kawałki i nakawnię nimi psy.

Galtero, uśmiechając się perfidnie, spojrział na wyższego od siebie mężczyznę, ale zmilczał.

- Dobranoc, generale - rzuciła gniewnie księżna.

Para ponownie zniknęła, żeby raz jeszcze okrążyć stos kuchennych odpadków. Książę i księżna Lumholtz byli przekonani, że maszerują ku swojemu domostwu prosto jak wypuszczona z łuku strzała, lecz czar sprawiał, że mogli jedynie krążyć i krążyć dokoła sterty odpadków. Brogan

mógł ich zatrzymać już za pierwszym razem, ale rozkoszował się zdumieniem widocznym w ich oczach, kiedy usiłowali pojąć, w jaki sposób potrafił wciąż się przed nimi pojawiać. Ich zamroczone czarem umysły nie mogły tego zrozumieć.

Gdy pojawili się kolejny raz, najpierw zbledli jak śnieg, potem zaś zaczerwienili się. Księżna stanęła, wsparła się pięściami pod boki i spojrzała gniewnie na Brogana. Ten patrzył, jak gniewny oddech unosi białą koronkę tuż przed jego twarzą.

- Słuchaj no, ty wstrętny pokurczu, jak śmiesz...

Brogan z całej siły zacisnął zęby. Sapnął z wściekłości, złapał oburącz białą koronkę i aż do pasa rozerwał suknię księżnej.

Lunetta uniosła dłoń, rzuciła zakłęcie i książkę znieruchomiał z na wpeł wysuniętym z pochwy mieczem. Zdawało się, że skamieniał. Poruszył jedynie oczami, żeby zobaczyć krzyczącą żonę: Galtero chwycił ją tak, że stała nieruchomo bezbronna jak jej mąż, choć napastnicy osiągnęli to bez pomocy magii. Pułkownik tak mocno wykręcił jej ręce do tyłu, że kobietę bolały plecy. Jej brodawki sterczały sztywno na lodowatym wietrze.

Brogan oddał swój nóż, więc musiał dobyć miecza.

- Jak mnie nazwałaś, ty brudna mała dziwko?

- Nijak. - Przerazona, kiwała głową. Pukle czarnych włosów smagały jej twarz. - Nijak.

- No, no, no, tak szybko zmiękałaś?

- Czego chcesz? - wydyszała. - Nie jestem banelingiem! Puść mnie! Nie jestem banelingiem!

- Oczywiście, że nie jesteś. Jesteś na to zbyt nadęta, ale to nie czyni cię mniej godną pogardy. Ani mniej użyteczną.

- Więc to jego chcesz? Tak, chcesz księcia. On jest banelingiem. Puść mnie, a opowiem o jego zbrodniach.

- Stwórcy nie trzeba fałszywych, samolubnych zeznań - rzucił przez zacisnięte zęby Brogan. - Ale i tak się mu przysłużysz. - Twarz mężczyzny skrzywiła się w ponurym uśmiechu. - Przysłużysz się Stwórcy za moim pośrednictwem. Wykonasz moje rozkazy.

- Ja nie... - wrzasnęła, gdyż Galtero silniej wykręcił jej ramiona. - Tak, zgoda - wysapała. - Zrobię, co zechcesz. Tylko nie rób mi krzywdy. Powiedz, czego chcesz, a ja to zrobię.

Bezskutecznie starała się odsunąć, bo Brogan przysunął twarz do jej twarzy.

- Zrobisz, co każę - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Tak - z trudem wykrztusiła przerażona księżna. - Dobrze. Masz moje słowo.

Brogan parsknął szyderczo.

- Na nic mi słowo takiej dziwki jak ty. Takiej, która wszystkich sprzeda, wszystkich zdradzi. Zrobisz, co każę, bo nie masz wyboru.

Cofnął się, chwycił brodawkę między kciuk i palec wskazujący, a następnie pociągnął. Księżna jęknęła i szeroko otworzyła oczy. Brogan zamachnął się mieczem i odciął brodawkę. Wrzask kobiety zagłuszył wycie wichru.

Brogan położył odciętą brodawkę na otwartej dłoni Lunetty. Otworzyła ją pulchnymi palcami, zamknęła oczy i osłoniła się magią. Ciche słowa starożytnego zaklęcia splotły się z odgłosami wichru i wrzaskami księżnej. Galtero podtrzymywał okaleczoną kobietę. Wiatr szalał wokół nich.

Lunetta odchyliła głowę ku atramentowemu niebu, zaczęła mówić wysokim tonem. Oczy miała mocno zamknięte. Plotła czar wokół siebie i stojącej przed nią kobiety. Zaklinała w języku streganichy, a wiatr niósł jej słowa:

Na ziemię i niebo, na liście i korzeń, Na ogień i lód, i duszy owoce.

Na światło i mrok, na wicher i wodę, Żądam córy Stwórcy i jej ducha.

Póki krew krąży, póki kości całe, Póki śmierć ciała w proch nie obróci,
Moja jest.

Rzucam jej gnomon w pozbawioną słońca czeluść, A ducha jej poza zasięg cienia.

Póki zadań nie dopełni, póki nie pożywi czerwi, Póki ciało w proch się nie obróci, póki duch nie uleci, Moja jest.

Głos Lunetty zniżył się do gardłowego śpiewu: Kurzy grzebień, pajaków dziewięć, bezoar i rzucam czar. Wołu żółć, bobra sierść i moja jest.

Słowa odpląnęły z wiatrem i ucichły, lecz krępa postać wciąż kołysała się i chwiała. Streganicha pustą dłonią potrząsała nad głową kobiety, natomiast dłonią, w której trzymała kawałek ciała tamtej, wykonywała ruchy przy swoim sercu.

Kiedy księżnę oplotły macki magii, wnikając w jej ciało, kobieta zadrżała.

Zacząła się więc, gdy dotarły do jej duszy. Galtero musiał wyteńczyć wszystkie siły, by ją przytrzymać, wreszcie jednak jej ciało zwiotczało. Mimo wiejącego wciąż wiatru wydawało się, że nagle zapadła cisza. Lunetta otworzyła dłoń.

- Mogę jej rozkazywać. Oddaję tobie to prawo. - Włożyła wyschnięty strzępek ciała w otwartą dłoń Brojana. - Teraz jest twoja, mój lordzie generale.

Brojan zacisnął w pięści wyschnięty strzępek ciała. Księżna, ze szklistym spojrzeniem, wisiała bezwładnie na wykręconych do tyłu ramionach. Podpierała się stopami, ale dygotała z bólu i zimna. Z rany sączyła się krew. Brojan mocniej zacisnął pięść.

- Przestań się trząść!

Popatrzyła mu w oczy i jej spojrzenie nabrało wyrazu. Znieruchomiała.

- Tak, mój lordzie generale.

Tobias dał znak siostrze.

- Wylecz ją.

Galtero z lubieżnym błyskiem w oku przyglądał się, jak Lunetta ujęła w dłonie poranioną pierś kobiety. Księżę Lumholtz również patrzył, a oczy niemal wychodziły mu z orbit. Lunetta raz jeszcze opuściła powieki, odwołała się do magii i rzuciła łagodny czar. Krew sączyła się spomiędzy jej palców, aż wreszcie ciało kobiety zaczęło się goić.

Brojan czekał, rozmyślając. Stwórca naprawdę nad nim czuwał. Dzień rozpoczął się zapowiedzią największego z triumfów, później wszystko niemal się zaważyło, lecz w końcu dowiódł, że zwyciężają ci, których serca są wierne Stwórcy. Lord Rahl przekona się, co czeka tych, którzy czczą Opiekuna, a Imperialny Ład zrozumie, jak cenny jest dla niego naczelny wódz Bractwa Czystej Krwi. Galtero także dobrze się dzisiaj spisał. Należała mu się za to nagroda.

Lunetta otarła krew narzutą księżnej i cofnęła się, odsłaniając kształtną jak i druga, choć pozbawioną brodawki pierś. Brodawkę miał teraz Brojan. Lunetta wskazała księcia.

- Czy nim również mam się zająć? Chcesz mieć oboje? - Nie. - Brojan odmownie machnął ręką. - Nie. Potrzebowałem wyłącznie jej. Ale i on odegra rolę w moim planie.

Wbił gniewny wzrok w przerażone oczy księcia.

- To niebezpieczne miasto. Jak nam powiedział lord Rahl, grasują tu

groźne stwory i atakują bezbronnych obywateli, którzy w starciu z nimi nie mają żadnych szans. To wstrząsające. Szkoda, że nie ma tu lorda Rahla, żeby mógł obronić księcia przed taką napaścią.

- Natychmiast się tym zajmę, lordzie generale - odezwał się Galtero.

- Nie. Sam się tym zajmę. Pomyślałem, że zabawisz księżną, kiedy ja będę się zajmował jej mężem.

Galtero przygryzł dolną wargę i spojrzał na kobietę.

- O tak, lordzie generale. Bardzo chętnie. Dziękuję. - Podał Broganowi swój nóż. - Przyda ci się. Żołnierze mówili, że te stwory rozpruwają swoje ofiary nożami o trzech ostrzach. Powinieneś wykonać trzy cięcia, by uzyskać ten sam efekt.

Brogan podziękował swojemu pułkownikowi. Zawsze mógł liczyć na sumienność Galtera. Kobieta spoglądała kolejno na wszystkich mężczyzn, lecz milczała.

- Chcesz, żebym zmusił ją do posłuszeństwa?

Kamienna zwykle twarz Galtera skrzywiła się w ohydny uśmiech.

- A po co, lordzie generale? Przyda się jej kolejna tej nocy lekcja.

Brogan przytaknął.

- Jak sobie życzysz. - Spojrzał na księżną. - Nie nakazuję ci tego, moja droga. Wolno ci dać poznać Galtero, co naprawdę czujesz.

Księżna krzyknęła, kiedy pułkownik otoczył ramieniem jej kibić.

- Chodźmy razem w mrok - zaproponował. - Nie chcę urazić twoich wrażliwych uczuć, księżno, i nie pozwolę, żebyś patrzyła na to, co spotka twojego męża.

- Nie! - krzyknęła. - Zamarznę w tym śniegu! Muszę wypełnić rozkaz mojego lorda generała. Zamarznę!

- Och, z pewnością nie zamarzniesz. - Galtero klepnął ją w pośladki. - Będziesz leżeć na ciepłym śmietniku.

Wrzeszczała i usiłowała się wyrwać, lecz Galtero trzymał ją mocno w pasie. Drugą ręką złapał księżną za włosy.

- Tb ładne stworzenie, Galtero. Nie zniszcz jej urody. I nie trać czasu. Musi jeszcze spełnić moje życzenie. Nie powinna się tak malować - powiedział drwiąco Tobias. - Ale skoro ma do tego taki talent, to może sobie domalować brakującą brodawkę. Kiedy skończę z księciem, a ty z jego żoną, Lunetta rzuci na nią kolejny czar. Bardzo specjalny czar. Niezwykły i

potężny.

Lunetta patrzyła w oczy brata i gładziła swoje śliczne szmatki. Wiedziała, czego chciał.

- Muszę mieć coś, co należy do niego, coś, czego dotykał.

- Dał nam monetę. - Brogan poklepał się po kieszeni.

- Tb wystarczy. - Lunetta skinęła głową.

Galtero powlókł w mrok wrzeszczącą i wymachującą ramionami księżną.

Brogan odwrócił się i potrząsnął nożem przed oszalałymi z przerażenia oczami wysokiego Keltończyka.

- Teraz ty, książę Lumholtz, odegrasz swoją rolę w planie Stwórcy.

ROZDZIAŁ 16

Richard wylał czerwony wosk na złożony list, a Gratch przyglądał się temu zza jego ramienia. Potem chłopak pospiesznie odłożył świecę, chwycił miecz i przycisnął do wosku rękojeść, tak by odbiło się w nim wypukłe słowo PRAWDA. Rezultat zadowolił Poszukiwacza - Kahlan i Zedd będą wiedzieli, że ten list pochodzi z pewnością od niego.

Egan i Ulic siedzieli na krańcach długiego, półokrągłego stołu i w taki sposób obserwowali pustą komnatę, jakby lada moment cała armia miała zaatakować podwyższenie. Obaj potężni członkowie straży przybocznej woleli stać, lecz Richard wiedział, że muszą być zmęczeni, i kazał im usiąść. Odparli, że jeśli będą stać, szybciej zareagują na niebezpieczeństwo. Chłopak stwierdził jednak, że w razie jakiegoś ataku ów tysiąc żołnierzy zgromadzonych przed komnatą ani chybi narobi takiej wrzawy, iż usłyszą to, nawet jeżeli będą siedzieć, więc zdążą na czas poderwać się z krzesel i dobyć mieczy. Dopiero wtedy niechętnie usiedli.

Cara i Raina stały przy drzwiach. Im także Richard kazał usiąść, ale skwitowały to wyniosłymi prychnięciami i powiedziały, że są silniejsze od Egana i Ulica, i że będą stać. Chłopak był akurat w połowie listu, nie chciał się zatem z nimi sprzeczać. Oznajmił jedynie, że skoro wyglądają na zmęczone i ociążałe, to on rozkazuje im stać, by w razie jakiegoś ataku zdołały mu przyjść z pomocą. Stały więc, łypiąc nań gniewnie, lecz dostrzegł, jak wymieniały ze sobą uśmiechy, najwyraźniej zadowolone, że zdołały go wciągnąć do gry.

Rahl Posępny wyraźnie wytyczył Mord-Sith granice pomiędzy panem a niewolnicami. Richard zastanawiał się, czy sondują, jak daleko pozwoli się im posunąć, kiedy szarpnie za smycz. A może po prostu cieszą się, że po raz pierwszy mogą robić, co chcą, a nawet kaprysić.

Rozważał jeszcze jedną możliwość. Wykorzystując te gierki, mogły chcieć ustalić, czy Richard jest szalony. Mord-Sith były doskonale w poddawaniu ludzi wszelkiego rodzaju testom. Niepokoiło go jednak to, że mogłyby go uważać za szaleńca. To był jedyny sposób; musiały to sprawdzić.

Chłopak miał nadzieję, że Gratch nie jest tak zmęczony jak oni wszyscy. Chimera dołączyła do niego dopiero rankiem, więc Richard nie wiedział, czy

się wyspała. Jednak błyszczące zielone ślepie były czujne i bystre. Chimery polowały przede wszystkim nocą i może to właśnie tłumaczyło czujność Gratcha. Tak czy owak, Richard miał nadzieję, że chimera naprawdę nie jest zmęczona.”Poklepał pokryte futrem ramię.

- Chodź ze mną, Gratch.

Gratch wstał, potrząsnął skrzydłami, rozprostował nogę i poszedł za chłopakiem ku osłoniętym, prowadzącym do loży schodom. Czwórka strażników natychmiast się ożywiła, ale Richard dał im znak, by zostali tam, gdzie są. Egan i Ulic posłuchali, obie kobiety natomiast nie i towarzyszyły mu w pewnej odległości.

Płonęły jedynie dwie lampy umieszczone u podstawy schodów, wyżej był już tylko mroczny tunel. U szczytu otwierał się na rozległą lożę z jednej strony ograniczoną ozdobną mahoniową balustradą, za którą widać było posadzkę na dole, z drugiej zaś dolnym pierścieniem kopuły. Nad niskim występem z białego marmuru wokół całej olbrzymiej komnaty rozmieszczono w regularnych odstępach okrągłe okna, których średnica przewyższała o połowę wysokość Richarda. Chłopak wyjrzał przez jedno z nich w śnieżną noc. Śnieg. Mogą być trudności.

Każde okno wisiało na masywnych zawiasach zamontowanych w połowie futryny, a u dołu znajdowała się mosiężna dźwignia. Richard wypróbował ją - działała bez zarzutu.

- Chcę, żebyś mnie bardzo uważnie posłuchał, Gratch. To ogromnie ważne - powiedział do przyjaciela.

Gratch z zapałem kiwnął głową. Obie Mord-Sith przyglądały się temu z mroków panujących w pobliżu szczytu schodów.

Richard pogładził pukiel włosów, który zawieszony na rzemyku razem z kłębem smoczy zwiisał z szyi chimery.

- To włosy Kahlan. - Gratch dał znak, że rozumie. - Grozi jej niebezpieczeństwo. - Oblicze chimery się nachmurzyło. - Tylko ty i ja widzimy zbliżające się mriswithy.

Gratch zawarczał i zakrył oczy łapami, zerkając spomiędzy palców, co było znakiem, za pomocą którego określał bestię.

Chłopak skinął kilka razy potakująco głową.

- Tak, właśnie tak. Ona ich nie zobaczy, Gratch. Tylko my widzimy, jak nadchodzą. Jeżeli ją zaatakują, to ich nie zauważą. Zabijają.

Gratch zaskomlął z niepokojem. Potem jego oblicze pojaśniało. Uniósł pukiel włosów Kahlan i z rozmachem łupnął się w potężną pierś. Richard nie zdołał powstrzymać pełnego zdziwienia uśmiechu - chimera doskonale zrozumiała, o co chodzi.

- Odgadłeś, o czym myślę, Gratch. Sam bym pojechał, żeby ją chronić, ale to by zabrało zbyt wiele czasu, a już teraz może być w niebezpieczeństwie. Zostało nam jedno: musisz do niej polecieć i ją bronić.

Gratch energicznie pokiwał głową na znak, że się zgadza, i pokazał w szerokim uśmiechu wszystkie kły. Nagle zdał sobie sprawę, co to oznacza, i objął Richarda pokrytymi futrem ramionami.

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg.

- I ja cię kocham, Gratch - powiedział Richard i poklepał go po plecach.

Już kiedyś odesłał Gratcha, by ocalić mu życie, wówczas jednak chimera tego nie zrozumiała. Obiecał przyjacielowi, że już nigdy tego nie zrobi. Mocno uścisnął chimere, a potem odsunął od siebie.

- Słuchaj uważnie, Gratch. - W błyszczących zielonych ślepiach wzbierały łzy. - Kahlan kocha cię tak samo jak ja. Tak samo jak ja chce, żebyś był z nami. Pragnie tego tak samo, jak ty pragniesz być ze mną. Chcę, żebyśmy wszyscy byli razem. Zaczekam tutaj na was, lecz teraz chcę, żebyś poleciał ją chronić i sprowadzić do Aydindril. - Uśmiechnął się i pogładził ramię chimery. - Wtedy wszyscy będziemy razem.

Ogromne brwi Gratcha ściągnęły się w wyrażającym niepewność grymasie.

- A kiedy już znajdziemy się tu razem, będziesz miał niejednego, lecz dwoje przyjaciół. I jeszcze mojego dziadka, Zedda. On cię na pewno polubi. Ty zresztą jego też. - Chimera nieco się ożywiła. - Będziesz się miał z kim siłować.

Richard zdążył powstrzymać Gratcha, zanim ten się na niego rzucił. Chimera uwielbiała zapasy.

- Teraz, kiedy martwię się o ludzi, których kocham, nie mogę się z tobą siłować, Gratch. Rozumiesz to, prawda? Czy chciałbyś się z kimś bawić, gdybym ja był w niebezpieczeństwie i potrzebował cię?

Gratch zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem potrząsnął przecząco głową. Chłopak znów go uściskał. Odsunęli się od siebie i chimera z łopotem rozłożyła skrzydła.

- Możesz latać w śniegu, Gratch? - Chimera przytaknęła. - A nocą? - Przytaknęła raz jeszcze, ukazując w uśmiechu kły. - To doskonale. A teraz słuchaj, żebyś mógł odnaleźć Kahlan. Nauczyłem cię stron świata: północ, południe i tak dalej. Znasz je. Znakomicie. Kahlan jest na południowym zachodzie. - Richard chciał wskazać kierunek, ale Gratch go uprzedził i chłopak się roześmiał. - Wspaniale. Jest na południowym zachodzie. Oddala się od nas, bo jedzie do pewnego miasta. Myśli, że ją dogonię i pojedę razem z nią, lecz ja nie mogę. Muszę tu czekać. Powinna wrócić do Aydindril. Są z nią inni ludzie. Jest starzec o siwych włosach. To mój przyjaciel, mój dziadek Zedd. Są też inni, w tym wielu żołnierzy. Dużo ludzi. Rozumiesz?

Gratch zrobił smutną minę.

Richard potarł czoło, szukając, pomimo zmęczenia, sposobu, w jaki wyjaśnić to chimerze.

- Jak wieczorem - odezwała się Cara ze szczytu schodów. - Jak wtedy, kiedy wieczorem przemawiałeś do tych wszystkich ludzi.

- Tak! Właśnie tak, Gratch. - Chłopak wskazał na posadzkę w dole i zatoczył palcem koło. - Jak ci ludzie, do których mówiłem wieczorem. Prawie tak dużo ludzi jest z Kahlan.

Gratch w końcu potwierdził mruknięciem, że rozumie. Richard poklepał z zadowoleniem pierś przyjaciela i wyjął list.

- Musisz jej dać ten list, żeby zrozumiała, dlaczego powinna tu wrócić. List jej wszystko wyjaśni. To bardzo ważne, żeby go dostała. Rozumiesz?

Gratch złapał list w pazury. Richard odgarnął do tyłu włosy.

- Nie, tak nie można. Nie możesz go tak nieść. Mógłbyś potrzebować pazurów albo upuścić go i zgubić. Poza tym zamókłby w śniegu i nie zdołałaby go odczytać. - Zamilkł, rozmyślając, jak też Gratch powinien nieść przesyłkę.

- Lordzie Rahlu.

Odwrócił się, a Raina coś mu rzuciła. Richard złapał skórzany futerał, w którym przybył z Pałacu Ludu w D'Harze list do naczelnego dowódcy Pierwszej Kompanii, generała Trimacka.

- Dziękuję, Raino. - Chłopak się uśmiechnął.

I ona uśmiechnęła się afektownie oraz potrząsnęła głową. Richard wsunął list - swoją nadzieję, nadzieję ich wszystkich - do skózanego futerału i zawiesił ramię na szyi Gratcha. Chimera zagulgotała radośnie,

mile witając dodatek do swojej kolekcji, i znów przyjrzała się puklowi włosów Kahlan.

- Możliwe, Gratch, że z jakiegoś powodu Kahlan może nie być z tymi wszystkimi ludźmi. Nie mam pojęcia, co się może wydarzyć, zanim do niej dotrzesz. Może być trudno ją odszukać.

Richard przyglądał się, jak Gratch głaszcze pukiel włosów Kahlan. Widział kiedyś, jak w bezksiężycową noc chimera złapała w powietrzu latającą mysz. Znajdzie i ludzi na ziemi, musi jednak wiedzieć, jak rozpoznać właściwych.

- Jeszcze jej nie widziałeś, Gratch. Ma długie włosy, o takie. Niewiele kobiet takie nosi. I mówiłem jej o tobie. Nie przestraszy się, kiedy cię zobaczy, i zawoła do ciebie po imieniu. Po tym właśnie ją poznasz: zna twoje imię.

Gratch, zadowolony wreszcie z otrzymanych wskazówek, trzepotał skrzydłami i podskakiwał w miejscu. Pragnął już odlecieć i przynieść Kahlan Richardowi. Chłopak otworzył okno. Poryw wichru wmiótł do środka śnieg. Dwaj przyjaciele uścisnęli się po raz ostatni.

- Ucieka już około dwóch tygodni i nie zatrzyma się, dopóki jej nie dogonisz. Może trochę potrwać, zanim ją odnajdziesz. Nawet wiele dni, więc się nie zniechęcaj. I bądź ostrożny, Gratch, ponieważ nie chcę, by ci się coś stało. Chcę, żebyś do mnie wrócił i żebyśmy się mogli siłować, ty wielki futrzaku.

Z gardzieli Gratcha wyrwał się przerażający, choć pełen szczęścia chichot i chimera stanęła na marmurowym występie.

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg. Richard pomachał chimerze.

-I ja cię kocham, Gratch. Bądź ostrożny. Bezpiecznej podróży.

Gratch pomachał chłopakowi i wyskoczył. Zniknął niemal natychmiast, lecz Richard jeszcze długo patrzył w chłodną czerń nocy. Nagle poczuł pustkę. Otaczali go ludzie, jednak to nie było to samo. Byli tu tylko dlatego, że łączyła ich z nim magiczna więź, nie zaś dlatego, że naprawdę wierzyli w Richarda lub w to, co zamierzał uczynić.

Kahlan uciekała z Aydindril już dwa tygodnie, więc chimera dogoni ją za jakiś tydzień, może dwa. Chłopak nie sądził, żeby Gratch odnalazł Kahlan oraz Zedda i wrócił z nimi wcześniej niż za jakiś miesiąc, a może nieco ponad miesiąc. Najpewniej potrwa to blisko dwa miesiące. Richard czuł

ucisk w piersi: tak bardzo chciałby, żeby jego przyjaciele znów byli przy nim. Rozstanie trwało zbyt długo. Chciał, żeby skończyła się już jego samotność, a tylko ich obecność mogła do tego doprowadzić.

Richard zamknął okno i odwrócił się. Obie Mord-Sith stały tuż za nim.

- Gratch naprawdę jest twoim przyjacielem - powiedziała Cara. Chłopak jedynie skinął głową, bo bał się, że się rozplacze. Cara spojrzała na Rainę, a potem dodała:

- Omówiliśmy sprawę, lordzie Rahlu, i uważamy, że najlepiej byłoby, gdybyś się znalazł w D'Harze. Tam byłbyś bezpieczny. Moglibyśmy zostawić tu wojsko, żeby strzegło twojej królowej, kiedy się zjawi, i przywiodło ją do ciebie, do D'Hary.

- Powiedziałem już, że muszę tutaj zostać. Imperialny Ład chce podbić cały świat. Jestem czarodziejem i muszę się temu przeciwstawić.

- Ale przecież sam powiedziałeś, że nie wiesz, jak się posługiwać swoim darem. Że nie masz pojęcia, jak władać magią.

- Ja tego nie wiem, ale mój dziadek, Zedd, to wie. Muszę tu zostać, dopóki nie wróci. Kiedy to nastąpi, nauczy mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć, żeby móc walczyć z Imperialnym Ładem i nie pozwolić mu na podbój świata.

Cara skwitowała to machnięciem ręki.

- Ktoś zawsze pragnie rządzić tymi, którymi jeszcze nie rządzi. Wojnę przeciwko Imperialnemu Ładowi mógłbyś dowodzić z bezpiecznej D'Hary. Gdy wysłannicy powrócą ze swoich krain i poddadzą je tobie, Midlandy będą należały do ciebie. Będziesz władał światem bez konieczności narażania się na niebezpieczeństwo. Po poddaniu krain nastąpi kres Imperialnego Ładu.

Richard ruszył ku schodom.

- Nie rozumiesz tego. Tu chodzi o coś więcej. Imperialny Ład w jakiś sposób przeniknął do Nowego Świata i pozyskał w nim sprzymierzeńców.

- Nowy Świat? - spytała Cara, idąc za nim z Rainą. - A cóż to takiego ten Nowy Świat?

- Nowy Świat to Westland, skąd pochodzę, Midlandy i D'Hara.

- Te krainy to cały świat - stwierdziła zdecydowanie Cara.

- Mówisz jak ryba, która pływa w stawie - powiedział Richard, schodząc po schodach i sunąc dłonią po jedwabście gładkiej poręczy. - Uważasz, że to cały świat? Ten stawek, który widzisz? Że to wszystko, ot tak, po prostu,

kończy się na brzegu oceanu, na skraju gór, pustyni czy czegoś innego?

- Jedne duchy to wiedzą. - Cara zatrzymała się u podnóża schodów i przekrzywiła głowę. - A ty co myślisz? Ze za tymi krainami są jakieś inne? Że są inne stawy? - Zatoczyła krąg Agielem. - Gdzieś tam, w innym miejscu?

Richard wyrzucił w górę ramiona.

- Nie wiem. Za to wiem, że na południu leży Stary Świat. Raina skrzyżowała ramiona.

- Na południu jest wypalona pustynia. Chłopak ruszył przez rozległą komnatę.

- Na owym pustkowiu było miejsce zwane Doliną Zaginionych, przez które od oceanu do oceanu biegła bariera utworzona z Baszt Zatracenia. Budowle te wieże wzniesli przed trzema tysiącami lat czarodzieje o niewyobrażalnej mocy i od owego czasu prawie nikomu nie pozwalały one tamtędy przejść, tak więc stopniowo zapomniano o istnieniu Starego Świata.

Cara zmarszczyła z niedowierzaniem brwi. Odgłos ich kroków odbijał się echem od kopuły.

- Skąd to wiesz?

- Wiem to, ponieważ tam byłem. Byłem w Starym Świecie. Mieszkałem w Pałacu Proroków, który znajduje się w wielkim mieście zwanym Tanimura.

- Naprawdę? - spytała Raina, a kiedy Richard potaknął, nachmurzyła się jak Cara. - Skoro nikt nie mógł tamtędy przejść, to jak tobie się to udało?

- To długa historia. Najkrócej mówiąc, zabrały mnie tam owe kobiety, Siostry Świata. Mogliśmy przejść, gdyż mieliśmy dar, a nie był on na tyle silny, żeby przyciągnąć destrukcyjną moc uroków. Nikt inny nie zdołałby się tamtędy przedostać, więc baszty i uroki rozdzielały Stary i Nowy Świat. Teraz ta dzieląca je bariera zniknęła. Nikt nie jest bezpieczny. Imperialny Ład pochodzi ze Starego Świata. To daleka droga, ale nadejdą, a zatem musimy się na to przygotować.

Cara spojrzała nań podejrzliwie.

- Lecz jak to się stało, że owa bariera zniknęła, skoro była tam przez trzy tysiące lat?

Weszli na podwyższenie i Richard chrząknął.

- Hmm, to chyba moja wina. Zniszczyłem uroki baszt i już nie bronią przejścia. Pustynia znów jest, jak niegdyś, urodzajną krainą.

Obie kobiety przyglądały mu się w milczeniu. Cara pochyliła się ku Rainie i powiedziała:

- A mówi, że nie wie, jak się posługiwać magią. Raina spojrzała na Richarda:

- Czyli mówisz, że to ty wywołałeś ową wojnę. Sprawileś, że stała się możliwa.

- Nie. Słuchajcie, to długa historia. - Richard odgarnął do tyłu włosy. - Oni zdobywali tu sojuszników i zaczęli tę wojnę, zanim jeszcze rozpadła się bariera. Ebinissię zniszczono, kiedy bariera jeszcze istniała. Za to teraz nie ma nic, co by ich tam zatrzymywało albo spowalniało ich napływ. Nie lekceważ ich. Korzystają z usług czarodziejów i czarodziejek. Chcą zniszczyć całą magię.

- Chcą zniszczyć całą magię, a mimo to sami z niej korzystają? To nie ma sensu, lordzie Rahlu - zaśmiała się drwiąco Cara.

- Chcecie, żebym był magią przeciwko magii. Dlaczego? - Chłopak wskazał żołnierzom na obu krańcach podwyższenia. - Bo oni mogą być jedynie żelazem przeciwko żelazu. Często trzeba magii, żeby zniszczyć magię. - Richard wskazał również obie kobiety. - Wy także macie magiczne zdolności. W jakim celu? Żeby skontrolować czyjąś magię. Jako Mord-Sith potraficie przywłaszczyć sobie magię innych i obrócić ją przeciwko nim. Imperialny Ład czyni to samo. Korzystają z magii, by pomogła im zniszczyć magię, podobnie jak Rahl Posępny wykorzystywał was do torturowania i zabijania tych spośród mających magiczny dar, którzy mu się sprzeciwiali. Macie magiczny talent, więc Imperialny Ład zechce was zniszczyć. Ja mam dar, zatem zechcę zniszczyć i mnie. Dzięki więzi magiczną iskrę mają wszyscy D'Haranie; Ład może to dostrzec i uznać, że trzeba wypalić zmazę. Wcześniej czy później zechcą zmiażdżyć D'Hare, tak jak teraz starają się opanować Midlandy.

- To d'haranskie wojska ich zmiażdżą - rzucił przez ramię Ulic takim tonem, jakby stwierdzał rzecz oczywistą, na przykład to, że słońce i dziś zajdzie tak, jak zawsze to robiło.

Richard obrzucił gniewnym spojrzeniem plecy żołnierza.

- Zanim się tu pojawiłem, D'Haranczyki stowarzyszali się z nimi i w ich imieniu wybili mieszkańców Ebinissii. A tu, w Aydindril, słuchali rozkazów Imperialnego Ładu.

Czworo strażników chłopaka umilkło. Cara wpatrywała się w podłogę, a Raina westchnęła przygnębiona.

- Niektóre z naszych walczących poza krajem oddziałów - rozmyślała głośno Cara - mogły w zamęcie wojny poczuć, że pęka więź, zupełnie tak jak poczuli niektórzy w pałacu, kiedy zabiłeś Rahia Posepnego. Bez nowego mistrza Rahla, który odnawia więź, byłiby jak zbłąkane dusze. Przyłączyliby się do tego, kto dawałby im wskazówki i zastąpił ową więź. Teraz więź ponownie istnieje. Mamy mistrza Rahla.

Richard osunął się na krzesło Matki Spowiedniczki. -1 na to właśnie liczę - powiedział.

- Jeszcze jeden powód więcej, żeby wrócić do D'Hary - rzekła Raina. - Musimy cię chronić, byś mógł w dalszym ciągu być mistrzem Rahlem i żeby nasz lud nie przyłączył się do Imperialnego Ładu. Jeżeli cię zabiją i więź pęknie, to wojska ponownie dołączą do Imperialnego Ładu. Lepiej zostawić Midlandy ich własnym walkom. Ocalenie ich to nie twoja robota.

- Wtedy każdy w Midlandach znajdzie się pod władzą Imperialnego Ładu - powiedział cicho Richard. - Będą ich w taki sam sposób traktować, jak was Rahl Posepny. Nikt już nigdy nie będzie wolny. Nie możemy na pozwolić, dopóki mamy jakąkolwiek szansę, żeby powstrzymać Ład. I trzeba ich powstrzymać teraz, zanim zdobędą choć pięć ziemi więcej w Midlandach.

Cara przewróciła oczami.

- Niech nas duchy chronią przed człowiekiem walczącym o słuszną sprawę. Przewodzenie im to nie twój obowiązek.

- Jeżeli tego nie zrobię, to w końcu wszyscy się znajdą pod jedną władzą, władzą Ładu - stwierdził Richard. - Wszyscy ludzie już na zawsze pozostaną własnością Imperialnego Ładu. Tyrani nigdy się nie znudzą tyranią.

Cisza wręcz dzwoniła w komnacie. Richard odrzucił głowę na oparcie krzesła. Był tak zmęczony, że czuł, iż lada moment oczy same mu się zamkną. Nie wiedział, dlaczego stara się ich przekonać. Wydawało mu się, że nie pojmują, co chce uczynić, że w ogóle ich to nie obchodzi.

Cara oparła się o stół i przesunęła dłonią po twarzy.

- Nie chcemy cię stracić, lordzie Rahlu. Nie chcemy, żeby wrócił poprzedni stan rzeczy. - Zdawało się, że za chwilę się rozplacze. - Cieszy nas to, że możemy robić najprostsze rzeczy, że możemy żartować i śmiać się.

Zawsze zakazywano nam tego. Do tej pory żyliśmy w strachu, że jeśli powiemy coś niewłaściwego, to zostaniemy zbite albo spotka nas coś jeszcze gorszego. Teraz, kiedy wiemy już, że można żyć inaczej, nie chcemy, by wróciło to, co było w przeszłości. Ale wróci, jeśli poświęcisz życie dla Midlandów.

- Posłuchaj, Caro... wszyscy posłuchajcie. Jeżeli nie uczynię tego, co zamierzam, to tak właśnie się stanie. Nie widzicie tego? Jeśli nie zjednoczę krain pod silną władzą, pod sprawiedliwym prawem i takimi rządami, to Imperialny Ład stopniowo wszystko pochłonie. Jeżeli jego cień padnie na Midlandy, to w końcu padnie on również na D'Hare i ostatecznie cały świat pograży się w ciemnościach. Nie czynię tego, ponieważ tak chcę, ale dlatego, że widzę szansę na zrealizowanie owego planu. Jeżeli nie spróbuję, znajdą miejsca, w którym mógłbym się ukryć. Odnajdą mnie i zabiją. Nie chcę podbijać ludów i władać nimi. Ja po prostu pragnę wieść spokojne życie. Chcę założyć rodzinę i żyć w pokoju. To dlatego właśnie muszę pokazać krainom Midlandów, że jesteśmy silni i że nie będziemy tolerować żadnej protekcji ani zwad. Muszę pokazać, że to nie będzie luźny związek krain, które działają jak jedna tylko wtedy, kiedy jest to dla nich korzystne, lecz że naprawdę będziemy jedną krainą. Muszą uwierzyć, że opowiadamy się za tym, co słuszne, by się czuli bezpieczni, przyłączając się do nas, by wiedzieli, że znajdzie się dla nich u nas miejsce, i by nabrali otuchy, wiedząc, że jeśli zechcą walczyć o wolność, to nie będą walczyć sami. Musimy być potęgą, której zaufają. Zaufają na tyle, żeby się do nas przyłączyć.

W komnacie zapanowała lodowata cisza. Richard zamknął oczy i ponownie złożył głowę na oparciu krzesła. Pomyślał, że oszalał. To nie miało sensu. Powinien po prostu rozkazać im, żeby robili to, czego oczekiwał, i przestać się martwić o to, czy im się to podoba, czy nie, a tym bardziej, czy ich to obchodzi.

- Lordzie Rahlu - odezwała się w końcu Cara.

Otworzył oczy i zobaczył, że stała ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i z ponurą miną.

- Nie będę zmieniać pieluch twojemu dziecku, kąpać go, i poklepywać po plecach, żeby mu się odbiło, ani do niego gaworzyć.

Chłopak zamknął oczy i zaśmiał się, raz jeszcze opuszczając głowę na oparcie krzesła. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy był jeszcze w domu.

Przypomniał sobie dni poprzedzające wszystkie te wydarzenia, kiedy po Zedda przybiega akuszerka. Elayne Seaton, dziewczyna niewiele starsza od Richarda, rodzia swoje pierwsze dziecko i rzeczy nie szy dobrze. Akuszerka odwrocia sie tyem do chopaka i szeptaa cicho, pochylajac sie ku Zeddowi.

Wowczas Richard nie wiedziaał jeszcze, e Zedd jest jego dziadkiem, i uwaszaał go za swojego najlepszego przyjaciela. Wtedy nikt - nawet chopak - nie zdawaał sobie sprawy, e Zedd jest czarodziejem. Wszyscy znali go jako starego Zedda, wrozącego z chmur czowieka, ktory wiedziaał wiele i o najprostszych, i o skomplikowanych sprawach: o rzadko spotykanych zioach, ludzkich dolegliwosciach, uzdrawianiu, o tym, skad przybywaja deszczowe chmury, o tym, gdzie wykopac studnie i kiedy zaczac kopac grob, no i oczywiscie o rodzeniu dzieci.

Richard znaał Elayne. Nauczya go tanczyc, eby mogał bawic sie z dziewczyna podczas więta z okazji letniego przesilenia. Chciaał sie uczyc, dopoki nie okazao sie, e musiaby trzymac kobiete w ramionach. Baał sie, e mogaby jej cos zlamac albo wyrzadzic inna krzywde, gdyż wszyscy zawsze powtarzali mu, e jest silny i powinien uwazac, by kogos nie zranic. Kiedy zmieniał zdanie i probowaał sie wycofac, Elayne tylko sie zamiaa, objea go i zaczea z nim wirowac, nucac przy tym jakas wesoa melodie.

Chopak nie wiedziaał wiele o rodzeniu dzieci, ale to, co uslyszał, sprawio, e wolaby trzymac sie jak najdalej od domu Elayne, dopoki sie to nie skonczy. Ruszyał do drzwi, chcac udac sie na spacer w przeciwnym kierunku niż tamci. Zedd porwaał torbe z zioami oraz wywarami, chwyciał Richarda za rekaw i powiedziaał:

- Chodz ze mna, moj chopcze. Moesz mi byc potrzebny. Richard upieraał sie, e nic tam po nim, kiedy jednak Zedd cos sobie postanowiał, to w porownaniu z nim kamien byał miekki jak wosk. Wypchnał chopaka za drzwi i dodaał:

- A moe przy okazji czegos sie nauczysz, Richardzie.

Maż Elayne, Henry, wycinaał wraz z innymi lod potrzebny w zajazdach i z powodu zlej pogody nie wrociał jeszcze z wyprawy handlowej do pobliskich miast. W domu byo kilka kobiet, ale wszystkie tkwiy przy Elayne. Zedd nakazaał Richardowi, by ten podtrzymywaał ogien i grzaał wode, i powiedziaał, e to troche potrwa.

Chopak siedziaał w zimnej kuchni, a mimo to pot ciekaał mu z czoa,

kiedy docierały doń najstraszliwsze krzyki, jakie słyszał w życiu. Docierały do niego również przytłumione słowa pociechy, którymi akuszerka i pozostałe kobiety wspierały rodzącą, ale przede wszystkim owe wrzaski. Richard dokładał do ognia i rozpuszczał śnieg w dużym kotle, żeby mieć pretekst do wyjścia z domu. Powiedział sobie, że ze względu na to dziecko Elayne i Henry mogą potrzebować więcej drewna, więc narąbał go spory stosik. Nic to nie pomogło. Wciąż słyszał krzyki dziewczyny. Serce ścisnęło się mu nie tyle dlatego, że były pełne bólu, ile dlatego, że było w nich przerażenie.

Wiedział, że Elayne umrze. Akuszerka nie przysłaby po Zedda, gdyby nie działo się nic groźnego. Richard jeszcze nigdy nie widział zmarłego i nie chciał, żeby pierwsza była Elayne. Pamiętał, jak się śmiała, gdy uczyła go tańczyć. Cały czas się czerwienił, ale ona udawała, że tego nie dostrzega.

A potem, kiedy siedział przy stole, spoglądał przed siebie otępiąłym wzrokiem i rozmyślał, jakim to straszliwym miejscem jest ten świat, rozległ się ostatni krzyk, o wiele bardziej przerażający niż poprzednie, i chłopaka przeszył dreszcz. Krzyk przeszedł w bolesny jęk, po czym ucichł. Zapadła cisza. Richard zacisnął mocno powieki, powstrzymując łzy.

Wykopanie grobu w zamarznętej ziemi wydawało się prawie niemożliwe, lecz przyrzekł sobie, że zrobi to dla Elayne. Nie chciał, żeby trzymali jej zamarznęte ciało w kostnicy aż do wiosny. Był silny. Wykopie grób, nawet gdyby zajęło mu to miesiąc. Nauczyła go tańczyć.

Skrzypnęły otwierane drzwi do sypialni i wszedł Zedd, coś niosąc.

- Podejdz tu, Richardzie. - Podał mu okrwawioną małą istotę o cieniutkich rączkach i nóżkach. - Obmyj go ostrożnie.

- Co? Jak mam to zrobić? - wyjąkał chłopak.

- W ciepłej wodzie! - ryknął Zedd. - Kurczę, chłopcze, chyba nagrzałeś wody! - Richard wskazał brodą kocioł. - Ale uważaj, żeby nie była za gorąca. Ma być letnia. Potem zawiń go w te kocyki i przynieś do sypialni.

- Ależ Zeddzie... kobiety One powinny to zrobić. Nie ja! Na dobre duchy, czy kobiety nie mogłyby tego zrobić?

Zedd, z rozwianymi siwymi włosami, spojrzął na niego jednym okiem.

- Gdybym chciał, chłopcze, żeby zrobiły to kobiety, to nie prosiłbym cię o to, czyż nie?

Zniknął z szumem szat i drzwi do sypialni zamknęły się z trzaskiem.

Chłopak bał się poruszyć ze strachu, że mógłby zmiążyć dziecko. Było takie maleńkie, że ledwo mógł uwierzyć, iż jest prawdziwe. A potem coś się wydarzyło: Richard zaczął się uśmiechać. To była osoba, duch, nowy na tym świecie. Ujrzał magię. Zaniósł wykąpane i opatulone cudo do sypialni i wzruszył się do łez, ponieważ zorientował się, że Elayne żyje. Z trudem utrzymał się na uginających się nogach.

- Z pewnością możesz tańczyć, Elayne. – To jedno przyszło mu do głowy - Jak ci się udało stworzyć takie cudenko?

Kobiety stojące wokół łóżka patrzyły na niego, jakby był niespełna rozumu. Wyczerpana Elayne uśmiechnęła się.

- Pewnego dnia nauczysz Bradleya tańczyć, jasnooki. - Wyciągnęła ramiona i uśmiechnęła się promiennie, gdy Richard ostrożnie złożył w nich dziecko.

- Cóż, mój chłopcze, a jednak to pojąłeś. - Zedd uniósł brew. - Nauczyłeś się czegoś?

Bradley musi mieć teraz jakieś dziesięć lat. Dziś nazywałby go wujkiem Richardem.

Richard wyrwał się z objęć wspomnień i pomyślał o tym, co powiedziała Cara.

- A właśnie, że będziesz - powiedział do niej łagodnie. - Będziesz, choćbym musiał ci to nakazać. Chcę, żebyś poznała cud nowego życia, nowego ducha. Pragnę, żebyś to poczuła w swoich ramionach i dzięki temu poznała magię inną niż magia Agiela. Będziesz je kąpać, przewijać i poklepywać po plecach, żeby mu się odbiło. Chcę, byś się nauczyła, że w tym świecie potrzebna jest czuła opieka i że powierzyłbym takiej opiece własne dziecko. Będiesz do niego gaworzyć, żeby się radośnie śmiało i żebyś mogła radośnie spoglądać w przyszłość, a może nawet zapomnieć, że kiedyś zabijałaś ludzi. Jeśli nie potrafisz niczego zrozumieć, mam nadzieję, że zrozumiesz chociaż powody, dla których muszę uczynić to, o czym mówiłem na początku.

Chłopak opadł na oparcie krzesła i po raz pierwszy od wielu godzin rozluźnił mięśnie. Wokół niego panowała cisza. Pomyślał o Kahlan i pozwolił płynąć wspomnieniom.

Cara szepnęła przez zaciśnięte usta i przez łzy:

- Jeśli pozwolisz się zabić, próbując zdobyć panowanie nad światem, to

osobiście połamię ci wszystkie kości.

Chłopak poczuł, jak policzki rozciągają mu się w uśmiechu. W panującym pod powiekami mroku zatańczyły kolorowe cętki. Całym sobą czuł krzesło, na którym siedział: krzesło Matki Spowiedniczki, krzesło Kahlan. To stąd kierowała konfederacją zwaną Midlandami. Czuł gniewne spojrzenie pierwszej Matki Spowiedniczki i jej czarodzieja patrzących nań z fresku na kopule, kiedy zasiadł na uświęconym krześle, a wcześniej zażądał poddania się krain Midlandów i rozwiązania konfederacji, którą oni utworzyli i która miała być opoką trwającego po wsze czasy pokoju.

Richard włączył się do tej wojny, walcząc o sprawę Midlandów. Teraz wydawał rozkazy swojemu ówczesnemu wrogowi, a przykładął miecz do gardeł sprzymierzeńców.

Pewnego dnia przewróci świat do góry nogami.

Wiedział, że zrywa sojusz ze słusznych powodów, ale dręczyło go, co pomyśli o tym Kahlan. Przekonywał sam siebie, że go kocha i powinna zrozumieć. Na pewno zrozumie.

Dobre duchy, a co pomyśli Zedd?

Ramiona Richarda spoczęły ciężko w miejscu, na którym spoczywały kiedyś ramiona Kahlan. Wyobraził sobie, że dziewczyna obejmuje go, jak poprzedniej nocy, w owym miejscu pomiędzy światami. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie się czuł tak szczęśliwy i tak kochany.

Wydawało mu się, że słyszy, jak ktoś mówi, że powinien się położyć do łóżka, ale akurat zasnął.

ROZDZIAŁ 17

Brogan był w dobrym nastroju, choć po powrocie stwierdził, że Pałac Nikobarezji otacza kilka tysięcy okrutnych d'haranskich żołnierzy. Wszystko się wspaniale układało - nie tak, co prawda, jak to Brogan sobie rano założył, ale i tak wspaniale. D'Haranczycy nie wzbraniali mu wejścia do pałacu, lecz ostrzegli go, żeby tej nocy już nie wychodził. Ich bezczelność była irytująca, jednak bardziej niż brak manier żołnierzy interesowała Tobiasa owa starucha, którą Ettore przygotowywał do przesłuchania. Miał mnóstwo pytań i nie mógł się doczekać odpowiedzi na nie. Powinna już być gotowa - Ettore miał dużą wprawę. Co prawda po raz pierwszy przygotowywał kogoś samodzielnie, bez nadzoru bardziej doświadczonego brata, ale udowodnił już, że ma do tego talent i że dłoń mu nie zdrży. Ettore był gotowy do samodzielnej pracy.

Tobias otrzepał śnieg z peleryny wprost na purpurowo-złoty dywan, nie wytarł butów i ruszył przez nieskazitelnie czysty przedpokój w stronę korytarzy wiodących ku schodom. Rozległe hole oświetlały lampy z kryształu, zawieszane przed doskonale wypolerowanymi srebrnymi zwierciadłami. Promienie światła odbijały się od nich i tańczyły na złoceniach stolarki. Patrolujący pałac gwardziści w szkarłatnych pelerynach skłaniali przed Broganem głowy, dotykając czoła końcami palców, on jednak nie raczył oddać honorów.

Brogan biegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, Galtero i Lunetta byli tuż za nim. Ściany na wyższych poziomach pokrywała boazeria ozdobiona portretami monarchów Nikobarezji oraz gobelinami przedstawiającymi ich sławne, choć w większości wyimaginowane czyny. Za to na dolnym poziomie ściany były kamienne, równie nieprzyjemne dla oka jak w dotyku. Przynajmniej izba, do której spieszył Brogan, będzie rozgrzana.

Brogan przesunął palcami po wążach i skrzywił się, tak go zaboląły kości. Zimno sprawiło, że ostatnio coraz bardziej bolały go stawy. Skarcił się, że powinien więcej uwagi poświęcać pracy ku chwale Stwórcy, a mniej takim doczesnym sprawom. Stwórca bardzo pomógł mu tej nocy, więc nie wolno tego zmarnować.

Górne korytarze były strzeżone przez żołnierzy bractwa, lecz dół już nie. Z położonych niżej poziomów ani nie można było wejść do pałacu, ani z niego wyjść. Zawsze czujny Galtero sprawdził korytarz przed drzwiami prowadzącymi do izby przesłuchań. Lunetta cierpliwie czekała, uśmiechając się. Brogan powiedział jej, że dobrze się spisała, zwłaszcza przy ostatnim uroku, i teraz jaśniała ze szczęścia, uradowana pochwałami.

Brogan wszedł do izby i zobaczył znajomy, szeroki uśmiech Ettore.

Za to oczy tamtego pokrywało bielmo śmierci. Brogan znieruchomiał.

Ettore wisiał na sznurze przywiązany do żelaznej szpili, która przechodziła przez jego uszy. Stopy żołnierza kołysały się tuż nad ciemną, zakrzepłą kałużą. Na szyi widniało równiutkie cięcie brzytwą. Poniżej owego cięcia ciało Ettore odarto ze skóry. Białawe strzępy leżały z boku, tworząc wilgotny stosik. Tuż pod żebrami ziało nacięcie, a wątroba chłopaka leżała na podłodze przed jego lekko kołyszącym się ciałem. Nosila ślady zębów. Po jednej stronie były to ślady zostawione przez większe, nieregularne zęby, po drugiej natomiast mniejsze, regularne ząbki.

Brogan odwrócił się z wściekłym okrzykiem i uderzył Lunettę pięścią w twarz. Poleciała na ścianę przy kominku i osunęła się na podłogę.

- To twoja wina, streganicho! Twoja wina! Powinnaś tu była zostać i towarzyszyć Ettore!

Brogan stał, wspierając się pięściami pod boki, i patrzył gniewnie na odarte ze skóry zwłoki członka Bractwa Czystej Krwi. Gdyby nie to, że Ettore już nie żył, Brogan sam by go zabił, nawet gołymi rękami, za to że pozwolił tej starej jędzy ujść sprawiedliwości. To niewybaczalne, żeby pozwolić uciec banelingowi. Prawdziwy łowca banelingów zabiłby łotra, zanim sam oddałby ducha, choćby nie wiem co. Kpiący uśmieszek Ettore doprowadzał Brogana do szału. Uderzył zastygłą twarz.

- Zawiodłeś nas, Ettore. Wydałam cię karnie jako zhańbionego, z bractwa. Twoje imię zostanie wymazane z listy.

Lunetta kulila się pod ścianą, zakrywając krwawiący policzek.

- Mówiłam ci, że powinnam z nim zostać. Mówiłam ci. Brogan obrzucił ją wściekłym spojrzaniem.

- Oszczędź mi swoich pokrętnych tłumaczeń, streganicho. Gdybyś wiedziała, ile kłopotów może spowodować stara jędza, tobyś została.

- Przecież ci mówiłam, że powinnam zostać. - Lunetta otarła łzy. -

Kazałeś mi iść ze sobą.

Brogan zignorował ją i spojrzał na swojego pułkownika.

- Sprowadź konie - syknął przez zaciśnięte zęby. Chętnie by ją zabił. Natychmiast. Podciąłby jej gardło i skończył z tym. Miał dość jej plugawej zmayı. Tej nocy stracił przez nią ważne informacje. Ta stara, Brogan był teraz o tym przekonany, byłaby nieocenionym źródłem wiadomości. A on miałby do nich dostęp, gdyby nie jego obmierzła siostra.

- Ile koni, lordzie generale? - szepnął Galtero.

Brogan obserwował siostrę, która chwiejnie wstawiała na nogi, ocierając krew z policzka i odzyskując panowanie nad sobą. Mógłby ją zabić. Natychmiast.

- Trzy - burknął do Galtera.

Pułkownik wybrał pałkę spośród narzędzi służących do przesłuchań, a dopiero potem cicho jak cień wysliznął się za drzwi i zniknął w korytarzu. Straże najwidoczniej nie zauważyły starej kobiety, co w wypadku banelingów o niczym nie świadczy, zawsze jednak istniała możliwość, że gdzieś tu się czai. Galtero nie trzeba było przypominać, że w razie czego należy ją wziąć żywcem.

Porywcze, mściwe użycie miecza nie przyniosłoby żadnej korzyści. Gdyby ją znaleźli, powinni zachować ją przy życiu i przesłuchać. Gdyby tak się stało, zapłaciłaby za swój bluźnierczy czyn. Najpierw jednak wyznałaby wszystko, co wiedziała.

Gdyby ją znaleziono. Brogan spojrzał na siostrę.

- Czujesz ją gdzieś w pobliżu?

Lunetta potrząsnęła głową. Nie drapała się. Nawet gdyby nie te kilka tysięcy D'Harańczyków otaczających pałac, w szalejącej burzy i tak nie można byłoby nikogo wytropić. Poza tym Brogan, choć bardzo chciał dopaść staruchę, musiał zapolować na znacznie ważniejszą zwierzynę. No i była jeszcze sprawa lorda Rahla. Jeżeli Galtero odnajdzie starą, to doskonale, jednak w przeciwnym wypadku nie mogą marnować ani chwili na trudne i najprawdopodobniej bezskuteczne poszukiwania. Banelingi niebyły rzadkością, więc zawsze się jakiegoś znajdzie. Naczelną wódz Bractwa Czystej Krwi musiał się zająć poważniejszą sprawą: pracą ku chwale Stwórcy.

Lunetta przykuśtykała do Tobiasa i objęła go ramieniem w pasie, po

czym pogładziła ciężko dyszącą pierś brata.

- Już późno, Tobias - zagruchała poufale. - Chodź do łóżka. Miałeś ciężki dzień, pracując na chwałę Stwórcy. Lunetta sprawi, że lepiej się poczujesz. Spodoba ci się, obiecuję.-Nie odezwał się. - Galtero miał swoją przyjemność, więc pozwól, żeby Lunetta zadbała o twoją. Cudownie będzie - kusila. - Co, Tobias?

Zastanawiał się tylko przez chwilę.

- Nie ma czasu. Musimy natychmiast jechać. Mam nadzieję, że tego wieczoru czegoś się nauczyłaś, Lunetto. Więcej nie będę tolerował twoich złych postępów.

Pokiwała głową.

- Tak, mój lordzie generale. Postaram się być lepsza. Będę lepsza. Przekonasz się.

Brogan zabrał siostrę z podziemi do komnaty, w której rozmawiał ze świadkami. Przed drzwiami stali wartownicy. Brogan wszedł, wziął ze stołu puzderko z trofeami i przypiął je do pasa. Ruszył ku drzwiom, ale się odwrócił. Ze stołu zniknęła srebrna moneta, którą dała mu stara kobieta. Popatrzył na strażnika.

- Nie sądzę, żeby ktoś tutaj wchodził, kiedy wyszedłem?

- Nie, lordzie generale - odparł nieruchomy strażnik. - Absolutnie nikt.

Brogan mruknął coś do siebie. Była tutaj. Zabrała monetę, przekazując mu w ten sposób wiadomość. Nie trudził się wypytywaniem innych wartowników. Oni również z pewnością niczego nie widzieli. Stara i jej wnuczka zniknęły. Wyrzucił je z myśli i skupił się na tym, co należało zrobić.

Szedł korytarzami na tyły pałacu, skąd było niedaleko do stajni. Galtero powinien już zapakować rzeczy niezbędne w podróży i osiodłać konie. Pałac otaczali D'Haranczycy, ale Brogan był pewny, że w panującym mroku i niesionym wiatrem śniegu on i Lunetta przemkną się ku stajniom.

Brogan nie powiedział nic swoim ludziom, ponieważ za Matką Spowiedniczką mogli ruszyć wyłącznie we troje. Trojgu być może udać się wymknąć w tej burzy, całemu oddziałowi już nie. Tylu żołnierzy z pewnością by dostrzeżono i zaatakowano, wywiązałyby się walka i najprawdopodobniej zginęliby. Bractwo Czystej Krwi miało dzielnych wojowników, ale nie sprostałoby tak wielu D'Haranczykom. Co gorsza, Brogan przekonał się naocznie, że tym D'Haranczykom walka nie była obca. Lepiej dla niepoznaki

zostawić tu żołnierzy. Nie zdradzą tego, czego nie wiedzą.

Zaskrzypiały ciężkie dębowe drzwi i Brogan wyjrzał w mrok. Zobaczył jedynie wirujący śnieg oświetlony słabym blaskiem, który padał z kilku okien na drugim piętrze. Powinien pogasić lampy, ale ich słabe światło było mu potrzebne, żeby odnaleźć drogę do stajni.

- Trzymaj się blisko mnie. Jeżeli spotkamy żołnierzy, spróbują nas zatrzymać. Nie możemy na to pozwolić. Musimy ruszać za Matką Spowiedniczką.

- Ale, lordzie generale...

- Zamilcz - warknął Brogan. - Jeśli spróbują nas powstrzymać, to lepiej temu zaradź. Zrozumiałaś?

- Jeśli będzie ich wielu, to mogę tylko...

- Nie przeciągaj struny, Lunetto. Powiedziałaś, że się postarasz być lepsza. Daję ci do tego okazję. Nie zawieź mnie po raz kolejny.

- Tak, lordzie generale. - Mocniej przytuliła swoje śliczne szmatki.

Brogan zdmuchnął lampę na korytarzu i wypchnął Lunettę w zamieć. Zaczęli brnąć przez zasy. Galtero prawdopodobnie osiodłał już konie. Muszą się tylko do nich dostać. Kiedy już znajdą się w siodle, to w tej zawiei D'Haranczycy nie zdążą ich ani dostrzec, ani powstrzymać. Ciemny zarys stajni był coraz bliżej.

Ze śnieżycy zaczęły się wynurzać jakieś postacie. Żołnierze. Dostrzegli Brogana, dobyli mieczy i zaczęli zwoływać swoich towarzyszy. Wicher natychmiast stłumił ich głosy, ale i tak zbiegło się mnóstwo olbrzymich gwardzistów. Otoczyli ich.

- Zrób coś, Lunetto.

Uniosła dłoń z zakrzywionymi palcami i zaczęła snuć czar, lecz tamci nie przystanęli. Runęli na nich z uniesionymi mieczami. Tobias drgnął, bo strzała śmignęła mu obok policzka. Stwórca zesłał poryw wiatru i ocalił go. Lunetta pochyliła się, unikając nadlatującego roju pocisków.

Widząc nadbiegających zewsząd żołnierzy, Brogan dobył miecza. Chciał się wycofać do pałacu, ale i ta droga została już odcięta. D'Haranczyków było zbyt wielu. Lunetta była tak zajęta unikaniem strzał, że nie mogła rzucić ochronnego czaru. Piszcziała ze strachu.

Strzały przestały nadlatywać równie nagle jak zaczęły. Tobias usłyszał niesione przez wiatr krzyki. Chwycił Lunettę za ramię i ruszył biegiem przez

głębokie zasy, łudząc się, że zdąży dotrzeć do stajni. Tam powinien być już Galtero.

Kilku żołnierzy chciało zastąpić mu drogę. Ten, który znajdował się najbliżej, krzyknął, kiedy przemknął przed nim cień. Gwardzista upadł twarzą w śnieg. Tobias ze zdumieniem patrzył, jak inni zamierzają się mieczami na podmuchy wiatru.

A wiatr kosił ich bez litości.

Brogan przystanął i z niedowierzaniem przyglądał się temu, co się działo. Wszędzie dokoła padali D'Haranczycy. Wyjący wiatr niósł ich wrzaski, a śnieg barwił się czerwienią. Żołnierze przewracali się, z wyprutymi wnętrznościami.

Brogan oblizał wargi i tkwił wciąż nieruchomo ze strachu, że i jego wiatr porwie. Patrzył to tu, to tam, starając się to pojąć. Próbował dostrzec napastników.

- Oszczędź mnie, drogi Stwórco! Wykonuję twoje dzieło! - zawołał.

Na stajenny podwórzec ze wszystkich stron zbiegali się żołnierze i padali równie szybko, jak się pojawiali. Już ponad sto ciał leżało w śniegu. Brogan jeszcze nigdy nie widział tak szybko i brutalnie mordowanych żołnierzy. Przykucnął, stwierdziwszy z przerażeniem, że owe zawirowania poruszają się celowo.

Były żywe. Zaczynał ich dostrzegać. Wszędzie wokół przesuwali się ludzie w białych pelerynach i atakowali D'Haranczyków. Uderzali z płynną, morderczą gracją. Żaden z żołnierzy nie próbował uciec, ale też żaden nie zdołał nawiązać walki z przeciwnikiem. Wszyscy natychmiast ginęli.

Tylko wiatr zakłócał ciszę nocy. Walka skończyła się, zanim ktokolwiek zdążył uciec. Wszędzie leżały stosy nieruchomych, ciemnych postaci. Tobias rozejrzał się i zobaczył, że nikt nie ocalał. Śnieg zaczął już zasypywać ciała. Za jakąś godzinę znikną pod białym całunem.

Postacie w pelerynach sunęły płynnie po śniegu, lekko i wdzięcznie, jakby tworzył je wiatr. Zbliżyły się do Tobiasa i miecz wysunął się z odrętwiałych palców mężczyzny. Chciał zawołać do Lunetty, żeby poraziła ich czarem, lecz kiedy tamci weszli w krąg światła, głos go zawiódł.

To nie byli ludzie.

Białe jak śnieg łuski falowały ponad krzepkimi mięśniami. Gładka skóra okrywała pozbawione włosów i uszu spłaszczony głowę z paciorkowatymi

oczami. Pod rozwianymi wiatrem pelerynami bestie nosiły zwykle skórzane stroje, a w każdej szponiastej łapie trzymały zakrwawiony nóż o trzech ostrzach.

Były to stwory, które Tobias widział na palach przed Pałacem Spowiedniczek, stwory, które zabił lord Rahl. Mriswithy. Brogan widział, jak zabijały tych doświadczonych żołnierzy, i nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób lord Rahl czy ktokolwiek inny zdołał pokonać choć jednego z nich, a co dopiero tak wiele.

Jeden ze stworów ruszył ku lordowi generałowi, patrząc nań nieruchomymi oczami. Zatrzymał się jakąś stopę przed nim.

- Odejdź - wysyczał.

- Cooo? - wykrztusił Tobias.

- Odejdź. - Mriswith przeciął powietrze nożem o trzech ostrzach. Gest był gwałtowny i pełen groźnego mistrzostwa. - Uciekajjjj.

- Po co? Po co to robisz? Dlaczego chcesz, żebyśmy uciekli? Pozbawione warg usta rozciągnęły się w ponurym uśmiechu.

- Nawiedzający Ssssny chce, żebyście uciekli. Odejdźcie teraz, zanim zjawi się więcej tych w skórach. Odejdźcie.

- Ale...

Mriswith zacisnął pelerynę, chroniąc się przed wiatrem, odwrócił się i zniknął w śnieżnej zawierusze. Tobias patrzył w noc, lecz wiatr nie przyniósł już żadnych żywych stworów.

Czemuż takie niegodziwe bestie chciały mu pomóc? Czemuż zabiły jego wrogów? Czemuż chciały, żeby uciekł?

Brogana ogarnęła fala ciepła i zadowolenia. Zrozumiał. To Stwórca je zesłał. No jasne. Jakżeż mógł być tak ślepy? Lord Rahl powiedział, że zabił mriswithy. Lord Rahl walczył w imię Opiekuna. Gdyby mriswithy stały po stronie zła, lord Rahl walczyłby z nimi w jednym szeregu, a nie przeciwko nim.

Mriswith powiedział, że przysłał je Nawiedzający Sny. Do Tobiasa przychodził w snach Stwórca. A więc to tak. Przysłał je Stwórca.

- Lunetto. - Kryła się za nim. - Stwórca przychodzi do mnie w snach. To właśnie próbowali mi powiedzieć, twierdząc, że przysłał ich ktoś z moich snów. To Stwórca ich przysłał, Lunetto, żeby mnie strzegli.

Lunetta otworzyła szeroko oczy.

- Sam Stwórca cię ocalił, krzyżując plany Opiekuna. Strzeże cię sam Stwórca. Musi mieć względem ciebie wspaniałe plany.

Brogan pochylił się, wygrzebał spod śniegu miecz i wyprostował się z uśmiechem na twarzy.

- Istotnie. Ochronił mnie, bo przedkładałem jego życzenia nad wszystko inne. Pospiesz się, musimy zrobić to, co nakazali nam jego posłańcy. Musimy stąd odjechać i kontynuować jego dzieło.

Tobias brnął przez śnieg, omijając ciała. Nagle zagroziła mu drogę jakaś ciemna postać.

- No, no, no, wybieramy się dokądś, lordzie generale? - Intruz uśmiechnął się groźnie. - Chcesz rzucić na mnie urok, czarodziejko?

Brogan wciąż trzymał w dłoni miecz, lecz wiedział, że nie byłby dość szybki. Drgnął, usłyszawszy odgłos pękającej kości. Blokujący przejście człowiek padł twarzą w śnieg. Tobias podniósł oczy i dostrzegł Galtera stojącego nad nieprzytomnym ze wzniesioną pałką.

- Tej nocy zasłużyłeś na swoją rangę, Galtero.

Stwórca znów dał Tobiasowi bezcenny dar, ponownie pokazując, że pobożny może sięgnąć po wszystko. Na szczęście Galtero posłużył się pałką, a nie mieczem. Brogan widział krew płynącą z rany, ale i poruszającą się w oddechu piersi.

- No, no, no robi się zupełnie niezła noc. Zanim wyleczysz tę osobę, Lunetto, czeka cię pewna robota na rzecz Stwórcy.

Lunetta pochyliła się nad nieruchomą postacią, przycisnęła palce do zlepionych krwią, falistych kasztanowatych włosów.

- Chyba najpierw powinnam się zająć leczeniem. Galtero jest silniejszy, niż mu się zdaje.

- To nie byłoby wskazane, droga siostrze, przynajmniej sądząc z tego, co usłyszałem. Leczenie może poczekać. - Brogan spojrzał na swojego pułkownika i wyciągnął rękę w kierunku stajni. - Konie gotowe?

- Tak, lordzie generale. Możemy jechać, kiedy skończysz. Tobias dobył noża, który dał mu Galtero.

- Musimy się spieszyć, Lunetto. Posłaniec powiedział, że powinniśmy uciekać. - Przykucnął i przewrócił na plecy nieruchomą postać. - A potem ruszamy za Matką Spowiedniczką.

Lunetta nachyliła się i zerknęła na niego.

- Przecież ci powiedziałam, lordzie generale, że skrywa ją przed nami czarodziejska sieć. Nie możemy dostrzec jej nici. Nie rozpoznamy Matki Spowiedniczki.

Uśmiech zniekształcił bliznę w kącie ust Tobiasa.

- Ależ ja dostrzegłem nici sieci. Matka Spowiedniczka nazywa się Kahlan Amnell.

ROZDZIAŁ 18

Była więźniem, tak jak się tego obawiała. Dokonała odpowiedniego zapisu w rejestrze i przewróciła kolejną stronę. Więźniem o najwyższej pozycji, więźniem w papierowym zamknięciu, ale jednak więźniem.

Verna ziewnęła i przebiegła wzrokiem następną stronę, sprawdzając zapisy pałacowych wydatków. Każde zestawienie wymagało jej aprobaty. Musiała je parafować na znak, że sama Ksieni zatwierdziła wydatki. Nie pojmowała, dlaczego tak musi być. Kiedy po kilku dniach pełnienia nowej funkcji Verna orzekła, że to straszliwe marnowanie czasu, Siostry Leoma, Dulcinia i Philippa odwracały oczy i cicho, jakby nie chcąc krępować Ksieni, tłumaczyły, iż to naprawdę konieczne, i rozwodziły się nad straszhliwymi następstwami rezygnacji z takiej prostej czynności, która wymagała od Verny tak niewiele wysiłku, a była tak korzystna dla innych.

Potrafiła sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby oznajmiła, że nie zamierza kontrolować rachunków. "Ależ, Ksieni, jeżeli ludzie nie będą się obawiać, że osobiście nadzorujesz ich pracę, rozzuchwałą się i zaczną oszukiwać pałac. Mogliby uznać Siostry za rozrzutne idiotki pozbawiona odrobiny zdrowego rozsądku. A poza tym, gdyby nie płacono rachunków, czekając na rozporządzenia Ksieni, rodziny robotników mogłyby głodować. Chyba nie chciałabyś, żeby ich dzieci głodowały, tylko dlatego że nie chcesz zaakceptować wypłacenia należności za wykonaną ciężką pracę? Tylko dlatego, że odmawiasz zerknięcia na rachunek i postawienia na nim swoich inicjałów? Naprawdę chcesz, by uznali cię za aż tak nieczułą?"

Verna westchnęła i przejrzała zestawienie wydatków na utrzymanie stajni. Były w nim rachunki za siano i zboże, pracę kowala, konserwację uprzęży, uzupełnianie brakujących uprzęży, naprawę ścianki boksu, w której ogier wybił dziurę, i naprawę ogrodzenia, które kilka koni wyłamało po tym, jak przeraziły się czegoś nocą. Koniecznie musi porozmawiać ze stajennymi i zażądać, by utrzymywali tam lepszy porządek. Włożyła pióro do buteleczki z atramentem, raz jeszcze westchnęła i postawiła u dołu strony swoje inicjały.

Odłożyła rachunki ze stajni na stosik już przejranych i podpisanych dokumentów i dokonała odpowiedniego wpisu w rejestrze, kiedy ktoś

leciutko zastukał do drzwi. Verna zdjęła kolejny papier ze stosu czekającego na przejrzenie - długachne zestawienie wydatków na mięso i wędliny - i zaczęła po nim wodzić wzrokiem. Nie miała pojęcia, że utrzymanie Pałacu Proroków jest aż tak kosztowne.

Delikatne stukanie powtórzyło się. Prawdopodobnie Siostry Dulcinia lub Phoebe chciały przynieść nową stertę dokumentów. Verna o wiele wolniej stawiała swoje inicjały, niż one przynosiły nowe raporty. Jak sobie z tym radziła Ksieni Annalina? Verna miała nadzieję, że to nie Siostra Leoma z wieścią o nowym nieszczęściu, jakie Ksieni spowodowała nie przemyślanym uczynkiem lub słowem. Może, jeśli nie odpowie na stukanie, uznają, że jest bardzo zajęta, i pójdą sobie?

Verna mianowała administratorkami Siostrę Phoebe, swoją starą przyjaciółkę, i Siostrę Dulcinię. Należało wykorzystać doświadczenie Siostry Dulcinii. No i pozwalało to mieć ją na oku. Zresztą Dulcinia sama domagała się owej roboty, powołując się na swoją "wiedzę o pałacowych sprawach".

Mianowanie Sióstr Leomy i Philippy zaufanymi doradczyniami przynajmniej pozwalało na nie uważać. Verna im nie ufała. W gruncie rzeczy nie ufała żadnej z nich. Nie mogła sobie na to pozwolić. Musiała jednak przyznać, że okazały się dobrymi doradczyniami, które zawsze miały na względzie przede wszystkim interesy Ksieni i pałacu. Drażniło ją, że nie może nic zarzucić ich radom. Raz jeszcze rozległo się grzeczne, lecz natarczywe pukanie. - Tak! O co chodzi?

Ciężkie drzwi uchylły się i w szparze ukazała się blond głowa Warrena. Kret uśmiechnął się szeroko, spostrzegłszy nachmurzoną minę Verny. Ksieni zobaczyła, jak stojąca za chłopakiem Dulcinia wykręca szyję, by zobaczyć, ileż to papierysk zdążyła przejrzeć jej zwierzchniczka. Warren wśliznął się przez uchylone drzwi.

Rozejrzał się po mrocznej komnacie i ocenił wykonane naprawy. Gabinet był całkowicie zrujnowany po przegranej walce, jaką poprzedniczka Verny stoczyła z Siostrami Mroku. Ekipa robotników pospiesznie naprawiała szkody, najszybciej jak się dało przywracając porządek, żeby nowa Ksieni nie musiała długo znosić niewygód. Verna знаła cenę ich pracy: widziała słone rachunki.

Warren podszedł do ciężkiego stołu z orzechowego drewna i zatrzymał się przed nim.

- Dobry wieczór, Verno. Wyglądasz na bardzo zapracowaną. To, jak sądzę, ważne pałacowe sprawy, którymi trzeba się zająć.

Verna mocno zacisnęła usta. Nie zdążyła jednak zacząć tyrady, gdyż Siostra Dulcinia skorzystała z okazji i zanim drzwi zamknęły się za gościem, wsnuęła głowę do komnaty.

- Właśnie skończyłam porządkować dzienne raporty, Ksieni. Czy życzysz sobie otrzymać je teraz? Chyba już pewno wkrótce skończysz przeglądać tamte.

Verna uśmiechnęła się okropnie i pokiwała palcem na pomocnicę. Siostra Dulcinia drgnęła na widok tego uśmiešku. Jej przenikliwe niebieskie oczy omiotły komnatę i zatrzymały się na Warrenie. Dopiero potem weszła, pełnym pokory gestem odgarniając do tyłu siwe włosy.

- Mogę w czymś pomóc, Ksieni? Verna splotła dłonie na stole.

- I owszem, Siostrze, możesz. Twoje doświadczenie bardzo przyda się w tej sprawie. - Uniosła z blatu rachunki. - Chciałabym, żebyś natychmiast poszła do stajni. Wygląda na to, że mamy tam kłopoty i jakąś tajemnicę.

- Kłopoty, Ksieni? - Oblicze Siostry Dulcinii pojaśniało.

- Tak. Wygląda na to, że brakuje kilku koni.

Siostra Dulcinia pochyliła się odrobinę i ściszyła głos w charakterystyczny dla siebie, pełen wyrozumiałości sposób.

- Jeżeli dobrze pamiętam raport, o którym mówisz, Ksieni, to konie wystraszyły się czegoś nocą i uciekły. Po prostu jeszcze nie wróciły, ot co.

- Wiem o tym, Siostrze. Chciałabym, żeby mistrz Finch wyjaśnił, dlaczego nie można odnaleźć zwierząt, które wyłamały ogrodzenie i uciekły.

- Ksieni?

Verna przybrała minę kpiącego zdziwienia.

- Mieszkamy na wyspie, nieprawdaż? Jak to możliwe, że owych koni już tu nie ma? Żaden ze strażników nie widział, by galopowały przez most. A przynajmniej ja nie otrzymałam żadnego raportu na ten temat. O tej porze roku rybacy spędzają na rzece całe dni i noce, łowiąc węgorze, a przecież nie widzieli choćby jednego konia płynącego na stały ląd. Gdzież więc są te wierzchowce?

- Cóż, jestem pewna, Ksieni, że po prostu uciekły. Może... Verna uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Może mistrz Finch je sprzedał i powiedział, że uciekły, by wytłumaczyć

ich brak.

Siostra Dulcinia zeszywniała.

- Ależ Ksieni, na pewno nie chciałybyś oskarżyć... Verna uderzyła dłonią w stół i poderwała się z krzesła. - Brakuje również uprząży. Czyżby także uciekła w noc!?

A może konie same ją nałożyły i wybrały się na przejażdżkę!? Siostra Dulcinia pobladła. - Ja... cóż... sprawdzę...

- Natychmiast pójdziesz do stajni i powiesz mistrzowi Finchowi, że jeśli nie odnajdzie pałacowych koni do czasu, kiedy ponownie zajmę się tą sprawą, to potrączę mu ich wartość z pensji, a uprzęż zrobię z jego skóry!

Siostra Dulcinia skłoniła się pospiesznie i wymknęła z komnaty. Gdy drzwi zamknęły się za nią, Warren zachichotał.

- Wczuwasz się w rolę, Verno.

- Nie zaczynaj ze mną, Warrenie!

- Uspokój się, Verno. - Uśmiech zniknął z twarzy młodzieńca. - To tylko para koni. Finch je znajdzie. Sprawa nie jest warta twoich łez.

Verna zamrugła ze zdziwieniem i dotknęła palcami policzków - naprawdę były wilgotne. Westchnęła ze znużeniem i opadła na krzesło.

- Przepraszam, Warrenie. Nie wiem, co mnie naszło. Chyba po prostu jestem zmęczona i poirytowana.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, Verno, żeby kilka głupich papierzysek doprowadziło cię do takiego stanu.

- Spójrz na to, Warrenie! - chwyciła jeden z raportów. - Jestem tu więźniarką, która aprobejuje zapłatę za wywożenie gnoju! Masz pojęcie, ile nawozu zostawią po sobie te konie? A ile muszą jeść, żeby było go aż tyle?

- Cóż, nie. Sądzę, że powinienem przyznać...

- Masło... - Wyciągnęła ze stosu kolejne zestawienie.

- Masło?

- Tak, masło. - Verna powiodła wzrokiem po karcie papieru. - Wygląda na to, że zjełczało i musimy kupić dziesięć garncy, by uzupełnić braki. Muszę się nad tym zastanowić i ocenić, czy mleczarz wziął uczciwą cenę i czy nadal ma być dostawcą.

- Kontrolowanie tego wszystkiego musi mieć duże znaczenie. Verna wzięła kolejny dokument.

- Dekarze. Dekarze najęci do wyremontowania przeciekającego dachu

nad jadalnią. I łupkowe dachówki. Powiedzieli, że błyskawica połamała dachówki, więc trzeba zerwać prawie metr kwadratowy i zastąpić potłuczone nowymi. Dziesięciu ludziom zabrało to dwa tygodnie. Mam ocenić, czy nie trwało to za długo, i zaaprobować wypłatę.

- Cóż, jeżeli ludzie wykonują jakąś pracę, to mają prawo domagać się zapłaty, czyż nie?

Verna potarła palcem złoty pierścień ozdobiony promienistym słońcem.

- Sądziłam, że jeśli kiedyś zdobędę władzę, to wprowadzę zmiany w służbie Sióstr na chwałę Stwórcy. Ale jak dotychczas robię tylko jedno, Warrenie. Przeglądam wyłącznie raporty. Siedziałam tu cały dzień i noc, czytając najrozmaitsze papierzyska, aż końcu wszystko zaczęło mi się dwoić w oczach.

- To na pewno jest ważne, Verno.

- Ważne? - Z przesadną uniżonością wybrała kolejny dokument. - Zobaczmy... Dwaj z naszych młodzieńców upili się i podpalili gospodę... Ogień ugaszono... Gospoda poniosła niemałe straty... Chcieliby, żeby pałac pokrył koszty... - Odłożyła papier. - Zamierzam sobie uciąć głośną pogawędkę z tymi dwoma.

- Słuszna decyzja, Verno.

- A tu co mamy? - Wzięła jeszcze jeden raport. - Rachunki szwaczki za stroje dla nowicjuszek. - Zdjęła ze stosu kolejny dokument. - Sól. Trzy rodzaje.

- Ależ, Verno...

- Atu? - Z kpiącą powagą pomachała kartką. - Kopanie grobów.

- Co takiego?

- Dwóch grabarzy. Chcą, żeby im zapłacić za robotę. - Przejrzała rachunek. - Sądząc po cenie, jakiej żądają, wysoko cenią swoje umiejętności.

- Słuchaj, Verno, tkwiłaś tutaj tak długo, że przyda ci się trochę świeżego powietrza. Chodźmy na spacer.

- Na spacer? Nie mam czasu, Warrenie...

- Już zbyt długo tu przesiadujesz, Ksieni. Potrzeba ci trochę ruchu. - Przechylił głowę i przesadnie przewrócił oczami, patrząc na drzwi. - Co ty na to?

Verna spojrzała na drzwi. Jeśli Siostra Dulcinia zrobiła, co jej kazano, to w pierwszym gabinecie powinna być tylko Siostra Phoebe. Phoebe była jej

przyjaciółką. Verna przypomniała sobie, że nie wolno jej nikomu ufać.

- Hmm... Cóż, istotnie przydałby mi się krótki spacer. Warren obszedł stół, ujął ramię Verny i podniósł siostrę z krzesła.

- No to wspaniale. Idziemy?

Verna wyszarpnęła ramię, po czym rzuciła Warrenowi mordercze spojrzenie. Zgrzytnęła zębami i rzekła teatralnie:

- Ależ oczywiście. Czemużby nie?

Usłyszawszy otwierające się drzwi, Siostra Phoebe natychmiast poderwała się i skłoniła.

- Chcesz czegoś Ksieni? Może odrobinę zupy? Albo herbatę?

- Tyle razy ci mówiłam, Phoebe, żebyś się me kłaniała za każdym razem, kiedy mnie widzisz.

Phoebe znów się skłoniła.

- Tak, Ksieni. - Jej okrągła twarz spłonęła rumieńcem. - To znaczy... przepraszam, Ksieni. Wybacz mi.

Verna westchnęła i uzbroiła się w cierpliwość.

- Siostro Phoebe, znamy się od czasów, gdy obie byłyśmy nowicjuszkami. Ileż to razy posyłano nas do kuchni, byśmy szorowały gary za... - Verna rzuciła okiem na Warrena. - Cóż, nie pamiętam już za co, ale jesteśmy starymi przyjaciółkami. Spróbuj o tym pamiętać, dobrze?

Na pulchną twarz Phoebe wypłynął uśmiech.

- Oczywiście... Verno. - Wzdragająca się nazywać Ksienię w ten sposób, choć otrzymała takie polecenie.

Po wyjściu z kancelarii Warren zapytał, za co posyłano je do czyszczenia naczyń.

- Powiedziałam, że nie pamiętam. - Verna prychnęła i spojrzała za siebie na pusty hol. - O co chodzi?

Warren wzruszył ramionami.

- Po prostu o spacer. - Sam sprawdził hol, a potem raz jeszcze spojrzał na nią znacząco. - Pomyślałem, że może Ksieni zechce odwiedzić Siostrę Simone.

Verna zmyliła krok. Siostra Simona od tygodni była jak obłąkana, więc trzymano ją w chronionym osłonami pomieszczeniu, żeby nie wyrządziła krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu. Jej zachowanie miało jakiś związek ze snami.

Warren nachylił się ku Vernie i szepnął:

- Poszedłem do niej wcześniej z wizytą.

- Po co?

Warren kilkakrotnie wskazał podłogę. Podziemia. Chodziło mu o podziemia. Verna spojrzała nań krzywo.

-I jak się ma biedna Simona?

Dotarli do skrzyżowania korytarzy. Warren spojrzał w lewo, potem w prawo, a w końcu się obejrzał.

- Nie pozwolili mi jej zobaczyć - szepnął.

Nad pałacem szalała ulewa. Verna naciągnęła na głowę szal i wyskoczyła na zewnątrz. Przeskakiwała kałuże i starała się stąpać po kamieniach tkwiących w mokrej trawie. W bajorkach odbijało się padające z okien złociste światło. Strażnicy stojący przy bramach wiodących do kwater Ksieni skłonili się, kiedy Verna i Warren biegli obok nich, kierując się ku zadaszonemu pasażowi.

Pod niskim dachem Verna strząsnęła wodę z szala i narzuciła go na ramiona. Oboje starali się złapać oddech. Warren otrzepał szaty z wody. Boczne arkady pasażu osłaniała jedynie gęsto obrosnięta pnączami kratownica, ale nie wiał wiatr, więc w środku było dość sucho. Verna spojrzała w mrok, lecz nikogo nie dostrzegła. Do przysadzistego budynku szpitala było stąd dość daleko.

Ksieni opadła na kamienną ławę, zatem Warren, chociaż gotów był do dalszej drogi, usiadł obok niej. Było zimno i Vernie sprawiało przyjemność ciepło, jakie biło od młodzieńca.

Po tak długim czasie spędzonym w gabinecie dobrze było czuć cierpki zapach deszczu i wilgotnej ziemi. Verna nie była przyzwyczajona do przebywania pod dachem. Lubiła być pod gołym niebem i uważała, że ziemia to wygodne łoże, a drzewa i pola to znakomity gabinet. Jednak ta część jej życia już się skończyła. Przy gabinecie Ksieni był ogród, ale nie miała czasu do niego zajrzeć.

W oddali, jak serce przeznaczenia, nieustannie biły bębny.

- Posłużyłem się moją Han i nie wyczułem w pobliżu niczyjej obecności - powiedział w końcu Warren.

- A ty oczywiście potrafisz wyczuć obecność kogoś władającego magią subtraktywną, tak? - szepnęła.

- O tym nie pomyślałem. - Spojrzał w ciemności.
- O co chodzi, Warrenie?
- Myślisz, że jesteśmy sami?
- Skąd niby mam to wiedzieć? - parsknęła. Warren znów się rozejrzał i przełknął ślinę.

- Ostatnio mnóstwo czytałem. - Wskazał ku podziemiom. - Doszedłem do wniosku, że powinniśmy się zobaczyć z Siostrą Simoną.

- Już to mówiłeś. Nie powiedziałeś jednak, dlaczego.

- Część tego, co czytałem, dotyczyła snów - odparł tajemniczo. Verna próbowała spojrzeć mu w oczy, lecz w tych mrokach dostrzegła jedynie ciemną sylwetkę Kreta.

- Simona ma sny.

Warren przycisnął udo do jej uda. Drżał z zimna. Przynajmniej tak sądziła. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co czyni, objęła młodego czarodzieja i położyła jego głowę na swoim ramieniu.

- Verno, jestem taki samotny - wyjąkał. - Boję się z kimkolwiek porozmawiać. Mam wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają. Wciąż się boję, że ktoś zapyta mnie, co czytam, dlaczego i na czyje polecenie. Przez trzy dni widziałem cię tylko raz, a z nikim innym nie mogę porozmawiać.

- Wiem, Warrenie. - Poklepała go po plecach. - I ja chciałam z tobą porozmawiać, ale miałam tyle pracy. Tyle jest do zrobienia.

- Może dają ci tyle pracy, żebyś była nieustannie zajęta i nie wchodziła im w drogę, kiedy zajmują się... interesami.

Verna potrząsnęła głową w ciemnościach.

- Może. I ja się boję, Warrenie. Nie mam pojęcia, jak być Ksienią. Obawiam się, że zniszczę Pałac Proroków, jeśli nie zrobię tego, co powinno zostać zrobione. Boję się sprzeciwić Leomie, Philippic, Dulcinii i Maren. Starają się mi doradzać, jak być Ksienią, i jeśli rzeczywiście są po naszej stronie, to radzą szczerze. Jeżeli ich nie posłucham, mogę popełnić wielki błąd. A jeżeli Ksieni popełnia błąd, to wszyscy za to płacą. Jeżeli jednak nie są po naszej stronie... cóż, wydaje się, że to, co mi radzą, jest zupełnie nieszkodliwe. Jakie zło może spowodować czytanie raportów?

- Może, pod warunkiem że odsunie cię to od czegoś naprawdę ważnego.

Pogłaskała go po plecach i odsunęła od siebie.

- Wiem. Spróbuję częściej wychodzić z tobą na spacer. Świeże

powietrze dobrze na mnie działa.

Warren ścisnął jej dłoń.

- Cieszę się, Verno. - Wstał i wygładził ciemne szaty. - Chodźmy sprawdzić, jak się czuje Simona.

Szpital był jednym z mniejszych budynków na wyspie Halsband. Siostry mogły wyleczyć za pomocą swojej Han wiele obrażeń, a choroby przekraczające moc ich daru zwykle szybko kończyły się śmiercią, więc szpital służył przede wszystkim jako schronisko dla starszych i słabych już służących, którzy poświęcili życie służbie w Pałacu Proroków i nie mieli nikogo, kto by o nich dbał. Zamykano tu również chorych na umyśle. W wypadku chorób umysłowych dar nie na wiele się przydawał.

Kiedy byli już blisko drzwi, Verna wysłała swoją Han do lampy iniosła ją, przemierzając z Warrenem skromne korytarze. Kierowali się ku izbie, w której zamknięto Simonę. Zajętych było zaledwie kilka pomieszczeń, a dobiegające z nich chrapanie, charczenia i pokaszliwania niosły się echem poprzez słabo oświetlone przejścia.

Dotarli do końca korytarza, przy którym spali starzy i słabowici słudzy. Teraz musieli pokonać troje lichych drzwi, z których każde były chronione osłonami utworzonymi z różnorodnych uroków. Ludzie mający dar, nawet jeśli byli chorzy na umyśle, mogli jednak przełamać osłony. Czwarte drzwi były więc żelazne i wyposażone w mocną zasuwę, którą chroniła skomplikowana osłona, mająca zapobiec otwarciu ich od środka za pomocą magii. Im większą moc stosowano, tym zasuwę silniej trzymała. Osłonę tę utkały trzy Siostry, więc nie mogłaby jej przełamać jedna, zamknięta w izbie.

Verna i Warren wyszli zza narożnika i dwaj strażnicy stanęli na baczność. Skłonili głowy, lecz nie odsunęli się od drzwi. Warren powitał ich uprzejmie i dał znak dłonią, by odsunęli zasuwę.

- Przykro mi, synu, lecz nikomu nie wolno tam wejść. Verna wbiła w strażnika pałające oczy i odepchnęła Warrena.

- Czy to prawda, synu? Potwierdził skinieniem głowy.

- A kto wydał ów rozkaz?

- Mój dowódca, Siostrze. Nie wiem, kto je wydał jemu, ale musiała to być jakaś ważna Siostra.

Z groźną miną podsunęła mu pod nos pierścień z promienistym słońcem.

- Mająca większą władzę niż ta, która nosi to? Strażnik otworzył szeroko oczy.

- Nie, Ksieni. Oczywiście, że nie. Wybacz mi, nie rozpoznałem cię.

- Ile osób jest za tymi drzwiami?

Brzęk zasuwki odbił się echem w korytarzu.

- Tylko jedna Siostra, Ksieni.

- Czy są przy niej Siostry opiekunki?

- Nie. Odeszły na noc.

Kiedy już weszli do środka i strażnicy nie mogli ich usłyszeć, Warren zachichotał.

- W końcu pierścień przydał ci się na coś. Verna zwolniła i zatrzymała się zaintrygowana.

- Warrenie, jak według ciebie pierścień znalazł się na kolumnie po ceremonii pogrzebowej?

Uśmiech Warrena stał się ledwo widoczny. - Hmm, pomyślmy... - Uśmiech ostatecznie zniknął. - Nie wiem. A jak ty myślisz? Potrząsnęła głową.

- Otaczała go świetlna osłona. Niewielu potrafi utkać taką sieć. Jeżeli, jak mówisz, Ksieni Annalina ufała wyłącznie mnie, to komu zaufała na tyle, żeby położył tam pierścień i utkał wokół niego sieć?

- Nie mam pojęcia. - Warren podciągnął na ramionach swoje przemoczone szaty. - Może sama ją utkała?

Verna uniosła znacząco brew.

- Ze stosu pogrzebowego?

- Nie. Chodziło mi o to, czy nie utkała jej, a potem ktoś inny jej nie zarzucił. No wiesz, tak jak z zaczarowaniem pałeczki, żeby ktoś inny mógł nią później zapalić lampę. Widziałem, jak Siostry to robiły, tak by służba mogła zapalać lampy bez noszenia płonącej świecy, która kapałaby gorącym woskiem na palce lub na podłogę.

Verna uniosła wyżej lampę i spojrzała mu w oczy.

- To genialne, Warrenie.

Uśmiechnął się, lecz po chwili uśmiech zniknął.

- Pozostaje jeszcze pytanie, kto zarzucił sieć? Opuściła lampę.

- Może jedna ze służących, do której Ksieni miała zaufanie. Ktoś pozbawiony daru, żeby nie musiała się martwić, że będą... - Obejrzała się za

siebie na ciemny, pusty korytarz. - Wiesz, o co mi chodzi. - Potaknął, a Verna zaczęła iść. - Muszę się nad tym zastanowić.

Spod drzwi prowadzących do izby Siostry Simony wydobywały się błyski światła: ciche, małe ułamki błyskawic przechodzące przez szparę przy podłodze. Osłona iskrzyła, kiedy docierały do niej, i rozpraszała moc, zobojętniając magię jej przeciwieństwem. Siostra Simona starała się złamać osłonę.

Należało się tego spodziewać, skoro cierpiała na chorobę umysłową. Pytanie, dlaczego się jej to nie udawało? Verna stwierdziła, że drzwi broniła zwyczajna osłona, jaką wykorzystywano do trzymania w zamknięciu młodych czarodziejów, kiedy byli zbyt krnąbrni.

Verna dotknęła swojej Han i przeszła przez osłonę. Warren podążył za nią. Zapukała. Zniknęły dobywające się spod drzwi błyski światła.

- Simono? To ja, Verna Sauventreen. Pamiętasz mnie, prawda, kochanie? Mogę wejść?

Nie było żadnej odpowiedzi, więc Verna nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Lampę trzymała przed sobą, żeby złocisty blask choć trochę rozjaśnił panujące wewnątrz ciemności. W izbie była tylko taca z dzbanem, chlebem i owocami, nędzne łóżko, nocnik oraz kuląca się w rogu mała, brudna kobieta.

- Zostaw rennie, demonie! - wrzasnęła.

- Wszystko w porządku, Simono. To tylko ja, Verna, i mój przyjaciel, Warren. Nie bój się.

Simona zamrugała, jakby światło lampy było tak jasne jak blask słońca. Verna tak ustawiła lampę, żeby ta nie oślepiła Simony. Kobieta zerknęła na nią.

- Verna? - Tak, to ja.

Simona mnóstwo razy ucałowała swój serdeczny palec, dziękując wylewnie Stwórcy. Przysunęła się na czworakach do Verny; chwyciła rąbek jej szaty i również jego zaczęła całować.

- Dziękuję, że się zjawiłaś. - Podźwignęła się na nogi. - Szybko! Musimy uciekać!

Verna złapała ją za ramiona i usadowiła na łóżku. Łagodnie odgarnęła jej z czoła zmierzwiłone siwe włosy. Ręka Verny znieruchomiła. Simona miała na szyi obrozę. To dlatego nie mogła przełamać osłony. Verna jeszcze nigdy nie widziała Siostry noszącej Rada'Han. Widziała już setki chłopców i

młodzieńców z obrożą, lecz Siostry - nigdy. Na ów widok aż ją ścisnęło w dołku. Mówiono jej, że w odległej przeszłości zakładano Rada'Han tym Siostróm, które straciły rozum. Chora umysłowo osoba mająca dar była niczym błyskawica uderzająca w zatłoczony plac targowy. Takie osoby należało mieć pod kontrolą. Ale mimo to...

- Jesteś bezpieczna, Simono. Jesteś w pałacu, pod bacznyim okiem Stwórcy. Nic złego cię nie spotka.

Simona wybuchnęła płaczem.

- Muszę uciekać. Wypuście mnie, proszę. Muszę uciekać.

- Dlaczego musisz uciekać, kochanie? Kobieta rozmazała łzy na ubrudzonej twarzy.

- Bo on nadchodzi. - Kto?

- Ten z moich snów. Nawiedzający Sny.

- A kimże jest ów Nawiedzający Sny? Simona się cofnęła.

- Opiekun.

Verna milczała przez chwilę.

- Nawiedzający Sny to Opiekun?

Tamta tak energicznie potaknęła, iż Verna miała wrażenie, że złamie sobie szyję.

- Czasem. A czasem jest Stwórcą. Warren nachylił się ku niej. - Co?

Simona się wzdrygnęła.

- Czy to ty? Ty nim jesteś? - Jestem Warren, Siostro. Wasz uczeń. Simona dotknęła palcem swoich spękanych warg.

- Więc i ty powinienesz uciekać. On nadchodzi. Chce tych, którzy mają dar.

- Ten, który przychodzi do ciebie w snach? - spytała Verna, a Simona energicznie potaknęła. - Co on robi w twoich snach?

- Dręczy mnie. Zadaje mi ból. On... - Całowała gwałtownie swój serdeczny palec, błagając Stwórcę o ochronę. - Mówi, że muszę się wyprzeć mojej przysięgi. Żąda, bym robiła różne rzeczy. To demon. Czasami udaje Stwórcę, by mnie zmylić, ale wiem, że to on. Wiem. To demon.

Verna przytuliła przerażoną kobietę.

- To tylko koszmar senny, Simono. To nie jest jawa. Spróbuj to zrozumieć.

Simona omal nie złamała sobie karku, potrząsając głową.

- Nie! To sen, ale prawdziwy. On nadchodzi! Musimy uciekać!

Verna uśmiechnęła się współczująco.

- Dlaczego tak myślisz?

- Sam mi powiedział. On nadchodzi.

- Nie rozumiesz, kochanie? To było tylko we śnie, nie na jawie. To nie jest rzeczywiste.

- Sny są rzeczywiste. Wiem to również wtedy, kiedy nie śpię. - Teraz nie śpisz. Czy i teraz to wiesz, kochanie? - Simona potaknęła. - Skąd to wiesz, skoro nie śpisz, podczas gdy on nie mówi do ciebie, tak jak czyni to we śnie?

- Słyszę jego ostrzeżenie. - Spojrzała na Verne, potem na Warrena, a następnie znów na Verne. - Nie jestem szalona. Nie jestem. Nie słyszycie bębnow?

- Owszem, Siostrze, słyszymy bębny. - Warren się uśmiechnął. - Lecz to nie jest twój sen. To bębny zapowiadające zbliżającą się wizytę imperatora.

Simona znów dotknęła palcem ust.

- Imperatora?

- Tak, imperatora Starego Świata. Jedzie do nas z wizytą, ot co. Stąd te bębny - pocieszył ją Warren.

- Imperator? - Na jej twarzy pojawił się niepokój,

- Tak - rzeki Warren. - Imperator Jagang.

Simona wrzasnęła dziko i rzuciła się do kąta. Krzyczała, jakby ją ktoś pchnął nożem. Wymachiwała ramionami. Verna pospieszyła ku niej, starając się unieruchomić jej ręce i pocieszyć ją.

- Jesteś z nami bezpieczna, Simono. Co się stało?

- To on! - wrzasnęła. - Jagang! To imię Nawiedzającego Sny! Puśćcie mnie! Pozwólcie mi odejść, zanim się zjawi!

Wyrwała się Vernie i zaczęła się miotać po izbie, ciskając na oślep błyskawice. Odlupywały tynk ze ścian niczym jarzące się pazury. Verna i Warren starali się ją uspokoić, pochwycić i powstrzymać. Simona nie mogła znaleźć wyjścia, więc zaczęła bić głową w ścianę. Była niewysoka, lecz miała siłę dziesięciu mężczyzn.

W końcu Verna, choć bardzo niechętnie, musiała się posłużyć Rada'Han, żeby zapanować nad chorą.

Uspokoiła Simone i Warren wyleczył jej krwawiące czoło. Verna przypomniała sobie czar, jakiego nauczono jej, by mogła koić ból nowo

przybyłych do pałacu chłopców, kiedy z tęsknoty za rodzicami trapiły ich koszmary senne. Czar oddalający strachy i pozwalający przerażonemu dziecku spać bez snów. Verna położyła dłonie na Rada'Han i wysłała Simonie strumień swojej Han. W końcu oddech kobiety uspokoił się. Siostra rozluźniła się i usnęła. Verna miała nadzieję, że będzie to sen bez snów.

Wstrząśnięta Verna zamknęła drzwi wiodące do ciemnej izby i oparła się o nie.

- Czy dowiedziałeś się tego, co chciałeś? Warren przełknął ślinę.

- Obawiam się, że tak.

To nie była odpowiedź, jakiej Verna oczekiwała. Ale nie dodał niczego. - No i?

- No i nie jestem przekonany, że Siostra Simona straciła rozum. A przynajmniej nie w zwykłym tego słowa znaczeniu. - Skubał obszywki na rękawie szaty. - Muszę jeszcze trochę poczytać. Może to zupełnie nic. Księgi są takie zawiłe. Opowiem ci o tym, co znajdę.

Verna pocałowała swój serdeczny palec i poczuła pod wargami wciąż jeszcze trochę obcy dotyk pierścienia Ksieni.

- Drogi Stwórco, miej w opiece tego narwanego młodziana, bo mogłabym go oskalpować, a potem zadusić gołymi rękami - pomodliła się głośno.

Warren przewrócił oczami. - Ależ, Verno...

- Ksieni - poprawiła go.

Warren westchnął i ostatecznie skinął głową na zgodę.

- Chyba powinienem ci o tym powiedzieć, lecz pamiętaj, że to bardzo stare i niezrozumiałe rozgałęzienie. W prorocत्वach aż roi się od fałszywych rozgałęzień, to zaś jest w dwójnasób skażone: ze względu na swój wiek i na rzadkość występowania. Już to czyni je podejrzanym, a co dopiero sama jego treść. W takich starożytnych księgach tekst się przeplata mnóstwo razy i cofa do tego, co już raz napisano, więc żeby to zweryfikować, trzeba miesięcy pracy. Niektóre ogniwa są dodatkowo zaciemnione przez potrójne rozgałęzienia. Odtwarzanie potrójnego rozgałęzienia podwaja fałszywe rozwidlenia w poszczególnych gałęziach, a jeśli któreś z nich jest potrójne, to natykamy się na zagadkę tworzoną przez progresje geometryczne, ponieważ...

Verna położyła dłoń na ramieniu Warrena i uciszyła go.

- Ja to wiem, Warrenie. Rozumiem stopnie progresji i regresji oraz ich odniesienia do losowych zmiennych w rozwidleniach potrójnego rozgałęzienia.

Warren machnął ręką.

- Tak, istotnie. Zapomniałem, jak doskonałą byłaś uczennicą. Przepraszam. Po prostu gładzę.

- Mów, co wiesz, Warrenie. Co takiego powiedziała Simona, że uznałaś, iż nie jest pomyłona w zwykłym znaczeniu tego słowa?

- Chodzi o tego Nawiedzającego Sny, o którym wspomniała. W dwóch spośród najstarszych ksiąg znalazłem wzmianki o Nawiedzającym Sny. Księgi te już się prawie rozpadły. Martwię się, że wzmianki o Nawiedzających Sny wydają się nam tak rzadkie tylko dlatego, iż księgi są okropnie stare i zachowały się jedynie te dwie. Może w innych tekstach z tamtych czasów wspomniano o nich o wiele częściej. Jednak większość z nich przepadła.

- Jak stare są te księgi?

- Mają ponad trzy tysiące lat. Verna uniosła brew.

- Pochodzą z czasów wielkiej wojny? - Warren potwierdził. - A co z tym Nawiedzającym Sny?

- Trudno to zrozumieć. Z tych wzmianek wynika, że to nie tyle osoba, ile oręż.

- Oręż? Jakiego rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Kontekst wskazuje, że jest nie tyle rzeczą, ile istotą, a może nawet człowiekiem.

- Może chodzi o człowieka, który-jak na przykład fechtmistrz - jest tak znakomity w czymś, że często piszą o nim z respektem i ze czcią jako o orężu?

Warren uniół palec.

- Tak, to jest to. Doskonale to ujęłaś, Verno.

- A co księgi mówią o jego możliwościach?

- Nie wiem - westchnął Warren. - Wiem jednak, że Nawiedzający Sny ma coś wspólnego z Basztami Zatracenia, które w końcu rozdzieliły na trzy tysiące lat Stary i Nowy Świat.

- Uważasz, że baszty zbudowali Nawiedzający Sny? Warren nachylił się ku Vernie.

- Nie. Uważam, że baszty zbudowano, by ich powstrzymać. Verna zdrętwiała.

- Richard zniszczył baszty - powiedziała głośno, choć nie miała takiego zamiaru. - Co jeszcze?

- Na razie wiem tylko tyle. A i tak składa się to głównie z przypuszczeń. Nie wiemy wiele o księgach z czasów wojny. To mogą być jedynie opowiadania, a nie rzetelne relacje.

Verna wskazała oczami drzwi za swoimi plecami.

- To, co tam zobaczyłam, wydaje mi się całkiem realne.

- Mnie również - skrzywił się Warren.

- A co miałeś na myśli, mówiąc, że nie jest szalona w zwykłym znaczeniu tego słowa?

- Wcale nie sędzę, że Siostra Simona cierpi na koszmary senne i wyobraża sobie różne rzeczy. Uważam, że naprawdę stało się coś, co wprowadziło ją w taki stan. Księgi napomykają o przypadkach, kiedy ów fehmistrz się pomylił i jego ofiary nie potrafiły odróżnić jawy od snu, zupełnie jakby te osoby zasypiały, ich mózgi nie mogły się w pełni obudzić z koszmarów sennych lub oderwać od świata.

- Dla mnie to, że nie można odróżnić tego, co realne, od nierealnego, brzmi jak opis zaburzeń umysłowych.

Warren obrócił dłoń wnętrzem ku górze. Ogień zapłonął tuż nad ciałem.

- Co to jest rzeczywistość? Wyobraziłem sobie ogień i mój "sen" stał się realny. Mój w pełni przebudzony umysł kieruje moimi czynami.

Verna skubała pukiel swych kasztanowych włosów i myślała głośno:

- Tak jak zasłona oddziela świat żywych od świata zmarłych, tak w naszych umysłach istnieje bariera odgradzająca rzeczywistość od wyobrażeń, od snów. Poprzez dyscyplinę i siłę naszej woli kontrolujemy to, co jest dla nas rzeczywistością. - Niespodziewanie podniosła wzrok. - Drogi Stwórco, to owa bariera w naszym umyśle nie pozwala nam używać Han, gdy śpimy. Jeżeli bariera ta zniknie, osoby, które ją utracą, nie będą mogły kontrolować swojej Han, kiedy zasną.

Warren potaknął.

- My panujemy nad naszą Han. Kiedy coś sobie wyobrażamy, to coś może się stać rzeczywiste. Lecz świadoma, przebudzona wyobraźnia działa w granicach narzuconych przez rozum. - Nachylił się ku Vernie, a jego

niebieskie oczy pałały. - Wyobraźnia, która śpi, nie ma takich ograniczeń. Nawiedzający Sny może nagiąć rzeczywistość. Ci, którzy mają dar, mogą to urealnić.

- I rzeczywiście jest oręż - wyszeptała Verna.

Ujęła ramię Warrena i ruszyła korytarzem. Nieznane budziło lęk, więc dobrze było mieć choć jednego przyjaciela, który będzie służył pomocą. W umyśle Verny kłębiły się pytania i wątpliwości. Była teraz Ksienią i to ona musiała znaleźć odpowiedź, zanim na pałac spadną kłopoty.

- Kto umarł? - spytał w końcu Warren.

- Ksieni i Nathan - odparła z roztargnieniem Verna, bo o nich właśnie myślała.

- Nie, oni mieli ceremonię pogrzebową. Oprócz nich. Verna ocknęła się z zadumy.

- Oprócz Ksieni i Nathana? Nikt. Od dawna już nikt nie umarł. W niebieskich oczach Warrena tańczył blask lampy.

- Tb dlaczego pałac zatrudnia grabarzy?

ROZDZIAŁ 19

Richard przerzucił nogę przez grzbiet konia, wylądował na zdeptanym śniegu podwórca przed stajnią i rzucił wodze czekającemu żołnierzowi. Za nim na dziedziniec wjechało galopem dwustu jeźdźców. Poklepał po szyi zmęczonego wierzchowca, tuż za nim zsiadali z koni zmęczeni Ulic i Egan. W chłodnym, nieruchomym powietrzu późnego popołudnia unosiły się obłoczki oddechów ludzi i zwierząt. Milczący żołnierze byli sfrustrowani i zniechęceni. Richard był zły.

Chłopak zdjął grubą rękawicę, ziewnął i podrapał czterodniowy zarost. Był zmęczony, głodny i brudny, a przede wszystkim zły. Zabrał ze sobą dobrych tropicieli - tak powiedział o nich generał Reibisch, a Richard nie miał powodu wątpić w jego słowa - lecz okazali się nie dość dobrzy. Richard sam był dobrym tropicielem i kilka razy znalazł ślady, których inny nie dostrzegli, lecz dwa dni szalejącej śnieżycy zrobiły swoje i musieli się poddać.

Nie powinno do tego dojść, ale pozwolił się wyprowadzić w pole. Pierwsza mała próba sił w charakterze przywódcy i już przegrał. Nie powinien był mu zaufać. Czemuż zawsze uważa, że ludzie rozumieją i robią, co trzeba? Czemuż zawsze myśli, że w ludziach tkwi dobro i ujawni się, jeżeli tylko da się im ku temu okazję?

Brnęli przez śnieg ku pałacowi, białe ściany i wieżyczki stawały się ciemnoszare w wieczornym półmroku. Richard poprosił Egana i Ulica, żeby znaleźli generała Reibischa i spytali go, czy podczas ich nieobecności nie ujawniły się jakieś nowe nieszczęścia. Wieża patrzyła na nich z górskich mroków, śnieg leżał na jej granitowych barkach jak ciemny, ponury, stalowobłękitny szal.

Pani Sanderholt i jej trzódka krzątali się w kuchennym gwarze. Chłopak spytał, czy Pierwsza Kucharka nie znalazłaby czegoś do jedzenia dla niego i obu wielkoludów: kawałka suchego chleba, resztki zupy, czegokolwiek. Kobieta zorientowała się, że Richard nie ma ochoty na rozmowę, więc tylko w milczeniu ścisnęła mu ramię i powiedziała, żeby sobie usiedli, a ona już się wszystkim zajmie. Richard poszedł do spokojnego pokoiku niedaleko kuchni, żeby odpocząć i poczekać tam na obu gwardzistów.

Nagle zastąpiła mu drogę Berdine. Była ubrana w czerwony skórzany uniform.

- A gdzieżeś to był? - spytała lodowatym tonem Mord-Sith.

- Gonilem w górach fantomy. Cara i Raina nie powiedziały ci, dokąd się wybieram?

- Ty mi nie powiedziałeś. - Twarde błękitne oczy nie cofnęły się przed jego wzrokiem. - A to ważne. Nie waż się więcej znikać, nie mówiąc mi, dokąd się udajesz. Czy to jasne?

Richarda przeszył dreszcz. Nie było wątpliwości, kto to powiedział. Nie mówiła Berdine, kobieta, lecz pani Berdine, Mord-Sith. I to nie było pytanie, a groźba.

Chłopak się otrząsnął. Był po prostu zmęczony, ona zaś martwiła się o lorda Rahla. Tylko coś sobie wyobrażał. Co się z nim działo? Prawdopodobnie przeraziła się, kiedy po przebudzeniu stwierdziła, że poleciał za Broganem i jego siostrą czarownicą. Miała dość osobliwe poczucie humoru, więc może w jej pojęciu miał to być żart. Zmusił się do uśmiechu i spróbował ją udobruchać.

- Przecież wiesz, Berdine, że jesteś moją ulubienicą. Przez cały czas nie myślałem o niczym innym, jak tylko o twoich roześmianych niebieskich oczach.

Richard zrobił krok ku drzwiom, lecz Berdine uniosła Agiela i oparła czubek bicia o przeciwległą stronę framugi, blokując przejście. Jeszcze nigdy nie widział, by aż tak zdradziła swoją złowieszczą naturę.

- Zadałam ci pytanie. Oczekuję odpowiedzi. Obym nie musiała pytać po raz drugi.

Tym razem nie było żadnego usprawiedliwienia ani dla jej tonu, ani dla zachowania. Agiel, i to nieprzypadkowo, znalazł się tuż przed twarzą Richarda. Chłopak po raz pierwszy zobaczył w niej prawdziwą Mord-Sith, osobowość, którą widziały jej ofiary, i wcale mu się to nie spodobało. Przez chwilę spoglądał na nią oczami tych zapomnianych ofiar, które Berdine miała na czubku swojego Agiela. Żaden jeniec Mord-Sith nie miał łatwej śmierci i tylko jeden Richard przeżył owe męczarnie.

Chłopak pożałował nagle, że zaufał tym kobietom. Ogarnęło go z wątpienie i rozczarowanie.

Tym razem nie poczuł lęku, lecz gniew. Zdał sobie sprawę, że mało co

zrobiłby coś, czego by potem żałował, i natychmiast zapanował nad gniewem, czuł jednak, jak płonie on w jego oczach.

- Musiałem ruszyć za Broganem, Berdine, kiedy tylko się dowiedziałem, że zniknął, jeśli chciałem mieć choćby najmniejszą szansę, by go dopaść. Powiedziałem Carze i Rainie, dokąd się wybieram, i na ich nalegania zabrałem ze sobą Ulica i Egana. Spałaś. Nie widziałem powodu, żeby cię budzić.

Nie poruszyła się.

- Byłeś potrzebny tutaj. Mamy wielu tropicieli i żołnierzy, ale tylko jednego przywódcę. - Czubek Agiela zatoczył koło i zatrzymał się przed oczami Richarda. - Nie zawieź mnie ponownie.

Chłopak musiał wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie złamać ręki Berdine. Cofnęła Agiel, odwróciła gniewny wzrok i odeszła dumnym krokiem.

Richard wszedł do niewielkiego, wyłożonego ciemną boazerią pomieszczenia. Rzucił ciężką skórzaną opończę pod ścianę, obok wąskiego kominka. Jakże mógł być tak naiwny? To były jadowite zmije, a on pozwolił im owinąć się wokół szyi. Otaczali go obcy. Nie, nie obcy. Wiedział, kim były Mord-Sith. Wiedział, co zrobili D'Haranczycy; wiedział, co zrobili przedstawiciele niektórych krain. Mimo to jednak był na tyle szalony, że uwierzył, iż postąpią właściwie, jeśli da im ku temu okazję.

Chłopak oparł dłoń o ramę okna i zapatrzył się na ciemniejący górzysty krajobraz. Czuł, jak przenika go ciepło docierające od trzaskającego ognia. Z oddali spoglądała na niego Wieża Czarodzieja. Richard tęsknił za Gratchem. Tęsknił za Kahlan. O dobre duchy, jak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona.

Może powinien to wszystko rzucić. Znalazłby jakieś miejsce w Lasach Hartlandzkich, gdzie nigdy by ich nie odnaleziono. Mogliby oboje zniknąć i niech reszta świata sama daje sobie radę. Czemużby miał się przejmować - oni się nie przejmowali.

Chciałbym, żebyś tu był, Zeddzie, i pomógł mi, pomyślał.

Otworzyły się drzwi, smuga światła dotarła do chłopaka. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł stojącą w progu Carę. Raina była tuż za nią. Miały na sobie brązowe skórzane stroje i uśmiechały się psotnie. Richardowi nie było do śmiechu.

- Cieszymy się, lordzie Rahlu, że przywiozłeś w jednym kawałku swoją przystojną osobę. - Cara uśmiechnęła się afektownie i przerzuciła na plecy

blond warkocz. - Tęskniłeś za nami? Mam nadzieję, że nie...

- Wynoście się.

Żartobliwy uśmiezek zniknął.

- Co?

Obrócił się ku niej.

- Powiedziałem, że macie się wynieść. A może przyszłyście, by grozić mi Agielem? Nie mam teraz ochoty patrzeć na wasze twarze Mord-Sith. Wynoście się!

Cara przełknęła ślinę.

- Nie będziemy daleko, gdybyś nas potrzebował - powiedziała cicho. Wyglądała, jakby Richard ją uderzył.

Wyszła, zabierając ze sobą Rainę.

Kiedy odeszły, Richard opadł na pikowany skórzany fotel stojący przy niewielkim, ciemnym, emaliowanym stoliku o nóżkach w kształcie zwierzęcych łap. Ostry zapach docierający z paleniska zdradził chłopakowi, że płonęła dębina; i on by tak wybrał w chłodną zimową noc. Przesunął lampę bliżej ściany, na której wisały niewielkie obrazki. Największy mieścił się w dłoni Richarda, a mimo to wspaniale oddawał rozległe przestrzenie. Chłopak wpatrywał się w te pełne spokoju widoki, pragnąc, by życie było równie proste jak na tych idyllicznych malowidłach.

Pojawienie się Ulica, Egana i generała Reibischa wyrwało Richarda z zadumy.

Generał przyłożył pięść do serca.

- Jaka to ulga, lordzie Rahlu, że wróciłeś bezpiecznie. Powiodło ci się?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

- Ludzie, których ze mną wysłałeś, byli tak dobrzy, jak mówiłeś, ale panowała fatalna pogoda. Początkowo udało się nam odnaleźć ich ślady, lecz skierowali się w górę Stentor Street, ku centrum miasta, więc nie mogliśmy już stwierdzić, w którym kierunku pojechali. Prawdopodobnie na północny wschód, z powrotem do Nikobarezji. Dla świętego spokoju okrążyliśmy całe miasto, na wypadek gdyby obrali inny kierunek, ale nie udało się nam znaleźć żadnych śladów. Te szczegółowe poszukiwania trwały długo i burza miała dość czasu, żeby zasypać ich ślady.

Generał pomrukiwał i zastanawiał się.

- Przesłuchaliśmy tych, których zostawili w pałacu. Nikt nie wiedział,

dokąd pojechał Brogan.

- Mogli kłamać.

Reibisch potarł kciukiem bliznę na twarzy.

- Uwierz mi, na pewno nie wiedzieli, dokąd pojechał. Richard nie miał ochoty dowiadywać się, co uczyniono w jego imieniu.

- Ze znalezionych na początku śladów wynikało, że było ich tylko troje. Bez wątpienia pojechał lord generał Brogan, jego siostra i ten trzeci.

- Skoro nie zabrał swoich ludzi, to można by sądzić, że po prostu uciekał. Prawdopodobnie solidnie go nastraszyłeś i uciekł w panice.

Chłopak postukał palcem w blat stołu.

- Być może. Żeby się jednak upewnić, chciałbym wiedzieć, dokąd pojechał.

Generał wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie pošlesz za nim tropiącego obłoku lub nie użyjesz swojej magii, by podążać jego śladem? Tak czynił Rahl Posępny, kiedy chciał kogoś śledzić.

Richard wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Wiedział, czym był tropiący obłok i jak skończył. To wszystko zaczęło się wówczas, gdy Rahl Posępny posłał za nim tropiący obłok, żeby w dogodnej dla siebie chwili pojmać Richarda i odzyskać Księgę Opisania Mroków. Zedd postawił chłopaka na skałce czarodzieja, żeby pozbyć się obłoku. Richard czuł co prawda przepływają przez niego magię, lecz nie miał pojęcia, jak działa. Widział też, jak Zedd korzysta z odrobiny czarodziejskiego proszku, żeby zatrzeć ich ślady i uniemożliwić Rahlowi śledzenie ich, ale i w tym wypadku nie miał pojęcia, w jaki sposób to działa.

Chłopak nie zamierzał wcale zachwiać zaufania, jakim darzył go generał Reibisch, przyznając się, że nie ma najmniejszego pojęcia o magii, ale w tym momencie akurat niezbyt dobrze się czuł wśród swoich sprzymierzeńców.

- Kiedy niebo kryją burzowe chmury, nie można posłać za kimś tropiącego obłoku. Nie wiedziałabyś, za którą chmurą podążać. Siostra Brogana, Lunetta, jest czarodziejką. Mogła użyć magii, żeby zatrzeć ich ślady.

- Jaka szkoda. - Generał podrapał się w brodę; najwyraźniej dał się złapać na ten fortel. - Cóż, magia to nie moja specjalność. Od tych spraw mamy ciebie.

Richard zmienił temat.

- A jak się tu układa? Generał uśmiechnął się złośliwie.

- Wszystkie miecze w mieście są nasze. Niektórym się to nie spodobało, kiedy jednak wyłożono im jasno inne możliwości, wszyscy zgodzili się bez walki.

Przynajmniej tyle.

- Bractwo Czystej Krwi z Pałacu Nikobarezji też?

- Będą musieli jeść palcami. Nie pozwolimy im zatrzymać nawet łyżek.

Richard potarł oczy.

- To dobrze. Znakomicie się spisałeś, generale. A co z mriswithami? Zaatakowały ponownie?

- Od tej pierwszej krwawej nocy już nie. Było naprawdę spokojnie. Od tygodni tak dobrze nie spałem. Od kiedy przejąłeś władzę, nie miałem tych snów.

- Snów? - Richard podniósł nań wzrok. - Jakich snów?

- Hmrm... - Generał podrapał rudowłosą głowę. - To dziwne. Teraz zupełnie ich już nie pamiętam. Miałem owe sny, które mnie wielce niepokoiły, ale nie powtórzyły się, od kiedy się tu zjawiłeś. Sam wiesz, jak to jest ze snami: po jakimś czasie blakną i nie możesz ich sobie przypomnieć.

- No tak. - Wszystko zaczynało przypominać sen, zły sen, i Richard bardzo chciał, żeby to istotnie był tylko zły sen. - Ilu ludzi straciliśmy w ataku mriswithów?

- Trzystu.

Chłopak potarł czoło, serce mu się ścisnęło.

- Nie myślałem, że tam będzie aż tyle ciał. Nie podejrzewałem, że aż tyle.

- Tb razem z innymi. Richard cofnął dłoń od twarzy.

- Inni? Jacy inni?

- Ci stamtąd. - Generał Reibisch wskazał za okno. - Zginęło niemal osiemdziesięciu ludzi na drodze do Wieży Czarodzieja.

Chłopak obrócił się i popatrzył przez okno. Na ciemnofioletowym niebie widniał jedynie zarys wieży. Czyżby mriswithy chciały się dostać do Wieży Czarodzieja? A jeśli tak, to, na dobre duchy, co on może na to poradzić? Kahlan mówiła mu, że wieży bronią potężne zaklęcia, lecz Richard nie miał pojęcia, czy zdołają powstrzymać takie stwory jak mriswithy. I dlaczego chciały się tam dostać?

Richard upomniał się, by nie puszczać wodzy wyobraźni. Mriswithy zabijały żołnierzy i cywili w całym mieście. Za kilka tygodni wróci Zedd. On powinien wiedzieć, co robić. Tygodni? Nie, najprawdopodobniej mu to zabierze ponad miesiąc, a może nawet dwa. Czy można czekać aż tak długo?

A może powinienem tam pójść, myślał Richard, i rzucić okiem? Ale i to byłby szalony krok. Wieża Czarodzieja była siedzibą potężnej magii, a on wiedział o magii tyle tylko, że jest niebezpieczna. Tylko sprowadziłby na siebie dalsze kłopoty. I tak ma ich aż nadto. Może jednak powinien rzucić okiem, tak dla siebie. Mogłoby to coś dać.

- Oto twoja kolacja - odezwał się Ulic. Richard odwrócił się od okna.

- Co? Och, dziękuję.

Pani Sanderholt przyniosła srebrną tacę z dymiącą zupą jarzynową, chlebem z masłem, jajkami na ostro, ryżem z ziołami w brązowym sosie, kotletami jagnięcymi, gruszkami w białym sosie i kubkiem herbaty z miodem. Mrugnęła przyjaźnie i postawiła tacę.

- Zjedz wszystko, Richardzie, a potem wypocznij. To ci dobrze zrobi.

Swoją jedyną noc w Pałacu Spowiedniczek Richard spędził w komnatach rady, na krześle Kahlan.

- Gdzie?

Pani Sanderholt poruszyła ramionami.

- Mógłbyś się przespać w... - Zamilkła i poprawiła się. - Mógłbyś zająć komnatę Matki Spowiedniczki. Najpiękniejszą w całym pałacu.

To tam mieli spędzić z Kahlan noc poślubną.

- To nie byłoby właściwe. Mógłbym skorzystać z jakiegoś innego łóżka?

Pani Sanderholt wyciągnęła obandażowaną dłoń. Bandaże były czystsze i nie tak grubo nawinięte.

- Pójdiesz tamtym skrzydłem do końca, potem skręcisz w prawo i znajdziesz komnaty gościnne. Nie mamy żadnych gości, więc możesz zająć, którą tylko zechcesz.

- Gdzie są Mord... Gdzie śpi Cara i jej przyjaciółki?

Pani Sanderholt się skrzywiła i wskazała w przeciwnym kierunku.

- Skierowałam je do pokojów dla służby. Dostały jeden pokój. Im dalej, tym lepiej, przynajmniej jeśli chodziło o niego.

- Znakomicie, pani Sanderholt. Zajmę więc jedną z komnat gościnnych.

Pierwsza Kucharka trąciła łokciem Ulica.

- A co zjedliby tacy duzi chłopcy?

- A co masz? - zainteresował się Egan z rzadkim u niego zapalem.

Poruszyła brwią.

- Może byście poszli do kuchni i sami coś sobie wybrali? - Rzuciła okiem na Richarda. - To blisko. Nie bylibyście daleko od podopiecznego.

Chłopak odrzucił poły peleryny mriswitha na poręcz fotela. Dał im znak, żeby poszli, po czym zjadł łyżkę zupy jarzynowej i pociągnął łyk herbaty. Generał Reibisch przyłożył pięść do serca i życzył mu dobrej nocy. Richard oddał honory, machnąwszy kromką ciemnego chleba.

ROZDZIAŁ 20

Wreszcie był sam - co za ulga. Miał dość ludzi, którzy tylko czekali, by spełnić każdy jego rozkaz. Próbował uspokoić żołnierzy, lecz się go obawiali. Najwyraźniej byli pełni strachu, że porazi ich magią, jeżeli nie odnajdą tropu Brogana. Kiedy nie udało się im odnaleźć tropu, uspokajał ich, że to rozumie, lecz nic to nie dało. Wciąż się go bali. Dopiero pod koniec nieco się odprężyli, ale i tak bezustannie go obserwowali, żeby nie przegapić przypadkiem jakiegoś rozkazu. Richarda wyprowadzało z równowagi towarzystwo ludzi, w których budził aż takie przerażenie.

Zatopiony w ponurych myślach chłopak jadł zupę jarzynową. Smakowałaby mu nawet wtedy, gdyby nie był tak strasznie głodny. Nie była świeżo uwarzona, lecz gotowała się długo na wolnym ogniu, nabierając owego bogatego bukietu smaków i zapachów, który mogła zawdzięczać wyłącznie czasowi, a którego nie nadałyby jej żadne dodatki.

Richard podniósł wzrok znad kubka z herbatą. W drzwiach stała Berdine. Zesztywniał. Odezwała się, zanim zdążył jej nakazać, by odeszła:

- Księżna Lumholtz z Keltonu pragnie rozmawiać z lordem Rahlem.

Chłopak wysał kawałek jarzyny spomiędzy zębów i wbił wzrok w Berdine.

- Nie mam ochoty nikogo widzieć.

Stojący na jej drodze stół zatrzymał Mord-Sith. Odrzuciła na plecy warkocz falistych kasztanowych włosów.

- Przyjmiesz ją.

Palce Richarda gładziły znajome zadrapania i nacięcia na wykonanej z orzechowego drewna rękojeści zatkniętego za pas noża.

- Warunki poddania nie podlegają żadnym negocjacom.

Berdine wsparła kostki palców o stół i pochyliła się ku chłopakowi. Zawieszony na łańcuszku Agiel okręcił się wokół jej ręki. Niebieskie oczy pałały zimnym ogniem.

- Przyjmiesz ją.

Richard czuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Już powiedziałem. Nic innego nie usłyszysz. Nie cofnęła się.

- A ja dałam słowo, że ją przyjmiesz. I przyjmiesz ją.

- Od przedstawiciela Keltonu chętnie usłyszę tylko jedno: bezwarunkowe poddanie się.

- I to właśnie usłyszysz - powiedziała melodyjnym głosem stojąca tuż za drzwiami osoba. - Jeżeli zechcesz mnie wysłuchać. Nie przyszłam rzucać grózb, lordzie Rahlu.

W jej cichym, pokornym głosie Richard dosłyszał również strach. A to wzbudziło w nim współczucie.

- Wprowadź panią - spojrzał gniewnie na Berdine - a potem zamknij drzwi z drugiej strony i idź spać.

Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to rozkaz i że Richard nie ścierpi odmowy.

Berdine, nie okazując emocji, podeszła do drzwi i uczyniła zapraszający gest. Księżna znalazła się w ciepłym blasku ognia i chłopak podniósł się z krzesła. Berdine obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i zatrzęsnęła drzwiami, lecz on ledwie to zauważył.

- Wejdz, proszę, księżno,

- Dziękuję, lordzie Rahlu, że zechciałeś mnie przyjąć.

Stał przez chwilę bez słowa, patrząc w jej łagodne piwne oczy oraz na jej pięknie zarysowane pąsowe usta i gęste czarne włosy okalające nieskazitelną, promienną twarz. Wiedział, że w Midlandach długość włosów określa pozycję społeczną kobiety. Długie, wspaniałe włosy księżnej świadczyły o jej wysokiej randze. Dłuższe włosy widział jedynie u królowej, a najdłuższe - u Matki Spowiedniczki. Odetchnął, oszołomiony, niespodziewanie przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Usiądź, proszę, zaraz przysunę krzesło.

Nie pamiętał, by księżna przedtem tak wyglądała. Odznaczała się taką wyszukaną elegancją. Wtedy jednak nie był tak blisko niej. Zapamiętał ją jako osobę pyszną, pełną ostentacji, nadmiernie umalowaną i noszącą zbyt wiele krzykliwych ozdób, a jej szata nie była równie urocza i pełna prostoty jak ta, którą miała teraz. Włożyła suknię przepasaną tuż pod biustem z miękkiego różowego jedwabiu opływającą jej postać i podkreślającą jej wspaniałe kształty.

Richard wspomniawszy ich ostatnie spotkanie i jęknął.

- Wybacz, księżno, że w komnacie Naczelnej Rady powiedziałem te wszystkie okrutne słowa. Czy kiedykolwiek mi to wybaczysz? Powinienem

cię wysłuchać, bo przecież próbowałaś mnie ostrzec przed generałem Broganem.

Wydało mu się, że na wzmiankę o Broganie w jej oczach mignął lęk, lecz było to tak przelotne wrażenie, iż mógł się mylić.

- To ja, lordzie Rahlu, powinnam prosić o wybaczenie. To niewybaczalne, że ośmieliłam się przerwać ci mowę przed całym tym zgromadzeniem.

Richard potrząsnął głową.

- Próbowałaś mnie tylko ostrzec przed tym człowiekiem i, jak się okazało, miałaś rację. Żałuję, że cię nie wysłuchałem.

- Nie powinnam wyrażać w taki sposób swojego zdania. - Jej twarz przyozdobił pełen skromności uśmiech. - Jedyne najbardziej szarmancki z mężczyzn starałby się wybaczyć mi mój postęp.

Richard zarumienił się, kiedy usłyszał, że nazwała go szarmanckim. Serce biło mu tak mocno, iż się bał, że księżna dostrzeże, jak pulsują żyły na jego szyi. Z jakiegoś powodu wyobraził sobie, że muska wargami pukle kruczoczarnych włosów przesłaniające jej nader kształtne ucho. Oderwanie wzroku od jej twarzy było niemal bolesne.

W głębi umysłu chłopaka odezwał się ostrzegawczy głos, lecz zagłuszył go rwący potok gorących odczuć. Richard złapał bliźniaczy pikowany fotel i okręcił go, po czym podsunął księżnej.

- Jesteś bardzo uprzejmy. - Księżna się zająknęła. - Wybacz, proszę, że mój głos jest tak niepewny. To były wyczerpujące dni. - Przesunęła się przed fotel, uniosła wzrok i spojrzała w oczy Richarda. - I jestem trochę zdenerwowana. Nigdy nie byłam tak blisko równie wielkiego jak ty człowieka, lordzie Rahlu.

Richard zamrugał i choć wydawało mu się, że próbował, nie potrafił oderwać wzroku od jej oczu.

- Jestem tylko prostym leśnym przewodnikiem, który został rzucony daleko od rodzinnych stron.

Roześmiała się, a miękkie, jedwabiste dźwięki zmieniły niewielką izdebkę w przytulne, urocze miejsce.

- Jesteś Poszukiwaczem. Władcą D'Hary. - Rozbawiona mina zmieniła się w pełną czci. - Pewnego dnia możesz władać całym światem.

Zareagował wzruszeniem ramion.

- Wcale nie chcę czymś tam władać, tylko że... - Pomyślał, że zachowuje

się jak głupiec. - Zechciej usiąść, pani.

Znów uśmiechała się promiennie, ciepło i tak uroczo, że chłopak osłupiał z zachwyty. Czuł na twarzy jej słodki, delikatny, ciepły oddech. Nie odwracała oczu.

- Wybacz moją śmiałość, lordzie Rahlu, lecz musisz wiedzieć, że twoje oczy sprawiają, iż kobiety szaleją z tęsknoty. Podejrzewam, że złamałeś serca wszystkich dam w komnacie Naczelnej Rady. Królowa Galei to najczęściej kochana ze wszystkich kobiet.

- Kto? - Richard zmarszczył brwi.

- Królowa Galei. Twoja przyszła panna młoda. Zazdroszczę jej. Usiadła lekko na skraju fotela. Richard odwrócił się od niej i odetchnął głęboko, próbując oprzytomnieć. Obszedł stół i padł na swój fotel.

- Z przykrością wysłuchałem wieści, księżno, o śmierci twojego męża.

Odwróciła oczy.

- Dziękuję, lordzie Rahlu, ale nie martw się o mnie. Niezbyt go żałuję. Nie zrozum mnie źle, nie chciałam, żeby mu się coś przytrafiło, lecz...

- Skrzywdził cię? - W chłopaku zawrzała krew.

Znów odwróciła wzrok, nieświadomie poruszywszy ramieniem, a on ze wszystkich sił musiał powściągnąć chęć przytulenia jej i pocieszenia.

- Książę miał zły charakter. - Smukłe palce księżnej Lumholte gładziły gronostajowe obszycie szaty. - Ale nie było to takie okropne, jakby się mogło zdawać. Rzadko go widywałam, ponieważ większość czasu spędzał poza domem, to w jednym, to w drugim łożu.

Richard otworzył ze zdziwienia usta.

- Opuszczał cię, żeby być z inną kobietą??? Potwierdziła opornie.

- To było małżeństwo z rozsądku - wyjaśniła. - Dla księcia, choć był szlachetnej krwi, oznaczało społeczny awans. Żeniąc się ze mną, zyskał swój tytuł.

- A co ty zyskałaś?

Uniosła głowę i zatańczyły loki okalające jej twarz.

- Mój ojciec zyskał bezlitosnego zięcia, który poprowadził rodzinne interesy, i jednocześnie pozbył się beużytecznej córki.

Richard na wpół się poderwał z fotela.

- Nie mów tak o sobie. Gdybym o tym wiedział, postarałbym się dać księciu nauczkę... - Znów usiadł. - Wybacz moją arogancję, księżno.

Leniwie zwilżyła językiem kąciki ust.

- Gdybym cię wówczas znała, może znalazłabym dość śmiałości, by szukać u ciebie obrony, kiedy mnie uderzył.

Uderzył ją? Richard powinien tu wtedy być i starać się coś na to poradzić.

- Dlaczego go nie opuściłaś? Dlaczego to znosiłaś? Spojrzała na ogień płonący w kominku.

- Nie mogłam. Jestem córką brata królowej. W tak wysokich sferach rozwód nie jest możliwy. - Nagle zarumieniła się i uśmiechnęła z zakłopotaniem. - I proszę, opowiadam o moich mało ważnych problemach. Wybacz, lordzie Rahlu. Inni mają o wiele większe kłopoty niż niewierny, skory do bicia mąż. Nie jestem nieszczęśliwą kobietą. Mam obowiązki wobec mojego ludu i to właśnie mnie zajmuje.

Wskazała kubek smukłym palcem.

- Mogłabym dostać łyk herbaty? W gardle mi zaschło, bo zamartwiałam się, że ty... - Znów się zarumieniła. - Że kazesz mi ściąć głowę, ponieważ ośmieliłam się tu przyjść wbrew twoim rozkazom.

Richard się poderwał.

- Przyniosę ci gorącej herbaty.

- Nie, proszę, nie chciałabym ci sprawiać kłopotu. Wystarczy tylko łyceczek, naprawdę.

Chłopak złapał kubek i podał go księżnej.

Patrzył, jak dotyka ustami skraju naczynia. Przeniósł wzrok na tacę i zmusił się, żeby pomyśleć o celu jej wizyty.

- Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć, księżno? Pociągnęła łyk herbaty, postawiła kubek na stole i obróciła uchem w stronę chłopaka, tak jak stał przedtem. Na brzegu naczynia pozostał niewielki ślad - tu spoczęły jej pąsowe wargi.

- Te obowiązki, o których wspominałam. Gdy zabito księcia Fyrena, królowa była już na łożu śmierci i wkrótce zmarła. Książę, choć miał niezliczone potomstwo z nieprawego łoża, nie był żonaty, więc nie ma prawowitego następcy.

Richard nie widział jeszcze tak łagodnych piwnych oczu.

- Nie jestem znawcą spraw dynastycznych, księżno. Obawiam się, że nie bardzo rozumiem.

- Staram się powiedzieć, że skoro królowa i jej jedyny potomek nie żyją,

to Kelton został bez monarchy. Ponieważ jako córka nieżyjącego brata królowej jestem następną w kolejce do sukcesji, powinnam teraz rozpocząć panowanie. Nie muszę się nikogo radzić w sprawie poddania naszej krainy.

Richard starał się myśleć o jej słowach, nie zaś o jej ustach.

- Czyli możesz poddać Kelton? Skinęła głową potakująco.

- Tak, wasza wysokość.

Uszy mu się zaczerwieniły, kiedy usłyszał ów tytuł. Chwycił kubek i starał się zasłonić nim zarumienioną twarz. Zdał sobie sprawę, że przyłożył usta do śladu pozostawionego przez jej wargi, bo poczuł smak barwiczki. Trzymał kubek przy ustach, a miodowy posmak rozlewał mu się na języku. Drżącą ręką odstawił naczynie na srebrną tacę. Otarł spocone dłonie o kolana.

- Słyszałaś, co powiedziałem, księżno. Walczymy o wolność. Jeśli się nam poddasz, nic nie stracisz, a wiele zyskasz. Według naszego prawa, na przykład, mężczyzna popełnia takie samo przestępstwo, krzywdząc swoją żonę, jak gdyby napadł kogoś obcego na ulicy.

W jej uśmiechu pojawiła się żartobliwa reprimenda.

- Nie jestem pewna, lordzie Rahlu, czy nawet ty będziesz miał kiedykolwiek tyle władzy, żeby ogłosić takie prawo. W niektórych okolicach Midlandów mąż może zabić żonę za jakiegokolwiek przewinienie. Wolność da wszystkim midlandzkim mężom takie same uprawnienia.

Richard przesunął palcem po obrzeżu kubka.

- Krzywdzenie niewinnych, kimkolwiek są, jest przestępstwem. Wolność nie daje prawa do popełnienia karygodnych czynów. Ludzie w owych krainach nie powinni cierpieć z powodu czynów, które u ich sąsiadów są przestępstwem. Kiedy się zjednoczymy, nie będzie takiej niesprawiedliwości. Wszyscy ludzie będą mieli te same obowiązki i te same swobody, to samo sprawiedliwe prawo.

- Chyba nie oczekujesz, że te zwyczaje przestaną panować, jeżeli uznasz je za bezprawne.

- Moralność przychodzi z góry, jak w wypadku rodziców i dziecka. Przede wszystkim należy ustanowić sprawiedliwe prawa i pokazać, że wszyscy muszą się do nich stosować. Nigdy nie zapobiegiesz wszystkim złym czynom, lecz jeśli nie zaczniesz ich karać, będą się pieniść dopóty, dopóki anarchia będzie przybierać maskę tolerancji i zrozumienia.

Musnęła palcami delikatne zagłębienie u podstawy szyi. - Twoje słowa, lordzie Rahlu, sprawiają, że z nadzieją patrzę w przyszłość. Błagam dobre duchy, byś zwyciężył.

- A więc przyłączysz się do nas? Poddasz Kelton? Łagodne piwne oczy spojrzały nań błagalnie.

- Pod jednym warunkiem. Richard przełknął ślinę.

- Przysięgłem, że nie będzie żadnych warunków. Każdy będzie traktowany tak samo. Już to powiedziałem. Jak mógłbym głosić sprawiedliwość, gdybym nie szanował swojego słowa i prawa?

Ponownie zwilżyła usta, a w oczach pojawił się strach.

- Rozumiem - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Wybacz, że chciałam samolubnie uzyskać coś dla siebie. Człowiek honoru, taki jak ty, nigdy nie zrozumie, że zwykła jak ja kobieta może się tak poniżyć.

Richard chętnie przebiłby się nożem za to, że obudził w niej strach.

- Jaki to warunek?

Wbiła wzrok w złożone na kolanach dłonie.

- Po twojej wieczornej mowie mąż i ja byliśmy już prawie w domu i... - Skrzywiła się i przełknęła ślinę. - Dotarliśmy już niemal bezpiecznie do domu, gdy zaatakował nas ów potwór. Nawet nie spostrzegłam, że się zbliża. Opierałam się na ramieniu męża, gdy błysnęła stal. - Nie zdołała powstrzymać jęku, a Richard zmusił się do pozostania w fotelu. - Wnętrznosci męża wypłynęły przede mną na śnieg. - Stłumiła szloch. - Nóż, który go zabił, pozostawił trzy rozcięcia w moim rękawie.

- Rozumiem, księżno, nie musisz...

Uniosła drżącą rękę, prosząc o ciszę, by mogła dokończyć. Podciągnęła rękaw jedwabnej szaty, ukazując potrójne nacięcie na przedramieniu. Richard rozpoznał ślad po nożu mriswitha. Nigdy tak bardzo jak w tej chwili nie pragnął wiedzieć, jak wykorzystywać swój dar do uzdrawiania. Zrobiłby wszystko, byle z jej ręki zniknęły te czerwone ślady. Widząc niepokój i troskę chłopaka, księżna opuściła rękaw.

- To nic. Za kilka dni się zagoi. - Postukała się w pierś. - Lecz rana, która tkwi tutaj, nie zagoi się już nigdy. Mój mąż był doświadczonym szermierzem, ale w starciu z tymi stworami nie miał większych szans, niż miałabym ja. Nigdy nie zapomnę jego krwi na mojej sukni. Z zakłopotaniem przyznaję, że krzyczałam, dopóki nie zdjęłam jej i nie zmyłam z siebie krwi.

Od tamtej pory śpię nago ze strachu, że zbudzę się i wyda mi się, że wciąż jestem w splamionej krwi sukni.

Richard żałował, że użyła słów, które wywołały w jego umyśle tak wyrazisty obraz. Patrzył, jak jej jedwabna suknia unosi się i opada. Zmusił się, by wypić łyk herbaty, i nieoczekiwanie natknął się na odcisk jej warg. Stał z za ucha kroplę potu.

- Wspomniałaś o warunku.

- Wybacz, lordzie Rahlu. Chciałam, żebyś zrozumiał mój strach i dopiero potem rozważył ów warunek. Tak się bałam. - Objęła się ramionami, a jej piersi ścisnęły się, natomiast suknia między nimi się zapadła.

Richard opuścił wzrok na tacę z kolacją i pocierał palcami czoło.

- Rozumiem. A warunek? Księżna zdobyła się na odwagę.

- Poddam Kelton, jeżeli zaofiarujesz mi ochronę.

- Co? - Richard podniósł wzrok.

- Zabiłeś te stwory przed pałacem. Mówią, że wyłącznie ty potrafisz je zabić. Straszliwie boję się tych potworów. Jeśli się z tobą sprzymierzę, to Imperialny Ład może je na mnie nasłać. Jeżeli pozwolisz mi zostać tutaj, pod twoją ochroną, dopóki nie minie niebezpieczeństwo, Kelton będzie twój.

- Po prostu chcesz być bezpieczna? - Chłopak pochylił się ku niej.

Skinęła głową, krzywiąc się leciutko, jakby się bała, że urwie jej głowę za to, co teraz powie.

- Muszę mieć komnatę blisko twojej, żebyś mógł mi przyjść z pomocą, gdy krzyknę.

- I...

W końcu zebrała się na odwagę i spojrzała mu w oczy.

-I... nic. To wszystko.

Richard się roześmiał. Poczuł ulgę, zniknęło napięcie i niepokój.

- Chcesz, bym cię chronił, jak moi strażnicy chronią mnie? To nie warunek, księżno, lecz zwykła przysługa. Doskonale zrozumiałe i słuszne pragnienie znalezienia obrony przed naszymi bezlitosnymi wrogami. Zgoda. Zatrzymałem się w gościnnych pokojach, o tam, w tamtym skrzydle. Wszystkie są puste. Jako nasza sojuszniczka jesteś uprzywilejowanym gościem i masz prawo wyboru. Jeśli tylko poczujesz się bezpieczniej, możesz zająć komnatę położoną tuż obok mojej.

Ujrzawszy, jak rozpromienia się jej twarz, pomyślał, że nigdy przedtem

się nie uśmiechała. Księżna przycisnęła ręce do piersi i westchnęła głęboko, jakby uwolniła się od najstraszliwszego zagrożenia.

- Dziękuję, lordzie Rahlu.

Richard odgarnął włosy z czoła.

- Jutro wyruszy do Keltonu delegacja osłaniana przez nasze oddziały. Wasze wojska muszą przejść pod nasze dowództwo.

- Przejść pod... a tak, oczywiście. Jutro. Dostaną ode mnie list i nazwiska wszystkich urzędników, których należy powiadomić. Od tej pory Kelton jest częścią D'Hary. - Skłoniła głowę, a ciemne pukle zsunęły się na różowe policzki. - Jesteśmy dumni, że pierwsi się do was przyłączyliśmy. Cały Kelton będzie walczył o wolność.

Także Richard westchnął głęboko.

- Dziękuję, księżno... A może powinienem cię nazywać królową Lumholtz?

Usiadła wygodnie. Jej ręce spoczywały na poręczach fotela, dłonie zwisały swobodnie.

- Ani tak, ani tak. - Założyła nogę na nogę. - Powinieneś mi mówić Cathryn, lordzie Rahlu.

- Niech będzie Cathryn. Ty zaś zwracaj się do mnie Richardzie. Szczerze mówiąc, mam coraz bardziej dość mówienia mi... - Zapatrzył się w jej oczy i zapomniał, co chciał powiedzieć.

Pochyliła się do przodu, z nieśmiałym uśmiechem, a jedna z jej piersi oparła się o stół. Richard zorientował się, że znów siedzi na brzegu swojego fotela i patrzy, jak księżna owija wokół palca loczek kruczonych włosów. Wbił wzrok w stojącą przed nim tacę z kolacją, żeby powściągnąć jakoś błądzące po jej sylwetce oczy.

- A więc Richard. - Zachichotała bynajmniej nie dziewczęco, lecz zarazem ochryple i niewieście. Jej śmiech nie był ani trochę dystygowany. Wstrzymał oddech, żeby głośno nie westchnąć. - Nie wiem, czy potrafię zwracać się tak poufale do władcy całej D'Hary.

- Z czasem się przyzwyczaisz, Cathryn. - Richard się uśmiechnął.

- O tak, przyzwyczajenie - powiedziała bez tchu i nagle się zarumieniła. - No popatrz, znów zaczynam. Te twoje aż boleśnie piękne szare oczy sprawiają, że kobieta się zapomina. Lepiej już sobie pójdę, zanim wystygnie ci kolacja. - Zatrzymała wzrok na stojącej pomiędzy nimi tacy. - Wygląda

apetycznie.

Richard się poderwał.

- Zaraz przyniosą i tobie.

Księżna cofnęła się od brzegu stołu, wsparła o oparcie fotela. - Nie, nie powinnam. Jesteś bardzo zajęтым człowiekiem, no i już byłeś dla mnie nad wyraz uprzejmy.

- Wcale nie jestem zajęty. Właśnie coś przegryzałem przed pójściem spać. Może chociaż posiedziałybyś ze mną, kiedy będę jadł, albo i posiliła się wraz ze mną? Sam nie zjem tego wszystkiego. Zmarnowałoby się.

Znów pochylała się ku niemu i oparła o stół.

- Hmm, wspaniale wygląda... a skoro sam wszystkiego nie zjesz... może zjem odrobinę.

- Co byś chciała? - spytał uśmiechnięty Richard. - Zupy, jajek na ostro, ryżu, jagnięciny?

Na wzmiankę o jagnięcinie księżna zamruczała gardłowo. Richard przesunął w jej stronę stojący na tacy biały półmisek ze złocistym otokiem. Nie miał najmniejszej ochoty na te kotlety. Od kiedy obudził się w nim magiczny dar, w ogóle nie jadał mięsa. Musiało się to jakoś łączyć z magią, kiedy ujawniał się dar, lub też było tak, jak wyjaśniały mu Siostry: cała magia musi być zrównoważona. Nie mógł jeść mięsa, prawdopodobnie dlatego, że był czarodziejem wojny. W ten sposób równoważyło się to, iż czasami musiał zabijać.

Chłopak podał księżnej nóż i widelec. Znów się uśmiechnęła, potrząsnęła głową, wzięła kotlet jagnięcy w palce.

- W Keltonie jest takie powiedzenie: jeżeli coś jest dobre, to nic nie powinno stawać między tobą a owym doznaniem.

- Mam więc nadzieję, że to jest dobre. - Richard usłyszał swój własny głos. Po raz pierwszy od wielu dni nie czuł się samotny.

Wpatrzyła się w jego szare oczy, oparła łokciami o stół i ugryzła mały kęs kotleta. Richard czekał nieruchomo.

- I co... jest dobre?

W odpowiedzi przewróciła oczami, zamknęła powieki, pochylała ramiona i jęknęła z zachwytem. Znów spojrzała mu w oczy, odnawiając elektryzujący kontakt. Jej wargi dotknęły mięsa, a nieskazitelnie białe zęby odgryzły soczysty kawałek. Usta księżnej lśniły od soków. Richard jeszcze

nigdy nie widział, by ktoś tak powoli żuł.

Chłopak przełamał chleb i dał jej część, na której było więcej masła. Skórką nabrał ryżu z brązowego sosu. Księżna jednym pociągnięciem języka zlizwała całe masło, a Richard zamarł z ręką tuż przy ustach. Zamruczała gardłowo z zadowolenia.

- Kocham taki miękki i gładki dotyk na języku - wyjaśniła głosem odrobinę głośniejszym niż szept. Jej śliskie od tłuszczu palce upuściły chleb na tacę.

Bacznie obserwowała oczy chłopaka, ogryzając kość. Dokładnie oczyściła całą kostkę. Kawalek chleba czekał tuż przy ustach Richarda. Księżna oblizwała wargi.

- Nigdy nie jadłam nic równie pysznego.

Richard spostrzegł, że nie ma niczego w palcach. Pomyślał, że z pewnością zjadł skórkę chleba z ryżem, lecz zobaczył białą plamę na tacy.

Księżna wzięła z misy jajko, włożyła między pąsowe wargi i rozgryzła na pół.

- Mmm. Pyszne. - Drugą połowę przysunęła do ust Richarda. - Spróbuj.

Jedwabista powierzchnia białka miała lekko korzenny smak, była miękka i sprężysta. Księżna wcisnęła połówkę jajka w usta chłopaka. Miał do wyboru pogryźć ją lub się udławić. Pogryzł.

Oderwała wzrok od jego oczu i przyjrzała się tacy.

- Cóż my tu mamy? Och, Richardzie, tylko mi nie mów, że to... - Powiodła dwoma palcami wokół czarki z gruszkami i zlizwała gęsty biały sos z palca. Trochę sosu z drugiego palca pociekło jej na nadgarstek. - O, tak. Och, Richardzie, to jest bajeczne. Spróbuj.

Uniosła palec i zanim się zorientował, tkwił on już w jego ustach.

- Obliz do czysta - nalegała. - Czyż nie jest najpyszniejszy ze wszystkich?

- Richard przytaknął, starając się złapać oddech, kiedy cofnęła palec. Poruszyła nadgarstkiem. - Och, zliz to proszę, zanim pobrudzi mi suknię.

Ujął jej dłoń i podniósł ku wargom. Smak księżnej zelektryzował go, a dotyk jej ciała sprawił, że serce chłopaka uderzało boleśnie w piersi.

- To łaskocze - zaśmiała się gardłowo. - Masz szorstki język. Puścił jej rękę, podekscytowany tak intymnym kontaktem.

- Przepraszam - wyszeptał.

- Nie bądź głuptasem. Nie powiedziałam, że mi się to nie podobało. -

Spojrzała mu w oczy. Blask lampy oświetlał łagodnie jedną połowę jej twarzy, natomiast blask ognia drugą. Chłopak wyobraził sobie, że gładzi jej włosy. Oddychali w jednym rytmie. - Podobało mi się to, Richardzie.

Jemu również. Pokój wirował. Sposób, w jaki wymawiała jego imię, sprawiał, że Richard był w euforii. Z największym wysiłkiem zmusił się, by wstać.

- Jest już późno, Cathryn, a ja naprawdę jestem zmęczony.

Podniosła się chętnie wdzięcznym ruchem, który uwydatnił jej kształty osłonięte jedwabną suknią. Ujęła Richarda pod ramię i przytuliła się do niego. Chłopak miał wrażenie, że lada moment zupełnie przestanie nad sobą panować.

- Pokażesz mi swoją komnatę?

Wyprowadził księżnę Lumholtz do holu, czując jej jędrną pierś przyciśniętą do swojego ramienia. Ulic i Egan stali w pobliżu, jak zwykle krzyżując ręce na piersiach. Obu końców holu strzegły Cara i Raina, które wstały na widok Richarda. Ani Mord-Sith, ani gwardziści nie zareagowali, spostrzegłszy Cathryn uwieszoną na ramieniu chłopaka. Richard w milczeniu ruszył ku komnatom gościnnym.

Cathryn natarczywie dotknęła ramienia chłopaka wolną ręką. Poczuł, jak oblewają go fale gorąca. Nie wiedział, czy nogi doniosą go do celu.

Dotarł do skrzydła z komnatami gościnnymi i gestem przywołał Ulica oraz Egana.

- Zmieniajcie się. Chcę, żeby jeden z was stale czuwał. Nie życzę sobie, by ktokolwiek lub cokolwiek pojawiło się tej nocy na tym korytarzu. - Zerknął na czekające w oddali Mord-Sith. - To dotyczy również ich. - Gwardziści nie zapytali o nic i tylko gestem dali do zrozumienia, że będzie, jak sobie życzy, po czym i stanęli na posterunku.

Richard doszedł z Cathryn do połowy korytarza. Kobieta wciąż gładziła jego ramię i przyciskała do niego swoją jędrną pierś.

- Uważam, że ta komnata będzie dobra.

Rozchyliła usta, jej pierś unosila się w ciężkim oddechu. Smukłe palce zacisnęły się na koszuli Richarda.

- Tak - wyszeptała bez tchu. - Ta komnata. Chłopak zebrał wszystkie siły.

- Ja zajmę tę obok. Będziesz tu bezpieczna.

- Cooo? - Krew odpłynęła jej z twarzy. - Och, Richardzie, proszę...

- Śpij dobrze, Cathryn.

Mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Ale... ależ musisz wejść. Błagam, Richardzie. Będę się bać. Uścisnął jej dłoń i zdjął z ramienia.

- Bądź spokojna, Cathryn, ta komnata jest zupełnie bezpieczna.

- Coś tam może na mnie czekać. Wejdiesz ze mną, Richardzie, hmm?

- W środku nic nie ma. - Chłopak uśmiechnął się do niej uspokajająco. - Wyczułbym coś, gdyby w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo. Jestem czarodziejem, pamiętasz? Jesteś całkowicie bezpieczna, a ja będę tylko kilka kroków dalej. Przysięgam, że nic nie zakłóci twojego odpoczynku.

Otworzył drzwi, podał Cathryn lampę ze stojącej w pobliżu konsoli i leciutko pchnął ją, zmuszając, żeby weszła do komnaty. Odwróciła się i przesunęła palcem w dół piersi Richarda.

- Zobaczą cię jutro?

Zdjął dłoń księżnej ze swojej piersi i ucałował tak dwornie, jak tylko zdołał.

- Na pewno. Jutro czeka nas mnóstwo pracy.

Zamknął drzwi jej komnaty i podszedł do następnych. Obie Mord-Sith ani na chwilę nie spuszczały go z oczu. Patrzył, jak zsunęły się plecami po ścianie i usiadły na podłodze, jakby na znak, że zamierzają tu tkwić całą noc. Obie zacisnęły dłonie na swoich Agielach.

Richard spojrzął na drzwi komnaty Cathryn i długo się w nie wpatrywał. Delikatny głos w głębi jego umysłu wrzeszczał jak szalony. Chłopak gwałtownie otworzył drzwi swojej komnaty. Potem, już w środku, oparł twarz o zamknięte drzwi i stał tak przez chwilę. Zmusił się do zamknięcia zasuw.

Padł na skraj łoża i ukrył twarz w dłoniach. Co się z nim działo? Koszulę miał mokrą od potu. Dlaczego miałby w ten sposób myśleć o owej kobiecie? A właśnie myślał. O drogie duchy, rzekł do siebie. Przypomniawszy sobie, że zdaniem Sióstr Światła mężczyźni ulegają niepokonanym popędom.

Oszołomiony, dobył z wysiłkiem Miecza Prawdy i w mrocznej komnacie rozległ się charakterystyczny, czysty dźwięk. Richard wsparł czubek klingi o podłogę i oburącz przycisnął rękojeść do czoła, pozwalając, by przepoił go magiczny gniew. Czuł, jak szaleje w nim furia, i miał nadzieję, że to wystarczy.

Na samym dnie umysłu Richarda kołatała się myśl, że tańczy ze śmiercią i że tym razem rniech go nie ocali. Wiedział również, że nie ma wyboru.

ROZDZIAŁ 21

Siostra Philippa wyprostowała się sztywno, przez co zdała się jeszcze wyższa, niż była, i starała się patrzeć ze wzgardą, sprawiając jednocześnie wrażenie, że tego nie czyni. Ale czyniła.

- Ależ, Ksieni, z pewnością nie przemyślałaś dogłębnie tej sprawy. Może gdybyś trochę dłużej się nad tym zastanowiła, zrozumiałabyś, że doświadczenia zgromadzone w ciągu trzech tysięcy lat historii świadczą o takiej potrzebie.

Verna wsparła łokieć na stole, podparła dłonią brodę i przeglądała jakiś raport. Nie można było na nią spojrzeć i jednocześnie nie zobaczyć pierścienia ozdobionego promienistym słońcem. Zerknęła w górę, sprawdzając, czy Siostra Philippa rzeczywiście na nią patrzy.

- Dziękuję, Siostrze, za mądrą radę, lecz dokładnie przemyślałam tę sprawę. Nie ma sensu pogłębiać wyschniętej studni, bo coraz bardziej chce ci się pić, więc nabierasz nadziei, ale nie znajdujesz wody.

Ciemne oczy i egzotyczne rysy Siostry Philippy rzadko zdradzały jakiegokolwiek emocje, tym razem jednak Verna zobaczyła, jak napinają się mięśnie jej wąskiej szczęki.

- Ależ, Ksieni... nie będziemy mogły się upewnić, czy młody człowiek robi odpowiednie postępy i czy zdobył już odpowiednią wiedzę, tak byśmy mogły uwolnić go z Rada'Han. To jedyny sposób.

Verna skrzywiła się nad czytany raportem. Odłożyła go na później i całą uwagę poświęciła swojej doradczyni.

- Ile masz lat, Siostrze?

Ciemne oczy Siostry Philippy nie zmieniły wyrazu.

- Czterysta siedemdziesiąt dziewięć, Ksieni.

Verna przyznała w duchu, że poczuła ukłucie zazdrości. Kobieta wyglądała odrobinę starszej niż ona, a przecież urodziła się trzysta lat wcześniej. Dwadzieścia lat spędzone poza czarem pałacu sprawiło, że Verna straciła mnóstwo czasu i nigdy tego nie odzyska. Nie wystarczy jej życia na to, by osiągnąć wiedzę równą wiedzy tamtej.

- Ile z nich spędziłaś w Pałacu Proroków?

- Czterysta siedemdziesiąt, Ksieni. - Modulacja głosu przy tytule była

ledwo zauważalna, chyba że ktoś się jej przysłuchiwał. Verna się przysłuchiwała.

- A więc twierdzisz, że Stwórca darował ci czterysta siedemdziesiąt lat, żebyś mogła poznawać jego dzieło, pracować z chłopcami i uczyć ich, jak kontrolować magiczny dar, a w efekcie zostać czarodziejami, ty zaś po tych wszystkich latach nie potrafisz rozpoznać natury swoich uczniów?

- Hmm, nie, Ksieni, to niedokładnie to...

- Czyżbyś zatem próbowała mi powiedzieć, Siostrze, że mieszkające w pałacu Siostry Światła nie są wystarczająco zdolne, żeby ocenić, czy pozostająca pod naszym nadzorem i opieką przez dwieście lat osoba jest gotowa do tego, by przejść na wyższy stopień? Czyżbyś tak mało ufała Siostrze i mądrości Stwórcy, który wybrał nas do owej pracy? Czyżbyś starała się mi wmówić, że Stwórca wybrał nas i dał nam tysiące lat zbiorowego doświadczenia, a my wciąż jesteśmy tak głupie, że nie potrafimy wykonać naszego zadania?

- Sądzę, że Ksieni prawdopodobnie jest...

- Odmawiam zgody. Zadawanie takich cierpień jest ohydny wykorzystywaniem Rada'Han. Ból może zniszczyć delikatną tkankę czyjegoś umysłu. Młodzieńcy umierali przecież w trakcie owej próby. Masz powiedzieć Siostrze, że Ksieni oczekuje, iż opracują sposób wykonania tego zadania bez krwi, torsji i wrzasków. Mogłabyś im nawet zasugerować, by spróbowały czegoś zupełnie rewolucyjnego jak... och, sama już nie wiem... Może porozmawiałyby z młodymi ludźmi? Chyba że Siostry obawiają się, że zostaną przechytzone. W takim razie jednak chciałabym, żeby to przyznały na piśmie, bym mogła to zaprotokołować.

Siostra Philippa milczała przez chwilę, rozważając zapewne celowość dalszej dyskusji. W końcu skłoniła się z ociąganiem.

- To bardzo mądre, Ksieni. Dziękuję, że zechciałaś mnie oświecić.

Odwróciła się, chcąc odejść, lecz Verna ją przywołała.

- Wiem, co czujesz, Siostrze. Uczono mnie tego samego, co ciebie, i byłam takiego samego zdania. Zaledwie dwudziestoletni chłopak pokazał mi, jak bardzo się myliłam. Czasami Stwórca zsyła nam swoje światło w sposób, którego się nie spodziewamy, lecz On oczekuje, że będziemy gotowe przyjąć jego mądrość, gdy zostanie nam objawiona.

- Mówisz o młodym Richardzie?

Verna postukała paznokciem w brzegi czekającego na przejrzanie nierównego stosu dokumentów.

- Tak. - Porzuciła oficjalny ton. - Nauczyłam się, Filippo, że owi młodzieńcy, owi czarodzieje, zostaną wysłani w świat, który sam podda ich próbie. Stwórca chce, żebyśmy potrafiły ustalić, czy nauczyłyśmy ich godnie znosić ból, który zobaczą i czują - uderzyła się w pierś - o tu. Musimy ustalić, czy będą umieli dokonywać bolesnych wyborów, czego wymaga niekiedy światło Stwórcy. Takie jest znaczenie próby bólu. Ich zdolność do wytrzymywania tortur nie mówi nam nic o ich sercu, odwadze i zdolności współczucia. I ty, Filippo, przeszłaś próbę bólu. Starłaś się zostać Ksienią. Przez setki lat pracowałaś na to, żeby choć wziąć udział w owym konkursie. Okoliczności sprawiły, że straciłaś okazję, a przecież nigdy nie odezwałaś się do mnie cierpko i z goryczą, choć musi ci być przykro za każdym razem, kiedy na mnie spojrzysz. Natomiast starasz się jak najlepiej mi doradzać i pomimo swojego smutku i rozczarowania działasz w interesie pałacu. Czy miałabym z ciebie większy pożytek, gdybym się uparła, by doświadczone cię torturami, zanim zostaniesz moją doradczynią?

Twarz Siostry Philippy okryła się rumieńcem.

- Skłamałabym, udając, że się z tobą zgadzam, teraz jednak przynajmniej rozumiem, że naprawdę pogłębiałaś studnię i nie zrezygnowałaś z tego, bo nie chciałaś się dłużej męczyć. Natychmiast przekażę twoje zalecenia, Verno.

- Dziękuję, Filippo - uśmiechnęła się Verna. Przez usta Philippy przewinął się cień uśmiechu.

- Richard wywołał tu prawdziwy wstrząs. Myślałam, że nas zabije, a okazał się lepszym przyjacielem pałacu niż jakikolwiek inny czarodziej od trzech tysięcy lat.

Verna zaśmiała się krótko.

- Żebyś wiedziała, ileż to razy musiałam się modlić o siły, by nie udusić go własnymi rękami.

Kiedy Philippa wychodziła, Verna dostrzegła przez otwarte drzwi, że w zewnętrznym gabinecie Millie czeka na pozwolenie, by mogła wejść i posprzątać. Verna przeciągnęła się, ziewnęła, wzięła odłożony na bok raport i ruszyła ku drzwiom. Dała Millie znak, że może wejść do gabinetu, i spojrzała na dwie swoje administratorki, Siostry Dulcinię i Phoebe. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Siostra Dulcinea podniosła się i podała jej

stertę raportów.

- Jeśli już przejrzałaś tamte, Ksieni, to uporządkowałyśmy dla ciebie te raporty.

Verna wzięła od niej nową stertę, która dorównywała niemal wadze niemowlęcia, i wsparła ją na biodrze.

- Tak, dobrze, dziękuję. Jest już późno. Dlaczego jeszcze tu siedzicie'?

Siostra Phoebe potrząsnęła głową.

- Nie mam nic przeciwko temu, Ksieni. Lubię tę pracę i...

- I jutro czeka cię następny długi dzień. Nie chcę, żebyś drzemała, ponieważ nie zdążyłaś się porządnie wyspać. Odejdźcie, obie.

Phoebe chwyciła stos papierów. Prawdopodobnie chciała je zabrać do swojego gabinetu i tam dalej pracować. Myślała chyba, że biorą udział w jakichś wyścigach z raportami, więc ilekroć podejrzewała, że Verna może cudem nadrobić zaległości, pracowała wytrwale i w niemal magiczny sposób produkowała nowe ich sterty. Dulcinia wzięła z biurka filiżankę herbaty, ale zostawiła dokumenty. Pracowała rytmicznie, nie zniżając się nigdy do nieustannego wyprzedzania Verny, lecz i tak, jak na życzenie, zostawiała po sobie stosy uporządkowanych i zaopatrzonych w adnotacje raportów. Żadna z nich nie musiała się obawiać, że Verna się z nimi zrówna: każdego dnia zostawiały ją daleko w tyle.

Obie Siostry pożegnały się, życząc Ksieni, by Stwórca zesłał jej spokojny sen. Verna odczekała, aż dotrą do zewnętrznych drzwi.

- Och, Siostrze Dulcinio, chciałabym, żebyś zajęła się jutro pewną drobną sprawą.

- Oczywiście, Ksieni. Cóż to takiego?

Verna położyła na biurku Dulcinii przyniesiony od siebie dokument. Rankiem Siostra od razu by go zauważyła.

- Prośba o pomoc od młodej kobiety i jej rodziny. Jeden z naszych młodych czarodziejów zostanie ojcem.

- Och, to wspaniale! - pisnęła Phoebe. - Módlmy się, żeby z błogosławieństwem Stwórcy był to chłopiec i żeby miał dar. W mieście nie urodził się nikt z darem od... nie pamiętam od kiedy. Może tym razem...

Wreszcie zamilkła, widząc gniewną minę Verny. Ksieni spojrzała na Siostrę Dulcinię.

- Chcę widzieć ową młodą kobietę i młodziana odpowiedzialnego za jej

stan. Jutro ustalisz termin spotkania. Może powinni się też zjawić jej rodzice, skoro proszą o pomoc.

Siostra Dulcinia pochyliła się nieco ku niej z obojętną miną.

- I w czym problem, Ksieni?

Verna podciągnęła oparty o biodro stos dokumentów.

- Powiedziałałabym, że jest problem. Zaszła w ciążę z jednym z naszych młodzianów.

Siostra Dulcinia odstawiła herbatę na skraj biurka i postąpiła krok ku Vernie.

- Ależ, Ksieni, właśnie dlatego pozwalamy naszym podopiecznym wychodzić do miasta. To nie tylko pozwala im zaspokoić instynkty, dzięki czemu mogą się poświęcić nauce, ale przy okazji może nam przysporzyć kogoś z darem.

- Jednak nie usprawiedliwia to mieszania się pałacu w powstawanie istnień i w życie niewinnych ludzi.

Niebieskie oczy Siostry Dulcinii przesunęły się po skromnej, ciemnobłękitnej szacie Verny.

- Mężczyźni mają niepohamowane popędy, Ksieni.

- Ja także, lecz z pomocą Stwórcy udało mi się nikogo nie udusić. Wściekle spojrzenie Siostry Dulcinii sprawiło, że śmiech Siostry Phoebe natychmiast ucichł.

- Mężczyźni są inni, Ksieni. Nie potrafią nad sobą zapanować. Ta dozwolona rozrywka pozwala im się skupiać na studiach. Pałac może sobie pozwolić na rekompensaty. To niewielka cena za to, że niekiedy zdobywamy nowego czarodzieja.

- Zadanie Pałacu Proroków polega na tym, by nauczyć naszych młodzieńców, jak w odpowiedzialny sposób, powściągliwie korzystać z dani. I to z uwzględnieniem wszystkich płynących z tego konsekwencji. Jeśli zachęcamy ich, by zupełnie odmiennie postępowali w innych sprawach, to podważamy to, czego ich uczymy. A poza tym nie ma dowodu, że rodzący się z darem chłopcy przynoszą aż takie korzyści. Któż zaręczy, że gdyby czarodzieje postępowali odpowiedzialniej i bardziej nad sobą panowali, to w przyszłości z ich prawdziwych, głębokich związków nie narodziłoby się o wiele więcej chłopców z magicznym darem? Kto wie, może ich nierozważna pożądlivość zmniejsza zdolność przekazania daru potomstwu.

- Lub daje owej nikłej zdolności jak największe szansę.

- Być może. - Verna wzruszyła ramionami. - Wiem jednak, że rybacy nie łowią całe życie w tym samym miejscu tylko dlatego, że kiedyś tu właśnie złapali rybę. Ponieważ łowimy niewiele ryb, uważam, że czas zmienić miejsce.

Siostra Dulcinia splotła dłonie, z wysiłkiem zachowując cierpliwość.

- Ksieni, Stwórca pobłogosławił ludzi taką, a nie inną naturą, i nie możemy tego zmienić. Mężczyźni i kobiety nie przestaną czynić tego, co daje im rozkosz.

- To oczywiste, lecz zachęcamy do tego, ponosząc koszty ich zabaw. Nie będzie samokontroli, dopóki nie będą ponosić żadnych konsekwencji. Ileż dzieci wyrosło bez ojców, ponieważ dajemy złoto młodym ciężarnym kobietom? Czy złoto zastąpi wychowanie? Ilu ludziom wyrządziłyśmy krzywdę tym naszym złotem?

Skonsternowana Dulcinia rozłożyła ręce.

- Nasze złoto im pomaga.

- Nasze złoto zachęca kobiety z miasta do nieodpowiedzialności i do sypiania z naszymi podopiecznymi, ponieważ to zapewnia utrzymanie. Tym naszym złotem upodlamy owych ludzi. - Verna zatoczyła koło wolną ręką, wskazując miasto. - Zrobiliśmy z nich materiał hodowlany.

- Od tysięcy lat posługiwaliśmy się tą metodą, żeby zwiększyć liczbę osób z darem, które uda się nam odnaleźć. Nie rodzi się już prawie nikt z darem.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale naszym zadaniem jest uczenie ludzi, a nie hodowanie ich. Pałacowe złoto czyni z nich istoty kierujące się żądzą wzbogacenia, a nie ludzi, którzy mają dzieci z miłości.

Siostrze Dulcinii tylko na chwilę odebrało mowę.

- Jakżeż mogłybyśmy być tak pozbawione serca, żeby odmawiać im odrobiny naszego złota? Życie jest ważniejsze od kruszcu.

- Widziałam raporty. Tu wcale nie chodzi o odrobinę złota. Lecz to całkiem inna sprawa. Rzecz w tym, że rozmnażamy dzieci Stwórcy jak żywy inwentarz i tym samym budujemy pogardę dla wszelkich wartości.

- Przecież uczymy naszych podopiecznych, co jest dobre, a co złe. Ludzie, najdoskonalsze dzieła Stwórcy, są wrażliwi na owe nauki, ponieważ potrafią pojąć ich wagę.

Verna westchnęła.

- Załóżmy, Siostrze, że głosimy chwałę prawdomówności, a jednocześnie ochoczo dajemy grosz za każde wypowiedziane kłamstwo. Jak myślisz, jaki byłby rezultat?

Siostra Phoebe zasłoniła usta i zaśmiała się.

- Zakładam, że wkrótce zostałybyśmy bez grosza. Niebieskie oczy Siostry Dulcinii były zimne jak lód.

- Nie sądziłam, Ksieni, że jesteś do tego stopnia pozbawiona serca, by skazywać na głód nowo narodzone dzieci Stwórcy.

- Stwórca dał matkom piersi, żeby mogły karmić swoje dzieci, nie zaś po to, żeby wyłudzały pałacowe złoto.

Twarz Siostry Dulcinii spurpurowiała.

- Przecież mężczyźni mają niepohamowane popędy...

- Męskie popędy są tylko wtedy niepohamowane, gdy czarodziejka rzuci czar urzeczenia - powiedziała Verna cichym, gniewnym głosem. - Żadna z Sióstr nie rzuciła go na którąkolwiek z kobiet w mieście. Czyż muszę ci przypominać, że gdyby któraś z Sióstr to zrobiła, mogłaby mówić o szczęściu, gdyby wypędzono ją z pałacu, a nie powieszono? Dobrze wiesz, że urzeczenie równa się moralnie gwałtowi.

Twarz Dulcinii zbielała.

- Nie mówię...

Zamyślona Verna spojrzała w sufit.

- Jak sobie przypominam, ostatni raz przyłapano Siostrę na rzucaniu czaru urzeczenia... Kiedyż to było? Pięćdziesiąt lat temu?

Wzrok Siostry Dulcinii szukał jakiegoś schronienia, lecz nie znalazł.

- To była nowicjuszka, Ksieni, a nie Siostra. Verna patrzyła gniewnie na Dulcinię.

- Przypominam też sobie, że byłaś wówczas w trybunale. - Dulcinea przytaknęła. - I że głosowałaś za powieszeniem jej. Ty byłaś biedna młoda kobieta, która spędziła tu zaledwie kilka krótkich lat, a ty głosowałaś za skazaniem jej na śmierć.

- Takie jest prawo, Ksieni - powiedziała Dulcinea, nie podnosząc wzroku.

- To najwyższa, ostateczna kara.

- Inne Siostry głosowały tak samo jak ja.

- A tak, głosowały tak samo - przytaknęła Verna. - Równa liczba głosów, sześć przeciw sześciu. Ksieni Annalina przerwała impas, opowiadając się za

wypędzeniem młodej kobiety.

Siostra Dulcinia podniosła w końcu przenikliwe niebieskie oczy.

- Wciąż twierdzą, że nie miała racji. Valdora przysięgła dozgonną zemstę. Przysięgła, że zniszczy Pałac Proroków. Plunęła Ksieni w twarz i obiecała, że pewnego dnia ją zabije.

Verna zmarszczyła brwi.

- Zawsze się zastanawiałam, Dulcinio, dlaczego wybrano cię do trybunału.

Siostra Dulcinia przełknęła ślinę.

- Wybrano mnie, ponieważ byłam jej nauczycielką.

- Ach tak. Jej nauczycielką. - Verna mlasnęła językiem. - A gdzież, według ciebie, owa młoda kobieta nauczyła się rzucać czar urzeczenia?

Krew gwałtownie napłynęła do twarzy Siostrze Dulcinii.

- Nigdy dokładnie nie udało się nam tego ustalić. Prawdopodobnie od matki. Matki często uczą młode czarodziejki takich rzeczy.

- Tak, słyszałam o tym, ale tego nie doświadczyłam. Moja matka nie miała daru, ominęło ją to dziedzictwo. Za to twoja matka miała dar, jeśli dobrze sobie przypominam...

- Tak, miała. - Siostra Dulcinia ucałowała swój serdeczny palec, szepcząc przy tym modlitwę do Stwórcy, która była osobistym aktem prośby i oddania, dokonywanym często, chociaż raczej nie w obecności innych. - Robi się późno, Ksieni. Nie chciałybyśmy cię dłużej zatrzymywać.

- A więc dobranoc - uśmiechnęła się Verna. Siostra Dulcinia skłoniła się oficjalnie.

- Jutro, wedle twojego życzenia, Ksieni, po omówieniu tego z Siostrą Leomą zajmę się sprawą ciężarnej kobiety i młodego czarodzieja.

- Och? - Verna znacząco uniosła brew. - To teraz Siostra Leoma stoi ponad Ksienią?

- Nie, Ksieni - zająknęła się Siostra Dulcinia. - Po prostu Siostra Leoma chce, żebym... Sądziłam po prostu, że pragniesz, żebym informowała twoją doradczynię o twoich posunięciach... żeby jej nie... zaskoczyły.

- Siostra Leoma jest moją doradczynią, Siostrze, i poinformuję ją o moich działaniach, jeśli uznam to za konieczne.

Krągła twarz Siostry Phoebe zwracała się to ku jednej, to ku drugiej kobiecie, gdy w milczeniu przysłuchiwała się tej wymianie zdań.

- Zrobię, jak sobie życzysz, Ksieni - powiedziała Siostra Dulcinia. - Wybacz, proszę, mój... zapał w pomaganiu Ksieni.

Verna wzruszyła ramionami na tyle, na ile pozwolił jej ciężki stos dokumentów.

- Oczywiście, Siostro. Dobranoc.

Na szczęście wyszły bez dalszych sporów. Verna, mrucząc pod nosem, zniosła stertę raportów do swojego gabinetu i rzuciła na biurko obok tych, których czekały wciąż na przejrzenie. Przyglądała się Millie ścierającej w kącie jakąś plamę, której i tak nikt by nie dostrzegał przez kolejne sto lat. W słabo oświetlonym gabinecie słychać było jedynie, jak Millie szura szmatą i mamrocze coś do siebie pod nosem. Verna podeszła z wolna do półek z książkami, w pobliżu których pracowała na kolanach ta kobieta, i przesunęła palcem po grzbietach tomów, nie dostrzegając tak naprawdę złocistych tytułów na zniszczonych, starych skórzanych oprawach.

- Jak czują się dziś twoje stare kości, Millie?

- Och, Ksieni, nie strasz mnie, bo w przeciwnym razie będziesz musiała nakładać na mnie dłonie, starając się wyleczyć to, czego wyleczyć się nie da. Wiek, rozumiesz. - Przysunęła sobie wiadro kolanem i zaczęła trzeć inne miejsce dywanu. - Wszyscy się starzejemy. Widać Stwórcę tak to zamierzył, skoro żaden śmiertelnik nie może nic na to poradzić. Choć dzięki tej pracy w pałacu i tak dostało mi się więcej czasu niż większości innych. - Czubek języka ukazał się w kąciku ust Millie, która z większą siłą tarła dywan. - Tak, Stwórcę obdarował mnie tyloma latami, że nie wiem, co z nimi począć.

Verna nigdy nie widziała tej krzepkiej, niedużej kobiety w innej sytuacji niż przy pracy. Nawet kiedy mówiła, ścierała kurze, tarła kciukiem jakąś plamkę albo wydlubywała paznokciem brud, którego nikt poza nią nie widział. Verna wyjęła tom i otworzyła go.

- Wiem, że przez te wszystkie lata Ksieni Annalina bardzo sobie ceniła twoje towarzystwo.

- O tak, wiele lat to było, wiele lat. Tak, tak, wiele lat.

- Ksieni, o czym się właśnie przekonałam, nie ma prawie okazji do nawiązywania przyjaźni. Dobrze, że Ann miała twoją przyjaźń. Jestem pewna, że i mnie twoje towarzystwo sprawi nie mniejszą przyjemność i przyniesie taką samą pociechę.

Millie mruknęła brzydtko na oporny okruszek brudu.

- O tak, długo żeśmy gadały do późnej nocy. Ależ to była wspaniała kobieta, tak, tak. Mądra i uprzejma. No, wysłuchiwała każdego, nawet starej Millie.

Verna uśmiechnęła się i z roztargnieniem odwróciła stronicę książki, która mówiła o tajemniczych prawach jakiegoś dawno nie istniejącego królestwa.

- Tb miło z twojej strony, że pomogłaś jej z tym pierścieniem i listem.

Millie spojrzała na nią i zaczęła się uśmiechać. Na chwilę przerwała wycieranie.

- Ach, ty też chcesz się czegoś o tym dowiedzieć.

- Ja też? Ktoś jeszcze próbował? - Verna zatrzasnęła tom. Millie zanurzyła szmatę w mydlinach.

- Siostry Leoma, Dulcinia, Maren i Philippa. Znasz je, na pewno. - Polizała czubek palca i potarła od spodu ciemny mebel, usuwając jakąś plamkę. - Może i były jeszcze inne, ale nie pamiętam. Wiek, rozumiesz. Wszystkie przyszły do mnie po pogrzebie. Nie razem, rozumie się - dorzuciła ze śmiechem. - Rozumiesz, każda osobno, i obserwowały wszystkie cienie, jak mnie wypytywały o to co ty.

Verna zapomniała, iż rzekomo szukała czegoś na półkach z książkami.

-I co im wtedy powiedziałaś?

Millie wykręciła szmatę.

- Jasne, że prawdę. Tak samo jak powiem tobie, jeśli tylko masz ochotę posłuchać.

- Tak - odparła Verna, napominając się, by mówić łagodnym tonem. - Myślę, że powinnam o tym usłyszeć, skoro jestem teraz Ksienią. Odpocznij troszkę i opowiedz mi całą historię.

Millie z trudem wstała, jęknąwszy przy tym boleśnie, i spojrzała bystrymi oczami na Verne.

- Cóż, dziękuję, Ksieni. Ale mam robotę, wiesz. Nie chciałabym, żebyś uznała mnie za leniucha, co woli bardziej machać językiem niż ścierką.

Verna poklepała żylastą kobietę po ramieniu.

- Nie obawiaj się tego, Millie. Opowiedz mi o Ksieni Annalinie.

- No cóż, była już na łożu śmierci, jakem ją zobaczyła. Sprzątałam też pokoje Nathana, rozumiesz, no i ją zobaczyłam, jakem do niego poszła. Ksieni tylko mnie na tyle ufała, że pozwalała mi tam wchodzić. Nie to, że ją

za to winie, bo Prorok zawsze był dla mnie miły. Chyba że się o coś wściekł i zaczynał wrzeszczeć, no wiesz. Nie na mnie, rozumie się, ale na swój los i na to, że przez te wszystkie lata tkwi pod kluczem w tych pokojach. Odbijało mu, jak przypuszczam.

Verna chrząknęła.

- To musiało być dla ciebie straszne zobaczyć Ksienię w takim stanie.

Millie położyła dłoń na ramieniu Verny.

- Nawet nie wiesz jak. Złamało mi to serce, ot co. Ale pomimo bólu ona była miła jak zawsze.

Verna przygryzła wargę.

- Miałaś mi opowiedzieć o pierścieniu i o liście.

- Ach tak. - Millie łypnęła z ukosa na Verne i zdjęła jakąś nitkę z jej ramienia. - Musiałabyś mi to dać czasem do wyszczotkowania. Ludzie nie powinni myśleć...

Verna ujęła stwardniałą dłoń kobiety.

- Millie, to dla mnie ważne. Mogłabyś mi opowiedzieć, jak dostałaś pierścień?

Millie uśmiechnęła się przepaszająco.

- Ann powiedziała mi, że umiera. Ot tak, powiedziała prosto z mostu: "Millie, ja umieram". No to ja w płacz. Długo była moją przyjaciółką. Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę, tak jak ty teraz, i powiedziała, że ma dla mnie ostatnie zadanie. Zdjęła z palca pierścień i dała mi go, a w drugą rękę wsunęła mi list. Był zapieczętowany woskiem, w którym odcisnięto promienne słońce z pierścienia. Powiedziała, że jak będzie jej ceremonia pogrzebowa, to mam położyć pierścień na liście, a oba na kolumnie, którą ustawię w komnacie. Ostrzegła mnie, żebym dotknęła listu pierścieniem dopiero na samym końcu, bo inaczej zabije mnie magia, którą w to zaklęła. Mnóstwo razy ostrzegła mnie, że mam uważać i nie zetknąć ich, dopóki nie zrobię wszystkiego jak trzeba. Nauczyła mnie, co robić i w jakiej kolejności. No i tak zem zrobiła. Jużem jej nigdy nie widziała po tym, jak mi dała ten pierścień.

Verna zapatrzyła się w otwarte drzwi prowadzące do ogrodu, którego jeszcze nie miała czasu obejrzeć.

- Kiedy to było?

- Żadna inna o to nie pytała - mruknęła do siebie Millie i dotknęła

kościwym palcem dolnej wargi. - Niech no pomyślę. Tb było sporo wcześniej. Przed zimową równonocą. Tak, to było zaraz po ataku, tego dnia, co to wyjechałaś z młodym Richardem. Och, to był miły chłopak. Miły jak słoneczny dzionek. Zawsze się ze mną witał i uśmiechał się do mnie. Większość chłopców nawet mnie nie widzi, choć mają mnie przed oczami, ale młody Richard zawsze mnie dostrzegał, o tak, dostrzegał i miał dla mnie miłe słowo.

Verna ledwo słuchała. Wspominała dzień, o którym mówiła Millie. Pojechali z Warrenem, żeby przeprowadzić Richarda przez osłonę, która nie wypuszczała go poza zasięg oddziaływania pałacu. Potem udali się do ludu Baka Ban Mana i zabrali ich do Doliny Zaginionych, ojczyzny ich przodków. Ojczyzny, którą odebrano im przed trzema tysiącami lat, żeby wybudować tam baszty oddzielające Stary i Nowy Świat. Richardowi potrzebna była pomoc ich duchowej przewodniczki.

Żeby zniszczyć baszty, oczyścić dolinę i przywrócić ją ludowi Baka Ban Mana, Richard użył nieprawdopodobnej mocy: posłużył się nie tylko magią addytywną, ale i subtraktywną. A później wyruszył w desperacką misję. Chciał powstrzymać Opiekuna zmarłych od przedostania się przez bramę do świata żywych. Zimowe przesilenie nadeszło i minęło, Verna wiedziała więc, że chłopakowi się powiodło.

Nagle Ksieni spojrzała na Millie.

- To było prawie miesiąc temu. Na długo przed jej śmiercią.

- A tak - przytaknęła Millie. - I mnie się tak zdaje.

- - Chcesz powiedzieć, że wręczyła ci pierścień niemal trzy tygodnie przed swoim odejściem? - Millie potaknęła. - Dlaczego tak wcześnie?

- Mówiła, że chce mi to dać, zanim jej się na tyle pogorszy, że nie da rady ani się ze mną pożegnać, ani dać mi odpowiednich wskazówek.

- Rozumiem. A kiedy wróciłaś tam, przed jej zgonem, czy pogorszyło się jej tak, jak się obawiała? Millie westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Tylko wtedy żem ją widziała. Kiedy przyszedłam później, żeby się z nią zobaczyć i posprzątać, strażnicy powiedzieli, że Nathan i Ksieni surowo rozkazali, by nikogo nie wpuszczać. Żeby nikt nie przeszkadzał Nathanowi ją leczyć. Nie chciałam, żeby mu się nie udało, to odeszłam na paluszkach, najciszej jak mogłam.

Verna westchnęła.

- Dziękuję, Millie, że mi powiedziałaś. - Spojrzała na biurko i czekającą na nim stertę raportów. - Chyba też wrócę do pracy, bo inaczej wszyscy uznają, że jestem leniwa.

- Och, jaka szkoda, Ksieni. W taką ciepłą, piękną noc powinnaś się nacieszyć swoim ogrodem.

- Mam tyle pracy, że jeszcze ani razu nie zajrzałam do prywatnych ogrodów Ksieni - burknęła Verna.

Millie ruszyła ku swojemu kubłowi, ale nagle obróciła się ku niej.

- Ksieni! Akurat sobie przypomniałam jeszcze coś, co mi powiedziała Ann.

Verna wygładziła suknię na ramionach.

- Powiedziała ci coś jeszcze? Coś, co powiedziałaś innym, a zapomniałaś powiedzieć mnie?

- Nie, Ksieni - szepnęła Millie i przysunęła się bliżej. - Nie. Ona mi to powiedziała i kazała powtórzyć tylko nowej Ksieni, nikomu innemu. Z jakiegoś powodu aż do teraz o tym nie pamiętałam.

- Mogła rzucić urok na tę wiadomość, żebyś zapamiętała ją wyłącznie dla nowej Ksieni.

- Całkiem możliwe - przyznała Millie, pocierając wargę. Spojrzała Vernie w oczy. - Ann czasem tak robiła. Czasami bywała przebiegła.

- Tak. Wiem. - Na twarzy Verny pojawił się smutny uśmiech. - Mną również manipulowała. A cóż to za wiadomość?

- Kazała ci powiedzieć, żebyś za ciężko nie pracowała. Verna wsparła dłoń na biodrze.

- To ta wiadomość?

Millie potaknęła, przysunęła się jeszcze bliżej i szepnęła:

- I powiedziała, że powinnaś wypoczywać w ogrodzie. Wzięła mnie za ramię, przyciągnęła do siebie, spojrzała prosto w oczy i dodała, żeby ci powiedzieć, byś koniecznie poszła do sanktuarium Ksieni.

- Sanktuarium? Jakiego sanktuarium?

Millie odwróciła się i wskazała za otwarte drzwi.

- O tam, w ogrodzie, jest mały, schowany w drzewach i krzewach budynek. Nazywała to swoim sanktuarium. Nigdy nie była w środku. Nigdy nie pozwalała mi tam sprzątać. Sprzątała sama, bo sanktuarium to święte miejsce, gdzie człowiek może być sam, mówiła, i gdzie nikt inny nie

ma wstępu. Szła tam od czasu do czasu, żeby się pomodlić do Stwórcy o radę albo żeby pobyć sama. Kazała ci powtórzyć, żebyś koniecznie poszła do ogrodu i weszła do sanktuarium.

Verna westchnęła z desperacją.

- Zupełnie jakby mi na swój sposób mówiła, że będę potrzebować pomocy Stwórcy, by poradzić sobie z tymi papier zyskami. Czasem miała spaczone poczucie humoru.

- O tak, miała - zachichotała Millie. - Całkiem spaczone. - Przyłożyła dłonie do zarumienionych policzków. - Niech mi Stwórca wybaczy Była porządną kobietą. Jej żarty nigdy nie miały ranić.

- Nie, oczywiście, że nie.

Verna rozmasowała skronie i ruszyła stronę biurka. Była zmęczona i przerażała ją perspektywa czytania kolejnego stosu nudnych raportów. Zatrzymała się i odwróciła ku Millie. Drzwi do ogrodu były szeroko otwarte, wpływało przez nie świeże nocne powietrze.

- Jest już późno, Millie. Może zjadłabyś jakąś kolację i odpoczęła trochę? Wypoczynek dobrze robi zmęczonym kościom.

- Naprawdę, Ksieni? - Millie się uśmiechnęła. - Nie będziesz miała mi za złe, że twój gabinet jest zakurzony?

Verna zaśmiała się cicho.

- Tyle lat spędziłam pod gołym niebem, Millie, że polubiłam kurz. Wszystko w porządku, naprawdę. Dobrze wypocznij.

Verna stanęła w drzwiach prowadzących do ogrodu i patrzyła w noc, na plamy księżycowego światła pod drzewami oraz pnączami. W tym czasie Millie zebrała szmaty i kubek.

- W takim razie życzę ci dobrej nocy, Ksieni. Raduj się odwiedzinami w swoim ogrodzie.

Drzwi zamknęły się za Millie i w gabinecie zapanowała cisza. Verna stała, czując ciepły, wilgotny wiaterek. Wdychała aromaty liści, kwiatów i ziemi.

Po raz ostatni obejrzała się na swój gabinet i wyszła w czekającą noc.

ROZDZIAŁ 22

Siostra Verna zaczerpnęła głęboko orzeźwiającego, wilgotnego nocnego powietrza. Było wspaniałe: świeże i kojące. Poczuła, jak rozluźniają się jej napięte mięśnie. Poszła wąską, krętą ścieżką prowadzącą między klombami kiełkujących lilii, kwitnących dereni i bujnych krzaków jagodowych. Czekala, aż oczy przyzwyczajają się do księżycowej poświaty Gałęzie drzew wyciągały się ku niej ponad gęstwą krzewów, jakby zachęcały ją, by ich dotknęła, i ułatwiały wdychanie słodkich zapachów listowia i kwiecia.

Dla większości drzew było jeszcze za wcześnie na kwiaty, lecz w ogrodzie Ksieni rosło trochę rzadkich, stale kwitnących gatunków. Były to sękaty, przysadziste drzewa o szerokich koronach, które kwitły cały rok, lecz owocowały jedynie w sezonie. W Nowym Świecie Verna wraz z dwiema Siostrami natrafiły na gaj wiecznie kwitnących drzew i odkryła, że to ulubione miejsce nieuchwytnych nocnych ogników: kruchych istot wyglądających jak iskierki światła, które były widoczne jedynie nocą. Gdy nocne ogniki przekonały się o ich dobrych zamiarach, Verna wraz z towarzyszkami spędziły w owym gaju kilka nocy, rozmawiając z jego mieszkańcami o zwykłych sprawach i dowiadując się o życzliwości czarodziejów i Spowiedniczej którzy kierowali konfederacją Midlandów. Verne uradowała wiadomość, że mieszkańcy Midlandów chronili magiczne okolice i pozwalali zamieszkującym je istotom żyć w spokoju własnym życiem.

I w Starym Świecie znajdowały się dzikie rejony, w których mieszkały magiczne istoty, lecz owe miejsca nie były ani tak liczne, ani tak różnorodne jak cudowne krainy leżące w Nowym Świecie. Od niektórych z tych istot Verna nauczyła się tolerancji. Powiedziały jej, że Stwórca obdarzył ten świat wieloma delikatnymi cudami i że niekiedy podstawowym obowiązkiem ludzi było pozwolić im trwać.

W Starym Świecie pogląd ten nie był szczególnie rozpowszechniony. W wielu miejscach roztoczono kontrolę nad "dziką" magią, zęby ludzie nie byli krzywdzeni lub zabijani przez coś, co nie podda się rozumowi. Magia często bywała kłopotliwa. Nowy Świat był pod wieloma względami tak samo mało cywilizowany jak Stary Świat przed wieloma tysiącami lat, zanim jeszcze

człowiek uczynił z niego bezpieczne, choć nieco jałowe miejsce.

Verna tęskniła za Nowym Światem, ponieważ nigdzie nie czuła się tak dobrze jak tam.

Na stawie, w pobliżu ścieżki, kołysały się kaczki śpiące z głowami schowanymi pod skrzydłami; niewidoczne żaby kumkały w trzcinach. Od czasu do czasu nad powierzchnią wody nurkował nietoperz, żeby złapać jakiegoś owada. Łagodny wiatr kołysał konarami drzew i na trawiastym brzegu tańczyły plamy księżycowego blasku.

Tuż za stawem mała boczna dróżka wiodła ku kępie drzew rosnących w gęstym poszyciu, gdzie prawie nie docierało światło księżyca. Verna wyczuła, że to właśnie jest miejsce, którego szukała, i skręciła w dróżkę, kierując się ku czekającym tam ciemnościom. Tu, w przeciwieństwie do reszty ogrodu, władała natura.

Minęła wąskie przejście w ciernistej gęstwinie i znalazła mały śliczny budynek pokryty stiukiem. Wdzięczne łuki mającego cztery szczyty dachu tworzyły podstrzesze tuż nad głową Verny. Naprzeciwko każdego szczytu stało potężne drzewo; ich gałęzie splatały się w powietrzu. Pod ścianami rosły rdzawe róże, przepajając cudną wonią ten uroczy zakątek. W każdym szczycie domku umieszczono okrągłe okno. Były jednak za wysoko, żeby zajrzeć przez nie do środka.

Ścieżka kończyła się przed zaokrąglonymi górą, z grubsza tylko ociosanymi drzwiami, które zdobiło umieszczone pośrodku promieniste słońce. Miały klamkę, lecz nie było zamka. Szarpnięcie klamką nic nie dało, drzwi nawet nie drgnęły. Chroniła je osłona.

Verna powiodła palcami wzdłuż ościeżnicy, starając się wyczuć charakter osłony lub miejsce, w którym można by ją pokonać. Czuła jedynie lodowaty chłód i w końcu cofnęła palce.

Otworzyła się na swoją Han i pozwoliła, by ciepły blask skąpał ją w słodkim, znajomym poczuciu bezpieczeństwa. Wstrzymała oddech, wstrząśnięta aż taką bliskością Stwórcy. Nagle powietrze zapachniało tysiącem woni. Wyczuła, że jest wilgotne i zawiera kurz, pyłki oraz sól oceanu. Niosło ku niej dźwięki świata owadów, małych zwierzątek, strzępy wypowiedzianych całe mile stąd słów. Verna nasłuchiwała bacznie dźwięków zdradzających obecność jakiejś osoby, a przynajmniej kogoś, kto ma jedynie dar magii addytywnej. Nikogo nie usłyszała.

Skupiła swoją Han na drzwiach i zrozumiała, że cały budynek spowija sieć, z jaką nigdy przedtem się nie spotkała. Był to lód spleciony z energią. Nie miała pojęcia, że można je spleść. Przecież walczyły ze sobą jak koty w worku. A tu, proszę: mruzczały z zadowolenia, jakby stanowiły dobraną parę. Verna zupełnie nie wiedziała, jak można utkać taką osłonę, a tym bardziej - jak ją przełamać.

Wciąż łączyła się ze swoją Han. Nagle, pod wpływem impulsu, dotknęła promienistym słońcem umieszczonym na pierścieniu jego odpowiednika znajdującego się na drzwiach. Otworzyły się cicho.

Verna weszła do środka i dotknęła pierścieniem wzoru na wewnętrznej stronie drzwi. Zamknęły się posłusznie. Dzięki swojej Han wyczuła, jak zamyka się wokół niej osłona. Jeszcze nigdy nie poczuła się tak odizolowana, tak samotna i tak bezpieczna. Zapaliły się świece i Siostra. Verna domyśliła się, że były połączone z osłoną. Blask dziesięciu świec, umieszczonych po pięć w dwóch lichtarzach - aż nadto wystarczał do oświetlenia wnętrza małego sanktuarium. Lichtarze stały po obu stronach niewielkiego ołtarza, które okrywało białe płótno haftowane złotą nicią. Na płótnie spoczywała rzeźbiona misa służąca prawdopodobnie do palenia wonnych żywic. Przed ołtarzem leżała czerwona brokatowa poduszka pod kolana, którą zdobiły złociste chwasty.

Nisze utworzone przez cztery spady dachu pomieściłyby jedynie wygodny fotel, jaki stał w jednej z nich. W drugiej stał ołtarzyk, w trzeciej mały stolik i trójnożny taboret, a w ostatniej drzwi i obudowana ława ze złożonym równo kraciatym wełnianym szalem. Prawdopodobnie służył do przykrywania kolan, bo położyć się nie było jak. Środek nie był o wiele większy od nisz. Verna rozglądała się wokół i zastanawiała się, co też ma tu zrobić. Ksieni Annalina zostawiła wiadomość, żeby mieć pewność, iż ona, Verna, pojawi się tutaj; ale po co?

Opadła na fotel i wodziła wzrokiem po fasetowych ścianach, biegnących zgodnie z wygięciami czteroszczytowego dachu. Może miała tu przychodzić, żeby wypocząć. Annalina wiedziała, ile pracy ma Ksieni, może więc chciała, by jej następczyni miała miejsce którym mogłaby samotnie wypocząć i ukryć się przed ludźmi przynoszącymi nieustannie kolejne raporty. Verna zabębniła palcami po poręczu fotela. Mało prawdopodobne.

Nie odpowiadało jej takie siedzenie. Miała na głowie ważniejsze sprawy.

Czekała na nią sterta raportów, a one z pewnością same się nie przeczytają. Verna splotła dłonie za plecami i okrążyła malutkie pomieszczenie. To bez wątplenia strata czasu. W końcu westchnęła z irytacją i uniosła dłoń ku drzwiom, lecz nie dotknęła pierścieniem wzoru. Odwróciła się, przez chwilę patrzyła przed siebie, a potem uniosła spódnicę i uklękła na poduszce. Może Ksieni Annalina chciała, żeby się pomodliła, prosząc o radę. Ksieni, zgodnie z oczekiwaniami, powinna być pobożna, choć to absurd uważać, że ktoś potrzebuje jakiegoś specjalnego miejsca, by się pomodlić do Stwórcy. Stwórca stworzył cały świat, wszystko było jego, więc po co komu jakieś wydzielone miejsce, by prosić go o wskazówki? Takie miejsce nigdy nie zastąpi szczerości i czystości czyjegoś serca. I nie może się równać z łączeniem się z czyjąś Han.

Verna westchnęła ze złością i złożyła dłonie. Czekała, ale nie była w nastroju, by modlić się do Stwórcy w miejscu, w którym jej to nakazywano. Siostrę drażniło ją, że Annalina manipuluje nią nawet po śmierci. Verna stuknęła palcem stopy o podłogę i wodziła wzrokiem po nagich ścianach. Ta kobieta sięgała aż tutaj z tamtego świata i cieszyła się ostatnią odrobiną władzy. Mało jej miała przez te wszystkie lata, kiedy była Ksienią? Ktoś mógłby sądzić, że aż nadto, ale to nie była prawda. Tak wszystko zaplanowała, żeby nawet po śmierci mogła...

Oczy Verny zatrzymały się na misie. Coś leżało na jej dnie, i nie był to popiół.

Włożyła dłoń do naczynia i wyjęła mały, owinięty w papier i obwiązany kawałkiem sznurka pakunek. Obracała go w palcach, przyglądając się mu. To musiało być to. Po to ją tu przysłano. Ale czemu zostawiono to właśnie tutaj? Osłona - jedynie Ksieni mogła tu wejść. Tylko tu można było zostawić rzecz przeznaczoną wyłącznie dla Ksieni.

Verna pociągnęła za końce kokardki i wrzuciła sznurek z powrotem do misy. Położyła pakunek na dłoni, odgięła papier i zajrzała do środka.

Książka podróżna.

Wreszcie odzyskała zdolność ruchu, wyjęła książeczkę z papieru i przekartkowała. Karty były czyste.

Książki podróżne, jak dakra, były magicznymi przedmiotami stworzonymi przez tych samych czarodziejów, którzy przepoili Pałac Proroków zarówno magią addytywną, jak i subtraktywną. Od tamtej pory

przez tysiące lat nie urodził się nikt, kto miałby dar magii subtraktywnej. Pierwszy był dopiero Richard. Niektórzy się jej nauczyli, lecz urodził się z nią tylko Richard.

Książki podróżne służyły do przekazywania wiadomości. Wszystko, co napisano w jednej specjalnym rysikiem przechowywanym w grzbiecie jednego tomu, ukazywało się w drugim. Zdołały ustalić, że wiadomość zapisana w jednej pojawiała się równocześnie w drugiej. Rysik służył również do wymazywania starych zapisów, więc książeczki nigdy się nie zużywały i można z nich było nieustannie korzystać.

Kiedy Siostry wyruszyły po chłopców mających wrodzony dar, zabierały ze sobą książkę podróżną. Najczęściej musiały przebyć barierę i podróżować przez Dolinę Zaginionych, żeby dotrzeć do takiego znajdującego się w Nowym Świecie chłopca i założyć mu na szyję Rada'Han, tak by dar nie uczynił mu krzywdy, nim ten nie nauczy się go kontrolować. Spoza bariery nie można było wrócić po rady czy instrukcje, a poza tym każda z Sióstr mogła odbyć tylko jedną podróż tam i z powrotem. Teraz Richard zniszczył baszty i kłębowisko ich uroków.

Młody chłopak, który nie rozumie swojego daru, nie potrafi go kontrolować. Jego magia wysyła sygnały, wychwytywane przez te spośród przebywających w pałacu Sióstr, które są wyczulone na takie zakłócenia w strumieniu mocy. Niewiele z nich ma ową zdolność, toteż na ryzykowną wyprawę wysyłano inne, które zabierały ze sobą książkę podróżną, by móc się porozumiewać z pałacem. Gdyby coś się wydarzyło, na przykład gdyby chłopiec przeniósł się w inne miejsce, Siostry potrzebowałyby wskazówek, jak go odnaleźć.

Czarodziej mógł rzecz jasna nauczyć chłopca kontrolowania daru i unikania związanych z nim niebezpieczeństw, i tak naprawdę to właśnie byłoby najlepsze, lecz czarodzieje nie zawsze byli osiągalni i nie zawsze mieli na to ochotę. Siostry dawno temu zawarły układ z czarodziejami z Nowego Świata. W razie gdyby nie było czarodzieja, Siostry Światła miały prawo ocalić życie chłopcu, zabierając go do Pałacu Proroków na naukę korzystania z magicznego daru. Ze swej strony Siostry przyrzekły, że nigdy nie zabiorą chłopca, którego jakiś czarodziej będzie chciał sam wyszkolić.

Układ ten stanowił, że gdyby ugoda została kiedykolwiek złamana, każda Siostra zapłaciłaby życiem za podróż do Nowego Świata. Ksieni Annalina

złamała go, żeby sprowadzić Richarda do pałacu. A Verna nieświadomie się do tego przyczyniła.

Za każdym razem po chłopca wyruszało kilka Sióstr. Verna znalazła w gabinecie całą skrzynię powiązanych po dwie książek podróżnych. Książki podróżne były zawsze w dwóch bliźniaczych egzemplarzach i każda współdziałała jedynie ze swoją odpowiedniczką. Przed podróżą stosowano środki ostrożności: przenoszono książki w odległe od siebie miejsca i wypróbowywano, by upewnić się, że Siostry na pewno zabiorą ze sobą właściwy notesik. Podróże były niebezpieczne, więc Siostry Światła miały również w rękawie dakrę.

Wyprawa trwała zazwyczaj kilka miesięcy, bardzo rzadko rok, jednak Verna przebywała poza pałacem ponad dwadzieścia lat. Coś takiego jeszcze nigdy się nie wydarzyło, ale z drugiej strony od trzech tysięcy lat nie urodził się przecież ktoś taki jak Richard. Verna straciła dwadzieścia lat, których nigdy nie odzyska. Postarzała się w zewnętrznym świecie. Ów czas pozostawił na jej ciele ślady, jakie pojawiłyby się na nim po blisko trzystu latach spędzonych w Pałacu Proroków. Na wykonanie polecenia Ksieni Annaliny Verna nie poświęciła dwudziestu lat, prawdę mówiąc, poświęciła ich niemal trzysta.

Co gorsza, Annalina cały czas wiedziała, gdzie jest Richard. Nawet jeśli nie zdradziła tego Vernie, żeby mogły się spełnić konkretne proroctwa i żeby można było powstrzymać Opiekuna, Siostrę bolało, że nigdy nie powiedziała jej, iż straci tak wiele lat życia na bycie przynętą.

Verna się skarciła. Niczego nie straciła. Czyniła dzieło Stwórcy. To, że wtedy o wszystkim nie wiedziała, w niczym nie umniejszało jej czynu. Wielu ludzi przez całe życie zajmowało się sprawami bez znaczenia. Ona zaś trudziła się nad czymś, co ocaliło świat żywych.

Poza tym te dwadzieścia lat było prawdopodobnie najlepszym okresem jej życia. Podróżowała po świecie, niezależna, z dwiema innymi Siostrami Światła, poznawała osobliwe miejsca i osobliwych ludzi. Spała pod gwiazdami, widziała odległe góry, równiny, rzeki, faliste wzgórza, wioski, miasteczka i miasta, które widziało niewiele innych Sióstr. Sama podejmowała decyzje i sama ponosiła ich skutki. Nigdy nie musiała czytać jakichś raportów. Doświadczyła tego, co zawierały sterty takich papierzysk. Zyskała więcej niż którakolwiek z Sióstr tkwiących przez trzysta lat w

pałacu.

Na dłoń Verny kapnęła łza. Ksieni otarła policzek. Tęskniła za swoją podróżą. Cały czas sądziła, że jej nienawidzi, lecz dopiero teraz uświadomiła sobie, ile ona dla niej znaczyła. Przesuwała książkę w drżących palcach, czuła jej znajomy ciężar i kształt. Czuła znajomą porowatość skórzanej okładki, trzy małe znajome wybrzuszenia u góry przedniej okładki.

Podniosła książkę do oczu i przyjrzała się jej w blasku świateł. Zobaczyła trzy wybrzuszenia i głębokie zadrapanie u dołu grzbietu - to ten sam tom. Nie mogła pomylić z żadną inną książką, którą nosiła przez dwadzieścia lat. To na pewno ta sama. Szukając swojej, Verna przejrzała wszystkie tomy, które znalazła w skrzyni w gabinecie, lecz niczego to nie dało. Książka była tutaj.

Ale dlaczego? Podniosła papier, w który był zawinięty notesik, i dostrzegła jakiś napis. Przysunęła papier do światła, żeby go przeczytać.

Strzeż jej jak własnego życia.

Odwróciła papier, ale niczego już nie znalazła. Był tylko ten napis: Strzeż jej jak własnego życia.

Verna rozpoznała charakter pisma Ksieni. Kiedy poszukiwała Richarda i wreszcie go odnalazła, lecz zabroniono jej w jakikolwiek sposób na niego wpływać oraz posługiwać się obrożą, żeby go kontrolować - choć oczekiwano, że doprowadzi do pałacu dorosłego mężczyznę, a nie chłopca - wysłała do Ksieni pełen złości list: Jestem Siostrą, której powierzono opiekę nad tym chłopcem. Te zalecenia są pozbawione sensu, wręcz absurdalne. Domagam się wyjaśnienia powodów owych instrukcji. Chcę wiedzieć, z czyjego upoważnienia zostały wydane.

Odpowiedź brzmiała: Zrobisz, co ci polecono, lub poniesiesz konsekwencje. Nie waz się ponownie kwestionować rozkazów pałacu. Pisałam własną ręką, Ksieni.

Owa karcąca odpowiedź Ksieni wryła się w pamięć Verny. Charakter pisma również. Ta sama ręka napisała zdanie na kawałku papieru, w który owinięto tę książkę.

Tamta wiadomość kłuła Verne jak zadra, ponieważ zakazano jej robić to, do czego ją szkolono. Dopiero po powrocie do pałacu odkryła, że Richard ma dar magii subtraktywnej, i zrozumiała, że gdyby posłużyła się obrożą, najprawdopodobniej by ją zabił. Ksieni ocaliła jej życie, lecz Verne irytowało,

że znów coś przed nią zatajono. Przypuszczała, że najbardziej denerwowało ją właśnie to, że Ksieni o niczym jej nie powiedziała.

Oczywiście, zrozumiała to. W Pałacu Proroków były Siostry Mroku i Ksieni nie mogła ryzykować, bo cały świat mógł zostać zniszczony, ale i tak miała jej to za złe. Rozum i uczucie nie zawsze szły ze sobą w parze. Od kiedy Verna została Ksienią, zaczynała pojmować, że niekiedy nie można przekonać ludzi o konieczności czegoś i że w takich wypadkach po prostu trzeba wydać rozkaz. Czasami musi się wykorzystać ludzi do zrobienia tego, co musi zostać zrobione.

Verna wrzuciła papier do miski i podpaliła go swoją Han. Patrzyła, jak płonie. Chciała być pewna, że zostanie zeń jedynie popiół.

Mocno ścisnęła w dłoni książkę podrózną, swoją książkę podrózną. Dobrze było mieć ją z powrotem. Tak naprawdę, rzecz jasna, nie była jej - należała do pałacu. Miała ją jednak przy sobie przez tak wiele lat, że uważała ją za własną, uważała ją za starego przyjaciela.

Nagle uderzyła Verne pewna myśl. Gdzie był jej bliźniaczy tom? Na pewno istniał. Kto go miał?

Z nagłym drżeniem spojrzała na notesik. Trzymała w dłoni coś, co mogło kryć w sobie niebezpieczeństwo, a Annalina raz jeszcze o niczym jej nie poinformowała. Było całkiem możliwe, że bliźniaczy notesik miała Siostra Mroku. Annalina mogła więc w ten sposób dawać Vernie do zrozumienia, by odnalazła bliźniaczą książeczkę, a przy okazji znajdzie też Siostrę Mroku, Lecz jak tego dokonać? Przecież nie mogła ot, tak sobie napisać: "Kim jesteś i gdzie przebywasz?"

Verna ucałowała swój serdeczny palec, swój pierścień i wstała.

Strzeż jej jak własnego życia.

Podróże były niebezpieczne. Wrogo usposobieni ludzie, których chroniła ich własna magia, brali Siostry do niewoli, a czasem nawet zabijali. W takich wypadkach mogła Siostrze pomóc, o ile tylko była dość szybka, jedynie dakra, podobna do noża broń, która natychmiast odbierała życie. Verna wciąż miała w rękawie swoją dakrę. A na wewnętrznej stronie pasa już dawno przyszyła kieszeń, w której można było bezpiecznie ukryć książeczkę podrózną.

Ksieni wsunęła mały notesik do owej kieszeni i poklepała pas. Dobrze znów było tam mieć książeczkę podrózną.

Strzeż jej jak własnego życia.

Któż ma drugą, o drogi Stwórco? - pomyślała.

Kiedy Verna wpadła do pierwszego gabinetu, Siostra Phoebe podskoczyła, jakby ktoś dźgnął ją w pośladki zakończonym ostro patykiem. Jej krągła twarz poczerwieniała.

- Ksieni... ależ mnie wystraszyłaś. Nie było cię w gabinecie... Sądziłam, że poszłaś się położyć.

Verna obrzuciła wzrokiem biurko zarzucone raportami.

- Chyba powiedziałam ci, że jak na jeden dzień wykonałaś wystarczająco dużo pracy i że masz odpocząć.

Phoebe skrzywiła się i wykręcała palce.

- Powiedziałaś, ale przypomniałam sobie o rachunkach, których nie sprawdziłam, i wystraszyłam się, że je zobaczysz i zażadasz ode mnie wyjaśnień, więc przybiegłam, by je sprawdzić.

Verna miała dokąś pójść, lecz zmieniła zdanie. Splotła dłonie.

- Phoebe, czy chciałabyś wykonać zadanie, które Ksieni Annalina powierzała zawsze swoim administratorkom?

Palce Siostry Phoebe znieruchomiały.

- O, naprawdę? A jakie? Verna wskazała na swój gabinet.

- Byłam w ogrodzie i modliłam się o wskazówki, kiedy przyszło mi na myśl, że w tak trudnych czasach powinnam się poradzić przepowiedni. Gdy Ksieni Annalina planowała coś takiego, administratorki wypraszały wszystkich z podziemi, żeby nie przeszkadzały jej oczy osób starających się podpatrzeć, co czyta.

Czy zechciałabyś opróżnić dla mnie podziemia, jak to czyniły dla niej jej administratorki?

Młoda kobieta aż podskoczyła.

- Naprawdę, Verno? Z największą przyjemnością. Rzeczywiście, młoda kobieta, pomyślała z irytacją Verna. Były w tym samym wieku, choć na to nie wyglądała.

- A więc się tym zajmij. Mnie czekają pałacowe sprawy. Siostra Phoebe chwyciła swój biały szal, zarzuciła na ramiona i wypadła na korytarz.

- Phoebe. - Krągła twarz Siostry zajrzała przez drzwi. - Jeżeli w podziemiach będzie Warren, to pozwól rnu tam zostać. Mam kilka pytań, a on lepiej niż inni potrafi mi wskazać odpowiednie księgi. To zaoszczędzi mi

sporo czasu.

- W porządku, Verno - powiedziała bez tchu Phoebe. Uwielbiała papierkową robotę, ponieważ dzięki temu była użyteczna już teraz, a nie po kolejnych stu latach nauki, ale Verna mianowała ją swoją administratorką i w ten sposób skróciła czas próby. Jednak wydawanie poleceń zapowiadało się jeszcze ciekawiej niż papierkowa robota. - Pobiegnę przodem i przepędzę ich, zanim się zjawisz. - Uśmiechnęła się. - Cieszę się, że to ja tu byłam, a nie Dulcinia.

Verna przypomniała sobie, że ona i Phoebe miały bardzo podobne usposobienie. Czy i Verna była tak samo niedojrzała, kiedy Annalina wysyłała ją w ową podróż? Wydało się jej, że przez te lata stała się starsza od Phoebe nie tylko z wyglądu. Może po prostu w zewnętrznym świecie nauczyła się więcej, niż zdołałaby się nauczyć w klasztornym odosobnieniu Pałacu Proroków.

- To przypomina nasze dawne psoty, czyż nie? - uśmiechnęła się Verna.

- Oj tak - zachichotała Phoebe. - Przypomina, Verno. Tyle że nie skończy się nizaniem tysiąca różańców. Pomknęła korytarzem, powiewając szalem i spódnicą.

Kiedy Verna dotarła do serca pałacu, do wielkich, okrągłych, sześciostopowych kamiennych drzwi wiodących do podziemi wykutych w skale, na której stała cała budowla, Phoebe akurat wyprowadzała sześć Sióstr, dwie nowicjuszki i trzech młodzieńców. Nowicjuszkom i młodzieńcom udzielano lekcji w bardzo różnych godzinach. Czasami nawet budzono ich głęboką nocą, jak tych tutaj. Stwórca nie ma wyznaczonych godzin. Mieli się nauczyć, że i oni mają czynić jego dzieło o każdej porze. Wszyscy się skłonili.

- Oby spłynęło na was błogosławieństwo Stwórcy - powiedziała do nich Verna.

Już miała przeprosić, że usunęła ich z podziemi, ale ugryzła się w język, przypomniawszy sobie, że jest Ksienią i nie musi się nikomu tłumaczyć. Słowo Ksieni było rozkazem, który spełniano bez protestów. Jednak wciąż z trudem powstrzymywała się od wyjaśniania swoich decyzji.

- Gotowe, Ksieni - powiedziała majestatycznie Phoebe. Wskazała głową pomieszczenie za sobą. - Został tylko ten, którego chciałaś zobaczyć. Jest w jednym z małych pokoi.

Verna skinęła głową swojej pomocnicy, a potem zwróciła się do wpatrujących się w nią wielkimi oczami nowicjuszek:

- Jak wam idzie nauka?

Obie drżące jak osikowe listki dziewczuszki dygnęły. Jedna przełknęła ślinę.

- Bardzo dobrze, Ksieni - wychrypiała, czerwieniąc się. Verna przypomniała sobie moment, kiedy Ksieni po raz pierwszy odezwała się bezpośrednio do niej. Miała wówczas wrażenie, że przemówił sam Stwórca. Pamiętała, ile znaczył dla niej uśmiech tej kobiety, jak ją podniósł na duchu i dodał jej sił. Przykucnęła i przytuliła do siebie obie dziewczynki. Ucałowała każdą z nich w czoło.

- Gdybyście czegoś potrzebowały, to nie obawiajcie się przyjść do mnie. Po to tu jestem i kocham was jak wszystkie dzieci Stwórcy.

Dziewczęta rozpromieniły się i ponownie dygnęły, tym razem już nie tak chwiejnie. Wpatrywały się w złoty pierścień na palcu Verny. Nagle, jakby im coś przypomniał, ucałowały swoje serdeczne palce i wyszeptały modlitwę do Stwórcy. Verna uczyniła to samo. Oczy rozszerzyły się im na ten widok. Wyciągnęła dłoń.

- Chcecie ucałować pierścień symbolizujący światło, za którym podążamy?

Przytaknęły z zapalem, przyklęknęły kolejno na jedno kolano i ucałowały promieniste słońce.

- Jak macie na imię? - Verna ścisnęła ich drobne ramiona.

- Helen, Ksieni - powiedziała jedna.

- Valery, Ksieni - odparła druga.

- Helen i Valery. - Verna nie musiała sobie przypominać, że powinna się uśmiechnąć. - Pamiętajcie, nowicjuszek Helen i Valery, że choć są inni, jak na przykład Siostry, którzy wiedzą więcej od was i będą was uczyć, to nikt, nawet ja, nie jest bliżej Stwórcy niż wy. Wszyscy jesteśmy jego dziećmi.

Verna głupio się czuła jako obiekt podziwu i czci, lecz uśmiechnęła się i pomachała ręką grupce idącej kamiennym korytarzem.

Kiedy zniknęli za rogiem, Verna przytknęła dłoń do osadzonej w ścianie chłodnej metalowej płytki uruchamiającej osłonę strzegącą podziemi. Potężne zaokrąglone drzwi poruszyły się i zadrżał grunt pod stopami Verny. Główne wejście do podziemi zamykano bardzo rzadko, tylko w specjalnych

okolicznościach, i mogła to zrobić jedynie Ksieni. Weszła do podziemi, a drzwi zamknęły się za nią, zostawiając ją w grobowej ciszy.

Vema minęła stare, zniszczone stoły, na których leżały porozrzucone papiery i mniej skomplikowane księgi prorocत्व. Siostry udzielały przy nich lekcji. Lampy przymocowane do kamiennych ścian w niewielkim stopniu zmniejszały uczucie, że panuje tu wieczna noc. Wśród masywnych kolumn podtrzymujących sklepiony strop ciągnęły się długie rzędy półek z książkami.

Warren był w jednej z tylnych komnat. Wstęp do nich był zabroniony, miały własne drzwi i osłony. Ta, w której był Warren, mieściła najstarsze prorocत्व, spisane jeszcze w górnod'harańskim. Mało kto znał ów język; do owego wąskiego grona należał Warren i poprzedniczka Verny.

Ksieni weszła w krąg światła lampy, a pochylony nad stołem Warren tylko podniósł na nią wzrok.

- Phoebe powiedziała mi, że skorzystasz z podziemi - rzucił roztargnionym głosem.

- Muszę z tobą porozmawiać, Warrenie. Coś się wydarzyło. Przewrócił stronicę w leżącej przed nim księdze, nie spojrzawszy nawet na nią.

- Dobrze, zgoda.

Nachmurzyła się i przysunęła krzesło do stołu, lecz nie usiadła. Poruszeniem nadgarstka wsunęła do lewej dłoni dakrę. Dakra, ze srebrnym prętem zamiast ostrza, była używana jak nóż, ale to nie rana zabijała. Dakra była orężem przepojonym starożytną magią. W połączeniu z Han osoby, która się nim posługiwała, nóż ów - bez względu na rodzaj rany - gasił iskrę życia ofiary. Przed jego magiczną mocą nie było żadnej obrony.

Nachyliła się ku niemu, a Warren podniósł na nią zmęczone, zaczerwienione oczy.

- Chcę, żebyś to wziął, Warrenie.

- To oręż Sióstr.

- Masz dar, więc w twojej dłoni zadziała jak w mojej.

- Co mam z tym robić?

- Bronić się.

- O co ci chodzi? - Zmarszczył brwi.

- Siostry... - Obejrzała się na główne pomieszczenie. Nikogo tam nie było, jednak nie wiedziała, na jaką odległość słyszą osoby obdarzone magią

subtraktywną. Dosłyszały, jak Ksieni Annalina o nich mówiła. - No wiesz. - Zniżyła głos. - Twój dar, Warrenie, nie obroni cię przed nimi, a dakra tak. Przed nią nie ma ratunku. Żadnego. - Z gracją wynikającą z długiej praktyki okręciła nóż w dłoni, przesuając nim przy tym po palcach. Matowe srebro mignęło w blasku lampy. Verna uchwyciła ostrze i skierowała rękojeść ku Warrenowi. - Znalazłam w gabinecie dodatkową. Chcę, żebyś miał jedną.

Odmówił jej machnięciem ręki.

- Nie mam pojęcia, jak się tym posługiwać. Potrafię jedynie czytać stare księgi.

Verna chwyciła tuż przy szyi jego fioletową szatę i przyciągnęła do siebie twarz chłopaka.

- Powinieneś je pchnąć. Obojętnie w co: w brzuch, pierś, plecy, szyję, ramię, dłoń lub stopę. Po prostu pchnij osłonięty swoją Han, a umrą, zanim zdążysz mrugnąć okiem.

- Nie mam takich obcisłych rękawów jak ty. Wypadnie mi.

- Warrenie, dakra nie wie, gdzie ją trzymasz, i nie dba o to. Siostry ćwiczą godzinami i noszą ją w rękawie, żeby była pod ręką. Zabieramy ją, kiedy wyruszamy w podróż. Nie jest ważne, gdzie ją będziesz nosił. Liczy się tylko to, żebyś ją w ogóle nosił. Trzymaj dakrę w kieszeni, jeśli chcesz. Tylko przypadkiem na niej nie usiądź.

Z westchnieniem wziął nóż.

- Skoro cię to uszczęśliwi. Ale nie sądzę, żebym mógł kogoś pchnąć.

Verna puściła szatę Warrena i odwróciła wzrok.

- Zdziwisz się, co potrafisz zrobić, kiedy musisz.

- To po to przysłaś? Znalazłaś dodatkową dakrę?

- Nie. - Wyciągnęła z kieszonki w pasie małą książeczkę i położyła ją na stole przed Warrenem. - Z tego powodu przysłałam.

Zerknął na nią kątem oka.

- Wybierasz się dokądś, Verno?

- Co się z tobą dzieje? - Rozzłościła się i złapała go za ramię.

- Po prostu jestem zmęczony. - Odsunął na bok książeczkę. - Co jest takiego ważnego w książce podróźnej?

- Ksieni Annalina - powiedziała cicho Verna - zostawiła mi wiadomość, że powinnam pójść do jej prywatnego sanktuarium, które znajduje się w jej ogrodzie. Było osłonięte siecią z lodu i energii. - Warren uniósł brew, a

wtedy pokazała mu pierścień. - To otwiera wejście. W środku znalazłam tę książkę podróżną. Była zawinięta w papier, na którym napisano tylko: "Strzeż jej jak własnego życia".

Warren podniósł notesik i przekartkował czyste stroniczki.

- Prawdopodobnie chciała ci przesłać instrukcje.

- Przecież ona nie żyje. Znów znacząco poruszył brwią.

- A myślisz, że to by ją powstrzymało? Verna uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Może masz rację. Może drugą spaliliśmy wraz z nią, bo zamierzała kierować moim życiem ze świata zmarłych.

Warren ponownie sposępniał. - No to kto ją ma?

Verna wygładziła z tyłu suknię i usiadła. Przysunęła bliżej krzesło.

- Nie wiem. Obawiam się, że to może być swego rodzaju wskazówka. Może chciała w ten sposób powiedzieć, że jeśli odnajdę drugą książkę, to rozpoznam naszego wroga.

Warren zmarszczył czoło.

- To nie ma sensu. Dlaczego ci to przyszło na myśl?

- Sama nie wiem, Warrenie. - Verna przesunęła dłonią po twarzy. - To jedyne, co zdołałam wymyślić. Może ty wpadniesz na coś sensowniejszego? Z jakiego innego powodu nie powiedziałyby mi, kto ma drugi egzemplarz? Gdyby to był ktoś stojący po naszej stronie, ktoś, kto może nam pomóc, to powinna zdradzić mi jego imię lub przynajmniej napisać, że bliźniaczy notesik jest u przyjaciela.

- Tak przypuszczam. - Warren raz jeszcze wbił wzrok w stół. Verna zapanowała nad głosem, a potem spytała:

- Coś nie tak, Warrenie? Jeszcze nigdy cię takim nie widziałam.

Długo patrzyła w jego udręczone niebieskie oczy.

- Przeczytałem kilka prorocstw, które wcale mi się nie podobają. Przyjrzała się jego twarzy.

- A co mówią te prorocstwa?

Długo milczał, po czym dwoma palcami obrócił stronicę i pchnął ją ku Vernie. Podniosła ją i przeczytała na głos:

- *Kiedy Ksieni i Prorok ofiarowani zostaną Światłu w świętej ceremonii płomienie sprawią, iż rozgorzeją podstępny i przebiegłość i na szczyty wyniosą fałszywą Ksienię, która władać będzie poza kres Pałacu Proroków. Na północy ów związany z mieczem*

porzuci go dla srebrnej sylfy, albowiem na powrót tchnie w nią życie, ona zaś wyda go w ręce niegodziwca.

Verna przełknęła ślinę i nie miała odwagi spojrzeć Warrenowi w oczy. Odłożyła kartę na stół i splotła dłonie, żeby ukryć ich drżenie. Siedziała w milczeniu, z opuszczonym wzrokiem, nie wiedząc, co powiedzieć.

- To proroctwo prawdziwego rozgałęzienia - odezwał się w końcu Warren.

- To bardzo zuchwałe stwierdzenie, Warrenie, nawet jak na kogoś tak utalentowanego w dziedzinie proroctw jak ty. Jak stare jest to proroctwo?

- Nie ma jeszcze dnia. Podniosła nań wielkie oczy.

- Co? - wyszeptała. - Warrenie, czy chcesz powiedzieć, że ono... że to twoje proroctwo? Że w końcu przedstawiłeś prawdziwe proroctwo?

- Tak. - Popatrzył na nią zaczerwienionymi oczami. - Wpadłem w rodzaj transu i w tym uniesieniu ujrzałem wizję fragmentów tego proroctwa oraz usłyszałem słowa. Przypuszczam, że coś takiego przytrafiało się Nathanowi. Pamiętasz, jak powiedziałem, że zaczynam rozumieć proroctwa w taki sposób jak nigdy przedtem? Proroctwa mają być rozumiane poprzez wizje.

- Ależ proroctwa są zawarte w księgach - Verna zatoczyła krąg dłonią - a nie w wizjach. Te słowa przynoszą przepowiednie.

- Słowa są tylko sposobem ich zapisywania i mają być kluczami do wyzwania wizji w kimś, kto ma proroczy dar. Wszystkie prace, jakie Siostry wykonały przez ostatnie trzy tysiące lat, doprowadziły zaledwie do częściowego rozumienia proroctw. Słowa miały przekazać czarodziejom wiedzę poprzez wizje. Zrozumiałem to, kiedy sam miałem wizję. To wyglądało tak, jakby w moim umyśle otworzyły się jakieś drzwi. Przez cały ten czas klucz był w mojej głowie.

- To znaczy, że możesz przeczytać jakiegokolwiek z tych proroctw i będziesz miał wizję, która ujawni jego prawdziwe znaczenie?

Warren potrząsnął głową.

- Jestem jak dziecko, które zrobiło pierwszy w swoim życiu krok. Czeka mnie jeszcze długa droga, nim będę mógł przeskakiwać przez płotki.

Verna spojrzała na leżącą na stole kartę, odwróciła wzrok i okręciła pierścień na palcu.

- A czy twoja wizja naprawdę znaczy to, co mi się wydaje? Warren oblizał wargi.

- Tak jak pierwszy krok dziecka nie jest zbyt pewny, tak i to proroctwo nie jest najpewniejsze. Można by to uznać za wprawkę, za proroctwo ćwiczebne. Znalazłem w księgach podobne do mojego proroctwa, które również można by uznać za wprawki...

- Warrenie! Prawdziwe czy nie! Obciągnął rękawy.

- Prawdziwe, ale słowa, jak we wszystkich proroctwach, choć zgodne z prawdą, wcale nie muszą oznaczać tego, co się na pierwszy rzut oka wydaje.

Verna pochyliła się ku niemu i zgrzytnęła zębami.

- Odpowiedz na pytanie, Warrenie. Tkwimy w tym razem. Muszę wiedzieć.

Machnął ręką jak zwykle, kiedy chciał umniejszyć znaczenie czegoś. Jednak dla Verna gest ów był sygnałem ostrzegawczym.

- Słuchaj, Verno, powiem ci, co wiem, co zobaczyłem w wizji, lecz choć to moje proroctwo, jest to dla mnie nowość i nie wszystko rozumiem.

Nie odwróciła gniewnego wzroku.

- Mów, Warrenie.

- Tb nie ty jesteś Ksienią z proroctwa. Nie wiem, kto to, ale to na pewno nie ty.

Verna zamknęła oczy i westchnęła.

- Tb nie aż tak źle, jak myślałam, Warrenie. Przynajmniej to nie ja uczynię ową okropną rzecz. Możemy się postarać, żeby proroctwo okazało się fałszywym odgałęzieniem.

Warren odwrócił wzrok. Włożył kartę ze swoim proroctwem do otwartej książki i zatrzasnął ją.

- Jeżeli ktoś inny będzie Ksienią, Verno, to oznacza, że ty umrzesz.

ROZDZIAŁ 23

Poczuł słodką mękę pragnienia i wiedział, choć jej nie dostrzegł, że weszła do komnaty. Nozdrza wypełnił mu jej niezapomniany zapach i aż do bólu zapragnął się poddać. Nie potrafił określić istoty zagrożenia, podobnie jak przelotnego drgnięcia we mgle, lecz odległą cząstką umysłu czuł, że istniało, i owo rozkoszne ryzyko także go ekscytowało.

Z desperacją człowieka atakowanego przez silniejszego nieprzyjaciela sięgnął ręką do głowni miecza. Zamierzał w ten sposób odzyskać stanowczość, odrzucić chęć skapitulowania. Lecz nie namiętnie szukał, a ostrych ukąszeń gniewu, furii, która by go podtrzymała i dała mu wolę oporu. Powinien to zrobić. Musi. Wszystko od tego zależało.

Zacisnął dłoń na rękojeści i poczuł, jak furia wlewa się w jego ciało i umysł.

Kiedy Richard podniósł wzrok, spostrzegł, jak przez tłum zbliżają się ku niemu górujący nad innymi wzrostem Ulic i Egan. Nawet gdyby ich nie ujrzał, nie dostrzegł odstępów między nimi, i tak wiedziałby, że ona tam jest. Żołnierze i dygnitarze rozstępowali się, robiąc przejście dwóm wielkoludom i ich podopiecznej. Głowy pochylały się falami. Chłopakowi kojarzyło się to z kręgami na powierzchni stawu. Jedni szeptali do drugich. Richard przypomniał sobie, że przepowiednie nazywały go również kamiem w stawie, twórcą kręgów w świecie istot żywych.

A potem ją zobaczył.

Dławiła go tęsknota i pragnienie. Ubrana była w tę samą różową jedwabną suknię, którą włożyła wieczorem, ponieważ nie miała żadnych strojów na zmianę. Przypomniał sobie, iż mówiła, że śpi nago. Czuł, jak wali mu serce.

Z ogromnym wysiłkiem zmusił się do myślenia o czekającym go zadaniu. Spojrzała wielkimi oczami na znanych sobie żołnierzy. Byli jej keltońską gwardią pałacową. Teraz nosili d'haranskie uniformy.

Richard wstał wcześniej, żeby wszystko przygotować. Zresztą i tak nie mógł spać, a krótkie chwile drzemki zakłócały mu tęskne marzenia.

Kahlan, ukochana, czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć te sny? - pomyślał.

Wiedział, że liczne d'haranskie oddziały w Aydindril muszą mieć najrozmaitsze zaopatrzenie, nakazał więc wydanie mundurów. Pozbawieni broni Keltończycy nie mogli się sprzeciwić. Kiedy jednak włożyli ciemne skóry i kolczugi i przekonali się, jak bojowo w nich wyglądają, zaczęli uśmiechać się z aprobatą. Powiedziano im, że Kelton stanowi teraz część D'Hary, i oddano broń. Stali szeregiem, dumnie wyprostowani, i mieli oko na przedstawicieli innych krain, które się jeszcze nie poddały.

Okazało się, że pechowa burza, która umożliwiła ucieczkę Brogana, przyniosła dla równowagi i dobre skutki. Dygnitarze chcieli przeczekać fatalną pogodę, dlatego też Richard skorzystał z tego, co ofiarował mu los, i ponownie sprowadził ich do pałacu, nim zdołali wyjechać późnym rankiem. Obecni byli tylko najważniejsi, najwyżej postawieni. Pragnął, żeby byli świadkami poddania się Keltonu, jednej z najpotężniejszych krain Midlandów. Pragnął udzielić im ostatniej lekcji.

Cathryn weszła na stopnie z boku podwyższenia i Richard wstał. Księżna przesunęła wzrokiem po obserwujących ją twarzach. Berdine odsunęła się, robiąc jej miejsce. Chłopak rozmieścił trzy Mord-Sith na krańcach podwyższenia, żeby nie stały zbyt blisko niego. Nie ciekawiło go nic, co mogłyby powiedzieć.

Piwnie oczy Cathryn spojrzały wreszcie na niego i ledwo utrzymał się na nogach. Zaczęła mu drętwieć lewa dłoń, którą zaciskał na rękojeści miecza. Richard przypomniał sobie, że wcale nie musi dotykać oręża, by władać jego magią, więc puścił głównię i poruszył palcami, żeby przywrócić w nich czucie. Rozmyślał nad czekającymi go zadaniami.

Kiedy Siostry Światła starały się go nauczyć, jak ma dotknąć swojej Han, mówiły, by posługiwał się jakimś wyobrażeniem pomagającym w skoncentrowaniu wewnętrznej woli. Richard wyobrażał sobie wówczas Miecz Prawdy. Teraz również zdecydowanie przywołał jego obraz.

Ale miecz nie przyda się na nic w walce z zebranymi przed nim ludźmi. Dzisiaj będą przydatne zręczne posunięcia obmyślane przy pomocy generała Reibischa, jego oficerów i mądrych członków pałacowego personelu, którzy również wzięli udział w przygotowaniach. Richard miał nadzieję, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

- Richardzie, co...

- Witaj, księżno. Wszystko zostało przygotowane. - Chłopak ujął jej dłoń i

ucałował w sposób, który uznał za godny królowej witanej przed audytorium. Lecz jej dotyk jeszcze bardziej go tylko rozpałił. - Wiem, że chciałabyś, by przedstawiciele wszystkich krain byli świadkami twojej odwagi, dzięki której pierwsza przyłączasz się do nas w walce przeciwko Imperialnemu Ładowi i pierwsza zrywasz konfederację Midlandów.

- Aleja... no tak... oczywiście.

Spojrzał na obserwujące ich twarze. Dygnitarze byli o wiele cichsi i uleglejsi niż ostatnim razem. Czekali w napięciu.

- Księżna Lumholtz, która, jak wiecie, zostanie wkrótce królową Keltonu, przyłączyła swój lud do sprawy pokoju i pragnie, żebyście byli świadkami podpisania przez nią świadectwa poddania się.

- Richardzie - szepnęła, pochylając się odrobinę ku niemu - powinnam... dać je najpierw do przejrzenia naszym adwokatom... żeby upewnić się, iż wszystko jest jasne i nie będzie żadnych nieporozumień.

Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Choć jestem pewny, że uznasz je za zupełnie jednoznaczne, przewidziałem twoją ostrożność i pozwoliłem sobie zaprosić ich na uroczystość parafowania.

Richard wskazał w drugi koniec podwyższenia. Raina ujęła ramię jakiegoś człowieka i wciągnęła go po schodkach.

- Mistrzu Sifold, zechciej zapoznać swoją przyszłą królową z opinią specjalisty.

Mistrz Sifold się skłonił.

- Jak rzekł lord Rahl, księżno, owe dokumenty są zupełnie jednoznaczne. Nie istnieje możliwość błędnej interpretacji.

Richard wziął ze stołu bogato zdobiony dokument.

- Księżno, za twoim przyzwoleniem chciałbym to odczytać zebrany, by przekonali się, że Kelton pragnie, aby połączenie naszych sił było jednoznaczne i bezwarunkowe. Żeby docenili twoje męstwo.

Wyprostowała się dumnie przed spoglądającymi na nią przedstawicielami innych krain.

- Tak. Uczyn to, lordzie Rahlu.

Richard spojrzał na uniesione ku nim twarze.

- Wysłuchajcie go cierpliwie, proszę. To nie jest długi dokument. - Uniósł kartę i odczytał: - Niechaj wszystkie ludy wiedzą, iż niniejszym Kelton bez

zastrzeżeń i warunków poddaje się D'Harze. Podpisałam własną ręką jako prawowita przywódczyni keltońskiego ludu, księżna Lumholtz.

Richard odłożył dokument na stół i zanurzył pióro w atramencie, a następnie podał je Cathryn. Stała sztywna i nieruchoma.

Jej twarz poszarzała. Bał się, że się sprzeciwi, więc nie miał wyboru. Zacerpnął moc z sił, które, jak wiedział, mogły mu być później potrzebne, i przyłożył usta do jej ucha, znosząc w milczeniu dręczącą falę pragnienia wywołanego ciepłem jej ciała.

- Czy zechciałabyś pójść ze mną na spacer, Cathryn, kiedy już z tym skończymy? Tylko ty i ja? Tylko o tobie śniłem.

Jej policzki odzyskały barwę. Podejrzewał, iż otoczy mu szyję ramieniem, i podziękował duchom, że tego nie uczyniła.

- Oczywiście, Richardzie - szepnęła. - I ja tylko o tobie śniłam. Skończmy już z tymi formalnościami.

- Spraw, żebym był dumny z ciebie i z twojej siły.

Richard pomyślał, że jej uśmiech mógłby przyprowadzić o rumieniec dygnitarzy zebranych w komnacie. Czuł, jak pałą go uszy, tak był on obiecujący.

Cathryn wzięła pióro, musnąwszy przy tym dłoń chłopaka, i uniosła je wysoko.

- Podpisuję ów dokument piórem gołębiczy na znak, że czynię to z własnej woli i pokojowo, a nie jako pokonana. Czynię to z miłości do mojego ludu i z nadzieją na przyszłość. Moją nadzieją jest ten oto człowiek, lord Rahl. W imieniu mojego ludu przysięgam dozągoną zemstę każdemu z was, kto zechciałby skrzywdzić lorda Rahla.

Pochyliła się i złożyła podpis pod dokumentem. Zanim zdążyła się wyprostować, Richard wydobyl i podsunął jej kolejne papiery. - Co...

- Pisma, o których mówiłaś, księżno. Nie chciałem obciążać cię owym zajęciem, skoro możemy lepiej wykorzystać czas. Twój pomocnik pomógł mi je sporządzić. Sprawdź, proszę, czy wszystko jest tak, jak planowałaś, kiedy wieczorem przedstawiłaś mi swoją propozycję. Porucznik Harrington z twojej gwardii pałacowej wspomógł mnie, podając nazwiska generała Baldwina, dowódcy całej keltońskiej armii, generałów dywizji Cuttera, Leidena, Nesbita, Bradforda i Emersona oraz nazwiska kilku dowódców straży. Na twój podpis czeka list do każdego z nich, który nakazuje im

przekazanie dowództwa moim d'haranskim oficerom. Niektórzy z oficerów twojej pałacowej gwardii będą towarzyszyć oddziałowi moich ludzi i nowym dowódcom.

Twój przyboczny doradca, mistrz Montleon, służył nieocenioną pomocą przy zaleceniach dla ministra finansów Pelletiera, mistrza Carlisle'a, wicezarządcy planowania strategicznego, gubernatorów kierujących komisją handlu: Camerona, Tucka, Spoonera i Ashmore'a, oraz dla Levardsona, Doudieta i Faulkighama z biura handlu.

Koadiutant Schaffer pomógł sporządzić listę twoich burmistrzów. Nie chcieliśmy nikogo urazić, pomijając jego nazwisko, więc kilku pomocników pomogło mu zestawić kompletny spis. Są tu listy do każdego z nich, lecz, rzecz jasna, każdy zawiera te same instrukcje, musisz zatem sprawdzić tylko jeden i spokojnie podpisać resztę. Roześlemy je natychmiast. Kurierzy już czekają. Każdemu będzie towarzyszył żołnierz twojej gwardii, żeby zapobiec ewentualnemu zamieszaniu. Zgromadziliśmy tu wszystkich służących tobie gwardzistów, by widzieli, jak składasz podpis.

Richard odetchnął i wyprostował się, a Cathryn, wciąż trzymając pióro w powietrzu, wpatrywała się niepewnie w dokumenty, które chłopak przed nią położył. Otoczyli ją jej doradcy, dumni z ogromu wykonanej w tak krótkim czasie pracy.

Richard raz jeszcze pochylił się ku niej.

- Mam nadzieję, Cathryn, że zrobiłem wszystko zgodnie z twoimi życzeniami. Mówiłaś, że sama się tym zajmiesz, lecz nie chciałem być z dala od ciebie, kiedy trudziłabyś się nad tym, dlatego też wstałem wcześniej i zająłem się tym za ciebie. Jesteś zadowolona?

Spojrzała na listy i odsunęła je na bok, żeby przejrzeć te, które leżały poniżej.

- Tak... oczywiście.

- Może usiądziesz? - Richard podsunął jej krzesło. Usiadła i zaczęła podpisywać pisma, a chłopak przesunął miecz i usiadł obok niej, na krześle Matki Spowiedniczki. Patrzył na obserwujących ich ludzi i nasłuchiwał skrzypienia pióra. Nie wyciszony do końca gniew pomagał mu się skoncentrować. Spojrzał na uśmiechniętych keltońskich urzędników, którzy otaczali jej krzesło.

- Tego ranka oddaliście mi cenne usługi. Byłbym zaszczycony, gdybyście

zechcieli to kontynuować już oficjalnie. Na pewno przydałyby mi się wasze talenty w zarządzaniu rozrastającą się DTIarą.

Pokłonili mu się i podziękowali za wielkoduszność, a Richard znów spojrzał na ludzi, którzy w milczeniu obserwowali to, co się działo. Dliarańscy żołnierze, a zwłaszcza oficerowie, spędzili w Aydindril wiele miesięcy i sporo dowiedzieli się o midlandzkim handlu. Przez te cztery dni, podczas których szukali Brogana, Richard nauczył się od nich, ile tylko zdołał, i wykorzystał ową wiedzę tego ranka. Gdy wiedział już, o co pytać, pani Sanderholt okazała się istną kopalnią wiadomości zebranych przez lata przygotowywania dań kuchni rozmaitych krain. Jak się okazało, żywność była księgą wiadomości o ludziach. Przydało się też czułe ucho Pierwszej Kucharki.

- Niektóre z podpisywanych przez księżnę dokumentów to zalecenia dotyczące handlu - powiedział oficjelom, wodząc oczami po ramionach pochylonej Cathryn. Zmusił się, żeby odwrócić wzrok. - Musicie zrozumieć, że skoro Kelton jest teraz częścią D'Hary, to nie będzie żadnego handlu pomiędzy nim a tymi, którzy się do nas nie przyłączyli.

Richard spojrzał na niskiego, okrągłego mężczyznę z kędzierzawą szpakowatą brodą.

- Zdaję sobie sprawę, reprezentancie Garthram, że postawi to Lifanię w niedogodnej sytuacji. Kiedy granice Galei i Keltonu zostaną zamknięte przed każdym, kto nie należy do D'Hary, będziecie mieć wielkie trudności w handlu. Z Galeą i Keltonem na północy, D'Hara na wschodzie, a górami Rang'Shada na zachodzie straciecie źródło zaopatrzenia w stal. Większość waszej stali pochodzi z Keltonu, a Keltończycy kupują od was ziarno, lecz teraz Kelton będzie je kupował w Galei. Obie krainy należą obecnie do D'Hary, więc nie ma powodu, żeby stare animozje przeszkadzały im w handlu. Ich wojska są z kolei pod moim dowództwem i zamiast marnować czas na wzajemne pilnowanie się, zajmą się uszczelnianiem granic. D'Hara, rzecz jasna, spożytkuje keltońskie żelazo i stal. Sugeruję, byście znaleźli inne ich źródło, i to szybko, bo Imperialny Ład prawdopodobnie przypuści atak od południa. Podejrzewam, że właśnie przez terytorium Lifanii Nie pozwolę, by choć jeden żołnierz przelał krew w obronie krain, które jeszcze nie przyłączyły się do nas, i nie zamierzam nagradzać przywilejami handlowymi niezdecydowania.

Chłopak przesunął wzrok na wysokiego, chudego mężczyznę z wianuszkami rzadkich siwych włosów okalającym guzowatą czaszkę.

- Ambasadorze Bezancort, z żalem informuję pana, iż list do keltońskiego gubernatora Camerona zawiadamia go, że z tą chwilą tracą ważność wszelkie porozumienia z pańską ojczystą Sanderią. Nabiorą one ponownie mocy dopiero wówczas, gdy i ona stanie się częścią D'Hary. Po zimie Sanderia nie będzie mogła przepędzić swoich stad na wiosnę i na lato w góry Keltonu.

Twarz wysokiego mężczyzny straciła cały rumieniec, który zaczął się na niej pojawiać.

- Ależ lordzie Rahlu, przecież nie mamy dla nich miejsca na wiosnę i na lato. Zimą nasze równiny są bujnymi pastwiskami, lecz latem zmieniają się w brązowy, wypalony ugór. Cóż mamy zrobić?

Richard wzruszył ramionami.

- Chyba będziecie musieli wyrznąć wasze stada, żeby ocalić, co się da, zanim padną z głodu.

Ambasadora zatkąło.

- Te uzgodnienia funkcjonują od stuleci, lordzie Rahlu. Cała nasza gospodarka oparta jest na hodowli owiec.

- To nie moja sprawa. Ja troszczę się o tych, którzy są po naszej stronie.

Ambasador Bezancort uniósł ręce w błagalnym geście.

- Mój lud popadnie w nędzę, lordzie Rahlu. Jeśli będziemy musieli wyrznąć nasze stada, cała kraina zostanie zniszczona.

Natarczywie zbliżył się do niego reprezentant Theriault.

- Nie możesz dopuścić, by wybito te stada. Herjborgue jest zależna od wełny z Sanderii. To... to... by zrujnowało nasze manufaktury.

- A wtedy nie mogliby handlować z nami - odezwał się kolejny. - My zaś nie moglibyśmy kupić tego, co nie rośnie na naszej ziemi.

Richard pochylił się ku nim.

- Więc sugeruję, byście przedstawili te argumenty swoim wodzom i uczynili, co w waszej mocy, by przekonać ich, że jedynym wyjściem jest poddanie się nam. Im prędzej to zrobicie, tym lepiej. - Spojrzał na innych dygnitarzy. - Ponieważ jesteście wzajemnie od siebie zależni, z pewnością błyskawicznie uświadomicie sobie wartość zjednoczenia się. Kelton jest teraz częścią D'Hary. Trasy handlowe będą zamknięte dla wszystkich tych,

którzy się do nas nie przyłączą. Już warn powiedziałem, że nikt nie będzie stał z boku.

Gwar protestów, wezwań i błagań wypełnił komnatę Naczelnej Rady. Richard wstał i wszyscy umilkli. Ambasador Sanderii oskarżycielsko uniósł kościsty palec.

- Jesteś bezlitosny.

Richard przytaknął, a w jego oczach zapłonął magiczny gniew.

- Nie zapomnij tego powiedzieć Imperialnemu Ładowi, jeżeli się do niego przyłączycie. - Przeniósł wzrok na pozostałych. - Pod przewodnictwem Naczelnej Rady i Matki Spowiedniczki mieliście pokój i jedność. Podczas gdy Matka Spowiedniczka walczyła gdzie indziej za was i wasze ludy, odrzuciliście ową jedność dla próżnej ambicji, dla czystej chciwości. Zachowaliście się jak bijące się o ciastko dzieci. Mieliście okazję podzielić się nim, jednak woleliście je ukraść słabszym. Jeżeli przyjdziecie do mojego stołu, będziecie się musieli odpowiednio zachowywać, ale każdy z was będzie mieć chleb.

Tym razem nikt nic nie powiedział. Richard obciągnął na ramionach swoją pelerynę mriswitha, gdyż spostrzegł, że Cathryn skończyła podpisywać dokumenty i patrzy na niego wielkimi, piwnymi oczami. Gniew miecza stopniał w ciepłe jej spojrzenia. Chłopak znów spojrzał na zgromadzonych i gniew zniknął z jego głosu.

- Pogoda jest bezchmurna. Dobra do podróży. Im szybciej przekonacie swoich wodzów, żeby przystali na moje warunki, tym mniej niedogodności spotka wasze ludy. Nie chcę, by ktokolwiek cierpiał... - Umilkł.

Cathryn stanęła obok niego i spojrzała na tych, których tak dobrze знаła.

- Zróbcie tak, jak żąda lord Rahl. Poświęcił warn już wystarczająco dużo swojego czasu. - Odwróciła się ku jednemu ze swoich doradców. - Sprowadź natychmiast moją odzież. Zatrzymam się tutaj, w Pałacu Spowiedniczek.

- Dlaczego ona tu zamieszka? - spytał jeden z ambasadorów, podejrzliwie marszcząc czoło.

- Jak wiesz, jej męża zabił mriswith - odparł Richard. - Ona zaś zostaje tu dla swojego bezpieczeństwa.

- Uważasz, że i nam grozi niebezpieczeństwo?

- Całkiem możliwe - powiedział chłopak. - Mąż księżnej był doskonałym fechnistrzem, a mimo to... Cóż, mam nadzieję, że zachowacie ostrożność.

Jeśli przyłączycie się do nas, to i wy będziecie mogli zamieszkać w pałacu pod ochroną mojej magii. Jest tu całe mnóstwo komnat gościnnych, lecz zostaną puste dopóty, dopóki się nie poddacie.

Zebrani ruszyli ku drzwiom, szepcząc do siebie z troską.

- Możemy już iść? - spytała omdlewająco Cathryn.

Richard wykonał swoje zadanie i poczuł, jak nagłą pustkę wypełnia jej obecność. Ujęła go pod ramię i ruszyli ku wyjściu, a on wezwał na pomoc resztki woli, by zatrzymać się na skraju podwyższenia, gdzie stali Ulic i Cara.

- Miejcie nas cały czas na oku. Zrozumiano?

- Tak, lordzie Rahlu - odparli.

Cathryn pociągnęła go za ramię i skłoniła, by podsunął jej ucho.

- Richardzie. - Ciepłe tchnienie niosące jego imię sprawiło, że przeszył go dreszcz pożądania. - Powiedziałeś, że będziemy sami. Chcę być z tobą sama. Całkiem sama. Hmm?

To z tej właśnie chwili Richard zaczerpnął wówczas sił. Nie potrafił już dłużej utrzymać w myślach obrazu miecza. W desperacji zastąpił go twarzą Kahlan.

- Wokół czyha niebezpieczeństwo, Cathryn. Czuję je. Nie chcę beztrąsko ryzykować twojego życia. Będziemy sami wtedy, kiedy nie wyczuję żadnego niebezpieczeństwa. Spróbuj to, proszę, zrozumieć. Tylko teraz.

Wyglądała na rozgniewaną, ale potakująco skinęła głową. - Tylko teraz.

Gdy schodzili z podwyższenia, Richard zauważył spojrzenie Cary.

- Za nic na świecie nie spuszczaaj nas z oczu.

ROZDZIAŁ 24

Phoebe rzuciła raporty na jedyne wolne jeszcze miejsce na błyszczącym blacie orzechowego stołu.

- Mogę spytać o coś osobistego, Verno?

Ksieni postawiła swoje inicjały pod pismem z kuchni, w którym proszono o wymianę przepalonych kotłów.

- Ód tak dawna się przyjaźnimy, Phoebe. Możesz pytać, o co chcesz.

Ponownie przejrzała podpisane już pismo i pod swoimi inicjałami dopisała odmowę oraz nakaz naprawy starych kotłów. Przypomniała sobie, że należy się uśmiechnąć.

- Pytaj, Phoebe.

Krągłe policzki Phoebe oblał rumieniec. Wykręcała sobie palce.

- Nie chcę cię oczywiście obrazić, ale jesteś w wyjątkowej sytuacji, no i nie mogłabym o to zapytać nikogo innego, tylko taką przyjaciółkę jak ty. - Odkasznęła. - Jak to właściwie jest się starzeć?

Verna parsknęła śmiechem.

- Jesteśmy rówieśnikami, Phoebe.

Phoebe otarła dłonie o zieloną suknię, a Verna czekała.

- Nooo... taak... ale nie było cię tutaj ponad dwadzieścia lat. I o tyle się postarzałaś, podobnie jak ci wszyscy, którzy żyją poza pałacem. Ja będę taka jak ty teraz dopiero za jakieś trzysta lat. Ty zaś... ty wyglądasz jak kobieta, która ma blisko... czterdzieści lat.

- Cóż, podróż może cię tak zmienić - westchnęła Verna. - Przynajmniej mnie zmieniła.

- Nie chcę wyruszyć w podróż i się postarzeć. Czy to boli, tak się nagle postarzeć? Czy czujesz... Nie wiem... Czy masz wrażenie, że nie jesteś już atrakcyjna i że życie nie jest już słodkie? Lubię być pociągająca dla mężczyzn. Nie chcę się postarzeć jak... To mnie martwi.

Verna odsunęła się od stołu i odchyliła na oparcie krzesła. Miała ogromną ochotę udusić tę babę, ale wytłumaczyła sobie, że jest to szczere pytanie przyjaciółki, które wynika z niewiedzy. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Sądzę, że każdy patrzy na to z własnego punktu widzenia, ale mogę ci

powiedzieć, co to znaczy dla mnie. Tak, Phoebe, to trochę boli, kiedy wie się, że coś bezpowrotnie odeszło. To tak, jakby ktoś ukradł mi młodość, gdy się zagapiłam, gdy oczekiwałam, że moje życie dopiero się zacznie. Lecz Stwórca równoważy to pewnymi korzyściami.

- Korzyściami? Jakież można mieć z tego korzyści?

- Cóż, w głębi jestem wciąż sobą sprzed lat, tyle że jestem mądrzejsza. Lepiej sama siebie rozumiem, lepiej wiem, czego chcę. Doceniam rzeczy, które przedtem lekceważyłam. Wyraźniej widzę, co jest naprawdę ważne w pracy dla Stwórcy. Przypuszczam, że mogłabyś powiedzieć, iż jestem bardziej zadowolona i mniej martwię się tym, co inni o mnie myślą. Postarzałam się, ale to nie zmniejszyło mojej tęsknoty za innymi. Znajduję pociechę u przyjaciół i w dalszym ciągu pragnę mężczyzn, choć teraz inaczej na nich patrzę. O wiele mniej interesują mnie ci, którzy nie są dojrzałi. Sama młodość nie wystarczy, żeby rozpałcić moje uczucia, a prostoduszni mężczyźni są mniej pociągający.

Phoebe otworzyła szeroko oczy. Pochyliła się ku Vernie.

- Naprawdę? Pociągają cię starsi mężczyźni??? Verna zapanowała nad głosem.

- Starsi, Phoebe, to znaczy w moim wieku. Jakimi ty się interesujesz? Pięćdziesiąt lat temu nie poszłabyś na spacer z chłopakiem mającym tyle lat, ile ty masz teraz. Dziś jednak wydaje ci się to normalne, bo jesteś w ich wieku. Natomiast chłopcy, z którymi przedtem chodziłaś, obecnie wydają ci się niedojrzali. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Chyba... tak.

Verna wyczytała w jej oczach, że nic nie pojęła.

- Kiedy się tu zjawiłyśmy, takie młodziutki jak te dziewczuszki w podziemiach, nowicjuszeki Helen i Valery, to co myślałaś o kobietach, które miały tyle lat ile ty teraz?

Phoebe przysłoniła usta dłonią i zachichotała.

- Uważałam, że są okropnie stare. Nie sądziłam, że sama dożyję tego wieku.

- A dziś jak oceniasz swój wiek?

- Och, wcale nie jest sędziwy. Musiałam wtedy być głupiutka. Odpowiada mi mój wiek. Wciąż jestem młoda.

-I podobnie jest ze mną. - Verna wzruszyła ramionami. - Widzę siebie w

podobny sposób jak ty siebie. Już nie uważam, że starsi są po prostu starzy, gdyż wiem, że są tacy sami jak ty czy ja. Postrzegają siebie dokładnie tak jak i my.

Młoda kobieta skrzywiła się.

- Chyba cię rozumiem, mimo to jednak wciąż nie chcę się postarzeć.

- Phoebe, w świecie poza pałacem przeżyłabyś już trzy życia. Stwórca ofiarował nam wielki, cenny dar. Tu, w Pałacu Proroków, możemy przeżyć tak wiele lat, byśmy miały czas nauczyć młodych czarodziejów, jak posługiwać się magicznym darem. Docień to, co ci ofiarowano, ponieważ to wyjątkowy dar, którym mogą się radować tylko nieliczni.

Phoebe z wolna skinęła głową i delikatnie zmrużyła oczy, w których Verna niemal widziała wyteżoną pracę myśli.

- To bardzo mądre, Verno. Nie wiedziałam, że jesteś taka mądra. Zawsze uważałam, że jesteś bystra, lecz nigdy przedtem nie wydawałaś mi się mądra.

- To też jedna z zalet. - Verna się uśmiechnęła. - Młodszy od ciebie sądzą, że jesteś mądra. W świecie niewidomych jednooka mogłaby być królową.

- Ale to przerażające, patrzeć, jak ciało się marszczy i obwisa.

- To następuje stopniowo. Przyzwyczajasz się do tego, że się starzejesz. Mnie przeraża to, że mogłabym znów być w twoim wieku.

- Dlaczego?

Verna chciała odpowiedzieć, że dlatego, iż nie chciałyby paradować z tak niedojrzałym umysłem, ale znów się napomniała, że ona i Phoebe przez długi czas były przyjaciółkami.

- - Och, chyba dlatego, że już doświadczyłam kilku życiowych przykrości, co ciebie dopiero czeka, i wiem, jaki sprawiają ból.

- Co to za przykrości?

- Każdy ma chyba inne. Każda z nas musi iść własną ścieżką. Phoebe zacisnęła dłonie i jeszcze bardziej się pochyliła.

- Ajakie przykrości spotkały cię na twojej ścieżce, Verno? Verna wstała i zakorkowała buteleczkę atramentu. Zapatrzyła się w stół, ale go nie widziała.

- Sądzę - powiedziała głucho - że najgorsze z tego wszystkiego było wrócić i zastać Jedidiaha patrzącego na mnie takimi oczami jak ty. Jedidiaha, który widział pomarszczoną, zaszuszoną, starą, nieatrakcyjną jędzę.

- Ależ Verno, ja wcale a wcale nie chciałam...
- Czy rozumiesz przynajmniej tkwiącą w tym przykrość?
- Cóż, chodzi o to, że uznał cię za starą i brzydką, choć wcale taka nie jesteś...

Verna potrząsnęła głową.

- Nie. - Spojrzała Phoebe w oczy. - Nie. Przykre było dla mnie odkrycie, że liczyła się tylko powierzchowność, że to, co jest tutaj - postukała się w głowę - nigdy nie miało dlań najmniejszego znaczenia. Interesowało go tylko ciało.

A gorsze jeszcze od owego spojrzenia Jedidiaha było odkrycie, że przeszedł na stronę Opiekuna. Żeby ratować życie Richarda, kiedy Jedidiah chciał go zabić, Verna wbiła dakrę w plecy byłego ukochanego. Jedidiah zdradził nie tylko ją, ale i Stwórcę. Wraz z nim umarła część Verny.

Phoebe wyprostowała się nieco zakłopotana.

- Tak, chyba rozumiem, co masz na myśli, kiedy mężczyźni... Verna przerwała jej ruchem dłoni.

- Mam nadzieję, Phoebe, że ci pomogłam. Rozmowa z przyjacielem zawsze się przydaje. - W jej głosie zabrzmiał władczy ton. - Czy ktoś czeka na posłuchanie?

Phoebe zamrugnęła.

- Na posłuchanie? Nie, dziś nie.

- To dobrze. Chciałabym się pomodlić i poprosić Stwórcę o wskazówki. Czy ty i Dulcinia mogłybyście upleść zasłonę wokół drzwi? Nie życzę sobie, by ktoś mi przeszkadzał.

Phoebe dygnęła.

- Oczywiście, Ksieni. - Uśmiechnęła się serdecznie. - Dziękuję za rozmowę, Verno. Było zupełnie jak w dawnych czasach, w naszej komnatce, kiedy kazano nam spać. - Rzuciła okiem na stosy papierów. - A co będzie z raportami? Jeszcze bardziej się opóźnią.

- Jestem Ksienią i nie mogę zapominać, że to Światło kieruje pałacem i Siostrami. Muszę się również modlić i prosić o jego wskazówki. W końcu wszystkie jesteśmy Siostrami Światła.

W oczach Phoebe znów pojawił się lęk. Najwyraźniej uważała, że wraz z objęciem swojego zaszczytnego stanowiska Verna w pewnym stopniu stała się nadczłowiekiem i w cudowny sposób mogła dotykać dłoni Stwórcy.

- Oczywiście, Ksieni. Dopilnuję, żeby osłona znalazła się na miejscu. Nikt

nie przeszkodzi Ksieni w medytacji.

Nim Phoebe wyszła, Verna zawołała ją spokojnym tonem i spytała:

- Dowiedziałaś się czegoś o Christabel? Phoebe z nagłym niepokojem odwróciła wzrok.

- Nie. Nikt nie wie, gdzie się podziała. Nie wiemy również, dokąd odeszły Amelia i Janet.

Cała piątka - Christabel, Amelia, Janet, Phoebe i Verna - przyjaźniła się, razem dorastała w pałacu. Verna najbardziej zbliżyła się z Christabel, choć wszystkie odrobinę jej zazdrościły. Stwórca obdarzył dziewczynę wspaniałymi jasnymi włosami i urodziwą buzią, a także życzliwością i serdecznością.

To niepokojące, że wszystkie trzy przyjaciółki zniknęły. Siostry opuszczały niekiedy pałac, żeby odwiedzić rodziny, lecz najpierw prosiły o pozwolenie. Poza tym rodziny tych trzech już dawno zmarły. Siostry odchodziły też czasem na jakiś okres nie tylko po to, żeby odświeżyć umysły w zewnętrznym świecie, lecz żeby odpocząć w dziesięcioleciach pałacowego życia. Nawet wtedy jednak niemal zawsze mówiły innym, że opuszczają na jakiś czas pałac, i informowały, dokąd się udają.

Żadna z trzech przyjaciółek Verny tego nie uczyniła. Po prostu po śmierci Ksieni okazało się, że zniknęły. Verna zamartwiała się, że to może dlatego, iż nie mogły jej zaakceptować jako Ksieni i wołały opuścić pałac. Bardzo ją to raniło, ale modliła się, by to było tylko to, a nie coś mroczniejszego.

- Powiedz mi, proszę, jeżeli usłyszysz o nich - rzuciła, udając obojętność.

Kiedy Phoebe odeszła, Verna umieściła od wewnętrznej strony drzwi osłonę ostrzegawczą własnego pomysłu. Tworzyły ją delikatne włókna wysnute z energii jej Han - jej własna magia. Gdyby ktoś próbował wejść do gabinetu, najprawdopodobniej nie zauważyłby przejrzystej sieci i porozrywał kruche niteczki. Nawet jednak gdyby wykrył sieć, to z pewnością rozdarłby ją już podczas jej badania, a Verna i tak rozpoznałaby cudzą Han, gdyby próbował ją potem scalić.

Przez gałęzie drzew w pobliżu muru ogrodu sączył się słoneczny blask i wypełniał ów cichy zakątek zamglonym, przytłumionym światłem. Niewielki gaj kończył się kępą obsypanych gęsto białymi pąkami wawrzynów. Dróżka wiła się pomiędzy błękitnymi i żółtymi małymi kwiatuskami, które otaczały

skupiska paproci i królewskich róż. Verna odłamała gałązkę wawrzynu i leniwie wdychała ostrawy zapach, idąc dróżką i obserwując mur.

Na samym końcu posadzono sumaki. Gęstwina niewielkich drzew miała osłaniać wysoki mur, który chronił ogród Ksieni, a zarazem dawać złudzenie jego rozległości. Verna przyjrzała się krępych pniom i rozłożystym gałęziom. Będą musiały wystarczyć, jeżeli nie znajdzie niczego lepszego. Poszła dalej; właściwie była już spóźniona.

Znalazła obiecujące miejsce na małej bocznej dróżce okalającej gęstwiny, która skrywała sanktuarium Ksieni. Gdy uniosła spódnicę i pokonawszy krzaki, dotarła do muru, przekonała się, że to doskonałe miejsce. Sosny osłaniały zalaną słońcem przestrzeń, gdzie na ogrodowym murze rozpięto grusze. Wszystkie były odpowiednio ukształtowane i przycięte, ale jedna szczególnie nadawała się do celów Verny. Jej gałęzie układały się po obu stronach pnia niczym szczeble. Już miała się zacząć wspinać, kiedy zastanowił ją wygląd kory. Przesunęła palcem po górnej powierzchni gałęzi: były szorstkie i zgrubiałe. Najwyraźniej Verna nie była pierwszą Ksienią, która chciała niepostrzeżenie wymykać się ze swojego apartamentu.

Siostra wspięła się na szczyt muru i sprawdziła, czy w pobliżu nie kręca się strażnicy. Znalazła bezpieczne oparcie pozwalające przejść na wzmocniający mur pilaster, potem na rurę odpływową, następnie na sterzący ozdobny kamień i zwisającą w dół gałąź czarnego dębu, a w końcu na okrągły głaz leżący około dwóch stóp od muru. Później należało już tylko zeskoczyć na ziemię. Otrzepała się z liści i kory, wygładziła szarą suknię i poprawiła prosty kołnierzyk. Schowała do kieszeni pierścień Ksieni. Owinęła głowę czarnym szalem i zawiązała go pod brodą. Uśmiechnęła się radośnie na myśl, że znalazła sekretną drogę ucieczki z papierowej klatki.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że tereny pałacu są niezwykle wyludnione. Gwardziści stali na posterunkach, Siostry, nowicjuszek i młodzieńcy z obrożami na szyjach zapełniali ścieżki i kamienne drogi, spiesząc dokądś w swoich sprawach, lecz niewielu było ludzi z miasta, a wśród obecnych przeważały stare kobiety.

Przez cały dzień, aż do zmierzchu, ludzie płynęli z Tanimury mostami na wyspę Halsband, żeby prosić Siostry o radę, o rozstrzygnięcie sporów, błagać o wsparcie, szukać wskazówek w mądrości Stwórcy i oddawać mu cześć na rozrzuconych po całej wyspie dziedzińcach. Verne zawsze dziwiło, dlaczego

muszą przychodzić aż tutaj, żeby oddać mu cześć, lecz wiedziała, że siedziba Sióstr Światła jest dla tych ludzi uświęconym miejscem. Może radowali się pięknym pałacem i jego otoczeniem.

Teraz jednak już ich to nie radowało. Mieszkańców miasta właściwie nie było widać. Nowicjuszeki, które miały oprowadzać odwiedzających, chodziły znudzone tam i z powrotem. Strażnicy stojący u bram wiodących do zakazanych sektorów gawędzili ze sobą, a ci, którzy spoglądali na Verne, dostrzegali tylko kolejną Siostrę spieszącą w swoich sprawach. Na trawnikach nikt nie wypoczywał, nikt nie podziwiał piękna ogrodów, fontanny były i pluskały bez akompaniamentu zachwyconych westchnień dorosłych i radosnych pisków dzieci. Nawet ławy, na których siedziano, opowiadając sobie plotki, były puste.

W oddali były bębny.

Verna znalazła Warrena w ich miejscu spotkań. Siedział na ciemnej płaskiej skałce, która wystawała z sitowia na brzegu od strony miasta. Rzucił kamienie do spienionej wody, po której pływała samotna łódź rybacka. Usłyszał, jak nadchodzi, i zeskoczył na ziemię.

- Verna! Już się bałem, że nie przyjdiesz.

Verna obserwowała starca zakładającego przynętę. Stał pewnie w kołyszącej się łagodnie łódce.

- Phoebe chciała wiedzieć, jak to jest, kiedy ktoś się starzeje i pojawiają się u niego zmarszczki.

- A dlaczego pytała o to ciebie? - Warren otrzepał z kurzu swoją fioletową szatę.

Verna tylko westchnęła, zobaczywszy jego obojętną minę.

- Chodźmy już - rzuciła.

Przechadzka przez miasto na jego peryferie okazała się równie zaskakująca jak spacer po terenach pałacu. Niektóre sklepy w bogatych dzielnicach były otwarte i obsługiwały nielicznych klientów, lecz targ w dzielnicy biedoty był pusty, na stołach nic nie leżało, paleniska wygasły, a okna sklepików pozamykano. Przybudówki opustoszały, ludzie porzucili warsztaty na ulicach panowała cisza. Słyszać było jedynie nieustanny łoskot bębnow.

Warren zachowywał się tak, jakby owe wymarłe ulice nie były niczym niezwykłym. Skręcili w wąską, mocno zacienioną i zakurzoną uliczkę, która

biegła pomiędzy walącymi się domami. Verna miała już dość i wreszcie wybuchnęła.

- Gdzie wszyscy się podziali?! Co się dzieje?!

Warren odwrócił się i spojrzał na nią ze zdumieniem: stała pośrodku ulicy, wsparta pod boki.

- To dzień Ja'La - wyjaśnił. Wpatrywała się weń gniewnie.

- Dzień Ja'La? - powtórzyła. Potaknął coraz bardziej zdumiony.

- Tak. Dzień Ja'La. Aco niby według ciebie miałyby się stać... - Nagle uderzył się w czoło. - Przepraszam, Verno, myślałem, że wiesz. Tak się do tego przyzwyczailiśmy, że zapomniałem, iż możesz nie wiedzieć.

Verna skrzyżowała ramiona.

- Nie wiedzieć czego?

Warren podszedł do niej, ujął ją za ramię i skłonił, by ruszyła z miejsca.

- Ja'La to gra, rywalizacja. - Wskazał kierunek przez swoje ramię. - W niecce pomiędzy wzgórzami na peryferiach miasta zbudowano duże boisko. O tam, chyba jakieś... chyba piętnaście czy dwadzieścia lat temu, kiedy imperator doszedł do władzy. Wszyscy kochają tę grę.

- Grę? Całe miasto pustoszeje, bo wszyscy przyglądają się grze?

Warren przytaknął.

- Obawiam się, że tak. Wszyscy oprócz nielicznych, przeważnie starszych ludzi, którzy jej nie rozumieją, więc nie są nią zainteresowani. Jednak niemal cała reszta tam jest. Ta gra pasjonuje ludzi. Dzieci zaczynają w nią grać na ulicach wkrótce po tym, jak nauczą się chodzić.

Verna zerknęła w boczną ulicę i obejrzała się za siebie.

- Co to za gra?

Warren wzruszył ramionami.

- Nigdy nie byłem na prawdziwych zawodach, bo większość czasu spędzam w podziemiach, ale trochę się orientuję. Zawsze interesowałem się grami i tym, jak wpasowują się w struktury rozmaitych kultur. Czytałem o starożytnych ludach i ich grach, lecz ta dała mi okazję obserwowania gry na żywo, więc poczytałem o niej i trochę popytałem. Ja'La rozgrywają dwa zespoły biegające po czworokątnym polu wyznaczonym przez sieć krzyżujących się linii. W każdym narożniku jest bramka. Każda drużyna ma dwie. Zespół stara się umieścić piłkę - ciężką, okrytą skórą kulę, która jest nieco mniejsza od ludzkiej głowy - w jednej z bramek przeciwnika. Jeżeli mu

się to uda, zdobywa punkt, a przeciwnik wybiera kwadrat, z którego zacznie atak. Nie rozumiem całej skomplikowanej strategii, ale pięciolatki pojmują to błyskawicznie.

- Prawdopodobnie dlatego, że one chcą grać, a ty nie. - Verna rozwiązała szal i wachlowała jego końcami szyję. - Co jest w tym takiego interesującego, że wszyscy tłoczą się w pełnym słońcu, by to zobaczyć?

- Sądzę, że robią tak dlatego, iż mogą się oderwać od codziennej harówki i świętować. Mają pretekst, by wiwatować i krzyczeć, pić i sławić zwycięstwo swojego zespołu albo pić i pocieszać się, jeśli ich zespół przegra. Wszyscy bardzo się tym ekscytują. O wiele bardziej, niż powinni.

Verna zastanawiała się nad tym przez chwilę. Czowała, jak orzeźwiający wiaterek chłodzi jej szyję.

- To brzmi dość nieszkodliwie.

- To krwawa gra. - Warren zerknął na nią kątem oka.

- Krwawa?

Młodzieniec ominął stertę nawozu.

- Piłka jest ciężka, a reguły niezbyt sprecyzowane. Grający w Ja'La to brutale. Rzecz jasna muszą być biegli w manewrowaniu piłką, lecz wybiera się ich przede wszystkim ze względu na krzepę i agresywność. W większości rozgrywek ktoś przynajmniej traci zęby lub kończy ze złamaniami. A dość często łamie się nawet czyjś kark.

Verna patrzyła nań z niedowierzaniem.

-I ludzie lubią przyglądać się czemuś takiemu? Warren potwierdził ponuro.

- Z tego, co mówili mi gwardziści, wynika, że tłum staje się groźny, jeśli nie poleje się krew. Uważają wtedy, że ich zespół za mało się stara.

Verna potrząsnęła głową.

- Wątpię, czy chciałabym się temu przyglądać.

- To jeszcze nie jest najgorsze. - Warren patrzył przed siebie, idąc cienistą ulicą. Okna po obu stronach zasłaniały tak wypłowiałe okiennice, że trudno było orzec, czy kiedykolwiek ktoś je malował. - Po rozgrywce zespół, który przegrał, wychodzi na pole i każdy zawodnik jest chłostany. Otrzymuje jedno uderzenie długim skórzanym biczem za każdy stracony punkt. Karę wymierzają zwycięzcy. Rywalizacja pomiędzy zespołami jest straszliwie zażarta. Zdarza się, że zawodnicy umierają po chłości.

Skręcili za róg. Verna szła w milczeniu; była zdumiona.

- I ludzie patrzą na tę chłostę?

- Myślę, że po to tam idą. Stronnicy zwycięskiego zespołu liczą *głośno* zadawane uderzenia. Emocje są wielkie. Ludzie naprawdę ekscytują się Ja'La. Czasem dochodzi nawet do zamieszek. I dziesięć tysięcy żołnierzy może nie wystarczyć do utrzymania porządku, a sprawy mogą się wymknąć spod kontroli. Burdy wszczynają niekiedy sami gracze. Mężczyźni grający w Ja'La to nieokrzesane bydlaki.

- Ludzie naprawdę lubią dopingować takie drużyny brutalni? - Gracze Ja'La są bohaterami. Robią w mieście, co chcą, i wszystko się im wybacza. Prawa i normy rzadko ich dotyczą. W ślad za nimi ciągną tłumy kobiet i po grze zwykle następuje orgia. Kobiety biją się o to, która z nich będzie z graczem w Ja'La. Hulanka trwa nawet kilka dni. Uprawianie miłości z graczem w Ja'La to wielki zaszczyt i jest tak często kwestionowane, że w myśl ich reguł wymaga świadków.

- Dlaczego? - tylko takie pytanie przyszło Vernie na myśl. Młodzieniec wyrzucił w górę ramiona.

- Jesteś kobietą, więc ty mi to powiedz! Chociaż jestem pierwszym od trzech tysięcy lat człowiekiem, który odczytał znaczenie proroctwa, żadna kobieta nie zarzuciła mi ramion na szyję ani nie chciała zlizać krwi z moich pleców.

- Robią to???

- Biją się o to. Może zostać wybrana, jeśli takie lizanie sprawi graczowi przyjemność. Słyszałem, że gracze są aroganccy i każą podnieconym kobietom zasłużyć na zaszczyt leżenia pod nimi.

Verna obejrzała się i zobaczyła, że twarz Warrena płonie purpurą.

- I chcą być nawet z przegrywającymi graczami?

- To nie ma znaczenia. Oni również są graczami, czyli są bohaterami. Im brutalniejszy jest gracz, tym lepszy. Największą sławę zdobywają ci, którzy zabiją piłką przeciwnika, i oni też są najbardziej oblegani przez kobiety. Ludzie nadają dzieciom ich imiona. Nie pojmuję tego.

- Znasz zbyt mało ludzi, Warrenie. Gdybyś chodził do miasta, zamiast tkwić w podziemiach, to kobiety i z tobą chciałyby być.

- Chciałyby, gdybym nosił obrożę - poklepał się po gołej szyi - bo widziałyby na moim karku pałacowe złoto, ot co. Nie wybrałyby mnie dla

mnie samego.

Verna zacisnęła usta.

- Władza przyciąga niektórych ludzi. Może być bardzo nęcąca, jeżeli sam nie masz władzy. Takie już jest życie.

- Życie - powtórzył z goryczą. - Wszyscy nazywają to Ja'La, lecz pełna nazwa brzmi Ja'La dh Jin, co w starym języku, którym posługują się mieszkańcy Altur'Rang, ojczyzny imperatora, znaczy to "Gra o życie". Wszyscy mówią jednak po prostu Ja'La, to znaczy: "gra".

- A co znaczy "Altur'Rang"?

- "Altur'Rang" również pochodzi z ich starego języka. Tego określenia nie można dokładnie przetłumaczyć, ale w przybliżeniu znaczy ono: "wybrańcy Stwórcy", "lud przeznaczenia" lub coś w tym rodzaju. A co?

- Nowy Świat przecina pasmo gór zwanych Rang'Shada. Brzmi to tak, jakby słowo pochodziło z tego samego języka.

Warren skinął głową.

- "Shada" to pokryta kolcami bojowa rękawica. "Rang'Shada" można w przybliżeniu przetłumaczyć jako "zbrojna pięść wybrańców".

- Wygląda to na nazwę pochodzącą z okresu starożytnej wojny. Kolce dobrze pasują do tamtych gór. - Vernie wciąż jeszcze kręciło się w głowie po opowieści Warrena. - Nie mogę uwierzyć, że ta gra jest dozwolona.

- Dozwolona? Zachęca się do niej. Imperator ma własną drużynę Ja'La. Tego ranka ogłoszono, że kiedy się tu zjawi, wystawi ją przeciw najlepszemu zespołowi z Tanimury. Domyśliłem się, że to wielki zaszczyt, ponieważ wszyscy nie posiadają się z zachwytem. - Warren rozejrzał się dokoła i znów spojrzał na Verne. - W razie przegranej gracze imperatora nie są chłostani.

- Przywilej władcy? - Uniosła znacząco brew.

- Niekoniecznie. Ścina im się za to głowy - wyjaśnił Warren. Verna puściła końce szala.

- Czemuż imperator miałby zachęcać do takiej gry?

Warren uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie wiem, Verno, ale mam pewne przypuszczenia.

- To znaczy?

- Jeśli podbijesz jakąś krainę, to co może ci grozić?

- Masz na myśli powstanie?

Warren odgarnął do tyłu pukiel kręconych blond włosów.

- Zamieszki, protesty, niepokoje społeczne, rozruchy i powstanie. Pamiętasz panowanie króla Gregory'ego?

Verna potaknęła, obserwując, jak jakaś staruszka w górze bocznej uliczki rozwiesza pranie na poręczy balkonu. To jedyna osoba, jaką dostrzegła od godziny.

- Co się z nim stało?

- Wkrótce po twoim wyjeździe zwyciężył Imperialny Ład i od tamtej pory nie słyszeliśmy o królu. Wszyscy mieli o nim jak najlepsze zdania, Tanimura i inne miasta na północy prosperowały dobrze pod jego rządami. Potem nastąpiły ciężkie czasy. Imperator pozwolił rozkwitnąć korupcji i lekceważył ważne sprawy handlu i sprawiedliwości. Ci wszyscy nędzarze, których widziałas, to uciekinierzy. Przybyli do Tanimury ze splądrowanych wiosek, miasteczek i większych miast.

- Jak na uciekinierów są cisi i zadowoleni.

Brew Warrena uniosła się nad jego niebieskim okiem. - Ja'La.

- Co masz na myśli?

- Mają niewielką nadzieję na lepsze życie pod władzą Imperialnego Ładu. Jedno, o czym mogą marzyć i na co mogą liczyć, to to, że zostaną graczami Ja'La. Zawodników wybiera się, biorąc pod uwagę ich zdolności, władza i pozycja społeczna nie mają tu nic do rzeczy. Rodzinie gracza już nigdy niczego nie zabraknie. On jej wszystko zapewni, i to w obfitości. Rodzice zachęcają dzieci do gry w Ja'La, mając nadzieję, że zostaną płatnymi zawodnikami. Zespoły amatorów są klasyfikowane według wieku. Najmłodsi gracze mają po pięć lat. Każdy, bez względu na pochodzenie, może zostać płatnym, zawodowym graczem Ja'La. Ci wywodzą się nawet z niewolników imperatora.

- Ale to wciąż nie wyjaśnia namiętności, jaką ludzie darzą ową grę.

- Każdy jest teraz częścią Imperialnego Ładu. Nie wolno okazywać przywiązania do swoich dawnych krain. Ja'La pozawala ludziom utożsamiać się z czymś - z sąsiadami, ze swoim miastem - poprzez zespół, który dopingują. Imperator zapłacił za budowę pól do Ja'La: to jego dar dla ludu. Odwraca to uwagę ludzi od warunków życia, na które nie mają żadnego wpływu, i pozawala rozładować emocje w sposób, który nie zagraża imperatorowi.

Verna ponownie wachlowała się końcami szala.

- Nie bardzo wierzę w twoją teorię, Warrenie. Dzieci od małego lubią gry. Bawią się całymi dniami. Ludzie zawsze w coś grają. W miarę jak dorastają, urządzają zawody w łucznictwie, wjeździe konnej, w grze w kości. Rywalizowanie w grach to część ludzkiej natury.

- Tędy. - Warren złapał ją za rękaw i wskazał kciukiem wąski zaułek. - A imperator sprawia, że owa skłonność rozrasta się do nienaturalnych rozmiarów. Chce mieć pewność, że nie zaczną rozmyślać o wolności czy sprawiedliwości. Teraz pasjonują się Ja'La. Nie obchodzi ich nic innego. Zamiast się zastanawiać, dlaczego imperator przybywa do Tamimury i co to oznacza dla ich życia, ekscytują się Ja'La.

Vernie ścisnęło się serce. Ciekawa była, po co imperator przybywa do miasta. Nie miał żadnego powodu, by wyruszyć w tak daleką podróż, a wątpiła, by fatygował się tylko po to, żeby obserwować, jak jego zespół gra w Ja'La. Musiał czegoś chcieć.

- A czy ludzie nie martwią się, że zespół tak potężnego człowieka może przegrać?

- Drużyna imperatora jest bardzo dobra, jak mi mówiono, lecz nie ma żadnych specjalnych przywilejów czy forów. Imperator nie czuje się obrażony, gdy jego zespół przegrywa. Karze wyłącznie swoich graczy. Docenia umiejętności zwycięzców i serdecznie gratuluje im i ich miastu. Ludzie bardzo pragną zaszczytu, jakim jest pokonanie sławnego zespołu imperatora.

- Wróciłam przed kilkoma miesiącami, ale nigdy wcześniej nie widziałam miasta tak wyludnionego przez ową grę - powiedziała Verna.

- Sezon dopiero się zaczął. Oficjalne zawody można rozgrywać jedynie w sezonie Ja'La.

- Więc to nie pasuje do twojej teorii. Jeśli gra ma odwracać uwagę od ważnych życiowych spraw, to dlaczego nie wolno im grać cały czas?

Warren uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Oczekiwanie pobudza zapał. Bez końca omawia się perspektywy na nadchodzący sezon, a kiedy ten wreszcie się zaczyna, ludzie są podnieceni do ostatecznych granic. Przypominają młodych kochanków obejmujących się po długim rozstaniu, są głusi na wszystko inne. Gdyby rozgrywki trwały cały czas, ich zapał mógłby ostygnąć.

Najwyraźniej Warren rozmyślał nad swoją teorią długo i poważnie.

Verna nie sądziła, że w to uwierzy, lecz on miał na wszystko odpowiedź, więc zmieniła temat.

- Gdzie usłyszałeś, że przywozi swój zespół?

- Dowiedziałem się o tym od mistrza Fincha. - Wysłałam cię do stajni, Warrenie, żebyś zapytał o konie, a nie plotkował o Ja'La.

- Mistrz Finch jest wielkim entuzjastą Ja'La i był ogromnie podekscytowany dzisiejszym otwarciem rozgrywek, więc pozwoliłem mu o tym paplać, żebym mógł wypytać o to, co chciałaś wiedzieć.

-I wypytałeś?

Zatrzymali się i spojrzeli na rzeźbiony szyld, na którym widniały nagrobek, łopata i dwa nazwiska: BENSTENT i SPROUL.

- Tak. Pomiędzy wiadomością o liczbie batów, które dostanie drużyna przeciwnika, a pouczeniami na temat tego, jak zrobić pieniądze na zakładach, powiedział mi, że koni brakuje już od jakiegoś czasu.

- Założę się, że od zimowego przesilenia. Warren osłonił dłonią oczy i zajrzał w okno.

- Wygrałaś zakład. Zniknęły cztery najsilniejsze konie i pełna uprząż dla dwóch. Mistrz Finch wciąż szuka tych wierzchowców i przysięga, że je odnajdzie. Podejrzewa, że uprząż skradziono.

Verna słyszała brzęk ostrzonej stali dobiegający zza drzwi położonych w głębi mrocznej izby. Warren odsunął dłoń od oczu i sprawdził uliczkę.

- W środku jest chyba ktoś, kto nie pała entuzjazmem do Ja'La.

- To doskonale. - Verna zawiązała szal pod brodą i otworzyła drzwi. - Chodźmy posłuchać, co ma do powiedzenia grabarz.

ROZDZIAŁ 25

Ciemną, brudną izbę oświetlało jedynie małe, wychodzące na boczną uliczkę okno, które pokrywały warstwy zastarzałego kurzu, i otwarte w głębi drzwi, lecz to zupełnie wystarczało, by zobaczyć przejście prowadzące między zwałami niechlujnych, zwiniętych w rulony płacht płótna, rozchwianymi stołami warsztatowymi i skromnymi trumnami. Na jednej ścianie wisiało kilka zardzewiałych strugów i pił, pod drugą leżały zwalone sosnowe deski.

Zamożni korzystali z usług przedsiębiorców pogrzebowych, którzy doradzali im w wyborze ozdobnych, drogich trumien dla ukochanych zmarłych. Biedacy mogli sobie pozwolić wyłącznie na usługi zwykłych grabarzy, którzy dostarczali skromniutką trumnę i zapewniali wykopanie grobu. Ci, którzy korzystali z ich usług, nie kochali mniej swoich zmarłych niż bogaci, za to musieli troszczyć się o to, jak wykarmić żyjących. Mimo to wspomnienia o zmarłych były dla nich równie cenne jak dla tamtych.

Verna i Warren zatrzymali się w drzwiach prowadzących na małe podwórze, okolone z trzech stron wysokimi zwałami rupieci. Po bokach sterty opierały się o pokryte sztukaterią ściany domów, z tyłu natomiast o ogrodzenie. Pośrodku, tyłem do nich, stał bosy, szczupły mężczyzna w podartym odzieniu i ostrzył łopaty.

- Moje kondolencje z powodu utraty kochanej osoby - powiedział szorstkim, ale zadziwiająco szczerym głosem i przeciągnął pilnikiem po stali. - Dziecko czy dorosły?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Verna.

Mężczyzna o zapadniętych policzkach spojrział na nich przez ramię. Nie miał brody lecz tak rzadko się golił, że jej pojawienie się było tylko kwestią czasu.

- A więc ktoś pomiędzy? Jeżeli podacie mi wymiary zmarłego, to będę mógł zrobić trumnę.

Verna splotła dłonie.

- Nie chcemy nikogo pochować. Przyszliśmy tutaj, żeby zadać ci kilka pytań.

Przerwał pracę, odwrócił się ku przybyłym i zmierzył ich wzrokiem.

- Hrrm, widzę, że moglibyście sobie pozwolić na kogoś droższego ode mnie.

- Nie ciekawi cię Ja'La? - zapytał Warren.

Przymknięte oczy tamtego odrobinę się ożywiły, kiedy ponownie spojrzął na fioletową szatę Warrena.

- Ludziska nie lubią, jak tacy jak ja kręcą się przy weselszych okazjach. Patrzenie na moją gębę psuje im zabawę, jakby to była gęba spacerującej wśród nich śmierci. I nie krępują się powiedzieć, że tam niemile widziany. Ale przychodzą tu, jakem im potrzebny. Przychodzą i tak się zachowują, jakby przedtem nie odwracali ode mnie oczu. Mógłbym im kazać płacić za ładniutką trumnę, co to jej zmarły i tak nie zobaczy, ale ich na to nie stać, a ich pieniądz nic dobrego by mi nie przyniósł, gdybym żywił do nich urazę za ich lęki.

- Jesteś mistrz Benstent czy mistrz Sproul? - spytała Verna. Jego workowate powieki zwięzły się, kiedy na nią spojrzął.

- Jestem Milton Sproul.

- A mistrz Benstent? Jest tutaj?

- Hama nie ma. O co chodzi? Verna przybrała nonszalancką minę.

- Jesteśmy z pałacu i chcielibyśmy zapytać o rachunek, który nam przysłano. Musimy się upewnić, czy jest poprawny i czy wszystko jest w porządku.

Kościsty mężczyzna odwrócił się do swojej łopaty i przeciągnął pilnikiem po brzegu sztychu.

- Rachunek jest w porządku. Nie oszukujemy Sióstr.

- Niczego takiego nie sugerujemy. Po prostu nie możemy znaleźć zapisków dotyczących tego, kogo pochowałeś. Musimy ustalić tożsamość zmarłego i wtedy zlecimy wypłatę.

- Nie wiem, kto to był. Ham wykonał robotę i wystawił rachunek. To uczciwy chłop. Nie oszukałby nawet złodzieja, żeby odebrać to, co ten mu ukradł. Wystawił rachunek i kazał mi go wysłać. Tyle tylko wiem.

- Rozumiem. - Verna wzruszyła ramionami. - Chyba będziemy się musieli spotkać z mistrzem Benstentem, żeby to wyjaśnić. Gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Sproul raz jeszcze przeciągnął pilnikiem po sztychu.

- Nie wiem. Hamowi zaczynały ciążyć lata. Powiedział, że tę trochę życia,

co mu została, chce spędzić z córką i z wnuczętami. Odszedł do nich. Mieszkają gdzieś tam, na wsi. - Zatoczył pilnikiem krąg w powietrzu. - Zostawił mi swoją połowę tego tu zakładu. I swoją połowę roboty też. Chyba będę musiał wynająć młodszego do kopania grobów. Ja też się już starzeję.

- Przecież musisz wiedzieć, dokąd poszedł, no i jeszcze coś o tym rachunku.

- Jużem powiedział, że nie wiem. Spakował te swoje trochę rzeczy i kupił osiołka na podróż, więc to pewnikiem dość daleko. - Wskazał przez ramię pilnikiem ku południowi. - Jakem powiedział, gdzieś tam. Kazał, żebym na pewno wysłał pałacowi rachunek, bo wykonał robotę i należy się za to zapłata. Spytałem, gdzie mu wysłać pieniądze, bo to *jego* robota, a on na to, żebym wynajął za nie kogoś nowego. Że mi się to należy, bo mnie tak nagle zostawia.

Verna rozważyła kilka możliwości.

- Rozumiem. - Popatrzyła, jak Sproul pociągnął kilkanaście razy pilnikiem po łopacie, a potem zwróciła się do Warrena: - Wyjdź na zewnątrz i zaczekaj na mnie.

- Co takiego!?! - szepnął rozeźlony. - Dlaczego... Verna uniosła palec, dając mu znak, żeby milczał.

- Zrób, jak mówię. Przespaceruj się trochę i upewnij... czy przyjaciele nas nie szukają. - Nachyliła się nieco w jego stronę i znacząco spojrzała mu w oczy. - Mogą się zastanawiać, czy aby nie jest nam potrzebna pomoc.

Warren wyprostował się i spojrzał na ostrzącego łopatę mężczyznę.

- A tak Dobrze. Rozejrzę się i sprawdzę, co też porabiają nasi przyjaciele. - Skubał srebrny brokat na swoim rękawie. - Nie zabawisz tu długo, prawda?

- Nie. Wkrótce przyjdę. Idź już i sprawdź, czy się gdzieś tu nie kręca.

Verna usłyszała, jak zamykają się drzwi frontowe Sproul obejrzał się na nią przez ramię.

- Odpowiedź jest wciąż ta sama. Powiedziałem ci, co... Verna trzymała w palcach złotą monetę.

- A teraz, mistrzu Sproul, ty i ja porozmawiamy sobie spokojnie. Co więcej, odpowiesz zgodnie z prawdą na wszystkie moje pytania.

Zmarszczył się podejrzliwie.

- Czemuś go odesłała?

Verna nie starała się już uprzejmić do niego uśmiechać.

- Chłopak ma słaby żołądek. Sproul obojętnie pociągnął pilnikiem.

- Powiedziałem ci prawdę. Jeśli wolisz usłyszeć kłamstwo, to mi powiedz, a jakieś wymyślę.

Verna obrzuciła go gniewnym, groźnym spojrzeniem.

- Nawet nie próbuj mnie okłamywać. Może i powiedziałeś prawdę, ale na pewno nie powiedziałeś wszystkiego, co mógłbyś zdradzić. Teraz powiesz mi resztę za ten dowód uznania - posłużyła się swoją Han, żeby wyrwać z dłoni Sproula pilnik i wyrzucić go tak wysoko w powietrze, że aż zniknął mu z oczu - albo na znak wdzięczności za to, że oszczędzę ci jakichkolwiek nieprzyjemności.

Pilnik ze świstem spadł z nieba i wbił się w ziemię tuż przed stopą grabarza. Nad powierzchnię wystawał jedynie rozgrzany do czerwoności uchwyt. Verna natężyła gniewnie umysł i rozciągnęła rozżarzoną stal, tworząc długi, cienki pręcik. Biały żar oświetlił zszokowaną twarz Sproula. Verna również czuła na policzkach olbrzymią temperaturę roztopionej stali. Grabarz wytrzeszczył oczy.

Verna poruszyła palcem i wstęga roztopionej stali posłusznie zafalowała. Po chwili wykonała palcem kilka młynków i stal owinęła się wokół mężczyzny, zatrzymując się kilka cali od jego ciała.

- Jeden ruch palca, mistrzu Sproul, i obandażuję cię twoim pilnikiem. - Zwróciła ku górze wnętrze otwartej dłoni, a ogień zapłonął z rykiem i utrzymywał się posłusznie w powietrzu. - A kiedy cię już obandażuję, to począwszy od twoich stóp, zacznę cię piec po kawałku i nie przestanę dopóty, dopóki nie powiesz mi całej prawdy.

- Pppproszę... - zaszczekał krzywymi zębami.

W drugiej dłoni Verna uniosła monetę i uśmiechnęła się do niego ponuro.

- Chyba że wolisz mi powiedzieć prawdę w zamian za ten dowód uznania, co proponowałam na początku.

Sproul przełknął ślinę, spoglądając na otaczający go rozżarzony metal i syczący płomień unoszący się nad dłonią Verny.

- Chyba przypominam sobie trochę więcej. Będę niebywale wdzięczny, jeśli pozwolisz mi dodać to, co sobie przypominałem.

Verna zgasiła płomień nad dłonią i zniemacka zmieniła żar Han w lodowaty chłód. Metal przestał się żarzyć tak nagle, jakby zdmuchnięto

świecę. Czerwień przeszła w lodowatą czerń, stalowa wstęga rozprysła się, a jej odłamki rozsypały się niczym grad dokoła nieruchomego grabarza.

Ksieni uniosła dłoń Sproula, wcisnęła w nią złotą monetę i zamknęła na niej jego palce.

- Tak mi przykro. Połamalam twój pilnik. Ale to chyba z nawiązką pokryje stratę.

Przytaknął. Tyle - złota nie zarobiłby przez cały rok.

- Nie szkodzi. Mam więcej pilników. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- A teraz, mistrzu Sproul, powiesz mi, co jeszcze pamiętasz o tym rachunku. - Chwyciła go silniej. - Każdy szczegół, choćby wydawał ci się zupełnie nieistotny. Zrozumiano?

- Tak. - Obliznął wargi. - Opowiem wszyściutko. Tak, jakem mówił, Ham zrobił robotę. Niczem o tym nie wiedział. Powiedział, że ma jakieś kopanie dla pałacu, nic więcej nie zdradził. Ham nie jest gadatliwy, ale nigdy mi to nie przeszkadzało. A potem nagle mówi, że rezygnuje z roboty i odchodzi do swojej córki, jak ci opowiadałem. Zawsze gadał, że zamieszka z córką, zanim przyjdzie mu kopać własny grób, ale nie miał pieniędzy, a i jej się słabo wiedzie, więc nie zwracał na to uwagi. Potem kupił tego silnego osiołka, no to żem wiedział, że tym razem to już nie gadanie. Powiedział, że nie chce pałacowej zapłaty za robotę i żebym wynajął za to człowieka do pomocy. A wieczorem przed odjazdem przyniósł butelczynę napitku. Dobrego, droższego niż ten, co go żeśmy zawsze kupowali. Każdy wie, że jak się Ham napije, to wygada mi każdy sekret. Innym nic nie powie, co do tego można mu ufać, ale mnie powie wszystko.

- Rozumiem. - Verna cofnęła dłoń. - Ham jest porządnym człowiekiem i twoim przyjacielem. Nie obawiaj się, Miltonie, że nadużyjesz jego zaufania. Jestem Siostrą. Nie uczynisz nic złego, mówiąc mi o tym, a ja obiecuję, że nie będziesz miał przez to żadnych nieprzyjemności, więc się nie obawiaj.

Skinął głową, najwyraźniej z ulgą, i wykrzeszał z siebie słaby uśmiech.

- No więc, jakem mówił, mieliśmy butelkę i wspominaliśmy stare czasy. Odchodził i wiedziałem, że mi go będzie brakować. Rozumiesz. Tyle czasu żeśmy razem spędzili, chociaż...

- Byliście przyjaciółmi. Rozumiem. Co powiedział? Sproul poluzował kołnierzyk.

- Piliśmy i płakaliśmy, że się rozstajemy. Napitek był mocniejszy niż te,

cośmy byli do nich przyzwyczajeni. Spytałem go, gdzie mieszka córka, żebym mógł mu przesłać zapłatę, bo im się pewnie przyda. Mnie zostawało to tutaj, no to bym sobie poradził. A Ham na to, że nie, że nie potrzebuje tych pieniędzy. Strasznie mnie ciekawość gryzła, jakem to usłyszał. Spytałem go, skąd ma pieniądze, a on na to, że uskładał. Ham nigdy niczego nie odkładał. Skoro je miał, to znaczy, że zarobił i jeszcze nie wydał. To wtedy mi przykazał pamiętać, żeby wysłać pałacowi rachunek. Gadał o tym i gadał, bo go pewno sumienie gryzło, że mnie tak bez pomocy zostawia. No to żem go spytał: “Ham, kogoś wsadził do ziemi dla pałacu?” - Milton nachylił się ku Vernie i zniżył głos do pełnego powagi szeptu: - A Ham mi na to, że nikogo nie wsadził do ziemi, tylko ich wyjął.

Verna złapała go za brudny kołnierzyk.

- Co takiego!? Wykopał kogoś!? To miał na myśli? Wykopał kogoś?

- Otóż to - potwierdził Milton. - Słyszałaś kiedy o *czymś* takim? Wykopać umarlaka? Wkładanie ich do ziemi mi nie przeszkadza, robię to. Ale wykopywać? Aż mnie trzęsie na samą myśl. To profanacja. Ale wtedy żeśmy pili za stare czasy, no i żeśmy się okropnie śmiali.

Verna nie mogła zebrać myśli.

- Kogo odkopał? I na czyj rozkaz?

- Powiedział tyle: dla pałacu.

- Kiedy?

- Spory kawałek czasu. Nie pamiętam... Zaraz, zaraz, to było po zimowym przesileniu. Taaa, jakieś parę dni potem.

- Kto to był? - Verna potrząsnęła nim. - Kogo wykopał!? - Pytałem go. Pytałem, kogo chcieli z powrotem wydostać.

A on mi na to: “Im było wszystko za jedno. Miałem ich przynieść owiniętych w czyściutkie całuny”.

- Jesteś pewny? - Mięła w palcach jego kołnierzyk. - Byliście pijani. Może to takie opowiadki przy kielichu?

Sproul trząsał głową, jakby się bał, że Verna mu ją odgryzie.

- Nie. Przysięgam. Jak Ham pije, to nie kłamie i nie opowiada bajek. Jak pije, to mi mówi całutką prawdę i wyznaje wszystkie swoje grzechy. I pamiętam, co mi powiedział. Wtedy żem ostatni raz widział przyjaciela. Pamiętam, co mi mówił. Kazał, żebym na pewno wysłał rachunek do pałacu, ale żebym odczekał parę tygodni, bo mu mówili, że będą zajęci.

- Co zrobił z ciałem? Dokąd je zabrał? Komu oddał? Milton próbował się nieznacznie cofnąć, lecz Verna mocno trzymała go za kołnierz.

- Nie wiem. Powiedział, że zawiózł ciała do pałacu porządnie zakrytym wózkiem i że miał specjalną przepustkę, coby straż nie grzebała we wózku. Musiał się odziać w najporządniejszy strój, żeby go ludziska nie rozpoznały i żeby nie straszył tych pałacowych, zwłaszcza wrażliwych Sióstr, co to obcuja ze Stwórcą. Powiedział, że zrobił, jak mu kazali, i był dumny, że mu tak dobrze to wyszło, bo nikogo nie zdenerwował. Tylko tyle powiedział. Niczego więcej nie wiem, przysięgam na mą nadzieję, że po śmierci połączę się z blaskiem Stwórcy.

- Ciała? Powiedziałeś ciała. Więcej niż jedno? - Chwyliła mocniej jego ramię i groźnie mu się przyglądała. - Ile? Ile ciał wykopał i zawiózł do pałacu?

- Dwa.

- Dwa... - powtórzyła szeptem, otwierając szeroko oczy.

Potaknął.

Dłoń Verny zsunęła się z kołnierza mistrza Sproula. Dwa. Dwa ciała zawinięte w czyste całuny. Zacisnęła pięści i mruknęła gniewnie.

Milton przełknął ślinę i uniósł dłoń.

- Jeszcze jedno. Nie wiem, czy to ważne.

- Co? - spytała przez zaciśnięte zęby.

- Powiedział, że chcieli świeże ciała. Jedno było małe i z tym łatwo mu poszło, ale przy drugim się naszarpał, bo to był wielki chłop. Już go zem więcej nie wypytywał. Przepraszam.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję, Miltonie. Okazałeś się bardzo pomocny Stwórcy. Zapiął koszulę pod szyją.

- Dziękuję, Siostrze. Siostrze, nigdy zem nie miał odwagi iść do pałacu, bom jest, kim jest, i w ogóle. Wiem, że ludziska nie lubią, jak się kręcę w pobliżu. No i nigdy zem nie poszedł. Mogłabyś mi, Siostrze, dać błogosławieństwo Stwórcy?

- Oczywiście, Miltonie. Wykonałeś jego dzieło. Sproul zamknął oczy i szeptał modlitwę. Verna dotknęła jego czoła.

- Niech błogosławieństwo Stwórcy spłynie na jego dziecię - wyszeptała i pozwoliła ciepłu swojej Han wnikać do umysłu Milтона. W upojeniu wstrzymał oddech, a jej Han przeniknęła umysł grabarza. - Zapomnisz

wszystko to, co Ham powiedział ci o rachunku, kiedy piliście. Zapamiętasz tylko to, że wykonał pracę, lecz nie będziesz wiedział jaką. A gdy odejdę, zapomnisz również o mojej wizycie.

Milton wywrócił oczy pod powiekami i otworzył je dopiero po chwili.

- Dziękuję, Siostrze.

Warren przechadzał się tam i z powrotem uliczką. Rozzłoszczona Verna minęła go bez słowa. Podbiegł za nią. Ksieni była jak burzowa chmura.

- Uduszę ją - warknęła pod nosem. - Uduszę gołymi rękami. Niech mnie potem porwie Opiekun, ale zacisnę dłonie na jej szyi.

- O czym ty mówisz? Czego się dowiedziałas? Verno, zwolnij!

- Nie odzywaj się teraz do mnie, Warrenie. Nic nie mów! Przemierzała szybko ulicę, wymachując pięściami, w miarę jak stawiała pełne furii kroki. Przypominała sunącą przez kraj burzę. Kipiąca wściekłość mogła wybuchnąć błyskawicą. Verna nie dostrzegała ulic i budynków, nie słyszała nieustannego warkotu bębnow. Zapomniała o biegnącym za nią Warrenie. Dyszała chęcią zemsty.

Oślepla na to, gdzie się znajdowała, zatraciła się we wściekłości. Nie wiedząc nawet, jak się tam znalazła, weszła na jeden z mostów prowadzących na wyspę Halsband. Na środkowym łuku nad rzeką zatrzymała się tak gwałtownie, że Warren o mało co na nią nie wpadł.

Chwyliła młodzieńca za srebrną obszywkę na kołnierzu.

- Zejdź natychmiast do podziemi i powiąz to proroctwo z innymi.

- O czym ty mówisz? Potrząsnęła nim.

- To, które mówi, że kiedy Ksieni i Prorok zostaną ofiarowani Światłu w świętej ceremonii, to płomienie sprawią, że rozgorzeją chytrość i podstęp, i wyniosą na szczyty fałszywą Ksienię, która będzie władać poza kres Pałacu Proroków. Znajdź rozgałęzienia. Powiąz to. Znajdź wszystko, co tylko zdołasz. Rozumiesz!?

Warren wyrwał szatę z rąk Verny i wyprostował ją.

- O co chodzi? Co powiedział ci grabarz?

- Nie teraz, Warrenie. - Uniosła ostrzegawczo palec. - Podobno jesteśmy przyjaciółmi, Verno. Razem w tym tkwimy, pamiętasz? Chcę wiedzieć...

W jej głosie słychać było daleki grom.

- Zrób, co ci polecałam. Jeśli będziesz teraz nalegał, Warrenie, i starał się coś ode mnie wyciągnąć, to czeka cię kąpiel. Idź powiązać to proroctwo z

innymi i przyjdź mi powiedzieć, jak tylko coś znajdziesz.

Verna wiedziała o prorocत्वach zgromadzonych w podziemiach. Orientowała się, że znalezienie odgałęzień może potrwać całe lata. Całe wieki. Ale jakież mieli wybór?

Warren otrzepał zakurzoną szatę. Był to dobry pretekst, żeby na nią nie patrzeć.

- Jak sobie życzysz, Ksieni.

Gdy odwrócił się, by odejść, Verna dostrzegła, że miał czerwone i spuchnięte oczy. Chciała go chwycić za ramię i zatrzymać, ale był już za daleko. Chciała go zawołać i powiedzieć, że to nie na niego się złościła, że to nie jego wina, iż jest fałszywą Ksienią, lecz głos ją zawiódł.

Odnalazła okrągły głaz pod konarem i wspięła się na mur. Skorzystała jedynie z dwóch gałęzi gruszy, a potem zeskoczyła na ziemię w ogrodzie Ksieni. Podniosła się i zaczęła biec. Dysząc z wysiłku, uderzała dłonią w drzwi prowadzące do prywatnego sanktuarium Ksieni, lecz nie chciały się otworzyć. Przypomniała sobie dlaczego, sięgnęła do kieszeni i wyjęła pierścień. W środku przycisnęła go do promienistego słońca i zamknęła drzwi, a potem z gniewem i żalem cisnęła pierścień przed siebie. Słyszała, jak uderza o ściany i toczy się po podłodze.

Wydobyła książkę podrózną z sekretnej, wszytej w pas kieszonki i opadła na trójnożny stołek. Z trudem łapiąc powietrze, wyszarpnęła rysik z grzbietu. Otworzyła książkę, położyła ją na stole i zaczęła się przyglądać pustej stronie. Starła się myśleć, choć była zła i urazona. Musiała rozważyć ewentualność iż mogła się mylić. Nie. Nie myliła się. Była jednak Siostrą Światła, jeśli w ogóle coś to znaczyło, i nie była taka głupia, żeby ryzykować wszystko, opierając się na jakichś podejrzeniach. Powinna znaleźć sposób, który pozwoliłby sprawdzić, kto ma drugą książeczkę, i zrobić to tak, by nie zdradzić, że to ona, Verna, na wypadek gdyby się pomyliła. Ale nie myliła się. Wiedziała, kto ma drugi egzemplarz.

Verna ucałowała serdeczny palec i wyszeptała modlitwę, prosząc Stwórcę o radę i o siły.

Chciała dać upust wściekłości, przede wszystkim jednak zyskać pewność. Ujęła drżącymi palcami rysik i zaczęła pisać:

Najpierw musisz mi podać powód, dla którego mnie ostatnim razem wybrałaś. Pamiętam każde słowo. Jedna pomyłka i ta książka podróżna

skończy w ogniu.

Verna zamknęła notesik i schowała go do sekretnej kieszonki w pasie. Trzęsąc się, wzięła szal z ławy, z trudem dotarła do wyściełanego fotela i zwinęła się w kłębek. Czuła się taka samotna jak nigdy przedtem.

Pamiętała swoje ostatnie spotkanie z Ksienią, gdy wróciła z Richardem po tych wszystkich latach spędzonych poza Pałacem Proroków. Annalina nie chciała się z nią zobaczyć i uzyskanie audiencji zajęło Vernie całe tygodnie. Do końca życia, choćby trwało jeszcze wiele stuleci, Verna nie zapomni ani tego spotkania, ani tego, co Ksieni jej powiedziała.

Z gniewem stwierdziła, że Annalina ukrywała przed nią cenne informacje. Ksieni wykorzystała ją i nigdy nie wyjaśniła dlaczego. Spytała, czy Verna wie, dlaczego wybrano ją, by wyruszyła z misją odnalezienia Richarda. Verna odparła, że uważała to za dowód zaufania. W odpowiedzi usłyszała, że Ksieni podejrzewała, iż Siostry Grace i Elizabeth, które wyruszały wraz z nią w podróż i zostały już wcześniej wybrane, są Siostrami Mroku, a wiedziała z proroctwa, że pierwsze dwie Siostry umrą. Skorzystała więc ze swoich uprawnień, żeby Verna została wybrana jako trzecia.

Verna spytała: “Wybrałaś mnie, bo ufałaś, iż nie jestem jedną z nich?”

Na to Ksieni odparła: “Wybrałam cię, Verno, bo byłaś daleko na liście oraz dlatego, że jesteś zupełnie przeciętna. Wątpiłam, czy należysz do nich. Jesteś mało znaczącą osobą. Jestem pewna, że Grace oraz Elizabeth znalazły się na czele listy, ponieważ ta, która kieruje Siostrami Mroku, uznała, iż może je poświęcić. Ja kieruję Siostrami Światła. I wybrałam cię z tego samego powodu. Niektóre Siostry są bardzo cenne dla naszej sprawy; żadnej z nich nie posłałabym z tak ryzykownym zadaniem. Chłopiec może się okazać dla nas użyteczny, lecz nie jest tak ważny, jak inne sprawy w pałacu. Może być pomocny. Ot, okazja, którą postanowiłam wykorzystać. Gdyby coś się stało i żadna z was nie wróciłaby... sądzę, iż rozumiesz, że generał nie wysyła najlepszych oddziałów do mało znaczących zadań”.

Kobieta, która uśmiechała się do małej Verny i była dla niej przykładem, teraz złamała jej serce.

Verna podciągnęła szal. Patrzyła przymrużonymi oczami na wyblakłe ściany sanktuarium. Zawsze chciała być Siostrą Światła. Chciała być jedną z owych wspaniałych kobiet, które wykorzystują swój dar, by wypełniać na tym świecie dzieło Stwórcy. Oddała Pałacowi Proroków życie i serce.

Przypomniała sobie dzień, kiedy przyszli i powiedzieli, że zmarła jej matka. Ze starości, powiedzieli.

Jej matka nie miała daru, więc była bezużyteczna dla pałacu. Mieszkała daleko, dlatego też Verna bardzo rzadko ją widywała. Gdy matka zjawiała się w pałacu z wizytą, była wystraszona, bo Verna nie starzała się tak jak zwykli ludzie. Nigdy tego nie pojęła, choć dziewczyna mnóstwo razy starała się jej to wytłumaczyć. Verna wiedziała, że było tak dlatego, iż matka bała się uważnie słuchać wyjaśnień. Lękała się magii.

Chociaż Siostry nie starały się ukryć rzuconego na pałac zaklęcia, które spowalniało proces starzenia, ludzie bez daru mieli trudności z pojęciem tego. To była magia, która nie miała żadnego wpływu na ich życie. Byli dumni z tego, że mieszkają w pobliżu pałacu, blisko jego wspaniałości i potęgi, mimo jednak iż odnosili się do niego ze czcią, u jej podstaw tkwiła bojaźliwa ostrożność. Nie śmieli zaprzętać sobie myśli sprawami takiej wagi, podobnie jak się radowali ciepłem słońca, ale nie wazyli się na nie patrzeć.

Gdy zmarła jej matka, Verna była w pałacu od czterdziestu siedmiu lat, lecz wyglądała jak młoda dziewczyna.

Ksieni przypomniała sobie dzień, w którym przyszli i zawiadomili ją o śmierci Leitis, jej córki. Umarła ze starości, powiedzieli. Córka Verny i Jedidiaha nie miała daru, więc była bezużyteczna dla pałacu. Będzie lepiej, powiedzieli, jeżeli wychowa się w rodzinie, która ją pokocha i umożliwi jej normalne życie. Życie w pałacu nie było wskazane dla kogoś pozbawionego daru. Verna czyniła dzieło Stwórcy, więc przystała na ich propozycję.

Złączenie daru kobiety i mężczyzny powiększało i tak niewielką szansę na to, że również i potomek będzie miał dar. Toteż Siostry oraz czarodzieje mogli liczyć na pochwałę, jeśli nie na oficjalne zachęty do tego, gdy poczęli nowe życie.

Pałac, jak zawsze w takich wypadkach, zawarł odpowiednią ugodę i Leitis nie wiedziała, że ludzie, którzy ją wychowują, nie są jej prawdziwymi rodzicami. Verna przypuszczała, że tak było najlepiej. Jakąż matką mogła być Siostra Światła? Pałac płacił tej rodzinie, żeby Verna nie musiała się martwić o pomyślność córki.

Verna wstąpiła do nich kilka razy jako Siostra, która przynosiła błogosławieństwo Stwórcy uczciwej, ciężko pracującej rodzinie. Leitis wydawała się szczęśliwa. Kiedy ostatni raz wiedziała córkę, ta była siwa i

zgarbiona i poruszała się już tylko o lasce. Nie zorientowała się, że to Verna odwiedziła ją sześćdziesiąt lat wcześniej, gdy ona bawiła się z dziećmi w "łap lisa".

Kiedy Verna przekazała Leitis błogosławieństwo, ta uśmiechnęła się do niej i powiedziała:

- Dziękuję, Siostrze. Jesteś taka młoda, a już taka utalentowana.

- Jak się masz, Leitis? Jak ci się żyje? Córka Verny uśmiechnęła się łagodnie.

- Och, Siostrze, miałam długie i szczęśliwe życie. Mój mąż zmarł pięć lat temu, ale poza tym Stwórca był dla mnie łaskawy. - Zachichotała. - Chciałabym tylko mieć wciąż dawne kręcone kasztanowe włosy. Niegdyś były takie śliczne jak twoje. O tak, były, przysięgam.

Drogi Stwórco, ileż to lat upłynęło od śmierci Leitis? Chyba pięćdziesiąt. Leitis miała dzieci, lecz Verna wołała nic o nich nie wiedzieć. Nawet nie poznała ich imion.

Łkała, czując w gardle duszący ucisk.

Tak wiele poświęciła, żeby zostać Siostrą. Chciała pomagać ludziom. Nigdy o nic innego jej nie chodziło.

A została oszukana.

Nie chciała zostać Ksienią, ale właśnie zaczynała wierzyć, że uda się jej wykorzystać to stanowisko, by poprawić ludziom życie i wykonać zadanie, dla którego wszystko poświęciła. I tym razem jednak została oszukana.

Verna przycisnęła szal i rozszłochała się. Płakała dopóty, dopóki za małymi oknami w szczytach dachu nie zapadł zmrok i dopóki nie zaschło jej w gardle.

Dopiero w środku nocy postanowiła się położyć. Nie chciała zostawać w sanktuarium Ksieni. Wydawało się jej, że to kpiny z niej, Verny. Nie była Ksienią. Wypłakała wszystkie łzy, czuła się upokorzona.

Nie mogła otworzyć drzwi, więc tak długo chodziła na kolanach po podłodze, aż odnalazła pierścień Ksieni. Zamknęła drzwi i ponownie włożyła go na palec. Miał jej przypominać o tym, jaka była naiwna.

Weszła sztywnym krokiem do gabinetu, kierując się do łóżka Ksieni. Świeca stopiła się i zgasła, więc zapaliła drugą, która stała na wciąż zawalonym raportami stole. Phoebe pracowała ciężko, żeby się to nie zmieniało. Co pomyśli, gdy przekona się, że wcale nie była administratorką

Ksieni? Że wyznaczyła ją zwykła, mało znacząca Siostra?

Jutro powinna przeprosić Warrena. To nie była jego wina. Nie powinna wyładowywać na nim gniewu.

Już miała przejść przez drzwi wiodące do zewnętrznego gabinetu, kiedy stanęła jak wryta.

Jej przejrzysta osłona była rozdarta. Obejrzała się ku stołowi. Nie przybyły żadne nowe raporty.

Ktoś tu węszył.

ROZDZIAŁ 26

Smugi deszczu smagały pokład statku. Blade, żółtawe światło lamp lśniło na napiętych mięśniach bosych mężczyzn. Patrzyli, jak zmniejsza się odległość, a potem znienacka skoczyli w ciemność. Wylądowali i poderwali się, żeby złapać obciążone ołowiem końce lin rzuconych za nimi w mroczną otchłań. Ściągnęli wspólnym wysiłkiem ciężkie, grube cumy przymocowane do lżejszych lin. Sprawnie i szybko okręcili je wokół masywnych pachołków, wparli stopy w ziemię i odchyłili się do tyłu, wykorzystując pachołki jako punkty oparcia. Mokre drewno skrzypiało i jęczało, liny się napięły. Mężczyźni nateżyli wszystkie siły i wreszcie powstrzymali powolny, lecz na pozór niepowstrzymany dryf *Lady Sefa*. Stękając z wysiłku, zaczęli odbierać to, co oddali, i statek sunął powoli ku smaganemu deszczem nabrzeżu, podczas gdy marynarze zrzucali z pokładu odbijacze, żeby ochronić kadłub.

Siostra Ulicia, która tkwiła wraz z Siostrami Tovi, Cecilia, Arminą, Nicei i Merissą pod płóciennym daszkiem chroniącym je przed deszczem, obserwowała, jak kapitan Blake przemierza pokład, wykrzykując gniewnie rozkazy, a marynarze rzucają się, by je wypełniać. Kapitan nie chciał przy takiej pogodzie, nie wspominając już o ciemnościach, wprowadzać *Lady Sefa* do wąskiego basenu portowego. Wolał rzucić kotwicę na redzie i przewieźć kobiety na ląd szalupą. Ulicia nie zamierzała jednak moknąć w czasie, który zajęłoby marynarzom pokonanie szalupą pół mili dzielącej ich od brzegu, ani słuchać jego skarg, że musi spuścić wszystkie łodzie i holować statek na wiosłach. Jedno jej gniewne spojrzenie przerwało wyliczaną przez kapitana litanie grożących im niebezpieczeństw i mężczyzna wziął się do roboty, zacisnąwszy usta.

Kapitan Blake stanął przed Siostrami i zdjął z głowy przemoczony kapelusz.

- Wkrótce będziecie na brzegu, moje panie.

- Nie było to takie trudne, jak zapowiadałeś, kapitanie - odezwała się Ulicia.

Zmiał kapelusz.

- Udało się nam wpłynąć. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego chcieliście zawinąć do portu w Grafan. Wyprawa lądowa do Tanimury z tej porzuconej

placówki wojskowej nie będzie tak łatwa jak podróż morzem.

Przemilczał, że wtedy dzień wcześniej opuściłyby jego statek, a to był bez wątpienia powód, dla którego z wylewną łaskawością zaofiarował się dowieźć je wprost do Tanimury, jak początkowo chciały. Ulicii też by to odpowiadało, lecz w tej sprawie nie miała nic do powiedzenia. Zrobiła, co jej nakazano.

Spojrzała poza nabrzeże, tam gdzie - jak wiedziała - czekał. Oczy jej towarzyszek wpatrywały się poprzez ciemność w to samo miejsce.

Otoczające port wzgórza były widoczne jedynie dzięki błyskawicom - wyskakiwały nagle z nicości. Wydawało się, że pomiędzy padającymi błyskawicami na atramentowym niebie unosił się słabiutki blask lamp docierający z potężnej kamiennej fortecy położonej na odległym wzgórzu. Tylko w przelotnym świetle błyskawic Ulicia widziała ponure, smagane deszczem kamienne mury.

Tam był Jagang.

Stanąć przed nim we śnie to jedno - mogła się przecież w końcu obudzić. Jednak zjawić się przed nim na jawie to zupełnie co innego. Teraz nie będzie już przebudzenia. Ulicia wzmocniła więź. Dla Jaganga też nie będzie przebudzenia. Jej prawdziwy władca, Pan, dopadnie go i każe za wszystko zapłacić.

- Wygląda na to, że was oczekują.

Ulicia ocknęła się z zadumy i zwróciła uwagę na kapitana. - Co?

- Ten powóz przyjechał pewnie po was, moje panie. - Wskazał pojazd kapeluszem. - Wokół nie ma nikogo poza tymi tam żołnierzami.

Wpatrzyła się w mrok i w końcu dostrzegła zaprzężony w sześć potężnych wałachów czarny powóz, który czekał na drodze wiodącej po szczycie muru nad nabrzeżem. Jego drzwiczki stały otworem. Ulicia musiała się napomnieć, że należy wypuścić powietrze z płuc.

Już wkrótce to się skończy. Jagang zapłaci za wszystko. Musiały tylko to przetrwać.

Kiedy jej oczy rozpoznały nieruchome, ciemne kształty, Ulicia dostrzegła żołnierzy. Byli wszędzie. Pobliskie wzgórza błyskały ogniskami, a wiedziała dobrze, że na każdy ogień, który udało się utrzymać w takim deszczu, było dwadzieścia lub trzydzieści takich, które zgasły. Nawet nie licząc ognisk, widziała i z łatwością mogła powiedzieć, że wokół portu były ich setki.

Trap załomotał o pokład, gdy marynarze spuszczała go przez przerwę w okrężnicy. Drugi koniec stuknął głucho o nabrzeże. Marynarze natychmiast znieśli bagaże Sióstr i ruszyli z nimi ku powozowi.

- Przyjemnie było załatwiać z tobą sprawy, Siostró - skłamał kapitan Blake. Miał w dłoniach kapelusz, czekając, aż wreszcie sobie pójda. Obrócił się ku marynarzom stojącym przy linach. - Bądźcie gotowi rzucić cumy, chłopcy! Nie chcemy stracić pływ! Jedynie obawa odwetu ze strony Sióstr powstrzymała ich przed okazaniem radości, że pozbyli się wreszcie pasażerek. W rejsie powrotnym do Starego Świata trzeba było udzielić im kilku lekcji karnośći - lekcji, których żaden z nich nigdy nie zapomni.

Czekali w milczeniu na rozkaz rzucenia cum i ani jeden nie zerknął na Siostry. U końca trapu stało czterech marynarzy. Wszyscy patrzyli w ziemię i trzymali paliki płóciennego daszku, który miał chronić sześć kobiet przed deszczem.

Wokół Ulicii i jej pięciu towarzyszek była taka aura mocy, że Siostra mogła z łatwością wykorzystać swoją Han i uchronić je wszystkie przed zmoknięciem, lecz nie chciała przedwcześnie korzystać z więzi. Nie zamierzała ryzykować, że Jagang coś wyczuje. Poza tym podobało jej się zmuszanie owych nic nie znaczących istot do niesienia nad ich głowami impregnowanego daszku. Mieli szczęście, że nie chciała ujawniać więzi, bo w przeciwnym razie uśmierciłaby wielu z nich. Powolutku.

Ulicia ruszyła i poczuła, że pozostałe Siostry uczyniły to samo. Każda miała nie tylko dar, z którym się urodziła, żeńską Han, lecz - jako że wszystkie brały udział w obrzędzie - również jej przeciwieństwo, czyli męską Han, którą odebrały młodym czarodziejom. Oprócz wrodzonej magii addytywnej dysponowały także jej przeciwieństwem: magią subtraktywną. A teraz to wszystko zostało połączone.

Ulicia nie była pewna, czy to zadziała. Siostry Mroku, a zwłaszcza te spośród nich, które wchłonęły męską Han, jeszcze nigdy nie próbowały połączyć swojej mocy. Wiązało się z tym ogromne ryzyko, lecz alternatywa była nie do przyjęcia. Udało się i poczuły gwałtowną ulgę. To, że rezultat przekroczył ich najśmielsze oczekiwania, sprawiło, iż Ulicię odurzyła, wręcz upoiła pulsująca w niej moc. Nigdy nie podejrzewała, że można zgromadzić tak straszliwą moc. Pomijając Stwórcę i Opiekuna, na powierzchni ziemi nie było potęgi mogącej równać się z tą, którą zgromadziły Siostry Mroku.

Ulicia była dominującym punktem więzi, osobą, która może rozkazywać mocy i ukierunkowywać ją. Z całych sił powstrzymywała wewnętrzny płomień Han. Płomień, który domagał się uwolnienia, ilekroć skierowała na coś wzrok. Już wkrótce zostanie uwolniony.

Tak zespolone Siostry - żeńska i męska Han, magia addytywna i subtraktywna - dysponowały taką destrukcyjną mocą, że ogień czarodzieja wyglądałby przy tym jak płomyczek świecy. Ulicia mogła jedną myślą zniszczyć wzgórze, na którym stała forteca. Jedną myślą mogła zniwelować wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku, a może i dalej.

Gdyby miała pewność, że Jagang istotnie jest w fortecy, już teraz uwolniłaby straszliwą furję. Jeżeli jednak go tam nie było, a one nie zdołałyby odnaleźć go i zabić, nim znów zasną, toby je dopadł. Najpierw muszą stanąć przed nim, upewnić się, że naprawdę tam jest, a dopiero potem Ulicia uwolni moc, jakiej jeszcze nie widział ten świat, i zetrze w pył Jaganga, nim ten zdąży mrugnąć okiem. Wówczas Pan dostanie duszę tego nędznika i zadba o to, by kara Jaganga nigdy nie dobiegła końca.

Czterech stojących u krańca trapu marynarzy ruszyło z Siostrami, osłaniając je przed deszczem. Ulicia czuła, jak napinają się mięśnie idących w górę nabrzeża towarzyszek. Poprzez więź mogła wyczuć najmniejsze ukłucie bólu, cierpienie czy przyjemność, których doświadczały tamte. W jej umyśle stanowiły jedność. W jej umyśle były jedną myślą, jednym pragnieniem. Pragnieniem uwolnienia się od tej pijawki. *Już wkrótce, Siostry, już wkrótce. A potem zajmiemy się Poszukiwaczem? Tak, Siostry, a potem zajmiemy się Poszukiwaczem.* Kiedy zmierzały w górę nabrzeża, minął je spieszący w przeciwnym kierunku oddział groźnie wyglądających żołnierzy, którzy podzwaniiali w marszu orężem. Weszli na pokład po śliskim trapie. Kapral stanął przed chwackim kapitanem statku. Ulicia nie usłyszała słów żołnierza, lecz zobaczyła, jak kapitan Blake gwałtownie wyrzuca w górę ramiona, i usłyszała, jak wrzeszczy: "Co takiego?!" Potem rzucił kapelusz i zaczął protestować. Nie dosłyszała już jednak tego, co mówi. Mogłaby, gdyby zwiększyła zasięg mocy, jednak nie ośmieliła się jeszcze tak ryzykować. Żołnierze dobyli mieczy. Kapitan Blake wsparł się pod boki i po krótkim milczeniu obrócił się w stronę marynarzy stojących na nabrzeżu.

- Porządnie zamocujcie liny, chłopcy! - ryknął do nich. - Nie odpływamy tej nocy.

Ulicia zbliżyła się do powozu, a żołnierz nakazał im gestem, by wsiadły. Przepuściła przodem pozostałe. Wyczuła ulgę, z jaką dwie starsze kobiety usiadły na obitej skórą ławce. Ich nogi nareszcie odpoczną. Żołnierz kazał czterem marynarzom, którzy towarzyszyli Siostram, stanąć z boku i czekać. Ulicia weszła do powozu i zamknęła drzwiczki. Zobaczyła, jak żołnierze spędzają po trapie całą załogę *Lady Sefa*.

Prawdopodobnie imperator Jagang zamierzał ich wszystkich zabić, żeby pozbyć się świadków swoich kontaktów z Siostrami Mroku. Jagang oddawał jej przysługę. Nie będzie miał co prawda okazji, by zabić załogę statku, lecz skoro marynarzom nie pozwolono odpłynąć, ona będzie ją miała. Uśmiechnęła się do Sióstr. Każda znała jej myśli dzięki więzi. Odpowiedziały pełnymi zadowolenia uśmiechami. Rejs był przykry i żeglarze za to zapłacą. Jechali wolno ku fortecy; droga pięła się pod górę. Ulicię zdumiała liczebność wojsk Jaganga, o której przekonała się, obserwując je w świetle błyskawic. Każda błyskawica ukazywała rozstawione dokoła jak okiem sięgnąć namioty. Pokrywały faliste wzgórza niczym wiosenne żdźbła trawy. Ich mnogość sprawiała, że w porównaniu z tym Tanimura wydawała się wioską. Ulicia nie miała pojęcia, że w całym Starym Świecie jest tak dużo żołnierzy. Cóż, może się przydadzą.

W świetle rozdzierających niebo pod kotłującymi się chmurami i wstrzających ziemią błyskawic Ulicia dostrzegła również ponurą fortecę, w której czekał Jagang. Dzięki więzi widziała ją także oczami pozostałych Sióstr i czuła ich strach. Wszystkie chciały zdmuchnąć ów szczyt, lecz każda wiedziała, że jeszcze nie mogą tego uczynić.

Gdy zobaczą Jaganga, na pewno go rozpoznają, gdyż każdej wryła się w pamięć głupawo uśmiechnięta twarz, najpierw jednak muszą go zobaczyć, żeby mieć pewność.

Umrze, kiedy go zobaczymy, Siostry, i upewnimy się, że tam jest.

Ulicia chciała zobaczyć strach w jego oczach, ten sam strach, który zasiał w ich sercach, ale nie ośmielała się ryzykować niczego, co mogłoby mu w jakikolwiek sposób zasugerować, co dlań szykują. Nie wiedziała, do czego jest zdolny. W końcu poza Panem, Opiekunem, nigdy przedtem nikt inny nie nawiedzał Sióstr we śnie nie będącym snem, więc nie chciała, żeby Jagang się w czymkolwiek zorientował. Nie zamierzała pozbawiać się przyjemności patrzenia, jak drży.

Czekała specjalnie aż do momentu, w którym zawinęli do Grafan i dopiero wtedy - ze względów bezpieczeństwa - wyjawiała Siostron swój plan. Ich Pan zadba o ukaranie Jaganga. One muszą tylko wysłać jego duszę do zaświatów, do Opiekunka.

Opiekun będzie bardziej niż zadowolony, gdy przywróci jego władzę na tym świecie, i jeżeli zechcą to oglądać, nagrodzi je widokiem męki imperatora. A z pewnością zechcą.

Powóz zatrzymał się przed imponującą fortecą. Tęgi żołnierz w skórzanej opończy, który obwieszony był taką liczbą oręży, że mógłby własnoręcznie wyciąć w pień sporą armię, kazał sześciu kobietom wysiąść. Poszły w milczeniu przez deszcz i błoto, a potem pod beczkowatym sklepieniem za uniesioną żelazną kratą. Wprowadzono je do ciemnego przedsionka, gdzie nakazano im stać i czekać, tak jakby któraś miała ochotę usiąść na zimnej i brudnej kamiennej posadzce.

W końcu były przecież odziane w swoje najpiękniejsze szaty. Tovi miała na sobie ciemną, wyszczuplającą jej sylwetkę suknię, a Cecilia ciemnozielony strój ozdobiony przy szyi koronką. Siwe włosy Siostry Mroku wyglądały dzięki niej szczególnie pięknie. Nicei włożyła prostą, jak zwykle czarną szatę, której koronkowa góra uwydatniała urodę piersi kobiety, natomiast Merissa - czerwoną, wspaniale podkreślającą jej zgrabne kształty i bujne ciemne włosy. Armina przywdziała ciemnoniebieską suknię uwydatniającą dość kształtną postać i harmonizującą z jej błękitnymi jak niebo oczami, Ulicia - niebieską, o wiele jaśniejszą niż suknia Arminy. Jej strój zdobiły przyszyte przy mankietach i dekolcie koronki, które podkreślały kształtne biodra Siostry.

Wszystkie chciały wyglądać jak najlepiej, kiedy będą zabijać Jaganga.

Jeśli nie liczyć dwóch syczących pochodni, które tkwiły w uchwytach, kamienne ściany pomieszczenia były zupełnie nagie. Czekały, a Ulicia czuła narastający gniew swój i towarzyszek, ich wspólną obawę.

Pod uniesioną kratą przeszli otoczeni przez żołnierzy marynarze. Jeden ze strażników otworzył wewnętrzne drzwi, które prowadziły do fortecy, i krótkim skinieniem głowy dał Siostron znak, żeby weszły. Korytarze były równie surowe jak pomieszczenie, w którym czekały. To nie był pałac, lecz forteca wojskowa bez żadnych pretensji do komfortu. Poszły za strażnikami. Ulicia widziała jedynie proste drewniane ławy i pochodnie osadzone w

zardzewiałych żelaznych uchwytach. Drzwi wykonano z nie heblowanych desek i wzmocniono żelaznymi okuciami. Po drodze do serca fortecy nie dostrzegła ani jednej lampy naftowej. To były jedynie koszary dla wojska.

Strażnicy dotarli do wielkich dwuskrzydłowych drzwi i stanęli po obu ich stronach. Jeden pompatycznie dał Siostrze znak, by weszły do wielkiej izby. Ulicia dała znać towarzyszkom, że zapamiętała jego twarz i że zapłaci on za swoją arogancję. Wprowadziła Siostry do izby w chwili, gdy z głębi korytarza, przy akompaniamencie stukotu butów na kamiennej posadzce i szczęku broni pilnujących ich żołnierzy, nadeszli marynarze.

Pomieszczenie było wielkie. Za umieszczonymi wysoko na ścianach oknami bez szyb widać było błyskawice. Strumienie deszczu spływały po ciemnym kamieniu, połyskując w świetle ognia. W dołach po obu stronach izby huczały płomienie. Iskry i dym wzbijały się w górę i wypływały przez okna, ale w powietrzu i tak wisały cuchnące opary. W zardzewiałych żelaznych uchwytach syczały i strzelały pochodnie, dorzucając jeszcze do odoru potu woń smoły. Wszędzie migotał odbłask ognia.

Między dwoma paleniskami Siostry dostrzegły w mroku zbity z solidnych desek stół zastawiony obfitością jadła. Siedział przy nim tylko jeden człowiek, który odcinał właśnie kawałek piezzonego prosięcia i patrzył obojętnie na nowo przybyłe.

W słabym, migotliwym blasku trudno było zyskać pewność. A one nie mogły mieć wątpliwości.

Za stołem, pod ścianą, stali w szeregu ludzie, którzy na pewno nie byli żołnierzami. Mężczyźni mieli na sobie tylko białe spodnie, kobiety zaś odziane były w luźne, dotykające ciała jedynie w kostkach, nadgarstkach i przy szyi stroje, które przewiązały w pasie białym sznurem. Szaty owe były tak przejrzyste, że bosa kobiety równie dobrze mogłyby być nagie.

Mężczyzna uniósł rękę i dwoma palcami dał znak, by się zbliżyły. Sześć kobiet ruszyło ku niemu przez obszerny pokój. Jego ściany z ciemnego, pochłaniającego blask ognia kamienia sprawiały, że Siostrze wydawało się, iż pomieszczenie zamyka się wokół nich. Przed stołem, na ogromnej niedźwiedziej skórze, siedziały jeszcze dwie dziwnie ubrane niewolnice. Kobiety pod ścianą stały sztywno i nieruchomo, ze swobodnie opuszczonymi rękami. Każda miała wkłuty w środek dolnej wargi złoty pierścień.

Płomienie strzelały, a sześć Sióstr wchodziło w mrok. Siedzący za stołem

człowiek wyciągnął w bok kubek i jeden z mężczyzn nalał mu wina. Nikt z niewolników nie spojrzał na sześć kobiet. Całą ich uwagę pochłaniał siedzący za stołem mężczyzna. Ulicia i jej Siostry wreszcie go rozpoznały. Jagang.

Był średniego wzrostu, lecz tęgi, z masywnymi ramionami i potężną klatką piersiową. Odkryte ramiona wystawały z rozpiętą futrzanej kamizelki ukazującej kilka tuzinów złotych, zdobionych klejnotami łańcuchów, które spoczywały na owłosionym zagłębieniu między potężnymi mięśniami piersi. Bez wątplenia łańcuchy te należały niegdyś do królów i królowych. Nad krzepkimi mięśniami ramion Jagang nosił srebrne opaski, a na każdym grubym palcu srebrny lub złoty pierścień.

Każda z Sióstr wiedziała dobrze, jaki ból mogą zadać te krzepkie palce.

Wygolona czaszka Jaganga lśniła w migotliwym blasku ognia. Pasowała do jego krzepy. Ulicia nie potrafiła wyobrazić go sobie z włosami; to by tylko złagodziło jego groźny wygląd. Szyja imperatora mogłaby należeć do byka. Od osadzonego w lewym nozdrzu złotego pierścienia biegł cienki złoty łańcuszek, który łączył się ze złotym kółkiem tkwiącym w połowie lewej małżowiny. Twarz miał gładko wygoloną. Zostawił jedynie maleńkie wąsiki nad kącikami uśmiechających się z samozadowoleniem ust oraz wąską kreskę zarostu pod środkiem dolnej wargi.

Jego oczy przykuwały uwagę wszystkich, na których spoczęły. W ogóle nie miały białek. Były ciemnoszare, zmaćcone przez przesuwające się w polu atramentowej czerni ponure, mroczne kształty. Mimo to nigdy nie było wątpliwości, na co lub na kogo właśnie spoglądają.

Stanowiły bliźniacze okna wiodące do koszmarnego snu.

Pełen zadowolenia z siebie uśmiezek zastąpiło perfidne, gniewne spojrzenie.

- Spóźniłyście się - powiedział Jagang niskim, chrapliwym głosem, który każda rozpoznała równie łatwo jak jego straszliwe oczy.

Ulicia nie marnowała czasu na odpowiedź, nie zdradziła też, co właśnie zamierza uczynić. Zmieniając strumień Han, potrafiła kontrolować nienawiść Sióstr Mroku i sprawić, by na ich twarzach widać było tylko jedno z ich uczuć - strach. A wszystko to po to, żeby nie zdradziły swojej pewności siebie i jej przyczyn.

Skazała na zniszczenie wszystko w promieniu dwudziestu mil.

Gwałtownie usunęła blokady powstrzymujące straszliwą moc. Magia

addytywna i subtraktywna eksplodowały z morderczą siłą, szybko jak myśl, jak rozszalały grom. Powietrze zawyło. Pokój zapłonął oślepiającą błyskawicą bliźniaczych, a jednak przeciwnych magii splecionych w ogłuszającej eksplozji furii.

Nawet Ulicia zdumiała się tym, co wyzwoliła.

Wydawało się, że pęka osnowa rzeczywistości.

Ostatnią myślą Siostry było, że na pewno zniszczyła cały świat.

ROZDZIAŁ 27

Wszystko zdawało się opadać jak płatki mrocznego snu i Ulicia odzyskała wzrok. Najpierw ujrzała dwa ogniska, później pochodnie, potem ciemne kamienne ściany, a w końcu ludzi.

Odrętwiałe ciało Siostry Mroku odzyskało powoli czucie pod gradem bolesnych ukłuć. Wszystko ją bolało.

Jagang odgryzł wielki kawałek pieczonego bażanta. Przez chwilę żuł mięso, a potem pogroził jej pieszczelą ptaka.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Ulicio? - spytał, nie przerywając zucia. - Posługujesz się magią, którą możesz uwolnić równie szybko jak myśl. - Na jego umazane tłuszczem wargi znów wypełził pełen samozadowolenia uśmiezek. - A ja jestem Nawiedzającym Sny. Wykorzystuję czas pomiędzy dwiema myślami, pomiędzy fragmentami myśli, ów bezruch, w którym nic nie ma. Tam właśnie działałam. Wślizguję się tam, gdzie nikt inny nie może dotrzeć. - Przełknął kęs i znów machnął kością. - W owej przestrzeni pomiędzy myślami czas jest dla mnie nieskończony i mogę robić, co chcę. Równie dobrze mogłybyście być kamiennymi posągami, które usiłują mnie dopaść.

Ulicia wyczuła Siostry poprzez więź. Więzy wciąż istniała.

- To prymitywne. Bardzo prymitywne - oznajmił Jagang. - Widziałem innych, którym to lepiej szło, no ale oni mieli doświadczenie. Na razie zostawiłem tę więź, bo chcę, żebyście wszystkie czuły to, co będzie czuła jedna z was. Potem ją rozerwę. Mogę złamać łączącą was więź, podobnie zresztą jak wasze umysły. - Łyknął wina. - Ale to takie bezproduktywne. Jak można dać ludziom nauczkę, naprawdę ich ukarać, jeżeli ich umysły tego nie pojmują?

Ulicia poczuła poprzez więź, jak Cecilia traci nad sobą kontrolę i ciepły mocz spływa jej po udach.

- Jak? - Ulicia usłyszała swój głuchy głos. - Jak możesz korzystać z czasu pomiędzy myślami?

Jagang wziął nóż i odciął płat mięsa leżącego na ozdobnym srebrnym półmisku. Wbił ostrze w środek plastra, po czym wsparł łokcie o stół.

- Czymże jesteśmy? - Zatoczył krąg nadzianym na nóż ociekającym krwią

mięsem. - Czym jest rzeczywistość, rzeczywistość naszego istnienia? - Zdjął zębami mięso z noża i żuł, nie przestając mówić. - Czy jesteśmy naszymi ciałami? Czyż ktoś niski jest kimś mniej rzeczywistym niż ktoś wysoki? Jeżeli jesteśmy naszymi ciałami, to czy kiedy tracimy rękę lub nogę, stajemy się tym samym mniej realni, zaczynamy niknąć? Nie. W dalszym ciągu jesteśmy tymi samymi osobami. Nie jesteśmy naszymi ciałami. My jesteśmy naszymi myślami. Gdy powstają, określają, kim jesteśmy, i tworzą rzeczywistość naszej egzystencji. Pomiedzy myślami nie ma nic, jedynie ciało, które czeka, by myśli uczyniły nas tym, kim jesteśmy. Ja wkraczam między wasze myśli. W przerwie pomiędzy myślami czas nie ma dla was żadnego znaczenia, lecz ma je dla mnie. - Znów łyknął wina. - Jestem cieniem wślizgującym się w szczeliny waszego istnienia.

Ulicia czuła poprzez więź, jak tamte drżą.

- Ib niemożliwe - wyszeptała. - Twoja Han nie może rozciągać czasu, rozłamywać go.

Protekcjonalny uśmieszek Jaganga zaparł jej dech w piersiach.

- Zwykły mały klin wsunięty w szczelinę w największym, najcięższym głazie może go rozłupać. Zniszczyć. Ja jestem tym klinem. Klinem wbitym właśnie w szczeliny w waszych umysłach.

Ulicia stała bez słowa. Jagang oderwał kciukiem długi pas mięsa z pieczonego prosięcia.

- Kiedy śpisz, twoje myśli płyną i dryfują, ty zaś jesteś podatna na atak. Kiedy śpisz, jesteś niczym latarnia morska, którą mogę odnaleźć. Wówczas moje myśli wślizgują się w szczeliny. W przepaściste dla mnie przestrzenie, w których to nikniecie z rzeczywistości, to do niej wracacie.

- Co z nami zrobisz? - spytała Armina.

Odgryzł kęs wieprzowiny, którą trzymał w mięsistych palcach.

- Mam co do was wiele planów. Poza tym mamy wspólnego wroga, którym jest Richard Rahl. Wy znacie go jako Richarda Cyphera. - Uniósł brew nad jednym z mrocznych, gniewnych oczu. - Poszukiwacza. Do tej pory był nieoceniony. Oddał mi olbrzymią przysługę, niszcząc barierę, która zatrzymywała mnie po tej stronie. A przynajmniej zatrzymywała moje ciało. Wy, Siostry Mroku, Opiekun i Richard Rahl umożliwiliście mi zapoczątkowanie panowania ludzkiej rasy.

- Niczego takiego nie zrobiliśmy - zaprotestowała słabym głosem To vi.

- Ależ owszem, zrobiliście. Stwórca i Opiekun rywalizują o dominację na tym świecie. Stwórca walczy, by uniemożliwić Opiekunowi wchłonięcie tego świata przez świat zmarłych, sam Opiekun zaś dlatego, że ma nienasycony apetyt na żywe istoty. - Uniósł atrament o woczarne oczy i napotkał ich spojrzenia. - Walcząc o uwolnienie Opiekuna i przekazanie mu tego świata, dałyście mu tutaj władzę, a to z kolei skłoniło Richarda Rahla do przyjscia z odsieczą żywym. Przywrócił równowagę. A ja pojawiłem się w tej równowadze, tak jak w przestrzeni pomiędzy waszymi myślami. Magia jest tajemnym przejściem do innych światów, które daje im tutaj władzę. Zmniejszając ilość magii na tym świecie, zmniejszę zarazem wpływ Stwórcy i Opiekuna. Stwórca nadal będzie zsyłał iskrę życia, a Opiekun je odbierał, kiedy dobiegnie końca, poza tym jednak świat będzie należał do człowieka. Stara wiara w magię wyląduje na śmietniku historii, ewentualnie trafi między mity. Jestem Nawiedzającym Sny. Widziałem sny ludzi i znam ich możliwości. Magia tłumi te niezmiernie wizje. Bez magii ludzki umysł i wyobrażenia zostaną uwolnione, a człowiek stanie się wszechpotężny. To dlatego zebrałem tak wielkie wojsko. Będę je nadal miał, gdy magia umrze. Dobrze ich przygotowuję, oczekując owego dnia.

- Dlaczego Richard Rahl jest twoim wrogiem? - zapytała Ulicia. Zamierzała skłonić go do mówienia, by postarać się wymyślić, co mogłyby teraz uczynić.

- Rzecz jasna musiał zrobić to, co zrobił, w przeciwnym bowiem razie, kochaneczki, wydałybyście ten świat Opiekunowi. To mi pomogło, lecz teraz Richard Rahl stanął na przeszkodzie realizacji moich planów. Jest młody i nie zna swoich możliwości. Ja zaś przez ostatnie dwadzieścia lat doskonaliłem swoje talenty. - Pomachał nożem przed oczami. - Moje oczy zmieniły się dopiero w tym roku. To cecha Nawiedzającego Sny. Dopiero teraz mam prawo do miana, które budzi największy strach w starożytnym świecie. W starożytnym języku "Nawiedzający Sny" to synonim "oręża". Czarodzieje, którzy stworzyli ów oręż, bardzo tego żałowali. - Obserwował Siostry, zlizując tłuszcz z noża. - Błędem jest stwarzać oręż obdarzony rozumem. Teraz wy jesteście moim orężem. A ja nie popełnię tego samego błędu. Moja moc pozwala mi wnikać do uśpionych umysłów. Na tych, którzy nie mają daru, wywieram jedynie znikomy wpływ, zresztą oni i tak mają dla mnie niewielkie znaczenie. Za to z tymi, którzy mają dar, jak wy,

mogę robić, co zechcę. Gdy wsunę klin w wasz umysł, on już do was nie należy. Jest mój. Magia Nawiedzających Sny była potężna, ale niestabilna. Od trzech tysięcy lat, kiedy to ustanowiono barierę, która dotychczas nas tu więziła, nikt nie urodził się z ową zdolnością. Teraz jednak Nawiedzający Sny znów kroczy po tym świecie. - Zatrząśł się od pełnego groźby rechotu. Zatańczyły wąsiki nad kącikami jego ust. - Ten Nawiedzający Sny to ja. Ulicia omal nie pouczyła go, by przeszedł do rzeczy, lecz zdołała się w porę powstrzymać. Nie miała najmniejszej ochoty przekonać się, co Jagang zrobi, gdy przestanie gadać. Potrzebowała czasu, żeby coś wymyślić.

- Skąd to wszystko wiesz?

Jagang oddarł z prosięcia kawałek przypieczonej słoninki i gryzł ją, nie przestając mówić.

- W zapomnianym mieście mojego ojczystego Altur'Rang znalazłem archiwum ze starożytnych czasów. Jakaż ironia tkwi w tym, że księgi przydały się takiemu wojownikowi jak ja. W Pałacu Proroków też są niezmiernie cenne księgi, jeśli potraficie z nich korzystać. Szkoda, że Prorok zmarł, ale miałem innych czarodziejów. Wszyscy członkowie rodu Rahlów, którzy przychodzili na świat z magicznym darem, dziedziczyli po jego założycielu ułamek magii ze starożytnej wojny, pewnego rodzaju osłonę. Owa więź chroni umysły tych ludzi, więc nie mogę się do nich wśliznąć. Richard Rahl ma ten dar i właśnie zaczął z niego korzystać. Trzeba go ukrócić, zanim się zbyt wiele nauczy. Jego narzeczoną też. - Zamilkł z nie widzącym, zamyślonym spojrzeniem. - Matka Spowiedniczka kosztowała mnie trochę zachodu, lecz już się nią zajęły moje nieświadome marionetki na północy. Ci głupcy w swoim zapale skomplikowali nieco wszystko, ale zdążę jeszcze pociągnąć za kierujące nimi sznurki. A kiedy to uczynię, będą tańczyć, jak im zagram. Głęboko wbiłem w nich klin. Włożyłam wiele wysiłku w to, by wydarzenia przybrały korzystny dla mnie obrót i by Richard Rahl oraz Matka Spowiedniczka wpadli w moje ręce. - Oderwał kawał mięsa z pieczonego prosięcia. - On jest pierwszym od trzech tysięcy lat czarodziejem wojny, lecz wy o tym wiecie. Taki czarodziej będzie dla mnie bezcenną bronią. Może dokonać rzeczy, których nikt z was nie potrafi, dlatego też nie chcę go zabić. Chcę go kontrolować. Zdążę go zgładzić, gdy przestanie już być użyteczny. - Jagang zliznął tłuszcz ze swoich pierścieni. - Sprawowanie kontroli jest ważniejsze od zabijania. Mógłbym was wszystkie

sześć zabić, ale co by mi z tego przyszło? Dopóki panuję nad wami, nie zagrażacie mi, a ja mogę wykorzystać was na wiele sposobów. - Imperator obrócił pięść i wskazał nożem Merissę. - Wszystkie przysięgłyście mi zemstę, lecz ty, kochaneczko, ślubowałaś się kąpać w jego krwi. Mogę ci dać do tego okazję.

- Skąd... skąd to wiesz? - spytała pobladła Merissa. - Nie spałam, kiedy to mówiłam.

Zachichotał, widząc przerażenie na jej twarzy.

- Jeżeli chcesz coś przede mną ukryć, kochaneczko, to nie śnij o tym, co mówiłaś, kiedy nie spałaś.

Ulicia wyczuła dzięki więzi, że Armina bliska jest omdlenia.

- Trzeba was wszystkie, rzecz jasna, przywołać do porządku. Musicie się nauczyć, kto włada waszym życiem. - Wskazał nożem stojących za nim niewolników. - Staniecie się tak posłuszne jak ci tam.

Ulicia po raz pierwszy przyjrzała się skąpo odzianym ludziom stojącym pod ścianami. Z trudem stłumiła głośne westchnienie. Wszystkie kobiety były Siostrami. Co gorsza, większość była jej Siostrami Mroku. Zrobiła pospieszny przegląd; nie wszystkie tu były. Mężczyźni, przeważnie młodzi czarodzieje uwolnieni po nauce w pałacu, również byli tymi, którzy zaprzysięgli swoje dusze Opiekunowi.

- Niektóre są Siostrami Światła, jednak służą mi dobrze, obawiając się tego, co mogę na nie zesłać, jeżeli mnie rozgniewają. - Jagang obracał między palcem wskazującym a kciukiem złoty łańcuszek łączący pierścień w nozdrzu z pierścieniem w uchu. - Ale wołę wasze Siostry Mroku. Nauczyłem je dyscypliny, te w pałacu także.

Ulicia miała wrażenie, że usunięto jej spod nóg kolejną podporę.

- Mam interesy w Pałacu Proroków. Ważne interesy. - Jagang rozłożył ramiona, a złote łańcuchy na jego piersi zaśniły w blasku ognia. - Wszystkie są bardzo posłuszne. - Rzucił spojrzenie atramentowoczarnych oczu na te z tyłu. - Nieprawdaż, kochaneczki?

Janet, Siostra Światła, z twarzą zalaną łzami, ucałowała swój serdeczny palec. Jagang się zaśmiał. Wskazał na nią grubym palcem, jego pierścień zamigotał w blasku ognia.

- Widzicie? Pozwalam jej to czynić. To jej daje złudną nadzieję. Gdybym jej tego zabronił, mogłaby się zabić, ponieważ nie boi się śmierci w

przeciwieństwie do tych, którzy przysięgali Opiekunowi. Czyż to nie jest prawda, moja kochana Janet?

- Tak, ekscelencjo - odparła wystraszonym tonem. - Władasz moim ciałem, dopóki żyję, lecz po śmierci moja dusza należy do Stwórcy.

Jagang zaśmiał się ponuro, chrapliwie. Ulicia już to słyszała i wiedziała, że znów go wywołała.

- Widzisz? Oto na co pozwalam, żeby utrzymać kontrolę. Oczywiście za karę będzie teraz przez tydzień służyć w namiotach. - Spojrzenie atramentowoczarnych oczu sprawiło, że Janet się cofnęła. - Ale wiedziałas o tym, zanim się odezwałaś, nieprawdaż, kochaneczko?

- Tak, ekscelencjo - odparła Siostra Janet drżącym głosem. Mroczne, zmącone oczy Jaganga znów patrzyły na sześć stojących przed nim kobiet.

- Wolę Siostry Mroku, bo mają prawdziwe powody, żeby się obawiać śmierci. - Zgiął bazanta w połowie, trzasnęły kości. - Zawiodły Opiekuna, któremu oddały dusze. Jeśli umrą, nie będzie dla nich ucieczki. Opiekun zemści się za to, że go zawiodły. - Zaśmiał się kpiąco niskim, głębokim głosem. - Tak jak porwie was sześć na wieczność, jeżeli rozgniewacie mnie tak, że zasłużycie na śmierć.

Ulicia przełknęła ślinę.

- Rozumiemy... ekscelencjo.

Koszmarne spojrzenie Jaganga sprawiło, że wstrzymała oddech.

- O nie, Ulicio, nie sądzę, byście naprawdę zrozumiwały. Pojmiecie jednak, gdy skończy się wasza pokuta.

Wpatrując się w Ulicię, Jagang sięgnął pod stół i wywłókł za jasne włosy kształtną kobietę. Skrzywiła się z bólu, kiedy podniosło ją mocarne ramię. Była ubrana tak samo jak pozostałe. Ulicia widziała przez przejrzystą tkaninę stare, żółte zadrapania i nowsze, czerwone. Na prawym policzku kobiety widniał siniec, po lewej stronie dolnej szczęki - kolejny świeży, niebiesko-czarny, z czterema rozcięciami po pierścieniach.

To była Christabel, jedna z Sióstr Mroku, które Ulicia zostawiła w pałacu. Pozostawione w Pałacu Proroków towarzyszki miały umożliwić im powrót. Teraz najwyraźniej szykowały grunt pod pojawienie się Jaganga. Nie mogła się domyślić, czego szukał w Pałacu Proroków.

- Stań przede mną - nakazał tamtej Jagang.

Siostra Christabel okrążyła stół i zatrzymała się przed imperatorem.

Pospiesznie przyglądała rozczochrane włosy, otarła usta grzbietem dłoni i skłoniła się.

- Jak mogę ci służyć, ekscelencjo?

- - No, Christabel, muszę udzielić tej szóstce ich pierwszej lekcji. - Oderwał drugą nogę pierwszego bażanta. - I w związku z tym musisz umrzeć.

Skłoniła się.

- Tak, eksce...

Znieruchomiła, uświadomiwszy sobie, co powiedział. Ulicia widziała, jak drżą jej nogi, lecz Christabel nie ośmieliła się nic powiedzieć.

Jagang dał znak nogą bażanta dwóm kobietom siedzącym na niedźwiedziej skórze i odczołgały się. Ze straszliwym uśmiechem powiedział:

- Żegnaj, Christabel.

Wyrzuciła w górę ręce i padła z krzykiem na posadzkę. Rzuciła się wściekle na podłogę, a jej głośnie wrzaski raniły uszy Ulicii. Sześć kobiet, które stały przy niedźwiedziej skórze, wstrzymało oddech i wielkimi oczami przyglądało się męce nieszczęsnej. Jagang ogryzał bażancie udko. Mrozące krew w żyłach wrzaski nie milkły, Christabel rzucała głową na boki, wiła się gwałtownie, a jej ciało podskakiwało.

Jagang nie przerywał posiłku, kolejny raz dolano mu wina. Nikt się nie odzywał. Imperator zjadł mięso i sięgnął po winogrona. Ulicia nie mogła tego dłużej znieść.

- Kiedy ona umrze? - spytała chrapliwie. Jagang uniósł brew.

- Kiedy umrze? - Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Podczas gdy nikt inny nawet się nie uśmiechnął, imperator uderzał w stół ozdobionymi pierścieniami dłońmi. Jego tłuste ciało trzęsło się, kołysał się łańcuszek pomiędzy nozdrzem a uchem. Wreszcie przestał się śmiać. - Była martwa, zanim uderzyła o podłogę.

- Cooo? Przecież... przecież nadal krzyczy. Christabel nagle umilkła i znieruchomiła.

- Była martwa od pierwszej chwili - rzekł Jagang. Wbił czarne bezdenne oczy w Ulicę, na jego usta wypełzał z wolna uśmieszek. - To ów klin, o którym wspomniałem. Taki jak ten w waszych umysłach. Widzicie Jak krzyczy jej dusza. Widzicie jej mękę w świecie zmarłych. Wygląda na to, że

Opiekun nie jest zadowolony ze swoich Sióstr Mroku.

Jagang uniósł palec i Christabel ponownie zaczęła się szaleńczo miotać i krzyczeć. Ulicia przełknęła ślinę.

- Kiedy... kiedy... przestanie? Oblizał wargi.

- Gdy zgnije.

Ulicii drżały kolana. Dzięki łączącej je więzi wyczuła, że tamte lada moment zaczną wrzeszczeć w straszliwej panice, tak jak krzyczała Christabel. Oto, co ześle na nie Opiekun, jeżeli nie przywrócą jego władzy na tym świecie.

- Slith! Eeris! - Jagang pstryknął palcami.

Na tle ściany zamigotało światło. Ulicia aż sapnęła ze zdumienia, gdy zobaczyła, jak dwie otulone pelerynami postacie wyłaniają się z mrocznego kamienia.

Sunąc bezszelestnie po posadzce, dwa pokryte łuskami stwory ominęły stół i skłoniły się.

- Tak, Nawiedzający Ssssny?

Jagang wskazał tłustym palcem wrzeszczącą kobietę na podłodze.

- Wrzucicie ją do dołu kloaczego.

Mriswithy odrzuciły z ramion peleryny, schyliły się i podniosły miotające się i krzyczące ciało kobiety, którą Ulicia знаła od ponad stu lat. Kobiety, która jej pomagała i była posłuszną służką Opiekuna. A teraz dostanie nagrodę za swoją służbę. Ją również czeka to samo. Mriswithy wyszły, niosąc ciało Christabel, a Ulicia spojrzała na Jaganga.

- Co mamy zrobić?

Jagang uniósł rękę i dwoma ociekającymi tłuszczem palcami przywołał jednego ze stojących z boku żołnierzy.

- Ta szóstka należy do mnie. Zawieś im kolczyki.

Usłyszawszy ten rozkaz, krzepki, odziany w skóry i obwieszony bronią mężczyzna skłonił się. Podszedł do najbliższej z Sióstr, do Nicei, i brudnymi palcami bezceremonialnie chwycił jej dolną wargę, grosteskowo ją rozciągając. Otwarte szeroko błękitne oczy Nicei wypełniał paniczny strach. Ulicia czuła poprzez więź oszołomienie, strach i ból młodej kobiety, kiedy tępy, zardzewiały żelazny szpikulec przedziurawił jej skraj wargi. Żołnierz wsunął szpikulec za pas, po czym wyjął z kieszeni złoty pierścień. Rozgiął kółko zębami, przesunął przez krwawiącą ranę, a potem znów zacisnął

zębami.

Nie ogolony, brudny, cuchnący żołnierz podszedł do Ulicii na samym końcu. Dygotała już wtedy i nie potrafiła nad sobą zapanować, gdyż dzięki więzi czuła to, co wycierpiały jej poprzedniczki. Gdy szarpnął jej dolną wargę, Ulicia desperacko starała się myśleć o ucieczce. Przypominało to wyciąganie wiadra z pustej studni. Pierścień znalazł się na miejscu, a z oczu Siostry popłynęły łzy bólu.

Jagang otarł grzbietem dłoni tłuszcz z warg i z rozbawieniem patrzył, jak krew spływała po sześciu podbródkach.

- Teraz wszystkie jesteście moimi niewolnicami. Jeśli nie zasłużycie sobie na śmierć, będę miał dla was zajęcie w Pałacu Proroków. A kiedy skończę z Richardem Rahlem, to może pozwolę wam go zabić.

Znów podniósł oczy, a ponure kształty przesunęły się przez nie w taki sposób, że Ulicia wstrzymała oddech. Zniknęła z nich wszelka uciecha, pozostała niepoohamowana groźba.

- Ale jeszcze z wami nie skończyłem.

- Doskonale pojęłyśmy, jaki mamy wybór - powiedziała pospiesznie Ulicia. - Nie musisz wątpić w naszą lojalność.

- Och, dobrze o tym wiem - wyszeptał Jagang. - Lecz nie dostałyście jeszcze nauczki. To był tylko przedsmak. Reszta tak szybko się nie skończy.

Ulicia bała się, że upadnie. Od kiedy Jagang zaczął nawiedzać jej sny, życie na jawie zmieniło się w koszmar. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby z tym skończyć, ale nie mogła niczego wymyślić. Ujrzała siebie, jak powraca do Pałacu Proroków jako niewolnica Jaganga, odziana w ów osobliwy strój. Imperator przeniósł wzrok za nią.

- Przysłuchiwaliście się, chłopcy?

Ulicia usłyszała, jak kapitan Blake potwierdził. Wzdrygnęła się. Zupełnie zapomniała o trzydziestu żeglarzach, którzy stali za nią w głębi izby.

Jagang przywołał ich ruchem dwóch palców.

- Rankiem możecie odpłynąć. Coś mi się jednak zdaje, że tej nocy chętnie zabawilibyście się z tymi tu paniusiami.

Każda z sześciu Sióstr zdrętwiała. - Ale...

Osobliwe kształty przesunęły się gwałtownie w kpiących oczach i Ulicia natychmiast umilkła.

- Jeżeli od tej chwili skorzystacie ze swojej magii wbrew moim

życzeniom, nawet po to, żeby się powstrzymać od kichnięcia, to podzielicie los Christabel. W snach dałem wam poznać ledwo przedsmak tego, co mogę wam uczynić, dopóki żyjecie, a dopiero co widziałyście próbkę tego, co zgotuje wam Opiekun, kiedy umrzecie. Macie tylko jedną drogę. I na waszym miejscu uważałbym bardzo, żeby nie zrobić fałszywego kroku. - Jagang przeniósł wzrok na stojących za Siostrami marynarzy. - Są wasze na tę noc. Znam te sześć z ich snów, więc wiem, że macie rachunki do wyrównania. Zróbcie z nimi, co chcecie.

Żeglarze krzyknęli radośnie.

Ulicia poczuła dzięki więzi, jak czyjaś dłoń ściska pierś Arnainy, inna chwyta Nicei za włosy i odchyła do tyłu jej głowę, jak marynarze rozdierają Nicei stanik sukni. W końcu poczuła też, że czyjaś ręka sunie w górę po wewnętrznej stronie jej uda. Stłumiła krzyk.

- Są pewne drobne zasady - oznajmił Jagang i ręce znieruchomiały. - Jeżeli je złamiecie, to wypatroszę was jak rybę.

- A cóż to za zasady, imperatorze? - spytał jeden z marynarzy.

- Nie możecie ich zabić. Są moimi niewolnicami, moją własnością. Chcę, żeby wróciły tu rankiem w takim stanie, by mogły mi służyć. A to oznacza, że nie mogą mieć żadnych złamanych kości i tym podobne. Pociągniecie losy o to, która komu przypadnie. Wiem, co by się działo, gdybym pozwolił wam swobodnie wybierać. Nie życzę sobie, aby którąś pominięto.

Marynarze zgodnie zarechotali i oznajmili chórem, że to sprawiedliwe. Obiecali, że nie złamią zasad. Jagang raz jeszcze spojrzał na sześć kobiet.

- Mam ogromną armię wielkich, krzepkich żołnierzy, a wokół nie ma żadnych dziwek, do których mogliby pójść. To wprawia moich ludzi w paskudny nastrój. Dopóki nie wyznaczę wam innych zadań, dopóty będziecie służyć im w tym charakterze, mając codziennie cztery godziny na odpoczynek. Bądźcie wdzięczne za mój pierścień w wardze, bo to powstrzyma ich przed zabiciem was, kiedy będą się zabawiać.

Siostra Cecilia rozłożyła ręce. Na jej twarzy pojawił się życzliwy, niewinny uśmiech.

- Twój ludźmi są młodzi i silni, imperatorze Jagang. Nie sądzę, by zlegnięcie z taką starą kobietą jak ja sprawiło im jakąkolwiek przyjemność. Przepraszam.

- Jestem pewny, że biorąc cię, będą się uśmiechać z rozkoszy. Przekonasz

się.

- Siostra Cecilia ma rację, imperatorze. Obawiam się, że także ja jestem zbyt stara i zbyt gruba - odezwała się Tovi swoim najbardziej starczym głosem. - Nie zadowolimy twoich ludzi.

- Zadowolimy? - Odgryzł kawałek nadzianej na nóż pieczeni. - Zadowolenie? Rozum wam odebrało? Tb nie ma nic wspólnego z zadowoleniem. Zapewniam cię, że moi ludzie zasmakują w waszych wdziękach, lecz źle mnie zrozumiałaś. - Pogroził im palcem, zatłuszczone pierścienie zaśniły w blasku ognia. - Wasza szóstka była Siostrami Światła, a potem Siostrami Mroku. Prawdopodobnie jesteście najpotężniejszymi czarodziejkami na tym świecie. To ma was nauczyć, że teraz nie znaczącyce więcej niż nawóz pod moimi butami. Zrobię z wami, co zechcę. Ci, którzy mają dar, są teraz moją bronią. A to ma wam dać nauczkę. Nie macie tu nic do gadania. Będziecie zabawiać moich żołnierzy, dopóki nie zmienię decyzji. Jeżeli spodoba się im wykręcać wam palce i zakładać, który zmusi was do głośniejszego wrzasku, mogą to czynić. Jeśli zachce się im od was jakiegoś innego rodzaju rozkoszy, mogą ją uzyskać. Mają bardzo zróżnicowane gusty i jeśli tylko was to nie zabije, mogą je zaspokajać. - Wepchnął do ust resztę pieczeni. - Ale dopiero po tym, jak ci tu chłopcy z wami skończą. Radujcie się moim prezentem, chłopaki. Przestrzegajcie moich zasad, a w przyszłości skorzystam z waszych usług. Imperator Jagang jest łaskawy dla przyjaciół.

Marynarze wzniesli okrzyk na cześć imperatora.

Pod Ulicią ugięły się kolana i byłaby upadła, gdyby nie otoczyło jej w pasie ramię i nie przycisnęło do ciała podnieconego marynarza. Czują jego nieświeży oddech.

- No, no, no, panienko. Wygląda na to, że i tak w końcu się z nami zabawicie, choć żeście były takie wyniosłe i wredne.

Ulicia słyszała swój szloch. W wardze pulsował jej ból, a Siostra wiedziała, że to dopiero początek. Była tak ogłuszona tym, co się działo, że nie potrafiła jasno myśleć.

- Och - powiedział Jagang i wszyscy zamarli. Skinął nożem ku Merissie. - Z wyjątkiem tej. Jej nie dostaniecie - wyjaśnił zeglarzom. Skinął ku niej dwoma palcami. - Zbliź się, kochaneczko.

Merissa postąpiła dwa kroki ku skórze niedźwiedziej, Ulicia czuła poprzez więź, jak tamtej drżą nogi.

- Christabel była wyłącznie moja. Była moją ulubienicą. Ale teraz nie żyje i to po to, żeby dać ci przykład. - Spojrzał na to, co odślaniała rozpięta przez marynarzy suknia. - Zajmiesz jej miejsce.

Przesunął atramentowe spojrzenie na jej oczy.

- Mówiłaś, o ile sobie dobrze przypominam, że będziesz mi lizać stopy, jeśli będziesz musiała. No i musisz. - Widząc zdumienie Merissy, Jagang uśmiechnął się tym swoim nieludzkim uśmiechem, unoszącym maleńkie wąsiki. - Uprzedzałem cię, kochaneczko, że śniesz o tym, co mówiłaś na jawie.

- Tak, ekscelencjo. - Merissa skinęła delikatnie głową.

- Zdejmij tę suknię. Możesz potrzebować czegoś ładnego na później, jeśli pozwolę ci zabić Richarda Rahla.

Merissa wypełniała polecenie, a on spojrzał na pozostałe kobiety.

- Zostawię wam na razie tę więź, by każda z was czuła, co przytrafia się pozostałym. Nie chciałbym, żebyście cokolwiek z tego straciły.

Gdy Merissa rozebrała się, Jagang obrócił nóż pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i skierował go w dół.

- Pod stół, kochaneczko.

Ulicia wyczuła szorstkie futro pod kolanami Merissy, a potem chropowatą kamienną posadzkę. Marynarze spoglądali na to pożądliwie. Ulicia wykorzystała całą siłę woli oraz nienawiść do tego człowieka, odzyskała moc i podjęła decyzję. Wykorzystując więź, przewodziła Siostrze Mroku. Przemówiła do pozostałych: *Wszystkie brałyśmy udział w obrzędzie. Doświadczyłyśmy czegoś gorszego niż to, co nas tutaj czeka. Jesteśmy Siostrami Mroku, więc pamiętajcie, kto jest naszym prawdziwym Panem. Na razie jesteśmy niewolnicami tej pijawki, lecz myli się bardzo, jeśli sądzi, że nie mamy umysłów. On sam nie ma mocy, może jedynie korzystać z naszej. Coś wymyślimy i wtedy Jagang zapłaci za wszystko. Och, słodki Panie, będzie płacił przez wieczność.*

Lecz co czeka nas do owej chwili! - wrzasnęła Armina.

Cisza, rozkazała Nicei. Ulicia czuła obmacujące tamtą palce, jej szaleńczą wściekłość i serce z czarnego lodu. *Zapamiętajcie każdą twarz. Każdy z nich zapłaci. Słuchajcie Ulicii. Wymyślimy coś, a wtedy doświadczymy ich tak, jak tylko my to potrafimy.*

Iniech żadna z was nie ośmieli się o tym śnić, ostrzegła Ulicia. Nie możemy dopuścić, żeby Jagang nas zabił, bo wtedy nie będzie już żadnej nadziei. Dopóki żyjemy, dopóty mamy szansę odzyskać łaski Pana. Obiecano nam nagrodę za nasze

dusze i zamierzam ją zdobyć. Nie poddawajcie się, Siostry.

Ale Richard Rahl jest mój, syknęła Merissa, i każda, która go zamiast mnie dopadnie, odpowie przede mną i przed Opiekunem.

Nawet Jagang, gdyby mógł ją usłyszeć, poblądłby, zrozumiałby, ile jadu zawierają jej słowa. Ulicia wyczuła poprzez więź, jak Merissa odsuwa na bok swoje gęste włosy Poczła na języku ten sam smak co ona.

- Skończyłem z wami... - Jagang zamilkł na chwilę, odetchnął i machnął nożem. - Odejdźcie.

- Czas wyrównać rachunki, damulko - powiedział kapitan Blake i złapał Ulicę za włosy.

ROZDZIAŁ 28

Zamrugła, patrząc na wymierzony w jej twarz zardzewiały miecz. Jego czubek był zaledwie o cal.

- Czy to naprawdę konieczne? Powiedziałam wam, że możecie ukraść, co tylko chcecie, i nie będziemy wam w tym przeszkadzać. Muszę was jednak uprzedzić, że jesteście trzecią bandą niebezpiecznych bandytów, która rabuje nas w ciągu kilku ostatnich tygodni, więc nie zostało nam nic wartościowego.

Chłopakowi drżała ręka i nie wyglądał na osobę mającą szczególne doświadczenie w swoim fachu. A przyklejona do kości skóra świadczyła, że nie odnosił w nim większych sukcesów.

- Przymknij się. - Rzucił okiem w stronę kompana. - Znalazłeś coś?

Drugi młody bandyta, równie chudy jak jego towarzysz, kuczał w śniegu wśród pakunków i patrzył na ciemniejszy las po obu stronach mało uczęszczanego traktu. Obejrzał się do tyłu, na pobliski zakręt znikający w tym miejscu za ośnieżonymi jodłami. Nad nie zamrzniętym mimo mrozu potokiem przerzucony był most.

- Nie. Tylko stare łachy i rupiecie. Ani boczku, ani chleba.

Pierwszy podskakiwał, gotowy czmychnąć w razie jakichkolwiek kłopotów. Złapał drugą dłonią rękojeść, żeby niestarannie wykonany miecz tak się nie chwiał.

- Dobrzeście odżywieni. Co jecie, stara?! Śnieg? Skrzyżowała dłonie na pasie i westchnęła. Miała już tego dość. - W drodze pracujemy za żywność. Powinniście tego spróbować. Miałam na myśli pracę.

- Taaa? Zima jest, starucho, chybaś to zauważyła. Nie ma roboty. Jesienią wojsko zabrało zapasy. Rodzice nie mają nic na zimę.

- Przykro mi, synu. Może...

- Hej! Co to takiego, starucho? - Wsunął palec pod zmatowiałą srebrną obrozę i szarpnął. - Jak się to zdejmuje? Gadaj!

- Mówiłam ci - rzuciła, unikając spoglądania w pełne lodowatej wściekłości błękitne oczy czarodzieja - że mój brat jest głuchoniemy. Nie rozumie twoich słów i nie może odpowiedzieć.

- Głuchy i niemy? No to ty mi powiedz, jak się to ściąga?

- To jedynie żelazna pamiątka i to założona dawno temu. Nie ma żadnej wartości.

Dłoń zsunęła się z miecza, napastnik pochylił się ostrożnie ku kobiecie i palcem odsunął na bok poję peleryny.

- A to co? Sakiewka! Znalazłem jej sakiewkę! - Zerwał jej z pasa ciężki worek pełen złotych monet. - Pewno jest pełna złota!

Kobieta zachichotała.

- Obawiam się, że to tylko woreczek twardych sucharów. Możesz sobie wziąć jeden, jeśli chcesz, ale nie próbuj gryźć, bo połamiesz zęby. Possij chwilę.

Wyłowił złotą monetę i wsunął między zęby. Skrzywił się z ponurą miną.

- Jak możecie jeść coś takiego? Jadłem niesmaczne suchary, ale te są zbyt ohydne, żeby je nazywać niesmacznymi.

Jakie to proste z młodym umysłem, pomyślała. Szkoda, że nie było tak łatwo z dorosłymi.

Chłopak splunął i rzucił w śnieg worek ze złotymi monetami. Poklepał pelerynę, sprawdzając, czy stara jeszcze czegoś nie schowała.

Kobieta westchnęła niecierpliwie.

- Skończylibyście, chłopcy, z tym rabowaniem. Chcielibyśmy przed zmrokiem dotrzeć do następnego miasta.

- Nic - powiedział drugi. - Nie mają niczego, co by warto zabrać.

- Konie mają - rzucił pierwszy, mnąc w garści pelerynę i sprawdzając, czy czegoś tam nie zaszyła. - Chociaż konie weźmy. Coś za nie dostaniemy.

- Bardzo proszę - zgodziła się kobieta. - Mam już dość wleczenia się w tempie tych starych szkap. Oddacie mi przysługę. Wszystkie cztery są kulawe, a ja nie mam serca, żeby je wyzwolić z tej biedy.

- Stara ma rację - odezwał się drugi, przeprowadziwszy kawałek na próbę kulejącego konia. - Wszystkie cztery. Już my szybciej chodzimy. Jak weźmiemy ze sobą te worki kości, to na pewno nas złapią.

Pierwszy złodziejaszek wciąż przesunął dłonią po pelerynie. Jego dłoń zamarła na kieszeni. - A to co?

- Nic, co by cię mogło zainteresować. - W głosie kobiety pojawiła się ostra nuta.

- Taaa? - Wyjął jej z kieszeni książkę podróżną.

Kiedy przerzucał stroniczki, kobieta dostrzegła wiadomość. Nareszcie.

- Co to?

- Notes. Umiesz czytać, synu?

- Nie. Zresztą tu i tak nie ma nic do czytania.

- Weź to - odezwał się drugi. - Może coś nam za to dadzą, jak jest czysty.

Kobieta raz jeszcze spojrzała na młodzieńca, który trzymał ją na ostrzu miecza.

- Mam już tego dość. Rabunek skończony.

- Skończy się, jak ja powiem, że to już koniec.

- Oddaj to - powiedziała spokojnie Ann i wyciągnęła rękę. - A potem idźcie swoją drogą, zanim zaciągnę was za ucho do miasta i powiadomię rodziców, żeby po was przyszli.

Chłopak potrząsnął mieczem i uskoczył do tyłu.

- Słuchaj no, nie stawiaj się, bo zakosztujesz stali! Wiem, jak się tym posługiwać!

W spokojnym wieczornym powietrzu rozległ się nagle tętent końskich kopyt. Kobieta obserwowała, jak żołnierze się podkradają. Najpierw minęli zakręt, potem przeszli przez most, mimo to jednak młodzieńcy nie zauważyli niczego aż do rozpoczęcia szarży, gdyż szum potoku zagłuszał wszelkie odgłosy. Wstrząśnięty napastnik odwrócił się i Ann wyrwała mu z rąk miecz. Nathan wyrwał drugiemu nóż.

Otoczyli ich d'haranscy jeźdźcy.

- Co tu się dzieje? - zapytał spokojnym, basowym głosem sierżant.

Chłopcy zdrętwieli ze strachu.

- Natrafiliśmy na tych dwóch i właśnie nas ostrzegli, że powinniśmy uważać na bandytów - odezwała się Ann. - Obaj mieszkają w okolicy. Pokazywali nam, jak się chronić, i demonstrowali swoje szermiercze talenty.

Sierżant wsparł dłoń na kuli siodła.

- Tak było, chłopcze?

- Ja... my... - Spojrzał błagalnie na Ann. - Tak było. Mieszkamy w pobliżu i mówiliśmy tym podróżnym, żeby uważali, bośmy słyszeli, że tu grasują bandyci.

- To był wspaniały pokaz szermierki. Tak jak obiecałam, młodzieńcze, dostaniesz za to suchara. Podaj mi mój woreczek z sucharami.

Chłopak schylił się, podniósł ciężką sakiewkę ze złotem i podał ją Ann. Wyjęła dwie monety i wsunęła po jednej w dłoń każdego z młodzieńców.

- Jak obiecałam, suchar dla każdego. A teraz, chłopcy, wracajcie do domu, zanim się ściemni, bo rodzice będą się niepokoić. Dajcie im suchary w podzięcie ode mnie za to, że wysłali was, byście nas ostrzegli.

Z trudem kiwnął głową.

- Dobrzej. No to dobranoc. Uważajcie na siebie.

Ann wyciągnęła rękę. Wbiła w młodziana groźnie przymrużone oczy.

- Jeśli się już napatrzyłeś na mój notes, to go oddaj. Otworzył szeroko oczy, dostrzegłszy, jak na niego patrzy, i wcisnął jej książeczkę w dłoń, zupełnie jakby go parzyła.

- Dziękuję, synu. - Ann się uśmiechnęła.

- No to żegnajcie. - Otarł dłoń o wystrzępioną kapotę. - I uważajcie na siebie.

Odwrócił się, żeby odejść.

- Nie zapomnij o tym. - Obrócił się ostrożnie w jej stronę, a ona podsunęła mu rękojeść. - Twój ojciec ogromnie by się rozzłościł, gdybyś mu zapomniał oddać miecz.

Chłopak ostrożnie wziął broń. Nathan, nie mogąc odmówić sobie teatralnego popisu, przesunął wirujący nóż po grzbietach palców. Rzucił go w górę, złapał za plecami i posłał pod pachą na drugą rękę. Ann wywróciła oczy, a Prorok klepnął nóż i odwrócił kierunek wirowania. Potem chwycił ostrze i podsunął uchwyt drugiemu chłopcu, który wpatrywał się w niego wielkimi oczami.

- Gdzie się tego nauczyłeś, stary? - spytał sierżant.

Nathan spojrział nań wilkiem. Bardzo nie lubił, kiedy nazywano go "starym". Był czarodziejem i nie mającym sobie równego prorokiem, więc uważał, że powinno się nań patrzeć z podziwem, a nawet z lękiem. Ann tłumiała jego dar za pomocą Rada'Han, inaczej bowiem - nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości - siodło sierżanta już stałoby w płomieniach. Sprawiała też, że Nathan nie mógł mówić. Postępowała tak, ponieważ jego język był co najmniej tak samo niebezpieczny jak magiczny dar.

- Przykro mi, lecz mój brat jest głuchoniemy. - Ruchem dłoni odpędziła dwóch młodocianych bandytów. Odeszli ku lasowi, brodząc w śniegu. - Zawsze bawiło go uczenie się takich sztuczek.

- Czy tamci dwaj naprzykrzali ci się, pani?

- Och, nie - zaśmiała się Ann.

Sierżant ściągnął wodze, jego dwudziestu ludzi uczyniło to samo. Byli gotowi ruszyć za swoim dowódcą.

- Cóż, lepiej utniemy sobie z nimi krótką pogawędkę. Krótką pogawędkę na temat złodziejstwa.

- No to nie zapomnijcie ich przy tej okazji poprosić, żeby opowiedzieli wam, jak d'harańscy żołnierze ukradli ich rodzinom zapasy żywności i jak przez to głodują.

Żołnierz z kwadratową szczęką poluzował wodze.

- Nie wiem nic o tym, co wcześniej czyniono, lecz nowy lord Rahl jasno i wyraźnie rozkazał, że wojsko nie może niczego kraść.

- Nowy lord Rahl? Sierżant przytaknął.

- Richard Rahl, mistrz D'Hary.

Ann dostrzegła kątem oka, jak po ustach Nathana przemyka uśmiech. Uśmiech zadowolenia z właściwie wybranego odgałęzienia proroctwa. Musiało tak być, jeśli mieli zwyciężyć, jednak Ann się nie uśmiechnęła. Poczuli za to ukłucie straszliwego bólu na myśl o tym, co miało się wydarzyć w przyszłości. Gorsze było jedynie to, czego uniknęli.

- A, tak. Jak wymieniłeś jego imię, to przypomniałam sobie, że już je kiedyś słyszałam.

Sierżant stanął w strzemionach i obrócił się ku swoim ludziom.

- Ogden, Spaulding. - Ich konie skoczyły do przodu, wzbijając chmurki śniegu. - Jedźcie za tymi chłopcami i zawieźcie ich do rodzin. Sprawdźcie, czy mówią prawdę, że wojsko ukradło zapasy. Jeżeli tak, to ustalcie, jak liczne są ich rodziny i czy jeszcze ktoś w okolicy ma te same kłopoty. Natychmiast dostarczcie raport do Aydindril i dopilnujcie, żeby dostali tyle żywności, by mogli przetrwać zimę.

Dwaj żołnierze oddali honory, kładąc pięść na okrytym skórzanym pancerzem i kolczugą sercu, i pocwałowali po prowadzących do lasu śladach. Sierżant znów spojrział na Ann.

- Rozkazy lorda Rahla - wyjaśnił. - Zmierzacie do Aydindril?

- Tak, mamy nadzieję znaleźć tam bezpieczne schronienie, jak inni podróżujący na północ.

- Znajdziecie je, ale za pewną cenę. Powiem wam to samo co mówię wszystkim innym. Bez względu na to, z jakiej krainy przychodzicie, będziecie teraz poddanymi D'Hary. Wymagane jest posłuszeństwo oraz

niewielka część tego, co zarobicie. Za tę cenę możecie wejść na terytorium D'Hary.

- Czyżby wojsko wciąż okradało ludzi? - Ann znacząco uniosła brew.

- Tbbie się tak może zdawać, lecz nie lordowi Rahlowi, a jego słowo jest prawem. Wszyscy bez wyjątku płacą na utrzymanie wojsk broniących naszej wolności. Jeśli nie chcesz płacić, to nie możesz zabiegać o naszą ochronę i o wolność.

- Wygląda na to, że lord Rahl trzyma sprawy mocno w garści. Sierżant przytaknął,

- To potężny czarodziej.

Ramiona Nathana trzęsły się od bezgłośnego śmiechu. Sierżant przymrużył oczy.

- A ten czego się śmieje, skoro ponoć jest głuchy i niemy?

- Ależ jest taki, jest. I jeszcze na dodatek niespełna rozumu. - Ann ruszyła ku koniom. Kiedy przechodziła przed barczystym czarodziejem, wpakowała mu łokieć w żołądek. - Rechoce tak w najmniej oczekiwanych momentach. - Łypnęła groźnie okiem na kaszlącego Nathana. - Może się też zacząć ślinić, jak mu na to przyjdzie ochota.

Ann pogłaskała łagodnie gładki, mocny, złocisty bok Belli. Klacz zatańczyła w miejscu z radości. Z nadzieją wysunęła język; bardzo lubiła, jak ktoś ją za niego pociągnął. Ann zrobiła jej tę przyjemność, a potem podrapała za uchem. Bella zarżała, śmiejąc się na swój specyficzny, zwierzęcy sposób, i znów wysunęła język. Chciała się jeszcze pobawić.

- Mówiłeś, sierżancie, że lord Rahl jest potężnym czarodziejem?

- Atak. Zabił stwory, które zobaczysz na palach przed pałacem.

- Stwory?

- Mówi na nie "mriswithy". To paskudne, pokryte łuską, przypominające jaszczury bestie. Zabiły mnóstwo ludzi, ale lord Rahl własnoręcznie posiekaj je na kawałki.

Mriswithy. To na pewno nie były dobre wieści.

- Czy jest w pobliżu jakieś miasto, w którym mogliśmy się pożywić i przenocować?

- Za następnym wzgórzem, jakieś dwie mile stąd, leży Ten Oaks. Jest tam niewielka gospoda. - A jak daleko jest do Aydindril? Ann gładziła ucho Belli. Sierżant przyjrzał się koniom.

- Z takimi wspaniałymi końmi droga na pewno nie zabierze wam więcej niż siedem do ośmiu dni.

- Dziękuję, sierżancie. Dobrze wiedzieć, że w pobliżu są żołnierze, skoro w okolicy podobno włóczą się wyjęci spod prawa.

Sierżant spojrzał na Nathana, na jego potężną, wysoką sylwetkę, sięgające ramion białe włosy, mocną i gładko wygoloną szczękę oraz przenikliwe lazururowe oczy skrywające się pod krzaczastymi brwiami. Nathan był przystojnym, pełnym wigoru mężczyzną, choć miał niemal tysiąc lat.

Sierżant znów przeniósł wzrok na Ann, wołąc najwyraźniej wymieniać spojrzenia z pulchną starą kobietą niż z Nathanem. Prorok onieśmiał ludzi, chociaż Rada'han tłumiała jego moc.

- Szukamy kogoś z Bractwa Czystej Krwi - powiedział żołnierz.

- Bractwo Czystej Krwi? Masz na myśli tych pompatycznych głupków w szkarłatnych pelerynach, którzy pochodzą z Nikoła are zj i?

Sierżant szarpnął lejcami, bo jego koń próbował się przesunąć w bok. Pozostałe wierzchowce kopały śnieg, szukając trawy, albo pogryzały suche gałęzie chaszczki rosnących obok drogi, leniwie machając przy tym ogonami w zimnym wieczornym powietrzu.

- Tak, to oni. Interesuje nas dwóch mężczyzn: naczelną wodź bractwa i jego oficer, oraz kobieta. Uciekli z Aydindril i lord Rahl rozkazał, żeby sprowadzić ich z powrotem. Żołnierze przeszukują całą okolicę.

- Żałuję, lecz ich nie widziałam. Czy lord Rahl mieszka w Wieży Czarodzieja?

- Nie, w Pałacu Spowiedniczek.

- To dobrze - westchnęła Ann.

- Dlaczego dobrze? - Sierżant zmarszczył brwi. Nie zdawała sobie sprawy, że głośno wyraziła ulgę.

- Och, po prostu dlatego, że mam nadzieję ujrzeć owego wielkiego człowieka, a nie mogłabym, gdyby mieszkał w wieży. Słyszałam, że Wieżę Czarodzieja chroni magia. Atak, jeśli wyjdzie na balkon pałacu, żeby pozdrowić ludzi, to może uda mi się go zobaczyć. No cóż, sierżancie, dziękuję za pomoc. Lepiej wyruszmy już do Ten Oaks, zanim zrobi się zupełnie ciemno. Nie chcę, żeby któryś z moich koni wpadł w dziurę i złamał nogę.

Sierżant życzył jej dobrej nocy i poprowadził oddział drogą w kierunku przeciwnym do Aydinril. Gdy odjechali wystarczająco daleko, by żołnierze nie mogli już ich usłyszeć, Ann usunęła blokadę, która odbierała Nathanowi głos. Ciężko było utrzymywać taką kontrolę przez dłuższy czas. Ubroiła się w cierpliwość, przygotowując do wysłuchania nieuniknionej tyrady, i zaczęła zbierać ich pakunki ze śniegu.

- Lepiej ruszajmy w drogę - pouczyła Nathana. Prorok wyprostował się z władczą, groźną miną.

- Dałabyś złoto tym rabusiom? Powinnaś była...

- To tylko chłopcy, Nathanie. Byli głodni.

- Próbowali nas ograbić!

Ann uśmiechnęła się i zamocowała pakunek na grzbiecie Belli.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że tak by się nie stało. No i dałam im nie tylko złoto. Nie przypuszczam, żeby ponownie próbowali kraść.

Chrząknął.

- Mam nadzieję, że ten urok, który rzuciłaś im na palce, spali je do kości.

- Pomóż mi zbierać rzeczy. Chcę się dostać do tej gospody. W książce podróźnej jest wiadomość.

Nathanowi tylko na chwilę odebrało mowę.

- Coś dużo czasu jej to zajęło. Zostawiliśmy tyle wskazówek, że dziesięcioletnie dziecko już dawno by się połapało. Brakowało tylko przypiętej do jej sukni karteczki z napisem: "Nawiasem mówiąc, Ksieni i Prorok wcale nie umarli, ty durnoto".

Ann mocno ściągnęła popręg Belli.

- Na pewno nie było to dla niej takie łatwe, jak twierdzisz. Nam to się wydaje jasne, bo my wiemy. Nie miała żadnego powodu, żeby coś podejrzewać. Jednak domyśliła się wszystkiego i tylko to się liczy.

Nathan odpowiedział na to wyniosłym parsknięciem, po czym zabrał się wreszcie do zbierania reszty bagaży.

- I cóż napisała? - zainteresował się.

- Jeszcze nie wiem. Ulokujemy się na noc i wtedy przeczytamy.

Prorok wycelował w Ann palec.

- Jeszcze raz wypróbuj na mnie tę sztuczkę z głuchoniemym, a pożałujesz.

Odwzajemniła gniewne spojrzenie.

- Za to jeśli ty raz jeszcze zaczniesz wrzeszczeć do ludzi, że porwała cię oszalała wiedźma i więzi w magicznej obroży, to naprawdę uczynię cię głuchym i niemym!

Nathan napuszył się z obrazą i ponownie zajął się pracą. Obrócił się ku swojemu koniowi i Ann spotrzęła, jak uśmiecha się do siebie z zadowoleniem.

Nim znaleźli gospodę i zostawili konie w stajni, świeciły już gwiazdy i mały zimowy księżyc lśnił nad odległym górskim stokiem. Wiszący nad ziemią dym niósł aromaty gulaszu. Ann dała chłopcu stajennemu pensa, żeby wniósł do środka ich bagaże.

Ten Oaks było niewielką miejscowością. W gospodzie przy kilku stolikach siedziało tylko z tuzin miejscowych, którzy pili, palili fajki i opowiadali o napotkanych żołnierzach oraz o pogłoskach dotyczących sojuszy zawartych przez nowego lorda Rahla, który, według jednych, władał Aydindril, według innych - raczej nie. Tych drugich pytano od razu, czemuż w takim razie d'haranskie wojska zrobiły się takie zdyscyplinowane, jeżeli nie dlatego, że ktoś je wreszcie przywołał do porządku.

Nathan - ubrany w wysokie buty, brązowe spodnie, białą koszulę z żabotem kryjącym Rada'Han, rozpiętą ciemnozieloną kamizelkę i ciężką, ciemnobrązową pelerynę, która sięgała niemal do podłogi - podszedł do szynkwasu, za którym widniało parę butelek i beczulek. Z wyniosłą miną odrzucił pelerynę z ramienia i wsparł stopę na podpórce. Prorok z największą radością nosił stroje różniące się od czarnych szat, w które ubierano go w pałacu. Nazywał to "przebieraniem się".

Ponury karczmarz uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy Nathan podsunął mu srebro wraz z poradą, by w wysoką cenę noclegu był również wliczony posiłek. Mężczyzna wzruszył ramionami i zgodził się na to.

Zanim Ann się zorientowała, Nathan już opowiadał, iż jest kupcem podróżującym ze swoją kochanką, podczas gdy żona siedzi w domu i wychowuje dwunastu synów. Karczmarz chciał wiedzieć, czym Nathan handluje. Prorok nachylił się ku niemu, przyciszył władczy głos, mrugnął okiem i powiedział mu, że bezpieczniej byłoby dlań, gdyby nie wiedział.

Przejęty karczmarz wyprostował się i podał Nathanowi kubek napitku na koszt firmy. Prorok wypił za Ten Oaks, karczmarza i stałych bywalców, a potem ruszył ku schodom, polecając na odchodnym właścicielowi, żeby

razem z gulaszem przyniósł kufelek jego "kobiecie". Wszyscy mu się przyglądali, podziwiając imponującego przybysza.

Ann zacisnęła usta i obiecała sobie, że nie będzie już na tyle roztargniona, aby dać Nathanowi czas na podanie zmyślnego powodu, dla którego tu przebywają. To książka podróżna tak ją rozkojarzyła. Chciała wiedzieć, jaka wiadomość się pojawiła, lecz jednocześnie się tego obawiała. Coś mogło się nie udać, któraś z Sióstr Mroku mogła zabrać książkę i wykryć, iż oni wciąż żyją. Nie mogli sobie na to pozwolić. Przycisnęła palce do bolącego brzucha. Z tego, co wiedziała, Pałac Proroków znajdował się już w rękach wroga.

Pokój był niewielki, ale czysty. Stały w nim dwa wąskie łóżka, pobielana umywalnia zaopatrzona w miedzianą miednicę i wyszczerbiony dzban oraz kwadratowy stolik, na którym Nathan postawił lampę naftową zabraną z podstawki przed drzwiami. Wkrótce pojawił się karczmarz z miseczkami gulaszu z baraniny i razowym chlebem. Przyszedł także chłopak stajenny z bagażami. Kiedy obaj wyszli i zamknęli drzwi, Ann usiadła i przysunęła się z krzesłem do stolika.

- Cóż to, nie udzielisz mi nagany - spytał Nathan.

- Nie, Nathanie. Jestem zmęczona. Machnął ręką.

- Uznałem, że to uczciwy rewanż za głuchotę i niemotę. - Spochmurniał.

- Tylko cztery pierwsze lata życia spędziłem bez tej obroży. Jak ty byś się czuła, gdybyś całe życie była więźniem?

Ann pomyślała, że jako jego strażniczka jest niemal w takim samym stopniu więźniem jak on. Spojrzała w gniewne oczy.

- Chociaż w to nie wierzysz, Nathanie, po raz kolejny powtórzę, iż bardzo bym chciała, żeby tak nie było. Więzienie jednego z dzieci Stwórcy tylko dlatego, że się urodziło, nie sprawia mi żadnej przyjemności.

Po długim milczeniu odwrócił od niej gniewny wzrok. Założył ręce za plecy i chodził po pokoju, przyglądając mu się krytycznie. Stąpał mocno po podłodze z desek.

- Nie do tego jestem przyzwyczajony - rzucił w przestrzeń. Ann odsunęła na bok miseczkę gulaszu i położyła na stole książkę podróżną. Jakiś czas wpatrywała się w czarną skórzaną okładkę, a potem otworzyła tom na zapisanej stronie.

Najpierw musisz mi podać powód, dla którego mnie ostatnim razem

wybrałaś. Pamiętam każde słowo. Jedna pomyłka i ta książka podróżna skończy w ogniu.

- No, no, no - mruknęła Ann. - Ależ jest ostrożna. Tb dobrze. Nathan spojrział przez ramię Ksieni na zapisaną wiadomość akurat wtedy, gdy wskazała ją palcem.

- Spójrz, Nathanie, na pociągnięcia rysikiem. Jakże mocno go przyciskała. Verna musi być wściekła. - Ann wpatrywała się w słowa. Wiedziała, o co chodziło Vernie. - Musi mnie naprawdę nienawidzić - wyszeptała, a słowa rozmazywały się jej przed załzawionymi oczami.

Nathan się wyprostował.

- No to co? Ja też cię nienawidzę, a nigdy ci to nie przeszkadzało.

- Czyżby, Nathanie? Naprawdę mnie nienawidzisz? Jedyłą odpowiedzią było zbywające temat mruknięcie. - Czy mówiłem ci już, że ten twój plan to czyste szaleństwo?

- Od śniadania nie.

- W takim razie teraz mówię.

Ann wpatrywała się w słowa w książce podróźnej.

- Sam pracowałeś nad tym, Nathanie, żeby wpłynąć na wybór właściwego odgałęzienia przepowiedni, bo wiedziałeś, co się może wydarzyć na złej ścieżce, i wiesz dobrze, jak podatne na zniekształcenie są przepowiednie.

- Co komu przyjdzie z tego, że się zabijesz podczas realizacji twojego szaleńczego planu? Aja wraz z tobą! Wiesz, że chciałbym dożyć tysiąca lat. Przez ciebie oboje zginiemy.

Ann wstała z krzesła. Delikatnie położyła dłoń na jego muskularnym ramieniu.

- No to powiedz mi, Nathanie, co ty byś zrobił. Znasz proroctwa, znasz zagrożenie. Sam mnie ostrzegłeś. Co byś zrobił, gdyby decyzja należała do ciebie?

Długo patrzył jej w oczy. Jego spojrzenie złagodniało i po chwili położył wielką dłoń na jej dłoni.

- To samo co ty, Ann. To nasza jedyna szansa. Ale bynajmniej nie czuję się lepiej, wiedząc, co ci grozi.

- Wiem, Nathanie. Są tam? Są w Aydindril?

- Jedno jest - odparł, ściskając jej dłoń. - A drugie będzie mniej więcej wtedy, kiedy tam dotrzemy. Zobaczyłem to w proroctwie. Te czasy, Ann, są

uwikłane w całą gmatwaninę prorocत्व. Wojna przyciąga prorocत्वa jak nawóz muchy. Odgałęzienia biegną we wszystkich kierunkach. Każde trzeba właściwie ocenić. Jeśli wybierzemy złą ścieżkę w którymkolwiek z nich, to wpadniemy w przepaść. Co gorsza, są luki, w których nie mam pojęcia, co należy uczynić. Najgorsze jest jednak to, że są w to wplątani i inni, którzy też muszą wybrać właściwe odgałęzienie, a my nie mamy nad nimi żadnej kontroli.

Ann nie mogła znaleźć żadnych słów, więc tylko skinęła głową. Usiadła za stołem i przysunęła doń krzesło. Nathan usiadł okrakiem na drugim i odłamał kawałek ciemnego chleba. Jadł i patrzył, jak Ann wyciąga rysik z grzbietu książki podróżnej. Napisała:

Jutrzejszej nocy, kiedy wzejdzie księżyc, pójdz tam, gdzie to znalazłaś.

Zamknęła książeczkę i wsunęła ją do kieszeni swojej szarej sukni.

- Mam nadzieję, że jest na tyle bystra, by usprawiedliwić twoje zaufanie - powiedział prorok z ustami pełnymi chleba.

- Wyszkoliliśmy ją najlepiej, jak potrafiliśmy, Nathanie. Odesłaliśmy ją z pałacu na dwadzieścia lat, żeby nauczyła się posługiwać rozumem. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Teraz musimy jej ufać. - Ann pocałowała palec, na którym przez wszystkie te lata tkwił pierścień Ksieni. - Daj i jej siły, drogi Stwórco.

Nathan chuchnął na łyżkę gorącego gulaszu.

- Chcę mieć miecz - oznajmił. Ann zmarszczyła brwi.

- Jesteś czarodziejem, który w pełni włada swoim darem. Po co ci miecz, na Stwórce?

Spojrzał na nią, jakby brakowało jej piątej klepki.

- Bo z mieczem u boku będę wspaniale i dziarsko wyglądać - wyjaśnił.

ROZDZIAŁ 29

- Proszę... - wyszeptała Cathryn.

Richard spojrział w jej łagodne piwne oczy i delikatnie dotknął policzka promiennej twarzy, odgarniając zeń czarny lok. Kiedy tak patrzyli sobie w oczy, chłopak nie potrafił oderwać od niej wzroku, chyba że ona zrobiła to pierwsza. Właśnie teraz nie mógł się na to zdobyć. Od obejmującego go w tali ramienia promieniowały fale ciepła. Desperacko starał się przywołać obraz Kahlan, żeby oprzeć się przemożnej chęci wzięcia Cathryn w ramiona i powiedzenia "tak". Płonął.

- Jestem zmęczony - skłamał, gdyż sen był ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

- Ib był długi dzień. Jutro znów będziemy razem.

- Aleja chcę...

Dotknął ust księżnej, skłaniając ją, by zamilkła. Wiedział, że jeśli znów usłyszy te słowa, będzie to o jeden raz za dużo. Równie trudno jak wyraźnej słownej zachęcie było mu się oprzeć kuszącemu dotknięciu warg całujących koniuszki jego palców. Niemal nie potrafił myśleć.

Zdołał jedynie pomodlić się w ciszy: *Pomóżcie mi, drogie duchy. Dodajcie mi sił. Moje serce należy do Kahlan.*

- Jutro - wykrztusił.

- Mówiłeś tak już wczoraj, a potem całe godziny trwało, zanim cię odnalazłam - wyszeptała, całując go w ucho.

Richard korzystał z peleryny mriswitha i był niewidoczny. Trochę łatwiej było mu się opierać, kiedy Cathryn nie mogła nań bezpośrednio wywierać uroku, lecz to jedynie opóźniało nieuniknione. Zobaczył, jak zapamiętała go szukała, i nie mógł znieść jej strapienia. Sam do niej poszedł.

Ujął dłoń, która zawędrowała mu aż na szyję, i pospiesznie ją ucałował.

- Śpij dobrze, Cathryn. Zobaczymy się rano.

Richard zerknął na Egana. Gwardzista stał dziesięć stóp od niego oparty plecami o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i patrzył wprost przed siebie, jakby niczego nie widział. W mrokach panujących na końcu ciemnego korytarza stała na straży Berdine. Nie udawała, że nie widzi Richarda i przytulonej do niego Cathryn stojących przed drzwiami jej komnaty. Przyglądała się im obojętnie. Ulic, Cara i Raina spali.

Chłopak wsunął rękę za plecy i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się pod jego ciężarem, więc odsunął się, a Cathryn poleciała do przodu i znalazła się w środku. Przytrzymała się ręki Richarda. Patrząc chłopakowi w oczy, ucałowała jego dłoń. Richard z trudem utrzymał się na nogach.

Cofnął rękę, ponieważ wiedział, że nie zdoła się dłużej opierać, jeśli nadal będzie na nią patrzył. Już zaczął szukać usprawiedliwień, żeby się poddać. W czym by to zaszkodziło? Dlaczego miałyby to być złe? Dlaczego widzi w tym zło?

Wydawało mu się, że jakaś gruba okrywa tłumi jego myśli, nie pozwalając im wypłynąć na powierzchnię umysłu.

Głosy w umyśle chłopaka starały mu się wytłumaczyć, że powinien przestać głupio się opierać i zacząć cieszyć się wdziękami tego wspaniałego stworzenia, które bez ogródek dawało do zrozumienia, że go pragnie. Które, prawdę mówiąc, usilnie błagało, by móc mu się oddać. Sam pragnął jej tak bardzo, że z trudem oddychał. Bliski łez, usilnie szukał powodów, żeby się powstrzymać.

Stracił zdolność myślenia. Większa część jego umysłu desperacko chciała pokonać jego opór, lecz niewielka, ukryta cząstka zazarcie starała się go powstrzymać, ostrzec, że coś jest nie tak. Co mogło być nie tak? Dlaczego to było złe? Jaka ukryta w nim siła starała się go powstrzymać?

Pomóżcie mi, drogie duchy.

Nawiedził go obraz Kahlan: zobaczył jej uśmiech, ten przeznaczony wyłącznie dla niego. Zobaczył, jak poruszyła wargami. Powiedziała, że go kocha.

- Muszę zostać z tobą sama, Richardzie - powiedziała Cathryn. - Nie mogę czekać ani chwili dłużej.

- Dobranoc, Cathryn. Spij dobrze. Zobaczymy się rano. - Zamknął drzwi.

Z trudem łapiąc oddech, wszedł do swojej komnaty. Koszulę miał mokrą od potu. Uniósł osłabłe ramię i zasunął rygiel. Rygiel odpadł. Richard patrzył na zwisający, trzymający się na jednej śrubie zawias. W słabym blasku ognia płonącego w kominku nie mógł dostrzec na wzorzystych dywanach pozostałych śrub.

Był tak podniecony, że ledwo mógł oddychać. Zdjął pendent przez głowę, rzucił miecz na podłogę i podszedł do okna. Z wysiłkiem, jak tonący, otworzył okno. Dusił się, jakby nie mógł oddychać. Płuca wypełniło mu

zimne powietrze, lecz to go bynajmniej nie ochłodziło.

Miał komnatę na parterze, więc przez chwilę rozważał możliwość przeskoczenia przez parapet i wytarzania się w śniegu. Zrezygnował, a zamiast tego usiadł na parapecie, w strumieniu zimnego powietrza, i zapatrzył się na obłany księżycową poświatą zaciszny ogród.

Coś było nie tak, lecz nie mógł pojąć co. Chciał być z Cathryn, jednak jakaś część jego umysłu sprzeciwiała się temu. Dlaczego? Nie rozumiał, dlaczego powinien walczyć z tym, że jej pożąda.

Znów pomyślał o Kahlan. Dlatego.

Skoro jednak kochał Kahlan, to dlaczego tak namiętnie pragnął Cathryn? Mógł myśleć jedynie o niej. Z trudem przychodziło mu pamiętać o Kahlan.

Powłócząc nogami, poszedł do łóżka. Instynktownie wiedział, że nie zdoła już dłużej opierać się pożądaniu. Siedział oszołomiony na skraju łoża, w głowie mu wirowało.

Drzwi się otworzyły. Richard podniósł wzrok. To była ona. Miała na sobie coś tak przejrzystego, że nawet mgliste światło docierające z korytarza uwydatniało jej kształty. Podeszła do niego.

- Błagam, Richardzie, nie odsyłaj mnie tym razem. Błagam. Umrę, jeżeli z tobą nie będę - powiedziała cichym głosem, który go obezwładniał.

Umrze? Drogie duchy, on wcale nie chciał, żeby umierała. Na myśl o tym o mało się nie rozplakał.

Podpłynęła bliżej, na skraj blasku płonącego w kominku. Delikatnie plisowany nocny strój sięgał podłogi, lecz wcale nie skrywał tego, co było pod spodem. Przemieniał jedynie jej ciało w wizję piękna, jakiego Richard nawet sobie nie wyobrażał. Zapłonął. Mógł myśleć tylko o tym, co widział, i o tym, jak bardzo jej pragnie. Pożądanie zabije go, jeśli ją odtrąci.

Stała przed nim, jedną rękę trzymając za plecami, a drugą gładząc go po twarzy. Czuł ciepło jej ciała. Nachyliła się i musnęła ustami jego wargi. Omal nie umarł z rozkoszy Ręka Cathryn przesunęła się na pierś Richarda.

- Połóż się, mój ukochany - szepnęła, popychając go na poduszki.

Opadł na łoże i patrzył na nią, spalając się w słodkiej męce pragnienia.

Pomyślał o Kahlan. Był bezsilny. Przypominał sobie mgliście, co Nathan mówił mu o korzystaniu z daru: dar był wewnątrz niego i gniew mógł go obudzić. Ale chłopak nie czuł gniewu. Nathan powiedział również, że czarodziej wojny instynktownie korzysta ze swojego daru. Richard

przypomniał sobie, że poddał się temu instynktowi, gdy był bliski poniesienia śmierci z rąk Liliany, Siostry Mroku. Uległ wówczas sile wewnętrznej mocy. Pozwolił, by instynkt ją rozbudził.

- Nareszcie, moja miłości. - Cathryn wsparła kolano o łożo. Bezradny, zrezygnowany Richard poddał się wewnętrznemu ośrodkowi spokoju, instynktowi pozostającemu poza świadomym pojmowaniem. Zanurzył się w mrocznej pustce. Zaniechał samokontroli. Niech będzie, co ma być. Tak czy owak był stracony.

Nagła jasność myśli przegnała z jego umysłu mgłę. Spojrzał w górę i dostrzegł kobietę, do której nic nie czuł. Zrozumiał to z chłodną przenikliwością. Wcześniej pozostawał pod wpływem magii, rozpoznał owo uczucie. Teraz osłona została rozdarta. W tej kobiecie była magia. Czuł jej zimne macki w swoim umyśle. Ale dlaczego? Wówczas zobaczył nóż.

Uniosła nóż nad głowę i ostrze zaśniło w blasku ognia. W nagłym przypiływie sił rzucił się na podłogę i cios Cathryn trafił w pościel. Wyciągnęła ostrze i skoczyła na Richarda.

Lecz straciła okazję. Chłopak ugiął nogi, żeby odrzucić ją kopnięciem, gdy wyczuł obecność mriswitha i niemal jednocześnie ujrzał, jak stwór materializuje się i przeskakuje go.

A potem świat stał się czerwony. Richard poczuł na twarzy bryźnięcia ciepłej krwi i zobaczył rozcinaną przejrzystą nocną szatę. Przezroczysty materiał zakolysał się jak rozwiany powiewem wiatru. Trzy ostrza niemal przecięły Cathryn na pół. Mriswith runął na podłogę tuż za nią.

Kiedy Cathryn upadła, a jej wnętrzości znalazły się na dywanie, Richard wydostał się spod ciała księżnej i poderwał na nogi. Straszliwe rżenie kobiety przeszło w wysilony oddech.

Richard przykucnął na rozstawionych stopach, rozłożył ręce i wpatrywał się w mriswitha stojącego po drugiej stronie Cathryn. Stwór miał w każdej łapie nóż o trzech ostrzach. Pomiedzy nimi wiła się w śmiertelnej męce księżna Lumholtz.

Mriswith zrobił krok ku oknu, nie spuszczając przy tym chłopaka z paciorkowatych oczu. Wykonał kolejny krok, omiótł wzrokiem komnatę i naciągnął pelerynę na pokryte łuskami ramię.

Richard rzucił się w stronę miecza. Zatrzymał się gwałtownie, bo mriswith postawił na pendencie szponiastą stopę.

- Nie - zasyczał. - Ona chciała cię zzzzabić. - Tak samo jak ty!

- Nie. Ja cię chronnnię, krewniaku.

Oślupiały Richard wpatrywał się w ciemną sylwetkę. Mriswith otulił się peleryną i rzucił przez okno w noc, znikając jeszcze w trakcie skoku. Richard ruszył ku oknu, chcąc złapać bestię, lecz pochwycił jedynie powietrze i padł na parapet, do połowy wywieszony za okno, w noc. Mriswith zniknęła. Chłopak nie wyczuwał już jego obecności.

Pustkę powstałą po zniknięciu mriswitha wypełnił w umyśle Richarda obraz Cathryn wijącej się w płataninie własnych wnętrzności. Zwymiotował za okno.

Kiedy torsje wreszcie się skończyły i przestało mu się kręcić w głowie, Richard podszedł chwiejnie do leżącej i uklęknął przy niej. Dziękował duchom, że jest już martwa i nie cierpi. Chciała go co prawda zabić, ale on mimo to nie mógł patrzeć, jak cierpiała w agonii.

Wpatrywał się w jej twarz. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, że żywił wobec niej tak gwałtowne uczucia, które teraz ledwo mgliście pamiętał. Była przeciętną kobietą. Jednak przedtem otulała ją magia. Jakiś urok, który odebrał mu rozsądek. W ostatniej chwili odzyskał jasność myśli. Jego dar przełamał czar.

Górna część rozdartego nożem nocnego stroju leżała na szyi Cathryn. Chłodne przeczucie, od którego przeszył go dreszcz, kazało Richardowi spojrzeć na jej piersi. Zmrużył oczy, nachylił się niżej i patrzył uważnie. Dotknął prawej brodawki. Potem lewej. Różniły się.

Zaniósł lampę do kominka i zapalił ją długą drzazgą. Wrócił do ciała i przysunął lampę do lewej piersi. Zwilżył językiem kciuk i potarł gładką brodawkę. Zmyła się. Wytarł dokładnie pierś nocnym strojem Cathryn: ukazała się zupełnie gładka skóra. Cathryn nie miała lewej brodawki.

Z wewnętrznego ośrodka spokoju napłynęło zrozumienie. To miejsce łączyło się z urokiem, jaki rzucała nań zmarła. Nie wiedział, jak tego dokonano, ale tak właśnie było.

Richard znienacka przysiadł na piętach. Siedział tak przez chwilę z szeroko rozwartymi oczami, a potem zerwał się i pobiegł do drzwi. Zatrzymał się. Dlaczego tak myślał? Musi się mylić.

A jeżeli nie?

Uchylił drzwi na tyle, żeby wymknąć się przez nie, i zatrzasnął je za sobą.

Egan spojrzał na niego, stojąc wciąż ze skrzyżowanymi ramionami, i znów zapatrzył się przed siebie. Richard zerknął w koniec korytarza: odziana w czerwoną skórę Berdine opierała się o ścianę. Obserwowała go. Dał jej znak, by podeszła. Wyprostowała się i ruszyła korytarzem. Zatrzymała się przed chłopakiem i spojrzała na drzwi. Potem popatrzyła nań chmurnie.

- Księżna chce być z tobą. Wracaj do niej.

- Obudź Carę i Rainę i zjawcie się tutaj - nakazał Richard głosem równie gniewnym jak spojrzenie. - Natychmiast.

- Czy coś...

- Natychmiast!

Znów popatrzyła na drzwi i odeszła bez słowa. Kiedy zniknęła za zakrętem korytarza, Richard przeniósł wzrok na obserwującego go Egana.

- Dlaczego pozwoliłeś jej wejść do mojej komnaty?

Egan ze zdumieniem ściągnął brwi. Wskazał dłonią na drzwi.

- Nooo... to, jak jest... ubrana. Powiedziała, że chcesz ją na tę noc i że kazałeś jej się tak ubrać i przyjść do ciebie. - Egan chrząknął. - Rzuciło się w oczy, dlaczego jej pragniesz. Pomyślałem, że się rozgniewasz, jeśli nie pozwolę jej wejść, skoro sam kazałeś jej przyjść w nocy.

Richard nacisnął klamkę i otworzył szeroko drzwi. Uczynił ręką zapraszający gest. Egan wahał się, lecz po chwili wszedł. Zatrzymał się przed zwłokami i zdrętwiał.

- Tak mi przykro, lordzie Rahlu. Nie widziałem mriswitha. Zatrzymałbym go, gdybym go zobaczył, a przynajmniej spróbowałbym cię ostrzec. Przysięgam - jęknął. - Cóż za straszna śmierć, o drogie duchy. Zawiodłem cię, lordzie Rahlu.

- Spójrz na jej rękę, Eganie.

Gwardzista przesunął wzrokiem po ramieniu zmarłej i dostrzegł zaciśnięty w dłoni nóż. - Co u...?

- Nie prosiłem, by do mnie przyszła. Zjawiła się w mojej komnacie, żeby mnie zabić.

Egan odwrócił oczy. Dobrze wiedział, czym to grozi. Każdy poprzedni lord Rahl zabiłby strażnika za takie niedopatrzzenie.

- Mnie również oszukała, Eganie. To nie twoja wina. Lecz już nigdy nie pozwól kobiecie, chyba że będzie to moja przyszła żona, wejść do mojej komnaty. Rozumiesz? Gdyby któraś chciała do mnie wejść, masz mnie

zapytać o zgodę, choćby nie wiem co się działo.

- Tak, lordzie Rahlu. - Egan przyłożył pięść do serca.

- A teraz zawiń ją, proszę, w dywan i zabierz stąd. Wróc na posterunek w korytarzu, a gdy nadejdą trzy Mord-Sith, wpuść je do mnie.

Egan bez słowa zabrał się do pracy. Przy jego sile i wzroście nie był to żaden wysiłek.

Richard dokładnie obejrzał zepsutą zasuwę, a potem przesunął krzesło od stolika w pobliże kominka i usiadł, patrząc na drzwi. Miał nadzieję, że się pomylił. Bo cóż uczyni, jeśli nie? Siedział w ciszy, słuchając potrzaskiwania ognia, i czekał na trzy kobiety.

- Wejść - zawołał w odpowiedzi na pukanie.

Pierwsza weszła Cara, za nią Raina, obie w brązowych skórkach. Berdine szła na końcu. Dwie pierwsze przebiegły obojętnie wzrokiem po komnacie, idąc ku Richardowi. Berdine bacznie się wszystkim przyjrzała. Zatrzymała się przed chłopakiem.

- O co chodzi, lordzie Rahlu? - spytała spokojnie Cara. - Życzysz sobie czegoś?

Richard skrzyżował ramiona na piersi.

- Pokażcie mi swoje piersi.

Cara otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zamknęła je i z ponurą determinacją zaczęła rozpinać rząd guzików. Raina zerknęła na Carę i zobaczyła, że ta robi, co jej kazano. Ona również, choć niechętnie, zaczęła rozpinać guziki. Berdine się im przyglądała. W końcu i ona zaczęła z wolna rozpinać guziki na boku czerwonego stroju.

Cara skończyła i złapała w garść rozpiętą górę stroju, ale jej nie odchyliła. Na twarzy Mord-Sith odmalowały się uraza i gniew. Richard poprawił leżący na kolanach pendent z mieczem i założył nogę na nogę.

- Czekam.

Cara westchnęła z rezygnacją i odchyliła przód bluzy. W blasku ognia docierającym z kominka, do którego przed chwilą dorzucił drewna, Richard bacznie obserwował każdą brodawkę i chwiejny cień rzucany przez środkową wypukłość. Obie brodawki miały właściwe kontury, żadna nie została namalowana.

W milczeniu przesunął rozkazujący wzrok na Rainę. Czekał, nic nie mówiąc. Widział, jak stara się milczeć i zdecydować, co robić. Zacisnęła z

urazą wargi, lecz w końcu rozchyliła szarpnięciem górę stroju. Richard równie dokładnie przyjrzał się jej piersiom. I ona miała obie brodawki.

Spojrzał na Berdine. To ona mu groziła. Ona podniosła na niego Agiel.

To nie upokorzenie, lecz wściekłość sprawiła, że jej twarz była równie czerwona jak strój.

- Powiedziałeś, że nie będziemy musiały tego robić! Obiecałeś to nam! Powiedziałeś, że nie będziesz...

- Pokaż.

Cara i Raina przestępowały z nogi na nogę. Wcale im się to nie podobało, zupełnie jakby podejrzewały, że wybiera sobie jedną z nich na noc, ale jednocześnie nie chciały się sprzeciwić życzeniom lorda Rahla. Berdine nawet nie drgnęła.

- Tb rozkaz. - Spojrzał na nią twardym, gniewnym wzrokiem. - Przysięgałaś, że będziesz ich słuchać. Rób, co każe.

Z oczu Berdine trysnęły łzy gniewu. Szarpnięciem rozchyliła górę stroju.

Miała tylko jedną brodawkę. Lewa piers była zupełnie gładka. Dyszała z gniewu.

Dwie pozostałe Mord-Sith z nie skrywanym zdumieniem patrzyły na jej lewą pierś. Z min kobiet Richard wyczytał, że widziały już wcześniej jej piersi. Kiedy Agiele trafiły gwałtownie do ich dłoni, Richard wiedział, że nie to spodziewały się zobaczyć.

Chłopak wstał i powiedział do Cary oraz Rainy:

- Wybaczcie, że warn to nakazałem. - Dał wszystkim trzem znak, żeby zapięły szaty. Cara i Raina zaczęły zapinać guziki, podczas gdy Berdine stała, trzęsąc się z wściekłości.

- Co się dzieje? - spytała Cara, nie przestając spoglądać groźnie na Berdine.

- Potem ci powiem. Wy dwie możecie odejść.

- Nigdzie nie pójdziemy - odezwała się surowo Raina, wpatrując się w Berdine.

- O tak, pójdziecie. - Richard wskazał drzwi i rzekł do Berdine: - Ty zostajesz.

Cara zbliżyła się doń opiekuńczo.

- My nie...

- Nie sprzeczasz się ze mną. Nie jestem w nastroju do tego. Wyjść!

Cara i Raina cofnęły się zdumione. Cara rzuciła Richardowi gniewne pożegnalne spojrzenie, po czym dała Rainie znak i wyszły, zamykając za sobą drzwi.

Berdine chwyciła Agiel w dłoń.

- Cożeś z nią zrobił?

- Kto ci to uczynił, Berdine? - zapytał łagodnie Richard. Zbliżyła się doń.

- Cożeś z nią zrobił?! Richard, którego nic już nie otumaniało, wyczuwał wyraźnie rzucony na nią urok. Czuł charakterystyczne muśnięcia magii i związane z tym niemiłe wrażenia. To nie była dobroczynna magia.

W oczach Berdine widział nie tylko magię. Widział też niepoohamowaną furję Mord-Sith.

- Umarła, próbując mnie zabić.

- Wiedziałam, że sama będę musiała się tym zająć. - Mord-Sith z niesmakiem potrząsnęła głową. - Klęknij - rozkazała przez zaciśnięte zęby.

- Berdine, ja nie... Smagnęła Agielem, trafiła go w ramię i odrzuciła do tyłu.

- Nie waż się do mnie zwracać po imieniu! Była szybsza, niż się spodziewał. Richard sapnął z bólu i złapał się za ramię. Zadziwiająco wyraźnie przypomniał sobie wszystko, co wycierpiał od Agiela.

Poczuł nagłe zwątpienie. Nie wiedział, czy rnu się uda. Lecz jedyną inną możliwością było zabicie Berdine, a przysiągł, że tego nie robi. Pałący ból ramienia sprawił, że chłopak się zawahał.

Berdine podeszła bliżej.

- Podnieś miecz.

Richard wstał, natężył wolę. Berdine oparła mu Agiel na ramieniu i zmusiła, żeby uklęknął. Chłopak starał się zachować jasność myśli. Denna nauczyła go to znosić. Musi wytrzymać. Podniósł miecz i z trudem wstał.

- Zaatakuj mnie mieczem - rozkazała.

Richard spojrzał w jej chłodne, niebieskie oczy, tłumiąc rodzącą się w nim panikę.

- Nie. - Rzucił miecz na łożo. - Jestem lordem Rahlem. Łączy cię ze mną więź.

Wrzasnęła w furii, po czym wbiła mu Agiel w brzuch. Komnata zawirowała i Richard stwierdził, że leży na plecach. Brakowało mu tchu, ale podniósł się, kiedy mu to nakazała.

- Weź nóż! Walcz ze mną!

Richard wyjął drżącymi palcami nóż z pochewki u pasa i podał jej. Uchwyt noża zwrócony był ku Berdine.

- Nie. Zabij mnie, jeśli naprawdę tego chcesz. Wyrwała mu nóż z dłoni.

- Ułatwiasz mi to. Chciałam, żebyś cierpiał, lecz potrzebna jest wyłącznie twoja śmierć.

Richard, spalając się z bólu, znalazł tyle siły, by odsłonić pierś.

- Tu bije moje serce, Berdine. - Wskazał. - Serce lorda Rahla. Lorda Rahla, z którym łączy cię więź. - Ponownie uderzył się w pierś. - Uderz tutaj, jeżeli chcesz mnie zabić.

- Znakomicie. - Uśmiechnęła się doń straszliwie. - Twoje życzenie się spełni.

- Nie, nie moje. Twoje. Nie chcę, żebyś mnie zabiła. Zawahała się. Jej twarz wykrzywiła się.

- Broń się.

- Nie, Berdine. Jeżeli tego chcesz, to sama musisz dokonać wyboru.

- Walcz ze mną! - Uderzyła go w twarz Agielem.

Richard miał wrażenie, że pękła mu szczęka i wypadły zęby. Ból dotarł do ucha, niemal go oślepił. Oblany zimnym potem, z trudem łapiąc powietrze, zdołał się jednak wyprostować.

- Masz w sobie dwa rodzaje magii, Berdine. Jeden to więź ze mną, drugi wsączyli ci, kiedy pozbawiali cię sutka. Nie możesz dźwigać obu. Jeden czar musi zostać złamany. Jestem twoim lordem Rahlem. Łączy cię ze mną więź. Możesz zerwać tę więź tylko wtedy, kiedy mnie zabijesz. Moje życie jest w twoich rękach. Rzuciła się na niego. Poczul jak uderza tyłem głowy o podłogę. Berdine siedziała na nim, wrzeszcząc w furii.

- Walcz ze mną, sukinsynu! - Biła go pięścią, w drugiej dłoni trzymając nóż. Z jej oczu płynęły łzy. - Walcz ze mną! Walcz ze mną! Walcz ze mną!

- Nie. Jeśli chcesz mnie zabić, to zrób to na własny rachunek.

- Walcz ze mną! - Uderzyła go w twarz. - Nie mogę cię zabić, jeżeli się nie bronisz! Broń się!

Richard objął ją ramionami i przytulił do piersi. Odepchnął się piętami od dywanu i przesunął. Usiadł, oparty o łożo, nie wypuszczając Berdine z objęć.

- Ty jesteś ze mną związana, Berdine, a ja cię chronię. I nie pozwolę ci tak

umrzeć. Chcę, byś żyła. Chcę, byś mnie chroniła.

Szlochając z gniewu, przycisnęła mu nóż do gardła. Richard nie próbował jej powstrzymać. Poglądził jej faliste kasztanowe włosy.

- Berdine, przysięgałem, że będę walczyć w obronie tych, którzy chcą być wolni. To mnie wiąże z tobą. Nie skrzywdzę cię. Wiem, że nie chcesz mnie zabić, przysięgałaś na własne życie, że będziesz mnie bronić.

- Zabiję cię! Zabiję! Zabiję!

- Wierzę w ciebie, Berdine, wierzę w przysięgę, którą mi złożyłaś. Zawierzyłem życie twojemu słowu i więzi, która łączy cię ze mną.

Spojrzała mu w oczy, szlochając rozdzierająco. Łkała i trzęsła się. Richard nie poruszył się, ostrze wciąż dotykało jego gardła.

- Więc musisz mnie zabić - wychlipała. - Proszę... nie zniosę tego dłużej. Proszę... zabij mnie.

- Nigdy cię nie skrzywdzę, Berdine. Zwróciłem ci wolność. Sama odpowiadasz za własne czyny.

Berdine jęknęła rozpaczliwie i cisnęła nóż na podłogę. Przypadła do Richarda, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, lordzie Rahlu, wybacz mi. Wybacz mi. Och, dobre duchy, co ja zrobiłam - wyszłochała.

- Udowodniłaś prawdziwość łączącej nas więzi - wyszeptał Richard, tuląc ją.

- Ranią mnie - załkała. - Tak bardzo mnie ranią. Jeszcze nigdy nic mnie tak nie bolało. Przeciwwstawianie się temu tak bardzo boli.

- Wiem, ale musisz to zwalczyć.

Przytulił ją mocniej. Oparła dłonie o jego pierś i odepchnęła go.

- Nie mogę.

Richard pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział nikogo w takiej rozpacz i cierpieniu.

- Błagam, lordzie Rahlu, zabij mnie. Nie mogę znieść bólu. Zabij mnie, błagam.

Richard, współczując jej cierpieniu, przyciągnął ją do siebie, przytulił, gładził po włosach i próbował pocieszyć. Nic to nie dało; tylko bardziej płakała.

Drżącą i zapłakaną usadowił, opierając o łożo. Bez namysłu, nawet nie wiedząc, dlaczego to czyni, dotknął dłonią jej lewej piersi.

Richard odszukał jądro spokoju, miejsce bez myśli, źródło wewnętrznego ładu, i poddał się instynktowi. Poczuł, jak wdziera się weń przeraźliwy ból. Jej ból. Czuł to, co jej uczyniono, i to, co magia zaszczepiona Berdine czyni jej w tej chwili. Cierpliwie znosił ów ból, tak jak znosił ból Agiela.

Empatia pozwalała Richardowi poznawać pełne cierpienie życia Berdine, jej mękę stawania się Mord-Sith, udrękę utraconego prawdziwego ja. Zamknął oczy i przyjął to wszystko. Nie widział wydarzeń z przeszłości, lecz rozumiał, jakie blizny pozostawiły na jej duszy. Zebrał wszystkie siły, by przetrwać tę mękę. Trwał jak skała w rwącym potoku bólu, który wdzierał się w jego duszę.

Był taką skałą dla Berdine. Pozwolił, by wpłynął w nią strumień pełnego miłości współczucia dla niewinnej, siostrzanej ofiary cierpienia. Nie w pełni pojmował uczucia, których doświadczał, lecz pozwolił, by kierował nim instynkt. Czuł, jak wchłania jej cierpienie, żeby nie musiała go doświadczać i żeby mógł jej pomóc - a jednocześnie czuł, jak wewnętrzne ciepło płynie zeń poprzez dłoń na piersi Berdine. Zdawało mu się, że dłoń łączy go z iskrą życia Berdine, z jej duszą.

Kobieta przestała płakać, jej oddech się uspokoił, a mięśnie rozluźniły. Oparła się bezwładnie o łóżko.

Richard wyczuł, że jej ból, który wchłonał, zaczyna się rozpraszać. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż cały czas wstrzymywał oddech, porażony cierpieniem. Odetchnął.

Zaczęło również zanikać ciepło płynące poprzez jego dłoń. W końcu odeszło. Richard cofnął dłoń, odgarnął z twarzy Berdine faliste kasztanowe włosy. Niebieskie oszołomione oczy Mord-Sith otworzyły się i spojrzały w oczy chłopaka.

Oboje popatrzyli w dół. Wszystko było, jak trzeba.

- Znów jestem sobą - wyszeptała. - Mam wrażenie, że obudziłam się z koszmarne snu.

Richard osłonił jej piersi górami czerwonego uniformu. - Ja też.

- Nigdy przedtem nie było takiego jak ty lorda Rahla - powiedziała Berdine w zadziwieniu. - Niech będą pochwalone dobre duchy. Nigdy nie było.

- Nigdy nie wypowiedziano większej prawdy - odezwał się głos z tyłu.

Richard odwrócił się i ujrzał zalane łzami twarze dwóch klęczących za

nim kobiet,

- Nic ci nie jest, Berdine? - spytała Cara.

- Nic - odparła wciąż zdumiona Berdine. - Znów jestem sobą. Żadna z nich nie była tak zdziwiona jak Richard. - Mogłeś ją zabić - odezwała się Cara. - Gdybyś spróbował użyć miecza, zapanowałaby nad twoją magią, lecz nożem mogłeś. Dla ciebie nie byłoby to nic trudnego. Nie musiałeś znosić bólu zadawanego jej Agielem. Mogłeś ją po prostu zabić.

- Wiem - przytaknął Richard. - Lecz ten ból byłby gorszy.

- Oddaję ci go, lordzie Rahlu. - Berdine położyła Agiel na podłodze przed chłopakiem.

Dwie pozostałe zsunęły z nadgarstków złote łańcuszki i położyły swoje Agiele obok Agiela Berdine.

- I ja oddaję ci swój - powiedziała Cara.

- Ja również, lordzie Rahlu - powtórzyła Raina.

Chłopak wpatrywał się w leżące przed nim na podłodze czerwone bicze. Pomyślał o swoim mieczu i o tym, jak nienawidził tego, co nim czynił, jak nienawidził tego, że zadawał nim śmierć i będzie - dobrze wiedział, że tak się stanie - w przyszłości. Nie mógł jednak jeszcze go odłożyć.

- To znaczy dla mnie o wiele więcej, niż się wam wydaje - powiedział, nie potrafiąc spojrzeć im w oczy. - Liczy się to, że potrafiłyście się na to zdobyć. To dowodzi wartości waszych serc i łączącej was ze mną więzi. Wybaczcie mi, lecz muszę prosić, byście je jeszcze zatrzymały. - Oddał im Agiele. - Będziemy mogli pozbyć się nawiedzających nas duchów dopiero wtedy, kiedy to wszystko się skończy kiedy już nic nie będzie nam groziło. Na razie jednak musimy walczyć dla tych, którzy nam zawierzyli. Nasz oręż, choć tak straszliwy, pozwala nam toczyć bój.

Cara położyła łagodnie dłoń na ramieniu Richarda.

- Rozumiemy, lordzie Rahlu. Będzie, jak powiedziałeś. Kiedy to się skończy, uwolnimy się nie tylko od zewnętrznych, ale i wewnętrznych wrogów.

Chłopak potaknął.

- A teraz musimy być silni. Musimy być wichrem śmierci.

W ciszy, która zapadła w komnacie, Richard zastanawiał się, co mriswith robił w Aydindrii. Myślał o tym, który zabił Cathryn. Stwór powiedział, że go chronił. Chronił? Niemożliwe.

Chociaż... gdy tak nad tym rozmyślał, nie mógł sobie przypomnieć, by mriswithy go bezpośrednio zaatakowały. Przypomniawszy sobie ich pierwsze uderzenie, to przed Pałacem Spowiedniczek, kiedy walczył razem z Gratchem. Gratch je zaatakował, a Richard ruszył na pomoc przyjacielowi. One chciały zabić "zielone ślepie", jak nazywały chimere, lecz ani razu nie natarły na Richarda.

Ten, który pojawił się dzisiejszej nocy, miał najlepszą okazję ze wszystkich, ponieważ Richard był bez miecza, a jednak nie zaatakował i uciekł bez walki. Powiedział do Richarda "krewniaku". Chłopak poczuł dreszcz na samą myśl o tym, co by to mogło oznaczać. Odruchowo podrapał się po karku.

Cara dotknęła miejsca, w które dopiero co się podrapał.

- Co to takiego?

- Nie wiem. Miejsce, które zawsze mnie swędzi.

ROZDZIAŁ 30

Oburzona Verna chodziła tam i z powrotem po małym sanktuarium. Jak Ksieni Annalina śmiała to zrobić? Verna zażądała, by Ann dokładnie powtórzyła owe słowa na dowód, że to naprawdę ona. Miała znów powiedzieć, że uważa Verne za mało znaczącą Siostrę. Verna chciała, żeby Ksieni powtórzyła te okrutne zdania i żeby się dowiedziała, iż ona, Verna, wie, że została wykorzystana i że według Ksieni niewiele znaczy dla pałacu.

Jeżeli raz jeszcze chcą ją wykorzystać, jeżeli raz jeszcze ma wykonywać rozkazy Ksieni, tak jak powinna to czynić każda gorliwa Siostra, to tym razem mają jej o wszystkim powiedzieć.

Verna skończyła wylewać łzy. Nie zamierzała biec na złamanie karku, ilekroć ta kobieta nonszalancko kiwnie palcem. Nie po to poświęciła życie na zostanie Siostrą Światła, nie po to tak ciężko harowała przez tak wiele lat, żeby tak ją lekceważono.

Najbardziej złościło ją to, że znów do tego doszło. Przecież przekazała Ksieni, że ma najpierw powtórzyć tamte słowa i udowodnić w ten sposób, iż to rzeczywiście ona, bo inaczej książka skończy w ogniu. Verna ustaliła zasady: najpierw udowodnij, że to ty. A tymczasem Ksieni skinęła palcem i Verna przybiegła.

Przecież mogła rzucić w ogień książkę podróżną. I niech sobie Ksieni wtedy korzysta ze swojej. Niech zobaczy, że Verna nie pozwoli już z siebie robić głupiej. Niech się przekona, jak to miło, kiedy lekceważą twoje życzenia. To by jej dobrze zrobiło.

Tak właśnie powinna zrobić, lecz nie zrobiła. Książeczka wciąż tkwiła w ukrytej kieszonce w pasie Verny. Bo Verna pomimo żywionej urazy wciąż była Siostrą. Musiała mieć pewność. Dotychczas Ksieni nie udowodniła jej, że żyje i że ma drugą książeczkę. Najpierw się przekona, a potem wrzuci tom w ogień.

Verna zatrzymała się i wyjrzała przez okienko umieszczone w jednym ze szczytów. Księżyc już wzeszedł. Jeśli tym razem nie postąpią zgodnie z instrukcjami, nie będzie litości. Obiecała sobie, że albo Ksieni udowodni, iż to naprawdę ona, albo notatnik wyląduje w ogniu. Dała Ksieni ostatnią szansę.

Verna odciągnęła wieloramienny lichtarz od niewielkiego ołtarza okrytego białym płótnem ze złotymi ozdobami i ustawiła go obok stolika. Na ołtarzu została misa, w której Verna znalazła książkę podróżną. W misie płonął teraz mały ogień. Jeżeli Ksieni zlekceważy instrukcje, książeczka wróci do misy, w płomienie.

Verna wyjęła niewielki notesik z ukrytej kieszonki i położyła go na stoliku, po czym przysunęła sobie trójnożny stołek. Ucałowała pierścień Ksieni tkwiący na serdecznym palcu, zaczerpnęła głęboko powietrza, pomodliła się do Stwórcy o pomoc i otworzyła książkę podróżną.

Wiadomość. Prawdę mówiąc, zapisane były całe stroniczki.

Na początku widniały słowa: "Najdroższa Verno". Verna wydeła usta. Faktycznie, najdroższa Verna.

Najdroższa Verno. Najpierw to, co najłatwiejsze. Prosiłam, żebyś poszła do sanktuarium ze względu na zbliżające się niebezpieczeństwo. Nie można dopuścić, by inne przeczytały wieści ode mnie lub - co gorsza - odkryły, że ja i Nathan wciąż żyjemy. Sanktuarium to jedyne miejsce, w którym na pewno nikt oprócz ciebie tego nie przeczyta. Tylko dlatego nie spełniłam twoich rozsądnych żądań. Masz oczywiście prawo oczekiwać, że udowodnię, iż to ja. I teraz, kiedy jestem pewna, że jesteś sama i bezpieczna, dostarczę owego dowodu. Ostrzeżeniu, byś porozumiewała się ze mną tylko w sanktuarium, towarzyszy kolejne zalecenie: usuń dokładnie wszelkie zapisy, zanim opuścisz to miejsce. A teraz, nim napiszę więcej, dowód. Jak sobie tego zażyczyłaś, będą to słowa, które skierowałam do ciebie w moim gabinecie, gdy ujrzałam cię po raz pierwszy po twoim powrocie z wyprawy po Richarda. "Wybrałam cię, Verno, bo byłaś daleko na liście oraz dlatego, że jesteś zupełnie przeciętna. Wątpiłam, czy należysz do nich. Jesteś mało znaczącą osobą. Jestem pewna, że Grace i Elizabeth znalazły się na czele listy, ponieważ ta, która kieruje Siostrami Mroku, uznała, iż może je poświęcić. Ja kieruję Siostrami Światła. I wybrałam cię z tego samego powodu. Niektóre Siostry są bardzo cenne dla naszej sprawy; żadnej z nich nie posłałabym z tak ryzykownym zadaniem. Chłopiec może się okazać dla nas użyteczny, lecz nie jest tak ważny, jak inne sprawy w pałacu. Może być pomocny. Ot, okazja, którą postanowiłam wykorzystać. Gdyby coś się stało i żadna z was nie wróciłaby... sądzę, iż rozumiesz, że generał nie wysyła najlepszych oddziałów do mało znaczących zadań".

Verna odwróciła książeczkę grzbietem do góry i ukryła twarz w dłoniach. Nie było wątpliwości: drugi egzemplarz miała Ksieni Annalina. Żyła, Nathan prawdopodobnie też.

Spojrzała na mały ogienek płonący w misie. Te słowa ponownie zaboląły. Niechętnie, drżącymi palcami odwróciła książeczkę i zaczęła czytać dalej.

Wiem, Verno, że te słowa musiały ci złamać serce. Wiem, że moje serce pękało, kiedy musiałam je powiedzieć, gdyż nie były prawdziwe. Musiało ci się wydać, że zostałam nikczemnie wykorzystana. Źle jest kłamać, lecz jeszcze gorzej pozwolić zatriumfować niegodziwcom dlatego, że powiedziało się prawdę wbrew zdrowemu rozsądkowi. Gdyby Siostry Mroku spytały mnie o moje plany, skłamałabym. W innym bowiem wypadku pozwoliłabym zatriumfować niegodziwości. Powiem ci prawdę, choć zdaję sobie sprawę, że tym razem nie masz powodu, by mi uwierzyć. Ze nie masz powodu, by uwierzyć, iż tym razem są to słowa prawdy. Wierzę jednak w twoją inteligencję i wiem, że jeśli rozważysz to, co powiem, dojrzysz w tym prawdę. Prawdziwy powód, dla którego wybrałam cię do poszukiwań Richarda, jest taki, że spośród wszystkich Sióstr jedynie tobie mogłam powierzyć losy świata. Teraz już wiesz o tym, że Richard wygrał walkę z Opiekunem. Bez Richarda wszyscy przepadlibyśmy w świecie zmarłych. Tb nie było mało znaczące zadanie. Tb była najważniejsza podróż, w jaką kiedykolwiek wysłano Siostrę. Ufałam wyłącznie tobie. Ponad trzysta lat przed twoim przyjściem na świat Nathan ostrzegł mnie, że światu żywych zagraża niebezpieczeństwo. Pięćset lat przed narodzinami Richarda Nathan i ja wiedzieliśmy już, że na ten świat przyjdzie czarodziej wojny. Proroctwa powiedziały nam, czego trzeba dokonać. Jeszcze nigdy nie stanęliśmy przed takim wyzwaniem. Kiedy urodził się Richard, Nathan i ja opłynęliśmy statkiem wielką barierę i dotarliśmy do Nowego Świata. Z Wieży Czarodzieja w Aydindril zabraliśmy magiczną księgę, żeby trzymać ją z dala od łap Rahla Posępnego, i wręczyliśmy ją ojczymowi Richarda, uzyskawszy odeń obietnicę, że da ją Richardowi do przeczytania. Tylko dzięki tym doświadczeniom i wydarzeniom, do których doszło w jego ojczystej krainie, można było uczynić z owego młodzieńca osobę na tyle bystrą, żeby zdołała powstrzymać pierwsze zagrożenie: Rahla Posępnego, jego prawdziwego ojca, a potem przywrócić równowagę w świecie żywych. Richard jest przypuszczalnie najważniejszą osobą, jaka urodziła się w ciągu ostatnich

trzech tysięcy lat. Jest czarodziejem wojny, który poprowadzi nas do rozstrzygającej bitwy. Tak powiedziały nam proroctwa, lecz nie zdradziły, czy wygramy. To walka o rodzaj ludzki. Przede wszystkim musieliśmy się upewnić, czy w trakcie owego szkolenia Richard nie został skażony jako człowiek. W tej walce potrzebna jest magia, jednak musi nią władać serce. Wysłałam cię, byś sprowadziła go do pałacu, bo tylko tobie mogłam zaufać. Tylko ty mogłaś wypełnić to zadanie. Znałam twoje serce i duszę i wiedziałam, że nie jesteś Siostrą Mroku. Jestem przekonana, że teraz zastanawiasz się, jak mogłam pozwolić, byś szukała go przez ponad dwadzieścia lat, skoro cały czas wiedziałam, gdzie jest. Mogłam też zaczekać i wysłać cię po niego, gdy już dorósł, a przynajmniej gdy ujawnił się przez wyzwolenie swojego daru. Ze wstydem wyznaję, że wykorzystałam cię tak samo, jak wykorzystałam Richarda. Ze względu na stojące przed nami wyzwania musiałam cię nauczyć tego, czego nie zdołałabyś się nauczyć w Pałacu Proroków. W tym czasie Richard dorastał i poznawał podstawowe potrzebne mu rzeczy. Musiałaś się nauczyć posługiwać rozumem, a nie zestawem regułek, który wystarcza Siostrom przebywającym w pałacu. Musiałam ci pozwolić rozwinąć w prawdziwym świecie twoje wrodzone umiejętności. Czekająca nas walka rozegra się w prawdziwym świecie. W zamkniętym świątku pałacu o życiu nie można się niczego nauczyć. Nie spodziewam się, że kiedykolwiek mi przebaczysz. To jeden z ciężarów spoczywających na barkach Ksieni: nienawiść tej, którą kocha jak własną córkę. Nawet owe okrutne słowa miały swój cel. Musiałam ostatecznie przełamać pałacowe szkolenie, które wymaga, żebyś zawsze czyniła to, czego cię nauczono, i ślepo wypełniała rozkazy. Musiałam rozgniewać cię na tyle, byś zrobiła to, co uważasz za słuszne. Zawsze, od czasu kiedy byłaś dzieckiem, mogłam liczyć na twój gniew. Nie mogłam zakładać,

341

342

że jeśli podam ci powody, to zrozumiesz i zrobisz, co trzeba. Czasami określona osoba tylko wtedy potrafi właściwie wpływać na wydarzenia, kiedy korzysta ze swoich wartości moralnych, a nie wtedy, kiedy wykonuje rozkazy. Tak mówią proroctwa. Ufałam, że pomimo pałacowego szkolenia dokonasz właściwego wyboru, jeżeli sama wyciągniesz wnioski. Wszystko to, co usłyszałaś w moim gabinecie, powiedziałam również dlatego, że

podejrzewałam, iż jedna z moich administratorok jest Siostrą Mroku. Wiedziałam, że osłona nie wystarczy i że owa Siostra usłyszy moje słowa. Pozwoliłam, by słowa mnie zdradziły, żeby sprowokować ją do ataku i zmusić Siostry Mroku do ujawnienia się. Zdawałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej zginę, ale wybrałam to, a nie możliwość, że świat wpadnie w łapy Opiekuna. Czasami Ksieni musi wykorzystywać także siebie. Jak dotąd, Verno, spełniłaś wszystkie pokładane w tobie nadzieje. Odegrałaś bardzo ważną rolę w ratowaniu świata przed Opiekunem. Dzięki twojej pomocy na razie odnosimy sukcesy Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, uśmiechnęłam się, ponieważ miałaś gniewną minę. Pamiętasz, dlaczego tak było? Jeżeli nie, to ci przypomnę. Każda sprowadzona do pałacu nowi ej uszka przechodzi próbę. Wcześniej czy później karcimy ją za jakąś drobną rzecz, której nie popełniła. Większość płacze. Niektóre się dąsają. Inne znoszą wstyd ze stoicką rezygnacją. Ty jedna rozgniewałaś się z powodu tej niesprawiedliwości. Nathan odnalazł proroctwo mówiące, że ta, której potrzebujemy, ujawni się nam nie z uśmiechem, dąsem czy chwacką miną, lecz z gniewnym marsem na twarzy. Gdy zobaczyłam tę minę na twojej buzi i wyzywająco skrzyżowane ramionka, o mało się głośno nie roześmiałam. W końcu trafiłaś w nasze ręce. Od tego dnia wykorzystywałam cię w najważniejszym dziele Stwórcy. Wybrałam cię na Ksienię po mojej rzekomej śmierci, ponieważ wciąż jesteś tą Siostrą, której najbardziej ufam. Bardzo prawdopodobne, że zabiją mnie w trakcie tej podróży z Nathanem. Jeśli umrę, naprawdę zostaniesz Ksienią. Tego właśnie sobie życzę. Cięży mi na sercu twoja usprawiedliwiona nienawiść, lecz najważniejsze jest przebaczenie Stwórcy, a wiem, że przynajmniej to zostanie mi dane. Będę znosić twoją wzgardę jako kolejny życiowy dopust, jak znoszę inne dopusty, od których na tym świecie nie ma ucieczki. To cena bycia Ksienią w Pałacu Proroków.

Verna odsunęła książeczkę. Nie mogła czytać dalej. Oparła głowę na leżących na stoliku ramionach i rozplakała się. Nie pamiętała już, na czym polegała owa niesprawiedliwość, o której pisała Ksieni, za to przypomniwała sobie jej ukłucie i swój gniew. Najlepiej zapamiętała uśmiech Ksieni, który sprawił, że świat znów stał się przyjazny.

- O drogi Stwórcu, naprawdę masz idiotkę za służkę - zaszlochała głośno. Jeśli przedtem serce bolało ją na myśl, że Ksieni się nią posłużyła, teraz

cierpiała katusze na wzmiankę o udrękach, jakie musiała znosić ta kobieta. W końcu Verna zdołała powstrzymać łzy, przysunęła do siebie notesik i znów zaczęła czytać.

Co się stało, to się nie odstanie, teraz zaś musimy zrobić to, co musi zostać zrobione. Proroctwa ostrzegają, że największe niebezpieczeństwo jest dopiero przed nami. To, czego doświadczyliśmy mogło zniszczyć świat żywych w ostatecznym, strasliwym rozbłysku. W jednej chwili wszystko mogło zostać nieodwołalnie stracone. Richard zwycięsko przeszedł ową próbę i ocalił nas przed takim losem. Przed nami jednak o wiele cięższa próba. Zagrożenie nie przychodzi z innych światów, lecz z naszego. To walka o przyszłość naszego świata, przyszłość rodzaju ludzkiego i przyszłość magii. W tej batalii o umysły i serca ludzi nie ma ostatecznego rozbłysku, nie ma nagłego końca. Jest za to straszliwa, nieubłagana, nieustanna walka, jako że mroki ujarzmienia powoli zatapiają świat i gaszą iskrę magii, poprzez którą zstępuje światło Stwórcy. Znowu rozgorzała starożytna, rozpoczęta przed tysiącami lat wojna. To my w nieunikniony sposób przyczyniliśmy się do tego, chroniąc nasz świat przed innymi. Tym razem wysiłek setek czarodziejów nie przerwie batalii. Obecnie mamy tylko jednego czarodzieja wojny, który nas poprowadzi. Mamy tylko Richarda. Na razie nie mogę ci powiedzieć wszystkiego. Części po prostu nie wiem. Zrozum, proszę, że choć boli mnie to, muszę zataić przed tobą pewne rzeczy, które wiem. Ponieważ należy wybrać właściwe odgałęzienia przepowiedni, mający w tym udział ludzie powinni działać instynktownie, a nie na podstawie instrukcji. Inaczej właściwe odgałęzienia stałyby się niedostępne. Część twojej pracy polega na uczeniu ludzi, żeby postępowali właściwie, tak by w czasie próby byli gotowi zrobić to, co musi zostać zrobione. Wybacz, Verno, ale po raz kolejny muszę pewne sprawy zostawić losowi. Mam nadzieję, że jako Ksieni zaczniesz powoli rozumieć, iż nie zawsze możesz innym wszystko wytłumaczyć, za to niekiedy musisz im po prostu wyznaczyć zadanie i oczekiwać, że je wykonają.

Verna westchnęła. Dobrze o tym wiedziała. Ona także zaniechała już tłumaczenia wszystkiego, i zaczęła wymagać, by wykonywano jej polecenia.

Pewne rzeczy muszę ci jednak powiedzieć, żebyś mogła nam pomóc. Nathan i ja wyruszyliśmy w misji najwyższej wagi. Na razie tylko on i ja wiemy, o co chodzi. Jeśli przeżyję, zamierzam powrócić do pałacu. Do tego

czasu musisz poznać lojalne Siostry Światła, nowicjuszek i młodzieńców. Musisz również zidentyfikować wszystkich, którzy oddali duszę Opiekunowi.

- Co takiego!?! - wykrzyknęła Verna. - Jak mam to zrobić!?

Ufam, że znajdziesz na to sposób. Nie masz zbyt wiele czasu. To ważne, Verno. Powinnaś to zrobić, zanim zjawi się imperator Jagang. Nathan i ja sądzimy, że Jagang jest tym, kogo podczas starożytnej wojny nazywano Nawiedzającym Sny.

Verna poczuła, jak po kręgosłupie spływa jej lodowaty strumyk potu. Przypomniała sobie rozmowę z Siostrą Simoną i to, jak kobieta krzyczała straszliwie na samą wzmiankę o Jagangu. Siostra Simona mówiła, że imperator nawiedzają w snach. Wszyscy myśleli, że kobieta oszalała.

Warren również wspominał o Nawiedzających Sny i o tym, że podczas starożytnej wojny byli oni rodzajem oręża. Wizyta u Siostry Simony potwierdziła przypuszczenia chłopaka.

Przede wszystkim pamiętaj o jednym: bez względu na to, co się stanie, twoim jedynym ratunkiem jest zachowanie lojalności wobec Richarda. Nawiedzający Sny może sobie przywłaszczyć umysł prawie każdego człowieka i podporządkować taką osobę swojej woli. Tych, którzy mają dar, dotyczy to nawet bardziej niż innych. Jest tylko jedna ochrona: Richard. Jeden z jego przodków stworzył zakęcie chroniące przed mocą Nawiedzającego Sny ich i każdego, kto jest wobec nich lojalny, kogo łączy z nimi więź. Ową magiczną ochronę dziedziczy każdy Rahl urodzony z darem. Rzecz jasna ma ją też Nathan, lecz on nie może nas poprowadzić do walki. Jest Prorokiem, a nie czarodziejem wojny.

Verna wyczytała pomiędzy wierszami, że lojalne podążanie za Nathanem byłoby czystym szaleństwem. Ten człowiek był wcieloną błyskawicą w obroży.

Sprzeciwiając się z własnego wyboru pałacowemu prawu i pomagając Richardowi w ucieczce, połączyłaś się z nim więzią. Ta więź chroni cię przed mocą Nawiedzającego Sny, ale nie chroni cię przed jego służalcami i żołdakami. To jeden z powodów, dla których musiałam cię wprowadzić w błąd owego dnia, w moim gabinecie. Dzięki temu z własnej woli, przełamując wieloletnie szkolenie i lekceważąc rozkazy, zdecydowałaś się pomóc Richardowi.

Verna dostała gęsiej skórki. Gdyby przekonała Ksienię do ujawnienia planów, gdyby Annalina doradziła jej pomoc w ucieczce Richarda, Verna byłaby wydana na pastwę Nawiedzającego Sny tak samo jak Siostra Simona.

Nathan ma swoją ochronę, a ja jestem od dawna połączona więzią z Richardem. Ślubowałam mu wierność, kiedy po raz pierwszy go ujrzałam. Pozwoliłam mu ustalać zasady walki, jaką prowadzi po naszej stronie. Muszę przyznać, że czasem przychodzi mi to z trudem. To prawda, że robi, co trzeba, by chronić niewinnych wolnych ludzi, którzy potrzebują jego pomocy lecz ma własne zdanie i robi rzeczy, na które nie pozwoliłabym, gdybym mogła o tym decydować. Czasami jest równie nieznośny jak Nathan. Cóż, takie jest życie. Przekazałam ci wszystko, co mogłam ujawnić. Siedzę w izbie w przytulnej oberży i czekam, aż to przeczytasz. Przeczytaj wieści ode mnie tyle razy, ile zechcesz. Będę tu czekać, na wypadek gdybyś chciała mnie o coś zapytać. Musisz zrozumieć, że przez setki lat pracowałam nad wydarzeniami i prorocत्वami i że nie ma sposobu, bym mogła ci przekazać ową wiedzę w jedną noc, tym bardziej za pomocą książki podróźnej. Powiem ci jednak tyle, ile zdołam o wszystkim, czego zechcesz się dowiedzieć. Musisz również zrozumieć, że pewnych rzeczy nie wolno mi wyjawiać, ponieważ mogłabym skazić prorocत्वa i wpłynąć na bieg wydarzeń. Każde słowo, które do ciebie piszę, niesie ze sobą takie zagrożenie, niektóre większe niż inne, lecz część z tego musisz wiedzieć. Mając to na względzie, czekam na twoje pytania. Pytaj.

Verna wyprostowała się, kiedy dotarła do ostatniego słowa. Pytać? Potrzebowałyby setek lat, żeby wypytać Ann o wszystko, co chciała wiedzieć. Od czego zacząć? Drogi Stwórco, jakie pytania są najważniejsze?

Ponownie przeczytała całą wiadomość, by upewnić się, że niczego nie przeoczyła, a potem siedziała zapatrzona w czystą stronicę. W końcu chwyciła rysik.

Najdroższa Matko, wybacz mi, proszę, to, co o tobie myślałam. Jakże słaba jestem w porównaniu z twoją siłą i jakże zawstydzona moją głupią pychą. Błagam, nie pozwól się zabić. Nie zasługuję na to, żeby być Ksienią. Jestem wołem, od którego wymagasz, by latał jak ptak.

Verna siedziała wpatrzona w notesik i czekała na pojawienie się odpowiedzi, jeśli Ann naprawdę oczekiwała od niej pytań.

Dziękuję, dziecko. Zdjęłaś mi ciężar z serca. Pytaj o to, co musisz

wiedzieć, a odpowiem, jeśli będę mogła. Przesiedzę tu całą noc, by uczynić lżejszym twoje brzemię.

Siostra uśmiechnęła się, po raz pierwszy od wielu dni. Tym razem łzy nie były już gorzkie.

Naprawdę jesteś bezpieczna, Ksieni? Wszystko w porządku u ciebie i u Nathana?

Może sprawia ci to przyjemność, Verno, kiedy przyjaciele nazywają cię Ksienią, lecz mnie to nie bawi. Mów do mnie, proszę, po imieniu, jak wszyscy moi prawdziwi przyjaciele.

Verna zaśmiała się głośno. I ją gniewało, że ludzie z uporem zwracają się do niej "Ksieni". Ann pisała dalej i wciąż pojawiały się nowe słowa.

Tak, u mnie wszystko dobrze, u Nathana również. Kupił sobie dzisiaj miecz i teraz walczy w naszej izbie z niewidzialnym wrogiem. Uważa, że broń dodaje mu uroku. Jest tysiącletnim dzieciakiem, który właśnie uśmiecha się jak zadowolone dziecko, obcinając głowy niewidocznym wrogom.

Verna jeszcze raz przeczytała wiadomość, by mieć pewność, że się nie pomyliła. Nathan z mieczem? Miał bardziej źle w głowie, niż sądziła. Ksieni musi mieć z nim pełne ręce roboty.

Powiedziałaś, Ann, że muszę ustalić, kto oddał się Opiekunowi. Nie mam pojęcia, jak to zrobić. Mogłabyś mi pomóc?

Gdybym знаła sposób, Verno, napisałabym ci o nim. Podejrzenia wzbudziło we mnie kilka Sióstr, nigdy jednak nie zdołałam wymyślić sposobu, który pozwoliłby mi upewnić się, kto jest po stronie Opiekuna. Mam do załatwienia inne sprawy, więc tę muszę zostawić tobie. Pamiętaj, że mogą być równie sprytne jak sam Opiekun. Byłam pewna, że niektóre - z powodu ich niemiłego charakteru - są przeciwko nam, a okazało się, że są nam wierne. Innym powierzyłabym życie, a one ujawniły się i uciekły na pokładzie statku. Gdybym to zrobiła, byłabym teraz martwa.

Nie mam pojęcia, jak to zrobić, Ann! A co, jeśli zawiodę?

Nie wolno ci zawieść.

Verna wytarła o suknię spocone dłonie.

Nawet jeżeli znajdę sposób, by ustalić ich imiona, to co pocznę z tą informacją? Nie pokonam Sióstr obdarzonych taką mocą.

Kiedy już tego dokonasz, Verno, powiem ci, co dalej. Wiedz, że

proroctwa są podatne na manipulacje i zagrożone. Nasi przeciwnicy mogą się nimi posłużyć tak samo, jak ja i Nathan korzystamy z nich, żeby wpływać na zdarzenia.

Siostra Verna westchnęła zawiedziona.

Jak mogę starać się wykryć naszych wrogów, skoro mam tak wiele pracy jako Ksieni? Czytam i czytam te raporty, a ciągle mam zaległości. Wszyscy są ode mnie zależni i czekają na mnie. Jak znajdowałaś czas na cokolwiek przy tej ilości dokumentów do przejrzenia?

Czytasz raporty? Na Stwórcę, Verno, ale jesteś ambitna! Na pewno jesteś o wiele skrupulatniejszą Ksienią, niż byłam ja.

Siostra otworzyła szeroko usta.

Chcesz powiedzieć, że nie muszę czytać raportów?

A co ci dało czytanie ich, Verno? Rozważ to. Czytając je, dowiedziałaś się, że w stajniach brakuje koni. Z łatwością mogliśmy kupić konie już po ucieczce, lecz wzięliśmy te, żeby zostawić ślad. Mogliśmy zapłacić za ciała, nie wdając się w skomplikowane uzgodnienia, ale wówczas nie rozmawiałabyś z grabarzem. Troskliwie zostawialiśmy znaki, dzięki którym mogłaś odkryć prawdę. Niektóre były dość przykre, jak ten z odkryciem naszych "ciał", jednak były niezbędne, a ty doskonale się spisałaś, domyślając się wszystkiego.

Verna poczuła, że się rumieni. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanawiać, dlaczego ciała znaleziono już przygotowane i owinięte w całuny. Zupełnie nie zwróciła uwagi na ten znak.

Ann kontynuowała:

Muszę jednak wyznać, iż rzadko czytywałam raporty. Po to są zastępczyni. Powiedziałam im, że powinny się kierować własnym osądem i rozważą oraz załatwiać przedstawiane w nich sprawy zgodnie z interesami pałacu. Potem przystawałam przy nich od czasu do czasu, brałam kilka dokumentów, które już sprawdziły, i czytałam ich dyspozycje. Dzięki temu nie opuszczały się w pracy, ponieważ bały się, że przeczytam ich zalecenia i uznam je za niezadowalające.

Verna była zdumiona.

Chcesz powiedzieć, że mogę po prostu pouczyć moje doradczynie, jak powinny załatwiać sprawy, i zostawić im potem raporty? Nie muszę ich wszystkich czytać? Nie muszę na wszystkich stawiać moich inicjałów?

Jesteś Ksienią, Verno. Możesz robić, co zechcesz. To ty kierujesz pałacem, a nie pałac tobą.

Ale moje doradczynie, Siostry Leoma i Philippa, oraz Dulcinia, jedna z administratorok, powiedziały mi, że tak ma być. Są o wiele bardziej doświadczone niż ja. Dały mi do zrozumienia, że wystawię pałac na szwank, jeżeli nie będę sama zajmować się raportami.

Ann odpisała niemal natychmiast.

Naprawdę tak zrobiły? No, no, no. Gdybym była tobą, Verno, to odrobinę mniej bym słuchała, za to odrobinę więcej mówiła. Wspaniale rzucasz gniewne spojrzenia. Wykorzystaj to.

Verna uśmiechnęła się, czytając te słowa. Już sobie wyobraziła taką scenę. Rankiem zajdą w Pałacu Proroków pewne zmiany.

Co to za misja, Ann? Czego próbujesz dokonać? Mam małą robótkę w Aydindril, a potem zamierzam wrócić.

Ann najwyraźniej nic na ten temat nie powie. Verna zastanowiła się nad tym, co jeszcze chciałyby wiedzieć i co powinna napisać Ksieni.

Warren dał prorocstwo. Mówi, że to jego pierwsze.

Nastąpiła długa przerwa. Verna czekała. Kiedy wiadomość wreszcie się pojawiła, była odrobinę inaczej napisana.

Czy pamiętasz je słowo po słowie?

Verna nie mogła zapomnieć ani jednego słowa owego prorocstwa. Tak.

Nim zaczęła pisać, nagle pojawiła się inna wiadomość. Napisana była gniewnie i w pośpiechu, wielkimi literami.

Zabierz tego chłopaka z pałacu! Zabierz go natychmiast!

Pismo biegło wężowato przez stroniczkę. Verna odchyliła się od stołu. Najwyraźniej Nathan napisał wiadomość, a Ann starała się odebrać mu rysik. Nastąpiła kolejna długa przerwa i znów pojawiło się pismo Ann.

Przepraszam. Jeżeli pamiętasz słowo po słowie to prorocstwo, Verno, to je napisz, żebyśmy mogli się z nim zapoznać. Jeśli nie jesteś czegoś pewna, powiedz mi o tym. To ważne.

Verna odpisała:

Pamiętam je słowo po słowie, jakby było moje. Oto ono: "Kiedy Ksieni i Prorok ofiarowani zostaną Światłu w świętej ceremonii, płomienie sprawią, iż rozgorzeją podstępny i przebiegłość i na szczyty wyniosą fałszywą Ksienię, która włączyć będzie poza kres Pałacu Proroków. Na północy ów związany z

mieczem porzuci go dla srebrnej sylfy, albowiem na powrót tchnie w nią życie, ona zaś wyda go w ręce niegodziwca.

Nastąpiła jeszcze jedna przerwa.

Zaczekaj, proszę, dopóki Nathan i ja się nad tym nie zastanowimy.

Verna siedziała i czekała. Na zewnątrz grały owady i rechotały żaby. Verna wstała, przeciągnęła się i ziewnęła. Nie spuszczała notesika z oka. Dalej nic. Znow usiadła i wsparła podbródek na pięści. Czekwała, a oczy się jej zamykały.

Wreszcie zaczęła się ukazywać wiadomość.

Przyjrzelśmy się temu dokładnie i Nathan mówi, że to niedojrzałe proroctwo i z tego powodu nie może go dokładnie rozgryźć.

Ja jestem fałszywą Ksienią, Ann. Niezmiernie dręczy mnie to, że według proroctwa za mojej władzy nastąpi kres Pałacu Proroków.

Odpowiedź pojawiła się natychmiast.

To nie ty jesteś fałszywą Ksienią. Więc cóż ono znaczy?

Tym razem przerwa była krótsza niż wcześniej.

Nie pojmujemy pełnego znaczenia, lecz jesteśmy pewni, że to nie ty jesteś fałszywą Ksienią, o której mówi proroctwo. Posłuchaj uważnie, Verno. Warren musi opuścić pałac. Dalsze przebywanie w nim jest dlań zbyt niebezpieczne. Musi się ukryć. Jego nocne odejście mogłoby zostać zauważone. Wyślij go rankiem do miasta, niby to z jakimś zleceniem. Trudno go będzie śledzić. Każ mu się wmieszać w tłum. Daj mu złoto, żeby nie miał żadnych kłopotów.

Verna przyłożyła dłoń do serca i głośno wciągnęła powietrze. Pochyliła się nad książeczką.

Ależ Ksieni, Warren jest jedyną osobą, której mogę ufać. Jest mi potrzebny. Nie znam się tak jak on na proroctwach i bez niego będę zgubiona.

Przemilczała, że był jej jedynym przyjacielem. Jedynym przyjacielem, któremu mogła zaufać.

Proroctwa są w niebezpieczeństwie, Verno. Jeżeli tamtym wpadnie w ręce Prorok...

Pospiesznie pisana wiadomość nagle się urwała. Zaczęła się pojawiać po chwili, już wolniej.

On musi odejść. Rozumiesz?

Tak, Ksieni. Zajmę się tym z samego rana. Warren zrobi wszystko, o co go poproszę. Zawierzę twoim instrukcjom, że ważniejsze jest dlań zniknięcie stąd niż wspomaganie mnie.

Dziękuję, Verno.

Co zagraża prorocत्वom, Ann?

Czekała w cichym sanktuarium, aż znów pojawiła się wiadomość.

Podobnie jak my staramy się wsprzeć nasze wysiłki poprzez poznawanie niebezpieczeństw czyhających w rozmaitych odgałęzieniach prorocत्वa, tak i ci, którzy chcą władać rodzajem ludzkim, mogą wykorzystać owe informacje, żeby skierować strumień wydarzeń w odpowiadające im odgałęzienia. Wykorzystane w ten sposób przepowiednie mogą nas zawieść. Gdyby mieli Proroka, lepiej rozumieliby prorocत्वa i sprawniej zmieniali wydarzenia na swoją korzyść. Manipulowanie przepowiedniami może spowodować taki chaos, którego nawet oni się nie spodziewają i którego nie potrafiliby kontrolować. To jest nadzwyczaj niebezpieczne. Mimowolnie mogą nas wszystkich zepchnąć w przepaść.

Starasz się mi powiedzieć, Ann, że Jagang zamierza zająć Pałac Proroków i przywłaszczyć sobie prorocत्वa z podziemi?

Przerwa.

Tak.

Teraz Verna przestała pisać. Uświadomiła sobie rodzaj czekającej ją walki i przeszył ją lodowaty dreszcz.

Jak możemy mu przeszkodzić?

Pałac Proroków nie może poddać się tak łatwo, jak oczekuje tego Jagang. On jest Nawiedzającym Sny, lecz my możemy kontrolować naszą Han. Owa moc również jest bronią. Co prawda zawsze wykorzystywałyśmy nasz dar, by chronić życie i sprowadzać na ten świat blask Stwórcy, ale może nadejść czas, że będziemy się musiały posłużyć nim jak orężem. Dlatego musimy wiedzieć, kto jest wobec nas lojalny. Musisz ustalić, kto jest bez zmazy.

Verna zastanawiała się przez chwilę, a potem napisała:

Czy zamierzasz od nas zażądać, Ann, byśmy zostały wojowniczkami i za pomocą daru powalały dzieci Stwórcy?

Tłumaczę ci, Verno, że będziesz się musiała posłużyć tym, co znasz, żeby uchronić świat, który może już na zawsze wpaść w mroki tyranii. Ze wszystkich sił staramy się pomagać dzieciom Stwórcy, lecz nosimy również

dakrę, czyż nie? Nie możemy pomagać martwym ludziom.

Verna rozmasowała uda, bo poczuła, że drżą jej mięśnie. Zabiła ludzi i Ksieni o tym wiedziała. Zabiła Jedidiaha. Żałowała, że nie przyniosła sobie nic do picia; gardło miała do cna wyschnięte.

W końcu napisała:

Rozumiem. Zrobię, co będzie trzeba.

Chciałabym ci udzielić lepszych wskazówek, Verno, ale sama zbyt dużo jeszcze nie wiem. Wydarzenia mkną jak burzliwy potok. Richard - bez niczych rad i zupełnie instynktownie - już podjął pospieszne działania. Nie mamy pewności, co zamierza, jednak z uzyskanych informacji wynika, że spowodował w Midlandach niezłe wrzenie. Ten chłopak nie pozwala sobie na chwilę wytchnienia. Z marszu tworzy własne reguły.

Verna spytała, bojąc się odpowiedzi:

Co zrobił?

W jakiś sposób objął władzę nad D'Hara i zajął Aydindril. Ogłosił, że rozwiązuje konfederację Midlandów, i zażądał poddania się wszystkich krain.

Siostrę zatkąło.

To Midlandy powinny walczyć z Imperialnym Ładem! Czy on stracił rozum? Nie możemy dopuścić, by wywołał wojnę pomiędzy D'Hara a Midlandami!

Już to zrobił.

Midlandy mu się nie poddadzą.

Z tego co wiem, ma już w garści Galeę i Kelton.

Trzeba go powstrzymać! Imperialny Ład stanowi zagrożenie. To z nimi należy walczyć. Nie możemy pozwolić, żeby Richard rozpętał w Nowym Świecie wojnę. Takie rozproszenie sił może mieć fatalne skutki.

Wszystko w Midlandach jest przesyczone magią, Verno. Imperialny Ład będzie ją nam kradł kawałek po kawałku, tak jak zrobił to w Starym Świecie. Bojaźliwe sojusze będą się wahać przed rozpoczynaniem zatargu z powodu jednego "kawałka" i pozwolą go sobie odebrać. Potem w imię ustępstw i pokoju stracą następny, później kolejny i jeszcze jeden, cały czas osłabiając Midlandy i wzmacniając Imperialny Ład. Przejęli cały Stary Świat, kiedy byłas w podróży, i zajęło im to mniej niż dwadzieścia lat.

Richard jest czarodziejem wojny. Kieruje nim instynkt. To, czego się

nauczył i co kocha, stanowi podstawę jego działań. Musimy mu zaufać, nie mamy innego wyjścia. W przeszłości zagrożenie stanowiła tylko jedna osoba, na przykład Rahl Posepny. Tym razem jest inaczej. Nawet gdybyśmy zdołali wyeliminować Jaganga, ktoś inny i tak zajmie jego miejsce. To wojna wierzeń, obaw i ambicji wszystkich ludzi, a nie jednego przywódcy. Bardzo to przypomina obawy ludzi związane z pałacem. Gdyby na czoło wysunął się jakiś przywódca, to eliminując go, nie wyeliminowalibyśmy zagrożenia. Strach pozostałby w ludzkich umysłach, a pozbawienie ich przywódcy tylko utwierdziłoby ich w przekonaniu, że ich obawy są usprawiedliwione.

Verna odpisała:

O drogi Stwórco, cóż więc mam zrobić? Nastąpiła kolejna przerwa.

Jak już pisałam, dziecko, nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Lecz jedno mogę ci powiedzieć: w tej rozstrzygającej batalii wszyscy odgrywamy pewną rolę, jednak najważniejsza przypadła Richardowi. To on jest naszym przywódcą. Nie ze wszystkim, co robi, się zgadzam, ale on jeden może poprowadzić nas do zwycięstwa. Jeżeli chcemy wygrać, musimy iść za nim. Nie twierdzę, że nie powinniśmy próbować mu doradzać czy być mu przewodnikiem zgodnie z naszą wiedzą, ale to on jest czarodziejem wojny i urodził się, by walczyć w tej wojnie. Nathan ostrzegł mnie, że w prorocत्वach jest miejsce zwane Wielką Pustką. Jeśli trafimy w owo odgałęzienie... on uważa, że dalej nie ma już magii, a więc nie ma mówiących o tym przepowiedni. Rodzaj ludzki, pozbawiony magii, na zawsze już pograży się w owym nieznanym. Jagang chce umieścić świat w tej pustce. Nade wszystko jednak pamiętaj o jednym: bez względu na to, co się będzie dziać, musisz pozostać lojalna wobec Richarda. Możesz z nim rozmawiać, doradzać mu, sprzeczać się z nim, lecz nie wolno ci z nim walczyć. Lojalność wobec Richarda to jedyna rzecz, jaka chroni twój umysł przed Jagangiem. Jeśli Nawiedzający Sny wśliznie się do twojego umysłu, będziesz dla nas stracona.

Verna przełknęła ślinę. Rysik drżał jej w palcach.

Rozumiem. Czy mogę coś zrobić, żeby pomóc?

Na razie to, o czym pisałam. Musisz szybko działać. Wojna już na nas runęła. Słyszałam, że w Aydindril są mriswithy.

Przeczytawszy ostatnie zdanie, Verna otworzyła szeroko oczy.

- O drogi Stwórco, daj Richardowi siłę - powiedziała głośno.

ROZDZIAŁ 31

Verna zmrużyła oczy. Słońce właśnie wzeszło. Jęknęła, wstając z wyściełanego fotela, przeciągnęła się i rozluźniła zeszywniałe mięśnie. Do późnej nocy rozmawiała z Ksienią, a potem - zbyt zmęczona, żeby iść się położyć - zwinęła się w fotelu i zasnęła. Po wiadomościach, które otrzymała o Richardzie i o obecności mriswithów w Aydindril, pisały już tylko o pałacowych sprawach.

Ksieni odpowiadała na niezliczone pytania Verny dotyczące zarządzania pałacem. Tłumaczyła nowej Ksieni, jak wszystko funkcjonuje, jak radzić sobie z doradczyniami, administratorkami i pozostałymi Siostrami. Ann udzieliła jej rewelacyjnych nauk.

Verna nigdy nie zdawała sobie sprawy z rozległości i złożoności pałacowej polityki, z tego, że niemal każda część pałacowego życia i rządzących nim zasad obraca się wokół tych spraw. Władza Ksieni zależała po części od zawierania odpowiednich sojuszy i kontrolowania opozycji, co osiągała, rozdzielając troskliwie obowiązki i stopniując odpowiedzialność. Najbardziej wpływowe Siostry - podzielone na frakcje odpowiedzialne za realizację swoich zadań i mające dużą swobodę działania na ściśle wytyczonych polach - nie miały głowy do tworzenia opozycji przeciwko Ksieni. Proces udzielania lub odmawiania udzielenia informacji był precyzyjnie kontrolowany, dzięki czemu równoważono wpływy i władzę przeciwstawnych grup. Ksieni była języczkiem u wagi i nadzorowała wypełnianie pałacowych zadań.

Siostry nie mogły usunąć Ksieni z urzędu, chyba że w grę wchodziła zdrada Pałacu Proroków i Stwórcy, mogły jednak przemienić pałacowe działania w próżne zwady i walki o władzę. Ksieni musiała kontrolować ich energię i kierować ją ku wartym zachodu celom.

Wyglądało na to, że rządzenie pałacem i realizowanie dzieła Stwórcy sprowadza się raczej do manipulowania osobowościami, uczuciami i wrażliwością niż do prostego przydzielania zadań, które należy wykonać. Verna nigdy w ten sposób na to nie patrzyła. Zawsze sądziła, że są jedną szczęśliwą rodziną, która chętnie czyni dzieło Stwórcy i działa bez przeszkód pod kierownictwem Ksieni. Dowiedziała się, że Ksieni udawało

się to osiągnąć dzięki zręcznemu radzeniu sobie z Siostrami. Ann sprawiała, iż wszystkie one pracowały skutecznie, a Vernie zdawało się, że są zadowolone ze swojego miejsca w tej całości.

Po rozmowie z Annaliną Verna jeszcze wyraźniej czuła, że nie nadaje się na to stanowisko, z drugiej strony jednak była lepiej przygotowana do działania. Nigdy przedtem nie miała pojęcia, jak rozległa jest wiedza Ksieni o najdrobniejszych pałacowych sprawach. Nic dziwnego, że praca Ksieni Annaliny wydawała się taka łatwa i prosta. Ann była w tym mistrzynią - żonglerką potrafiącą utrzymać w powietrzu jednocześnie dwanaście piłek, która w tym samym czasie poklepuje z uśmiechem główkę nowicjuszeki.

Verna przetarła oczy i ziewnęła. Spała zaledwie kilka godzin, lecz miała pracę do wykonania i nie mogła się już ani na chwilę położyć. Wepchnęła książkę podrózną, z której usunęła wcześniej wszystkie zapisy, do ukrytej kieszonki w pasie i pospieszyła do swojego gabinetu. Po drodze przystanąła i spryskała twarz wodą ze stawu.

Para zielonych kaczek podpłynęła bliżej zaciekawiona, dlaczego burzy harmonię ich świata. Krążyły wokół, aż wreszcie postanowiły przeczesać dziobami piórka, zadowolone, że chodziło jej wyłącznie o skorzystanie z ich wody. Nowy dzień barwił niebo przepięknym różem i fioletem, powietrze było świeże i czyste. Verna, choć bardzo zmartwiona tym, czego się dowiedziała, była jednocześnie optymistycznie usposobiona. Zdawało się jej, że także jej umysł się rozjaśnił, jak wszystko dokoła rozjaśniło się w blasku nowego dnia. Strząsnęła wodę z rąk. Martwiła się, jak ma rozpoznać, które Siostry złożyły przysięgę Opiekunowi. Ksieni ufała jej i nakazała wykryć zdrajczynię, lecz to wcale nie oznaczało, iż Vernie się to uda. Westchnęła i ucałowała pierścień Ksieni, prosząc Stwórcę, żeby pomógł jej wymyślić jakiś sposób.

Nie mogła się doczekać, kiedy opowie Warrenowi o Ksieni i o wszystkim, czego się dowiedziała z rozmowy z nią, a jednocześnie było jej ciężko na sercu, że musiała mu nakazać, by się ukrył. Nie miała pojęcia, jak sobie bez niego poradzi. Może uda mu się znaleźć kryjówkę gdzieś niedaleko, a wtedy mogłaby go od czasu do czasu odwiedzać i nie czułaby się taka osamotniona.

W gabinecie Verna zobaczyła chwiejne stosy raportów i uśmiechnęła się. Nie zamknęła drzwi do ogrodu, żeby chłodne poranne powietrze wyparło z komnaty zapach stęchlizny. Zaczęła wyrównywać sterty papierzysek i układać

je na skraju stołu. Po raz pierwszy zobaczyła na blacie trochę wolnego miejsca.

Drzwi otworzyły się i Verna spojrzała w tamtym kierunku. Weszły Phoebe i Dulcinia, a każda dźwigała kolejną stertę raportów. Wzdrygnęły się, gdy ją zobaczyły.

- Dzień dobry - powitała je Verna różnym głosem.

- Wybacz nam, Ksieni - odezwała się Dulcinia. Przenikliwe niebieskie oczy dostrzegły równiutkie stosy raportów. - Nie przypuszczaliśmy, że Ksieni tak wcześnie rano będzie już przy pracy. Nie zamierzałyśmy przeszkadzać. Widzimy, że czeka cię mnóstwo roboty. Jeżeli można, dołożymy przyniesione raporty do tamtych.

- O tak, zróbcie to, proszę - przyzwoliła Verna, wskazując zachęcającym gestem biurko. - Leoma i Philippa będą zadowolone, że przyniosłyście mi te dokumenty.

- Ksieni? - zapytała Phoebe, a na jej okrągłej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Och, wiecie, co mam na myśli. Moje doradczynie chcą oczywiście, żeby wszystkie pałacowe sprawy szły jak po maśle. Leoma i Philippa martwią się o tę pracę.

- Pracę? - spytała coraz bardziej nachmurzona Dulcinia.

- Raporty - rzuciła Verna, jakby mówiła o czymś oczywistym. - Nie chciałyby, żeby ktoś tak nie wdrożony do tej pracy jak wy brał na siebie taką odpowiedzialność. Może powierzę wam kiedyś to zadanie, jeśli nadal będziecie tak wydajnie pracować i się wykażecie. Oczywiście, o ile one uznają, że to mądra decyzja.

- Co powiedziała Philippa, Ksieni? - spytała ponuro Dulcinia. - Co zarzuca mojemu doświadczeniu?

- Nie zrozum mnie źle, Siostró. - Verna wzruszyła ramionami. - Moje doradczynie wcale z ciebie nie kpiły. Prawdę mówiąc, bardzo cię wychwalały. Po prostu dały mi do zrozumienia, jak ważne są raporty, i przekonywały, że sama powinnam się tym zajmować. Jestem pewna, że za kilka lat zmienią zdanie i zgodzą się ze mną, że jesteście już do tego gotowe.

- Gotowe do czego? - spytała oszołomiona Phoebe. Verna machnęła ręką ku stertom raportów.

- Czytanie raportów i załatwianie opisywanych w nich spraw należy do

obowiązków administratorek Ksieni. Sama Ksieni jedynie okazjonalnie sprawdza raporty, by potwierdzić, że jej administratorki dobrze wykonują pracę. Skoro moje doradczynie nakłaniały mnie, bym sama zajmowała się raportami, uznałam, że najwyraźniej sądziły... cóż, na pewno nie chciały was urazić, sądząc po tym, jak was zawsze chwalał. - Verna mlasnęła językiem. - Chociaż nieustannie przypominają mi, że w najlepszym interesie pałacu sama powinnam się zajmować raportami.

Dulcinia zeszywniała z oburzenia.

- Przecież już czytamy te raporty, absolutnie wszystkie, żeby upewnić się, iż są zgodne z przepisami. Wiemy o nich więcej niż ktokolwiek. Stwórca wie, że nawet we śnie widuję te raporty! Orientujemy się, kiedy coś jest źle, i piszemy dla ciebie odpowiednią notatkę, czyż nie? Zwracamy twoją uwagę na rachunki, kiedy się nie zgadzają, nieprawdaż? Tamte dwie nie powinny ci wmawiać, że sama musisz się tym zajmować.

Verna podeszła do półek z książkami i zaczęła szukać potrzebnego jej rzekomo tomu.

- Jestem pewna, że po prostu dbały o interesy pałacu, Sioostro. Bo jesteście zupełnie nowe na tym stanowisku i w ogóle. Myślę, że nazbyt mocno chcecie się czegoś doszukać w ich radzie.

- Mam tyle lat, co Philippa! I takie samo doświadczenie!

- Nie rzucaj oskarżeń, Sioostro - odezwała się Verna swoim najskromniejszym tonem, spojrzawszy na nią przez ramię.

- Doradziła ci, żebyś się sama zajmowała raportami, nieprawdaż? - O tak, ale...

- Myli się. Obie się mylą.

- Taaak? - spytała Verna, odwracając się od półek.

- Oczywiście. - Dulcinia spojrzała na Phoebe. - Mogłybyśmy wszystkie te raporty przeczytać, ocenić i załatwić w tydzień lub dwa, prawda, Sioostro Phoebe?

Phoebe zadarła nosek.

- Uważam, że to nie zajęłoby nam nawet tygodnia. O załatwianiu spraw pomieszczonych w raportach wiemy więcej niż ktokolwiek inny w pałacu. - Zerknęła na Verne i zarumieniła się. - Oczywiście z wyjątkiem ciebie, Ksieni.

- Naprawdę? To wielka odpowiedzialność. Nie chciałabym nią was obarczać. Tak krótko wykonujecie tę pracę. Sądzicie, że wystarczająco się już

wdrożyłyście?

- Powiedziałałabym, że tak - rzekła z irytacją Dulcinia. Podeszła do stołu i dźwignęła cały stos dokumentów. - Zajmiemy się tym. Potem sprawdzisz naszą pracę i przekonasz się, że załatwiłyśmy sprawy tak, jak ty byś to zrobiła. Wiemy, co robimy. Przekonasz się. - Nachmurzyła się gniewnie. - I tamte dwie także.

- Chętnie dam wam szansę, jeśli naprawdę sądzicie, że się z tym uporacie. W końcu jesteście moimi administratorkami.

- Oczywiście, że jesteśmy. - Dulcinia kiwnęła głową w stronę stołu. - Phoebe, łap drugą stertę.

Phoebe podniosła wielką górę raportów i cofnęła się o krok, żeby utrzymać je w równowadze.

- Jestem pewna, że Ksieni ma poważniejsze sprawy do rozwiązania niż robota, którą mogą wykonać i to z łatwością, jej administratorki - oświadczyła.

Verna położyła dłonie na pasie okalającym jej talię.

- Wyzaczyłam was, bo wierzyłam w wasze kompetencje. I uważam, że słusznie czynię, pozwalając wam ich dowieść. W końcu administratorki Ksieni odgrywają bardzo ważną rolę w zarządzaniu pałacem.

Dulcinia uśmiechnęła się przebiegle.

- Przekonasz się, Ksieni, jak niezbędna jest nasza pomoc. Twoje doradczynie również.

Verna uniosła znacząco brwi.

- Zaimponowałyście mi, Siostry. Cóż, muszę się zająć pewnymi sprawami. Przez te raporty nie miałam czasu skontrolować moich doradczyń i przekonać się, czy właściwie wypełniają obowiązki. Najwyższy czas, żebym się tym zajęła.

- Też tak myślę - powiedziała Dulcinia, wychodząc za Phoebe. - Byłoby to ze wszech miar wskazane.

Drzwi zamknęły się za nimi i Verna odetchnęła głęboko. A już się obawiała, że te raporty nigdy się nie skończą. Podziękowała w myślach Ksieni Annalinie. Uświadomiła sobie, że się uśmiecha, i przybrała poważną minę.

Warren nie odpowiedział na pukanie, a kiedy rzuciła okiem na komnatę, zobaczyła, że łoże wygląda, jakby w nim nie spał. Drgnęła, uświadomiwszy

sobie, że kazała mu siedzieć w podziemiach i zajmować się wiązaniem prorocत्व w całość. Przypomniała sobie ze wstydem, jak z nim rozmawiała, rozzłoszczona po przepytaniu grabarza. Teraz radowała się, że Ksieni i Nathan żyją, i czuła ulgę, wówczas jednak aż gotowała się z wściekłości i wyżyła się na Warrenie.

Nie chcąc wywoływać poruszenia, Verna zeszła po schodach bez żadnej eskorty, która opróżniłaby dla niej podziemia. Pomyślała, że będzie bezpieczniej, jeśli zjawi się tam z krótką inspekcją i powie Warrenowi, by poszedł na ich miejsce spotkań nad rzeką. Niezbyt bezpiecznie byłoby przekazywać takie wieści nawet w pustych podziemiach.

Może Warren wpadnie na pomysł, jak zdemaskować Siostry Mroku. Czasami zdumiewał ją swoją pomysłowością. Verna ucałowała pierścień, próbując odegnać niepokój, który wynikał z konieczności natychmiastowego odesłania przyjaciela. Pomyślała ze smutnym uśmiechem, że może przybędzie mu trochę zmarszczek na irytująco gładkiej twarzy i będą wyglądać tak samo, bo tym razem ona, Verna, pozostanie pod działaniem pałacowego zaklęcia.

Siostra Becky, której ciąża stawała się widoczna dla wszystkich, nauczała grupę starszych nowicjuszek zawilości prorocत्व. Mówiła o zagrożeniu fałszywym prorocत्वem, które wynikało z wybranych w przeszłości odgałęzień. Jeżeli zaszło jakieś wydarzenie wymienione w przepowiedni i niosło ze sobą rozgałęzienie typu "albo-albo", to prorocत्व analizowano według zdarzeń. Kiedy jedna odnoga rozwidlenia okazywała się prawdziwa, druga stawała się wówczas fałszywa.

Trudność polegała na tym, że choć na każdej odnodze można się było natknąć na inne prorocत्वa, to w chwili, gdy je wygłaszano, nie było jeszcze wiadomo, która odnoga okaże się prawdziwa. Kiedy się to już wyjaśniało, każde prorocत्व powiązane z martwą odnogą stawało się automatycznie fałszywe. Czysto jednak nie można było ustalić, w której odnodze znajdowało się wiele prorocत्व, i podziemia były pełne bezużytecznych aneksów.

Verna stanęła z tyłu pod ścianą i przez jakiś czas słuchała, jak nowicjuszki zadają pytania. Prustrowała jej świadomość tego, przed iloma problemami staje każdy, kto próbuje się zajmować prorocत्वami, oraz to, że na wiele zadawanych przez nie pytań nie było odpowiedzi. A Verna

wiedziała już od Warrena, że Siostry i tak przeceniają swoje rozumienie proroctw.

Przepowiednia powinna być interpretowana przez czarodzieja mającego wrodzony dar w tym kierunku. Nathan był jedynym czarodziejem posiadającym zdolność prorokowania, na którego Siostry natknęły się przez ostatnie tysiąc lat. Verna wiedziała teraz, że Prorok pojmował przepowiednie w zupełnie nie znany Siostrom - no może z wyjątkiem Ksieni Annaliny - sposób. Wiedziała również, że i Warren miał dar proroczy.

Siostra Becky zaczęła wyjaśniać metody łączenia proroctw za pomocą wydarzeń kluczowych i chronologii, a Verna odeszła cicho ku tylnym komnatom, w których zazwyczaj pracował Warren. Nikogo tam nie było, księgi wróciły na półki. Zaczęła się zastanawiać, gdzie go jeszcze szukać. Warrena zawsze było łatwo odnaleźć, ale to pewno dlatego, że niemal bez przerwy tkwił w podziemiach.

Gdy wracała wąskimi przejściami pomiędzy długimi rzędami półek, spotkała Siostrę Leomę. Doradczyni uśmiechnęła się do niej na powitanie i skłoniła głowę z długimi, prostymi, białymi włosami związanymi z tyłu złocistą wstążką. Na pomarszczonej twarzy Leomy Verna dostrzegła troskę.

- Dzień dobry, Ksieni. Oby Stwórca pobłogosławił ten nowy dzień. Verna odwzajemniła ciepły uśmiech.

- Dziękuję, Siostro. To istotnie piękny dzień. Jak się sprawują nowicjuszeki?

Leoma rzuciła okiem ku stołom, wokół których siedziały skupione młode kobiety.

- Będą z nich wspaniałe Siostry. Przyglądałam się lekcjom i stwierdziłam, że wszystkie nowicjuszeki słuchają z przejęciem - powiedziała Leoma i spytała, nie patrząc na Verne: - Przyszłaś się zobaczyć z Warrenem?

- Tak. - Verna okręciła pierścień na palcu. - Chciałam go prosić, żeby sprawdził dla mnie kilka spraw. Widziałaś go?

Kędy Leoma znów na nią spojrzała, troska na jej twarzy zmieniła się w prawdziwe zaniepokojenie.

- Obawiam się, Ksieni, że Warrena tu nie ma.

- Rozumiem. A czy wiesz, gdzie mogłabym go znaleźć? Leoma westchnęła głęboko.

- Miałam na myśli to, Verno, że Warren odszedł.

- Odszedł? Co to znaczy "odszedł"?

Siostra Leoma spojrzała w cienie zalegające między półkami.

- To znaczy, że opuścił pałac. Na dobre. Verna otworzyła szeroko usta. - Jesteś pewna? Musisz się mylić. Może... Leoma przyglądała kosmyk siwych włosów.

- Przyszedł do mnie, Verno, przedwczorajszego wieczoru i powiedział, że odchodzi.

Verna oblizwała wargi.

- Dlaczego nie przyszedł do mnie? Dlaczego nie powiedział Ksieni, że odchodzi?

Leoma mocniej otuliła się szalem.

- Przykro mi, Verno, że słyszysz to ode mnie, lecz mówił, że się posprzeczaście i że doszedł do wniosku, iż najlepiej będzie, jeżeli opuści pałac. Przynajmniej na razie. Wymógł na mnie obietnicę, że nie powiem ci o tym przez kilka dni, by rónóg odejść odpowiednio daleko. Nie życzył sobie, żebyś za nim pobiegła.

- Biec za nim! - Verna zacisnęła pięści. - Co sprawiło, że pomyślał... - Kręciło się jej w głowie. Starła się zrozumieć, cofnąc słowa wypowiedziane tyle dni temu. - Ale... czy powiedział, kiedy wróci? Pałacowi jest potrzebny jego talent. Wiele wie o tych tutaj księgach. Nie może ot, tak sobie wstać i odejść!

- Przykro mi, Verno - Leoma znów odwróciła wzrok - lecz odszedł. Powiedział, że nie wie, kiedy i czy wróci. Mówił, iż uznał, że najlepiej będzie, jeśli odejdzie, i że i ty to w końcu zrozumiesz.

- Czy powiedział coś jeszcze? - wyszeptała z nadzieją. Leoma potrząsnęła przecząco głową.

-I pozwoliłaś mu odejść? Nie próbowałaś go powstrzymać?

- Verno - powiedziała łagodnie Leoma - Warren nie ma już obroży. Sarna go uwolniłaś z Rada'Han. Nie możemy zmuszać czarodzieja, żeby wbrew swojej woli pozostawał w pałacu, skoro sama go wyzwoliłaś. Jest wolnym człowiekiem. Wybór należy do niego, nie do nas.

Verne ogarnęła fala lodowatego przerażenia. Uwolniła go. Jakże mogła oczekiwać, iż pozostanie, by jej pomagać, skoro go tak upokorzyła? Był jej przyjacielem, a ona ćwiczyła go jak przebywającego tu pierwszy rok chłopaczka. Nie był chłopcem. Był mężczyzną. Niezależnym.

A teraz odszedł.

Verna zmusiła się, by powiedzieć:

- Dziękuję, Leomo, że mi powiedziałaś.

Leoma skinęła głową, uspokajająco ucisnęła ramię Verny i wróciła do lekcji.

Warren odszedł.

Rozum podpowiadał Ksieni, że mogły go pojmać Siostry Mroku, lecz w sercu winiła tylko siebie.

Chwiejnie poszła do jednego z tylnych pomieszczeń i kiedy zamknęły się za nią kamienne drzwi, osunęła się na krzesło. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, ile Warren dla niej znaczył.

ROZDZIAŁ 32

Kahlan wyskoczyła z wozu i potoczyła się po śniegu. Poderwała się i zaczęła brnąć w stronę krzyków. Głazy wciąż padały wokół niej i staczały się pomiędzy drzewa po pochyłej stronie wąskiego szlaku, łamiąc gałęzie i uderzając w potężne pnie starych sosen. Oparła się plecami o bok wozu.

- Pomóżcie mi! - wrzasnęła ku biegnącym do niej żołnierzom.

Po kilku chwilach dotarli na miejsce, rzucili się na wóz i unieśli go. Krzyki stały się głośniejsze.

- Nie! Nie! Nie! - Brzmiało to tak, jakby go zabijali. - Zostawcie tak. Nie unście bardziej.

Sześciu młodych żołnierzy starało się utrzymać wóz w tej pozycji. Leżące na nim głazy znacznie zwiększały ciężar.

- Orsk! - zawołała Kahlan.

- Tak, pani?

Wzdrygnęła się. W panujących ciemnościach nie zauważyła, że wielki jednooki d'haranski żołnierz stał tuż za nią.

- Pomóż im trzymać wóz, Orsk. Nie podnoś go, po prostu trzymaj. - Odwróciła się w stronę ciemnego szlaku, a Orsk stanął obok tamtych i chwycił krzepkimi rękami dolny brzeg wozu. - Zedd! Niech ktoś sprowadzi Zedda! Szybko!

Kahlan odrzuciła długie włosy na pelerynę z białego wilczego futra i uklękła przy młodzieńcu leżącym pod piastą. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, jak groźna jest rana, lecz urywany oddech i jęki wskazywały, że była poważna. Dziewczyna nie mogła pojąć, dlaczego krzyczał głośniejsze, kiedy chcieli zdjąć z niego ciężar. Znalazła dłoń rannego i ujęła w obie ręce.

- Trzymaj się, Stephens. Pomoc nadchodzi.

Skrzywiła się, bo zmiażdżył jej dłoń w swojej i jęknął. Czepiał się jej dłoni, jakby zwisał z krawędzi urwiska i tylko ręka Kahlan chroniła go przed upadkiem w mroczne objęcia śmierci. Przysięgła sobie, że nie cofnie dłoni, choćby nawet ją złamał.

- Wybaczmi... królowo... że opóźniam marsz.

- To był wypadek. Tb nie twoja wina. - Poruszył nogami w śniegu. - Leż spokojnie. - Wolną ręką odgarnęła mu włosy z czoła. Trochę się uspokoił pod

jej dotknięciem, więc przyłożyła dłoń do lodowatego policzka. - Nie ruszaj się, Stephens, proszę. Nie pozwolę, żeby spuścili na ciebie wóz. Obiecuję. Za chwilę to z ciebie zdejmemy i czarodziej cię wyleczy.

Wyczuła pod dłonią, że skinał głowę. Nikt w pobliżu nie miał pochodni, a w sączącej się przez gałęzie słabej księżycowej poświacie nie było widać, co się właściwie stało. Wyglądało na to, że unosząc wóz, sprawiali rannemu większy ból, niż wywoływał przygniatający go ciężar.

Kahlan usłyszała tętent galopującego konia i zobaczyła ciemną postać zeskakującą z zatrzymującego się rumaka, który skręcił głowę przy ściąganiu wodzy. Jeździec wylądował na ziemi i nad wnętrzem jego kościstej dłoni pojawił się płomień, oświetlając chudą twarz i gęste, siwe, sterczące we wszystkie strony włosy.

- Zedd! Szybko!

Gdy Kahlan spojrzała w dół, w nagłym jaskrawym blasku zobaczyła, co się stało, i poczuła falę mdłości.

Spokojne, orzechowe oczy Zedda szybko oceniły sytuację i czarodziej klęknął po drugiej stronie Stephensa.

- Wóz zaczepił o oszalowanie podtrzymujące osypisko - wyjaśniła.

Szlak był wąski i zdradziecki, a w mroku nie zauważyli na zakręcie ośnieżonego szalunku. Drewno musiało być stare i zbutwiałe. Pękło, kiedy uderzyła w nie piasta, i belka stoczyła się w dół, spuszczając na nich kamienną lawinę. Staczające się kamienie biły w tył wozu, rzucając nim na boki. Wtedy metalowy pierścień tylnego koła zahaczył o zamarzniętą, ukrytą pod śniegiem koleinę, i w kole pękły szprychy. Piasta najpierw zbiła Stephensa z nóg, a potem zwała się na niego.

W wyczarowanym przez Zedda świetle Kahlan dostrzegła, że jedna ze złamanych szprych, która sterczała z piasty na końcu złamanej osi, przebiła młodego człowieka. Gdy chcieli unieść wóz, podnosili również Stephensa na wbitej pod żebra szprysze.

- Tak mi przykro, Kahlan - odezwał się Zedd.

- Co to znaczy, że ci przykro? Musisz...

Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że choć ręka wciąż ją boli, to dłoń rannego już się na niej nie zaciska. Spojrzała w dół i zobaczyła maskę śmierci. Był już w rękach duchów.

Otrząsnęła się na ten widok. Wiedziała, co to znaczy poczuć dotyk

śmierci. Czowała to teraz. Przez cały czas, kiedy nie spała. A sny były przesycone owym paralizującym odczuciem. Instynktownie przesunęła po twarzy lodowatymi palcami, próbując usunąć nieustanne mrowienie przypominające uczucie, jakie wywołuje włoszek łaskoczący cały czas policzki. Jednak nigdy nie było żadnego włoska, który mogłaby odgarnąć. Czowała drażniący dotyk magii, dotyk czaru śmierci.

Zedd wstał i przesłał płomyk na pochodnię trzymaną przez stojącego w pobliżu żołnierza. Jedną rękę wyciągnął rozkazująco ku wozowi, drugą dał żołnierzom znak, żeby się odsunęli. Zrobili to, lecz trwali w pogotowiu, by złapać wóz, gdyby znów zaczął spadać. Zedd obrócił dłoń wnętrzem ku górze, a wóz posłusznie uniósł się o parę stóp w powietrze.

- Wyciągnijcie go - polecił posępnie czarodziej.

Żołnierze chwycili Stephensa za ramiona i zdjęli ze szprychy. Kiedy odciągnęli go na bok, Zedd odwrócił dłoń grzbietem ku górze i wóz osiadł na ziemi.

Jakiś człowiek padł przed Kahlan na kolana.

- To moja wina! - krzyknął z udręką. - Tak mi przykro. O, dobre duchy, to moja wina.

Kahlan złapała woźnicę za płaszcz i zmusiła do wstania z klęczek.

- Jeżeli już ktoś jest tu winien, to ja. Nie powinnam jechać w ciemnościach. Trzeba było... To nie twoja wina. To był wypadek.

Odwróciła się i zamknęła oczy - wciąż jeszcze słyszała jego krzyki. Jak zwykle, nie korzystali z pochodni, żeby nie zdradzać swojej obecności. Nigdy nie wiadomo, czyje oczy mogą wypatrzeć wojska pokonujące przełęcz. Nie odkryli co prawda śladów pogoni, ale zbytńia pewność siebie byłaby szaleństwem. Ostrożność chroniła życie.

- Pochowajcie go najlepiej, jak zdołacie - powiedziała Kahlan żołnierzom.

Nie mogli wykopać grobu w zamrażniętej ziemi, mogli jednak wykorzystać głązy z osuwiska, żeby przykryć ciało. Duch Stephensa był teraz z dobrymi duchami, nareszcie bezpieczny. Skończyło się cierpienie.

Zedd poprosił oficerów o oczyszczenie szlaku, a potem poszedł z żołnierzami poszukać odpowiedniego miejsca na wieczysty spoczynek Stephensa.

Wśród narastającego gwaru i krzątania Kahlan przypomniała sobie nagle o Cyrilli i z powrotem wspięła się na wóz. Jej przyrodnia siostra,

owinięta grubo kocami, leżała między stertami ekwipunku. Większość gładów spadła na tył wozu, omijając Cyrillę, a koce ochroniły ją przed mniejszymi kamieniami. Zadziwiające, że toczące się w dół wielkie gładzy nikogo nie zmiażdżyły.

Umieścili Cyrillę na wozie, a nie w powozie, ponieważ wciąż była nieprzytomna i uznali, że tam będzie jej wygodniej. Teraz wóz raczej nie nadawał się do naprawy. Będą ją musieli przenieść do powozu; na szczęście był niedaleko.

Żołnierze zaczęli się zbierać przy zatorze. Jedni przeciskali się obok wozu i zgodnie z rozkazami oficerów odchodzili w noc, inni brali siekiery, żeby ściąć drzewa i naprawić szalunek, jeszcze inni zaś oczyszczali szlak z kamieni i gładów, chcąc oczyścić drogę dla powozu.

Kahlan z ulgą stwierdziła, że żaden z gładów nie zranił Cyrilli i że nadal tkwi ona w odrętwieniu. Niepotrzebne były im teraz jej wrzaski i krzyki przerażenia: musieli wykonać zadanie. Dziewczyna jechała z Cyrillą na wozie, na wypadek gdyby ta się zbudziła. Królowa - po tym, czego doświadczyła w Aydindril - wpadała w panikę na widok żołnierzy i uspokoić mogły ją jedynie Kahlan, Adie lub Jebra.

W rzadkich przebłyskach świadomości Cyrilla wciąż domagała się, by Kahlan przyrzekła, że zostanie królową. Martwiła się o swoich poddanych i wiedziała, że nie potrafi im pomóc, a na tyle kochała Galeę, iż nie chciała obciążać krainy królową, która nie może rządzić. Kahlan niechętnie zgodziła się wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

Książę Harold, przyrodni brat Kahlan, nie zamierzał brać na swoje barki ciężaru sprawowania władzy. Był żołnierzem, jak król Wyborn, ojciec jego i Cyrilli. Kiedy Harold i Cyrilla byli już na świecie, matka Kahlan wybrała króla Wyborna na partnera i urodziła się Kahlan. Urodziła się jako Spowiedniczka: magia Spowiedniczek była ważniejsza niż królewskie prerogatywy.

- Co z nią? - spytał Zedd, odczepiając szaty z jakiegoś zadzioru i wspinając się na wóz.

- Bez zmian. Spadające gładzy nic jej nie zrobiły Zedd dotknął na chwilę palcami skroni Cyrilli.

- Jej ciała nie dręczy żadna choroba, natomiast wciąż ma chory umysł. - Potrząsnął głową, westchnął i oparł rękę na kolanie. - Szkoda, że dar nie leczy chorób umysłu.

Kahlan dojrzała w jego oczach zawód i żal. Uśmiechnęła się.

- Powinieneś się z tego cieszyć. Inaczej nigdy nie miałbyś czasu na posiłek.

Zedd zachichotał, a ona przyjrzała się otaczającym wóz żołnierzom i dostrzegła kapitana Ryana. Przywołała go gestem.

- Tak, królowo?

- Jak daleko do Ebinissii?

- Cztery, może sześć godzin. Zedd nachylił się ku niej.

- To nie jest miejsce, do którego chcielibyśmy dotrzeć głuchą nocą.

Kahlan pojęła, o co mu chodziło, i skinęła głową. Czekają ich mnóstwo pracy, nim zdołają odzyskać stolicę Galei. Najpierw musieli się zająć tysiącami ciał, które zalegały miasto. To zupełnie nieodpowiedni widok w środku nocy, po całym dniu ciężkiego marszu. Niezbyt chętnie wracała na miejsce tej straszliwej rzezi, lecz było to jedyne miejsce, gdzie nikt nie spodziewałby się ich znaleźć i gdzie mogli być przez jakiś czas bezpieczni. Stąd mogli zacząć ponownie łączyć Midlandy w jedną całość. Ponownie spojrzęła na kapitana Ryana.

- Czy moglibyśmy gdzieś w pobliżu rozbić na noc obóz?

- Zwiadowcy powiedzieli - kapitan wskazał ręką w górę drogi - że tam, całkiem niedaleko, jest niewielka kotlina. Stoi w niej opuszczona farma, gdzie Cyrille można wygodnie ułożyć na noc. Kahlan odgarnęła z twarzy pukiel włosów i zahaczyła je o ucho. Zauważyła, że nie mówiono już o Cyrilli "królowa". Teraz królową była Kahlan i książe Harold zadbał, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

- Dobrze, wydaj odpowiednie rozkazy. Niech sprawdzą kotlinę, wystawią warty i rozbiją obóz. Zwiadowcy mają sprawdzić okolicę. Jeżeli na okolicznych stokach nikogo nie ma i kotlina jest niewidoczna, pozwól rozpalić ogniska, małe ogniska.

Kapitan Ryan uśmiechnął się i uderzył pięścią w pierś na wysokości serca. Ogniska to luksus, a ludziom dobrze zrobi gorąca strawa. Zasłużyli na to po takim ciężkim marszu. Byli prawie w domu: jutro tam dotrą. Wtedy zacznie się najgorsze. Trzeba będzie pochować zmarłych i uporządkować Ebinissię. Kahlan nie pozwoli, żeby Imperialny Ład długo cieszył się zwycięstwem nad miastem. Midlandy odzyskają stolicę Galei, a ta odżyje i odda cios.

- Zajęliście się Stephensem? - spytała dziewczyna kapitana.

- Zedd pomógł nam znaleźć odpowiednie miejsce, a potem żołnierze zajęli się pochówkiem. Biedny Stephens. Walczył w każdej bitwie z Imperialnym Ładem, które zaczęliśmy z pięcioma tysiącami ludzi. Widział, jak umiera czterech z każdych pięciu jego kompanów, a sam zginął w wypadku, kiedy wszystko już się skończyło. Wiem, że chciałby zginąć w obronie Midlandów.

- I tak zginął - powiedziała Kahlan. - To się jeszcze nie skończyło. Wygraliśmy jedynie bitwę, choć ważną. Wciąż jesteśmy w stanie wojny z Imperialnym Ładem, a on był na tej wojnie żołnierzem. Pomagał nam i zginął na posterunku tak jak ci, którzy polegli w bitwach. Nie ma różnicy. Umarł jako bohater Midlandów.

Kapitan Ryan wsunął ręce do kieszeni grubego, brązowego wełnianego płaszcza.

- Żołnierze ucieszyliby się, gdyby usłyszeli te słowa. Dodałyby im odwagi. Czy mogłabyś przemówić nad jego grobem, zanim ruszymy? Świadomość, że żałuje go królowa, znaczyłaby bardzo wiele dla żołnierzy.

- Oczywiście, kapitanie. - Kahlan się uśmiechnęła. - To będzie dla mnie zaszczyt.

Patrzyła na kapitana, który odchodził, by się wszystkim zająć.

- Nie powinnam iść dalej po zmroku. Zedd pogładził ją uspokajająco po głowie.

- Wypadki mogą się zdarzyć i w biały dzień. Ten - gdybyśmy się wcześniej zatrzymali - najprawdopodobniej wydarzyłby się rankiem, a wtedy winilibyśmy się za to, że byliśmy na wpół śpiący.

- Wciąż czuję się winna. Ta śmierć była taka nieprawiedliwa. Uśmiechnął się smutno.

- Los nie pyta nas o pozwolenie.

ROZDZIAŁ 33

Jeżeli na farmie były jakieś ciała, to żołnierze usunęli je, nim Kahlan tam dotarła. Rozpalili ogień w prymitywnym palenisku, lecz płomienie nie zdołały do tego czasu przegnać mrozu z opuszczonego domu.

Cyrille przeniesiono ostrożnie na resztki słomianego pośłania w położonej na tyłach domu sypialni. Była tam jeszcze jedna ciasna izdebka z dwoma łózkami przeznaczonymi prawdopodobnie dla dzieci i główna izba, której najważniejszym meblem był stół. Rozbity kredens, skrzynia i szczątki osobistych rzeczy powiedziały Kahlan, że przeszedł tędy Imperialny Ład, kierując się ku Ebinissii. Kolejny raz zastanowiła się, co żołnierze zrobili z ciałami. Nie chciałyby na nie natrafić, gdyby w nocy musiała wyjść za potrzebą.

Zedd rozejrzał się po izbie i rozmasował brzuch.

- Kiedy będzie obiad? - spytał wesoło.

Czarodziej odziany był w grubą rdzawą szatę z czarnymi rękawami i kapturem. Mankiety okalały trzy obszywki ze srebrnego brokatu. Taśma złotego brokatu otaczała wycięcie przy szyi i schodziła w dół przez środek stroju, ściągniętego w taliu czerwonym atlasowym pasem ze złotą klamrą. Zedd nie cierpiał wyzywających szat, które Adie kazała mu nosić w charakterze przebrania. Wolał proste stroje, te jednak dawno zniknęły, podobnie jak jego kapelusz z długim piórem, który zaginął gdzieś po drodze.

Kahlan uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Nie wiem. A co ugotujesz?

- Ja? Gotować? Cóż, przypuszczam...

- Oszczędźcie nam gotowania tego mężczyzny, o dobre duchy - powiedziała od drzwi Adie. - To już lepiej jeść korę i robaki.

Adie wkuśtykała do izby, podtrzymywana przez Jembrę, widzącą, i Aherna, woźnicę, którego powozem Adie oraz Zedd odbywali ostatnie podróże. Chandalen, który od miesiący towarzyszył Kahlan w drodze z wioski Błotnych Ludzi, odszedł po owej nocy, którą dziewczyna spędziła z Richardem w miejscu pomiędzy światami. Chciał już wrócić do domu, do swoich. Kahlan nie miała mu tego za złe, ponieważ wiedziała dobrze, co to znaczy tęsknić za przyjaciółmi i ukochanymi.

Dzięki Zeddowi i Adie dziewczyna miała złudzenie, że niemal są razem. A kiedy Richard do nich dołączy, już naprawdę będą razem. Oczekiwanie na to potrwa jeszcze pewnie całe tygodnie, lecz Kahlan rozkoszowała się każdym oddechem, bo każdy oddech zbliżał ją choć trochę do wpadnięcia w objęcia Richarda.

- Moje kości są już za stare na taką pogodę - powiedziała Adie, idąc przez izbę.

Kahlan wzięła prosty drewniany stołek i ciągnęła go, podtrzymując drugim ramieniem Adie. Podprowadziła kościaną babkę do ognia, ustawiła stołek jak najbliżej paleniska i skłoniła czarodziejkę, by usiadła i ogrzała się. W przeciwieństwie do szat Zedda, proste lniane suknie, ozdobione u szyi złotymi i czerwonymi paciorkami, które układały się w starożytne symbole jej profesji, przetrwały podróż. Zedd ściągał gniewnie brwi za każdym razem, kiedy je widział, myśląc, iż to bardzo dziwne, że jej proste suknie przetrwały podróż, a jego nie.

Adie zawsze się wówczas uśmiechała i mówiła, że to dziwne, ale twierdziła przy tym z uporem, iż Zedd wspaniale wygląda w nowych pięknych szatach. Kahlan podejrzewała, że Adie naprawdę woli Zedda w nowych szatach. Sama również uważała, że Zedd wspaniale w nich wygląda, choć nie przypominał już tak czarodzieja jak w starych, tradycyjnych. Czarodzieje jego rangi nosili najprostsze szaty. A Zedd stał najwyżej w hierarchii: był Pierwszym Czarodziejem.

- Dziękuję, dziecinko - powiedziała Adie, grzejąc dłonie nad ogniem.

- Orsk! - zawołała Kahlan.

Wielkolud podszedł pospiesznie. Blizna przecinająca pusty oczodół połyskiwała białą w blasku płomieni.

- Tak, pani?

Czekał, gotów wykonać jej polecenia. Nie miało dlań znaczenia, jakie one będą. Dla Orska liczyło się tylko jedno: zadowolić Kahlan.

- Nie ma tu żadnego garnka. Mógłbyś jakiś przynieść, byśmy mogły ugotować coś na kolację?

Skłonił się przy akompaniamencie skrzypienia ciemnego skórzanego uniformu i szybko wyszedł z izby. Orsk był żołnierzem d'haranskim z obozu Imperialnego Ładu. Próbował zabić Kahlan, a ona w walce poraziła go swoją mocą, tak że magia Spowiedniczek na zawsze zniszczyła jego wcześniejszą

osobowość i wypełniła Orska ślepyim oddaniem dla Kahlan. Ta ślepa lojalność i oddanie męczyły dziewczynę, gdyż nieustannie przypominały jej o tym, kim i czym jest.

Kahlan starała się nie myśleć o tym, że Orsk był przedtem d'haranskim żołnierzem, który przyłączył się do Imperialnego Ładu, jednym z morderców biorących udział w rzezi bezbronnych kobiet i dzieci w Ebinissii. Jako Matka Spowiedniczka przysięgła, że nie okaże litości żadnemu z żołnierzy Ładu, że nikt nie okaże im litości - i tak też było. Jeden Orsk wciąż, żył. Żył, lecz zginął jako żołnierz walczący po stronie Imperialnego Ładu.

Niewielu wiedziało, że Kahlan jest Matką Spowiedniczką, gdyż Zedd rzucił na nią czar śmierci, który ułatwił im ucieczkę z Aydindril. Orsk widział w niej swoją panią. Jej prawdziwą tożsamość znał, rzecz jasna, Zedd, a poza nim Adie, Jebra, Ahern, Chandalen, przyrodni brat, księżę Harold i kapitan Ryan. Wszyscy inni myśleli, że Matka Spowiedniczka nie żyje. Żołnierze, wraz z którymi walczyła, widzieli w niej swoją królową. Pamięć o tym, że była Matką Spowiedniczką, zatarto w nich i przemieniono we wspomnienie, iż jest królową Kahlan, ich przywódczynią, lecz nie Matką Spowiedniczką.

Kiedy śnieg się rozpuścił, Jebra i Kahlan dodały fasolę i bekon, posiekane słodkie korzenie oraz troszkę melasy. Zedd obserwował, co wrzucają do garnka, i zacierał ręce. Kahlan uśmiechnęła się, ujrawszy jego dziecinną niecierpliwość, i wyjęła dłoń z plecaka trochę suchego chleba. Ucieszyło go to i zjadł chleb, czekając, aż fasola się ugotuje.

Kiedy kolacja się gotowała, Kahlan podgrzała zupę, którą wieźli w małym rondelku, i zaniósła ją Cyrilli. W szczelinę w ścianie wepchnęła listewkę, postawiła na niej świecę i usiadła na skraju łóżka stojącego w cichej izbie. Otarła nagrzanym płótnem czoło przyrodniej siostry i ucieszyła się, bo Cyrilla otworzyła oczy. Przerazone spojrzenie omiotło ciemną izbę. Kahlan zacisnęła Cyrilli usta i zmusiła ją, by spojrzała jej w oczy.

- To ja, Kahlan, siostrzyczko. Jesteś bezpieczna. Tylko ja tu jestem. Jesteś bezpieczna. Nie bój się. Wszystko w porządku.

- Kahlan? - Cyrilla zacisnęła dłonie na futrzanej pelerynie dziewczyny. - Obiecałaś. Nie cofniesz słowa? Nie możesz.

- Obiecałam. - Kahlan się uśmiechnęła. - I dotrzymam obietnicy. Jestem królową Galei i pozostanę nią do dnia, w którym zechcesz odzyskać koronę.

Cyrilla z ulgą opadła na posłanie, lecz nie puściła peleryny.

- Dziękuję, królowo. Kahlan skłoniła ją, by usiadła.
- Przyniosłam ci trochę gorącej zupy.
- Nie jestem głodna. - Cyrilla odwróciła twarz od łyżki.
- Jeżeli chcesz, żebym była królową, to musisz mnie traktować jak królową. - Cyrilla spojrzała na nią pytająco, a Kahlan się uśmiechnęła. - To polecenie twojej królowej. Masz zjeść zupę.

Dopiero teraz Cyrilla zaczęła jeść. Zjadła wszystko i znów zaczęła się trząść, a Kahlan tuliła ją mocno, dopóki biedaczka nie zapadła w podobny do transu stan, spoglądając przed siebie nie widzącymi oczami. Kahlan otuliła ją grubymi kocami i pocałowała w czoło.

Zedd zorganizował gdzieś kilka beczulek i ławę, ze stodoły wyniósł taboret, a nawet znalazł drugie krzesło. Poprosił księcia Harolda i kapitana Ryana, żeby zjedli kolację wspólnie z Adie, Jebra, Ahernem, Orskiem, Kahlan i nim. Byli w pobliżu Ebinissii i musieli omówić dalsze plany. Stłoczyli się wokół niewielkiego stołu. Kahlan podzieliła suchy chleb, a Jebra nakładała do miseczek porcje dymiącej fasoli ze stojącego na ogniu garnka. Potem usiadła obok Kahlan na krótkiej ławce, cały czas popatrując ze zdumieniem na Zedda.

Książę Harold - mężczyzna o krzepkiej piersi i długich, gęstych, ciemnych włosach - przypominał Kahlan ojca. Harold dopiero tego dnia wrócił ze swoimi zwiadowcami z Ebinissii.

- Jakie wieści przynosisz ze swojego miasta? - spytała przyrodniego brata.

Harold łamał chleb grubymi palcami.

- Cóż, wyglądało tak, jak je opisałaś - westchnął. - Wydaje się, że nikogo poza wami nie było w Ebinissii. Sądzę, że będziemy tam dość bezpieczni. Po zniszczeniu armii Imperialnego Ładu...

- Działającej w tym regionie armii Imperialnego Ładu - sprostowała Kahlan.

Zbył tę uwagę, machnąwszy trzymanym w palcach chlebem.

- Nie sądzą, byśmy mieli teraz jakieś kłopoty. Nasi żołnierze nie są jeszcze zbyt liczni, ale za to dobrzy, a poza tym dysponujemy wystarczającymi siłami, żeby bronić miasta z okalających je górskich przełęczy, przynajmniej dopóki tamci znów nie nadejdą w przeważającej liczbie. Uważam, że utrzymamy miasto dopóty, dopóki Imperialny Ład nie

ściągnie więcej wojsk. - Skinął ku Zeddowi. - No i mamy czarodzieja.

Zedd, który był zajęty pochłanianiem fasoli, ledwo na tyle zwolnił tempo machania łyżką, by potwierdzić mruknięciem jego słowa. Kapitan Ryan przełknął sporą porcję fasoli.

- Książę Harold ma rację - rzucił. - Znamy te góry. Możemy bronić miasta, dopóki nie zbiorą dużych sił. A do tego czasu może przyłączy się do nas więcej ludzi i będziemy mogli wyruszyć.

Harold zanurzył chleb w miseczce i nabrał nań kawałek bekonu.

- Co myślisz o naszych szansach uzyskania pomocy z Nikobarezji, Adie?

- W moim ojczystym kraju wrze. Kiedy byliśmy tam z Zeddem, dowiedzieliśmy, że król nie żyje. Bractwo Czystej Krwi chce przejąć władzę, ale nie wszystkim się to podoba. Najbardziej niezadowolone są czarodziejki. Jeśli bractwo przejmie władzę, wyłapie te kobiety i zabije. Spodziewam się, że poprą te siły w armii, które są przeciwko Imperialnemu Ładowi.

- Wojna domowa nie rokuje dobrze w sprawie wysłania wojsk na pomoc Midlandom - wtrącił Zedd, przestawszy na chwilę machać łyżką.

- Zedd ma słuszość - westchnęła Adie.

- Może niektóre czarodziejki mogłyby pomóc? - spytała Kahlan.

- Może. - Adie zamieszała fasolę łyżką. Kahlan spojrzała na przyrodniego brata.

- Przecież masz oddziały na innych terenach i możesz je zwołać.

- Oczywiście - przytaknął Harold. - Można wystawić co najmniej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy, a może i sto tysięcy, lecz nie wszyscy będą dobrze wyszkoleni i uzbrojeni. Zorganizowanie wszystkiego zajmie mi trochę czasu, za to potem Ebinissia stanie się siłą, z którą trzeba się będzie liczyć.

- Prawie tyle samo ludzi mieliśmy przedtem - przypomniał im kapitan Ryan, nie podnosząc oczu znad miseczki z fasolą. - I to nie wystarczyło.

- Prawda - rzekł Harold, wymachując chlebem. - Ale to tylko na początek.

- Spojrzał na Kahlan. - Możesz przyłączyć więcej krain, prawda?

- W tym nasza nadzieja - odparła. - Jeśli chcemy mieć szansę na odniesienie zwycięstwa, musimy skupić wokół siebie Midlandy.

- A co z Sanderią? - spytał kapitan Ryan. - Ich lance są najlepsze w Midlandach.

- I Lifania - dorzucił Harold. - Wytwarzają mnóstwo broni i wiedzą, jak

się nią posługiwać.

Kahlan wyskubała trochę mięszu ze swojego chleba.

- Sanderią jest uzależniona od Keltonu, jeśli chodzi o letni wypas stad owiec. Lifania kupuje w Keltonie żelazo i sprzedaje mu ziarno. Herjborgue zależy od sanderyjskiej wełny. Sądzę, że wszystkie te krainy mogą pójść za Keltonem.

Harold włożył łyżkę w fasolę.

- Wśród zwłok tych, którzy napadli Ebinissię, byli również zwłoki Keltończyków.

- Galejczyków też.

Kahlan włożyła chleb do ust i żuła go przez chwilę, patrząc, jak Harold zaciska w dłoni łyżkę niby nóż. Patrzył gniewnie w swoją miseczkę.

- Dołączyli do nich mordercy i rebelianci z wielu krain - powiedziała, przełknąwszy chleb. - Tb nie świadczy, że przyłączyły się do nich ich ojczyzny. Książę Fyren z Keltonu poddał swoje ziemie Imperialnemu Ładowi, lecz już nie żyje. Nie prowadzimy wojny z Keltonem. Ta kraina jest częścią Midlandów. Prowadzimy wojnę z Imperialnym Ładem. Musimy trzymać się razem. Jeżeli Kelton się do nas przyłączy, inni będą musieli zrobić to samo. Jeśli jednak staną po stronie Imperialnego Ładu, to możemy mieć kłopoty z przekonaniem pozostałych, żeby przyłączyli się do nas. Musimy skaptować Kelton i związać go z nami.

- Idę o zakład, że Kelton pójdzie za Imperialnym Ładem - odezwał się Ahern. Wszyscy spojrzeli na niego, lecz on tylko wzruszył ramionami. - Jestem Keltończykiem i mówię warn, że pójdą tam, gdzie korona. Takie są już zwyczaje naszych ludzi. Fyren nie żyje, więc władzę obejmie księżna Lumholtz. Ona i jej mąż opowiedzą się po stronie, która według nich zwycięży, obojętne, kto by to był. Takie jest przynajmniej moje zdanie. Opieram na tym, co słyszałem o tej kobiecie.

- To głupiec! - Harold rzucił łyżkę. - Co prawda nie ufam Keltończykom, bez urazy, Ahern, i znam ich skłonność do snucia intryg, lecz w głębi duszy są Midlandczykami. Mają ciągoty do przywłaszczania sobie najmniejszego skrawka spornej ziemi i twierdzenia, że należy do Keltonu, ale to midlandzki lud. Duchy wiedzą, że ja i Cyrilla też się sprzeczałyśmy, a jednak w razie kłopotów zawsze trzymaliśmy się razem. To samo dotyczy naszych krain. Kiedy tego lata D'Hara zaatakowała, to pomimo zadrażnień walczyliśmy

wspólnie w obronie Keltonu. Pójdą z nami, jeżeli w grę wchodzi przyszłość Midlandów. Midlandy znaczą więcej niż to, co ma do powiedzenia nowy władca. - Harold porwał łyżkę i wymierzył ją w Aherna. - Co masz do powiedzenia na ten temat?

- Raczej nic. - Ahern wzruszył ramionami. Zedd patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby się kłócić. Mamy stoczyć wojnę. Mów to, co sądzisz, Ahernie. Jesteś Keltończykiem i wiesz o tym więcej niż my.

Ahern podrapał się po ogorzałej od wiatru twarzy i zastanowił nad słowami Zedda.

- Generał Baldwin, dowódca armii keltońskiej, oraz jego generałowie: Bradford, Cutter i Emerson, pójdą za władcą. Nie wiem, jak postąpią żołnierze, jestem w końcu tylko woźnicą. Bywam jednak w wielu miejscach i mnóstwo słyszę, a to właśnie zawsze o nich mówią. Ludzie żartują, że gdyby królowa wyrzuciła przez okno koronę, a ta zaczepiłaby się o jelenie poroże, to w ciągu miesiąca cała armia jadłaby trawę.

-I na podstawie tego, co zasłyszałeś, naprawdę wierzysz, że ta księżna po zostaniu królową stanęłaby po stronie Imperialnego Ładu, by mieć jego poparcie, choćby miało to oznaczać rozłam Midlandów? - zapytał Zedd.

- To tylko moje zdanie, zrozum. - Ahern wzruszył ramionami. - Lecz sądzę, że tak właśnie by się stało.

Kahlan wyłowiła łyżką kawałek słodkiego korzenia i nie podnosząc oczu, powiedziała:

- Ahern ma rację. Znam Cathryn Lumholtz i jej męża, księcia. Zostanie królową, a choćby i słuchała rad małżonka, sama i tak myśli podobnie. Uważam, że gdyby królem został książę Fyren, bez względu na wszystko stanąłby po naszej stronie, lecz ktoś z Imperialnego Ładu skaptował go i Fyren nas zdradził. Jestem przekonana, że Imperialny Ład złoży podobną ofertę również Cathryn Lumholtz. A ona dostrzeże w tym władzę.

Harold sięgnął po kolejną porcję chleba.

- Jeżeli Ahern ma rację i ona tak robi, to stracimy Kelton. A jeżeli stracimy Kelton, to mamy pierwsze wiodące do ruiny pęknięcie.

- To by nie było dobrze - wtrąciła Adie. - W Nikobarezji jest zamieszanie, Galea osłabła po utracie wojsk, które broniły Ebinissii, Kelton skłania się ku Imperialnemu Ładowi, a za nim pójdą handlujące z nim krainy.

-I są jeszcze inni, którzy...

- Wystarczy. - Spokojny, władczy głos Kahlan sprawił, że przy stole zapadła cisza. Dziewczyna przypomniała sobie, co Richard mówił zawsze, gdy mieli za dużo kłopotów: myśl o rozwiązaniu, nie o problemie. Jeżeli myślisz tylko o tym, dlaczego możesz przegrać, to nie potrafisz już myśleć o tym, jak mógłbyś wygrać. - Przestańcie mi wyliczać, dlaczego nie możemy znów połączyć Midlandów i dlaczego nie możemy zwyciężyć. Dobrze wiemy, że mamy kłopoty. Musimy porozmawiać o tym, jak wygrać.

Zedd uśmiechnął się nad łyżką.

- Dobrze powiedziane, Matko Spowiedniczko. Uważam, że potrzebne są nam jakieś pomysły. Po pierwsze, jest całe mnóstwo małych krain, które bez względu na wszystko pozostaną wierne Midlandom. Powinniśmy zgromadzić ich przedstawicieli w Ebinissii i zacząć odtwarzać Naczelną Radę.

- Słusznie - stwierdziła Kahlan. - Może nie są tak potężne jak Kelton, ale liczba też ma znaczenie.

Dziewczyna rozchyliła pelerynę. Trzaskający ogień odrobinę nagrzał izbę, a ciepła strawa rozgrzewała żołądek, lecz to zmartwienia sprawiały, że biły na nią poty. Nie mogła się doczekać Richarda: on na pewno coś wymyśli. Richard nigdy nie pozwalał, żeby o wszystkim decydował przypadek. Spoglądała na pozostałych, którzy pochylali się nad miseczkami z fasolą i z marsem na twarzach obmyślali swoje możliwości.

- Hmm - powiedziała Adie, odkładając łyżkę - na pewno moglibyśmy przekonać kilka czarodziejek z Nikobarezji, żeby się do nas przyłączyły. Byłyby potężnymi sprzymierzeńcami. Choć niektóre nie będą się bić, bo jest to wbrew ich przekonaniom, z pewnością pomogłyby nam na inne sposoby. Żadna nie chce, by Midlandy padły łupem bractwa lub ich sojuszników, Imperialnego Ładu. Większość pamięta groźbę przeszłych czasów i nie chce, żeby się to powtórzyło.

- Dobrze - stwierdziła Kahlan. - To znakomicie. Jak myślisz, czy mogłabyś się tam udać i przekonać je, żeby się do nas przyłączyły, a może nawet przeciągnąć na naszą stronę trochę oddziałów regularnej armii? W końcu wojna domowa jest częścią większej wojny i nie ustanie, jeśli przynajmniej niektórzy nie zechcą pomóc Midlandom.

Białe oczy Adie wpatrywały się przez chwilę w Kahlan.

- To tak ważna sprawa, że spróbuję, oczywiście, że spróbuję. Kahlan skinęła głową.

- Dziękuję, Adie. - Spojrzała na pozostałych. - Co jeszcze? Jakies pomysły? Harold wsparł łokieć o stół i zamyślił się. Machnął łyżką.

- Chyba wyślę kilku oficerów jako oficjalną delegację do niektórych mniejszych krain, żeby je skłonili do wyprawienia przedstawicieli do Ebinissii. Większość wysoko ceni Galeę i wie, że Midlandy chroniły ich wolność. Przyjdą nam z pomocą.

- A może - wtrącił z szelmowskim uśmiechem Zedd-gdybym tak odwiedził tę królową Lumholtz, rozumie się jako Pierwszy Czarodziej, to mógłbym ją przekonać, że Midlandy wcale nie są takie słabe.

Kahlan znała Cathryn Lumholtz, lecz nie chciała studzić zapału Zedda. W końcu to ona powiedziała, że winni myśleć o rozwiązaniach, a nie o problemach.

Dziewczynę przeraziła myśl, że jest Matką Spowiedniczką, która zgubiła Midlandy.

Po kolacji książę Harold i kapitan Ryan udali się do żołnierzy. Ahern narzucił na szerokie bary kurtę i oznajmił, że musi sprawdzić, co z końmi.

Gdy wszyscy trzej wyszli, Zedd złapał za ramię Jebra, która pomagała Kahlan zbierać naczynia ze stołu.

- Może zechcesz mi teraz powiedzieć, co widzisz za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz?

Jebra odwróciła błękitne oczy i wzięła ze stołu kolejną łyżkę.

- Nic takiego.

- Sam chciałbym to osądzić, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Zatrzymała się i wreszcie nań spojrzała.

- Skrzydła.

- Skrzydła? - zdumiał się Zedd. Potaknęła.

- Widzę cię ze skrzydłami. No i co? Sam rozumiesz, że to bez sensu. To wizja, która nic nie znaczy. Mówiłam ci, że czasami miewam i takie.

- Tylko tyle? Po prostu skrzydła?

Jebra zmierzwiła swoje krótkie, jasne włosy.

- Jesteś w powietrzu, z tymi skrzydłami, i spadasz w wielką kulę ognia. - Delikatne zmarszczki w kącikach oczu Jebra pogłębiły się. - Nie wiem, co to oznacza, czarodzieju Zoranderze. To nie jest wydarzenie - wiesz, jak czasem

działają moje wizje - a przeczucie wydarzeń. Nie mam pojęcia, co oznaczają. Są takie splątane.

- Dziękuję, Jebro. - Zedd puścił jej ramię. - Powiesz mi, gdy jeszcze coś zobaczysz? - Przytaknęła. - Ale powiedz mi od razu. Potrzebna jest nam każda pomoc.

Wbiła wzrok w podłogę i znów skinęła głową na znak, że się zgadza. Potem przechyliła głowę ku Kahlan.

- Koła. Widzę, jak Matka Spowiedniczka chodzi w kółko.

- Koła? - spytała Kahlan, podchodząc bliżej. - Dlaczego chodzę w kółko?

- Nie umiem powiedzieć.

- Cóż, właśnie teraz mam takie wrażenie, jakbym się kręciła w kółko, próbując znaleźć sposób na ponowne zjednoczenie Midlandów.

- Może i o to chodzi. - Jebra z nadzieją podniosła wzrok.

- Może i tak. - Kahlan uśmiechnęła się do niej. - Twoje wizje nie zawsze dotyczą nieszczęść.

Już mieli wrócić do sprzątanania stołu, kiedy Jebra raz jeszcze się odezwała.

- Matko Spowiedniczko, nie wolno nam zostawiać przy twojej siostrze żadnego sznura.

- Co masz na myśli? Jebra głośno odetchnęła.

- Śni, że się powiesi.

- Masz wizję, że Cyrilla się wieszka?

Jebra z niepokojem dotknęła ramienia Kahlan.

- Och nie, Matko Spowiedniczko, nie widziałam tego. Po prostu dostrzegam aurę i widzę, że śni o uczynieniu tego. To wcale nie znaczy, że to zrobi, a jedynie że musimy jej pilnować, by nie miała do tego okazji, nim odzyska zmysły.

- To brzmi jak mądra rada - oznajmił Zedd. Jebra zawinęła w płótno resztę chleba.

- Będę tej nocy spać przy niej.

- Dziękuję. To może ja dokończę porządki, a ty się połóż, na wypadek gdyby się przebudziła - powiedziała Kahlan.

Jebra zabrała śpiwór do izby Cyrilli, natomiast Zedd, Adie i Kahlan podzielili się pracą. Kiedy skończyli, Zedd ustawił przy ogniu krzesło dla Adie. Kahlan splótła palce i stała, patrząc w płomień.

- Zeddzie, jeśli wysyłamy posłańców do mniejszych krain z prośbą, żeby

się do nas dołączyły i wysłały swoich przedstawicieli do rady w Ebinissii, to chyba łatwiej byłoby nam je przekonać, gdyby byli oficjalnymi posłańcami Matki Spowiedniczki.

- Wszyscy sądzą, że Matka Spowiedniczką nie żyje. - Zedd w końcu przerwał milczenie. - Jeżeli zawiadomimy, że wciąż żyjesz, to staniesz się celem i ściągniesz na nas Imperialny Ład, zanim zdążymy zebrać odpowiednie siły.

Kahlan odwróciła się i złapała go za szatę.

- Mam już dość bycia martwą, Zeddzie. Czarodziej poklepał dłoń zaciśniętą na jego ramieniu. - Jesteś królową Gałei i na razie możesz działać tylko w tym charakterze. Gdyby Imperialny Ład dowiedział się, że żyjesz, to mielibyśmy tyle kłopotów, że nie poradziłibyśmy sobie z nimi.

- Skoro zamierzamy zjednoczyć Midlandy, to Matka Spowiedniczką jest potrzebna.

- Wiem, Kahlan, że nie zrobiłabyś niczego, co naraziłoby na niebezpieczeństwo życie tych żołnierzy. Dopiero co wygrali ciężką bitwę i nie odzyskali jeszcze sił. Musimy skupić wokół siebie więcej sprzymierzeńców. Jeśli ktokolwiek się dowie, że jesteś Matką Spowiedniczką, staniesz się obiektem ataków wroga i oni będą musieli walczyć w twojej obronie. Jeżeli już musisz walczyć, to niech to będzie walka ze słusznych powodów. Nie potrzeba nam więcej kłopotów, niż już mamy.

Kahlan zetknęła czubki palców obu dłoni i zapatrzyła się w ogień.

- Jestem Matką Spowiedniczką, Zeddzie. Przeraza mnie myśl, że będę Matką Spowiedniczką, która patronuje rozpadowi Midlandów. Urodziłam się Spowiedniczką. To coś więcej niż moja praca. To po prostu ja.

Zedd otoczył ramieniem jej barki.

- Wciąż jesteś Matką Spowiedniczką, kochanie. To dlatego musimy na razie ukrywać twoją tożsamość. Potrzebujemy Matki Spowiedniczki. Kiedy nadejdzie czas, znów będziesz władać Midlandami, i to silniejszymi niż kiedykolwiek. Uzbrój się w cierpliwość.

- Cierpliwość - mruknęła.

- A wiesz, że i w cierpliwości jest magia. - Zedd się uśmiechnął.

- Zedd ma rację - odezwała się ze swojego krzesła Adie. - Wilk nie przeżyłby, gdyby ogłosił stada, że jest wilkiem. Snuje plany ataku i dopiero w ostatniej chwili daje się poznać ofiarom, mówiąc: to ja, wilk, na was

napadam.

Kahlan rozmasowała ramiona. Było coś jeszcze, był jeszcze inny powód.

- Zeddzie, nie mogę już znieść tego czaru - szepnęła pełnym udręki głosem. - Odbiera mi rozum. Wciąż go czuję. Czuję, jakby wszędzie towarzyszyła mi śmierć wczepiona w moje ciało.

Czarodziej przytulił głowę dziewczyny do swojego ramienia.

- Moja córka powtarzała to samo. Powtarzała dokładnie te same słowa: "Jakby wszędzie towarzyszyła mi śmierć wczepiona w moje ciało".

- Jak ona to znosiła przez te wszystkie lata? Zedd westchnął.

- Kiedy Rahl Posępny ją zgwałcił, zrozumiałem, że nie zostawi jej w spokoju, jeśli będzie wiedział, że żyje. Nie było wyboru. Bardziej zależało mi na tym, by ją ochronić, niż na tym, by dopaść Rahla. Zabrałem ją do Midlandów, gdzie urodził się Richard, a wtedy miała już kolejny powód, żeby się ukrywać. Musiała się pogodzić z tym czarem, bo gdyby Rahl Posępny się dowiedział, to chciałby dopaść i Richarda.

- Przez wszystkie te lata. - Kahlan się wzdrygnęła. - Nie miałabym tyle sił. Jak ona mogła to wytrzymać?

- Cóż, po pierwsze, nie miała wyjścia, a po drugie, z czasem, jak mówiła, trochę się do tego przyzwyczaiła i już nie było tak źle jak na początku. To wrażenie z czasem odrobinę słabnie. I ty się przyzwyczaisz, a poza tym na szczęście nie będziesz musiała tego znosić aż tak długo.

- Mam nadzieję - szepnęła Kahlan.

Na chudej twarzy Zedda zatańczył blask ognia.

- Mówiła też, że obecność Richarda czyni brzemię lżejszym. Serce Kahlan zabiło mocniej na dźwięk tego imienia. Uśmiechnęła się.

- To by na pewno pomogło. - Złapała ramię Zedda. - On wkrótce tu będzie. Nie pozwoli, żeby coś go zatrzymało. Będzie tu najdalej za kilka tygodni. O drogie duchy, jak ja wytrzymam tak długo?

Zedd zachichotał.

- Masz równie mało cierpliwości jak ten chłopak. Jesteście dla siebie stworzeni. - Pogładził jej włosy. - Już ci lepiej patrzy z oczu, kochanie.

- A jak już Richard z nami będzie i zaczniemy ponownie łączyć Midlandy, to będziesz mógł ze mnie zdjąć ten czar. I Midlandy znowu będą miały Matkę Spowiedniczkę. Mimo wszystko nie dojdzie do tego tak szybko, jak bym chciała. - Kahlan zmarszczyła brwi. - Jeśli udasz się do królowej

Cathryn, Zeddzie, a ja będę się musiała pozbyć tego czaru, to jak mam to zrobić?

Czarodziej spojrzał w płomienie.

- Nie będziesz mogła. Jeżeli ogłosisz, że jesteś Matką Spowiedniczka, to ci nie uwierzą, tak jak nie uwierzyliby Jebrze, gdyby to powiedziała. Czar nie ustąpi, jeżeli tylko powiesz, kim jesteś.

- No to jak się mam go pozbyć? Zedd westchnął.

- Tylko ja mogę to zrobić.

Kahlan poczuła nagłe ukłucie strachu. Nie chciała tego powiedzieć głośno, lecz pomyślała, że gdyby Zeddowi się coś przytrafiło, ona zostałaby w pułapce czaru.

- Przecież na pewno musi istnieć inny sposób pozwalający usunąć czar. Może Richard?

Czarodziej potrząsnął głową.

- Nawet gdyby Richard potrafił być czarodziejem, i tak nie mógłby rozplatać sieci. Tylko ja mogę to zrobić.

- I to jedyny sposób?

- Tak. - Spojrzał jej w oczy. - Chyba że inna osoba, która ma dar, domyśli się, kim jesteś. Jeżeli taki człowiek cię zobaczy, zrozumie, kim jesteś, i głośno to wypowie, złamie czar i wszyscy na powrót cię rozpoznają.

Na to nie było najmniejszej szansy. Kahlan czuła, jak rozwiewają się jej nadzieje. Przykucnęła i wrzuciła do ognia kawałek drewna. Tylko Zedd mógł zdjąć z niej czar śmierci, a on nie uczyni tego dopóty, dopóki nie uzna tego za stosowne. Jako Matka Spowiedniczka nie mogła nakazać czarodziejowi zrobienia czegoś, co - jak oboje wiedzieli - byłoby błędem.

Kahlan obserwowała unoszące się w powietrze iskierki. Pojaśniała. Wkrótce będzie przy niej Richard, a wtedy nie będzie już tak źle. Kiedy będzie przy niej, zapomni o czarze. Będzie zbyt zajęta całowaniem ukochanego, żeby zwracać sobie głowę jakimś tam czarem.

- Co cię tak rozbawiło? - zaciekawiał się Zedd.

- Słucham? Ach, nic takiego. - Wstała i otarła dłonie o spodnie. - Lepiej pójdę zobaczyć, co słychać u żołnierzy. Może chłodne powietrze wywieje mi ten czar z głowy.

Zimne powietrze było wspaniałe. Kahlan stanęła przed małym domkiem i odetchnęła głęboko. Dym ze spalanego drewna pięknie pachniał.

Przypomniła sobie kilka poprzednich dni, lodowate stopy i dłonie, uszy kąsane mrozem, ciekący nos, marzenia na jawie o zapachu dymu, bo dym oznaczał ciepło ognia.

Kahlan ruszyła przez placyk przed domkiem. Patrzyła na gwiazdy, a para jej oddechu płynęła z wolna w nieruchomym powietrzu. Widziała punkciki ognisk w dolinie i słyszała szmer rozmów siedzących dokoła nich żołnierzy. Cieszyła się, że i oni grzeją się tej nocy przy ogniskach. Wkrótce dotrą do Ebinissii i przestaną marznąć.

Głęboko zaczerpnęła zimnego powietrza, starając się zapomnieć o czarze. Całe niebo było usiane gwiazdami niby iskierkami jakiegoś olbrzymiego ogniska. Zastanawiała się, co też Richard teraz porabia, czy jedzie ku niej, czy też może śpi. Tęskniła za tym, żeby go wreszcie zobaczyć, a jednocześnie chciała, żeby nie zarywał nocy. Kiedy w końcu tutaj dotrze, będzie mogła spać w jego ramionach. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Kahlan zmarszczyła brwi, bo niespodziewanie zgasła cała połać gwiazd. I natychmiast znów zapłonęły. Naprawdę na moment zgasły? Może mi się tylko zdawało, pomyślała.

Usłyszała głuchy odgłos, zupełnie jakby coś uderzyło o ziemię. Nie ogłoszono żadnego alarmu. Tylko jedno mogło się przedostać przez pierścień obrońców, nie podnosząc alarmu. Kahlan przeszył nagły dreszcz. Tym razem jednak nie wiązał się on z czarem śmierci.

Wyszarpnęła nóż.

ROZDZIAŁ 34

Dziewczyna zobaczyła pałające zielone ślepia. W słabej poświacie zimowego księżyca i gwiazd dojrzała idące ku niej wielkie cielsko. Chciała krzyknąć, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa.

Bestia skurczyła wargi, ukazując potężne kły w całej krasie. Kahlan chwiejnie cofnęła się o krok. Tak mocno ścisnęła nóż, że aż bolały ją palce. Jeżeli będzie dostatecznie szybka i nie wpadnie w panikę, to może się jej uda. Czy gdyby krzyknęła, to Zedd by ją usłyszał? Czy ktokolwiek by ją usłyszał? Jeśli nawet, to i tak byli za daleko. Nie dobiegliby na czas.

W skąpym świetle zorientowała się, że to chimera krótkoogoniasta. To musiała być chimera krótkoogoniasta. Ten gatunek był sprytniejszy, większy i niebezpieczniejszy. O dobre duchy, czemuż nie mogła to być chimera długoogoniasta?

Kahlan zobaczyła, jak stwór podnosi coś z potężnej piersi. Czemuż tam tak stał? Gdzie jego gończe muchy? Spojrzał na coś, potem na nią i znów na coś. Ślepia jarzyły się groźnie zielenią. Jeszcze bardziej skurczył wargi, zagulgotał, a para oddechu poszybowała w powietrzu.

Kahlan otworzyła szeroko oczy. Czyżby...?

- Gratch?

Chimera zaczęła nagle podskakiwać, porykując z ekscytacji i łopocząc skrzydłami.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Wsunęła nóż do pochwy i podeszła do olbrzymiej bestii, ale wciąż była ostrożna.

- Gratch? Czy to ty, Gratch?

Chimera energicznie potaknęła olbrzymim, groteskowym łbem.

- Grrrrratch! - stwór zaryczał basowo głosem, od którego Kahlan zawibrowały kości. Uderzył się łapami w pierś. - Grrrrratch!

- Richard cię przysłał, Gratch?

Na dźwięk tego imienia chłopaka stwór jeszcze energiczniej załopotał skrzydłami. Dziewczyna znowu nieco się zbliżyła.

- Richard cię przysłał?

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg.

Kahlan zamrugała. Chłopak opowiadał jej, że Gratch próbuje mówić.

Nagle zaśmiała się.

- Kahlan też kocha Richarda. - Klepnęła się w pierś. - Jestem Kahlan, Gratch. Tak się cieszę, że cię wreszcie spotkałam.

Zachłysnęła się powietrzem, bo stwór nachylił się zniechęca, porwał ją w pokryte futrem ramiona i bez wysiłku podniósł. W pierwszej chwili pomyślała, że na pewno ją zmiażdży, lecz zaskakująco ostrożnie przytulił dziewczynę do swojej gładkiej piersi. Kahlan najszerzej jak mogła rozłożyła ramiona i też objęła chimere. Jej ręce nawet w połowie nie otoczyły zwierzęcia.

Dziewczynie nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby coś takiego uczynić, teraz jednak była wzruszona do łez, ponieważ Gratch był przyjacielem Richarda i Richard go do niej wysłał. To było jak przysłany przez niego uścisk.

Chimera ostrożnie postawiła Kahlan na ziemi. Przyglądała się jej płonącymi zielonymi ślepiami. Dziewczyna pogładziła futro po bokach piersi stwora, a on czule pogłaskał jej włosy śmiertelnie groźną łapą. Kahlan uśmiechnęła się do pomarszczonego, zębatego oblicza. Gratch zagruchał. Powoli, z zadowoleniem machał skrzydłami, głaskał włosy Kahlan, a ona gładziła jego futro.

- Jesteś wśród nas bezpieczny, Gratch. Richard mi o tobie opowiadał. Nie wiem, ile rozumiesz, lecz wiedz, że jesteś wśród przyjaciół.

Znów skurczył wargi, odsłaniając kły, i Kahlan uświadomiła sobie nagle, że to uśmiech. Najpaskudniejszy uśmiech, jaki widziała w życiu, ale tak niewinny, że i ona się uśmiechnęła. Nigdy nie pomyślałaby, że chimera potrafi się uśmiechać. To było naprawdę zaskakujące.

- Richard cię przysłał, Gratch?

- Raaa chaaarg. - Gratch uderzył się w pierś, po czym tak potężnie załopotał skrzydłami, że leciutko uniósł się w powietrze. W końcu klepnął Kahlan w ramię.

Dziewczyna rozdziawiła usta. Gratch coś do niej mówił, a ona zrozumiała.

- Richard cię wysłał, żebyś mnie odnalazł?

Gratch oszalał z radości, że zrozumiała. Raz jeszcze porwał ją w ramiona. Roześmiała się zachwycona owym zaskakującym, cudownym wydarzeniem.

- Trudno było mnie znaleźć? - spytała, kiedy postawił ją na ziemi.

Zakwilił i wzruszył ramionami.

- Tylko odrobinę?

Gratch potaknął. Kahlan znała wiele języków, ale nie mogła się powstrzymać od śmiechu na myśl, że oto rozmawia z chimerą. Z zadziwieniem potrząsnęła głową. Któż poza Richardem mógłby pomyśleć o tym, by zaprzyjaźnić się z chimerą? Wzięła w dłoń potężną łapę.

- Chodź do domu. Chcę, żebyś się tam z kimś spotkał. Gratch zagulgotał na zgodę.

Kahlan zatrzymała się w drzwiach. Zedd i Adie spojrzeli ku niej z ustawionych przy ogniu krzesel.

- Chciałabym wam przedstawić przyjaciela - powiedziała dziewczyna, wciągając do środka Gratcha za łapę.

Chimera pochyliła się w progu i zwinęła skrzydła, żeby się zmieścić, w izbie jednak wyprostowała się niemal na całą wysokość, choć musiała się trochę zgarbić, by nie przebić głową sufitu.

Zedd poleciał do tyłu z krzesłem, jego chude ramiona i nogi młóciły powietrze.

- Przestań, Zeddzie, bo go wystraszysz - skarciła Kahlan czarodzieja.

- Wystraszę go! - wychrypiął Zedd. - A podobno Richard mówił ci, że to małe chimerzátko! To już prawie w pełni wyrosło!

Gratch ściągnął krzaczaste brwi i obserwował, jak czarodziej podnosi się z podłogi i wygląda skłębione szaty.

- Ib dziadek Richarda, Zedd, Gratch - przedstawiła go Kahlan.

Skórzaste wargi znów się skurczyły, ukazując kły. Gratch wyciągnął łapę i ruszył przez izbę. Zedd drgnął i cofnął się chwiejnie.

- Dlaczego on to robi? Jadł już kolację?

Kahlan tak się śmiała, że z trudem zdołała wykrztusić:

- On się uśmiecha. Lubi cię. Chce cię uściskać.

- Uściskać! Z całą pewnością nie!

Ale było już za późno. Gratch przebył małą izdebkę w trzech zaledwie krokach i porwał czarodzieja w objęcia. Zedd wydał stłumiony okrzyk. Gratch zachichotał i uniósł go w powietrze.

- Kurczę. - Czarodziej bez powodzenia usiłował uniknąć oddechu Gratcha. - Ten latający dywan już jadł! I na pewno nie chciałabyś wiedzieć co!

Gratch w końcu postawił go na podłodze. Zedd cofnął się o kilka kroków i pogroził chimerze palcem.

- Żeby mi się to już nie powtórzyło. Trzymaj łapy przy sobie! Gratch skulił się i zakwilił.

- Zeddzie! - Kahlan napomniała czarodzieja. - Ranisz jego uczucia. Jest przyjacielem Richarda i naszym też, i niemało doświadczył, starając się nas odnaleźć. Przynajmniej mógłbyś się postarać być dla niego miły. Zedd chrząknął teatralnie.

- Cóż... może i masz rację. - Zerknął na pełnego nadziei Gratcha. - Przepraszam, Gratch. Myślę, że od czasu do czasu możesz mnie uściskać.

Zanim czarodziej zdążył unieść kościste ramiona, by spróbować powstrzymać chimere, ponownie znalazł się w jej objęciach. Gratch tulił go jak lalkę, a nogi Zedda wymachiwały w powietrzu. Ostatecznie chimera postawiła łapiącego z trudem oddech czarodzieja na podłodze.

Adie wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Ja jestem Adie, Gratch. Miło mi cię poznać.

Gratch zignorował dłoń i porwał Adie w objęcia. Kahlan często widziała, jak Adie się uśmiecha, bardzo rzadko jednak słyszała jej chrypliwy śmiech. Teraz Adie się śmiała. A wraz z nią wibrującym basowym głosem śmiał się Gratch.

Kiedy wreszcie w izbie zapanował spokój i wszyscy złapali oddech, Kahlan dostrzegła w uchylonych drzwiach sypialni Jebre, która patrzyła na nich wielkimi oczami.

- Wszystko w porządku, Jebro. Tb jest Gratch, nasz przyjaciel. - Kahlan złapała Gratcha za ramię. - Potem ją uściskasz.

Chimera wzruszyła ramionami i kiwnęła łbem. Kahlan obróciła Gratcha ku sobie i ujęła w dłonie jego łapę. Spojrzała w pałające zielone ślepie.

- Czy Richard wysłał cię przodem, Gratch, by nas zawiadomić, że wkrótce tu będzie? - Gratch potrząsnął głową, a Kahlan przełknęła ślinę. - Ale jest w drodze? Opuścił Aydindril i jedzie ku nam?

Gratch badawczo patrzył w jej twarz. Uniósł drugą łapę i pogładził włosy dziewczyny. Kahlan spostrzegła, że chimera ma na szyi rzemień z puklem jej włosów i zębem smoczycy. Gratch raz jeszcze z wolna potrząsnął głową.

Kahlan poczuła, jak jej serce przytłacza wielki ciężar.

- Nie wyruszył? Ale wysłał cię do mnie?

Gratch skinął potakująco głową i poruszył lekko skrzydłami.

- Dlaczego? Wiesz dlaczego?

Gratch znów potaknął. Sięgnął przez ramię i złapał coś, co wisiało mu na plecach na innym rzemieniu. Cofnął łapę z długim czerwonym przedmiotem, po czym podsunął go Kahlan.

- Co to jest? - spytał Zedd. Kahlan zaczęła rozwiązywać węzeł.

- Pojemnik na dokumenty. Może jest tam list od Richarda. Gratch, słysząc to, potwierdził ruchem głowy. Dziewczyna rozwiązała wreszcie węzeł i poprosiła chimere, by usiadła.

Gratch z zadowoleniem przysiadł z boku, a Kahlan wyjęła z pojemnika zrolowany, spłaszczony nieco list.

Zedd usiadł obok Adie przy ogniu.

- No to posłuchajmy wyjaśnień chłopaka i lepiej niech będą dobre, bo inaczej napyta sobie biedy.

- Zgadzam się z tobą co do tego - rzuciła cicho Kahlan. - Jest tu tyle wosku, że starczyłoby na dwa tuziny listów. Musimy nauczyć Richarda, jak się pieczętuje dokumenty. Obróciła list ku światłu. - Tb miecz. Przycisnął do wosku rękojeść Miecza Prawdy.

- Żebyśmy wiedzieli, iż to naprawdę od niego - zauważył Zedd, dorzucając do ognia kawałek drewna.

Kahlan przełamała w końcu olbrzymią pieczęć i rozwinęła list. Odwróciła się plecami do ognia, by móc czytać.

- "Moja najdroższa królowo, błagam dobre duchy, żeby ten list dotarł do twoich rąk..."

- To wiadomość. - Zedd skoczył na równe nogi.

- Pewno, że tak. - Kahlan spojrzała nań chmurnie. - To list od niego.

- Nie, nie. - Czarodziej machnął chudą ręką. - Mam na myśli to, że on nam coś przekazuje. Znam Richarda i jego sposoby rozumowania. Mówi nam, że boi się, iż gdyby ten list wpadł w czyjeś ręce, to mógłby nas zdradzić... lub jego, więc ostrzega, że nie może napisać wszystkiego, co by chciał.

Kahlan przygryzła dolną wargę.

- Tak, to całkiem możliwe. Richard zwykle dobrze się nad wszystkim zastanawia.

Zedd obejrzał się i sprawdził, czyjego kościste siedzenie trafi na krzesło,

a potem dał jej znak.

- Czytaj dalej.

- "Moja najdroższa królowo, błagam dobre duchy, żeby ten list dotarł do twoich rąk i żebyście wówczas ty i twoi przyjaciele również byli bezpieczni. Wiele się wydarzyło i muszę cię błagać o zrozumienie. Przymierze Midlandów dobiegło końca. Magda Searus, pierwsza Matka Spowiedniczka, i jej czarodziej, Merritt, patrzą na mnie gniewnie z kopuły, ponieważ byli tego świadkami i ponieważ to ja ogłosiłem koniec owego przymierza. Wiedz, że w pełni pojmuję wagę patrzących na mnie z góry tysięcy lat historii, lecz spróbuj, proszę, zrozumieć, iż gdybym tak nie postąpił, to naszą jedyną przyszłością byłaby niewola pod rządami Imperialnego Ładu, a wówczas cała ta historia zostałaby zapomniana..."

Kahlan przycisnęła dłoń do łomoczącego serca i przestała czytać, żeby chciwie zaczerpnąć oddechu. Po chwili podjęła:

- "Wiele miesięcy temu Imperialny Ład zaczął kruszyć przymierze, przeciągając na swoją stronę niektórych i naruszając tym jedność Midlandów. My walczyliśmy z Opiekunem, a oni w tym czasie starali się zniszczyć bezpieczeństwo naszego domu. Może mielibyśmy szansę, by ponownie odbudować jedność, gdybyśmy dysponowali potrzebnym do tego czasem, ale Imperialny Ład przyspiesza działania i nie daje nam go. Wobec śmierci Matki Spowiedniczki musiałem uczynić to, co konieczne, żeby wykuć niezbędną jedność".

- Co? Co on zrobił? - wychrypiał Zedd.

Kahlan uciszyła czarodzieja gniewnym spojrzeniem rzuconym sponad drżącego w jej palcach listu i czytała dalej:

- "Zwłoka to słabość, a słabość to śmierć z rąk Imperialnego Ładu. Nasza ukochana Matka Spowiedniczka знаła cenę niepowodzenia i rozkazała nam odnieść zwycięstwo w tej wojnie. Zadecydowała, że nie będzie w niej litości dla Imperialnego Ładu. W tym objawiła się jej nieomylna mądrość. Jednakże dbałość o własną korzyść podminowała przymierze. Był to pierwszy krok ku jego rozpadowi. Zostałem zmuszony do działania. Moje wojska zajęły AydindriT.

- Kurde! Kurde! Kurde! - Zedd nie wytrzymał. - O czym on mówi?! Nie ma żadnych wojsk. Ma jedynie swój miecz i ten tu latający zębaty dywan!

Gratch podniósł się z groźnym pomrukiem. Zedd się wzdrygnął.

- Uspokójcie się obaj - nakazała przez łzy Kahlan. Zedd spojrział na nią, a potem na chimerę.

- Przepraszam, Gratch, nie chciałem cię urazić. Oboje usiedli i dziewczyna znowu zaczęła czytać:

- “Dzisiaj zgromadziłem obecnych w Aydindril przedstawicieli krain i poinformowałem ich, że rozwiązuję konfederację Midlandów. Moje oddziały otoczyły ich pałace i wkrótce rozbroją ich żołnierzy. Powiedziałem im, jak mówię tobie, że w tej wojnie są tylko dwie strony: nasza i Imperialnego Ładu. Nie będzie stojących z boku. W ten czy inny sposób uzyskamy jedność. Wszystkie krainy Midlandów muszą się poddać D’Harze”.

- D’Harze! O kurczę!

Kahlan nie podniosła oczu. Twarz miała zalaną łzami.

- Jeżeli jeszcze raz będę cię musiała uciszyć, to poczekaś za drzwiami, aż przeczytam ten list.

Adie chwyciła Zedda za szatę i zmusiła, żeby usiadł.

- Czytaj - powiedziała. Kahlan odkaszlnęła.

- “Wyjaśniłem przedstawicielom krain, że ty, królowa Galei, wychodzisz za mnie za mąż. Nasz związek i twoje poddanie się wykazują, że to unia stworzona pokojowo i oparta na wzajemnym szacunku oraz wspólnocie celów, a nie z chęci podboju. Krainy zachowają swoje dziedzictwo i prawa zwyczajowe, ale nie będą suwerenne. Będą chronione wszelkie rodzaje magii. Staniemy się jednym ludem, który będzie miał jedną armię, pod jednym przywództwem, i jedno prawo. Wszystkie krainy, które poddając się, przyłączą się do nas, będą mogły uczestniczyć w tworzeniu owego wspólnego prawa”.

Kahlan załamał się głoś.

- “Muszę cię prosić, żebyś natychmiast wróciła do Aydindril i poddała Galeę. Mam do czynienia ze sprawami wielu krain i twoja wiedza oraz pomoc będą tu nieocenione. Poinformowałem przedstawicieli krain, że poddanie się jest obowiązkowe. Że nie będzie żadnej protekcji, żadnych wyjątków. Każdy, kto się nie podda, zostanie oblężony. Nie będzie mógł z nami handlować, dopóki się nie podda. Jeżeli krainy nie poddadzą się z własnej woli, co wiąże się z odpowiednimi korzyściami, i będziemy zmuszeni przyłączyć je siłą, to nie tylko stracą korzyści płynące z dobrowolnego poddania się, ale jeszcze nałożymy na nich sankcje. Jak

powiedziałem, nie będzie biernych widzów. Stworzymy jedność. Oddałbym za ciebie życie, moja królowo, i ponad wszystko pragnę zostać twoim mężem, lecz jeśli moje działania sprawią, iż twoje serce odwróci się ode mnie, nie będę cię zmuszał do małżeństwa. Zrozum, proszę, że poddanie twojej krainy jest konieczne i niezbędne. Musimy żyć według jednego prawa. Nie mogę sobie pozwolić na okazywanie względów którejkolwiek krainie, bo przegramy bój, zanim go zaczniemy.

Kahlan musiała przerwać czytanie i stłumić szloch. Lzy sprawiały, że ledwo widziała słowa listu.

- "Mriswithy zaatakowały miasto". - Zedd gwizdnął przez zęby, lecz dziewczyna nie zwróciła na to uwagi i czytała dalej: - "Z pomocą Gratcha nabiłem ich szczątki na pałę i ustawiłem przed Pałacem Spowiedniczek, żeby wszyscy widzieli, co czeka naszych wrogów. Mriswithy mogą być niewidoczne, jeżeli chcą. Kiedy otulą się pelerynami, wyłącznie Gratch i ja możemy wykryć ich obecność. Boję się, że zaatakują i ciebie, więc wysłałem Gratcha, by cię chronił. Nade wszystko powinniśmy pamiętać o jednym: Imperialny Ład chce zniszczyć całą magię. Mimo to chętnie z niej korzysta. To naszą magię chce zniszczyć. Powiedz, proszę, mojemu dziadkowi, że i on powinien natychmiast wracać. Dom jego przodków jest zagrożony. To dlatego musiałem zająć Aydindril i nie mogę stąd wyjechać. Nie mogę dopuścić, żeby wróg zajął dom przodków mojego dziadka, gdyż obawiam się konsekwencji, jakie by to za sobą pociągnęło".

Zedd nie zdołał utrzymać języka za zębami.

- Kurczę - szepnął do siebie i znowu wstał. - Richard mówi o Wieży Czarodzieja. Nie chce tego wyraźnie napisać, ale na pewno o to właśnie mu chodzi. Jak mogłem być taki głupi? Chłopak ma rację: nie możemy dopuścić, by zajęli wieżę. Są tam rzeczy przepojone potężną magią. Imperialny Ład zapłaciłby dużo, żeby położyć na nich łapy. Richard nic nie wie o tkwiącej tam magii, lecz jest wystarczająco bystry, by pojąć niebezpieczeństwo. Byłem ślepym głupcem.

Kahlan pojęła prawdę i przeszył ją lodowaty dreszcz strachu. Gdyby Imperialny Ład zajął Wieżę Czarodzieja, to zyskałby dostęp do niezmiernie potężnej magii.

- Richard jest tam sam, Zeddzie. Prawie nic nie wie o magii. Nie wie nic o tym, jakiego rodzaju ludzie mogą się w Aydindril posługiwać magią. Jest jak

jelonek w jaskini niedźwiedzia. O drogie duchy, on nawet nie ma pojęcia, jakie grozi mu niebezpieczeństwo!

- Tkwi w kłopotach po same uszy - przytaknął ponuro Zedd.

- Po same uszy? - zaśmiała się drwiąco Adie. - Skradł Imperialnemu Ładowi sprzed nosa Aydindril i dostęp do wieży. Wysłali na niego mriswithy, a on ponabijał je na pale i postawił przed pałacem. Najprawdopodobniej lada moment poddadzą mu się krainy i utworzy unię mogącą walczyć z Ładem, kiedy tymczasem my zastanawiamy się właśnie, jak to osiągnąć. Wykorzystuje nawet to, co jest naszym problemem, to znaczy handel, i to wykorzystuje jako broń mającą zmusić ich, by przystali na jego warunki. Nie marnował czasu na przekonywanie kogolwiek. Po prostu przyłożył im nóż do gardła. Jeżeli zaczną się mu poddawać, to wkrótce będzie miał w garści całe Midlandy. A przynajmniej najważniejsze krainy.

- A jeśli połączą się z D'Harą jako jedna siła pod jednym dowództwem - wtrącił Zedd - to utworzą potęgę, która będzie się mogła przeciwstawić Imperialnemu Ładowi. - Spojrzał na Kahlan. - Jest jeszcze coś?

- Troszeczkę - potwierdziła i czytała: - "Choć bardzo boję się o sprawy mego serca, obawiam się również tego, co stałoby się, gdybym nie znalazł w sobie odwagi potrzebnej do działania, bo wówczas mroki tyranii na zawsze pochłonęłyby świat. Gdybyśmy tego nie uczynili, los Ebinissii byłby jedynie przedsmakiem tego, co czekałoby nas. Ufam twojej miłości, choć z obawą poddaję ją tej próbie. Chociaż otacza mnie ochrona, a jedna ze strażniczek już oddała życie w mojej obronie, to ich obecność nie wystarcza, żebym się czuł bezpieczny. Wszyscy powinniście natychmiast wracać do Aydindril. Nie zwlekajcie. Dopóki do mnie nie dołączycie, Gratch będzie was chronił przed mriswithami. Podpisano: Tvvoj na tym świecie i w innych światach, Richard Rahl, władca D'Hary".

Zedd znów gwizdnął przez zęby,

- Władca D'Hary. Co ten chłopak zrobił?

Kahlan opuściła list trzymany w drżących dłoniach.

- Zniszczył mnie, oto co zrobił. Adie wymierzyła w nią chudy palec.

- Wysłuchaj mnie teraz, Matko Spowiedniczko. Richard doskonale wie, co ci wyrządza. Otworzył przed tobą serce. Powiedział ci, że pisze ten list pod wizerunkiem Magdy Searus, bo cierpi z powodu tego, co musi uczynić, i rozumie, co to dla ciebie oznacza. Wolałby raczej utracić twoje serce, niż

pozwolić, żeby zabiło cię to, co nastąpiłoby, gdyby on ugiął się przed przeszłością, zamiast dbać o przyszłość. Uczynił to, czego my byśmy nie mogli uczynić. My błagalibyśmy o jedność, a on jej zażądał i poparł to groźbą. Jeśli naprawdę chcesz być Matką Spowiedniczką i ponad wszystko przedkładasz bezpieczeństwo swojego ludu, to wspomóżesz Richarda.

Zedd znacząco uniósł brew, ale zmilczał.

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg - odezwała się chimera, usłyszawszy imię chłopaka.

Kahlan otarła łzę z policzka i pociągnęła nosem.

- Ja też kocham Richarda - powiedziała.

- Kahlan, kiedy tylko w odpowiednim czasie zdejmę z ciebie czar, z pewnością znów będziesz Matką Spowiedniczką - rzekł uspokajająco Zedd.

- Nie rozumiesz - odparła, powstrzymując łzy. - Od tysięcy lat Matka Spowiedniczką zawsze chroniła Midlandy poprzez przymierze. A ja będę Matką Spowiedniczką, która zawiodła Midlandy.

- Nie. - Zedd potrząsnął głową. - Będiesz Matką Spowiedniczką, która miała dość sił, by ocalić ludy Midlandów.

- Nie jestem tego pewna. - Kahlan przycisnęła dłoń do serca. Czarodziej podszedł do niej.

- Richard jest Poszukiwaczem Prawdy, Kahlan. Nosi u boku Miecz Prawdy. To ja go mianowałem. Jako Pierwszy Czarodziej rozpoznałem w nim osobę posiadającą talenty i instynkty Poszukiwacza. Działa powodowany owymi instynktami. Richard jest szczególną osobą. Reaguje jak Poszukiwacz, a dodatkowo kieruje nim dar. Czyni to, co uważa za konieczne. Musimy mu zawierzyć, nawet jeśli nie w pełni rozumiemy, dlaczego robi to, co robi. Kurczę, może i on sam nie w pełni pojmuję, dlaczego tak postępuje.

- Przeczytaj jeszcze raz ten list, sama dla siebie - doradziła jej Adie. - Wysłuchaj tych słów sercem, a wyczujesz w nich jego serce. I pamiętaj, że może nie wszystko ośmielił się napisać, na wypadek gdyby pismo wpadło w niepowołane ręce.

Kahlan potarła nos grzbietem dłoni.

- Wiem, że to zabrzmiało samolubnie, ale tak nie jest. Jestem Matką Spowiedniczką. Po tych, które były przede mną, odziedziczyłam zaufanie. Ofiarowano mi je, gdy zostałam wybrana. Stałam się za nie odpowiedzialna.

Kiedy zostałam Matką Spowiedniczką, złożyłam przysięgi.

Zedd uniósł kościstym palcem podbródek dziewczyny.

- Przysięgałaś chronić swój lud. Żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie, jeżeli o to chodzi.

- Może i tak. Pomyślę o tym. - Kahlan powstrzymywała nie tylko łzy, ale i gniew. - Kocham Richarda i nigdy bym mu czegoś takiego nie zrobiła. Zwyczajnie uważam, że on nie rozumie, co mi robi, co robi poprzedzającym mnie Matkom Spowiedniczkom, które oddały życie.

- A ja myślę, że rozumie - zachrypiała miękko Adie. Twarz Zedda nagle zbielała jak jego czupryna.

- O kurczę - wyszeptał. - Jak myślisz, czy Richard będzie na tyle szalony, żeby iść do Wieży Czarodzieja?

Kahlan uniosła głowę.

- Wieżę Czarodzieja chronią czary. Richard nie wie, jak posługiwać się swoim darem. Nie wie, jak pokonać osłonę.

Zedd nachylił się ku niej.

- Mówiłaś, że on ma dar nie tylko magii addytywnej, ale i subtraktywnej. Czary są addytywne. Jeżeli Richard choć trochę korzysta ze swego daru magii subtraktywnej, to po prostu ot tak sobie przejdzie przez najpotężniejsze czary ochronne, które rzuciłem na wieżę.

Kahlan aż się zachłysnęła oddechem.

- Opowiadał mi, że wewnątrz Pałacu Proroków pokonywał wszystkie osłony, ponieważ stworzono je za pomocą magii addytywnej. Zatrzymała go dopiero otaczająca cały pałac osłona, gdyż miała domieszkę magii subtraktywnej.

- Jeżeli ten chłopak wejdzie do Wieży Czarodzieja, to natknie się na rzeczy, które mogą go w mgnieniu oka uśmiercić. Właśnie po to są te wszystkie osłony: żeby nikt nie mógł się dostać w zasięg ich działania. Kurczę, są tam osłony, przez które nawet ja nie ośmieliłbym się przejść. To miejsce jest śmiertelną pułapką dla kogoś, kto nie wie, co robi. - Czarodziej złapał Kahlan za ramiona. - Myślisz, że on pójdzie do wieży?

- Nie wiem, Zeddzie. Przecież to ty go wychowałeś. Powinieneś to wiedzieć lepiej ode mnie.

- Nie poszedłby tam. Wie, jak niebezpieczna potrafi być magia. Jest bystrym chłopakiem.

- Chyba, że czegoś chce.

- Chce czegoś? - Zedd łypnął na nią jednym okiem. - Co masz na myśli?

Kahlan otarła z policzków ostatnie łzy.

- Kiedy byliśmy u Błotnych Ludzi, chciał zwołać naradę widzących. Człowiek Rak ostrzegął go, że to może być niebezpieczne. Sowa przyniosła wieść od duchów. Uderzyła go prosto w głowę, rozcięła skórę na ciemieniu i padła martwa na ziemię. Człowiek Ptak wyjaśnił, że to ostatnie ostrzeżenie o grożącym niebezpieczeństwie przesłane przez duchy Richardowi. A Richard i tak zwołał naradę. To wtedy Rahl Posępny wrócił z zaświatów. Kiedy Richard czegoś chce, nic go nie powstrzyma.

Zedd drgnął.

- Ale teraz niczego nie chce. Nic go tam nie ciągnie.

- Znasz Richarda, Zeddzie. Lubi się dowiadywać nowych rzeczy. Może postanowi, żeby pójść i rzucić okiem ot tak, z ciekawości.

- Takie spojrzenie też może być groźne.

- Napisał w liście, że zabito jednego z jego strażników. - Kahlan zmarszczyła brwi. - Właściwie napisał "ona". Dlaczego kobieta miałaby być w jego ochronie?

Zedd machnął niecierpliwie ramionami.

- Nie mam pojęcia. Co chciałaś powiedzieć o tym zabiciu strażnika?

- Może ktoś z Imperialnego Ładu jest już w Wieży Czarodzieja i zabił tę strażniczkę, korzystając z jej magii. A może Richard się boi, że mriswithy chcą zająć wieżę, i pójdzie tam, żeby ją przed nimi bronić.

Czarodziej przesunął kciukiem po gładkiej, wygolonej szczęce.

- Nie ma pojęcia o niebezpieczeństwach, jakie grożą mu w Aydindril, a co gorsza, nie podejrzewa, jak śmiertelnie groźne jest to, co zawiera Wieża Czarodzieja. Przypominam sobie, jak mu raz powiedziałem, że przechowuje się tam magiczne przedmioty takie jak Miecz Prawdy i książki. Nie przyszło mi jednak wtedy na myśl, by go ostrzec, że wiele z nich jest niebezpiecznych.

- Księgi? - Kahlan chwyciła czarodzieja za ramię. - Powiedziałeś mu, że są tam księgi?

- Duży błąd - mruknął Zedd.

- Też bym tak powiedziała - westchnęła dziewczyna. Czarodziej wyrzucił w górę ramiona.

- Musimy natychmiast ruszać do Aydindril! - Złapał Kahlan za ramiona. -

Richard nie kontroluje swojego daru. Jeżeli Imperialny Ład posłuży się magią, żeby zdobyć wieżę, to Richard nie będzie w stanie go powstrzymać. Przegramy wojnę, zanim zdobędziemy szansę oporu. Kahlan zacisnęła pięści.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tak długo uciekamy od Aydindril, a teraz mamy tam gnać z powrotem. Tb zabierze nam całe tygodnie.

- Słońce dawno już zaszło nad dniami, w których dokonaliśmy tego wyboru. Nie możemy na nowo przeżyć wczorajszego dnia, musimy się skoncentrować na tym, co możemy uczynić jutro.

Dziewczyna spojrzała na Gratcha.

- Richard przysłał nam list. Możemy mu odpisać i ostrzec go. - To nie pomoże mu bronić Wieży Czarodzieja, jeżeli użyją magii.

W głowie Kahlan kłębiły się strzępy myśli i pospieszne pomysły.

- Mógłbyś zanieść któreś z nas do Richarda, Gratch? Chimera przyjrzała się każdemu, zatrzymała dłużej wzrok na czarodzieju, w końcu jednak potrząsnęła głową.

Dziewczyna z rozczarowaniem gryzła dolną wargę. Zedd chodził tam i z powrotem przed ogniem, mrucząc coś do siebie. Adie patrzyła w dal zamyślona. Nagle Kahlan wstrzymała oddech.

- Zeddzie! Mógłbyś się posłużyć magią? Czarodziej przystanął i spojrzał na dziewczynę.

- Jaki rodzaj magii masz na myśli?

- Taki jak ten, którego użyłeś dzisiaj przy wozie. Uniosłeś go dzięki magii.

- Nie mogę latać, kochanie. Mogę jedynie unosić rzeczy. - Ale może potrafiłbyś zmniejszyć nasz ciężar, żeby Gratch mógł nas unieść. Zedd wykrzywił pokrytą zmarszczkami twarz.

- Nie. Zbyt trudno byłoby to utrzymać, to zbyt wielki wysiłek. Takie coś działa na przedmioty pozbawione ducha jak wóz czy skałki, ale z istotami żywymi jest zupełnie inna sprawa. Mógłbym nas ociupinkę unieść, lecz tylko na kilka minut.

- A siebie samego? Mógłbyś się stać taki lekki, żeby Gratch zdołał cię nieść?

- Tak, być może tak. - Zedd wyjaśniał. - Byłoby bardzo trudno utrzymać to tak długo, ale sądzę, że mógłbym tego dokonać.

- Ty też mogłabyś zrobić coś takiego, Adie? Adie zapadła się w krzesło.

- Nie. Nie mam takiej mocy jak on. Nie mogłabym tego uczynić. Kahlan ukryła lęk.

- Więc to ty musisz się udać do Aydindril, Zeddzie. Będziesz tam całe tygodnie wcześniej niż my. Richard potrzebuje cię już teraz. Nie możemy zwlekać. Każda minuta zwłoki zwiększa grożące nam niebezpieczeństwo.

Zedd uniósł kościste ramiona.

- Nie mogę cię zostawić bez ochrony.

- Mam Adie.

- A jeżeli zjawią się mriswithy, czego się obawia Richard? I nie będzie przy tobie Gratcha. Adie nie obroni cię przed mriswithami.

Kahlan zacisnęła dłoń na czarnym rękawie czarodzieja.

- Jeżeli Richard pójdzie do Wieży Czarodzieja, to może zginąć. A jeśli Imperialny Ład zdobędzie wieżę i ukrytą w nim magię, wszyscy umrzemy. To o wiele ważniejsze niż moje życie. Coś takiego przydarzyło się mieszkańcom Ebinissii. Jeżeli pozwolimy Ładowi zwyciężyć, to bardzo wielu umrze, a reszta zostanie skazana na niewolę. Zniszczą magię. To rozstrzygająca decyzja. A poza tym żaden mriswith się jeszcze nie zjawił. Zaatakowały w Aydindril, to jednak wcale nie znaczy, że zaatakują i w innym miejscu. No i czar skrywa moją tożsamość. Nikt nie wie, że Matka Spowiedniczka żyje i że ja nią jestem. Nie mają powodu, by na mnie napadać.

- Bezbłędne rozumowanie. Rozumiem, dlaczego wybrano cię na Matkę Spowiedniczkę. Ale w dalszym ciągu uważam, że to szaleństwo. - Zedd odwołał się do czarodziejki. - A co ty o tym sądzisz?

- Uważam, że Matka Spowiedniczka ma rację. Musimy się zastanowić, co jest najważniejsze. Nie możemy narażać na niebezpieczeństwo wszystkich, by ochronić kilku.

Kahlan stanęła przed Gratchem. Przysiadł, więc patrzyła mu prosto w ślepie.

- Richard jest w wielkim niebezpieczeństwie, Gratch. Chimera poruszyła kosmatymi uszami.

- Potrzebuje Zedda, który mu pomoże. I ciebie też. Ja będę bezpieczna, bo nie pojawił się tutaj żaden mriswith. Możesz zanieść Zedda do Aydindril? On jest czarodziejem i stanie się tak lekki, jak trzeba, żebyś mógł go

udźwignąć. Zrobisz to dla mnie? Dla Richarda?

Gratch wodził zielonymi ślepiami od Kahlan do Zedda i Adie i zastanawiał się. W końcu się wyprostował. Rozchylił skórzaste skrzydła i skinął potakująco głową. Kahlan objęła chimere, a ta odwzajemniła czuły uścisk.

- Jesteś zmęczony, Gratch? Chcesz odpocząć czy wolisz od razu lecieć?

W odpowiedzi Gratch załopotał skrzydłami. Coraz bardziej wystraszony Zedd patrzył to na jedno, to na drugie.

- Kurczę. To najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Gdybym miał latać, to urodziłbym się ptakiem.

Kahlan uśmiechnęła się słabo.

- Jebra mówiła, że miała wizję ciebie ze skrzydłami. Czarodziej wsparł się pod kościste boki.

- Mówiła też, że widziała, jak wrzucają mnie w kulę ognia. - Tupnął. - No dobrze. Lećmy już.

Adie wstała i objęła czarodzieja.

- Jesteś dzielnym starym głupcem.

- Istotnie, głupcem - mruknął z niesmakiem, ale w końcu odwzajemnił uścisk i głośno wrzasnął, bo Adie uszczypnęła go w siedzenie.

- Pięknie wyglądasz w tych ślicznych szatkach, stary. Zedd nie mógł powściągnąć bezradnego uśmiechu.

- Pewnie, że tak. - Znów się zachmurzył. - Choć troszkę dbaj o Matkę Spowiedniczkę. Kiedy Richard zorientuje się, że ją zostawiłem, by sama wracała, to nie skończy się na uszczypnięciu.

Kahlan objęła kościstego czarodzieja, nagle poczuła się bardzo samotna. Zedd był dziadkiem Richarda i dzięki temu troszkę lepiej się czuła, mając koło siebie choć odrobinę chłopaka. W końcu odsunęli się od siebie i czarodziej spojrzał niepewnie na chimere.

- Cóż, Gratch, chyba musimy już ruszać.

Wyszli w zimną noc. Kahlan złapała czarodzieja za rękaw.

- Musisz przemówić Richardowi do rozumu, Zeddie - powiedziała z pasją. - Nie może mi tego zrobić. Był nierozsądny.

Zedd badawczo przyjrzał się twarzy dziewczyny w słabej poświacie. W końcu powiedział cicho:

- Rozsądni ludzie rzadko tworzą historię.

ROZDZIAŁ 35

- Nie dotykajcie niczego - ponownie przypomniał im Richard, spoglądając gniewnie przez ramię. - Mówię poważnie.

Trzy Mord-Sith nie odpowiedziały. Odwróciły się, by rzucić okiem na wysokie sklepienie łukowe i kunsztownie połączone bloki ciemnego granitu znajdujące się za uniesioną, masywną kratą w wejściu do Wieży Czarodzieja.

Richard popatrzył za Ulica i Egana, na szeroką drogę, która przywiodła ich tutaj z boczem góry, a potem przez kamienny, długi na dwieście pięćdziesiąt kroków most przerzucony nad rozpadliną o niemal pionowych ścianach, spadających w dół tysiące stóp. Chłopak nie znał prawdziwej głębi tej przepaści, gdyż wiszące daleko w dole chmury zasłaniały dno. Marsz kamiennym mostem i spojrzenie w ziejącą czeluść sprawiły, że Richardowi zakręciło się w głowie. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak zdołano przerzucić most nad taką przeszkodą.

Do Wieży Czarodzieja prowadziła tylko ta droga, chyba że ktoś miał skrzydła.

Eskorta lorda Rahla, pięciuset żołnierzy, czekała po tamtej stronie mostu. Zamierzali towarzyszyć mu aż do wieży, dopóki nie dotarli do tego miejsca i nie zobaczyli, minąwszy zakręt serpentyny, ogromu budowli, jej niebotycznych ścian z ciemnego kamienia, wałów obronnych, bastionów, wież, łączników i mostów. Całość wylaniała się z za stoku góry i ziała ponurą groźbą. Sprawiała wrażenie czegoś żywego, czegoś obserwującego ich. Na ten widok nawet pod Richardem ugięły się kolana. Kiedy rozkazał żołnierzom, żeby zaczekali nań przed mostem, nie usłyszał słowa sprzeciwu.

Chłopak sporym wysiłkiem woli zmusił się do pójścia ku Wieży Czarodzieja. Szedł, choć wolałby tego nie robić, bo przecież owi żołnierze nie mogli zobaczyć, że ich lord Rahl, ich czarodziej, rezygnuje. No a poza tym musiał to zrobić. Richard zebrał całą odwagę, gdyż przypomniał sobie, jak Kahlan mówiła, że Wieżę Czarodzieja chronią zaklęcia i że do niektórych miejsc nawet ona nie mogła się dostać, ponieważ do tego stopnia odbierały jej one odwagę, iż nie mogła iść naprzód. To po prostu zaklęcia mające odstraszać ciekawskich, pocieszał się Richard. To tylko takie uczucie, a nie

prawdziwe zagrożenie.

- Ciepło tu - powiedziała Raina, rozglądając się dokoła ciemnymi, zdumionymi oczami.

Richard uświadomił sobie, że to prawda. Kiedy tylko przeszli uniesioną żelazną kratę, powietrze z każdym krokiem zaczęło tracić chłód, a w środku było takie jak w piękny wiosenny dzień. Jednakże ani na ponurym, stalowoszarym niebie, w które wznosiły się strome góry ponad wieżą, ani w ostrym wietrze na wijącej się serpentynami drodze nie można się było dopatrzeć żadnych śladów wiosny.

Śnieg na butach Richarda zaczął się topić. Wszyscy zdjęli ciężkie okrycia i złożyli je na stosie pod kamienną ścianą. Chłopak sprawdził, czy miecz tkwi luźno w pochwie.

Potężne łukowate sklepienie, pod którym przeszli, okrywało przejście długie na dobre pięćdziesiąt stóp. Richard spostrzegł, że to tylko wyłom w zewnętrznym murze. Dalej droga biegła otwartą przestrzenią do następnego tunelu leżącego u podstawy wysokiego kamiennego muru i tam znikwała w ciemnościach. Pewnie prowadzi do stajni, powiedział sobie chłopak. Nie ma powodu, żeby tam iść.

Richard musiał walczyć z chęcią otulenia się czarną peleryną mriswitha i stania się niewidocznym. Ostatnio czynił to coraz częściej, znajdując otuchę nie tylko w zyskiwanej dzięki temu samotności, ale i w osobliwym, trudnym do określenia przyjemnym uczuciu, jakiego wówczas doświadczał. Przypominało ono pewność dawaną przez magię miecza, który nosił u boku. Ten był zawsze na miejscu, zawsze pod ręką, zawsze był sprzymierzeńcem i orędownikiem.

Otoczające niegościnnie podwórzec kamienne mury czyniły zeń skalny kanion, w którego ścianach było mnóstwo drzwi. Richard postanowił iść po przejściu z kamieni tkwiących w granitowym żwirze. Wiodło ku największym drzwiom.

Nagle Berdine tak mocno złapała chłopaka za ramię, że aż skrzywił z bólu. Odwrócił się od drzwi, żeby odgiąć jej palce.

- Co ty wyrabiasz, Berdine? Co się stało?

Wyzwolił ramię z jej krzepkiego chwytu, ale nie na długo.

- Popatrz - powiedziała w końcu głosem, od którego zjeżyły się mu włoski na karku. - Co to według ciebie jest?

Wszyscy obejrżeli się, by zobaczyć, na co wskazywała swoim Agielem.

Kamienie i kawałki skał falowały, jakby płynęła pod nimi jakaś wielka kamienna ryba. Niewidoczne coś podpłynęło ku nim i wszyscy przesunęli się na środek kamienia, na którym stali. Żwir chrzęścił i zgrzytał, falując jak woda w jeziorze.

Grzbiety fal się zbliżyły i Berdine boleśnie zgmiotła ramię Richarda. Nawet Ulic i Egan wstrzymali oddech wraz z innymi, kiedy to coś przepływało pod kamieniem, na którym stali, a fale wrzuciły nań okruchy żwiru. Fale minęły ich i zaczęły przycichać, aż wreszcie się uspokoiły.

- No i co to było?! - wybuchnęła Berdine. - A co by się stało, gdybyśmy poszli inną drogą, do innych drzwi, a nie do tych właśnie?

- A skąd mam wiedzieć? Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Jesteś czarodziejem. Powinieneś wiedzieć takie rzeczy. Berdine, gdyby Richard wydał jej taki rozkaz, bez chwili wahania rzuciłaby się w pojedynkę na Ulica i Egana. Jednak niewidzialna moc magii to zupełnie co innego. Cała piątka była nieustraszona w obliczu żelaza, lecz żadne nie wstydziło się okazywać strachu przed magią. Tłumaczyli to chłopakowi mnóstwo razy. Oni są żelazem przeciwko żelazu, żeby on mógł być magią przeciwko magii.

- Słuchajcie no wszyscy. Już warn mówiłem, że nie znam się za bardzo na byciu czarodziejem. I nigdy przedtem tutaj nie byłem. Nie wiem nic o tym miejscu. Nie mam pojęcia, jak was chronić. Zróbcie więc, o co proszę, i poczekajcie z żołnierzami po tamtej stronie mostu. Hmmm?

Ulic i Egan skrzyżowali ramiona w niemej odpowiedzi.

- Idziemy z tobą - upierała się Cara.

- Otóż to - poparła ją Raina.

- Nie powstrzymasz nas - dorzuciła Berdine, puszczając wreszcie ramię Richarda.

- Przecież to może być niebezpieczne!

- Ale my musimy cię chronić - stwierdziła Berdine.

- Jak? - Richard spojrział na nią gniewnie. - Wyciskając mi krew z ramienia?

- Przepraszam - powiedziała zapłoniona Berdine.

- Nie mam pojęcia o tutejszej magii. Nie znam grożących nam niebezpieczeństw, a tym bardziej nie wiem, jak im zapobiec.

- To dlatego musimy iść - tłumaczyła Cara z przesadną cierpliwością. -

Nie wiesz, jak się chronić. Możemy się przydać. Kto zaręczy, że nie przyda się Agiel. - Wskazała kciukiem Ulica i Egana. - I muskuły? A jeżeli wpadniesz do jakiejś dziury, w której nie będzie drabiny, i nikt nie usłyszy twojego wołania o pomoc? Może cię zranić coś nie związanego z magią.

- No dobrze - westchnął Richard. - Chyba masz rację. - Pogroził jej palcem. - Ale się nie skarż, jeśli jakaś kamienna ryba odgryzie ci stopę.

Trzy kobiety uśmiechnęły się z zadowoleniem. Nawet Ulic i Egan pozwolili sobie na uśmiech. Richard westchnął ze znużeniem.

- No to idziemy.

Odwrócił się ku wysokim na dwanaście stóp drzwiom osadzonym w niszy. Drewno było szare i wyblakłe, okute solidnymi żelaznymi taśmami najeżonymi kolcami długości palców Richarda. Ponad wrotami wykuto w kamiennym nadprożu słowa, ale nikt z nich nie znał owego języka. Richard sięgnął do klamki i drzwi zaczęły się bezgłośnie otwierać do środka.

-I on twierdzi, że nie wie, jak korzystać ze swojego magicznego daru - zakpiła Berdine.

Richard po raz ostatni spojrział im w oczy, sprawdzając, czy nie zmienili decyzji.

- Pamiętajcie, żeby niczego nie dotykać. - Potaknęli, a on westchnął z rezygnacją i obrócił się ku drzwiom, drapiąc się w kark.

- Czy maść, którą ci przyniosłam, nie pomogła na wysypkę? - zapytała Cara, kiedy wchodzili przez próg do ponurego, pachnącego wilgotnym kamieniem pomieszczenia.

- Nie. Jeszcze nie.

W rozległym westybulu ich głosy odbijały się echem od belkowanego sklepienia znajdującego się jakieś trzydzieści stóp nad ich głowami. Richard zwolnił, rozejrzał się po niemal pustym pomieszczeniu i stanął.

- Kobieta, od której kupiłam maść, obiecała, że to uleczy twoją wysypkę. Powiedziała, że to maść ze zwyczajnych ingrediencji, jak biały rabarbar, sok z wawrzynu, masło i jajko na miękko, ale kiedy wyjaśniłam jej, iż to bardzo ważne, dodała kilka specjalnych, kosztownych składników. Twierdziła, że była to bukwica, świński wrzód, serce jaskółki i moja miesięczna krew, bo jestem twoją obrończynią. Mieszała to rozgrzanym do czerwoności gwoździem. Stałam i patrzyłam, żeby mieć pewność.

- Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś, zanim użyłam tej maści - mruknął

Richard, ruszając w głąb mrocznego westybulu.

- Co? - Zbył jej pytanie machnięciem ręki. - Ostrzegłam ją, że maść ma podziałać, zwłaszcza iż była taka droga, bo inaczej wrócę i pożałuje dnia, w którym się tak źle spisała. Obiecywała, że na pewno pomoże. Powinieneś pamiętać, by nałożyć trochę i na lewą piętę. Pamiętałeś, prawda?

- Nie. Posmarowałem tylko wysypkę - odparł, żałując, że to zrobił. Cara uniosła ramiona.

- No to nic dziwnego. Mówiłam przecież, że masz nałożyć maść i na lewą piętę. Kobieta twierdziła, że ta wysypka jest prawdopodobnie rezultatem wyrwy w twojej aurze i dlatego musisz nałożyć maść na lewą piętę, by przywrócić całkowite połączenie z ziemią.

Richard na wpół słuchał. Wiedział, że Cara po prostu próbuje dodać sobie odwagi dźwiękiem własnego głosu, opowiadaniem o innych sprawach.

Wysoko nad ich głowami, po prawej, przez rząd małych okienek wpadały do środka ukośne snopy światła. Po obu stronach łukowatego przejścia znajdującego się w przeciwnym końcu pomieszczenia stały rzeźbione drewniane krzesła. Pod rzędem okien wisiał gobelin tak wyblakły, że nie było widać, co przedstawia. Na ścianie naprzeciwko zamocowano zwykle żelazne kinkiety ze świecami. Niemal na środku komnaty stał ciężki stół na kozłach, na który padał promień światła. Innych mebli nie było.

Ruszyli w głąb pomieszczenia. Słysząc było echo ich kroków. Richard spostrzegł, że na stole leżą jakieś książki. Nabral otuchy: właśnie dla nich tutaj przyszedł. Miną jeszcze całe tygodnie, zanim wrócą Kahlan i Zedd, a chłopak bał się, że już wcześniej będzie musiał bronić Wieży Czarodzieja. Oczekiwanie sprawiło, że był niespokojny i strapiony.

Wojska D'Hary kontrolowały Aydindril, więc największym zagrożeniem byłyby teraz próby zajęcia wieży. Richard oczekiwał, że znajdzie książki, z których zaczerpnie trochę wiedzy, a może nawet dowie się, jak korzystać - choćby częściowo - ze swojego magicznego daru, tak by w razie ataku za pomocą magii mógł go odeprzeć. Bał się, że Imperialny Ład zechce zawładnąć chronioną w wieży magią. Pamiętał również o mriswithach.

Na stole leżał blisko tuzin ksiąg, wszystkie tych samych rozmiarów. Na okładkach były napisy w języku, którego Richard nie rozumiał. Ulic i Egan stanęli plecami do stołu, a chłopak odsunął na bok kilka tomów, by lepiej widzieć te, które były pod spodem. Miały jakąś wspólną cechę.

- Wyglądają jak ta sama książka, ale napisana w innych językach - mruknął na w pół do siebie.

Obrócił ku sobie tom, który przyciągnął jego wzrok. Spojrzał na tytuł i nagle zdał sobie sprawę, że choć nie potrafi go przeczytać, to już przedtem widział ów język i rozpoznał dwa słowa. Pierwsze, *fuer*, i trzecie, *ost*, znał aż nazbyt dobrze. Tytuł był w górnod'harańskim.

Proroctwo, które Warren pokazał chłopakowi w podziemiach Pałacu Proroków, wspominało o Richardzie i nazywało go *fuer grissa ost drauka*: ten, który jest dawcą śmierci.

- *Fuer Ulbrecken ost Brennika Dieser*. - Richard westchnął zawiedziony. - Chciałbym wiedzieć, co to oznacza.

- *Przygody Bonnie Day*. Tak myślę.

Richard odwrócił się i zobaczył Berdine patrzącą rnu przez ramię na stół. Odsunęła się i odwróciła niebieskie oczy, jakby się wystraszyła, że zrobiła coś złego.

- Coś ty powiedziała? - wyszeptał.

- *Fuer Ulbrecken ost Brennika Dieser*. - Berdine wskazała książkę. - Powiedziałeś, że chciałbyś wiedzieć, co to znaczy. Wydaje mi się, że to znaczy *Przygody Bonnie Day*. To stary dialekt.

Przygody Bonnie Day to książka, którą Richard miał od najmłodszych lat. Jego ulubiona. Czytał ją tak często, że w końcu nauczył się jej na pamięć. W Pałacu Proroków, w Starym Świecie, chłopak dowiedział się, że książkę tę napisał Nathan Rahl, Prorok i jego przodek. Nathan powiedział Richardowi, że miał to być rodzaj elementarza prorokowania dla chłopców mających zdolności w tym kierunku. Zdradził również, że wszyscy chłopcy, z wyjątkiem Richarda, którzy dostali tę książkę, nie żyją.

Po narodzinach Richarda Nathan i Ksieni przybyli do Nowego Świata i wykradli z Wieży Czarodzieja Księgę Opisania Mroków, żeby nie wpadła w ręce Rahla Posepnego. Dali ją ojczymowi Richarda, George'owi Cypherowi, i uzyskali od niego obietnicę, że nakłoni *syna.*, by nauczył się słowo w słowo całego tekstu, a potem zniszczył księgę. Księga Opisania Mroków była potrzebna do otwarcia szkatuł Ordenu, co miało się stać w D'Harze. Chłopak dotąd pamiętał całą księgę, słowo po słowie.

Richard z czułością wspominał szczęśliwe czasy dzieciństwa i młodości, kiedy to mieszkał z ojcem i bratem. Kochał starszego brata i szanował go.

Któż mógł wówczas przewidzieć, jak zdradziecko zmieni się życie? Nie było powrotu do tych niewinnych czasów.

Nathan zostawił również dla Richarda egzemplarz *Przygód Bonnie Day*. Atu, w Wieży Czarodzieja, którą odwiedził po narodzeniu chłopaka, musiał zostawić owe książki w innych językach.

- Skąd wiesz, co to znaczy? - spytał Richard. Berdine przełknęła ślinę.

- To w górnodTiarańskim, ale w starym dialekcie. Otworzyła szeroko oczy i Richard uświadomił sobie, że musi mieć przerażającą minę. Pozbył się jej z wysiłkiem.

- Chcesz powiedzieć, że znasz górnod'harański? - Potaknęła. - Powiedziano mi, że to martwy język. Znajomy uczonek, który nim władał, powiedział mi, że już prawie nikt nie posługuje się tym językiem. Skąd go znasz?

- Od ojca - odparła Berdine. Jej głos był pozbawiony wszelkich uczuć. - To jedna z przyczyn, dla których Rahl Posępny wybrał mnie na Mord-Sith. - Jej twarz zmieniła się w maskę obojętności. - Nieliczni ludzie nadal posługują się górnod'harańskim. Mój ojciec był jednym z nich. Rahl Posępny używał górnodTiarańskiego przy niektórych swoich czarach i nie podobało mu się, że są jeszcze inni, którzy znają ów stary język. Richard nie musiał pytać, co się stało z jej ojcem.

- Tak mi przykro, Berdine.

Chłopak wiedział, że dziewczynki szkolone na Mord-Sith zmuszono do torturowania swoich ojców, dopóki nie zmarli. Wtedy, podczas ostatecznego sprawdzianu, łamano je po raz trzeci.

Berdine nie zareagowała. Wycofała się za nabytą podczas szkolenia maskę chłodnego opanowania.

- Rahl Posępny wiedział, że ojciec nauczył mnie podstaw starego języka, lecz jako Mord-Sith nie stanowiłam dlań zagrożenia. Od czasu do czasu pytał mnie o interpretację rozmaitych słów. Górnod'harański to język bardzo trudny do tłumaczenia. Wiele słów, zwłaszcza w starszych dialektach, ma rozmaite odcienie znaczeń zrozumiałe wyłącznie w zależności od kontekstu. Nie jestem zbyt biegła, ale trochę rozumiem. Rahl Posępny był wybornym znawcą górnod'harańskiego.

- A wiesz, co to znaczy *fuer grissa ost draukal*.

- To bardzo starożytny dialekt. Słabo się na tym znam. - Zastanawiała się

przez chwilę. - Sądzę, że dosłowne tłumaczenie brzmi: "ten, który jest dawcą śmierci". Gdzieś to słyszał?

Richard wołał się na razie nie zagłębiać w inne interpretacje owego zwrotu.

- To ze starego proroctwa. Tak mnie w nim nazwano. Berdine splótła dłonie za plecami.

- Krzywdząco, lordzie Rahlu. Chyba że chodzi o to, jak traktujesz wrogów, a nie przyjaciół.

- Dziękuję, Berdine. - Richard się uśmiechnął.

I na jej usta powrócił uśmiech, niczym słońce spoza burzowych chmur.

- Sprawdźmy, czy znajdziemy tu jeszcze coś interesującego - powiedział chłopak, kierując się ku zwieńczonemu łukiem przejściu na przeciwległym krańcu komnaty.

Mijając to przejście, Richard poczuł, jak przecina wąską linię powodującą uczucie mrowienia i łaskotania. Po drugiej stronie odczucie zniknęło. Usłyszał, że Raina woła go, i odwrócił się.

Stali z drugiej strony i przyciskali dłonie do powietrza, jakby była tam nieprzenikliwa szklana tafla. Ulic uderzył w nią pięścią, lecz bez rezultatu.

- Lordzie Rahlu! - zawołała Cara. - Jak mamy przejść? Richard wrócił ku przejściu.

- Sam dobrze nie wiem. Mój dar pozwala mi przechodzić przez osłony. Daj mi rękę, Berdine. Sprawdźmy, czy to zadziała.

Wyciągnął rękę przez niewidoczną przegrodę, a Berdine bez wahania chwyciła jego nadgarstek. Powolutku pociągnął ku sobie jej rękę, aż przeniknęła przegrodę.

- To zimne - poskarżyła się Berdine.

- Nic ci nie jest? Chcesz spróbować przejść?

Potaknęła, więc ją przyciągnął. Kiedy była już po drugiej stronie, wzdrygnęła się i otrząsnęła, jakby opadły ją insekty.

- Teraz ja. - Cara wyciągnęła rękę ku przejściu. Richard już po nią sięgał, lecz się powstrzymał.

- Nie. Zaczekacie tu na nasz powrót.

- Co takiego!?! - wrzasnęła Cara. - Masz nas ze sobą zabrać!

- Czyhają tu niebezpieczeństwa, o których nic nie wiem. Nie mogę was wszystkich pilnować i jednocześnie uważać na to, co sam robię. Berdine

wystarczy w wypadku, gdybym potrzebował ochrony. Wy zaczekajcie tutaj. Jeśli coś się zdarzy, wiecie, jak wrócić.

- Przecież musisz nas ze sobą zabrać - nalegała Cara. - Nie wydostaniemy się stąd bez twojej ochrony. - Odwróciła się. - Powiedz mu, Ulic.

- Ona ma słuszość, lordzie Rahlu. Powinniśmy być z tobą. Richard potrząsnął głową.

- Jedno z was wystarczy. Gdyby coś mi się stało, nie zdołalibyście się przedostać z powrotem przez tę barierę. Jeżeli coś się wydarzy i nie wrócimy, to liczę, że poprowadzicie sprawę dalej. Caro, jeśli coś się stanie, obejmiesz dowództwo. Jeżeli zdołasz, sprowadzisz nam pomoc. W przeciwnym wypadku będziesz dbać o wszystko aż do powrotu mojego dziadka, Zedda, i Kahlan. - Nie czyn tego. - Richard jeszcze nigdy nie widział Cary tak rozeźlonej. - Nie możemy cię utracić, lordzie Rahlu.

- Wszystko będzie dobrze, Caro. Wrócimy, obiecuję. Czarodzieje zawsze dotrzymują obietnic.

- Dlaczego ona? - prychnęła gniewnie Cara.

Berdine odrzuciła z ramienia warkocz kręconych kasztanowych włosów i z zadowoleniem uśmiechnęła się do Cary.

- Bo lord Rahl najbardziej lubi mnie.

- To dlatego, Caro - powiedział Richard, łypnąwszy gniewnie na Berdine - że jesteś przywódcą. Chcę, żebyś się wszystkim zajęła, jeżeli coś mi się przytrafi.

Cara rozważała to przez chwilę. W końcu i ona uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- W porządku. Ale lepiej już nigdy nie zrób nam takiego numeru. - Skoro tego żądasz. - Richard mrugnął do niej, a następnie spojrzął w mroczny korytarz. - Chodź, Berdine. Rozejrzemy się i wrócimy, byśmy wszyscy mogli stąd odejść.

ROZDZIAŁ 36

Korytarze bieły we wszystkich kierunkach. Richard próbował się trzymać tego, który uznał za główny, żeby móc potem odnaleźć drogę powrotną. Kiedy mijali jakieś komnaty, wsuwał do środka głowę i sprawdzał, czy nie ma w nich jakichś ksiąg lub czegoś, co mogłoby się przydać. W większości były to skromne, kamienne puste pomieszczenia. W kilku stały stoły i krzesła, kufry lub inne skromne meble; nie było tu nic szczególnie interesującego. Wzdłuż jednego z korytarzy znajdowały się pokoje z łóżami. Przebywający w wieży czarodzieje musieli prowadzić skromne życie, a przynajmniej niektórzy z nich. Było tu przecież tysiące komnat, a Richard zobaczył ich niewiele.

Berdine zawsze zaglądała za nim do komnaty, żeby zobaczyć, co też tam dostrzegł.

- Wiesz, dokąd idziemy?

- Raczej nie. - Spojrzał w kolejny boczny korytarz. To był istny labirynt. - Sądzę, że powinniśmy znaleźć jakieś schody. Zaczniemy od dołu i pnijmy się w górę.

Berdine wskazała do tyłu przez ramię.

- Widziałam jakieś w korytarzu po lewej, o tam.

Schody istotnie były tam, gdzie mówiła. Richard ich nie zauważył, bo była to po prostu dziura w podłodze z kamiennymi stopniami schodzącymi spiralą w mroki, podczas gdy on szukał klatki schodowej. Chłopak zganił się za to, że nie zabrał lampy ani świecy. Miał w kieszeni krzemień i krzesiwo, gdyby więc znalazł trochę słomy lub kawałek starego płótna, mógłby wykrzesać mały ogienek i zapalić którąś ze świec z żelaznych kinkietów.

Schodzili w mroki. Richard poczuł i usłyszał dochodzący z dołu niski wibrujący odgłos. Ginący w mroku kamień zaczął być widoczny w błękitnawozielonym blasku, jak gdyby ktoś podkręcał knot w lampie. Zanim zeszli ze schodów, chłopak widział już wyraźnie w tym osobliwym świetle.

U dołu schodów, tuż za rogiem, Richard znalazł źródło światła. W pierścieniowatym żelaznym kinkiecie tkwiła kula. Była prawie tak duża jak dłoń chłopaka i wyglądała na szklaną. To z niej promieniowało światło.

Berdine spojrzała na Richarda, jej twarz była skąpana w owym

dziwacznym blasku.

- Dlaczego to świeci?

- Hmm, skoro nie ma płomienia, to musi to być jakaś magia.

Richard wyciągnął ostrożnie rękę w stronę światła. Pojaśniało. Dotknął palcem kuli i błękitnawa zieleń zmieniła się w cieplejszą żółć. Dotknięcie przeszło bezkarnie, więc chłopak delikatnie wyjął kulę z kinkietu. Była cięższa, niż się spodziewał. Jakby była pełna, a nie pusta w środku. Trzymana w dłoni, rzucała ciepłe, jasne światło.

Chłopak dostrzegł, że daleko w przypominającym tunel korytarzu tkwiły w kinkietach podobne kule. Najbliższe ledwo jarzyły się ową błękitną zieleń. Gdy je mijali, każda jaśniała, w miarę jak Richard się zbliżał, i gasła, kiedy szedł dalej, trzymając w dłoni zabraną wcześniej kulę.

Na skrzyżowaniu ich korytarz łączył się z większym i bardziej strojnym. Po obu stronach biegły pasy jasnoróżowego kamienia, a tu i tam otwierały się wejścia do przepastnych komnat z wyściełanymi ławami.

Za jednymi z szerokich, dwuskrzydłowych drzwi Richard znalazł bibliotekę. Wyglądała przytulnie i zachęcająco: biały sufit, gładka drewniana podłoga, wyłożone boazerią ściany. Obok rzędów półek stały stoły i wygodne fotele. W przeciwległej ścianie tkwiły szklane, wychodzące na Aydindril okna, dzięki którym komnata była jasna i miała dobrą wentylację.

Richard przeszedł do następnej ogromnej komnaty i okazało się, że to również biblioteka. Wyglądało na to, że korytarz biegnie równoległe do fasady wieży, wzdłuż całego szeregu bibliotek. Zanim dotarli do końca korytarza, odkryli ich jeszcze ze dwa tuziny.

Chłopak nawet nie wyobrażał sobie, że istnieje takie mnóstwo książek. Teraz nawet zawartość podziemi w Pałacu Proroków wydawała mu się skromna, choć było tam tak wiele tomów. Samo przeczytanie tytułów zajęłoby cały rok. Nagle Richard poczuł się przytłoczony. Od czego by tu zacząć?

- Pewno tego szukałeś - odezwała się Berdine.

- Nie, wcale nie. - Ściągnął chmurnie brwi. - Nie wiem dlaczego, lecz to nie to. Wszystko jest tu za bardzo zwyczajne.

Berdine wciąż szła u jego boku, kiedy przemierzali korytarze, zeszli kilka pięter w dół i znaleźli klatkę schodową. Agiel kołysał się na łańcuszku u jej nadgarstka, zawsze w pogotowiu. U podstawy schodów znajdowały się

ozdobne, złożone odrzwia wiodące do komnaty wykutej wprost w atramentowoczarnej skale. Prawdopodobnie niegdyś była tu pieczara, którą następnie powiększono. Tam, skąd wyłamano skałę, pozostały połyskujące wyraźne fasety. Powiększając pieczarę, zostawiono przysadziste kamienne kolumny podtrzymujące niski, chropowaty strop.

W złożonych odrzwiach Richard po raz czwarty od wejścia do Wieży Czarodzieja natknął się na barierę i to zupełnie inną od trzech poprzednich. Tamte budziły to samo odczucie. Tym razem jednak było zupełnie inaczej. Gdy chłopak wyciągnął przed siebie rękę, pionowa płaszczyzna między odrzwiami rozjarzyła się czerwienią pochodzącą z niewidocznego źródła i Richard zamiast mrowienia poczuł gorąco. To było najbardziej przyjemne uczucie, jakiego doznał w życiu, przechodząc przez osłonę. Obawiał się, że osmali mu włoski na ramieniu, lecz tak się nie stało.

- To coś zupełnie odmiennego. - Richard cofnął rękę. - Powstrzymaj mnie, jeśli nie zdołasz tego znieść.

Otoczył Berdine ramionami, żeby ją lepiej chronić przed nieprzyjemnym uczuciem. Mord-Sith zeszywniała.

- Nie obawiaj się. Wycofam się, jeżeli tego zechcesz. Kiwnęła potakująco głową i chłopak powoli wszedł w odrzwia.

Drgnęła, kiedy czerwone światło dotknęło ramienia okrytego czerwonym uniformem.

- W porządku - powiedziała. - Idź.

Richard przeciągnął ją na drugą stronę i wypuścił z objęć. Dopiero wtedy się uspokoiła.

W blasku bijącym z trzymanej przez Richarda kuli, który rzucał ostre cienie pośród kolumn, dostrzegli, że dokoła całego pomieszczenia wykuto w skale niewielkie nisze. Było ich może sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt. Richard nie mógł dostrzec, co w nich stało, lecz był pewny, iż we wszystkich znajdowały się jakieś przedmioty rozmaitych kształtów i rozmiarów. Powiódł wzrokiem po owych zakątkach i poczuł Jak jeżą mu się włoski na karku. Nie wiedział, co to za przedmioty, ale instynktownie czuł, że są bardziej niż niebezpieczne.

- Trzymaj się blisko mnie - polecił Berdine. - Nie wolno się nam zbliżać do ścian. - Wskazał podbródkiem kierunek przez rozległe pomieszczenie. - Tam. Pójdziemy tamtym korytarzem.

- Skąd wiesz?

- Spójrz na podłogę. - Przez chropowate kamienie biegł gładki, wijący się szlak, który przecinał środek pomieszczenia. - Lepiej trzymajmy się tego szlaku.

- Bądź ostrożny. - Niebieskie oczy spojrzały nań z niepokojem. - Jeżeli coś ci się stanie, nigdy się stąd nie wydostanę, żeby sprowadzić pomoc. Zostanę tu jak w pułapce.

Richard uśmiechnął się i ruszył przez pieczarę, w której panowała głucha cisza.

- To ryzyko związane z byciem moją ulubienicą.

Ta próba rozładowania napięcia nie poprawiła humoru Berdine.

- Czyżbyś naprawdę myślał, lordzie Rahlu, że uważam się za twoją ulubienicę?

Richard sprawdził, czy nie zboczyli ze ścieżki.

- Powiedziałem tak dlatego, Berdine, że sama to w kółko powtarzasz.

Szli ostrożnie poprzez pieczarę, a Berdine myślała w milczeniu.

- Mogę ci zadać pytanie, lordzie Rahlu? Poważne, osobiste pytanie?

- Oczywiście.

Przerzuciła przez ramię kasztanowy warkocz i trzymała go w dłoni.

- Kiedy ożenisz się ze swoją królową, to nadal będziesz miał inne kobiety, prawda?

Richard spojrzał na nią zachmurzony.

- Nie mam żadnych innych kobiet. Kocham Kahlan. Jestem wierny tej miłości.

- Ale jesteś lordem Rahlem. Możesz mieć każdą, którą zechcesz. Nawet mnie. Tak właśnie postępuje lord Rahl: ma wiele kobiet. Wystarczy, byś pstryknął palcami.

Richard wyczuł instynktownie, że Berdine nie czyni mu żadnej propozycji.

- Tb miałaś na myśli, gdy położyłem dłoń na twojej piersi? Odwróciła wzrok i przytaknęła.

- Zrobiłem to, żeby ci pomóc, Berdine, a nie... nie z innego powodu. Sądziłem, że się tego domyślisz.

Pospiesznie dotknęła ramienia chłopaka.

- Wiem. Nie o to mi chodziło. Nigdy mnie w inny sposób nie dotykałeś.

Chodziło mi o to, że nigdy czegoś takiego ode mnie nie wymagałeś. - Przygryzła dolną wargę. - Bardzo się zawstydziłam, kiedy mnie wtedy dotknąłeś.

- Dlaczego?

- Bo ryzykowałeś życie, żeby mi pomóc. Jesteś moim lordem Rahlem, a ja nie byłam wobec ciebie uczciwa.

Richard machnął ręką, prowadząc ich ścieżką wokół kolumny, której nie zdołałoby objąć nawet dwudziestu mężczyzn.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie, Berdine.

- Mówię, że jestem twoją ulubienicą, żebyś nie myślał, iż cię nie lubię.

- Próbujesz mi powiedzieć, że mnie nie lubisz? Znow złapała go za ramię.

- O nie. Kocham cię.

- Powiedziałem ci, Berdine, że mam...

- Ale nie tak. Kocham cię jako mojego lorda Rahla. Dałeś mi wolność. Uznałeś, że jestem kimś więcej niż tylko prostą Mord-Sith, i zaufałeś mi. Uratowałeś mi życie i naprawiłeś wyrządzoną mi krzywdę. Kocham cię za to, jakim jesteś lordem Rahiem.

Richard potrząsnął głową, jakby chciał, żeby się w niej wszystko poukładało.

- Mówisz bez sensu. Co to ma wspólnego z twoim bezustannym twierdzeniem, iż jesteś moją ulubienicą?

- Mówię tak, byś nie myślał, że nie pójdę chętnie z tobą do łóżka, kiedy mi to nakazesz. Bałam się, że jeśli będziesz wiedział, iż tego nie chcę, to mnie perwersyjnie zmusisz.

Richard wyciągnął przed siebie rękę ze świecącą kulą, bo dotarli do wychodzącego z pieczary korytarza, który wyglądał na zwykłe kamienne przejście.

- Przestań się tym trapić. - Dał jej znak, by szła dalej. - Mówiłem, że tego nie zrobię.

- Wiem. A po tym, co zrobiłeś - dotknęła lewej piersi - wierzę ci. Ale przedtem nie wierzyłam. Zaczynam dostrzegać, że naprawdę ogromnie się różnisz.

- Od kogo?

- Od Rahla Posępnego.

- Co do tego masz rację - odparł. Szli długim korytarzem, gdy Richard

nagle raz jeszcze spojrzął na Berdine. - Starasz się mi powiedzieć, że kochasz kogoś, a tamto wszystko mówiłaś, bym nie pomyślał, iż unikasz moich afektów, i nie zechciał cię przymusić?

Zacisnęła dłoń na warkoczach i na chwilę zamknęła niebieskie oczy. - Tak.

- Naprawdę? Uważam, że to cudownie, Berdine. - Minęli korytarz i znaleźli się w dużym pomieszczeniu o ścianach obwieszonych kasetonami z pękami włosów i futra. Richard przyjrzał się z daleka tej wystawie i rozpoznał sierść chimery, po czym ruszył dalej, obejrzał się na nią i uśmiechnął.

- Kto to? - Machnął ręką, podejrzewając, że przekroczył pewne granice, na co wskazywałyby dziwny nastrój Berdine. - Chyba że nie chcesz mi powiedzieć. Nie musisz. Nie chcę, żebyś sądziła, iż musisz odpowiadać. Wybór należy do ciebie.

Berdine przełknęła ślinę.

- Chcę ci to wyznać ze względu na to, co dla nas, co dla mnie zrobiłeś.

- Wyznać? - skrzywił się Richard. - Poinformowanie mnie, kogo kochasz, to nie spowiedź, to...

- Rain a.

Richard błyskawicznie zamknął usta i spojrzął na trasę, którą mieli przejść.

- Lewa stopa na zielone płyty, prawa tylko na białe. Dopóki nie minimy tego miejsca. Nie omiń ani zielonej, ani białej płyty. Zanim zejdziesz z ostatniej płyty, dotknij piedestału.

Szła za nim, stąpającym ostrożnie po zielonych i białych płytach, aż dotarli do kamiennej podłogi, dotknęli piedestału i weszli w wysoki, wąski korytarz z migotliwego srebrzystego kamienia, który wyglądał jak szczelina w olbrzymim klejnocie.

- Skąd o tym wiedziałeś? O tych zielonych i białych płytach?

- Co? - Odwrócił się z marszem na czole. - Nie wiem. Pewno jakaś bariera ochronna albo coś w tym rodzaju. - Znów popatrzył na Berdine idącą z oczami wbitymi w podłogę. - I ja kocham Rainę. I ciebie, i Carę, i Ulicę, i Egana. Jak rodzinę. To miałaś na myśli?

Potrząsnęła głową, nie podnosząc oczu.

- Ale... Raina jest kobietą.

Berdine obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

- Berdine - odezwał się po długim milczeniu Richard - lepiej nie mów tego Rainie, bo...

- Ona też mnie kocha.

Chłopak zeszywniał, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Ale jak można... nie możesz... nie rozumiem... Po co mi to mówisz, Berdine?

- Bo zawsze byłeś wobec nas uczciwy. Na początku, kiedy powiedziałeś nam te różne rzeczy, myślałyśmy, że to tylko słowa, a ty zrobisz co innego. Hmm, nie wszystkie z nas. Cara zawsze ci wierzyła, ale ja nie. - Znów przybrała nieprzeniknioną minę Mord-Sith. - Gdy Rahl Posępny był naszym lordem Rahlem i jakimś sposobem dowiedział się o tym, to kazał mi przyjść do swojego łoża. Wyśmiewał się ze mnie. On... lubił brać mnie do łoża, bo wiedział o tym. Upokarzał mnie w ten sposób. Myślałam, że kiedy się dowiesz, zechcesz zrobić to samo, więc próbowałam to przed tobą ukryć, udając, że czuję do ciebie sympatię.

Richard potrząsnął głową.

- Nie postąpiłbym z tobą w ten sposób, Berdine.

- Teraz to wiem i dlatego postanowiłam ci to wyznać. Zawsze byłeś wobec mnie uczciwy, ja zaś wobec ciebie nie.

Chłopak wzruszył ramionami.

- W takim razie cieszę się, że ci lżej na sercu. - Zamyślił się, skręcając w wijący się korytarz z tynkowanymi ścianami. - Czy to Rahl Posępny, wybierając cię na Mord-Sith, sprawił, że nabrałaś takich upodobań? Dlatego nienawidzisz mężczyzn? Spojrzała nań chmurnie.

- Wcale nie nienawidzę mężczyzn. Po prostu... sama nie wiem... zawsze podobały mi się dziewczyny. Pod tym względem chłopcy mnie nie interesowali. - Przesunęła dłonią po warkoczu. - Teraz mnie nienawidzisz?

- Nie. Nie, Berdine, nie nienawidzę cię. Tak jak dotychczas, jesteś moim obrońcą. Ale czy nie mogłabyś przestać o niej myśleć? To takie niewłaściwe.

Berdine uśmiechnęła się z rezerwą.

- Kiedy Raina uśmiecha się do mnie w ten swój szczególny sposób i dzień nagle staje się cudowny, to wydaje się zupełnie właściwe. Kiedy dotyka mojej twarzy i moje serce szaleje, to wydaje mi się właściwe. Wiem, że pod jej opieką moje serce jest bezpieczne. - Przestała się uśmiechać, - Ale teraz myślisz, że jestem godna pogardy.

Richard odwrócił wzrok. Był zawstydzony i zakłopotany.

- Takie są moje uczucia wobec Kahlan. Kiedyś mój dziadek stwierdził, że powinienem o niej zapomnieć, ale w żaden sposób nie mogłem.

- Dlaczego tak powiedział?

Chłopak nie mógł jej przecież zdradzić, że to dlatego, iż Kahlan jest Spowiedniczką, a Zedd chciał dla Richarda jak najlepiej. Uważano, że nikt nie może szczęśliwie pokochać Spowiedniczki. Było mu przykro, że nie może tym razem być szczery wobec Berdine. Wzruszył ramionami.

- Bo uważał, że ona nie jest dla mnie.

Przeprowadził Mord-Sith przez kolejną wywołującą uczucie mrowienia barierę ochronną znajdującą się na końcu korytarza. W trójkątnym pokoju stała ławka. Usiedli, rozdzieleni świecą kula.

- Chyba wiem, co czujesz, Berdine. Pamiętam, jak to było, kiedy dziadek nakłaniał mnie, żeby nie zapominać o Kahlan. Nikt nie może ci mówić, co masz czuć. Albo żywisz jakieś uczucia, albo nie. Co prawda nie rozumiem tego i nie pochwalam, ale wszystkie stałyście się moimi przyjaciółkami. Przyjaciele zaś wcale nie muszą być tacy sami, a mimo to w dalszym ciągu mogą pozostać przyjaciółmi.

- Wiem, lordzie Rahlu, że nigdy mnie nie zaakceptujesz, ale musiałam ci o tym powiedzieć. Jutro wrócę do D'Hary. Nie powinieneś mieć w ochronie kogoś, kogo nie akceptujesz.

Richard zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Lubisz gotowany groch?

Berdine zmarszczyła brwi.

- Tak.

- A ja nie znoszę. Czy lubisz mnie choć trochę mniej, ponieważ nie cierpię czegoś, za czym ty przepadasz? Czy z tego powodu zrezygnujesz z chronienia mnie?

Wykrzywiła się.

- Tb nie to samo, co gotowany groch, lordzie Rahlu. Jak możesz ufać komuś, kogo nie aprobujesz?

- Nie w tym rzecz, że cię nie aprobuję, Berdine. Po prostu wydaje mi się to niewłaściwe. Wcale jednak nie musi mi się to wydawać właściwe. Kiedy byłem młodszy, miałem przyjaciela. Tak jak ja był leśnym przewodnikiem. Giles i ja spędzaliśmy razem mnóstwo czasu, bo mieliśmy wiele wspólnego. Zakochał się w Lucy Fleckner. Nienawidziłem tej dziewczyny, bo była dla

niego okrutna. Nie mogłem zrozumieć, że jemu mimo to na niej zależy. Nie lubiłem jej i uważałem, że on powinien czuć to samo co ja. Straciłem przyjaciela, gdyż nie mógł być taki, jak sobie wyobrażałem. Nie straciłem go z winy Lucy, a tylko z mojej. Utraciłem wszystko, co nas łączyło, ponieważ nie chciałem pozwolić, żeby czuł i decydował po swojemu. Zawsze żałowałem tego, co straciłem. W tym wypadku jest podobnie. Tak jak nauczyłaś się być nie tylko Mord-Sith, tak też zrozumiesz, czego i ja się nauczyłem, dorastając, że przyjaźń polega na tym, że lubi się kogoś takim, jaki jest. Że akceptujesz nawet to, czego w tym kimś nie rozumiesz. Jeżeli kogoś lubisz, to nie przejmujesz się tym, czego nie pojmujesz. Nie musisz rozumieć ani robić tego samego, ani też żyć życiem tej osoby. Jeśli naprawdę ci na kimś zależy, chcesz, żeby ten ktoś był sobą, bo przede wszystkim lubisz go za to, że jest, jaki jest. Lubię cię, Berdine, i tylko to się liczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Uściskała go.

- Dziękuję, lordzie Rahlu. Bałam się, że pożałujesz, iż mnie uratowałeś. Teraz cieszę się, że ci powiedziałam. Raina będzie zadowolona, że nie uczynisz nam tego, co uczynił nam Rahl Posepny.

Wstali z ławki i część kamiennej ściany przesunęła się w bok. Richard wziął Berdine za rękę i wyprowadził z osobliwego pokoju przez nowe drzwi, w dół po schodach i przez ociekające wilgocią pomieszczenie o kamiennej podłodze, wyrzuszającej się pośrodku w spory garb.

- Skoro zostaliśmy już przyjaciółmi, to czy mogę ci powiedzieć, jaki twój czyn mi się nie podoba, czego nie pochwalam i co źle zrobiłeś?

Richard potaknął.

- Nie podoba mi się, jak postąpiłeś z Cara. Ona jest o to zła. Richard spojrzał na dziwaczne pomieszczenie, które jakby pochłaniało światło.

- Cara? Gniewa się na mnie? Co ja jej zrobiłem?

- Przeze mnie byłeś dla niej paskudny. Chłopak zrobił zdumioną minę, więc mówiła dalej:

- Kiedy byłam we władaniu tego czaru i groziłam ci Agielem, po tym jak wróciłeś z poszukiwań Brogana, wściekłeś się na nas. Potraktowałeś Carę i Rainę tak, jakby i one ci groziły, choć tylko ja to zrobiłam.

- Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Poczuliem się zagrożony przez wszystkie Mord-Sith, ponieważ ty to uczyniłaś. Powinna to zrozumieć.

- I rozumie. Ale kiedy już się wszystkiego domyśliłeś i uzdrowiłeś mnie, nie powiedziałeś Carze i Rainie, że źle zrobiłeś, traktując je tak, jakby groziły ci tak samo jak ja. One tak nie postąpiły.

W ciemnościach Richard poczuł, że się rumieni.

- Masz słuszość. Paskudnie się przez to teraz czuję. Ale dlaczego nic nie powiedziała?

Berdine znacząco uniosła brew.

- Jesteś lordem Rahlem. Nie pisnęłaby ani słówka nawet wtedy, gdybyś zbił ją za to, że nie spodobał ci się sposób, w jaki powiedziała dzień dobry.

- W takim razie dlaczego ty mi o tym powiedziałaś? Berdine weszła za nim w dziwaczny korytarz o brukowanej podłodze. Był szeroki ledwo na dwie stopy, z gładkimi, przypominającymi rury, pokrytymi złotem ścianami.

- Bo jesteś moim przyjacielem.

Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął w podzięcie, a przy okazji zobaczył, jak Mord-Sith wyciąga dłoń, żeby dotknąć złota.

- Zrób to, a umrzesz.

Spojrzała na Richarda, marszcząc brwi.

- Dlaczego z początku powiedziałeś nam, że nie wiesz nic o tym miejscu, a teraz idziesz tak pewnie, jakbyś spędził tu całe życie?

Chłopak najpierw się zdziwił, a potem nagle zrozumiał i aż szeroko otworzył oczy.

- Przez ciebie.

- Przeze mnie?!

- Tak - powiedział ze zdumieniem Richard. - Rozmowa z tobą zaprzątneła moją świadomość. Byłem tak zajęty tym, co mówiłaś, i zastanawianiem się nad twoimi słowami, że pozwoliłem, by prowadził mnie mój dar. I nawet sobie z tego nie zdawałem sprawy. Teraz, kiedy już przeszedłem tę trasę, znam czyhające na niej niebezpieczeństwa i drogę powrotną. Teraz potrafię wrócić. - Ścisnął jej ramię. - Dziękuję, Berdine.

- Od czegoż są przyjaciele? - Uśmiechnęła się.

- Myślę, że najgorsze już za nami. Tędy.

Na końcu złotego korytarza znajdowało się okrągłe, przypominające wieżę pomieszczenie, o średnicy co najmniej stu stóp. Po zewnętrznej ścianie pięły się spiralnie schody. W nieregularnych odstępach, przed drzwiami, znajdowały się niewielkie podesty. Wysoko nad ich głowami

ciemność przebijały snopy światła. Większość okien nie była duża, lecz jedno wydawało się ogromne. Richard nie mógł dokładnie ocenić, jak wysoko wznosi się wieża, musiało to być jednak blisko dwieście stóp. Okrągły sztyb prowadził w dół, w pełen wilgoci mrok.

- Wcale mi się to nie podoba - orzekła Berdine, spojrzawszy przez poręcz na pomost. - To mi się wydaje najgorsze.

Richardowi wydało się, że dostrzegł, jak coś się porusza w zalegających w dole ciemnościach.

- Trzymaj się blisko mnie i miej oczy otwarte - polecił. Wpatrzył się w punkt, w którym, jak mu się zdawało, dostrzegł ów ruch, i starał się znów coś zobaczyć. - Jeżeli coś się stanie, musisz spróbować się stąd wydostać.

Berdine z dezaprobatą rzuciła okiem za poręcz.

- Dotarcie tutaj zajęło nam całe godziny, lordzie Rahlu. Nawet nie wiem, ile barier ochronnych pokonaliśmy. Jeżeli coś ci się przytrafi, to i ja zginę.

Richard rozważył możliwości. Może byłoby lepiej, gdyby się owinął peleryną mriswitha.

- Zaczekasz tutaj, a ja pójdę rzucić okiem.

Berdine złapała go za ramię i gwałtownym szarpnięciem obróciła ku sobie. Spojrzały nań płonące gniewem niebieskie oczy,

- Nie. Sam nie pójdziesz. - Berdine...

- Jestem twoją obrończynią. Nie pójdziesz sam, zrozumiano?

Miała owo przenikliwe, stalowe spojrzenie, które zawsze sprawiało, że Richard się obawiał, iż powie coś głupiego. W końcu odetchnął.

- No dobrze. Ale będziesz się trzymać blisko mnie i robić, co każę.

Berdine przechyliła głowę na bok.

- Zawsze robię, co każesz.

ROZDZIAŁ 37

Tobias Brogan kołysał się w siodle i leniwie obserwował pięciu wysłanników Stwórcy, którzy podążali w przodzie, trochę z boku. Nieczęsto zdarzało się, że byli widoczni. Pojawili się nieoczekiwanie cztery dni temu i od tej chwili byli ciągle w pobliżu, lecz rzadko widoczni, a i wtedy trudno ich było zauważyć, albowiem za dnia mieli barwę śniegu, a nocą byli czarni jak i ona. Tobias zdumiewał się, że potrafili mu zniknąć sprzed oczu. Stwórca miał istotnie nadzwyczajną moc.

Mimo to Brogana wciąż trapiło, dlaczego wybrał właśnie takich posłańców. Stwórca nakazał Tobiasowi w snach, by nie kwestionował jego poczynań i - na szczęście - łaskawie zaakceptował błagania Brogana o wybaczenie niewczesnej i bezczelnej dociekliwości. Prawomyślne dzieci lękały się swojego Stwórcy, a Tobias Brogan był przecież najprawomyślniejszy ze wszystkich. Wciąż jednak uważał, że te pokryte łuskami stwory nie są odpowiednimi dostarczycielami boskich wskazówek.

Lord generał nagle wyprostował się w siodle. Ależ oczywiście. Stwórca nie chciał zdradzać swoich intencji profanom, ukazując im istoty wyglądające na jego wysłańców. Grzesznicy oczekiwaliby, że będzie ich karać piękno i chwała Stwórcy, lecz nie będą się mieli na baczności przed wysłańcami w takim przebraniu.

Brogan westchnął z ulgą. Patrzył, jak mriswithy nachylają się ku sobie i ku czarodziejce, naradzając się szeptem. Mówiła o sobie: Siostra Światła, lecz i tak była czarodziejką, streganichą, wiedźmą. Potrafił zrozumieć, że Stwórca wykorzystuje mriswithy jako posłańców, nie mógł jednak pojąć, dlaczego miałby dać streganisze moc rozkazywania.

Tobias bardzo chciałby wiedzieć, o czym oni tak bez przerwy rozprawiają. Streganichą pojawiła się dzień wcześniej i od tej pory przebywała niemal wyłącznie w towarzystwie pięciu bestii, zamieniając z naczelnym wodzem Bractwa Czystej Krwi ledwo kilka słów. Cała ta szóstka trzymała się razem, jakby jedynie przypadkiem podróżowała w tę samą stronę co Tobias Brogan i tysiąc jego ludzi.

Tobias widział, jak garstka mriswithów rozprawia się z setkami d'haranskich gwardzistów, więc czuł się nieswojo, mając przy sobie zaledwie

ów tysiąc żołnierzy. Reszta jego oddziałów, ponad sto tysięcy członków bractwa, czekała jakiś tydzień drogi od Aydindril. Stwórca, nawiedzając Brogana we śnie pierwszej nocy spędzonej wśród wojska, nakazał mu pozostać na uboczu i brać udział w zdobyciu Aydindril.

- Lunetto - powiedział cicho Brogan, obserwując siostrę gestykującą przy rozmowie z mriswithami.

Podjechała bliżej od prawej. Wzięła zeń przykład i spytała równie cicho:

- O co chodzi, mój lordzie generale?

- Widziałaś, Lunetto, jak Siostra korzysta ze swojej mocy?

- Tak, lordzie generale. Wtedy gdy usuwała z drogi wiatrołom.

- Możesz stąd ocenić jej moc? Lunetta skinęła leciutko głową.

- Czy jest równa twojej mocy, siostrze?

- Nie, Tobias. Uśmiechnął się do niej.

- Dobrze to wiedzieć. - Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu i czy widać całą szóstkę. - Zaczynają mnie wprawiać w zakłopotanie pewne rzeczy, które usłyszałem od Stwórcy w ciągu kilku ostatnich nocy.

- Czy chcesz powiedzieć Lunecie?

- Tak, ale nie teraz. Porozmawiamy o tym później. Leniwie pogładziła swoje śliczne szatki.

- Może kiedy będziemy sami. Wkrótce będzie czas na postój. Tobias dostrzegł i afektowanie skromny uśmiech, i zachętę.

- Tego wieczoru tak szybko się nie zatrzymamy. - Zadarł nos i wciągnął głęboko zimne powietrze. - Jest tak blisko, że niemal wyczuwam jej zapach.

Schodząc w dół, Richard liczył podesty, żeby potem odnaleźć drogę powrotną. Sądził, że powinien dobrze pamiętać resztę trasy ze względu na punkty orientacyjne, lecz wewnątrz wieży dezorientowało go. Cuchnęło zgnilizną jak głębokie bagno. Było tak pewnie dlatego, że w dole zbierała się woda wpadająca przez otwarte okna.

Na kolejnym podejściu coś zamigotało, kiedy się tam zbliżał. W świetle bijącym z trzymanej w dłoni kuli chłopak dostrzegł coś stojącego z boku. Jego kontury jaśniały w wibrującym blasku. W owym zarysie Richard rozpoznał otulonego peleryną mriswitha.

- Wwwwwitaj, krewniaku - zasyczał stwór. Berdine się wzdrygnęła.

- Co to było? - spytała natarczywie.

Richard złapał ją za nadgarstek, bo usiłowała się wysunąć przed niego, trzymając w dłoni Agiel, i przyciągnął do drugiego boku, dalej od mriswitha. Nie zatrzymał się.

- To tylko mriswith.

- Mriswith! - szepnęła ochryple. - Gdzie?

- Na podeście, przy poręczy. Nie bój się, nic ci nie zrobi. Zmusił ją, żeby opuściła rękę z Agielem, i Berdine wczepiła się w czarną pelerynę Richarda. Stanęli na podeście.

- Przyszedłeś, żeby zbudzić sylfę? - zapytał mriswith.

- Sylfę? - zdziwił się Richard.

Mriswith rozchylił pelerynę i wskazał trzymanym w łapie nożem o trzech ostrzach w dół schodów. Stał się całkowicie widzialny: pojawiła się pokryta ciemną łuską postać w pelerynie.

- Sylfa jest tam, w dole, krewniaku. - Znów skierował na chłopaka paciorkowate oczy. - Wreszcie jest dostępna. Wkrótce nadejdzie czas, by zaśpiewał yabree.

- Yabree?

Mriswith uniósł nóż o trzech ostrzach i zakołysał nim. Tworzące szparę usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Yabree. Kiedy zaśpiewa yabree, nadejdzie czas królowej.

- Królowej?

- Królowa cię potrzebuje, krewniaku. Musisz jej pomóc. Richard czuł, jak przytulona doń Berdine drży. Uznał, że lepiej odejść, zanim Mord-Sith jeszcze bardziej się wystraszy, i ruszył w dół schodów. Dwa podesty niżej wciąż się doń tuliła.

- Zniknął - szepnęła mu do ucha. Richard obejrzał się i przekonał, że ma rację.

Berdine wepchnęła chłopaka do zagłębienia w odrzwiach i przycisnęła plecami do drewnianych drzwi. Jej przenikliwe niebieskie oczy płonęły.

- To był mriswith, lordzie Rahlu.

Richard przytaknął, trochę zdumiony jej gniewnym posapywaniem.

- Mriswithy zabijają ludzi, lordzie Rahlu. Zawsze je zabijałeś. Richard wskazał dłonią położony wyżej podest.

- Nie zamierzał nas atakować. Przecież ci to powiedziałem. I nie zaatakował, prawda? Nie było powodu go krzywdzić.

- Nic ci nie jest, lordzie Rahlu? - zatroskała się Berdine.
- Nic a nic. Idziemy. Może mriswith podpowiedział nam, czego szukać. Spróbował się ruszyć, lecz znów przydusiła go do drzwi.
- Dlaczego nazwał cię krewniakiem?
- Nie wiem. Może dlatego, że on ma łuski, a ja skórę. Sądzę, że po to, by zaznaczyć, iż nie chce nas skrzywdzić. Chciał pomóc.
- Pomóc? - powtórzyła z niedowierzaniem.
- Nie próbował nas zatrzymać, prawda?

Wreszcie go puściła, ale długo jeszcze bacznie mu się przyglądała.

Na samym dole wieży wokół ściany biegł chodnik ograniczony żelazną barierką. Pośrodku czyhała czarna woda, z której tu i ówdzie sterczały skałki. Salamandry tkwiły na kamiennej ścianie poniżej chodnika i leżały na wpół zanurzone w wodzie na skałkach. Po czarnej powierzchni śmigały owady, omijając pękające niekiedy bąble.

W połowie chodnika Richard wiedział już, że znalazł to, czego szukał: coś nie tak zwyczajnego jak biblioteki czy osobliwe komnaty i korytarze.

Szeroka platforma przed znajdującymi się tam onegdaj drzwiami zasłana była osmalonymi kamiennymi odłamkami, drzazgami i pyłem. W ciemnej wodzie za barierką pływały fragmenty drewnianych wrót. Sama framuga też została wyrwana i otwór był teraz niemal dwa razy większy niż poprzednio. Poszarpane obrysy były poczerniałe, a kamień miejscami stopiony niczym wosk. Od wyrwy biegingy po ścianach zygzakowate smugi, jakby wypaliła je błyskawica.

- To nie jest takie stare - powiedział Richard, przesuwając palcem po czarnej sadzy.

- Skąd wiesz? - spytała Berdine, rozglądając się.

- Popatrz. Widzisz? Pleśń i szlam zostały zmiecione ze skały i nie miały czasu narosnąć. To się stało niedawno, w ciągu kilku ostatnich miesięcy.

Za wyrwą było okrągłe pomieszczenie o średnicy około sześćdziesięciu stóp i ścianach pokrytych zygzakowatymi śladami. Wyglądało to tak, jak gdyby szalała tu błyskawica. Na środku znajdowała się okrągła kamienna ścianka - jakby studnia - zajmująca niemal połowę szerokości komnaty. Richard pochylił się nad sięgającym pasa murkiem, poświecił sobie kulą. Gładkie kamienne ściany spadały w nie kończącą się czeluść. Blask rozjaśniał zaledwie jej cząstkę. A studnia zdawała się nie mieć dna.

Sklepiiony strop znajdował się niemal sześćdziesiąt stóp powyżej. Nie było ani okien, ani innych drzwi. Po przeciwległej stronie Richard dostrzegł stół i kilka półek.

Kiedy okrążyli studnię, zobaczył też ciało leżące na podłodze, obok krzesła. Zostało trochę kości i strzępy płóciennych szat. Prawie cały strój już dawno zgnił, szkielet okalał jedynie skórzany pas. Ostały się również sandały. Kiedy Richard dotknął kości, rozkruszyły się niczym wysuszony słońcem pył.

- Był tu od bardzo dawna - stwierdziła Berdine.

- Masz zupełną rację.

- Spójrz, lordzie Rahlu.

Richard wyprostował się i popatrzył na stół. Stał tam suchy już od wieków kałamarz, a obok niego leżało pióro i otwarta księga. Chłopak nachylił się i zdmuchnął z księgi kurz oraz kamienne odłamki.

- To w górnodliarańskim - powiedział, poświeciwszy sobie kulą.

- Pozwól mi spojrzeć. - Przesunęła wzrokiem po dziwacznych literach. - Rzeczywiście.

- Co tam napisano?

Berdine ostrożnie wzięła księgę w dłonie.

- To jest bardzo stare. Tak starego dialektu jeszcze nigdy nie widziałam. Rahl Posępny pokazywał mi tekst w dialekcie, który miał, jak twierdził, ponad dwa tysiące lat. - Podniosła wzrok. - A ten jest jeszcze starszy.

- Potrafisz to przeczytać?

- Tylko troszkę rozumiałam tekst książki, którą znaleźliśmy zaraz na początku. - Przyjrzała się ostatniej zapisanej stronicy. - Z tego rozumiem jeszcze mniej - powiedziała, przewróciwszy kilka kartek.

Richard ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

- Rozumiesz choć trochę?

Przestała przerzucać strony i wpatrzyła się w tekst.

- Tu jest coś o osiągnięciu na koniec sukcesu, ale ten sukces oznacza, że on tu umrze. - Wskazała słowo. - Widzisz? *Drauka*. To słowo, jak sądzę, oznacza śmierć. - Berdine przyjrzała się gładkiej skórzanej okładce, po czym przekartkowała książkę.

W końcu podniosła wzrok.

- To chyba pamiętnik. Pamiętnik człowieka, który tutaj umarł. Richard

dostał gęziej skórki.

- Tego właśnie szukałem, Berdine. To nie jest coś zwyczajnego, jak książka w bibliotece, którą widzieli inni. Potrafisz to przetłumaczyć?

- Może trochę, ale nie wszystko - przyznała z rozczarowaniem. - Tak mi przykro, lordzie Rahlu. Nie znam takich starych dialektów. Taki sam problem miałabym z książką, którą zobaczyliśmy na początku. Znam za mało słów, żeby prawidłowo uzupełnić luki. Tylko bym zgadywała.

Richard przygryzł dolną wargę i zamyślił się. Patrzył na kości, zastanawiając się, co ów czarodziej robił w tym pomieszczeniu, co pieczętowało wejście oraz co zerwało pieczęć. Obrócił się ku Berdine.

- Berdine! Znam tę książkę na górze. Znam opowieść. Gdybym opowiedział ci tę historię, czy pomogłoby ci to odcyfrować słowa, a potem wykorzystać je do przetłumaczenia owego pamiętnika?

Zastanowiła się nad tym, w końcu jej twarz pojaśniała.

- Tak, wspólna praca mogłaby pomóc. Gdybyś powiedział mi, co znaczy całe zdanie, domyśliłabym się znaczenia słów, które są mi obce. Poradzilibyśmy sobie.

Richard troskliwie zamknął pamiętnik.

- Chroń go jak swojego życia. Ja poniosę światło. Chodźmy stąd. Mamy to, po co przyszliśmy.

Kiedy Richard i Berdine pokonali osłonę w przejściu, Cara i Raina omal nie wyskoczyły ze skóry, taką odczuły ulgę. Chłopak dostrzegł też, że nawet Egan i Ulic zamknęli oczy i odetchnęli, dziękując w milczeniu dobrym duchom za wysłuchanie modłów.

- W wieży są mriswithy - oznajmiła Berdine, którą obie kobiety zarzuciły pytaniami.

Cara aż sapnęła.

- Ile musiałeś zabić, lordzie Rahlu?

- Żadnego. Nie zaatakowały nas. Nic nie groziło nam z ich strony. Za to było tam mnóstwo innych niebezpieczeństw. - Machnięciem ręki zbył jej gniewne pytania. - Później o tym porozmawiamy Z pomocą Berdine znalazłem to, czego szukałem. - Poklepał trzymany przez Mord-Sith pamiętnik. - Musimy wracać i zająć się tłumaczeniem. - Wziął ze stołu książkę i podał ją Berdine. Ruszył ku wyjściu, lecz przystanął i obrócił ku Carze i Rainie. - Kiedy byłem tam, na dole, i myślałem sobie, że umrę, jeśli

zrobię coś nie tak, zrozumiałem, że nie chcę umierać, zanim warn dwóm czegoś nie powiem. - Wsunął ręce do kieszeni i zbliżył się ku obu kobietom. - Tam, na dole, uświadomiłem sobie, że nigdy nie przeprosiłem za to, jak was obie potraktowałem.

- Nie wiedziałeś, lordzie Rahlu, że Berdine była pod działaniem czaru - odezwała się Cara. - Nie mamy ci za złe, że nie chciałeś mieć nas w pobliżu.

- Wtedy rzeczywiście nie zdawałem sobie sprawy, że Berdine jest pod działaniem czaru, ale teraz już tak i chcę, byście wiedziały, że niesłusznie źle o was myślałem. Nigdy nie dałyście mi do tego powodów. Przepraszam. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Cara i Raina uśmiechnęły się ciepło. Richard pomyślał, że nigdy nie przypominały mniej Mord-Sith niż w tej chwili.

- Wybaczymy ci, lordzie Rahlu - oznajmiła Cara, a Raina potwierdziła to skinieniem głowy.

- Dziękuję.

- Co się działo na dole, lordzie Rahlu? - spytała Raina.

- Rozmawialiśmy o przyjaźni - odparła zamiast niego Berdine. U krańca drogi od Wieży Czarodzieja, tam gdzie zaczynało się Aydindril i gdzie do miasta dochodziły inne trakty, znajdował się niewielki targ. Nie mógł się oczywiście równać z tym przy Stentor Street, lecz i tak oferował przybyszom najrozmaitsze towary. Kiedy Richard mijał ów targ, otoczony przez pięcioro strażników i z maszerującą z tyłu eskortą, dostrzegł coś w gasnącym świetle dnia i zatrzymał się przed małym, rozklekotanym stolikiem.

- Chciałbyś jedno z naszych miodowych ciasteczek, lordzie Rahlu? - zapytał znajomy głosik.

- Ile mi jeszcze jesteś winna? - Uśmiechnął się do dziewczynki. Dziewuszka odwróciła się.

- Babciu?

Staruszka wstała, otuliła się mocniej postrzępionym kocem i wbiła w Richarda wyblakłe niebieskie oczy.

- No, no, no - powiedziała z uśmiechem, ukazując szczerbate zęby. - Lord Rahl może dostać tyle ciasteczek, ile tylko zechce, kochanie. - Skłoniła głowę.

- Miło cię widzieć w dobrym zdrowiu, lordzie Rahlu.

- I ciebie również... - Zamilkł, czekając na imię.

- Valdora - powiedziała i przesunęła dłonią po jasnobrązowych włosach

dziewczynki. - A to jest Holly.

- Miło mi was znów widzieć, Valdoro i Holly. Dlaczego jesteście tutaj, a nie przy Stentor Street?

Valdora poruszyła otulonymi kocem ramionami.

- Przy nowym lordzie Rahlu miasto jest bezpieczne i zjawia się coraz więcej ludzi. Może nawet odżyje znów Wieża Czarodzieja. Może nasz towar przyciągnie tych nowych ludzi.

- Cóż, nie liczylibym na to, że wieża wkrótce znów będzie zamieszkana, ale z pewnością zainteresujecie przybywających do Aydindril. - Richard przyjrzał się leżącym na stole ciasteczkom. - Ile mi jeszcze zostało?

Valdora zachichotała.

- Musiałabym napiec całe góry, lordzie Rahlu, żeby wyrównać dług.

- Coś ci powiem. - Richard mrugnął do niej. - Jeżeli dostanę po jednym dla tych tu moich pięciorga przyjaciół i jeszcze jedno dla mnie, to będziemy kwita.

Valdora powiodła wzrokiem po pięciorgu strażnikach. Ponownie skłoniła głowę.

- Zgoda, lordzie Rahlu. Sprawileś mi większą przyjemność, niż się spodziewasz.

ROZDZIAŁ 38

Spiesząc ku bramie prowadzącej do wydzielonego dla Ksieni sektora Pałacu Proroków, Verna dostrzegła w mroku stojącego na warcie Kevina Andellmere. Spieszyła się do sanktuarium, ponieważ chciała powiadomić Ann, że w końcu znalazła sposób i że zna imiona niemal wszystkich wiernych Światłu Sióstr, ale Kevina nie widziała już od wielu tygodni. Zatrzymała się więc mimo pośpiechu.

- Czy to ty, Kevinie?

- Tak, Ksieni. - Młody żołnierz się skłonił.

- Sporo czasu cię nie widziałam.

- Istotnie, Ksieni. Bollesdun, Walsh i ja zostaliśmy odwołani do naszego oddziału.

- Dlaczego?

- Nie wiem dokładnie. - Kevin przestąpił z nogi na nogę. - Podejrzewam, że dowódcę ciekawi czar działający w pałacu. Poznałem go blisko piętnaście lat temu i postarzał się. Chciał zobaczyć na własne oczy, czy to prawda, że my nie posunęliśmy się w latach. Powiedział, że Bollesdun, Walsh i ja wyglądamy dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zobaczył nas po raz pierwszy przed piętnastoma laty. Mówił, że nie chciał wierzyć w to, co słyszał, ale teraz uwierzył. Zwołał tych swoich dowódców, którzy nas znali, żeby mogli nas obejrzeć.

Verna poczuła, jak pot rosi jej czoło. Ogarnął ją nagły chłód. Zrozumiała, po co imperator przybywa do Pałacu Proroków. Musiała o tym powiadomić Ksienię. Nie było czasu do stracenia.

- Kevinie, jesteś wiernym żołnierzem imperium, Imperialnego Ładu?

Kevin przesunął dłoń w górę drzewc piki. Powiedział z wahaniem:

- Tak, Ksieni. To znaczy, kiedy Imperialny Ład podbił mój kraj, nie miałem wielkiego wyboru. Zrobiono ze mnie żołnierza Imperialnego Ładu. Jakiś czas walczyłem na północy, w pobliżu Dżiczy. Potem, gdy Imperialny Ład zajął nasze królestwo, powiedziano mi, że jestem jego żołnierzem i przydzielono do pałacu. Nie mogła mi się trafić lepsza służba. Cieszę się, że znów mogę strzec twoich apartamentów. A Bollesdun i Walsh cieszą się, że wrócili na posterunki przed pokojami Proroka. Oficerowie zawsze byli

przyzwoici, no i dostawałem żołd. Nie za wysoki, lecz wypłacano go regularnie, a widuję mnóstwo ludzi, którzy nie mają pracy i z trudem zdobywają pożywienie. Verna łagodnie dotknęła jego ramienia.

- Co myślisz o Richardzie, Kevinie?

- Richard? - Żołnierz się rozpromienił. - Lubiłem Richarda. Kupował drogie czekoladki dla mojej damy.

- To wszystko, co on dla ciebie oznacza? Czekoladki? Kevin poskrobał brew.

- Nie... nie to miałem na myśli. Richard był... porządnym chłopem.

- Wiesz, dlaczego kupował ci te czekoladki?

- Bo był miły. Troszczył się o ludzi. Verna skinęła głową.

- Tak, troszczył się. Miał nadzieję, że dzięki tym czekoladkom zobaczysz w nim przyjaciela i nie będziesz z nim walczył, kiedy przyjdzie czas ucieczki, a wtedy on nie będzie cię musiał zabić. Nie chciał, żebyś był wrogiem, który próbowałby go zabić.

- Zabić go? Ksieni, nigdy bym...

- Gdyby nie był dla ciebie miły, to mogłaby w tobie przeważać lojalność wobec Pałacu Proroków i mógłbyś próbować go zatrzymać.

Kevin spuścił wzrok.

- Widziałem, jak robi mieczem. Dar sprawił chyba więcej niż czekoladki.

- Tak było. Jeśli nadejdzie czas, Kevinie, i będziesz musiał wybierać między Richardem a Imperialnym Ładem, to na co się zdecydujesz?

Skrzywił się z zażenowaniem.

- Jestem żołnierzem, Ksieni - jęknął. - Ale Richard jest moim przyjacielem. Ciężko by mi było podnieść broń na przyjaciela. Reszcie pałacowych gwardzistów też. Wszyscy go lubili.

Verna ścisnęła jego ramię.

- Bądź lojalny wobec przyjaciół, Kevinie, a będziesz w porządku. Bądź lojalny wobec Richarda, a to cię uratuje.

Potakująco skinął głową.

- Dziękuję, Ksieni. Boję się jednak, że będę musiał wybierać. - Postuchaj mnie, Kevinie. Imperator jest złym człowiekiem. Kevin milczał.

- Zapamiętaj to. I zachowaj dla siebie moje słowa, dobrze?

- Tak, Ksieni.

Verna weszła do pierwszego gabinetu i Phoebe na jej widok na wpół

uniosła się z krzesła.

- Dobry wieczór, Ksieni.

- Muszę się pomodlić o radę, Phoebe. Nikogo nie przyjmuję. - Nagłe przypomniawszy jej coś, co powiedział Kevin. To nie miało sensu. - Gwardziści Bollesdun i Walsh zostali wyznaczeni do pilnowania apartamentów Proroka. Nie mamy już Proroka. Sprawdź, dlaczego tam są oraz kto to nakazał, i zawiadom mnie zaraz z rana. - Pogroziła jej palcem. - Zaraz z rana.

- Verno... - Phoebe opadła na krzesło i wbiła wzrok w biurko. Siostra Dulcinea odwróciła pobladołą twarz i całą uwagę poświęciła raportom. - Verno, kilka Sióstr chce się z tobą zobaczyć. Czekają w środku.

- Nikomu nie pozwoliłam czekać w moim gabinecie! Phoebe nie podniosła wzroku.

- Wiem, Ksieni, ale...

- Zajmę się tym. Dziękuję, Phoebe.

Verna z gniewną miną weszła energicznym krokiem weszła do swojego gabinetu. Nikomu nie wolno było tam wchodzić bez jej wyraźnej zgody. Nie mogła tracić czasu najakieś bzdury. Wymyśliła sposób pozwalający odróżnić Siostry Światła od Sióstr Mroku i wiedziała, po co imperator przybywa do Tanimury, do Pałacu Proroków. Musiała przesłać Ann wiadomość. Musiała się dowiedzieć, co ma zrobić.

W ciemnej komnacie dostrzegła postacie czterech kobiet i podeszła ku nim.

- Co to ma znaczyć?

Jedna z kobiet wysunęła się w krąg rzucanego przez świecę światła i Verna rozpoznała Siostrę Leomę. A potem, w oślepiającym błysku bólu, świat zalała czerń.

- Rób, co mówię, Nathanie.

Nachylił się ku niej, nawet bardzo, biorąc pod uwagę różnicę wzrostu, i zgrzytnął zębami.

- Mogłabyś przynajmniej dać mi dostęp do mojej Han! Jak mam cię chronić?

Ann obserwowała o zmierzchu, jak pięciuset żołnierzy szło ulicą za lordem Rahlem.

- Nie chcę, żebyś mnie chronił. Nie możemy ryzykować. Wiesz, co robić.

Nie wolno ci się wmieszać, dopóki on mnie nie uwolni, bo inaczej nie uda się nam złapać kogoś tak niebezpiecznego.

- A jeżeli on cię nie uwolni?

Ann starała się nie myśleć o takiej ewentualności. Starła się nie myśleć o tym, co się wydarzy, nawet jeśli wydarzenia pójdą właściwym odgałęzieniem.

- Czyżbym musiała pouczać Proroka na temat prorocत्व? Musisz pozwolić, żeby to się wydarzyło. Potem usunę blokadę. Zabierz konie na noc do stajni. Zadbaj, by dobrze nakarmili.

Nathan wyrwał jej wodze.

- Niech będzie po twojemu, kobieto. - Odwrócił się. - Módl się lepiej, żebym się nigdy nie pozbył tej obroży, bo wówczas byśmy sobie dłuuuugo pogadali. Choć nie bardzo mogłabyś rozmawiać, jako że bym cię związał i zakneblował.

Ann zachichotała.

- Jesteś porządnym człowiekiem, Nathanie. Ufam ci. I ty musisz mi ufać.

- Jeżeli pozwolisz się zabić... - Pogroził jej palcem.

- Wiem, Nathanie.

- A mówią, że to ja jestem szalony - burknął i odwrócił się ku niej. - Przynajmniej kup sobie coś do jedzenia. Nie przez cały dzień. O, tam, jest targ. Obiecuj mi, że coś zjesz.

- Nie jestem...

- Obiecuj!

- Dobrze, Nathanie - westchnęła Ann. - Zjem coś, jeżeli to cię uszczęśliwi. Ale wcale nie jestem głodna. - Uniosła karcąco palec. - Obiecałam. Idź już.

W końcu odszedł rozeźlony z końmi, a Ann ruszyła ku Wieży Czarodzieja. Żołądek rozbolał ją ze strachu, że tak na oślep idzie w prorocत्व. Nie miała ochoty iść znowu do wieży, a ta ochota była jeszcze mniejsza, kiedy się pomyślało o wchodzącym w grę prorocत्वie. Jednak musiała to zrobić. To był jedyny sposób.

- Miodowe ciasteczko, pani? Tylko za pensa i całkiem dobre. Ann spojrzała na dziewczynkę w za dużym płaszczu stojącą za rozklekotanym stolikiem. Hmm, przecież nie obiecywała, co zje. Miodowe ciasteczko zupełnie wystarczy.

- Zupełnie sama nocą? - Ann uśmiechnęła się do ładniutkiej buzi.

- Nie, pani. - Dziewuszka odwróciła się i wskazała palcem. - Jest tu ze mną babcia.

Pulchna kobieta kulila się owinięta wystrzępionym kocem. Pewno spała. Ann sięgnęła do kieszeni i wyjęła monetę.

- Srebro dla ciebie, kochanie. Wygląda na to, że bardziej go potrzebujesz niż ja.

- O, dziękuję, pani. - Wzięła spod stołu miodowe ciasteczko. - Proszę, weź to. To z tych lepszych, które mają najwięcej miodu. Chowam je dla najmilszych ludzi z tych, którzy zatrzymają się przy moim stoliku.

Ann uśmiechnęła się i wzięła miodowe ciasteczko. - Dziękuję, kochanie.

Ann ruszyła drogą ku Wieży Czarodzieja, a dziewczynka zaczęła pakować dobytek.

Annalina delektowała się słodkim miodowym ciasteczkiem i przyglądała się ludziom chodzącym po niewielkim targu, wypatrując osoby która przyniesie kłopoty. Nie dostrzegła nikogo, kto by groźnie wyglądał, wiedziała jednak, że ta osoba tu jest. Przeniosła uwagę na drogę, którą szła. Co ma być, to będzie. Zastanawiała się, czy naprawdę mniej by się niepokoiła, gdyby wiedziała, jak to się stanie. Prawdopodobnie nie.

W mroku nikt nie zauważył, że poszła drogą ku wieży i nareszcie była sama. Chciała, żeby Nathan tu z nią był, ale miło było nareszcie - choć na krótko - być samą. Dzięki temu mogła pomyśleć o swoim życiu, o zmianach, jakie to oznaczało. Tak wiele lat.

Jej czyn przypominał skazanie na śmierć tych, których kochała. Lecz czyż miała wybór?

Ann skończyła miodowe ciasteczko i oblizała do czysta palce. Ciasteczko nie przysłużyło się jej żołądkowi, choć na to liczyła. Kiedy przechodziła pod uniesioną żelazną kratą, jej żołądek wyprawiał dziwne harce. Cóż się z nią działo? Wszak już przedtem stawiała czoło niebezpieczeństwom. Może dlatego, że się postarzała, bardziej ceniła życie i mocniej się go czepiała, z obawy, iż się jej wyśliznie.

W Wieży Czarodzieja zapaliła świecę; już wiedziała, że coś jest nie tak. Czuła nieznośne gorąco. Oczy ją piekły. Stawy bolały. Czyżby była chora? Nie teraz, drogi Stwórco. Teraz potrzebowała sił.

Poczuła kłujący ból za mostkiem, przycisnęła ramiona do piersi i osunęła się na fotel. Jęknęła, komnata wirowała. Co to...?

Miodowe ciasteczko.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że to się tak stanie. A zastanawiała się, jak ktoś mógłby ją pokonać. W końcu miała swoją Han, mocną, potężniejszą niż u niemal wszystkich innych czarodziejek. Jak mogła być taka głupia? Zgięła się wół, przeszły ostry ból.

Zamglonymi oczami spojrzała, że do komnaty weszły dwie osoby: jedna wyższa, druga niższa. Dwie? Nie oczekiwała dwóch. Drogi Stwórco, dwie wszystko niweczyły.

- No, no, no. Popatrzmy, co też noc dla mnie złościła. Ann z wielkim wysiłkiem uniosła głowę.

- Kim... jesteś? Osoby się zbliżyły.

- Nie pamiętasz mnie? - zarechotała stara kobieta zawinięta w koc. - Nie rozpoznajesz mnie, takiej starej i zniszczonej? To ty jesteś za to odpowiedzialna. Cóż, muszę przyznać, że nie wyglądasz na ani trochę starszą. Wciąż byłabym młoda, gdyby nie ty, droga Ksieni. Wtedy byś mnie rozpoznała.

Ann wstrzymała oddech, porażona nową falą bólu.

- Miodowe ciasteczko nie posłużyło? - Kto...?

Stara kobieta oparła dłonie o kolana i nachyliła się.

- Ależ Ksieni, przecież musisz pamiętać. Obiecałam, że zapłacisz za to, co mi uczyniłaś. A ty nawet nie pamiętasz swojego okrutnego postępuku? Tak niewiele to dla ciebie znaczyło?

Ann otworzyła szeroko oczy. Nagle ją rozpoznała. Nigdy by jej nie poznała po tych wszystkich latach, gdyby nie to, że głos był ten sam.

- Valdora.

Stara kobieta znów zarechotała.

- Droga Ksieni, czuję się zaszczyciona, że pamiętasz kogoś tak nisko postawionego jak ja. - Skłoniła się z przesadną dwornością. - Mam nadzieję, że pamiętasz również, co ci obiecałam. Pamiętasz, prawda? Obiecałam, że będę patrzeć, jak umierasz.

Ann, wijąc się w straszliwym bólu, poczuła, że spada na podłogę.

- Sądziłam... że... jak się... zastanowisz... nad swoimi... czynami, to... zrozumiesz błędy... które popełniłaś. Teraz widzę... że słusznie uczyniłam... wyrzucając cię... z pałacu. Nie masz... prawa służyć jako Siostra.

- O, nie zamartwiaj się, Ksieni. Zapoczątkowałam własny pałac. Moja

wnuczka jest moją uczennicą, moją nowicjuską. Uczę ją lepiej, niż wy, Siostry, kiedykolwiek uczyłyście. Uczę ją wszystkiego.

- Uczysz ją... truć ludzi? Valdora się roześmiała.

- O, trucizna cię nie zabije. Osłabi cię na tyle, żebym mogła cię oplatać siecią i uczynić bezradną. Tak łatwo nie umrzesz. - Pochyliła się niżej, jej głos ociekał jadem. - Będiesz długo umierać, Ksieni. Może nawet dotrwasz do rana. Jednej nocy można umierać nawet tysiąc razy.

- Skąd... wiedziałaś, że... się zjawię? Kobieta się wyprostowała.

- O, nie wiedziałam. Kiedy zobaczyłam lorda Rahla i kiedy dał mi jedną z twoich monet, pomyślałam, że może sprowadzi mi Siostrę. Nie miałam pojęcia, nawet mi się nie śniło, że mi sprowadzi samą Ksienię. Prosto w moje ręce. Jakież to cud. Nie, nawet nie śmiałam o tym marzyć. Z największą radością odarłabym ze skóry jedną z twoich Sióstr czy twojego ucznia, lorda Rahla, byle sprawić ci ból. Teraz jednak mogę zaspokoić moje najgłębsze, najczarniejsze pragnienia.

Ann próbowała przywołać swoją Han. Mimo bólu uświadomiła sobie, że ciasteczko zawierało coś więcej niż truciznę. Było nosicielem czaru.

Drogi Stwórco, to się nie działo tak, jak powinno.

Komnata mroczniała. Ann poczuła bolesne szarpnięcie za włosy. Czowała, jak kamień drapie jej plecy. Widziała ładną, uśmiechniętą buzię idącej obok niej dziewczynki.

- Wybaczam ci, dziecko - wyszeptała Ann.

A potem pochłonęła ją czerń.

ROZDZIAŁ 39

Kahlan w jednej dłoni trzymała miecz, drugą zaciskała na ramieniu Adie. Biegły. W ciemności potknęły się o Orska i upadły ciężko. Kahlan wyszarpaneła dłoń z ciepłej masy jego leżących w śniegu wnętrzności.

- Skąd... on się tu wziął!?

Adie dyszała, próbując złapać oddech.

- To niemożliwe!

- Księżyc świeci dość jasno, żebyśmy mogły wszystko widzieć. Wiem, że nie chodzimy w kółko.

Kahlan zanurzyła ręce w śniegu, ścierając z nich zakrzepłą krew. Podniosła się, pomogła wstać Adie. Wszędzie dokoła leżały ciała w szkarłatnych pelerynach. Bitwa była tylko jedna. Nie mogło być innych ciał. I Orsk...

Kahlan powiodła wzrokiem po linii drzew, wypatrując jeźdźców.

- Adie, pamiętasz wizję Jebry? Widziała, że chodzę w kółko.

- Ale jak? - Adie otarła twarz ze śniegu.

Kahlan wiedziała, że Adie już dalej nie pobiegnie. Zużyła swoją moc w walce i była śmiertelnie wyczerpana. Jej magiczna moc porażała napastników, lecz było ich zbyt wielu. Orsk musiał zabić dwudziestu lub trzydziestu. Kahlan nie widziała, jak go zabito, ale oto już trzeci raz natknęła się na jego ciało. Przecięto go niemal na pół.

- W którą stronę powinniśmy uciekać? - spytała czarodziejkę.

- Oni są tam - wskazała Adie. - Musimy pójść tędy.

- I ja tak myślę. - Pociągnęła Adie w przeciwną stronę. - Robimy to, co niby powinniśmy, i nic dobrego z tego nie wychodzi. Musimy spróbować czegoś innego. Chodź. Powinniśmy zrobić to, co według nas jest błędne.

- To może być czar - rzuciła Adie. - Jeżeli tak, to masz rację. Za bardzo jestem zmęczona, by wyczuć, czy jest to czar.

Ruszyły poprzez jeżyny w dół stromego stoku, na wpół biegnąc, na wpół ześlizgując się po śniegu. Kahlan, zanim skoczyła za krawędź, zobaczyła wypadających spomiędzy drzew jeźdźców.

Na dole śnieg tworzył głębokie zasy. Przedzierały się przez nie ku drzewom. Jakby brnęły poprzez bagno.

Z ciemności wyskoczył nagle jakiś żołnierz i ruszył za nimi stokiem. Kahlan nie czekała, aż Adie użyje magii. Nie miałyby czasu na ucieczkę, gdyby się jej nie udało.

Kahlan okręciła się, unosząc miecz. Żołnierz w czerwonej pelerynie obronnym gestem uniósł swoją klingę. Na piersiach miał pancerz. Zmarnowałyby cios. Osłaniał twarz. Był to instynktowny odruch, ale fatalny w starciu z kimś, kogo szkolił król Wyborn, ojciec Kahlan. Żołnierze w pancerzach walczą z błędną pewnością siebie.

Dziewczyna z całej siły skierowała miecz w dół. Trafiła go w udo. Żołnierz z bezradnym krzykiem upadł na zdeptany śnieg. Miał rozplątane mięśnie uda.

Inny żołnierz skoczył ponad nim ku Kahlan. Szkarłatna peleryna rozwiała się w nocnym powietrzu. Dziewczyna uniosła klingę, zraniła napastnika w wewnętrzną część uda, rozcinając mu tętnicę. Kiedy padał, podcięła mu ścięgna w kolanie.

Pierwszy wrzeszczał z przerażenia, drugi przeklinał ją najgorszymi słowami, jakie znał. Czołgał się, unosząc miecz i prowokując Kahlan do walki.

Kahlan przypomniała sobie, co mówił jej ojciec: "Słowa cię nie zranią. Strzeż się tylko stali. Walcz tylko ze stalą".

Nie traciła czasu na dobijanie ich: pewnie i tak wykrwawią się na śmierć na śniegu, a jeśli nie, to przecież nie mogą za nią pobiec. Kahlan i Adie złapały się za ręce i ruszyły szybko ku drzewom.

Dyszząc, szły w ciemnościach wśród ośnieżonych jodeł. Kahlan zorientowała się, że Adie drży. Już na samym początku straciła swój ciepły płaszcz. Dziewczyna zdjęła futrzaną pelerynę i narzuciła ją Adie na ramiona.

- Nie, dziecko - zaprotestowała czarodziejka.

- Włóż to - nakazała Kahlan. - Pocę się, a poza tym to mi tylko przeszkadza w posługiwaniu się mieczem.

Tak naprawdę to prawa ręka dziewczyny była tak omdlała, że Kahlan ledwo mogła unieść miecz, a z jeszcze większym trudem - zamachnąć się nim. To strach dodawał jej sił. I na razie to wystarczało.

Kahlan nie wiedziała już, w którą stronę ucieka. Obie starały się ocalić życie. Kiedy chciała biec w prawo, skręcała w lewo. Drzewa rosły zbyt gęsto, skrywały i gwiazdy, i księżyc. Musiała uciec. Richard był w

niebezpieczeństwie. Potrzebował jej. Musiała się do niego dostać. Zedd już tam powinien być, ale może coś się nie udało. Zedd mógł nie dotrzeć. Ale ona musi.

Dziewczyna odsunęła na bok żywiczną gałąź i wydostała się na niewielki skalny występ niemal oczyszczony ze śniegu przez wiatr. Zatrzymała się. Przed nią stały dwa konie.

Tobias Brogan, naczelnny wódz Bractwa Czystej Krwi, uśmiechnął się z siodła do Kahlan. Na drugim wierzchowcu siedziała kobieta w strzępach różnobarwnych tkanin.

- I kogóż tu mamy? - Brogan potarł wąsy.

- Dwie podróżniczki - powiedziała Kahlan głosem tak lodowatym, jak zimowe powietrze. - Od kiedy to bractwo zajmuje się rabowaniem i mordowaniem bezbronnych podróżników?

- Bezbronni podróżnicy? Chyba nie. Wy dwie musiałyście zabić ponad setkę moich żołnierzy.

- Staraliśmy się wyjść z życiem przed Bractwem Czystej Krwi, które, myśląc chyba, że ujdzie mu to na sucho, atakuje nie znanych sobie ludzi.

- Ależ znam cię, Kahlan Amnell, królowo Galei. Wiem o tobie więcej, niż ci się zdaje. Wiem, kim jesteś.

Kahlan zacisnęła dłoń na rękojeści miecza.

Brogan podprowadził bliżej jabłkowi tego konia; uśmiechał się paskudnie. Oparł się na łęku siodła i pochylił do przodu. Jego ciemne oczy wpatrywały się złowieszczo w Kahlan.

- Ty, Kahlan Amnell, jesteś Matką Spowiedniczką. Widzę, kim jesteś, a jesteś Matką Spowiedniczką.

Kahlan z całej siły napięła mięśnie i wstrzymała oddech. Skąd on to wie? Czyżby Zedd usunął czar? Coś się stało Zeddowi? Jeżeli tak, dobre duchy...

Krzyknęła z gniewu i potężnie zamachnęła się mieczem. Jednocześnie kobieta w pstrokatych strzępach uniosła rękę. Adie, stęknąwszy z wysiłku, wzniosła osłonę. Podmuch powietrza idący od siedzącej na koniu kobiety przemknął przed twarzą Kahlan i rozwiął jej włosy. Osłona Adie ocaliła dziewczynę.

Miecz Kahlan załśnił w księżycowej poświacie. Uderzył w nogę konia Brogana.

Rumak z kwikiem padł na ziemię, wyrzucając Brogana pomiędzy

drzewa. W tym samym czasie wysłany przez Adie płomień otoczył łeb drugiego konia. Zwierzę stanęło dęba, zrzucając kobietę, która-jak przekonała się Kahlan - również była czarodziejką.

Kahlan złapała rękę Adie i odciągnęła Nikobarezyjkę. Desperacko pobrneły w gąszcz. Wszędzie dokoła słyszała przedzierających się pomiędzy drzewami jeźdźców. Dziewczyna nawet nie starała się uważać, którądy idzie. Po prostu biegła.

Było jeszcze coś, z czego do tej pory nie skorzystała: zachowała swoją moc na ostatnią chwilę. Mogła się nią posłużyć tylko raz, ponieważ jej odzyskanie potrwałoby potem całe godziny. Większość Spowiedniczek odzyskiwała moc po jednym lub dwóch dniach. Kahlan potrzebowała na to zaledwie kilka godzin i to czyniło z niej najpotężniejszą Spowiedniczkę, jaka kiedykolwiek istniała. Ale teraz nawet i ta moc była niewystarczająca. Dawała tylko jedną okazję.

- Adie, jeżeli zdołasz, spróbuj przystopować jedną z tych dwóch kobiet, kiedy się do nas zbliżą - wydyszała Kahlan, próbując złapać oddech.

Kościana babka nie potrzebowała dalszych wyjaśnień. Zrozumiała. Obie ścigające ich kobiety były czarodziejkami. Gdyby Kahlan musiała skorzystać ze swojej mocy nie mogłaby zrobić z niej najlepszego użytku.

Kahlan przysiadła, unikając błysku światła. Drzewo zważyło się obok nich z ogłuszającym rykiem. Opadały tumany wzbitego śniegu i ukazała się zbliżająca ku nim druga z kobiet - ta, która podążała pieszo.

Obok niej sunął ciemny, łuskowaty stwór, na wpół człowiek, na wpół jaszczurka. Kahlan usłyszała swój krzyk. Wydawało się jej, że chce wyskoczyć ze skóry swojego tkwiącego w miejscu ciała.

- Mam już dosyć tych nonsensów - powiedziała kobieta, zbliżając się z bestią u boku.

Mriswith. To musiał być mriswith. Richard mówił, jak one wyglądają. Ten koszmarny stwór mógł być tylko mriswithem.

Adie podsunęła się bliżej, rzuciła ku kobiecie iskry światła. Ta obojętnie skinęła dłonią i kościana babka upadła, a iskry opadły na śnieg, nie czyniąc nikomu szkody.

Kobieta schyliła się, chwyciła Adie za nadgarstek i odrzuciła na bok jak kurczaka przeznaczonego do późniejszego oskubania. Kahlan odzyskała zdolność ruchu, pchnęła mieczem.

Mriswith przemknął przed dziewczyną jak podmuch wiatru. Zobaczyła powiewającą czarną pelerynę i usłyszała szcęk stali.

Kahlan zdała sobie sprawę, że klęczy. Pusta dłoń rwała i nie było już w niej miecza. Jakże ten stwór mógł się tak szybko poruszać? Podniosła wzrok: kobieta była bliżej. Uniosła rękę i powietrze zalsniło. Kahlan poczuła uderzenie w twarz. Zamrugła, strząsając krew z oczu, i zobaczyła, że czarodziejka znów unosi rękę, zaginając jednocześnie palce.

Nagle kobieta rozrzuciła ramiona, jakby coś uderzyło ją w plecy. Adie musiała wykorzystać resztę swojej mocy. Potężny niewidoczny cios zadany jak młotem magią Adie rzucił tamtą kobietę do przodu. Kahlan złapała ją za rękę, którą ta rozpaczliwie starała się wyrwać.

Ale było już za późno. W umyśle Kahlan wszystko zwolniło bieg. Czarodziejka jakby zawisała w powietrzu, a dziewczyna przytrzymywała ją za ramię. Teraz czas należał do Kahlan. Miała do dyspozycji cały czas świata.

Czarodziejka zaczęła się krztusić oddechem i podnosić wzrok. Zaczęła się uchylać. W pełnym spokoju centrum swojej magii, swojej mocy, Kahlan sprawowała pełną kontrolę. Kobieta nie miała najmniejszej szansy.

Matka Spowiedniczka obserwowała tamtą i czuła, jak w każdym włókienku jej jestestwa pulsuje magia Spowiedniczek, jak się chce wyrwać.

I w owym pozbawionym czasu ośrodku swojego mózgu Kahlan uwolniła magię.

Noc rozdarła cicha błyskawica.

Bezgłośny grom wstrząsnął powietrzem i nawet gwiazdy się zachwiały, jakby niebiańska pięść uderzyła w wielki, cichy dzwon nocnego nieba.

Drzewa zadrżały od wstrząsu. Chmura śniegu uniosła się i rozeszła dokoła falami.

Uderzenie magii zbiło mriswitha z nóg.

Kobieta podniosła wzrok. Jej oczy były szeroko otwarte, mięśnie zwiotczały.

- Rozkazuj mi, o pani - wyszeptała.

Wśród drzew przedzierali się żołnierze. Mriswith podnosił się chwiejnie.

- Broń mnie!

Czarodziejka poderwała się, zawirowała z wyciągniętą ręką. Noc zapłonęła.

Błyskawica uderzyła łukiem w drzewa. Pnie eksplodowały, przecięte

zygzakowatą linią ognia. W powietrze strzeliły *dymiące* drzazgi. Żołnierze byli równie bezbronni wobec rozpętanej mocy jak drzewa. Nie zdołali wydać ani jednego okrzyku, zresztą i tak nie byłoby słycać w tym pandemonium.

Mriswith skoczył ku niej. W powietrzu zawirowały łuski niczym pióra ptaka trafionego kamieniem z procy.

Noc huczała, ryczała ogniem. W powietrzu unosiły się płomienie, strzępy ciał, kości.

Kahlan otarła krew z oczu, żeby móc patrzeć, i wycofywała się poprzez śnieg. Musiała się wydostać. Musiała znaleźć Adie.

Dziewczyna uderzyła w coś. Pomyślała, że to pewnie drzewo. Czyjaś dłoń chwyciła ją za włosy. Sięgnęła po swoją moc, zbyt późno zdając sobie sprawę, że już z niej skorzystała.

Wypluła krew z ust. W uszach jej dzwoniło. I ten ból. Nie mogła się podnieść. Miała wrażenie, że drzewo zważyło jej się na głowę. Usłyszała nad sobą czyjś głos.

- Natychmiast to powstrzymaj, Lunetto.

Kahlan obróciła głowę w śniegu i zobaczyła, że czarodziejka, którą dotknęła swoją mocą, jakby rośnie i zaczyna się rozpadać. Ramiona poszybowały w dwóch przeciwnych kierunkach. Tylko tyle dostrzegła Kahlan, zanim chmura krwi przesłoniła miejsce, w którym stała tamta kobieta.

Kahlan osunęła się w śnieg. Nie. Nie może się poddać. Podniosła się na kolana i dobyła noża. But Brogana trafił ją w brzuch.

Patrzyła w gwiazdy i starała się złapać oddech. Nie mogła. Zmartwiała ze strachu i wciąż starała się wciągnąć powietrze. Nie mogła. Mięśnie brzucha rwały w skurczu, a ona wciąż nie mogła oddychać.

Brogan uklęknął przy niej, uniósł ją za koszulę. Wreszcie zaczęła oddychać - płytko, spazmatycznie, kaszląc.

- Nareszcie - szepnął. - Nareszcie pojmałem najcenniejszą brankę, ulubienicę Opiekuna, Matkę Spowiedniczkę we własnej osobie. Nawet nie wiesz, jak marzyłem o tym dniu. - Uderzył ją w twarz grzbietem dłoni. - Nawet nie masz o tym pojęcia.

Kahlan z trudem oddychała. Brogan wyrwał jej nóż z dłoni. Walczyła o zachowanie przytomności. Musiała być przytomna, jeżeli miała myśleć, jeżeli miała walczyć.

- Lunetto!

- Jestem tu, mój lordzie generale.

Kahlan poczuła, jak odpadają guziki rozdzieranej przez niego szaty. Z trudem podniosła rękę, żeby odsunąć jego dłonie. Odepchnął jej ramię. Ręce Kahlan stały się tak ciężkie, że nie mogła ich unieść.

- Musimy ją wziąć, Lunetto, nim odzyska moc. Potem będziemy mieć tyle czasu, ile zechcemy, żeby ją przesłuchać, zanim w końcu zapłaci za swoje zbrodnie.

Pochylił się bardziej w księżycowej poświacie i oparł kolano o brzuch Kahlan, przytrzymując ją na ziemi. Z trudem wciągnęła powietrze do płuc i głośno krzyknęła, bo brutalne paluchy szarpnęły jej lewą brodawkę.

Zobaczyła, jak w drugiej ręce unosi nóż.

Szeroko otwartymi oczami dostrzegła przed uśmiechem Brogana białe lśnienie. Trzy ostrza celowały w jego zbielełą nagle twarz. Razem z nim przesunęła wzrok i zobaczyła stojące nad nimi dwa mriswithy.

- Pusssszczaj ją - syknął mriswith - bo zginiesssz. Brogan uczynił, co mu kazano, a Kahlan osłoniła bolącą pierś.

Ból był tak wielki, że łzy napłynęły jej do oczu. Przynajmniej splukały z nich krew.

- Co to ma znaczyć? - warknął Brogan. - Ona jest moja. Stwórca pragnie, by ją ukarać.

- Zrobissssz, jak chce Nawiedzający Sssny, lub umrzesssz. Brogan przechylił na bok głowę.

- On tego chce?

Mriswith syknął potwierdzająco.

- Nie rozumiem...

- Wątpissssz?

- Nie. Oczywiście. Będzie, jak mówisz, święty posłańcu. Kahlan bała się usiąść. Łudziła się, że każą Broganowi ją uwolnić. Brogan wstał i cofnął się.

Pojawił się kolejny mriswith. Przyprowadził Adie i rzucił czarodziejką na śnieg obok Kahlan. Kościana babka dotknęła ramienia dziewczyny, mówiąc jej bez słów, że nie licząc siniaków i zadrapań, niczej nie jest. Potem otoczyła ramieniem barki Kahlan i pomogła jej usiąść.

Kahlan bolało dosłownie wszystko. Pulsowała szczęka, w którą uderzył ją Brogan, bolał brzuch, paliło czoło. Krew w dalszym ciągu zalewała jej oczy.

Jeden z mriswithów wybrał dwa pierścienie z tych, które miał na nadgarstku, i podał je czarodziejce w pstrokatych strzępach szat, do której Brogan mówił Lunetta.

- Tamta nie żyje. Ty musisz to zrobić.

- Co zrobić? - Zdumiona Lunetta wzięła pierścienie.

- Wykorzystaj swój dar i załóż im to na szyję, żeby można je było kontrolować.

Lunetta szarpnęła i jedna z obroży otworzyła się z trzaskiem. Kobieta wyglądała na zaskoczoną i zarazem zadowoloną. Pochyliła się nad Adie z obrożą.

- Proszę cię, siostrze, pomóż nam. Jestem z twojego kraju - szepnęła Adie w rodzimym języku.

Lunetta zamarła i spojrzała Adie w oczy.

- Lunetto! - Brogan kopnął ją w siedzenie. - Pospiesz się. Rób, co każe Stwórca.

Lunetta zatrzasnęła metalową obrozę na szyi Adie, przyczłapała do Kahlan i zrobiła to samo. Kahlan zamrugnęła, dostrzegłszy dziecinny uśmiech, jakim obdarzyła ją kobieta.

Lunetta się wyprostowała, a dziewczyna dotknęła obroży. Sądziła, że rozpoznaje ją w księżycowej poświacie. Teraz nie wyczuła zamknięcia... i już miała pewność. To była Rada'Han, taka jak ta, którą Siostry Światła założyły Richardowi. Wiedziała, że tamte czarodziejki korzystały z obroży, żeby kontrolować chłopaka. W ich wypadku musiało chodzić o to samo: o kontrolę nad ich mocą. Kahlan nagle wystraszyła się, że jej moc nie powróci za kilku godzin.

Kiedy dotarli do powozu, był tam już Ahern. Mriswith trzymał go na ostrzu swego noża. Mężczyzna kazał Kahlan, Adie i Orskowi wyskoczyć na zakręcie z powozu, chcąc odciągnąć od niej prześladowców. Mężny czyn, który jednakże nic nie dał.

Kahlan poczuła nagle ulgę, że wszystkim innym kazała iść do Ebinissii, jak to wcześniej zaplanowali. Przykazała Jebrze, żeby opiekowała się Cyrillą, a żołnierzom, by na nowo ożywili królewskie miasto Galei. Siostra Kahlan była w rodzinnym domu. Jeżeli Kahlan umrze, to Galea i tak nadal będzie miała królową.

Gdyby dziewczyna zachowała przy sobie któregoś z owych szarmanckich

młodych żołnierzy, mriswithy, te koszmarne, szybkie jak wiatr bestie pewnością zrobiłyby im to samo co Orskowi: wyprułyby z nich wnętrzności.

Kahlan pożałowała Orska. Łapa wepchnęła ją do powozu. Zaraz za nią wepchnięto tam również Adie. Dziewczyna usłyszała krótką rozmowę, po czym do powozu wdrapała się Lunetta i usiadła naprzeciwko obu uwięzionych kobiet. Do środka wszedł też mriswith i usiadł obok Lunetty. Przyjrzał się im paciorkowatymi ślepiami. Dziewczyna osłoniła się koszulą i starała się otrzeć krew z oczu. Na zewnątrz usłyszała kolejną wymianę zdań, coś o zastąpieniu płóz powozu kołami. Zobaczyła przez okno, jak Ahern, pod groźbą miecza, wspina się na kozioł. W jego ślady poszedł żołnierz w szkarłatnej pelerynie i kolejny mriswith.

Dziewczyna czuła, jak drżą jej nogi. Dokąd ich zabierali? Była już tak blisko Richarda. Zacisnęła zęby, tłumiąc jęk. To nie było sprawiedliwe. Poczuła, jak łza płynie jej po policzku.

Adie zsunęła dłoń pomiędzy nie i leciutko dotknęła uda Kahlan, dodając jej bez słów otuchy.

Mriswith nachylił się ku nim, a wąskie jak szczelina usta rozciągnęły się w ponurym uśmiechu. Uniósł nóż o trzech ostrzach i poruszył nim przed oczami uwięzionych.

- Ssssspróbujcie uciec, a osssskrobieć warn podessssszwy ssssstóp. - Pochylił na ramię gładką głowę. - Zrozumiano?

Kahlan i Adie potaknęły.

- Gadajcie, a utnę warn języki - dorzucił.

Znów potaknęły.

Bestia spojrzała na Lunettę.

- A teraz zapieczętuj ich moc swoim darem przez obrozę. Tak jak cię nauczyłem. - Dotknął łapą czoła Lunetty. - Zrozumiałaś?

- Tak. Rozumiem. - Lunetta się uśmiechnęła.

Kahlan usłyszała mruknięcie Adie i jednocześnie poczuła, jak coś twardnieje w jej piersi. To tutaj zawsze czuła swoją moc. Zastanawiała się, zrozpaczona, czy kiedykolwiek poczuje powrót swojej magicznej mocy. Przypomniała sobie przeraźliwą pustkę, jaką czuła, kiedy keltoński czarodziej za pomocą magii pozbawił ją łączności z ową mocą. Wiedziała, czego się spodziewać.

- Krwawi - powiedział mriswith do Lunetty. - Musisz ją uleczyć.

Krewniak nie byłby zadowolony, gdyby jej zostały blizny.

Kahlan usłyszała trzask bata i gwizdnięcie Aherna. Powóz ruszył.
Lunetta nachyliła się ku niej, żeby uleczyć ranę.

O dobre duchy, dokąd oni ją zabierali?

ROZDZIAŁ 40

Łzy paliły oczy Ann, znowu krzyknęła. Już dawno przestała powstrzymywać się od krzyków. Bo i któż oprócz Stwórcy je usłyszy, kogóż obejdą? Valdora uniosła zakrwawiony nóż.

- Boli? - Rozciągnęła usta, ukazując szczerbate uzębienie, i zarechotała. - Jak ci się to podoba, teraz kiedy ktoś wybrał to dla ciebie? Przedtem ty to zrobiłaś. Wybrałaś dla mnie rodzaj śmierci. Odmówiłaś mi życia. Życia, które mogłabym mieć w pałacu. Wciąż byłabym młoda. A ty postanowiłaś dać mi umrzeć.

Ann drgnęła, bo ostrze noża dźgnęło ją w bok.

- Zadałam ci pytanie, Ksieni. Jak ci się to podoba?

- Przypuszczam, że nie bardziej niż tobie. Uśmiech powrócił.

- Pięknie. Chcę, żebyś poznała ból, w którym żyłam przez te wszystkie lata.

- Zostawiłam ci takie życie, jakie mają inni. Mogłaś żyć tak, jak chciałaś. Zostało ci to, czym obdarzył cię Stwórca, jak obdarza wszystkich, który przychodzą na ten świat. A mogłam kazać cię stracić.

- Za rzucenie czaru! Jestem czarodziejką! To właśnie dał mi Stwórca i korzystałam z tego!

Ann wiedziała, że argumenty nie zdadzą się na nic, lecz mimo to powtórzyła je Valdorze, która ponownie zaczęła torturować ją nożem.

- Korzystałaś z tego, co dał ci Stwórca, by zabierać innym to, czego nie oddaliby z własnej woli. Kradłaś ich uczucia, ich serca, ich życie. Nie miałaś do tego prawa. Karmiłaś się ich przywiązaniem jak słodyczami na jarmarku. Przywiązywałaś ich do siebie czarem urzeczenia, a potem rzucałaś, by usidlić następnego.

Valdora znów dźgnęła ją nożem.

- A ty mnie przepędziłaś!

- Ilu zrujnowałaś życie? Zalecano ci, radzono, ostrzegano cię i karano. A ty wciąż to robiłaś. Więc w końcu usunięto cię z Pałacu Proroków.

Ramiona Ann pulsowały tęnym bólem. Rozciągnięto ją, nagą, na drewnianym stole. Nadgarstki Ksieni zostały spętane magią ponad jej głową, magia spętała również jej kostki. Urok bardziej wżerał się w ciało niż

szorstki konopny sznur. Ann była równie bezradna jak wieprz, którego powieszono, żeby się wykrwawił.

Valdora posłużyła się poznanym nie wiadomo gdzie urokiem, żeby zablokować Han Ksieni. Kobieta czuła swoją Han: była jak ciepły ogień w zimową noc, ogień, który płonął tuż za oknem, zapraszający, obiecujący ogrzanie się, lecz niedostępny.

Ann wpatrywała się w okienko umieszczone blisko szczytu ściany małej kamiennej izdebki. Zbliżał się świt. Dlaczego on nie nadchodził? Powinien ją już wyratować, a ona miała go jakoś pojmać. Ale nie przyszedł.

Nie nastał jeszcze dzień. Może się jeszcze zjawi. O drogi Stwórco, spraw, żeby wkrótce się zjawił.

Chyba że to nie ten dzień. Przeraziła się. A jeśli się pomylili? Nie. Sprawdzili z Nathanem wykresy. To był właściwy dzień, a poza tym to nie tyle dzień, ile wydarzenia były ważne dla proroctwa. Jej pojmanie świadczyło o tym, że był to właściwy dzień. Gdyby pochwycono ją tydzień wcześniej, to również byłby właściwy dzień. Ów dzień mieścił się w obszarze sposobności. Proroctwo się dopełniło. Lecz gdzież on był?

Ann zorientowała się, że twarz Valdory zniknęła. Staruchy już koło niej nie było. Powinna cały czas mówić. Powinna...

Ksieni poczuła nagły, ostry, palący ból: nóż naciął podeszwę stopy, lewej stopy. Szarpnęła się całym ciałem. Pot znów wystąpił jej na czoło i ściekł na włosy. I znów poczuła ból, drugie nacięcie. Wydawała kolejny okrzyk bólu i bezsilności.

Valdora zdarła kawałek ciała z podeszwy stopy Ann. Krzyki udręczonej kobiety odbijały się echem od kamiennych ścian.

Ann cała się trzęsła, przetoczyła głowę na bok. Dziewczynka, Holly, patrzyła jej w oczy. Łzy spływały przez grzbiet nosa torturowanej, zalały drugie oko i popłynęły dalej. Drżąc, patrzyła w oczy dziecka i rozmyślała o tym, jakich to straszliwych rzeczy uczy Valdora tę niewinną dziewczynkę. Zamieni w kamień serce tej małej istoty.

Valdora uniosła niewielki, zwinięty kawałek białej skóry.

- Spójrz, Holly, jak gładko schodzi, jeżeli robisz tak, jak mówię. Chcesz poćwiczyć sobie rękę, kochanie?

- Babciu, czy musimy to robić? Ona nie zrobiła nam nic złego. Nie jest taka jak inni. Nigdy nie chciała nas skrzywdzić - odezwała się Holly.

- Ależ i ona to zrobiła, kochanie. - Valdora ruchem noża podkreśliła wagę tych słów. - Skrzywdziła mnie. Ukradła mi młodość.

Holly spojrzała na drżącą z bólu Ann. Mała była zadziwiająco opanowana jak na tak młodą osobę. Byłaby z niej znakomita nowicjuszka, a pewnego dnia - wspaniała Siostra.

- Dała mi srebrną monetę. Nie usiłowała nas skrzywdzić. To nie jest zabawne. Nie chcę tego robić.

Valdora zarechotała.

- Ale zrobimy to. - Machnęła kilka razy nożem. - Słuchaj swojej babci. Ona na to zasłużyła.

Holly przyjrzała się zimno starej kobiecie.

- To, że jesteś ode mnie starsza, wcale nie oznacza, że masz rację. Nie będę się dłużej przyglądać. Idę sobie.

- Jak chcesz. - Valdora wzruszyła ramionami. - Tb sprawa pomiędzy Ksienią a mną. Skoro nie chcesz się niczego nauczyć, to wyjdź na dwór i pobaw się.

Holly statecznie wyszła z izdebki. Ann chętnie ucałowałaby ją za okazaną odwagę.

Twarz Valdory znalazła się bliżej Ann.

- Teraz jesteśmy tylko my dwie, Ksieni. - Zaciśnęła zęby. - Czy możemy - przy każdym słowie dźgała Ann nożem - przystąpić do rzeczy? - Nachyliła głowę, żeby wygodniej spoglądać w oczy Ann. - Zbliża się czas śmierci, Ksieni. Chyba podobałoby mi się, gdybyś się zawrzeszczała na śmierć. Spróbujemy?

- O tam! - spróbował wskazać Zedd, najlepiej jak mógł w tej sytuacji. - Tam widać w wieży światło.

Świt zaczynał już różowić niebo, lecz było jeszcze na tyle ciemno, żeby można łatwo wypatrzeć żółty blask bijący z kilku okien. Gratch dostrzegł to samo co Zedd i skreślił ku Wieży Czarodzieja.

- Kurczę - mruknął czarodziej - ten chłopak naprawdę jest w środku. Ja mu...

Gratch mruknął, usłyszawszy wzmiankę Zedda o Richardzie. Czarodziej bardziej czuł owo mruknięcie wzbierające w piersi, do której był przyduszony, niż je usłyszał. Rzucił okiem na widoczną daleko w dole ziemię.

- Ja go uratuję. To właśnie chciałem powiedzieć, Gratch. Jeżeli Richard ma kłopoty, to muszę się tam dostać, żeby go uratować.

Gratch zagulgotał, usatysfakcjonowany.

Zedd miał nadzieję, że Richard nie popadł w żadne tarapaty. Niemal całe siły czarodzieja pochłonał wysiłek utrzymywania uroku, dzięki któremu był tak lekki, że Gratch mógł go nieść przez ostatni tydzień. Wątpliwe, czy wystarczyłoby mu mocy, by kogoś ocalić, i sił, by się utrzymać na nogach. Będzie potrzebował wielu dni wypoczynku, żeby przyjść do siebie po tym wszystkim.

Czarodziej pogłaskał krzepkie, pokryte futrem, podtrzymujące go ramiona.

-I ja kocham Richarda, Gratch. Pomożemy mu. Obaj będziemy go chronić. - Nagle wytrzeszczył oczy. - Gratch! Uważaj, gdzie lecisz! Zwolnij!

Zedd osłonił ramionami twarz, a chimera spadała ku wałowi obronnemu. Zerknął spoza tej osłony: kamień zbliżał się z zastraszającą prędkością. Czarodziej wstrzymał oddech, bo Gratch wzmocnił chwyt i załopotał skrzydłami, starając się spowolnić gwałtowne opadanie.

Zedd uświadomił sobie, że traci kontrolę nad urokiem. Był zbyt wyczerpany, żeby go dłużej utrzymywać, i przez to stawał się zbyt ciężki dla Gratcha. Desperacko ściągnął urok z powrotem, jakby złapał jajko, które już-już miało się stoczyć za krawędź stołu.

W ostatnim momencie pochwycił urok i szarpnął go ku sobie, zanim ten zdołał mu się wymknąć.

Skrzydła Gratcha nareszcie załapały tyle powietrza, by zwolnić spadanie, i chimera uniosła się trochę w górę, nim uderzyli o kamienie. Gratch wylądował, wachlując z wdziękiem skrzydłami. Zedd poczuł, że futrzaste ramiona już nie trzymają jego przesiąkniętych potem szat.

- Przepraszam, Gratch. Omal nie straciłem kontroli nad magią. Mało brakowało, a roztrzaskalibyśmy się przeze mnie.

Gratch skwitował to roztargnionym pomrukiem. Jego pałające zielone ślepia przepatrywały ciemności. Dokoła było pełno ścian i miejsc, w których ktoś mógł się ukryć. Chimera przyglądała się im wszystkim.

Z gardła chimery wydobył się grzmiący, basowy ryk. Ślepia rozgorzały intensywniej. Zedd popatrzył w ciemne zakamarki, ale nic nie dostrzegł. Za to Gratch owszem.

Czarodziej zadrżał, bo Gratch z rykiem skoczył nagle w ciemności.

Potężne łapy darły powietrze nocy. Kły szarpały pustkę.

Zedd zaczął dostrzegać wyłaniające się z powietrza kształty. Powiewały peleryny, błyskały noże, a bestie tańczyły i wirowały wokół chimery.

Mriswithy.

Stwory z sykiem atakowały ich wielkiego futrzastego zwierza. Gratch dosięgał je pazurami, rozdzierał ich łuskowate skóry, rozsiewał wokół ich krew i wnętrzności. Śmiertelne wycia mriswithów wstrząsały Zeddem.

Czarodziej wyczuł podmuch powietrza: to przemknął koło niego mriswith, którego całkowicie pochłaniała walka z chimera. Zedd wyrzucił przed siebie rękę i posłał za stworem kulę płynnego ognia. Zapłonęła peleryna, a potem sama bestia.

Wał obronny aż roił się od mriswithów. Zedd sięgnął głęboko do swojego wnętrza po resztki mocy. Szarpnął linę ze zgęszczonego powietrza i zrzucił kilka stworów z krawędzi murów.

Czarodziej nie był przygotowany na nieoczekiwaną walkę, która nagle rozgorzała wokół niego. Wyczerpanie sprawiało, że nie mógł wymyślić niczego innego, poza najprostszą magią ognia i powietrza.

Mriswith okrzyknął się nagle, wysuwając uzbrojoną łapę. Zedd rzucił ostrą jak topór linę z powietrza, i poczwara straciła głowę. Następnie zarzucił sieć, odciągając od Gratcha kilka stworów, i te znalazły się poza krawędzią muru. W wypadku zewnętrznego muru obronnego był to upadek z kilku tysięcy stóp, prosto w dół.

Mriswithy w większości nie zwracały uwagi na Zedda, atakując zapalczywie chimerę. Dlaczego tak strasznie chciały zabić Gratcha? Biorąc pod uwagę to, jak energicznie Gratch wyprawiał je na tamten świat, musiały żywić do skrzydlatej bestii jakąś pierwotną nienawiść.

Otworzyły się drzwi i klin światła rozdarł nagle poprzedzający świt. Ukazała się mała sylwetka. W owym blasku Zedd ujrzał, jak wszystkie mriswithy rzucają się na chimerę. Skoczył do przodu, wyrzucając ogień, który pochłonięły trzy błyskające nożami stwory.

Obok przemknął mriswith, uderzył Zedda w ramię i zwałił go z nóg. Czarodziej ujrzał, że stwory walą się na chimerę, spychając ją na blanki.

Zobaczył, jak cała ta skłębiona masa przelatuje nad krawędzią muru i spada w noc, i uderzył głową o kamienie.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Valdora uniosła głowę znad swojego zajęcia, Ann łapczywie chwyciła oddech i walczyła z zalewającą jej umysł ciemnością. Już dłużej tego nie wytrzyma. Była bliska kresu. Nie został jej ani jeden krzyk. O drogi Stwórco, już dłużej nie wytrzyma. Czemuż on się nie zjawia, żeby ją wybawić?

- Babciu - stęknęła z wysiłkiem Holly, wlokąc coś cał po calu do izdebki. - Babciu. Coś się wydarzyło.

Valdora spojrzała na dziewczynkę.

- Gdzieżeś go znalazła?

Ann starała się unieść głowę. Holly, sapiąc i stękając, uniosła starego, kościstego mężczyznę za rdzawe szaty i oparła go o ścianę. Krew spływała mu bokiem czaszki, zlepiając faliste, rozwiane siwe włosy.

- Tb czarodziej, babciu. Jest bliski śmierci. Widziałam, jak walczył z chimerą i jakimiś stworami całymi w łuskach.

- Dlaczego sądzisz, że to czarodziej?

Holly wyprostowała się, stanęła przy posadzonym pod ścianą starcu i dyszała ciężko.

- Wykorzystywał swój dar. Rzucił kule ognia. Valdora się nachmurzyła.

- Faktycznie. Czarodziej. Jakież to zajmujące. - Podrapała się po nosie. - A co się stało ze stworami i z chimerą?

Holly opisała bitwę, wymachując przy tym rączkami.

- A potem wszystkie razem skoczyły na chimerę i razem zlecieli za mury. Wdrapałam się na nie i wyjrzałam, ale nie było ich już widać. Wszyscy spadli.

Głowa Ann z trzaskiem opadła na stół. Drogi Stwórco, to był czarodziej, który miał ją wybawić.

Wszystko na nic. Umrze. Jak mogła być tak próżna, jak mogła uważać, że uda się jej wyjść cało z czegoś tak ryzykownego. Nathan miał rację.

Nathan. Zastanawiała się, czy odnajdzie kiedyś jej ciało, by się dowiedzieć, co się wydarzyło. Czy w ogóle przejmie się śmiercią swojej strażniczki. Była głupią starą babą, która uważała się za bystrzejszą, niż w istocie była. O jeden raz za dużo manipulowała prorocstwem i dostała za swoje. Nathan miał rację. Powinna go posłuchać.

Ann wzdrygnęła się, bo Valdora pochyliła się nad nią z ohydny uśmiechem. Dźgnęła czubkiem noża jej podbródek.

- Wygląda na to, droga Ksieni, że mam do dobitcia również czarodzieja. -

Przesunęła nożem po gardle Ann. Ostrze drapało i cięło skórę.

- Błagam, Valdoro, każ Holly wyjść. Nie powinnaś pozwolić, żeby twoja wnuczka widziała, jak kogoś zabijasz. Valdora się odwróciła.

- Chcesz popatrzeć, prawda, kochanie? Holly przełknęła ślinę.

- Nie, babciu. Ona nigdy nas nie skrzywdziła. - Już ci mówiłam, że mnie skrzywdziła. Holly wskazała starca.

- Przywlokłam go tutaj, żebyś mogła mu pomóc.

- O nie. Nie mogę tego zrobić. On także musi umrzeć. - Ajak on cię skrzywdził?

Valdora wzruszyła ramionami.

- Jeśli nie chcesz patrzeć, to wyjdź. To nie zrani moich uczuć.

Holly się odwróciła i przystanęła na chwilę, by spojrzeć na starca. Pocieszająco dotknęła jego ramienia i pospiesznie wyszła.

Valdora znów patrzyła na Ann. Przyłożyła nóż do jej policzka, tuż pod okiem.

- A może najpierw powinnam ci wyłupić oczy?

Nie mogąc dłużej znieść tych okropieństw, Ann zamknęła oczy.

- Nie! - Valdora dźgnęła ją w podbródek. - Nie zamykaj oczu! Masz patrzeć! Otwórz oczy, bo ci je wyłupię!

Ksieni wykonała polecenie. Przygryzła dolną wargę i patrzyła, jak Valdora przykłada jej nóż do piersi i ustawia pionowo.

- Nareszcie! - szepnęła Valdora. - Zemsta.

Uniosła nóż. Ostrze zamarło w powietrzu, a starucha nabrała głęboko powietrza.

Szarpnęła się i zadygotała, a z jej piersi wynurzyła się klinga miecza.

Otworzyła szeroko oczy, zacharczała gardłowo i nóż upadł na podłogę.

Nathan oparł stopę o plecy Valdory i wyciągnął miecz z jej ciała. Kobieta z hukiem upadła na podłogę.

Ann zapłakała z ulgi. Łzy tryskały z jej oczu, pękły więzy zaciskające nadgarstki i kostki.

Wysoki i ponury Nathan spojrział na rozciągniętą na stole Ksienię.

- Ty szalona kobieto, co pozwoliłaś sobie uczynić? - wyszeptał.

Pochylił się i podniósł ją w ramiona, a ona płakała jak dziecko. Jego uścisk był tak słodki, jakby to sam Stwórca tulił ją do piersi.

Łkania powoli ucichły, Prorok odsunął się od niej i zobaczyła, że jest

umazany krwią. Jej krwią.

- Usuń blokadę i połącz się, a sprawdzę, czy zdołam uleczyć te straszne rany.

Ann odepchnęła jego rękę.

- Nie. Najpierw muszę zrobić to, po co się tu zjawiłam. - Wskazała nieprzytomnego starca. - To on. Czarodziej, po którego tu przybyliśmy.

- Czy to nie może poczekać? Otarła z oczu krew i łzy.

- Tak daleko przebrnęłam już przez to straszliwe proroctwo, Nathanie. Pozwól mi skończyć, dobrze?

Westchnął z niesmakiem, sięgnął do sakwy wiszącej u pasa obok pendentu miecza i wyjął Rada'Han. Wyciągnął obrożę ku zsuwającej się ze stołu Ann. Dotknęła stopami podłogi i skuliła się z bólu. Nathan pochwycił ją wielką ręką i pomógł uklęknąć obok nieprzytomnego czarodzieja.

- Pomóż mi, Nathanie. Otwórz obrożę. Połamała mi większość palców.

Drżącymi rękami założyła Rada'Han na szyję Zedda. Udało się jej ją zatrzaskać - zamknęła nie tylko obrożę, ale i jego magię. Proroctwo się dopełniło.

W drzwiach stanęła Holly.

- Czy babcia nie żyje?

Ann z trudem przysiadła na piętach.

- Tak, droga dziecińo. Bardzo mi przykro. - Wyciągnęła ku małej rękę. - A może wołałabyś oglądać leczenie zamiast zadawania ran?

Holly łagodnie ujęła podaną dłoń. Spojrzała na czarodzieja na podłodze.

- A on? Jego też uleczycie?

- Tak, Holly, jego też.

-I po to go tu przywlokłam: żeby mu pomóc. Nie, żeby zabić. Babcia czasem pomagała ludziom. Nie zawsze była zła.

- Wiem - powiedziała Ann.

Łza spłynęła po policzku dziewczynki.

-I co się teraz ze mną stanie? - spytała szeptem Holly.

Ann uśmiechnęła się przez łzy.

- Nazywam się Annalina Aldurren i od bardzo dawna jest Ksienią Sióstr Światła. Przyjmowałam wiele młodych dziewcząt z darem, takich jak ty, i uczyłam je, jak być wspańiałymi kobietami, które leczą i pomagają ludziom. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybyś poszła z nami.

Holly skinęła główką na znak, że się zgadza, a uśmiech rozjaśnił jej zalaną łzami buzię.

- Babcia o mnie dbała, ale czasem była zła dla innych ludzi. Przeważnie dla tych, którzy chcieli nas skrzywdzić albo oszukać, lecz ty nigdy tego nie próbowałaś. To źle, że zrobiła ci krzywdę. Żałuję, że nie była dla ciebie miłsza. Żałuję, że była zła i musiała umrzeć.

- Ja też, ja też. - Ann ucałowała rączkę Holly.

- Mam dar. - Mała spojrzała wielkimi, smutnymi oczami. - Nauczysz mnie uzdrawiać?

- Będzie to dla mnie zaszczyt.

Nathan podniósł miecz i dramatycznym gestem wsunął go do pochwy.

- Chcesz, by cię wreszcie uleczyć? A może wolisz wykrwawić się na śmierć, żebym się mógł wprawiać we wskrzeszaniu?

Ann skrzywiła się z bólu, ale wstała. - Ulecz mnie, mój wybawicielu.

- No to daj mi dostęp do mojej mocy, kobieto. Mieczem nie mogę leczyć.

Ann zamknęła oczy, uniosła rękę, po czym skupiła swój wewnętrzny zmysł na Rada'Han Nathana i usunęła blokadę, pozwalając mu sięgnąć do jego Han.

- Gotowe.

- Wiem to - burknął Nathan. - Czuję, że wróciła, wiesz.

- Pomóż mi wejść na stół, Nathanie. Podniósł ją, a Holly trzymała ją za rękę. Nathan zerknął na czarodzieja na podłodze.

- No to go wreszcie dostałaś. O ile wiem, to takiemu jak on jeszcze nigdy nie nałożono obroży. - Spojrzał na nią przenikliwymi lazurowymi oczami. - Dostałaś czarodzieja pierwszego stopnia i teraz się zacznie prawdziwe szaleństwo tego twojego planu.

Ann westchnęła, kiedy w końcu pieszczotliwie spoczęły na niej jego uzdrawiające dłonie.

- Wiem. Na szczęście Verna trzyma już mocno w garści swój kawałek spraw.

ROZDZIAŁ 41

Westchnął i otworzył oczy. Usiadł sztywno. Wielka ręka pchnęła go w dół.

- Spokojnie, stary - powiedział głęboki głos.

Zedd wytrzeszczył oczy na twarz o kwadratowej szczęce. Mężczyzna pochylał się nad nim, a gdy przykładał dłonie do boków czaszki Zedda, jego sięgające ramion białe włosy zwisały do przodu.

- Kogo nazywasz starym, stary?

Przenikliwe lazurowe oczy skryte pod onieśmiałającymi brwiami drapieżcy uśmiechnęły się; reszta twarzy też. Twarz pełna sprzeczności, osądził Zedd.

- Skoro już o tym wspomniałeś, to coś mi się zdaje, że jestem odrobinę starszy od ciebie.

W tej twarzy było coś znajomego. Zedd nagle zrozumiał. Odepchnął przytrzymujące go dłonie i usiadł, po czym wyciągnął kościsty palec ku wielkiemu mężczyźnie obok stołu.

- Jesteś podobny do Richarda. Dlaczego jesteś podobny do Richarda?

Szeroki uśmiech rozciągnął policzki tamtego. Brwi wciąż wyglądały jak u jastrzębia.

- Bo jest moim krewnym.

- Krewny. Kurczę! - Zedd przyjrzał się bliżej. - Wysoki. Muskularny. Lazurowe oczy. Podobny rodzaj włosów. Ta szczęka. Co gorsza, oczy. - Czarodziej skrzyżował ramiona. - Jesteś z rodu Rahlów - oznajmił.

- Znakomicie. Więc znasz Richarda.

- Czy go znam?! Jestem jego dziadkiem. Tamten uniósł brwi.

- Dziadek... - Otarł twarz wielką dłonią. - Drogi Stwórco, w co ta kobieta nas wpędziła - mruknął.

- Kobieta? Jaka kobieta?

Tamten westchnął i opuścił rękę. Znów się uśmiechnął i skłonił. Całkiem dobry ukłon, pomyślał Zedd.

- Pozwól, że się przedstawię. Jestem Nathan Rahl. - Wyprostował się. - Mogę poznać twoje imię, przyjacielu?

- Przyjacielu!

Nathan postukał Zedda w czoło.

- Dopiero co wyleczyłem twoją rozbitą czaszkę. To chyba coś znaczy.

- Cóż - burknął Zedd - może masz rację. Dziękuję, Nathanie. Jestem Zedd. Piękny przykład uzdrowienia, o ile moja czaszka istotnie była pęknięta.

- A była, była. Powprawiałem się na niej. Jak się czujesz?

Zedd ocenił swój stan.

- Doskonale. Czuję się doskonale. Siły mi wróciły - Jęknął, przypomniawszy sobie, co się stało. - Gratch. Drogie duchy, muszę się stąd wydostać.

Nathan powstrzymał go wielką dłonią.

- Musimy pogadać, przyjacielu. A przynajmniej mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Mamy niestety ze sobą wiele wspólnego, nie tylko pokrewieństwo z Richardem.

- Na przykład co? - zdumiał się Zedd.

Nathan rozpiął górę koszuli z koronkowym żabotem. Cały przód miał pokryty zakrzepłą krwią. Zaczepił palec o matową, srebrną obrozę na szyi i uniósł ją odrobinę.

- Czy to jest to, o czym myślę? - spytał ponuro Zedd.

- Jesteś bystrym chłopakiem, nie wątpię, bo inaczej nie byłbyś taki cenny.

Zedd znów spojrzał w lazurowe oczy Nathana.

- A jakaż to nieprzyjemna rzecz nas łączy?

Nathan wyciągnął rękę i szarpnął za coś na szyi Zedda. Ten gwałtownie poderwał ramiona i dotknął gładkiej metalowej obroży. Nie wyczuł zapięcia.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego to zrobiłeś? Nathan westchnął ciężko.

- To nie ja, Zeddzie. - Wskazał na kogoś. - To ona.

Do izby wchodziła właśnie pulchna niska kobieta, jej siwe włosy były luźno związane na karku. Trzymała za rączkę jakąś dziewczynkę.

- A - powiedziała, dotykając palcami góry ciemnobrązowej sukni zapiętej aż pod szyję. - Widzę, że Nathan przywrócił cię do zdrowia. Tak się cieszę. Martwiliśmy się.

- Czyżby? - odparł wymijająco Zedd.

- Tak. - Stara kobieta uśmiechnęła się. Spojrzała na dziewczynkę, pogłaskała jej proste, jasnobrązowe włoski. - To Holly. Ona cię tu przywlokła. Uratowała ci życie.

- Przypomina mi się, że ją widziałem. Dziękuję za pomoc, Holly. Zyskałaś moją wdzięczność.

- Cieszę się, że cię wyleczyli - odezwała się Holly - Bałam się, że ta chimera cię zabiła.

- Chimera? Widziałaś Gratcha? Nic mu nie jest? Mała potrząsnęła główką.

- Spadł z murów razem z tymi potworami.

- O kurczę - szepnął przez zęby Zedd. - Ta chimera była moim przyjacielem.

- Chimera? - zdziwiła się kobieta. - Cóż, w takim razie współczuję ci. Zedd spojrzał na nią gniewnie.

- Co ta obroza robi na mojej szyi? Kobieta rozłożyła ręce.

- Przykro mi, ale na razie jest to konieczne.

- Zdejmij ją.

Uśmiech trwał na ustach kobiety jak przyklejony.

- Pojmuję twoje zaniepokojenie, ale na razie obroza musi pozostać tam, gdzie jest. - Założyła ręce na wysokości talii. - Wydaje mi się, że nas sobie nie przedstawiono. Jak się nazywasz?

- Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu'l Zorander - oznajmił Zedd cichym, groźnym głosem.

- Annalina Aldurren, Ksieni Sióstr Światła. - Uśmiech stał się cieplejszy. - Możesz mi mówić Ann. Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią, Zeddzie.

Nie spuszczaając jej z oka, Zedd zeskoczył ze stołu.

- Nie jesteś moją przyjaciółką. - Cofnęła się o krok. - Masz do mnie mówić: czarodzieju Zoranderze.

- Spokojnie, przyjacielu - ostrzegł go Nathan.

Zedd obrzucił go takim spojrzeniem, że tamten zeszytniał i zamilkł.

- Skoro taka jest twoja wola, czarodzieju Zoranderze. - Ann wzruszyła ramionami.

- Zdejmij to natychmiast. - Zedd poklepał obrozę na swojej szyi.

- Na razie musi tam pozostać. - Uśmiech nie chciał zejść z jej twarzy.

Zedd zaczął iść ku niej. Nathan ruszył w jego stronę, najwyraźniej chciał go powstrzymać. Zedd, nie odwracając oczu od Ksieni, podniósł rękę i wycelował w Nathana chudy palec. Wielkolud, wymachując rękami, pojechał do tyłu jak po lodowej tafli i rozpląszczył się na ścianie.

Zedd uniósł drugie ramię i strop zapłonął błękitną poświatą. Czarodziej powoli opuszczał rękę, a wraz z nią opuszczała się cieniutka świetlna płaszczyzna przypominająca powierzchnię jeziora. Przeszła przez nich. Ann szeroko otworzyła oczy. Płaszczyzna światła osiadła na podłodze i zmieniła ją w świetlną kibel. Blask wykrystalizował się w oślepiająco jasne punkty.

Z punktów tych strzeliły błyskawice. Bicze białego światła wspinały się po ścianach, napełniając izbę ostrą wonią. Zedd zakreślił palcem koło i błyskawica przeskoczyła ze ściany na jego obrozę. Błyski uderzały w metal. Cała izba drżała do wtóru z tańczącym piorunem. W powietrzu unosiły się tumany kamiennego pyłu.

Stół uniósł się w górę i eksplodował, zamieniając się w chmurę pyłu, który po chwili został wessany w strugi wijącego się światła. Izba drżała i jęczała, wielkie kamienne bloki obluzowywały się i zaczynały wysuwać ze swoich miejsc w ścianach.

Otoczony furją rozpętanej mocy Zedd zorientował się, że to nic nie daje. Obroza absorbowowała uderzenia i trwała. Wyrzucił przed siebie ramię i uciął kakofonię dźwięków oraz blasku. Izba wypełniła się dźwięczącą ciszą. Potężne skalne bloki do połowy wysunęły się ze ścian. Cała podłoga była wypalona i czarna, lecz żadne z nich nie ucierpiało.

Dzięki owej próbie światła Zedd znał teraz dokładnie potęgę mocy Ksieni, Nathana i Holly, a także ich siły i słabe strony. Ona może i nie zrobiłaby obrozy - tę wykonali czarodzieje - lecz potrafiła się nią posługiwać.

- Skończyłeś? - spytała Ann. Jej uśmiech wreszcie zniknął.

- Jeszcze nawet nie zacząłem.

Zedd uniósł ramiona. Mógł uwolnić taką moc, że gdyby musiał, zniwelowałby górę. Nic się nie stało.

- Wystarczy - powiedziała kobieta. Uśmiech częściowo powrócił. - Teraz wiem, po kim Richard odziedziczył furję.

- Ty! - Zedd wycelował w nią palec. - To ty założyłaś mu obrozę.

- Mogłam go zabrać, kiedy był jeszcze dzieckiem, zamiast pozwolić mu dorastać pod twoją opieką.

Zedd potrafiłby zliczyć na palcach jednej ręki, ile razy w życiu stracił kontrolę nad swoim temperamentem i - co gorsza - nad swoim rozsądkiem. Z piorunującą szybkością zbliżała się chwila, w której będzie musiał zacząć

liczyć na palcach drugiej ręki.

- Nie próbuj mnie ułagodzić swoimi obłudnymi usprawiedliwieniami. Z niewolenia nie można usprawiedliwić.

Ann westchnęła.

- Ksieni, tak jak i czarodziej, musi się czasami posługiwać ludźmi. Jestem pewna, że to rozumiesz. Żałuję, że musiałam wykorzystać Richarda i że teraz muszę się posłużyć tobą, ale nie mam wyboru. - Uśmiechnęła się tęsknie. - Richard w obroży sprawiła tylko kłopoty.

- Jeśli uważasz, że Richard sprawiał ci kłopoty, to nic jeszcze nie widziałaś. Poczekaj, a przekonasz się, jakie tarapaty ściągnie na ciebie jego dziadek. - Zedd zgrzytnął zębami. - Założyłaś mu na szyję jedną z tych twoich obroży. Uprawadzałaś chłopców z Midlandów. Złamałaś rozejm, który trwał od tysiący lat. Znasz następstwa tego czynu. Siostry Światła zapłacą za to.

Zedd stał na skraju przepaści, był o włos od złamania trzeciego prawa magii, a mimo to nie mógł zapanować nad rozsądkiem. Nawiasem mówiąc, był to jedyny sposób na pogwałcenie trzeciego prawa.

- Wiem, czym grozi zajęcie świata przez Imperialny Ład. Wiem, że jeszcze tego nie pojmujesz, czarodzieju Zoranderze, mam jednak nadzieję, iż wkrótce zrozumiesz, że walczymy po tej samej stronie.

- Rozumiem więcej, niż ci się zdaje. Swoimi czynami wspomagasz Imperialny Ład. Nigdy nie musiałem czynić z moich przyjaciół więźniów, by walczyli o słuszną sprawę!

- Czyżby? A co powiesz o Mieczu Prawdy?

Zedd, kipiąc gniewem, powstrzymał się od wymiany argumentów z tą kobietą.

- Usuń obrozę. Richard potrzebuje mojej pomocy.

- Richard będzie musiał sam o siebie zadbać. To bystry chłopak, co po części jest twoją zasługą. Dlatego pozwoliłam, żeby przy tobie dorastał.

- Chłopakowi potrzebna jest moja pomoc! Musi wiedzieć, jak korzystać ze swojej mocy. Jeżeli do niego dotrę, to gotów pójść do Wieży Czarodzieja. Nie zna czyhających tani niebezpieczeństw. Nie umie się posługiwać swoim darem. Może zostać zabity. Nie mogę do tego dopuścić. Potrzebujemy go.

- Richard już był w wieży. Spędził w niej większość wczorajszego dnia i wyszedł bez szwanku.

- Za pierwszym razem jest się szczęściarzem, za drugim śmiałkiem, za trzecim trupem - wyliczył Zedd.

- Nie trać wiary w swojego wnuka. Pomożemy mu na inne sposoby. Nie ma czasu do stracenia. Musimy wyruszać.

- Nigdzie z tobą nie pójdę.

- Proszę cię o pomoc, czarodzieju Zoranderze. Proszę, byś współpracował i poszedł z nami. Stawka jest wysoka. Zrób, o co proszę, lub będę zmuszona wykorzystać obrożę. A to ci się na pewno nie spodoba.

- Posłuchaj jej, Zeddzie - wtrącił się Nathan. - Mogę zaświadczyć, że to by ci się nie spodobało. Wiem, co czujesz, lepiej będzie jednak dla ciebie, jeśli zrobisz to, o co prosi.

- Jakiego rodzaju jest twoja moc? Nathan wyprostował się dumnie.

- Jestem Prorokiem.

Przynajmniej był uczciwy. Nie zorientował się, czyni była w istocie owa świetlna więź, i nie wiedział, co Zedd zdołał z niej wyczytać.

-I jesteś szczęśliwy jako niewolnik?

Ann roześmiała się głośno. Nathan nie. Wyraz oczu zdradził kipiącą w nim, tłumioną, morderczą furię Rahla.

- Zapewniam cię, panie, że nie wybrałem sobie takiego losu. I pomstuję nań przez większość bycia.

- Ona może wie, jak ujarzmić czarodzieja, który jest Prorokiem, ale przekona się też, dlaczego osiągnąłem rangę Pierwszego Czarodzieja. Osiągnąłem ją podczas ostatniej wojny. Obie walczące strony nazywały mnie Wiatrem Śmierci.

Zedd wykorzystał w odliczaniu jeden palec drugiej dłoni. Odwrócił się od Nathana i zmierzył Ksienię spojrzeniem pełnym tak lodowatej groźby, że cofnęła się o krok i przełknęła ślinę.

- Złamałaś rozejm i tym samym skazałaś na śmierć każdą schwytaną w Midlandach Siostrę. Wyrok już zapadł, zgodnie z warunkami rozejmu. Każda z was utraciła prawo do procesu i łaski. Każda, którą pochwyca, zostanie natychmiast stracona.

Zedd uniósł gwałtownie pięść. Z czystego nieba strzeliła błyskawica i uderzyła w Wieżę Czarodzieja. Dało się słyszeć ogłuszające wycie. Na niebie pojawił się, uniósł i rozprzestrzenił pierścień światła. Zostawił po sobie szlak chmur jak dym z płomieni.

- Rozejm dobiegł końca! Jesteś teraz na wrogim terytorium i zagraża ci śmierć. Obiecuję, że jeśli uprowadzisz mnie za pomocą tej obroży, udam się do twojego kraju i obrócę w perzynę Pałac Proroków.

Ksieni Annalina Aldurren przyglądała się przez chwilę Zeddowi w milczeniu, z kamienną twarzą.

- Nie składaj obietnic, których nie zdołasz dotrzymać.

- Przekonasz się. Uśmiechnęła się leciutko.

- Naprawdę musimy już wyruszać. Zedd potaknął z ponurą determinacją.

- Niech tak będzie.

Verna zdołała sobie wreszcie uświadomić, że się ocknęła. Otaczała ją ciemność, bez względu na to, czy otworzyła oczy, czy je zamknęła. Zamrugwała, próbując się upewnić, że istotnie odzyskała przytomność.

Uznała, iż naprawdę jest przytomna, i przywołała swoją Han, by zapalić płomyk. Han nie zareagowała. Verna sięgnęła głębiej i przywołała większą moc.

Natężyła wolę i wreszcie udało się jej zapalić nad otwartą dłońią mały płomyczek. Na podłodze, obok siennika, na którym siedziała, stała świeca. Verna posłała płomyk na knot, zadowolona, że nie musi już z tak wielkim wysiłkiem utrzymywać płomyka siłą swojej Han.

W izdebce znajdował się tylko siennik, świeca, niewielka taca z chlebem i kubeczkim wody oraz - pod przeciwległą ścianą - coś, co wyglądało na nocnik. Tynkowana ściana była blisko, bo izdebka była niewielka. Okien nie było, tylko ciężkie drewniane drzwi.

Verna rozpoznała izdebkę: to jedno z pomieszczeń w szpitalu. Cóż ona robiła w szpitalu?

Opuściła wzrok i stwierdziła, że jest naga. Spojrzała w bok i ujrzała swoją odzież ułożoną w stosik. Ruszając głową, poczuła coś na szyi. Dotknęła ostrożnie. Rada'Han.

Przeszył ją dreszcz. Drogi Stwórco, miała na szyi Rada'Han. Verne ogarnęła panika. Szarpnęła, usiłując się pozbyć obroży. Usłyszała swój krzyk, łkała z przerażenia, szarpiąc nieustępliwy metalowy pierścień.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, co czuli chłopcy, kiedy zakładano im na szyję ten instrument dominacji. Ileż to razy ona sama korzystała z obroży, by skłonić kogoś do spełnienia jej żądań?

Lecz po to tylko, żeby im pomóc, tylko w ich najlepszym interesie. Po to tylko, żeby pomóc. Czy oni też byli tak przerażająco bezradni?

Ze wstydem przypomniała sobie, że wykorzystywała w ten sposób obrozę Warrena.

- Wybacz mi, drogi Stwórco - załkała. - Ja tylko chciałam wykonać twoje dzieło.

Powstrzymała łzy i zapanowała nad sobą. Musiała się domyślić, co się dzieje. Wiedziała, że ta obroza nie ma jej pomóc, ale pozwolić ją kontrolować.

Verna dotknęła dłoni. Zniknął pierścień Ksieni. Serce w niej zamarło; nie upilnowała go. Ucałowała nagi palec, błagając o siłę. Klamka ani drgnęła. Verna uderzała pięścią w drzwi. Przywołała całą swoją moc, zogniskowała ją na klamce i usiłowała nią poruszyć. Klamka ani drgnęła. Spróbowała z zawiasami umocowanymi po drugiej stronie drzwi. Skoncentrowała się gniewnie i skierowała tam swoją Han. Po drzwiach pełgały zielone płomienie ognia i przedostawały się przez pęknięcia i szparę nad podłogą. Verna zgasiła strumień Han. Przypomniała sobie, że Siostra Simona czyniła to samo całymi godzinami, również bez żadnego efektu. Ktoś w Rada'Han nie mógł złamać osłony chroniącej drzwi. Nie zamierzała marnować siły na bezużyteczne wysiłki. Simona może i była szalona, lecz ona, Verna, na pewno nie.

Opadła na siennik. Nie wydostanie się stąd, bijąc pięściami w drzwi. Dar nie pomoże jej wydostać się stąd. Znalazła się w pułapce.

Dlaczego tu była? Spojrzała na palec, na którym tkwił przedtem pierścień Ksieni. Oto dlaczego.

Wstrzymała oddech, przypominając sobie prawdziwą Ksienię. Ann wyznaczyła jej zadanie: liczyła, że Verna wyprowadzi stąd Siostry Światła, zanim zjawi się Jagang.

Rzuciła się do swoich szat, przeszukała je pospiesznie. Dakra zniknęła. Prawdopodobnie dlatego rozebrały ją do naga. Chciałyby się upewnić, czy nie rna żadnej broni. To samo zrobiono z Siostrą Simoną dla jej dobra. Chciano uzyskać pewność, że się nie porani. Nie mogły zostawić tak groźnej broni szalonej kobiecie.

Dotknęła pasa. Wyciągnęła go ze stosu odzieży i przesunęła po nim dłonią - wyczuła znajome zgrubienie.

Drżącymi palcami przysunęła z nadzieją pas bliżej świecy i otworzyła fałszywy szew. W ukrytej kieszonce bezpiecznie tkwiła jej książka podróżna. Verna przycisnęła pas do piersi. Tuliła pas, kołysała się na sienniku i dziękowała Stwórcy. Miała przynajmniej to.

W końcu się uspokoiła, przysunęła odzież do słabego światła i ubrała się. Od razu poczuła się lepiej - nie była już naga i bezradna. Co prawda wciąż czuła się nieco bezradna, ale przynajmniej nie była już poniżoną, nagą więźniarką. Jej samopoczucie nieznacznie się poprawiło.

Verna nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna, ale umierała z głodu. Pochłonęła kromkę czerstwego chleba i łapczywie wypijała wodę.

Nasycała trochę żołądek i zaczęła się zastanawiać, jak też się tu znalazła. Siostra Leoma. Przypomniała sobie, że Siostra Leoma i tamte czekały na nią w gabinecie.

Siostra Leoma była wysoko na liście podejrzanych o przynależność do Sióstr Mroku. Nie została co prawda poddana próbie, ale uczestniczyła w uwięzieniu Verny. To był wystarczający dowód. W gabinecie było ciemno i Verna nie widziała trzech pozostałych, lecz miała w pamięci listę podejrzanych. Phoebe i Dulcinea wbrew jej rozkazom wpuściły te Siostry do gabinetu. Więc i je, choć z oporami, musiała dopisać do tej listy.

Verna zaczęła chodzić tam i z powrotem po izdebce. Narastał w niej gniew. Jak one śmiały myśleć, że ujdzie im to płazem? Ale uszło.

Zachmurzyła się. Nie, nie ujdzie. Ann powierzyła jej obowiązki i Verna nie zawiedzie Ksieni. Wyprowadzi z pałacu Siostry Światła.

Dotknęła pasa. Powinna przesłać wiadomość. Ale czy ośmieli się w takim miejscu? A jeśli ją przyłapią? To by wszystko zniszczyło. Musi jednak zawiadomić Ann, co się stało.

Zatrzymała się nagle. Jakże ma powiedzieć Ksieni, że zawiodła i że przez nią wszystkim Siostram Światła grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, a ona nic na to nie może poradzić? Jagang nadciąga. Ona, Verna, musi uciec. Jeżeli pozostanie w więzieniu, to żadna z Sióstr się nie wydostanie.

I Jagang dopadnie je wszystkie.

Koń stanął i Richard zeskoczył na ziemię. Spojrzał w dół drogi - tamci byli daleko, galopowali za nim. Pogłaskał zwierzę i zaczął przywiązywać wodze do metalowej dźwigni w mechanizmie opuszczającym kratę. Przyjrzał się mechanizmowi i zmienił zamiar: przywiązał wodze do

wystającej części wałka przekładni. Tamta metalowa dźwignia służyła do opuszczania kraty. Jedno porządne szarpnięcie i biedne zwierzę zostałoby zmiażdżone.

Nie czekając na tamtych, chłopak ruszył do Wieży Czarodzieja. Wściekał się, że nikt go nie obudził. Przez pół nocy światło wydobywa się z okien wieży, a nikt nie ma dość odwagi, żeby zbudzić lorda Rahla i powiedzieć mu o tym.

A potem, niecałą godzinę temu, zobaczył błyskawicę i rozbiegający się na czystym niebie pierścień ognia, który zostawiał za sobą pełną dymu warstewkę chmur.

Tknięty nagłą myślą chłopak zatrzymał się, zanim wszedł do wieży, i obejrzał się, by spojrzeć na miasto. W dole, tam gdzie zaczynała się droga do Wieży Czarodzieja, oddziaływały się i inne drogi prowadzące od Aydindril.

A jeśli ktoś był nocą w wieży? Jeżeli coś zabrali? Szkoda, że nie powiedział żołnierzom, by zatrzymywali każdego, kto chce odejść z Aydindril. Kiedy tylko reszta dotrze na miejsce, pošle kogoś z rozkazem do żołnierzy, żeby zawracali wszystkich, którzy chcą wyjechać, i żeby zamknęli drogi.

Richard obserwował ludzi na drogach. Większość przybywała do miasta. Byli jednak i opuszczający je: kilka rodzin z ręcznymi wózkami, żołnierze udający się na patrol, kilka wozów z towarami na handel, cztery konie truchtające za piechurami. Powinien ich wszystkich zatrzymać i sprawdzić.

Ale niby czego miał szukać? Mógłby się przyjrzeć owym ludziom, gdyby żołnierze ich sprowadzili, i może zorintowałby się, czy mają przy sobie jakiś magiczny przedmiot.

Chłopak obrócił się ku wieży. Nie miał czasu. Musiał sprawdzić, co się tam wydarzyło, no a poza tym, jak rozpoznałby tę magiczną rzecz? Tylko straciłby czas. Powinien się zabrać do pracy z Berdine i przetłumaczyć ów pamiętnik, a nie grzebać w czyichś rzeczach. Odchodzili ci, którzy nie chcieli żyć pod władzą D'Hary. Niech sobie idą.

Richard przeszedł przez wewnętrzne osłony. Dobrze wiedział, że tamci tego nie uczynią. Cała piątka się zdenerwuje, że na nich nie poczekał. No i dobrze, może za to następnym razem obudzą go, gdy zobaczą światła w wieży.

Otulony peleryną mriswitha szedł tam, gdzie - jak sam widział - uderzyła błyskawica. Unikał przejść, w których czuł niebezpieczeństwo, i wybierał

inne, w których przynajmniej nie jeżyły mu się włosy na karku. Kilka razy wyczuł mriswithy, ale się nie zbliżyły.

Richard zatrzymał się w rozległym pomieszczeniu, z którego wychodziły cztery korytarze. Widział kilkoro zamkniętych drzwi. Do jednych prowadził krwawy ślad. Przykucnął, przyjrzał się temu dokładniej i stwierdził, że właściwie były to dwa ślady: jeden wiódł do środka, a drugi na zewnątrz.

Gwałtownym ruchem rozchylił pelerynę i dobył miecza. Charakterystyczny szczęk stali odbił się echem w korytarzach. Czubkiem miecza otworzył drzwi.

Izba była pusta, ale wyglądała dość niezwykle. Drewniana podłoga została przypalona. W kamień wryły się okopcone, zygzakowate linie, jakby w środku szalały błyskawice. Ale najbardziej zadziwiały kamienne bloki tu i ówdzie wysunięte do połowy ze ścian, jak gdyby już-już miały wypaść. Całe pomieszczenie wyglądało tak, jakby niemal zniszczyło je trzęsienie ziemi.

Na całej podłodze widniały plamy krwi. Całe jej jezioro stało pod jedną ze ścian, lecz ogień, który osmalił podłogę, wysuszył i krew, więc Richard niewiele z niej wyczytał.

Chłopak poszedł krwawym śladem, ciągnącym się poza izbę, i dotarł do wyjścia na zewnętrzny wał obronny. Wyszedł na chłodne powietrze i natychmiast zobaczył krwawe ślady na kamieniu. Były świeże, jeszcze z wczoraj.

Wystawiony na wiatr wał obronny zaścielały mriswithy i fragmenty ich ciał. Zamarzły już, a mimo to wciąż cuchnęły. Na jednej ze ścian, na wysokości dobrych pięciu stóp, widniała duża plama krwi, a pod nią leżał martwy mriswith z rozerwanym brzuchem. Gdyby krwawa plama była na ziemi, nie zaś na ścianie, Richard gotów byłby pomyśleć, że stwór spadł z nieba i zginął od zderzenia z kamieniami.

Chłopak przyjrzał się śladom masakry i pomyślał, że bardzo przypominają wyniki walki Gratcha z mriswithami. Skonsternowany, potrząsnął głową. Ciekaw był, co też się tutaj działo.

Poszedł krwawym tropem do przerwy w blankach: krew plamiła kamień po obu stronach otworu. Richard stanął tam i spojrzął za krawędź. Widok przyprawiał o zawrót głowy.

Kamienne bloki Wieży Czarodzieja niemal pionowo spadały w dół, wyrzuszając się lekko ku leżącym daleko w dole fundamentom. Jeszcze

niżej kamienny stok góry spadał w dół jakieś kilka tysięcy stóp. Krwawy ślad biegł po ścianie od miejsca, w którym stał Richard, i nikał w dół. Powiększał się tu i ówdzie w krwawe plamy; coś wyleciało za krawędź murów i uderzyło kilka razy w ścianę. Trzeba by posłać żołnierzy, żeby sprawdzili, kto lub co spadło z murów.

Richard przesunął palcem po krwawych śladach na murze. Większość cuchnęła mriswithem. Lecz niektóre nie.

Drogie duchy, cóż tu się wydarzyło? Richard zacisnął usta i potrząsnął głową. Otulił się peleryną mriswitha i zniknął, zastanawiając się nad tym i z jakiegoś powodu myśląc również o Zeddzie. Żałował, że dziadka nie ma przy nim.

ROZDZIAŁ 42

Tym razem Verna była gotowa, kiedy zobaczyła, jak otwiera się mała klapka u dołu drzwi. Zanurkowała ku niej, odsunęła na bok tacę i przycisnęła twarz do podłogi, usiłując wyjrzeć na zewnątrz.

- Kto tam jest?! Kto?! Co się dzieje?! Dlaczego mnie tu trzymacie?! Odpowiedz! - Widziała buty i skraj sukni; to na pewno Siostra troszcząca się o trzymanych w szpitalu. Tamta wyprostowała się. - Proszę! Potrzebna mi nowa świeca! Ta się prawie wypaliła!

Usłyszała oddalające się obojętnie kroki, cichnące w korytarzu, i dźwięk zasuwanego dużego rygla. Zgrzytnęła zębami i zaczęła bić pięścią w podłogę. W końcu osunęła się na siennik i roztarła dłoń. Ostatnio zbyt często uderzała pięścią w podłogę. Wiedziała, że frustracja bierze górę nad rozsądkiem.

W pozbawionej okien izbie Verna nie mogła się zorientować, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Uznała, że przynoszą jej jedzenie za dnia, i w ten sposób usiłowała mierzyć upływ czasu, lecz zdarzało się, iż miała wrażenie, że przynoszą je co kilka godzin, innym razem natomiast była przeraźliwie głodna, nim dostała nową porcję. Bardzo pragnęła, żeby wreszcie opróżnili nocnik.

Poza tym dostawała niewiele jedzenia. Suknia stawała się coraz luźniejsza na biodrach i w biuście. Przez ostatnie kilka lat chciała trochę schudnąć i mieć taką figurę jak przed dwudziestoma laty, kiedy wyruszała w podróż. W młodości uważano ją za atrakcyjną. Nadwaga zawsze przypominała jej o utraconej młodości i urodzie.

Verna zaśmiała się jak szalona. Może i one tak uważały i dlatego wzięły Ksienię na dietę. Śmiech umilkł. Żałowała, że Jedidiah widział tylko powłokę, a nie jej wnętrze. A teraz ona także tęskni za ową powłoką. Po policzku Verny spłynęła łza. Warren zawsze pamiętał o wnętrzu. Ależ była głupia.

- Modlę się o twoje bezpieczeństwo, Warrenie - wyszeptała do ścian.

Przesunęła tacę po podłodze, bliżej świecy. Usiadła i chwyciła kubeczek z wodą. Zdołała się powstrzymać, nim wypila zawartość. Napomniała się, że trzeba trochę zostawić na później. Zawsze dawały jej za mało wody. A ona zbyt często wypijała wszystko od razu i potem leżała przez cały dzień, śniąc

na jawie o nurkowaniu w jeziorze, nurkowaniu z otwartymi ustami i picciu do woli.

Przytknęła kubeczek do ust i pociągnęła mały łyk. Odstawiła go na tacę i wtedy dostrzegła coś nowego, coś różniącego się od połowy bochenka chleba. Zobaczyła miseczkę zupy.

Verna ze czcią uniosła naczynie, wciągnęła w nozdrza aromat. Była to cienka cebulowa zupka, lecz jej wydała się ucztą godną królowej. Przełknęła łyk, niemal płacząc z radości i rozkoszując się bogatym smakiem. Oderwała kawałek chleba i zanurzyła w zupie. Smakował lepiej niż czekolada, lepiej niż wszystko, co do tej pory jadła. Pokruszyła resztę chleba i wrzuciła do zupy. Okruchy napęczniały i wyglądało na to, że chleba jest tyle, iż Verna nie zdoła go zjeść. Ale zjadła.

Jedząc, wyjęła z ukrytej kieszeni książkę podróżną. Nie było żadnej wiadomości, więc znów upadła na duchu. Dała znać Ann, co się wydarzyło, i otrzymała pospiesznie naskrobaną odpowiedź: "Musisz uciec i wyprowadzić Siostry". Od tamtej pory nie pojawiła się żadna nowa wieść.

Przechyliła miseczkę i zebrała wszystkie kropelki zupy, a potem zgasiła świecę, by zachować ją na później. Ustawiła kubeczek z resztą wody za świecą, chcąc mieć pewność, że nie wywróci go w ciemnościach, i położyła się na sienniku, rozmasowując pełny brzuch.

Zbudził ją hałas podnoszonego rygła. Osłoniła ręką oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem, który wpadł do izby. W drzwiach stała kobieta trzymająca lampę. Verna mrużyła oczy w jaskrawym blasku.

Kobieta postawiła lampę na podłodze, wyprostowała się i splotła ręce na wysokości talii. W milczeniu obserwowała Verne. - Kto to? Kto tu jest?

- Siostra Leoma Marsick - padła zwięzła odpowiedź. Verna zamrugowała i jej oczy przyzwyczyły się wreszcie do blasku lampy. Tak, to była Leoma. To jej pomarszczona twarz i długie białe włosy.

Leoma była jedną z czekających w gabinecie Ksieni. Tą, która zamknęła tu Verne. Verna skoczyła jej do gardła.

Po chwili znów siedziała na sienniku, a pośladki bolały ją po twardym lądowaniu. Czuła, że Rada'Han nie pozwala jej wstać. Spróbowała poruszyć nogami, lecz nie posłuchały. Cóż za przerażające uczucie. Z trudem chwyciła powietrze, tłumiąc krzyk strachu. Przestała walczyć z bezruchem, zrezygnowała ze wstawania i panika opadła, ale owo niepokojące,

pochodzące z zewnątrz uczucie zostało.

- Wystarczy, Verno.

Verna upewniła się, że panuje nad głosem, i dopiero wtedy się odezwała:

- Dlaczego mnie tu trzymacie?

- Zamknęliśmy cię do czasu zakończenia procesu. Procesu? Jakiego procesu? Nie. Nie sprawi Leomie przyjemności.

- To właściwa decyzja. - Verna żałowała, że nie może stać. Upokarzało ją to, że Leoma tak z góry na nią patrzy. -I zakończył się?

- Dlatego tutaj jestem. Przybyłam poinformować cię o decyzji trybunału.

Verna powstrzymała się od złośliwej repliki. Było oczywiste, że te zdrajczynie uznały ją winną jakiegoś nieprawdziwego zarzutu. -I jak brzmi owa decyzja?

- Uznano, że jesteś Siostrą Mroku.

Vernie odebrało mowę. Wpatrywała się w Leomę, lecz nie mogła wydusić ani słowa, tak ją zabolalo, że Siostry uznały ją winną takiej okropności. Niemal całe życie starała się, by Stwórcy oddawano należną mu na tym świecie cześć. Wściekłość kipiała w niej, zdołała jednak nad sobą zapanować, pamiętając o uwagach Warrena na temat swojej krewkości.

- Siostrą Mroku? Rozumiem. Jakżeż uznano mnie winną takiego zarzutu bez żadnego dowodu?

Leoma zachichotała.

- Chyba nie sądzisz, Verno, że zdołałabyś dopuścić się tak okropnej zdrady i nie zostawić ani jednego dowodu?

- Nie. Przypuszczam, że zdołałyście coś wynaleźć. Zamierzasz mi to powiedzieć czy też przyszedł tu wyłącznie po to, by się przechwalać, że wreszcie udało ci się zostać Ksienią?

Leoma uniosła brew.

- Och, wcale nie zostałam Ksienią. Wybrano Siostrę Ulicię. Verna drgnęła.

- Ulicię?! Ulicia jest Siostrą Mroku! Uciekła wraz z pięcioma współwinnymi!

- Wprost przeciwnie. Siostry Cecilia, Tovi, Armina, Nicei i Merissa zjawily się ponownie w pałacu i przywrócono im godność Sióstr Światła.

Verna ze wszystkich sił starała się wstać. Bez powodzenia.

- Przyłapano je na atakowaniu Ksieni Annaliny! Ulicia ją zabiła!

Wszystkie uciekły!

Leoma westchnęła, jakby miała wytłumaczyć nierozgarniętej nowicjuszcze zupełnie oczywistą rzecz.

- A kto przyłapał je na napaści na Ksienię Annalinę? - Zamilkła na chwilę.
- Ty. Ty i Richard. Owe sześć Sióstr zaświadczyło, że po tym jak Richard zabił Siostrę Lilianę, zostały zaatakowane przez Siostrę Mroku i uciekły, by uratować życie. Potem zdołały powrócić, żeby ocalić pałac z twoich łap. Wyjaśniono całe nieporozumienie. To ty, Siostra Mroku, uknułaś całą tę intrygę i oskarżyłaś je. Ty i Richard byliście jedynymi świadkami. To wy zabiliście Ksienię Annalinę: ty i Richard Rahl, któremu później pomogłaś w ucieczce. Mamy zeznania Sióstr, które słyszały, jak mówiłaś jednemu z gwardzistów, Kevinowi Andellmere, że powinien być lojalny wobec twojego wspólnika Richarda, a nie wobec imperatora.

Verna z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - Więc uwierzyliście słowom służek Opiekuna i na tej podstawie skazałyście mnie, bo ich jest sześć, a ja jedna?

- No nie. Przez wiele dni składano zeznania i przedstawiano dowody. Twój proces trwał niemal dwa tygodnie. W interesie sprawiedliwości i ze względu na powagę oskarżenia chcieliśmy być pewne, że wydamy właściwy wyrok. Pojawiło się wielu świadków, którzy opowiedzieli o twojej niegodziwości i o podstępnych intrygach.

- O czym ty mówisz? - Verna wyrzuciła w górę rękę.

- Metodycznie udaremniałaś wysiłki pałacu. Obróciłaś wniwecz tysiące lat tradycji i starań, zrobiłaś wszystko, żeby doprowadzić do ruiny osiągnięcia Sióstr Światła. Spowodowałaś ogromne problemy. Ludzie w mieście burzyli się, ponieważ rozkazałaś, żeby pałac przestał płacić kobietom, które zaszły w ciążę z naszymi młodymi czarodziejami. Owe dzieci to nasze najważniejsze źródło chłopców mających wrodzony dar. Pragnęłaś, by to źródło wyschło. Sprawiałaś, że nasi młodzieńcy przestali chodzić do miasta, by zaspokajać swoje pragnienia i powoływać do życia potomków z darem. W ostatnim tygodniu doszło do zamieszek, które musiała stłumić gwardia. Ludzie chcieli już zaatakować pałac, tak byli oburzeni twoim okrucieństwem i tym, że przez ciebie owe kobiety i dzieci głodowały. Wielu młodzieńców przyłączyło się do niezadowolonych, bo odebrałaś im prawo do pałacowego złota.

Verna była ciekawa, o co właściwie chodziło w owych zamieszkach, skoro byli w to zamieszani młodzi czarodzieje. Wątpiła jednak, by Leoma powiedziała prawdę. Zdawała sobie sprawę, że wśród owych młodych czarodziejów byli porządni chłopcy, i bała się o ich los.

- Nasze złoto niszczy każdego, kto go dotknie - powiedziała Verna. Wiedziała, że szkoda marnować czas na bronienie siebie, ponieważ ta kobieta nie usłucha ani głosu rozsądku, ani prawdy.

- To spełniało swoją funkcję przez tysiące lat. Lecz ty nie chciałaś oczywiście, żeby Stwórca korzystał z owoców tej praktyki. Zrobiłaś wszystko, by zniszczyć i to, i inne zwyczaje. Nie chciałaś, żebyśmy się mogły przekonać, czy młodzi ludzie są gotowi stawić czoło światu. Wolałaś, żeby zawiedli, więc zabroniłaś przeprowadzania próby bólu. Ten twój rozkaz odwołano tak samo jak poprzedni. Od dnia, w którym zostałam Ksienią, profanowałam pałacową doktrynę. Odpowiadając za śmierć Ksieni Annaliny, użyłam sztuczek rodem z zaświatów, żeby zająć jej stanowisko i zniszczyć nas. Nigdy nie słuchałam porad swoich doradczyń, ponieważ nie zamierzałam wcale chronić pałacu. Nawet nie trudziłam się, by sprawdzać raporty, zrzucając ów obowiązek na niedoświadczone administratorki, a sama w tym czasie zamykałam się w sanktuarium i konferowałam z Opiekunem. Verna westchnęła.

- A więc to tak? Moje administratorki nie lubią pracować? Pewni chciwi ludzie są niezadowoleni, bo odmawiam złota z pałacowego skarbcza tym, które wolą zająć się ciążą, niż założyć rodzinę i dopiero wówczas rodzić dzieci? Niektóre Siostry narzekają, gdyż zabraniam młodym ludziom niepohamowanych wydatków? Nagle bierze się serio słowa sześciu Sióstr, które wołały uciec, niż się wytłumaczyć? I nawet jedną z nich obiera się Ksienią! A to wszystko bez jednego mocnego dowodu?

Leoma wreszcie się uśmiechnęła.

- Och, mamy mocny dowód, Verno. Naprawdę mamy. - Z zadowoloną miną sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła kawałek papieru. - Mamy bardzo mocny, bardzo przekonujący dowód, Verno. - Z powagą rozprostowała ów papier i srogo spojrzała na uwięzioną. - I mamy jeszcze jednego świadka. Warrena.

Verna wzdrygnęła się, jakby wymierzono jej policzek. Przypomniała sobie wieści od Ksieni i Nathana. Nathan nalegał usilnie, żeby Warren

opuścił pałac. Ann podkreślała, by Verna natychmiast wyprawiła czarodzieja.

- Wiesz, co to jest, Verno?

Zapytana nie ośmieliła się ani odpowiedzieć, ani mrugnąć okiem.

o - Myślę, że wiesz. To proroctwo. Tylko Siostra Mroku mogła być tak bezczelna, żeby zostawić ów dokument na widoku. Znalazłyśmy go w podziemiach, tkwił w księdze. Może zapomniałaś, czym mówi? Pozwól więc, że ci go przeczytam: *Kiedy Ksieni Prorok ofiarowani zostaną Światłu w świętej ceremonii, płomienie sprawią, iż rozgorzeją podstępny i przebiegłość i na szczycie wyniosą fałszywą Ksienię, która włączyć będzie poza kres Pałacu Proroków.* - Leoma złożyła papier i schowała go do kieszeni. - Wiedziałaś, że Warren jest Prorokiem, a mimo to zdjęłaś mu obróżę. Pozwoliłaś, żeby Prorok był pozbawiony kontroli. To poważny występki.

- Dlaczego sądzisz, że to proroctwo Warrena? - spytała ostrożnie Verna.

- Bo Warren się do tego przyznał. Trochę potrwało, nim zdecydował się przyznać do wygłoszenia owego proroctwa.

- Co mu zrobiłyście? - spytała z gniewem Verna.

- Zgodnie z naszym obowiązkiem wykorzystaliśmy jego Radailan, by wyświetlić prawdę. W końcu wyznał, że to jego proroctwo.

- Jego Rada'Han? Założyłyście mu z powrotem obróżę?

- Oczywiście. Prorok musi mieć obróżę. Twoim obowiązkiem jako Ksieni było dopilnować tego. Warren znów ma obróżę i jest pod strażą za osłonami w apartamentach Proroka. Wszystko jest tak, jak należy. Pałac Proroków wrócił do normalności. To proroctwo było ostatecznym dowodem. Zaświadczyło o dwulicowości twoich działań i ujawniło twoje prawdziwe zamiary. Na szczęście zdążyłyśmy zareagować, zanim doprowadziłaś do jego spełnienia. Nie udało ci się.

- Sama wiesz, że to wszystko nieprawda.

- Proroctwo Warrena dowodzi twojej winy. Nazywa cię fałszywą Ksienią i ujawnia twoje plany zniszczenia Pałacu Proroków. - Leoma znów się uśmiechała. - Owo proroctwo, przeczytane przed trybunałem, wywołało niemałe poruszenie. Powiedziałabym, że stało się wystarczającym do skazania cię, niepodważalnym dowodem.

- Ty podstępna żmijo! Obyś umarła!

- Właśnie czegoś takiego spodziewałam się po osobie twojego pokroju. Na szczęście nie możesz wprowadzić swoich gróźb w czyn.

Verna spojrzała Leomie prosto w oczy i ucałowała swój serdeczny palec.

- A może i ty ucałujesz swój serdeczny palec i poprosisz Stwórcę o pomoc w owym tak trudnym dla Pałacu Proroków czasie?

Leoma uśmiechnęła się drwiąco i rozłożyła ręce.

- Teraz pałac nie ma żadnych kłopotów, Verno.

- Ucałuj palec, Leomo i okaż ukochanemu Stwórcy, jak troszczysz się o dobro Sióstr Światła.

Leoma nie podniosła dłoni ku ustom. Nie mogła i Verna o tym wiedziała.

- Nie przyszłam tutaj po to, żeby się modlić do Stwórcy.

- Oczywiście, że nie, Leomo. Obie wiemy, że jesteś Siostrą Mroku, podobnie jak nowa Ksieni. To Ulicia jest fałszywą Ksienią z proroctwa.

Leoma wzruszyła ramionami.

- To ty, Verno, jesteś pierwszą Siostrą Światła, której udowodniono tak potworną zbrodnię. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Wyroku nie można obalić.

- Jesteśmy same, Leomo. Zza tych osłon nikt nas nie usłyszy, chyba że będzie to ktoś mający dar magii subtraktywnej, a takiej osoby nie musisz się obawiać. Żadna z prawdziwych Sióstr Światła nie usłyszy ani jednego wypowiedzianego tu słowa, a gdybym spróbowała komuś powtórzyć to, co mi powiesz, to nikt by mi nie uwierzył. Więc przestań udawać, Leomo. Obie znamy prawdę.

- Mów dalej. - Leoma uśmiechała się leciutko.

Verna odetchnęła głęboko dla uspokojenia i złożyła ręce na kolanach.

- Nie zabiłaś mnie, choć Ulicia zabiła Ksienię Annalinę. Nie zadawałaśbyś sobie tyle trudu, gdybyś mnie zamierzała zabić. Mogłabyś to zrobić w moim gabinecie. Najwyraźniej chcesz czegoś. Czego chcesz, Leomo?

Leoma zachichotała.

- Zawsze zmierzałaś prosto do celu, Verno. Nie masz zbyt wielu lat, lecz muszę przyznać, że jesteś bystra.

- Tak, jestem wręcz genialna. Właśnie dlatego tutaj tkwię. Co twój władca, Opiekun, kazał ci ode mnie wyciągnąć?

Leoma zacisnęła usta.

- Chwilowo służymy innemu panu. Ważne jest to, czego on sobie życzy.

- Jagang? - Verna zmarszczyła brwi. - I jemu też złożyłyście przysięgę?

- Niezupełnie. - Leoma odwróciła na chwilę wzrok. - Ale nie w tym rzecz.

Jagang czegoś pragnie i dostanie to. Moim obowiązkiem jest dopilnować, żeby dostał to, czego chce.

- A czego ty chcesz ode mnie?

- Musisz się wyprzeć Richarda Rahla.

- Śnisz, jeżeli sądzisz, że to zrobię.

- O tak, śniłam. - Leoma uśmiechnęła się ironicznie. - Jednakże i to nie ma nic do rzeczy. Musisz zerwać więź z Richardem.

- Dlaczego?

- Ponieważ Richard zna sposób pozwalający przeszkadzać imperatorowi w kontrolowaniu wydarzeń. Wierność wobec Richarda powstrzymuje moc Jaganga. A on pragnie się przekonać, czy tę wierność można zniszczyć, tak by mógł wniknąć do twojego umysłu. To swego rodzaju eksperyment. A do mnie należy przekonanie cię, byś zrezygnowała z wierności.

- Nie uczynię tego. Nie zmusisz mnie, żebym przestała być lojalna wobec Richarda.

Uśmiech Leomy stał się ponury. Skinęła głową.

- Och, mogę to uczynić i uczynię. Mam do tego potężną motywację. Zanim Jagang się tu zjawi i ulokuje w Tanimurze swój główny sztab, ja złamię więź łączącą cię z jego wrogiem.

- Jak? Odcinając mnie od mojej Han? Uważasz, że to złamię moją wolę?

- Tak łatwo zapominasz, Verno? Zapomniałaś, do czego jeszcze służy Rada'han? Zapomniałaś o próbie bólu? Prędzej czy później będziesz błagać na kolanach, by wolno ci było przysiąc wierność imperatorowi. Bardzo się mylisz, sądząc, że uchylę się od tego strasznego zadania. Popelniasz poważny błąd, zapominając, kim jestem, lub łudząc się, że mam dla ciebie choć odrobinę współczucia. Upłyną jeszcze całe tygodnie, nim przybędzie Jagang. Mamy tyle czasu, ile trzeba. Zanim się poddasz te tygodnie wydadzą ci się latami, na pewno jednak się ugniesz.

Verna zdrętwiała. Zapomniała o próbie bólu. Czuła, jak strach znów chwyta ją za gardło. Widziała oczywiście, jak czyniono to młodzieńcom z Rada'han na szyjach, wtedy jednak nie trwało to dłużej niż godzinę i kolejne próby dzieliły całe lata.

- Zaczynamy, Siostrze Verno? - Leoma podeszła i kopnęła kubek z wodą.

ROZDZIAŁ 43

Richard wzdrygnął się, gdy zobaczył, jak chłopiec pada nieprzytomny. Widzowie odciągnęli go na bok i jego miejsce zajął inny chłopiec. Nawet zza wysokich okien Pałacu Spowiedniczek słyszał radosne wrzaski tłumu dzieciaków. Obserwowały chłopców grających w tę samą grę, w którą grały dzieci w Tanimurze: w Ja'La. W rodzinnym Westlandzie Richard nigdy nie słyszał o Ja'La, lecz dzieci w Midlandach grały w nią tak samo jak dzieciaki w Starym Świecie. Gra była szybka i chyba ekscytująca, jednak Richard wcale nie uważał, że to dobrze, by dzieciaki traciły w zabawie zęby.

- Lordzie Rahlu? Jesteś tutaj, lordzie Rahlu? - zawołał Ulic. Richard odwrócił się od okna i zrzucił z ramion czarną pelerynę mriswitha, pozbywając się ochronnego okrycia.

- Tak, Ulic. O co chodzi?

Wielkolud zobaczył pojawiającego się znikąd Richarda, a ponieważ był już do tego przyzwyczajony, wszedł do komnaty.

- Przybył keltoński generał i chce się z tobą widzieć. To generał Baldwin.

Richard dotknął czoła czubkami palców i poszukał w pamięci.

- Baldwin, Baldwin... - Podniósł wzrok. - Generał Baldwin. Tak, pamiętam. Wódz całej keltońskiej armii. Posłaliśmy mu pismo o poddaniu się Keltonu. Czego chce?

Ulic wzruszył ramionami.

- Powiedział jedynie, że chce mówić z lordem Rahlem. Richard odwrócił się ku oknu, odsunął ciężką złotą zasłonę i oparł się leniwie o malowaną ościeżnicę. Obserwował zgiętego wpół chłopca, który przychodził do siebie po ciosie piłką. Chłopiec wyprostował się i wrócił do gry.

- Ilu żołnierzy towarzyszyło generałowi do Aydindril?

- Mały oddziałek. Pięciuset, może sześciuset.

- Powiadomiono go, że Kelton się poddał. Gdyby miał złe zamiary, nie przychodziłby do Aydindril z taką garstką żołnierzy.

Lepiej będzie, jeśli się z nim spotkam. - Znów spojrział na słuchającego uważnie Ulica. - Berdine jest zajęta. Niech Cara i Raina wprowadzą generała.

Ulic przyłożył pięść do serca i chciał odejść, lecz Richard go zawołał.

- Czy żołnierze znaleźli jeszcze coś u stóp góry, na której wznosi się

Wieża Czarodzieja?

- Nie, lordzie Rahlu. Nic oprócz tych resztek mriswithów. Śniegu jest tam tyle, że stopnieje dopiero wiosną i wtedy przekonamy się, co jeszcze spadło z wieży. Zresztą wiatr mógł to zwiać gdzieś w bok i żołnierze nie mają pojęcia, gdzie kopać. Odnalezione łapy i ramiona mriswithów były na tyle lekkie, że nie zapadły się w puszysty śnieg. Tb, co było cięższe, mogło się zapaść na jakieś dziesięć, a może i dwadzieścia stóp.

Rozczarowany Richard skinął głową.

- Jeszcze jedno. Pałac musi mieć szwaczki. Odnajdź Pierwszą Szwaczkę i poproś, żeby do mnie przyszła.

Nie myśląc o tym, co robi, Richard otulił się odruchowo czarną peleryną mriswitha i znów zaczął obserwować grę Ja'La. Z niecierpliwością oczekiwał pojawienia się Kahlan i Zedda. Już wkrótce powinni tu być. Muszą być już blisko. Gratch z pewnością ich odnalazł i niedługo znowu będą razem.

- Lordzie Rahlu? - Od drzwi dał się słyszeć głos Cary. Richard odwrócił się i rozchylił pelerynę. Pomiedzy dwiema Mord-Sith stał wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z poznaczonymi siwizną ciemnymi wąsami. Końce wąsów rosły w dół, okalając usta i brodę, a siwiejące czarne włosy zasłaniały uszy. Wśród rzednących włosów prześwitywała skóra. Odziany był w ciężką, półkolistą pelerynę z serży, naszywaną bogato zielonym jedwabiem i spiętą dwoma guzikami na ramieniu. Wysoki, haftowany kołnierz leżał na brązowej opończy ozdobionej herbem o zielonym i żółtym polu przedzielonym ukośną czarną linią. Wysokie buty osłaniały kolana. Długie czarne rękawice zatknięte były za szeroki pas spięty ozdobną klamrą.

Gdy Richard pojawił się znienacka, jakby znikąd, generał zbladł i zatrzymał się.

Richard się skłonił.

- Z radością pana widzę, generale Baldwin. Jestem Richard RahL Generał w końcu się opanował i oddał ukłon.

- Czuję się zaszczycony, lordzie Rahlu, że tak szybko zechciałeś mnie przyjąć.

- Caro, przynieś, proszę, krzesło dla generała. Pewno jest zmęczony podróżą.

Cara ustawiła przed stołem zwykłe krzesło ze skórzanym wyściełanym siedziskiem. Generał spoczął na nim i Richard dopiero wtedy zasiadł za

stołem.

- Czym mogę panu służyć, generale Baldwin?

Generał spojrział na stojącą przy jego lewym ramieniu Rainę oraz na Careę, która towarzyszyła mu z prawej strony. Obie kobiety stały swobodnie, milcząc, z założonymi do tyłu rękami. Bez słów dawały do zrozumienia, że się stąd nie ruszą.

- Możesz mówić swobodnie, generale. Ufam im na tyle, że czuwają nade mną, kiedy śpię.

Baldwin odetchnął głęboko i trochę się rozluźnił. Zaakceptował owo zapewnienie.

- Przybyłem z powodu królowej, lordzie Rahlu.

Richard się tego spodziewał. Oparł na stole skrzyżowane dłonie.

- Ogromnie żałuję tego, co się wydarzyło, generale. Generał wsparł rękę o stół i nachylił się.

- Tak, słyszałem o mriswithach. A nawet widziałem kilka tych obmierzłych bestii na pikach przed pałacem.

Richard z trudem powstrzymał się, by nie powiedzieć, że może to są i bestie, ale z pewnością nie obmierzłe. W końcu mriswith zabił Cathryn Lumholtz, kiedy ta próbowała zamordować Richarda. Jednak generał nie zrozumiałby tego, więc chłopak powiedział głośno:

- Szczerze żałuję, że twoja królowa zginęła, przebywając pod moim dachem.

Generał skwitował te słowa ruchem dłoni.

- Nie stawiam ci żadnych zarzutów, lordzie Rahlu. Chodzi mi o to, że teraz, kiedy Cathryn Lumholtz nie żyje, Kelton został bez króla czy królowej. Była ostatnią dziedziczką tronu i jej nagła śmierć stwarza pewne problemy.

- Jakie problemy? Zjednoczyliście się z nami. - Richard postarał się, żeby jego głos brzmiał przyjacielsko i zarazem oficjalnie.

Baldwin się skrzywił.

- Tak, otrzymaliśmy odpowiednie dokumenty. Lecz teraz nasza królowa nie żyje. Dopóki była u władzy, rządziła zgodnie ze swoją wolą, jednak obecnie nie wiemy, jak mamy postąpić.

Richard zmarszczył brwi.

- To znaczy, że potrzebny warn nowy król lub królowa?

- Takie już mamy zwyczaje, że przewodzi nam monarcha -

usprawiedliwił się generał. - Mimo iż teraz, po połączeniu się unią z D'Hara, jest to symboliczne, Keltończycy potrzebują króla lub królowej. Bez monarchy czują się jak pozbawieni korzeni nomadowie. Nie mają niczego, co trzymałoby ich razem. Ponieważ nie ma już Lumholtzów, na czoło może się wysunąć któryś z innych rodów. Żaden z nich nie ma prawa do tronu, niemniej jednak któryś może go zdobyć. A spory o tron mogą doprowadzić do wojny domowej.

- Rozumiem - powiedział Richard. - Rzecz jasna zdajesz sobie sprawę, iż wybór nowego władcy nie ma żadnego wpływu na kwestię waszego poddania się. Ono jest nieodwołalne.

- To nie takie proste. Dlatego właśnie przybyłem prosić cię o pomoc.

- Jak mogę pomóc? Generał potarł podbródek.

- Lordzie Rahlu, królowa Cathryn poddała ci Keltom, ale teraz nie żyje. Jesteśmy twoimi poddanymi, dopóki nie będziemy mieć nowego władcy. Zastępujesz nam króla tak długo, jak długo nie będziemy mieć nowego. Może się jednak zdarzyć, że ród, który zdobędzie władzę, inaczej spojrzy na kwestię unii.

Richard postarał się, by w jego głosie nie zabrzmiała ani jedna groźna nutka.

- Nie obchodzi mnie, co oni sobie o tym pomyślą. W tej sprawie nie ma odwrotu.

Generał poprosił gestem o cierpliwość.

- Uważam, iż nasza przyszłość jest związana z tobą, lordzie Rahlu. Chodzi o to, że jeśli władzę przejmie niewłaściwy ród, to może mieć na ten temat inne zdanie. Szczerze mówiąc, nigdy bym nie pomyślał, że ród Lumholtzów wybierze unią z D'Hara. Musiałeś być bardzo przekonujący, skoro zdołałeś namówić do tego królową. Niektórzy z tych książąt i księżnych są dobrymi graczami politycznymi, lecz w ogóle nie obchodzi ich interes ogółu. Księstwa są niemal suwerenne i ich mieszkańcy zginają kark tylko przed monarchą. Jeśli jeden z niewłaściwych rodów przejmie władzę, znajdą się tacy, którzy będą twierdzić, że to Kelton powinien przewodzić unii, a nie D'Hara. I wybuchnie wojna domowa. Jestem żołnierzem, więc patrzę na to oczami żołnierza. A żołnierz najmniej lubi walczyć właśnie w wojnie domowej. Służą u mnie ludzie z każdego z księstw. Wojna domowa zniszczy jedność armii, zniszczy nas i wyda na łup prawdziwych wrogów.

- Słucham, mów dalej - odezwał się Richard w ciszy, która nagle zapadła w komnacie.

- Jak już mówiłem, jako żołnierz rozumiejący wartość jedności i jednej władzy uważani, że nasza przyszłość jest związana z tobą. A teraz, dopóki nie mamy nowego władcy, ty stanowisz prawo. - Generał Baldwin nachylił się nad stołem i znacząco zniżył głos. - A skoro teraz to ty stanowisz prawo, cała sprawa się rozwiąże, jeżeli mianujesz nowego króla lub królową. Rozumiesz, o co mi chodzi? Rody będą musiały uznać nowego władcę i pójść za tobą, jeśli ów nowy władca ogłosi, że pakt zachowuje ważność.

- To brzmi jak gra, generale. - Richard przymrużył oczy. - Przesuń pionka i zablokuj przeciwnika, nim zdąży cię zbić.

- Teraz twój ruch, lordzie Rahlu. - Generał przygładził wąsa. Richard odchylił się na oparcie krzesła.

- Rozumiem - powiedział.

Chłopak zastanawiał się przez chwilę, nie mając pojęcia, jak zareagować. Może powinien spytać generała, który z rodów byłby lojalny. Choć niezbyt mądrze byłoby ufać człowiekowi, który ot tak sobie przyszedł i oznajmił, że chce pomóc. To mógł być podstęp. Spojrzał na Carę stojącą za generałem. Przygarbiła ramiona, minę miała zmieszana. Rzucił okiem na Rainę. Dała znak, że i ona nie ma żadnych sugestii.

Richard wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na mieszkańców miasta. Gdyby Kahlan tu była. Ona doskonale się na tym znała. Doskonale znała się na królowaniu, sprawowaniu rządów. Przejmowanie Midlandów okazywało się bardziej skomplikowane, niż się tego spodziewał.

Mógłby po prostu rozkazać, żeby z tym skończyć, i wysłać d'harańskie wojska, by narzucić swoją wolę, ale to oznaczałoby marnowanie cennych żołnierzy na coś, co można załatwić w inny sposób. Mógł odłożyć sprawę na później, lecz potrzebował lojalnego Keltonu. Inne krainy, które zależały od niego, pójdą w jego ślady. Miał już Kelton, jeśli jednak popełni błąd, wszystkie plany spalą na panewce.

Żeby tylko Kahlan jak najszybciej dotarła do Aydindril. Powiedziałyby mu, co robić. Może uda się odwlec sprawę do czasu, kiedy ona i Zedd się zjawią, i postąpić zgodnie z jej radą. Wkrótce powinna tu być. Ale czy dotrze wystarczająco szybko?

Co powinienem zrobić, Kahlan?

Kahlan.

Richard spojrział na czekającego generała.

- Skoro Kelton potrzebuje monarchy, który byłby dla wszystkich Keltończyków symbolem nadziei i władzy, to wybiorę warn władcę.

Generał czekał.

- Jako władca D'Hary, któremu Kelton winien jest posłuszeństwo, dam warn królową. Od tej chwili królową Keltonu jest Kahlan Amnell.

Generał Baldwin wstał, otwierając szeroko oczy.

- Mianujesz Kahlan Amnell naszą królową?

Richard położył dłoń na gardzie miecza i spojrział twardo na generała.

- Tak. Cały Kelton powinien jej słuchać. Ten rozkaz, jak i wasze poddanie, jest nieodwołalny.

Generał Baldwin padł na kolana i skłonił nisko głowę.

- Ledwo mogę uwierzyć, lordzie Rahlu, że uczyniłeś to dla mojego ludu. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni.

Richard miał już dobyć miecza, lecz słowa generała powstrzymały go. Nie spodziewał się takiej reakcji. Żołnierz podniósł się z klęczek.

- Muszę cię natychmiast opuścić, lordzie Rahlu, żeby zanieść tę cudowną nowinę naszym oddziałom. Będą równie zaszczyceni jak ja, że zostaliśmy poddanymi Kahlan Amnell.

- Cieszę się, generale Baldwin, że zaakceptowałeś mój wybór - powiedział z rezerwą chłopak, nie mając pojęcia, jak zareagować.

- Zaakceptowałem? - Generał rozłożył ręce. - To przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania, lordzie Rahlu. Kahlan Amnell jest królową Galei. Bardzo nas bolało, że Matka Spowiedniczka włada rywalizującą z naszą krainą. Skoro jednak mianowałeś ją i naszą królową, to oznacza, że lord Rahl ceni Kelton równie wysoko jak Galeę. Kiedy ją poślubisz, poślubisz nie tylko Galejczyków, ale i nasz naród.

Richard zdrętwiał, odebrało mu mowę. Skąd ten człowiek wiedział, że Kahlan była Matką Spowiedniczka? Dobre duchy, co się stało?

Generał Baldwin zdjął rękę Richarda z gardy miecza i serdecznie ją uściskał.

- To największy zaszczyt, jaki kiedykolwiek spotkał mój lud, lordzie Rahlu. Sama Matka Spowiedniczka będzie naszą królową. Dziękuję, lordzie Rahlu. Dziękuję.

Generał Baldwin uśmiechał się radośnie, za to Richard był bliski paniki.

- Mam nadzieję, generale, że to przypieczętuje naszą jedność. Generał roześmiał się z zachwytem i machnął ręką.

- Na zawsze, po wsze czasy, lordzie Rahlu. A teraz wybacz, muszę natychmiast wracać i zanieść tę radosną nowinę mojemu ludowi.

- Oczywiście - wykrztusił Richard.

Generał Baldwin uściśnął dłonie Carze i Rainie i pospiesznie wyszedł. Chłopak stał jak skamieniały.

- Coś nie tak, lordzie Rahlu? - Cara się nachmurzyła. - Twoja twarz jest szara jak popiół.

Richard oderwał wreszcie wzrok od drzwi, przez które wyszedł generał, i spojrzał na nią.

- Wiedział, że Kahlan jest Matką Spowiedniczką.

- Przecież wszyscy wiedzą, że twoja przyszła żona, Kahlan Amnell, jest Matką Spowiedniczką - stwierdziła zdumiona Cara.

- Co takiego?! To i ty wiesz? - wyszeptał. Obie potaknęły, a Raina powiedziała:

- Oczywiście. Zle wyglądasz, lordzie Rahlu. Jesteś chory? Może lepiej usiądź.

Richard spojrzał na Rainę i Carę.

- Chronił ją czar. Nikt nie wiedział, że jest Matką Spowiedniczką. Nikt. Wielki czarodziej użył magii, by ukryć, kim ona jest. Przedtem nie wiedziałyście.

Tym razem Cara naprawdę się zdumiała.

- Nie wiedziałyśmy? To bardzo dziwne, lordzie Rahlu. Zawsze wiedziałam, że ona jest Matką Spowiedniczką.

Raina potwierdziła to skinieniem głowy.

- Niemożliwe - powiedział Richard. Obrócił się ku drzwiom. - Ulic! Egan! Wpadli niemal natychmiast, czujni i gotowi do walki.

- Co się stało, lordzie Rahlu?

- Z kim mam się ożenić? Obaj zdrętwieli z osłupienia.

- Z królową Galei, lordzie Rahlu - odparł Ulic. - Kim ona jest?!

Gwardziści wymienili zdumione spojrzenia.

- Hmm - powiedział w końcu Egan - to królowa Galei, Kahlan Amnell. Matka Spowiedniczką.

- Podobno Matka Spowiedniczką nie żyje! Czy żadne z was nie pamięta mowy, którą wygłosiłem do przedstawicieli krain w komnacie Naczelnej Rady? Nie pamiętacie, jak mówiłem, że powinni uczcić pamięć zmarłej Matki Spowiedniczki poprzez przyłączenie się do D'Hary?

Ulic podrapał się po głowie. Egan wbił wzrok w podłogę i w skupieniu ssał czubek palca. Raina patrzyła na innych w nadziei, że coś odpowiedzą. Wreszcie Cara wyjaśniała.

- Chyba pamiętam, lordzie Rahlu. Sądzę jednak, że mówiłeś ogólnie o poprzednich Matkach Spowiedniczkach, a nie o swojej przyszłej żonie - wyjaśniła.

Richard kolejno spojrzał na każdego z nich, a oni potaknęli.

- Wiem, że nie rozumiecie, lecz tu w grę wchodzi magia.

- W takim wypadku masz rację, lordzie Rahlu - odezwała się Raina, poważniejąc. - Jeśli wchodzi tu w grę magiczny czar, to z pewnością by nas zwiódł. Masz magiczny dar, więc potrafiłbyś to rozróżnić. Musimy wierzyć w to, co mówisz nam o magii.

Richard zacierał dłonie i wodził oczyma po komnacie. Nie był w stanie na niczym skupić wzroku. Stało się coś złego. Coś okropnie złego. Ale co? Może po prostu Zedd zdjął czar. Pewno miał do tego powód. Może nie stało się nic złego. Zedd z nią był. Broniłby ją. Chłopak obrócił się ku nim.

- List. Posłałem im list. Może Zedd zdjął czar, bo dowiedział się, że odebrałem Aydindril Imperialnemu Ładowi, i uznał, że nie trzeba już jej chronić w ten sposób.

- To brzmi całkiem sensownie - przyznała Cara.

Richard czuł, jak ogarnia go fala niepokoju. A jeśli Kahlan się wściekła, że rozwiązał konfederację Midlandów i zażądał poddania się krain D'Harze, i dlatego nalegała, by Zedd zdjął czar, tak by mieszkańcy Midlandów wiedzieli, że wciąż mają Matkę Spowiedniczkę? Jeżeli tak, to znaczyłoby to, że nie wpadła w tarapaty, ale że jest na niego zła. Gniew może zaakceptować. Tarapaty - nie. Musi jej pomóc, jeśli jest w kłopotach.

- Ulic, znajdź, proszę, generała Reibischa i natychmiast go do mnie sprowadź.

Ulic uderzył pięścią w serce i wyszedł pospiesznie.

- Egan, odwiedź niektórych oficerów i żołnierzy. Nie daj im poznać, że stało się coś nadzwyczajnego. Po prostu wdaj się w rozmowę o mnie, o moim

małżeństwie. Sprawdź, czy inni też wiedzą, że Kahlan jest Matką Spowiedniczką.

Richard chodził tam i z powrotem, rozmyślając i czekając na generała Reibischa. Co powinien uczynić? Kahlan i Zedd pewno lada chwila tu będą, cóż jednak, jeśli coś poszło nie tak? Gdyby nawet Kahlan rozgniewała się za to, co uczynił, i tak zjawiłaby się w Aydindril, żeby go od tego odwieść lub pouczyć o historii Midlandów. Uświadomić mu, co niszczy.

Może nawet powiedziała, że nic nie wyjdzie z ich ślubu, że już nigdy nie chce go widzieć. Nie. Richard nie mógł w to uwierzyć. Kahlan go kocha i choćby nawet się rozgniewała, nie pozwoliłaby, żeby coś zagroziło owej miłości. Musiał wierzyć w jej miłość, tak jak ona musiała wierzyć w jego uczucie.

Drzwi się otworzyły i do komnaty weszła Berdine ze stertą książek i papierów. W zębach trzymała pióro. Mimo to jakoś się uśmiechnęła i rzuciła przyniesione rzeczy na stół.

- Musimy porozmawiać - szepnęła. - Jeśli nie jesteś zajęty.

- Ulic poszedł po generała Reibischa. Koniecznie muszę z nim porozmawiać.

Berdine spojrzała na Careę, na Rainę i na drzwi.

- Chcesz, żebym wyszła, lordzie Rahlu? Czy coś się stało? Richard wiedział już, iż słusznie uznał, że ów pamiętnik jest ważny. I tak nie mógł nic zdziałać bez Reibischa.

- Z kim się mam ożenić?

Berdine otworzyła książkę, rozsiadła się na krześle chłopaka i szukała czegoś w przyniesionych papierzyskach.

- Z królową Kahlan Amnell, Matką Spowiedniczką. - Spojrzała nań z nadzieją. - Masz troszkę czasu? Przydałaby mi się twoja pomoc.

Richard westchnął, obszedł stół i stanął obok niej.

- Mam czas aż do przyjscia generała Reibischa. O co chodzi?

Postukała obsadką otwarty pamiętnik.

- Już prawdę przetłumaczyłam ten urywek. Był bardzo przejęty tym, o czyni pisał. Ale brakuje mi dwóch ważnych słówek. - Popchnęła ku Richardowi górnod'harańską wersję Przygód *Bonnie Day*. - Znalazłam miejsce z tymi samymi słowami. Jeżeli pamiętasz ten tekst, dowiem się, co one znaczą.

Ponieważ była to jego ulubiona książka, Richard przeczytał *Przygody Bonnie Day* mnóstwo razy i sądził, że może ją recytować z pamięci. Okazało się jednak, że nie mógł. Dobrze znał treść, lecz przypominanie sobie tekstu okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Pamiętał opowieść, ale nie słowo po słowie. Jeżeli zaś nie potrafił wyrecytować Berdine słowo po słowie określonego zdania, to sens opowieści czasami niewiele pomagał.

Chłopak poszedł jeszcze kilka razy do wieży i szukał takiej wersji książki, którą mógłby przeczytać, żeby łatwiej im było znaleźć odniesienia do dliarańskiego tłumaczenia - ale nie znalazł jej. Irytowało go, że nie może bardziej pomagać w tłumaczeniu.

- Potrzebne mi te dwa słowa. - Berdine wskazała odpowiednie miejsce w *Przygodach Bonnie Day*. - Możesz mi powiedzieć, o czym mówi to zdanie?

Richard nabrał otuchy. To był początek rozdziału. Najlepiej szło mu właśnie z początkami rozdziałów, bo najbardziej wbijały się w pamięć.

- Tak. To rozdział, w którym odchodzą. Pamiętam go. Zaczyna się tak: "Trzeci raz w tym tygodniu Bonnie złamała ustanowione przez ojca prawo, które zakazywało chodzenia w pojedynkę do lasu".

Berdine pochyliła się i spojrzała na linijkę tekstu.

- Tak, to "złamała" już mam. To słowo znaczy "prawo", a to "trzeci"?

Podniosła wzrok na Richarda, a on przytaknął. Berdine, uradowana odkryciem, zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła zapisywać coś na jednej z przyniesionych kart papieru, uzupełniając puste miejsca. Skończyła i dumnie podsunęła kartę Richardowi.

- Oto, o czym mówi ten fragment pamiętnika.

Chłopak podniósł kartkę i ustawił tak, by padało na nią światło docierające z okna za jego plecami.

"Wrą pośród nas spory. To trzecie prawo magii: uczucia rządzą rozumem. Lękam się, że to najbardziej zdradzieckie z praw może doprowadzić do naszej zguby. Choć wiemy, co czynimy, to obawiam się, że niektórzy z nas tak czy owak je łamią. Każda frakcja twierdzi, że w działaniu kieruje się wyłącznie rozumem, ja jednak boję się, iż to tylko uczucia. Nawet Alric Rahl zawiadamia szaleńczo o rozwiązaniu. Tymczasem Nawiedzający Sny dziesiątkują naszych żołnierzy. Modlę się o to, by baszty zostały ukończone. Inaczej wszyscy zginiemy. Dzisiaj pożegnałem przyjaciół udających się do baszt. Nigdy już ich nie zobaczę na tym świecie. Ilu umrze

w basztach za sprawę rozumu? Wiem jednak niestety, że jeszcze gorzej byłoby, gdybyśmy złamali trzecie prawo”.

Richard przeczytał tłumaczenie i znów odwrócił się ku oknu. Był w tych basztach. Wiedział, że czarodzieje oddali tam moc swojego życia, by uroki baszt zaczęły działać, lecz nigdy przedtem nie wydawali mu się rzeczywistymi ludźmi. Jakże przygnębiał niepokój bijący ze słów mężczyzny, którego kości od tysięcy lat leżały w owym pomieszczeniu w wieży. Zupełnie jakby wracał do życia dzięki słowom ze swojego pamiętnika.

Chłopak rozmyślał o trzecim prawie magii, próbował je sobie wytłumaczyć. Wcześniej, kiedy zetknął się z pierwszym i drugim prawem, miał do pomocy Zedda i Nathana. Wyjaśnili mu je, pomogli pojąć, jak prawa te działają w życiu. To prawo musi zrozumieć sam.

Przypomniawszy sobie, jak poszedł na drogi wychodzące z Aydindril, żeby porozmawiać z uciekającymi mieszkańcami. Chciał wiedzieć, dlaczego odchodzą, i usłyszał od wystraszonych ludzi, że znają prawdę: że jest potworem gotowym ich zamordować dla swojej zboczonej przyjemności.

Kiedy nalegał, przedstawiali mu plotki tak, jak gdyby to były fakty, które widzieli na własne oczy. Mówili, że lord Rahl ma w pałacu zamienione w niewolników dzieci, że bierze do łóżka niezliczone kobiety, które potem, jak nieprzytomne, biegają nago po ulicach. Twierdzili, iż znają młode kobiety i dziewczęta, które zapłodnił, i - co więcej - znają ludzi, którzy widzieli poronione płody owych biednych ofiar gwałtu: ohydne, zdeformowane potworki zrodzone z jego diabelskiego nasienia. Pluli nań za zbrodnie, które popełniał na bezbronnych ludziach.

Gdy pytał, jak mogą być do tego stopnia szczerzy, skoro jest takim potworem, odpowiadali, że wiedzą, iż jawnie nic im nie zrobi. Ze słyszeli, iż przy ludziach udaje współczucie, by ich oszukać, i dlatego wiedzą, że wśród tłumów nie skrzywdzi ich i że wkrótce ocala swoje kobiety z jego diabelskich łap.

Im bardziej Richard próbował zaprzeczać owym zdumiewającym pogłoskom, tym bardziej się przy nich upierali. Mówili, że słyszeli o tym od tak wielu ludzi, iż musi to być prawda. Tak rozpowszechniona wiedza musi być prawdziwa, przekonywali, bo nie można byłoby oszukać aż tylu mieszkańców. Żarliwie w to wierzyli i przeraźliwie się bali. Nie chcieli słuchać żadnych wyjaśnień. Chcieli, by zostawić ich w spokoju, tak aby mogli

uciec pod opiekę oferowaną, jak słyszeli, przez Imperialny Ład.

Uczucia wiodły ich do prawdziwej zguby. Richard zastanawiał się, czy w ten właśnie sposób pogwałcenie trzeciego prawa magii szkodzi ludziom. Nie wiedział, czy to wystarczająco dobry przykład. To w pewien sposób łączyło się z pierwszym prawem, które mówi, że ludzie uwierzą w każde kłamstwo albo dlatego, iż chcą, by to była prawda, albo dlatego, że boją się, iż to prawda. Wyglądało na to, że prawa mogą się ze sobą łączyć, że można je jednocześnie łamać, tymczasem zaś Richard nie wiedział, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

A potem chłopak przypomniał sobie ów dzień w Westlandzie, kiedy to pani Rencliff, która nie umiała pływać, wyrwała się próbującym ją powstrzymać ludziom, krzyknęła, że nie będzie czekać na łódź, i skoczyła do wezbranej rzeki za swoim synkiem. Kilka minut później łódź przyплыnęła i wyratowano chłopca. Chad Rencliff dorastał bez matki. Nigdy nie odnaleziono jej ciała.

Richard zadrżał, jakby ktoś dotknął go lodem. Zrozumiał. Trzecie prawo magii mówiło, iż uczucia rządzą rozumem.

Nim Ulic powrócił z generałem, upłynęła męcząca godzina, którą Richard spędził na rozważaniu, jak to ludzkie uczucia, tłumiąc rozsądek, są przyczyną szkód, i zastanawianiu się, w jaki jeszcze sposób magia się do tego przyczynia. A do tego przyczyniała się na pewno.

Generał Reibisch wszedł do komnaty i położył pięść na sercu.

- Ulic powiedział, że chciałeś mnie natychmiast widzieć, lordzie Rahlu.

Richard złapał brodacza za uniform.

- Jak długo potrwa przygotowanie żołnierzy do poszukiwań?

- To D'Haranczy, lordzie Rahlu. D'haranczy żołnierze są zawsze gotowi do wymarszu.

- To znakomicie. Znasz moją przyszłą żonę, królową Kahlan Amneil?

- Tak. To Matka Spowiedniczka. Richard drgnął.

- Tak, Matka Spowiedniczka. Zmierz tutaj z południowego zachodu. Spóźnia się, może jest w tarapatach. Chronił ją czar ukrywający, że jest Matką Spowiedniczką, tak by wrogowie nie mogli jej ściagać. Niestety, jakoś go usunięto. Może to nic, nie mogę jednak wykluczyć, że wydarzyło się coś złego. Jedno jest pewne: teraz wrogowie się o niej dowiedzą.

Reibisch podrapał rdzawą brodę. W końcu podniósł na Richarda

szarozielone oczy.

- Rozumiem. Co rozkazesz?

- Mamy w Aydindril blisko dwieście tysięcy żołnierzy, a kolejne sto tysięcy rozlokowane wokół miasta. Nie wiem, gdzie dokładnie ona jest, a jedynie, że wraca od południowego zachodu. Musimy ją chronić. Chcę, żebyś zabrał z miasta połowę wojsk, ze sto tysięcy, i ruszył po nią.

Generał pogładził swoją bliznę i westchnął ciężko.

- To mnóstwo ludzi, lordzie Rahlu. Uważasz, że musimy zabierać z miasta aż tylu?

Richard chodził pomiędzy stołem a generałem.

- Nie wiem, gdzie dokładnie jest. Gdybyś wziął zbyt mało ludzi, mógłbyś ją minąć o pięćdziesiąt mil i nawet nie zauważyć. A przy tej liczbie żołnierzy sprawdzimy wszystkie drogi i szlaki. Nie przeoczymy jej.

- A więc i ty z nami wyruszasz?

Richard desperacko pragnął iść na poszukiwania Kahlan i Zedda. Spojrzał na siedzącą za stołem i piszącą Berdine i pomyślał o słowach ostrzeżenia przekazanych przez czarodzieja sprzed trzech tysięcy lat. Trzecie prawo magii: uczucia rządzą rozumem.

Berdine potrzebowała jego pomocy przy tłumaczeniu pamiętnika. On sam już się dowiedział ważnych rzeczy o ostatniej wojnie, o basztach, o Nawiedzających Sny. Nawiedzający Sny ponownie chodził po świecie.

Jeśli pójdzie, a Kahlan się im wyśliźnie, to spotka się z nią później, niż gdyby czekał w Aydindril. No i była jeszcze Wieża Czarodzieja. Coś się w niej stało, a obowiązkiem Richarda było strzec zawartej tam magii.

Uczucie nakazywało chłopakowi iść - rozpaczliwie pragnął wyruszyć na poszukiwanie Kahlan - lecz rozum ukazywał mu panią Rencliff odmawiającą czekania na łódź i rzucającą się w czarne, bystre wody. Ci żołnierze byli jego łodzią.

Wojsko odnajdzie Kahlan i ochroni ją. On sam niczego więcej niż oni nie uczyni. Rozum nakazywał czekać tutaj, choćby go to napawało przemożnym niepokojem. Czy mu się to podobało, czy nie, był teraz wodzem. A wódz musi się kierować rozumem albo wszyscy zapłacą za jego uczucia.

- Nie, generale. Zostanę w Aydindril. Zbierz żołnierzy. Weź najlepszych tropicieli. - Spojrzał Reibischowi w oczy. - Wiem, że nie muszę ci mówić, jakie to dla mnie ważne.

- Nie, lordzie Rahlu - odparł współczująco generał. - Nie martw się, znajdziemy ją. Pójdę z nimi, żeby baczyć, by wszystko zrobiono tak, jak byś sam to zrobił. - Położył pięść na sercu. - Ręczę życiem nas wszystkich, że nie pozwolimy skrzywdzić twojej królowej.

Richard położył dłoń na ramieniu generała.

- Dziękuję, generale Reibisch. Wiem, że nie uczyniłbym więcej niż ty. Oby dobre duchy były z tobą.

ROZDZIAŁ 44

- Proszę, czarodzieju Zoranderze.

Kościsty mężczyzna nie podniósł oczu, tylko spokojnie zajadał fasolę z boczkiem. Nie miała pojęcia, że ktoś może zjeść tyle ile on.

- Słuchasz mnie?

Nie miała w zwyczaju krzyczeć, lecz zbliżała się do kresu cierpliwości. To wszystko okazało się bardziej kłopotliwe, niż się spodziewała. Wiedziała, że musi tak postępować, że musi podtrzymywać jego wrogość, ale tego było już za wiele.

Czarodziej Zorander westchnął z zadowoleniem i położył cynową miseczkę obok bagaży.

- Dobranoc, Nathanie.

Nathan uniósł brew i patrzył, jak kościsty mężczyzna wpełza do śpiworu.

- Dobranoc, Zeddzie.

Od czasu gdy pochwyciła starego czarodzieja, i z Nathanem było coraz trudniej sobie radzić. Nigdy przedtem nie miał tak utalentowanego towarzysza. Ann poderwała się, wsparła pięściami pod boki i wpatrzyła gniewnie w sterczące spod koca siwe włosy.

- Błagam cię, czarodzieju Zoranderze.

Wściekała ją, że w tak upokarzający sposób musi go prosić o pomoc, ale z przykrością przekonała się, co daje posłużenie się obrozą, by nakłonić go do zrobienia czegoś. Nie mogła pojąć, jak temu człowiekowi udawało się pokonać blokady, które założyła na jego obroży. Zdołał to jednak uczynić, ku wielkiej uciechy Nathana. Za to ona wcale się nie ubawiła.

- Proszę, czarodzieju Zoranderze. - Ann była bliska łez. Odwrócił głowę. Blask ognia kładł na jego kościstej twarzy głębokie, ostre cienie. Wbił w Ksienię Ann piwne oczy.

- Umrzesz, jeśli znów otworzysz tę książkę. Niepostrzeżenie, z niesamowitą zręcznością otoczył urokami jej osłony, kiedy się tego najmniej spodziewała. Nie mogła pojąć, jak udało mu się rzucić czar ognia na książkę podrózną. Ann otworzyła ją w nocy i zobaczyła wiadomość od Verny. Siostra pisała, że ją złapano i założono obrozę - a potem nagle wszystko się popsuło. Otwarcie notatnika wyzwoliło czar ognia. Widziała, jak rośnie i

rozpłomienia się. Jaskrawa, rozżarzona iskra wystrzeliła w powietrze, a stary czarodziej poinformował spokojnie Ann, że jeśli nie zamknie książeczki, nim iskra ta spadnie na ziemię, ogarnie ją płomień. Ann, obserwując jednym okiem opadającą iskłę, zdążyła jedynie pospiesznie naskrobać, że Verna musi uciec i wyprowadzić Siostry. W samą porę zdołała zamknąć książkę podróżną. Wiedziała, że czarodziej nie żartował, mówiąc o śmiertelnie groźnym charakterze otaczającego ją czaru. Nawet teraz dostrzegła wokół niej słabo jarzący się czar. Jeszcze nigdy takiego nie widziała i zupełnie nie mogła pojąć, jak udało mu się to zrobić, skoro zablokowała jego moc - a przynajmniej tak się jej wydawało. Nathan również tego nie rozumiał, lecz bardzo go to zaciekało. Ann nie miała pojęcia, w jaki sposób otworzyć książeczkę, nie ginąc przy tym.

- Czarodzieju Zoranderze - Ksieni przykucnęła obok jego posłania - wiem, że masz powody, by mi złorzeczyć, ale to sprawa życia i śmierci. Muszę przesłać wiadomość. Chodzi o życie Sióstr. Proszę cię, czarodzieju Zoranderze. Siostrom grozi śmierć. Wiem, że jesteś porządnym człowiekiem i nie chciałbyś, by je to spotkało.

Zedd wysunął spod koca chudy palec i wycelował go w Ann.

- To ty skazałaś mnie na niewolę. Ty to ściągnęłaś i na siebie, i na Siostry. Powiedziałem, że złamałaś rozejm i skazałaś swoje Siostry na śmierć. Narażasz na niebezpieczeństwo życie tych, których kocham. Mogą zginąć, gdyż nie pozwalasz mi, bym im pomógł. Przeszkodziłaś mi w chronieniu magii, która znajduje się w Wieży Czarodzieja. Narażasz na niebezpieczeństwo życie mieszkańców Midlandów. Wszyscy mogą umrzeć przez to, co mi uczyniłaś.

- Nie możesz zrozumieć, że życie nas wszystkich jest splecione ze sobą? Tb wojna z Imperialnym Ładem, a nie wojna między nami. Nie życzę ci niczego złego. Chcę jedynie, żebyś mi pomógł.

Zedd chrząknął.

- Nie zapominaj, co ci powiedziałem: lepiej, żeby któreś z was zawsze czuwało. Jeśli przyłapię cię we śnie, a Nathan nie będzie czuwał, by cię chronić, to już nigdy się nie obudzisz. To uczciwe ostrzeżenie, choć na nie nie zasługujesz.

Odwrócił się i zakrył kocem.

Drogi Stwórco, czy wszystko szło tak, jak sugerowało prorocstwo, czy też zupełnie

na opak?

Ann obeszła ognisko i stanęła obok Nathana.

- Jak myślisz, Nathanie, zdołasz go przekonać? Nathan spojrział na nią z wyżyn swojego wzrostu.

- Ostrzegałem cię, że ta część planu to czyste szaleństwo. Założenie obroży młodemu człowiekowi to jedno, lecz założenie jej czarodziejowi pierwszego stopnia to już coś zupełnie innego. To twój plan, nie mój.

Ann zacisnęła zęby i złapała Proroka za koszulę.

- Verna może umrzeć w tej obroży. Jeśli ją zabiją, to umrą również nasze Siostry.

Nathan nabrał fasoli na łyżkę.

- Od początku ostrzegałem cię przed tym planem. O mało cię nie zabito w wieży, ale ta część proroctwa jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Rozmawiałem z nim. On cię nie okłamuje. Według niego, to ty sprawiasz, że jego przyjaciele są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli tylko zdoła, zabije cię i ucieknie, żeby im pomóc. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Nathanie, jak możesz być taki nieczuły po tych wszystkich latach, które razem spędziliśmy?

- Chodzi ci o to, dlaczego po tych wszystkich latach niewoli wciąż jeszcze się przeciwko niej buntuję?

Ann odwróciła twarz. Łza spłynęła po jej policzku. Przełknęła ślinę, rozluźniając ucisk w gardle.

- Nathanie - szepnęła - czy przez wszystkie te lata naszej znajomości zobaczyłeś choć raz, bym była wobec kogoś okrutna, jeśli tylko nie chodziło o ochronę życia innych? Czy kiedykolwiek walczyłam o coś innego niż życie i wolność?

- Sądzę, że nie masz na myśli mojej wolności. Ann odkaszlnęła.

- I wiem, że odpowiem za to przed Stwórcą, lecz czynię to, bo muszę, i dlatego, że się o ciebie niepokoję, Nathanie. Wiem, co spotkałoby cię poza pałacem. Zostałbyś złapany i zabity przez ludzi, którzy by cię nie zrozumieli.

Nathan odłożył swoją miseczkę na stosik innych.

- Chcesz objąć wartość jako pierwsza czy ja mam to zrobić? Znow nań spojrziała.

- Skoro tak bardzo pragniesz wolności, to co powstrzymuje cię od

zaśnięcia na warcie, by mógł mnie wtedy zabić?

Przenikliwe lazurowe oczy wypełniły się goryczą.

- Chcę się pozbyć obroży, ale na pewno cię nie zabiję, żeby to osiągnąć. Gdybym był gotów zapłacić tę cenę, zginęłabyś już tysiąc razy, i doskonale o tym wiesz.

- Przepraszam, Nathanie. Wiem, że porządny z ciebie człowiek, i doskonale zdaję sobie sprawę, ile ci zawdzięczam. Serce mi pęka na myśl, że zmuszam cię do pomagania mi.

- Zmuszasz mnie? - roześmiał się Nathan. - Dostarczasz mi większej zabawy niż którakolwiek ze znanych mi kobiet. Za nic nie zrezygnowałbym z większości tych przygód. Jaka inna kobieta kupiłaby mi miecz? Czy dałaś mi powód, bym go użył? To zwariowane proroctwo mówi, że powinnaś podsycać jego gniew i rewelacyjnie ci to wychodzi. Boję się, że nawet mogłoby się spełnić. Obejmę wartość jako pierwszy. Nie zapomnij sprawdzić posłania. Nie mam pojęcia, co tym razem mógł tam wpuścić. Dotąd nie mogę zapomnieć tych śnieżnych pcheł.

- Ani ja. Wciąż wszystko mnie swędzi. - Ann z roztargnieniem podrapała się w szyję. - Już prawie jesteśmy w domu. Przy tym tempie wkrótce tam dotrzemy.

- W domu - zadrwił. - A wtedy nas zabijesz.

- A czy mam jakiś wybór, drogi Stwórco? - szepnęła do siebie.

Richard odchylił się na oparcie krzesła i ziewnął. Był tak zmęczony, że oczy same mu się zamykały. Siedząca przy nim Berdine uczyniła to samo. Stojąca przy drzwiach Raina zaraziła się od nich ziewaniem. Pukanie do drzwi sprawiło, że chłopak skoczył na równe nogi.

- Wejść!

- Przybył posłaniec - oznajmił Egan, wetknąwszy głowę przez uchylone drzwi.

Richard dał znak i głowa Egana zniknęła. Pospiesznie wszedł cuchnący koniem d'haranski żołnierz w ciężkiej pelerynie i zaszalutował, przykładając pięść do serca.

- Usiądź. Wygląda na to, że miałeś męczącą podróż - powiedział doń Richard.

Żołnierz poprawił wiszący mu u biodra topór bojowy i spojrzał na krzesło.

- Nic mi nie jest, lordzie Rahlu. Obawiam się jednak, że nie mam o czym raportować.

Chłopak opadł na swoje krzesło.

- Rozumiem. Żadnych śladów? Nic?

- Nic, lordzie Rahlu. Generał Reibisch przesyła wiadomość, że posuwają się szybciej, niż zakładali, i przeszukują każdy cal. Zapewnia też, że nasi ludzie niczego nie przeoczyli, lecz dotąd nie znaleźli żadnych śladów.

Richard westchnął rozczarowany.

- Wporządku. Dziękuję. Idź coś zjeść.

Żołnierz zasalutował i odszedł. Każdego dnia - od dwóch tygodni, które zaczęto odliczać w tydzień po tym, jak wojska wyruszyły na poszukiwania Kahlan - przybywał posłaniec i zdawał Richardowi raport. Od kiedy poszukujący zaczęli się rozdzielać i sprawdzać różne drogi, każda grupa wysyłała własnego posłańca. Ten był piąty owego dnia.

Słuchanie wieści o tym, co się wydarzyło przed tygodniami, kiedy to posłańcy wyruszali w drogę, było niczym obserwowanie stającej się historii. Wszystko, czego Richard się dowiadywał, wydarzyło się w przeszłości. Mogło być i tak, że odnaleźli Kahlan tydzień temu i wracali, a on w dalszym ciągu słuchał doniesień o niepowodzeniach. Dlatego też nie tracił nadziei. Tłumaczenie pamiętnika wypełniało chłopakowi czas i nie pozwalało na pełne niepokoju rozmyślenia. I w tym wypadku, jak przy słuchaniu codziennych raportów, wydawało mu się, że obserwuje stawanie się historii. Bardzo prędko zaczął lepiej od Berdine rozumieć ten dialekt górnod'harańskiego.

Chłopak znał *Przygody Bonnie Day*, więc najczęściej pracowali nad tą książką, układając długie listy słów, w miarę jak odkrywali ich znaczenie, a potem korzystali z tego podczas tłumaczenia pamiętnika. Richard uczył się słówek i mógł płynniej czytać książkę, łączyć znaczenia słów, a tym samym wypełniać luki w pamięci, przez co poznawał jeszcze więcej słówek.

Teraz często łatwiej było mu wykorzystać to, czego się nauczył,

i przetłumaczyć fragment pamiętnika, niż wyjaśniać go Berdine i czekać, aż ona stworzy tłumaczenie. Śnił w górnodliarańskim i mówił nim na jawie.

Czarodziej nigdy nie wymienił w pamiętniku swojego imienia. To nie był oficjalny dziennik, lecz prywatny pamiętnik, zatem nie musiał tego czynić.

Berdine i Richard zaczęli go nazywać Kolo, co było skrótem od *koloblicin* - górnod'harańskiego słowa, które znaczyło "przekonujący doradca".

Z coraz lepiej rozumianego przez nich tekstu zaczął się wyłaniać przerażający obraz. Kolo robił notatki podczas starożytnej wojny, kiedy to w Dolinie Zaginionych powstały Baszty Zatracenia. Siostra Verna powiedziała kiedyś Richardowi, że baszty strzegły tej doliny przez trzy tysiące lat i że postawiono je, by przerwać wielką wojnę. Teraz chłopak czytał o tym, z jaką desperacją czarodzieje stawiali Baszty Zatracenia, i zaczynał się martwić, że je zniszczył.

Kolo wspomniał w pewnym miejscu, że pisze pamiętniki od chłopięcych czasów, średnio jeden na rok. Ten nosił numer czterdziesty siódmy, musiał być zatem pisany między pięćdziesiątym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia czarodzieja. Richard zamierzał pójść do wieży i poszukać innych pamiętników Kolo, lecz i w tym kryło się jeszcze wiele sekretów.

Kolo był najwyraźniej zaufanym doradcą mieszkańców Wieży Czarodzieja. Większość czarodziejów miała dar zarówno magii addytywnej, jak i subtraktywnej, ale było też kilku takich, którzy mieli wyłącznie dar magii addytywnej. Kolo bardzo im współczuł i był ich wielkim obrońcą. Wielu uważało, że ci "pechowi czarodzieje" są niemal bezradni, Kolo jednakże sądził, że również oni mogą być pożyteczni, i starał się, by mieli w wieży taki sam status jak pozostali.

W czasach Kolo w Wieży Czarodzieja mieszkały setki czarodziejów: było tam mnóstwo rodzin, przyjaciół i dzieci. W pustych teraz pomieszczeniach rozbrzmiewał śmiech, rozmowy, beztrudne przekomarzenia. Czarodziej kilka razy wspomniał Frydę, prawdopodobnie swoją żonę, oraz syna i młodszą córkę. Dzieci mogły przebywać tylko na pewnych poziomach wieży i pobierały nauki, podczas których poznawały nie tylko sztukę czytania i pisania, ale także proroctwa i sposoby posługiwania się darem.

Lecz nad potężną Wieżą Czarodzieja - pełną życia, pracy i rodzinnych radości - wisiał lęk. Na świecie wrzała wojna.

Do obowiązków Kolo należało również trzymanie straży nad sylfą. Richard przypomniał sobie, że spotkany w wieży mriswith pytał go, czy przyszedł zbudzić sylfę. Wskazał na pomieszczenie, w którym znaleźli pamiętnik Kolo, i dodał, że wreszcie jest dostępna. Autor pamiętnika także pisał o sylfie jak o kobiecie, dodając niekiedy, iż obserwuje go podczas

pisania.

Ponieważ tłumaczenie z gornod'haranskiego było bardzo trudne, zarzucili fragmentaryczne czytanie. Wygodniej było zacząć od początku, tłumacząc słowo po słowie, i poznawać w ten sposób językowe nawyki Kolo. To ułatwiało rozumienie go. Przebrnęli dopiero przez mniej więcej jedną czwartą pamiętnika, lecz przekładanie nabierało tempa, w miarę jak Richard uczył się gornod'haranskiego.

Chłopak odchylił się do tyłu i znów ziewnął. Berdine nachyliła się ku niemu.

- Co to za słowo?

- Miecz - odparł bez wahania. Pamiętał to słowo z *Przygód Bonnie Day*.

- Hmm. Spójrz. Sądzę, że Kolo mówi o twoim mieczu.

Chłopak pochylił się tak energicznie, że przednie nogi jego krzesła uderzyły o podłogę. Podniósł książkę i kartkę papieru, na której Berdine spisywała tłumaczenie. Przejrzał je, a potem wrócił do pamiętnika, zmuszając się do przeczytania tego słowami Kolo.

“Dziś zawiodła trzecia próba wykucia Miecza Prawdy. Żony i dzieci pięciu mężów, którzy postradali życie, błakają się po korytarzach, zawodząc w nieutulonym smutku. Iluż jeszcze zemrze, nim się nam powiedzie lub nim porzucimy ów zamiar, uznawszy go za niewykonalny? Cel może i jest szczytny, lecz cena staje się straszliwa”.

- Masz rację. Wydaje się, że mówi o próbach wykonania Miecza Prawdy.

Richard zadrżał, dowiedziawszy się, że ludzie stracili życie przy wykuwaniu jego oręża. Prawdę mówiąc, poczuł się trochę nieswojo. Zawsze uważał swój miecz za magiczny przedmiot. Sądził, że kiedyś był to może zwyczajny miecz i jakiś potężny czarodziej rzucił nań czar. Teraz dowiedział się, że ludzie ginęli przy próbach wykonania tej broni, i zawstydził się, że prawie cały czas uważał ją za coś oczywistego.

Richard zajął się kolejną stronicą pamiętnika. Przetłumaczył ją po godzinie konsultowania się z Berdine i korzystania ze spisów słówek.

“Nasi wrogowie przysłali tej nocy asasynów przez sylfę. Udałoby się im, gdyby strażnik nie był tak czujny. Kiedy zadziałają baszty, Stary Świat naprawdę zostanie odgradzony i sylfa zaśnie. Wówczas wszyscy odetchniemy, wyjąwszy nieszczęsnego strażnika. Uznaliśmy, że nie istnieje sposób, który pozwoliłby nam dowiedzieć się, kiedy zaczną działać uroki -

jeśli w ogóle zaczną - i czy ktokolwiek jest w sylfie, więc nie zdołamy na czas odwołać strażnika. Gdy baszty ożyją, strażnik zostanie odcięty wraz z nią”.

- Baszty - powiedział Richard. - Kiedy ukończyli baszty, odcinając Stary Świat od Nowego Świata, zapieczętowali jednocześnie tamto pomieszczenie. Dlatego Kolo tam był. Nie mógł się wydostać.

- To dlaczego jest teraz otwarte? - spytała Berdine.

- Ponieważ zniszczyłem baszty. Pamiętasz, jak mówiłem, że wygląda, jakby przed kilkoma miesiącami wysadzono wejście do niego? Że pleśń na ścianach została wypalona i nie zdążyła jeszcze odrosnąć? To się musiało stać dlatego, że zniszczyłem baszty. Wtedy pomieszczenie Kolo stało się otworem po raz pierwszy od trzech tysięcy lat.

- Dlaczego chcieliby zapieczętować izbę ze studnią? Richard musiał się przymusić do spojrzenia prawdzie w oczy.

- Myślę, że w studni żyje ta sylfa, o której wciąż mówi Kolo.

- Czym ona jest? Mriswith też o niej wspominał.

- Nie wiem, ale oni w jakiś sposób wykorzystywali ją do przenoszenia się w różne miejsca. Kolo pisze, że wróg przysłał poprzez sylfę asasynów. A ci z Wieży Czarodzieja walczyli z ludźmi w Starym Świecie.

Berdine pochyliła się ku Richardowi i w zatroskaniu ściszyła głos:

- Chcesz powiedzieć, że według ciebie ci czarodzieje mogli stąd podróżować do Starego Świata i z powrotem?

Richard podrapał się w swędzące miejsce na karku.

- Nie wiem, Berdine. Ale na to wygląda.

Berdine wpatrywała się weń, jakby oczekiwała, że lada moment dostarczy nowych dowodów na to, że oszalał.

- Jakżeby to mogło być możliwe, lordzie Rahlu?

- Skąd mam to wiedzieć? - Chłopak spojrzał w okno. - Już późno. Lepiej się trochę prześpijmy.

- Całkiem doobry pomysł - ziewnęła Berdine. Richard zamknął pamiętnik Kolo i włożył go pod pachę.

- Poczytam trochę w łóżku, zanim zasnę.

Tobias Brogan spojrzał na mriswitha na koźle, na drugiego w powozie i na pozostałe, widoczne wśród jego ludzi. Ich zbroje połyskiwały w promieniach wschodzącego słońca. Widział wszystkie mriswithy; żaden nie otulił się peleryną, nie podglądał go i nie podsłuchiwał. Dostrzegł w powozie

profil Matki Spowiedniczki i zawrzał gniewem. Wściekało go, że wciąż żyła i że Stwórca zabronił mu potraktować ją nożem. Łypnął w bok, chcąc upewnić się, że Lunetta jest na tyle blisko, by usłyszeć jego szept.

- Tb wszystko zaczyna mnie coraz bardziej denerwować, Lunetto. Lunetta zbliżyła swojego konia tak, by mogli rozmawiać, ale nie spojrzała nań na wypadek, gdyby jakiś mriswith ich obserwował. Posłańcy Stwórcy, nie posłańcy Stwórcy, nie lubiła ich i już.

- Ależ lordzie generale, sam mówiłeś, że kiedy Stwórca z tobą rozmawiał, nakazał ci to uczynić. Spotyka cię wielki zaszczyt, że Stwórca nawiedza cię i że możesz czynić jego dzieło.

- Myślę, że Stwórca...

Kiedy wchodzili na szczyt wzgórza, siedzący na koźle mriswith wstał i wskazał na coś łapą.

- Patrzcieeee! - krzyknął ostrym syczącym głosem i dodał jeszcze jakieś gardłowe skrzeknięcie.

Brogan uniósł głowę i zobaczył rozciągające się w dole wielkie miasto, a za nim połyskujące morze. Przez środek ogromnego zbiorowiska rozmaitych budowli płynęła złocista, lśniąca w słonecznych promieniach rzeka, rozwidlająca się wokół wyspy, na której wznosił się wielki pałac. Jego wieże i dachy błyszczały we wschodzącym słońcu. Tobias widywał już i miasta, i pałace, ale nigdy nie widział czegoś takiego. Choć nie chciał się tu znaleźć, poczuł pełen lęku respekt.

- To piękne - wyszeptała Lunetta.

- Lunetto, tej nocy Stwórca znów mnie nawiedził - szepnął Brogan.

- Doprawdy, mój lordzie generale? To cudownie. To wielki zaszczyt, że ostatnio tak często cię nawiedza. Stwórca musi mieć, bracie, poważne plany co do ciebie.

- Jego przekazy stają się coraz bardziej zwariowane.

- Przekazy Stwórcy? Zwariowane? Brogan spojrzał siostrze w oczy.

- Przypuszczam, Lunetto, że jesteśmy w tarapatkach. Podejrzewam, że Stwórca traci rozum.

ROZDZIAŁ 45

Powóz zatrzymał się i mriswith wylazł ze środka, zostawiając otwarte drzwiczki. Kahlan spojrzała przez nie i przez okienko po drugiej stronie: mriswithy zbierały się na naradę. Nareszcie była sama z Adie.

- Jak sądzisz, co się dzieje? - szepnęła. - Gdzie jesteśmy? Adie nachyliła się i wyjrzała przez okienko.

- Drogie duchy, jesteśmy w samym sercu wrogiego terytorium - wyszeptała z przerażeniem.

- Wrogiego terytorium? O czym ty mówisz? Gdzie jesteśmy?

- W Tanimurze. To Pałac Proroków - powiedziała Adie.

- Pałac Proroków! Jesteś pewna? Adie usiadła prosto.

- Jestem pewna. Spędziłam tu pewien czas, kiedy byłam młodsza, pięćdziesiąt lat temu.

Kahlan patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Przeszłaś do Starego Świata? Byłaś w Pałacu Proroków?

- To było dawno temu, dziecko, a poza tym to długa historia. Nie mamy teraz na to czasu, ale było to po tym, jak bractwo zabiło mojego Pella.

Jechali do późnej nocy i wyruszali długo przed świtem, lecz Kahlan i Adie mogły się przynajmniej choć trochę przespać w powozie. Jeźdźcy sypiali niewiele. Kobiety strzegły zawsze mriswithy, czasami Lunetta, więc całymi tygodniami wymieniały zaledwie po kilka słów. Mriswithów nie obchodziło, czy śpią, lecz ostrzegły je, co się stanie, jeżeli zaczną rozmawiać. Kahlan nie wątpiła w ich słowa.

Całymi tygodniami jechali na południe. Robiło się coraz cieplej, więc nie drżały już z zimna i nie tuliły się do siebie, by choć trochę się ogrzać.

- Zastanawiam się, po co nas tu przywieźli - rzuciła Kahlan. Adie nachyliła się ku niej.

- A ja się zastanawiam, dlaczego nas nie zabili.

Kahlan zerknęła przez okno: mriswith rozmawiał z Broganem i jego siostrą.

- Bo najwyraźniej jesteśmy dla nich cenniejsze żywe.

- Dlaczego?

- Jak myślisz? O kogo może im chodzić? Kiedy próbowałam zjednoczyć

Midlandy, wysłali czarodzieja, żeby mnie zabił, i musiałam uciekać, a Aydindril wpadło w ręce Imperialnego Ładu. Kto teraz stara się zjednoczyć Midlandy przeciwko nim?

- Richard. - Adie uniosła brwi nad białymi oczami. Kahlan potaknęła.

- Otóż to. Zaczęli zajmować Midlandy, udawało się im namawiać krainy, żeby się do nich przyłączały. Richard to zmienił, zniszczył ich plany, zmuszając krainy, by mu się poddały.

Dziewczyna zapatrzyła się w okienko.

- Ciężko mi to przyznać, ale może Richard wykonał jedyne posunięcie, które pozwoli ocalić ludy Midlandów.

- W jaki sposób mogą nas wykorzystać, żeby dostać Richarda? - Adie poklepała kolano Kahlan. - Wiem, że on cię kocha, ale nie jest głupi.

- Imperialny Ład też nie.

- Więc o co może im chodzić? Kahlan spojrzała w białe oczy Adie.

- Widziałaś kiedy, jak Sandarianie polują na górskiego lwa? Przywiązują jagnię do drzewa i pozwalają mu beczeć za matką. Potem siadają i czekają.

- Sądzisz, że jesteśmy taką przynętą? Kahlan potrząsnęła głową.

- Imperialny Ład może być podstępny i okrutny, jednak nie jest głupi. A teraz już nie mają Richarda za głupca. On nie zamieni jednego życia na wolność wszystkich Midlandczyków. Pokazał też Imperialnemu Ładowi, że nie boi się działać. Może zamierzają go zwodzić myślą, że zdoła nas uratować, niczego w zamian nie dając.

- Sądzisz, że się im uda? Kahlan westchnęła. - Aty?

Adie rozciągnęła policzki w smutnym uśmiechu.

- Dopóki żyjesz, on rzuci się z mieczem na szalejącą burzę. Kahlan patrzyła, jak Lunetta zsiada z konia. Mriswithy odchodziły ku tyłom oddziałów w szkarłatnych pelerynach.

- Musimy uciec, Adie, bo inaczej Richard tu po nas przyjdzie. Imperialny Ład musi liczyć na jego przybycie, inaczej bowiem już byśmy nie żyły.

- Kahlan, z tą przekłętą obrozą na szyi nie zapalę nawet lampy.

Kahlan westchnęła, zawiedziona i zirytowana, wyjrzała przez okienko i zobaczyła, jak mriswithy wchodzą do mrocznego boru. W marszu otulały się pelerynami i znikwały.

- Wiem. Ja też nie mam dostępu do swojej mocy.

- No to jak uciekniemy?

Dziewczyna patrzyła, jak do powozu zbliża się czarodziejka odziana w strzępy różnobarwnych tkanin.

- Jeśli przeciągniemy na naszą stronę Lunette, to ona nam pomoże.

Adie parsknęła z niesmakiem.

- Nie zwróci się przeciwko własnemu bratu. - Zmarszczyła czoło w zamyśleniu. - To dziwna osoba. Jest w niej coś osobliwego.

- Osobliwego? A co? Adie potrząsnęła głową.

- Przez cały czas dotyka swojej mocy.

- Cały czas?

- Tak. Czarodziejka lub czarodziej przywołują swoją moc wtedy, kiedy jej potrzebują. Ona jest inna. Z jakiegoś powodu dotyka jej przez cały czas. Jeszcze nigdy nie widziałam, by nie otulała się nią jak tymi kolorowymi gałganami. To bardzo dziwne.

Obie zamilkły, bo Lunetta, sapiąc z wysiłku, wdrapywała się do powozu. Rzuciła się na drugie siedzenie i uśmiechnęła się uprzejmie do Adie i Kahlan. Wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju. Odwzajemniły uśmiech. Powóz ruszył, a Kahlan poprawiła się na siedzeniu i przy okazji wyjrzała przez okienko. Nie dostrzegła ani jednego mriswitha, lecz to o niczym nie świadczyło.

- Odeszły - odezwała się Lunetta.

- Co? - spytała ostrożnie Kahlan.

- Mriswithy odeszły.

Wszystkie trzy złapały się uchwytów, bo powóz podskakiwał na wybojach.

- Powiedziały, że dalej mamy iść już sami.

- Dokąd? - spytała Kahlan, mając nadzieję, że wciągnie ją w rozmowę.

Oczy Lunetty rozbłysły pod mięsistym czołem.

- Do Pałacu Proroków. - Nachyliła się ku nim podekscytowana. - Tam jest mnóstwo streganich.

- My nie wiemy. - Adie się zachmurzyła.

- Tobias mówi, że my streganichy. - Lunetta przymrużyła oczy. - Tobias lord generał. Tobias wielki człowiek.

- My nie wiemy - powtórzyła Adie. - My kobiety z darem od Stwórcy wszelkich rzeczy. Stwórca nie dałby nam czegoś, co jest złe, czyż nie?

Lunetta nie zawahała się ani przez chwilę.

- Tobias mówi, że to Opiekun dał nam tę ohydną magię. Tobias nigdy się nie myli.

Adie uśmiechnęła się, bo twarz Lunetty chmurzyła się coraz bardziej.

- Oczywiście, że nie, Lunetto. Twój brat to wielki i potężny człowiek, jak nam powiedziałaś. - Adie poprawiła suknie i założyła nogę na nogę. - Czy wydaje ci się, Lunetto, że jesteś niegodziwa?

Lunetta przez chwilę zastanawiała się nad tym, marszcząc czoło.

- Tobias mówi, że ja zła. Stara się mi pomóc czynić dobro, zetrzeć skazę od Opiekuna. Pomagam mu wykorzeniać zło, żeby mógł czynić dzieło Stwórcy.

Kahlan uznała, że w ten sposób Adie niczego nie zyska, a co najwyżej zdenerwuje Lunettę, więc zmieniła temat, nim sprawy zaszły za daleko. W końcu to Lunetta miała kontrolę nad ich obrożami.

- Często bywałaś w Pałacu Proroków?

- O nie - odparła Lunetta. - To pierwszy raz. Tobias mówi, że to gniazdo zła.

- To dlaczego nas tam zabiera? - spytała bezceremonialnie Kahlan.

Lunetta wzruszyła ramionami.

- Bo posłańcy powiedzieli, że mamy tam jechać.

- Posłańcy? Lunetta potaknęła.

- Mriswithy. Oni posłańcy Stwórcy. Mówią nam, co robić. Kahlan i Adie siedziały bez słowa, osłupiałe ze zdumienia.

W końcu Kahlan odzyskała głos:

- Jeśli to gniazdo zła, to wydaje się dziwne, że Stwórca chce, byśmy tam poszli. Twój brat nie ufa chyba posłańcom Stwórcy.

Dziewczyna widziała gniewną minę Brogana patrzącego za odchodzącymi do lasów mriswithami.

Paciorkowate oczy Lunetty patrzyły to na jedną, to na drugą.

- Tobias powiedział, że nie powinnam o nich rozmawiać. Kahlan splótła palce na kolanie.

- Nie boisz się, że posłańcy skrzywdzą twojego brata? To znaczy, jeżeli pałac jest gniazdem zła, jak on mówi...

- Nie pozwoliłabym im. - Przysadzista kobieta pochyliła się do przodu. - Mama powiedziała, żebym zawsze broniła Tobiasa, bo on jest ważniejszy niż ja. Tobias jest najważniejszy.

- Dlaczego twoja mama...

- Teraz lepiej zamilczmy - powiedziała Lunetta groźnym tonem. Kahlan usiadła wygodniej i wyjrzała przez okienko. Jakże łatwo było rozgniewać Lunettę. Dziewczyna uznała, że najlepiej nie dręczyć jej dalszymi pytaniami. Czarodziejka uległa już naleganiom Brogana i sprawdziła, co daje jej kontrola nad obrożami.

Kahlan patrzyła na przesuwające się za okienkiem budowle Tanimury i próbowała sobie wyobrazić Richarda oglądającego te same widoki. Patrząc na to, co i on widział, czuła się bliższa chłopakowi, a to zmniejszało nieco straszliwą tęsknotę.

Najdroższy Richardzie, nie wchodź, proszę, do tej pułapki, żeby mnie ocalić. Uratuj lepiej Midlandy.

Kahlan widziała bardzo wiele miast, właściwie wszystkie duże miasta w Midlandach, a to było takie same jak większość z nich. Na obrzeżach wyrastały walące się chałupy, głównie przybudówki wsparte o starsze, zniszczone domostwa i magazyny. Im głębiej wchodzili w miasto, tym budowle stawały się okazalsze, pojawiały się najrozmaitsze sklepy. Minęli kilka dużych targowisk wypełnionych tłumem ludzi spowitych w szaty we wszystkich kolorach tęczy.

I ten nieustający łoskot bębnow. Powolny, szarpiący nerwy rytm. Lunetta rozejrzała się, wypatrując doboszy, i Kahlan zorientowała się, że i tamtą to denerwuje. Dziewczyna widziała też jadącego tuż przy powozie Brogana. On również był poirytowany tym rytmem.

Trzy niewiasty znów złapały uchwyty, bo powóz zaczął podskakiwać na kamiennym moście. Metalowe koła zgrzytały o kamień. Przekraczali rzekę, a Kahlan widziała przez okienko olbrzymiejący pałac.

Powóz zatrzymał się w pobliżu strzelistego sektora pałacu, na rozległym dziedzińcu z zielonymi, okolonymi drzewami gazonami. Żołnierze okryci szkarłatnymi pelerynami siedzieli dumnie w siodłach i nie zamierzali zsiadać z koni.

W okienku pojawiła się skrzywiona gorzko twarz Brogana.

- Wsiadaj - burknął, lecz gdy Kahlan zaczęła się podnosić, rzucił: - Nie ty. Mówię do Lunetty. Ty siedź, dopóki ci się nie każe wsiadać. - Przesunął kłykciami po wąsach. - Wcześniej czy później będziesz moja. A wtedy zapłacisz za swoje plugawe zbrodnie.

- Mrsithy nie oddadzą mnie swojemu salonowemu pieskowi - powiedziała Kahlan. - Stwórca nie dopuści, bym wpadła w łapy takiego niegodziwca. Jesteś jak brud za paznokciami Opiekuna i Stwórca o tym wie. Nienawidzi cię.

Obroza posłała falę rozdzierającego bólu do nóg dziewczyny, żeby nie mogła się poruszyć, oraz poraziła jej gardło, tłumiąc głos. Oczy Lunetty płonęły. Kahlan powiedziała jednak to, co chciała powiedzieć.

Gdyby Brogan ją zabił, Richard nie wszedłby w tę pułapkę, żeby ją ocalić.

Oczy Brogana wyszły z orbit, twarz spurpurowiała mu, przybierając kolor peleryny. Zacisnął zęby Nagle sięgnął po Kahlan. Lunetta złapała go za rękę, udając, iż myślała, że chce jej pomóc.

- Pomagasz mi wysiąść, mój lordzie generale? Biodro boli mnie od tych wstrząsów na wybojach. Jaki Stwórca łaskawy, że dał ci tyle siły, bracie. Zważaj na jego słowa.

Kahlan próbowała coś powiedzieć, naurągać mu, ale nie mogła wydobyć głosu. Lunetta nie pozwalała się jej odezwać.

Brogan zapanował nad sobą i niechętnie pomógł Lunecie wysiąść. Już miał się odwrócić ku powozowi, gdy zobaczył, że ktoś się zbliża. Kobieta wyniosłym gestem dłoni dała mu znak, by się odsunął. Kahlan nie usłyszała jej słów, lecz Brogan chwycił wodze swojego konia i dał żołnierzom znak, żeby ruszyli za nim.

Ahernowi kazano zejść z kozła i pójść za żołnierzami bractwa. Rzucił Kahlan przez ramię krótkie, współczujące spojrzenie. Dziewczyna poprosiła dobre duchy, żeby go nie zabili, skoro powóz dostarczył już swój ładunek. Jeźdźcy podążyli za Broganem i Lunettą.

Odjechali, zapanował spokój i Kahlan poczuła, jak ustępuje nacisk obroży na gardło. Znów przypomniała sobie z udręką, że skłoniła Richarda, by założył sobie na szyję taką obrozę. Każdego dnia dziękowała dobrym duchom, iż w końcu zrozumiał, że uczyniła to, by uratować mu życie. Że czyniła to, by nie zabił go dar. Ale w przeciwieństwie do tej, którą nosił Richard, obroza jej i Adie wcale nie miały im pomóc. Były swego rodzaju kajdanami.

Młoda kobieta podeszła do drzwiczek powozu i zajrzała do środka. Nosiła przylegającą czerwona suknię, która w całej okazałości ujawniała jej perfekcyjne kształty. Okalające twarz wspaniałe bujne włosy były równie

ciemne jak oczy. Przy tej zadziwiająco zmysłowej kobiecie Kahlan poczuła się nagle jak nic nie znaczący pyłek.

Tamta spojrzała w oczy Adie.

- Czarodziejka. Może jakoś wykorzystamy twój dar. - Przeniosła wzrok na Kahlan. - Chodźcie za mną.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Kahlan poczuła bolesne uderzenie w plecy, które wyrzuciło ją z powozu. Łądując na ziemi, z trudem złapała równowagę. Odwróciła się w samą porę, żeby podtrzymać Adie, nim ta zdążyła upaść. Pospieszyły za kobietą, zanim raz jeszcze zesłała na nie ból.

Kahlan i Adie szły pospiesznie tuż za kobietą. Kahlan czuła się jak niezgrabna głuptaska: obroża sprawiała, że drżały pod nią nogi, i kazała jej pospiesznie dreptać za królewsko wyniosłą kobietą w czerwonej sukni. Adie nie była tak poganiana jak ona. Kahlan zaciskała zęby i marzyła, by zadusić tę pełną pychy babę.

Były tam i inne kobiety oraz kilku mężczyzn w długich szatach: przechadzali się w ten wspaniały poranek. Widok owych czystych ludzi dobitnie przypominał Kahlan o oblepiających ją warstwach brudu. Mimo to miała nadzieję, że nie każą się jej wykąpać. Może Richard nie rozpoznałby jej pod tym brudem. Może nie przyszedłby po nią.

Błagam cię, Richardzie, chroń Midlandy. Zostań tam.

Podążały zadaszonymi przejściami o ścianach z obrośniętymi pnączami kratownic, a potem wprowadzono je przez bramę w wysokim murze. Gwardziści przyjrzeni się im, ale nawet nie próbowali powstrzymać prowadzącej je kobiety. Przemierzyły cienistą ścieżkę biegnącą pod rozłożystymi drzewami i weszły do obszernego budynku, który w niczym nie przypominał pełnego szcurów lochu, jakiego spodziewała się Kahlan. Wyglądało to raczej na skrzydło przeznaczone dla odwiedzających pałac dostojników.

Kobieta w czerwonej sukni zatrzymała się przed rzeźbionymi drzwiami osadzonymi w masywnej kamiennej obudowie. Nacisnęła klamkę i weszła pierwsza. Komnata była wykwintna: ciężkie kotary osłaniały okna wychodzące na chyba trzydziestostopowy uskok. Było tam kilka foteli obitych złotym brokatem, mahoniowy stół i biurko oraz łoże z baldachimem.

Kobieta spojrzała na Kahlan.

- To będzie twoja komnata. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Chcemy, żeby

ci było wygodnie. Będziesz naszym gościem, dopóki z tobą nie skończymy. Spróbuj przejść przez osłony, które zostawię na drzwiach i na oknie, a opadniesz na czworaki i będziesz tak wymiotować, iż wyda ci się, że zaraz popękają ci zębra. To za pierwsze pogwałcenie zakazu. Potem nie będziesz już miała ochoty na ponowne próby. Nie musisz zatem nic wiedzieć o drugim pogwałceniu zakazu.

Wskazała palcem Adie, ale nie spuściła Kahlan z oka.

- Spraw mi tylko jakieś kłopoty, a ukarzę tę twoją przyjaciółkę. Pewnie sądzisz, że trudno cię złamać, zapewniam cię jednak, że się przekonasz, iż jest inaczej. Zrozumiałaś?

Kahlan skinęła głową, bojąc się, że nie ma prawa się odezwać.

- Zadałam ci pytanie - powiedziała kobieta złośliwym, cichym głosem, a Adie z krzykiem upadła na podłogę. - Masz odpowiedzieć.

- Tak! Tak, rozumiem! Nie krzywdź jej, błagam!

Kahlan chciała pomóc z trudem łapiącej powietrze Adie, lecz kobieta nakazała, żeby "stara" sama sobie poradziła. Dziewczyna niechętnie się wyprostowała, pozwalając Adie samodzielnie podnieść się z podłogi. Tamta krytycznie zmierzyła Kahlan wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. Jej uśmiezek sprawił, że w dziewczynie zawrzała krew.

- Wiesz, kim jestem? - spytała kobieta. - Nie.

Kpiąco uniosła brew.

- No, no, no, cóż za niegrzeczny chłopak. Zważywszy na okoliczności, nie powinnam się właściwie dziwić, że Richard nie wspomniał o mnie swojej przyszłej żonie.

- Jakie okoliczności?

- Mam na imię Merissa. Teraz już wiesz, kim jestem? - Nie.

Tamta zaśmiała się cicho. Jej śmiech był równie wytworny jak cała ona.

- Ten paskudny chłopak tai zmysłowe sekrety przed swoją przyszłą żoną.

Kahlan wolałaby trzymać język za zębami, ale nie zdołała się powstrzymać.

- Jakie sekrety?

Merissa wzruszyła obojętnie ramionami.

- Kiedy Richard był naszym uczniem, byłam jedną z jego nauczycielek. Spędzałam z nim mnóstwo czasu. - Znów się drwiąco uśmiechała. - Przez mnóstwo nocy trzymaliśmy się w ramionach. Nauczyłam go wielu rzeczy. To

taki namiętny i czuły kochanek. Jeśli kiedykolwiek z nim legniesz, odniesiesz korzyść z moich... intymnych nauk.

Merissa zaśmiała się radośnie i wyszła z komnaty, nim jednak zamknęła za sobą drzwi, ostatni raz obrzuciła Kahlan rozbawionym spojrzeniem.

Kahlan tak mocno zaciskała pięści, że paznokcie wbijały się jej w ciało. Miała ochotę krzyczeć. Kiedy przyszedł do Pałacu Proroków, miał na szyi obrożę i to ona zmusiła go do jej założenia. Myślał, że go nie kochała. Myślał, że go odepchnęła i już nigdy nie chce go zobaczyć.

Jakże mógłby się oprzeć kobiecie tak pięknej jak Merissa? Zresztą nie miał do tego powodów.

Adie złapała ją za ramię i okręciła ku sobie.

- Nie słuchaj jej.

- Ale... - zaczęła Kahlan ze łzami w oczach.

- Richard cię kocha. Ona cię tylko dręczy. To okrutna kobieta, którą raduje twoje cierpienie. - Adie uniosła palec i zacytowała stare powiedzenie:

- Nigdy nie pozwól, by piękna kobieta wybierała ci drogę, jeśli ma na oku mężczyznę. Merissa ma na oku Richarda. Już kiedyś widziałam to pożądliwe spojrzenie. Ona nie pragnie twojego mężczyzny. Ona pragnie jego krwi.

- Ale...

- Nie trać przez nią wiary w Richarda. - Adie pogroziła Kahlan palcem. - Ona właśnie tego chce. Richard cię kocha.

- A ja wpędzę go do grobu.

Kahlan załkała boleśnie i osunęła się w ramiona Adie.

ROZDZIAŁ 46

Richard przetarł oczy. Żałował, że nie może szybciej czytać, bo pamiętnik stawał się coraz ciekawszy. Wciąż jednak zabierało mu to sporo czasu. Musiał się zastanawiać nad wieloma słowami, szukać znaczenia kilku innych, lecz z upływem dni osiągnął stan, kiedy nie tyle tłumaczył, ile po prostu czytał. Ilekroć jednak uświadamiał sobie, że swobodnie czyta w górnod'harańskim, ponownie zaczynał potykać się o słówka.

Chłopaka ogromnie intrygowały powtarzające się wzmianki o Alricu Rahlu. Wyglądało na to, że ten jego przodek znalazł rozwiązanie kwestii Nawiedzających Sny. Był jednym z wielu, którzy szukali sposobu na uniemożliwienie Nawiedzającym Sny opanowywania umysłów ludzi, lecz to on właśnie najenergiczniej upierał się, że znalazł rozwiązanie.

Richard, porwany tekstem, czytał, jak Alric Rahl przysłał z D'Hary wieść, że otoczył już ową ochronną siecią swój lud i że jeśli i inni chcą być przez nią chronieni, to powinni mu przysiąc dozgonną lojalność, a wówczas będą bezpieczni. Chłopak zrozumiał, że taki był właśnie początek więzi, która łączyła z nim D'Harańczyków. Alric Rahl stworzył ów czar, żeby chronić swój lud przed Nawiedzającymi Sny, nie zaś po to, by go zniewolić. Richard był dumny z dobroczynnego dzieła swojego przodka.

Wstrzymywał oddech, czytając pamiętnik i mając wbrew wszystkiemu nadzieję, że uwierzą Alricowi Rahlowi, choć wiedział, że się tak nie stało. Kolo ostrożnie interesował się dowodami, lecz pozostawał niezdecydowany. Napisał, że większość pozostałych czarodziejów sądziła, iż Alric szykuje jakąś sztuczkę, bo przecież Rahla interesuje wyłącznie zdobycie władzy nad światem.

Richard aż jęknął z rozczarowania, czytając, jak wysłali wiadomość, że odmawiają złożenia przysięgi na wierność i związania się z Alrikiem.

Chłopak, zirytowany monotonnym dźwiękiem, odwrócił się i spojrzął za okno. Dopiero teraz spostrzegł, że na zewnątrz było zupełnie ciemno. Nawet nie zauważył, kiedy zaszło słońce. Świeca, którą dopiero co zapalił, zdążyła się już do połowy wypalić. Dźwięk, który mu przeszkadzał, wydawała woda kapiąca z sopli. Wiosna przepędzała mróz.

Richard oderwał myśli od pamiętnika i znów opadł go niepokój o Kahlan.

Posłańcy każdego dnia donosili o fiasku poszukiwań. Jak mogła tak bez śladu zniknąć?

- Czy czeka jakiś posłaniec? Poirytowana Cara przestąpiła z nogi na nogę.

- Tak, jest tam kilku, ale powiedziałam im, że nie masz dla nich czasu, bo jesteś zbyt zajęty prawieniem mi słodkich słówek - zakpiła.

Richard westchnął.

- Przepraszam, Caro. Wiem, że powiedziałaś mi, gdyby się jakiś zjawił.

- Pogroził jej palcem. - I to nawet gdybym spał.

- Nawet gdybyś spał. - Uśmiechnęła się. Chłopak rozejrzał się po komnacie i zmarszczył brwi.

- Gdzie się podziała Berdine? Cara przewróciła oczami.

- Całe godziny temu powiedziała ci, że idzie się trochę przespać przed swoją wartą. Ty zaś odpowiedziałeś jej: "Dobrze, dobranoc".

- Tak, na pewno tak powiedziałem. - I chłopak wrócił do czytania pamiętnika.

Czytał teraz o tym, jak czarodzieje zaczęli się niepokoić, że sylfa może sprowadzić coś, czego nie będą potrafili zatrzymać. Wojna była dla Richarda przerażającym misterium. Każda ze stron utworzyła magiczne byty, przeważnie istoty przeznaczone do jednego celu - jak na przykład Nawiedzający Sny - a druga, jeśli tylko zdołała, musiała to skontrolować. Zatrwożyło go odkrycie, że niektóre z tych istot powstały z ludzi, z samych czarodziejów. Byli aż tak zdesperowani.

Z każdym dniem coraz bardziej niepokoił się, że nim zaczną działać baszty, sylfa - również stworzona dzięki ich magii, tak by mogli się przenosić na wielkie odległości i atakować wroga, a która okazała się równie wielkim zagrożeniem jak dobrodziejstwem - sprowadzi coś nieoczekiwanego, z czym sobie nie poradzą. Twierdzili, że sylfa zaśnie, gdy baszty zaczną działać. Richard wciąż zastanawiał się, czym właściwie jest owa sylfa, jak może zasnąć i jak ją później obudzą, ponieważ zamierzali to zrobić po zakończeniu wojny.

Czarodzieje uznali, że wskutek zagrożenia atakiem poprzez sylfę pewne najcenniejsze, najważniejsze czy najniebezpieczniejsze przedmioty powinny zostać usunięte z Wieży Czarodzieja. Ostatnią z wymagających ochrony rzeczy dawno już przeniesiono do kryjówki, a potem Kolo napisał:

“Dzisiaj spełniło się jedno z naszych najgorętszych pragnień, a stało się to dzięki niezmqordowanej, genialnej pracy blisko stuosobowej grupy. Ochronione zostało to, czego utraty najbardziej obawialiśmy się w razie naszej klęski. Dziś dotarła do nas wieść o sukcesie i wszyscy w wieży radośnie krzyknęli. Niektórzy sądzili, że to nie będzie możliwe, lecz dokonało się ku zdumieniu wszystkich: Świątynia Wichrów odeszła”.

Odeszła? Co to za Świątynia Wichrów i dokąd odeszła? Pamiętnik Koło tego nie wyjaśniał.

Richard podrapał się po karku i ziewnął. Nie mógł już dłużej powstrzymać opadających powiek. Wiele zostało jeszcze do przeczytania, ale musiał się przespąć. Chciał, żeby Kahlan wróciła, gdyż wtedy mógłby ją chronić przed Nawiedzającym Sny. Chciał się spotkać z Zeddem i opowiedzieć mu o tym, czego się dowiedział.

Chłopak wstał i poczłapał do drzwi.

- Idziesz do łóżka, żeby o mnie śnić? - spytała Cara.

- Wciąż o tobie śnię. - Richard się uśmiechnął. - Obudź mnie, jeśli...

- Jeśli zjawi się posłaniec. Tak, tak, już o tym mówiłeś. Richard potaknął i ruszył ku drzwiom. Cara chwyciła go za ramię.

- Znajdą ją, lordzie Rahlu. Będzie bezpieczna. Wypocznij dobrze. D'Haranczycy szukają jej, a oni nie zawiodą.

Chłopak poklepał ją po ramieniu i wychodząc, powiedział:

- Zostawiam tu pamiętnik, żeby Berdine mogła nad nim popracować, kiedy się obudzi.

Wszedł do swojej komnaty i zaczął przecierać oczy, ziewając przy tym. Tylko zdjąć buty, zsunąć przez głowę pendent, położyć Miecz Prawdy na krześle i paść na łożo. Mimo niepokoju o Kahlan natychmiast zasnął.

Właśnie śnił o niej, gdy zbudziło go głośne pukanie do drzwi. Obrócił się na plecy. Drzwi gwałtownie się otworzyły i błysnęło światło. To Cara; trzymała lampę. Podeszła do łoża i zapaliła drugą, stojącą z boku lampę.

- Zbudź się, lordzie Rahlu. Zbudź się.

- Już nie śpię. - Richard usiadł. - Co się dzieje? Jak długo spałem?

- Może cztery godziny. Berdine przez kilka minut pracowała nad pamiętnikiem, bardzo się czymś podekscytowała i chciała cię zbudzić, żebyś jej pomógł, lecz nie pozwoliłam jej na to.

- To dlaczego mnie teraz budzisz? Przybył posłaniec? - Tak.

Richard zaczął się osuwać na łożo. Posłańcy nigdy nie przynosili żadnych wieści.

- Wstawaj, lordzie Rahlu. Posłaniec przywiózł wieści. Chłopak oprzytomniał tak gwałtownie, jakby w jego głowie zadzwieczał dzwon. Natychmiast wystawił nogi z łoża i wciągnął buty. - Gdzie on jest?

- Prowadzą go.

W tym samym momencie wpadł Ulic, podtrzymując jakiegoś żołnierza. Biedak wyglądał, jakby od tygodni nie zsiadał z konia. Ledwo trzymał się na nogach podpierany przez gwardzistę.

- Przynoszę wieść, lordzie Rahlu.

Richard dał mu znak, by przysiadł na brzegu łoża, jednak młody żołnierz odrzucił zaproszenie. Wolał od razu przekazać wiadomość.

- Znaleźliśmy coś. Generał Reibisch kazał mi najpierw powiedzieć, żebyś się nie bał. Nie odnaleźliśmy jej ciała, więc na pewno wciąż żyje.

- Co znaleźliście? - spytał Richard, trzęsąc się.

Żołnierz sięgnął pod skórzany uniform i coś wyjął. Richard chwycił to i rozwinął, żeby się dobrze przyjrzeć. To była szkarłatna peleryna.

- Odnaleźliśmy miejsce walki. Leżeli tam martwi żołnierze w tych pelerynach. Wielu ich było. Może ze stu.

Posłaniec wydobył jeszcze coś i podał Richardowi.

Chłopak to rozwinął. Nierówno odcięty kawałek spłowiałego niebieskiego materiału z czterema złotymi chwastami wzdłuż jednego boku.

- Lunetta - szepnął Richard. - To coś należało do Lunetty.

- Generał Reibisch kazał ci powiedzieć, że była jakaś potyczka. Leżało tam wielu martwych żołnierzy Bractwa Czystej Krwi. Leżały drzewa powalone uderzeniami ognia, jakby w walce wykorzystywano magię. Były i spalone ciała. Znaleźli tylko jedno ciało kogoś, kto nie należał do bractwa. Był D'Harancykiem. Wielkolud o jednym oku, z blizną przecinającą pusty oczodół.

- Orsk! To Orsk! Był strażnikiem Kahlan!

- Generał Reibisch zażądał, bym przekazał ci, że nie znaleźli niczego, co świadczyłoby o śmierci jej lub kogoś z jej otoczenia. Wyglądało na to, że walczyli zażarcie, lecz potem zostali ujęci.

Richard chwycił żołnierza za ramię.

- Czy tropiciele wiedzą, w jakim kierunku poszli? - Richard był wściekły

na siebie, że nie wyruszył z nimi. Gdyby to uczynił, podążałby już tropem Kahlan, a teraz całe tygodnie potrwa, nim tam dotrze.

- Generał Reibisch wydał rozkaz, bym powiedział, że tropiciele są prawie pewni, iż tamci wyruszyli na południe.

- Południe? Południe? - Richard był przekonany, że Brogan ucieknie ze swoją zdobyczą do Nikobarezji. Gratch musiał dzielnie walczyć, skoro było tam tyle ciał. Prawdopodobnie schwytali również jego.

- Mówią, że to się stało zbyt dawno temu i dlatego nie mają całkowitej pewności. Dużo sypało, a teraz śnieg się topi, więc trudno jest znaleźć ślady. Uważają jednak, że ruszyli na południe, i teraz nasi podążają za twoją królową.

- Południe - mruczał Richard. - Południe.

Przejechał palcami włosy, zastanawiał się. Brogan wolał uciec, niż sprzymierzyć się z Richardem przeciwko Imperialnemu Ładowi. Bractwo Czystej Krwi przyłączyło się do Imperialnego Ładu. Imperialny Ład władał Starym Światem. Stary Świat był na południu.

Generał Reibisch szedł jej śladem na południe, szedł za jego królową. Południe.

Co to powiedział mriswith w Wieży Czarodzieja?

Królowa cię potrzebuje, krewniaku. Musisz jej pomóc.

Próbowaly mu pomóc. Jego przyjaciele, mriswithy, starały się mu pomóc.

Richard porwał miecz i przesunął głowę przez skórzany pendent.

- Muszę iść.

- Pójdziemy z tobą - stwierdziła Cara, a Ulic potaknęła.

- Nie możecie pójść tam, dokąd idę. Zajmijcie się tu wszystkim za mnie. - Obrócił się ku żołnierzowi. - Gdzie twój koń?

- Tędy i na drugim podwórku - wyjaśnił tamten. - Ale to bardzo zmęczona klacz.

- Musi mnie tylko zanieść do Wieży Czarodzieja.

- Do wieży! - Cara złapała Richarda za ramię. - Po co jedziesz do wieży?

Richard się wyszarpnął.

- Bo to jedyny sposób, by dotrzeć na czas do Starego Świata.

Cara zaczęła protestować, lecz chłopak już biegł korytarzem. Za nim ruszyli inni, starając się go dogonić. Słyszał z tyłu szczęk zbroi i oręża, ale nie zwolnił. Nie słuchał próśb Cary, starał się coś wymyślić.

Jak to uczynić? Czy to w ogóle możliwe? Musi być. Uda mu się.

Richard wypadł za drzwi, przystanął na moment, a potem pomknął ku dziedzińcowi, na którym żołnierz zostawił swoją klacz. Prawie wpadł na nią w ciemnościach i z trudem wyhamował. Koń odskoczył, a Richard klepnął go na powitanie i już siedział w siodle. Zawrócił wierzchowca i posłyszał z oddali głos biegnącej ku niemu Berdine.

- Lordzie Rahlu! Stój! Zdejmij pelerynę! - Richard uderzył konia piętami i zobaczył Berdine wymachującą pamiętnikiem Koło; nie miał dla niej czasu. - Lordzie Rahlu! Musisz zdjąć pelerynę mriswitha!

Jeszcze czego, pomyślał chłopak. Mriswithy były jego przyjaciółmi.

- Stój! Wysłuchaj mnie, lordzie Rahlu! - Klacz ruszyła galopem, a czarna peleryna mriswitha rozwiała się w pędzie. - Richardzie! Zdejmij ją!

Całe tygodnie nudnego, cierpliwego wyczekiwania jakby eksplodowały w nagłą potrzebę desperackiego działania. Pragnienie dotarcia do Kahlan przeważało nad wszystkim innym.

Tętent kopyt zagłuszył głos Berdine. Wiatr szarpał peleryną, pałac przemknął obok i noc pochłonęła Richarda.

- Co tutaj robisz?

Brogan zwrócił się w stronę głosu. Nie słyszał, jak Siostra się zbliżała. Spojrzał gniewnie na starszą kobietę o długich, siwych, związanych luźno na karku włosach.

- A co cię to obchodzi? Kobieta splotła palce.

- Ponieważ to jest nasz pałac, a ty jesteś w nim gościem, to jest jak najbardziej naszą sprawą, kiedy jeden z naszych gości idzie w naszym domu tam, dokąd zakazano mu iść.

Oburzony Brogan spojrział na nią z ukosa.

- Czy chociaż wiesz, do kogo mówisz? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Powiedziałybym, że do jakiegoś mało ważnego, zarozumiałego oficera. Oficera zbyt nadętego, by mógł się zorientować, kiedy wkracza na niebezpieczny grunt. - Przechyliła na bok głowę. - Dobrze to ujęłam?

Brogan podszedł do niej.

- Jestem Tobias Brogan, naczelny wódz Bractwa Czystej Krwi. - Patrzcie, patrzcie - zakpiła. - Wręcz imponujące. Ale nie przypominam sobie słów: "Nie wolno ci odwiedzać Matki Spowiedniczki, chyba że jesteś naczelnym wodzem Bractwa Czystej Krwi". Masz dla nas tylko taką wartość, jaką ci

same przypiszemy. Nie istnieją dla ciebie inne zadania niż te, które ci zlecimy. - Które wy mi zlecicie?! Sam Stwórca mówi mi, co mam robić!

- Stwórca! - prychnęła ze śmiechem. - Nie ceń się aż tak bardzo! Jesteś częścią Imperialnego Ładu i masz robić, co ci każemy.

Brogan z trudem powstrzymywał się od posiekania na kawałki tej lekceważącej go kobiety.

- Jak się nazywasz? - warknął.

- Siostra Leoma. Potrafisz to zachować w swoim ptasim mózdzku? Polecono ci, byś pozostał w koszarach razem ze swoimi eleganckimi żołnierzkami. Zabieraj się tam z powrotem i żebym cię już więcej nie przyłapała w tym budynku, bo przestaniesz mieć dla Imperialnego Ładu jakąkolwiek wartość.

Zanim Brogan zdążył wybuchnąć gniewem, Leoma odwróciła się ku Lunecie.

- Dobry wieczór, moja droga.

- Dobry wieczór - odparła ostrożnie Lunetta.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, Lunetto. Jak się dowiedziałas, jest to siedziba czarodziejek. Kobiety, które mają dar, cieszą się tutaj szacunkiem. Twój lord generał nie jest dla nas zbyt wiele wart, lecz kogoś z twoimi zdolnościami powitamy jak najmilej. Chciałabym ci zaoferować miejsce u nas. Darzono by cię wielkim szacunkiem. - Rzuciła okiem na strój Lunetty. - Oczywiście zadbałybyśmy o to, żebyś nosiła lepsze szaty. Nie musiałabyś chodzić w tych paskudnych łachmanach.

Lunetta mocniej przycisnęła do siebie kolorowe szmatki i przysunęła się do Brogana.

- Będę wierna mojemu lordowi generałowi. On wielki człowiek.

- O tak, na pewno - zakpiła Siostra Leoma.

- A wy niegodziwe kobiety - powiedziała Lunetta głosem znienacka twardym i groźnym. - Mama mi tak powiedziała.

- Siostra Leoma - odezwał się Brogan. - Zapamiętam twoje imię. - Poklepał wiszące u pasa puzderko z trofeami. - Możesz powiedzieć Opiekunowi, że zapamiętam twoje imię. Nigdy nie zapomnę imienia banelinga.

Siostra Leoma uśmiechnęła się złośliwie.

- Powtórzę twoje słowa mojemu Panu w zaświatach, kiedy znów będę z

nim rozmawiać.

Brogan obrócił Lunette we właściwą stronę i ruszył ku drzwiom. Wrócił tu i następnym razem dostanie to, czego chce.

- Musimy pogadać z Galterem - oznajmił. - Mam już dość tych bzdur. Wypalaliśmy o wiele większe gniazda banelingów niż to.

Zatroskana Lunetta przyłożyła palec do ust.

- Ale Stwórca kazał ci, lordzie generale, żebyś wypełniał polecenia tych kobiet. Kazał, żebyś oddał im Matkę Spowiedniczkę.

Wyszli i Brogan ruszył wielkimi krokami przez ciemności.

- Co mama mówiła ci o tych kobietach?

- Powiedziała... że one są złe.

- To banelingi.

- Ależ lordzie generale, przecież Matka Spowiedniczka jest banelingiem. Dlaczego Stwórca kazałby ci ją oddawać tym kobietom, gdy i one były banelingami?

Brogan spojrzął na siostrę. W słabej poświacie zobaczył, że patrzy nań zmieszania. Jego biedna siostra nie miała na tyle rozumu, by to pojąć.

- Czy to nie jest oczywiste, Lunetto? Stwórca dał się rozpoznać przez te zdradzieckie metody. To on stworzył dar. Próbował mnie zmylić. Teraz do mnie należy oczyszczenie świata zła. Musi umrzeć każdy, kto ma dar. Stwórca to baneling.

Lunetta, przestraszona, wstrzymała oddech.

- Mama zawsze mówiła, że przeznaczona ci wielkość.

Richard położył na stole jaśniejącą kulę i stanął przed wielką, milczącą studnią zajmującą środek pomieszczenia. Co miał uczynić? Czym była ta sylfa i jak ma ją przywołać?

Okrażał kolisty, sięgający pasa mur i zaglądał do środka, ale niczego nie wypatrzył.

- Sylfo! - zawołał w bezdenną otchłań. Głos powrócił echem.

Chłopak chodził tam i z powrotem, ciągnął się za włosy i zapamiętałe starał się wymyślić, co ma zrobić. Poczul mrowienie zwiastujące czyjąś obecność. Podniósł wzrok i zatrzymał się - w pobliżu drzwi stał mriswith.

- Królowa cię potrzebuje, krewniaku. Musisz jej pomóc. Przywołaj sylfę.

Chłopak skoczył ku śniademu, pokrytemu łuską stworowi.

- Wiem, że mnie potrzebuje! Jak mam przywołać sylfę?! Szczelinowate

usta rozchyliły się w grymasie, który mógł być uśmiechem.

- Ty jeden po trzech tysiącach lat urodziłeś się z mocą zdolną do przebudzenia jej. Już złamałeś barierę, która nas od niej odgradzała. Musisz wykorzystać swoją moc. Przywołaj sylfę za pomocą swojego daru.

- Mojego daru?

Mriswith potaknął, nie odrywając od Richarda paciorkowatych oczu.

- Przywołaj ją za pomocą swojego daru.

Chłopak w końcu odwrócił się od mriswitha i podszedł z powrotem do kamiennej, okalającej studnię ściany. Próbował sobie przypomnieć, jak w przeszłości posługiwał się darem. To zawsze przychodziło instynktownie. Nathan mówił, że u niego, u czarodzieja wojny, zawsze tak będzie: najpierw pojawi się potrzeba, potem zadziała instynkt. Trzeba tylko pozwolić, żeby krytyczna chwila go zbudziła.

Richard pozwolił, by paląca potrzeba sięgnęła aż do znajdującego się w nim jądra spokoju. Nie próbował przyzwać mocy, lecz wykrzykiwał jej potrzebę.

Wyrzucił w górę pięści, odchylił do tyłu głowę. Pozwolił, by wypełniło go pragnienie. Niczego innego nie chciał. Zniósł podświadome blokady. Nie starał się myśleć, co ma zrobić, ale żądał, by to się stało.

Potrzebował sylfy.

Bezgłośnie wrzasnął z furii.

Przybądź do mnie!!!

Uwolnił moc, jakby wypuszczał powietrze z płuc, żądając, by się dokonało.

Ogień zapłonął między pięściami chłopaka. To było owo przywołanie: wiedział to, czuł i rozumiał. Wiedział też, co ma zrobić. Łagodnie połyskująca kula obracała się pomiędzy jego nadgarstkami, a promienie blasku owijały się wokół ramion i wpływały do pulsującej kuli.

Richard poczuł, że jego moc osiąga szczyt, i gwałtownie opuścił ręce. Świetlna kula z rykiem pomknęła w ciemność.

Opadała, rzucając na ściany studni pierścień blasku. Pierścień blasku i kula światła stawały się coraz mniejsze i mniejsze, ryk cichnął, aż wreszcie Richard przestał je widzieć i słyszeć.

Chłopak przechylił się przez murek, spoglądał w bezdenną czeluść. Panowały w niej tylko cisza i mrok. Słyszał jedynie swój przyspieszony

oddech. Wyprostował się i obejrzał przez ramię. Mriswith obserwował go, ale nie próbował pomóc - wszystko zależało od Richarda. Miał nadzieję, że to wystarczy.

W milczącym bezruchu Wieży Czarodzieja, w ciszy okalającej chłopaka kolosalnej kamiennej budowli, dał się słyszeć odległy łoskot.

Głos życia.

Richard znów przechylił się przez murek i spojrzał w dół, lecz niczego nie zobaczył. Coś jednak wyczuł. Drżał kamień pod jego stopami. Kamienny pył unosił się w drgającym powietrzu.

Chłopak ponownie zajrzał do studni i ujrzał odbłask. Studnia się wypełniała - nie tak jak wodą, jednak coś mknęło w górę z szaleńczą prędkością i ogromnym wyciem. Było coraz bliżej, ryk narastał.

Richard z trudem zdążył odskoczyć pod kamienną ścianę. Był przekonany, że to coś wytryśnie ze studni i przebije się przez strop. Ze nie zdąży się zatrzymać nic, co mknie z taką prędkością. Lecz się zatrzymało.

Nagle zapadła cisza. Richard usiadł, podpierając się rękami. Ponad okalającym studnię kolistym murkiem powoli wybrzuszała się lśniąca metalicznie kula. Rozciągnęła się górę, tworząc bąbel, jakby woda wystrzeliła w powietrze, ale to nie była woda. Połyskująca powierzchnia odbijała całe otoczenie niczym wypolerowana zbroja. Bąbel rósł i poruszał się, zniekształcając odbite obrazy.

Tb wyglądało jak żywe srebro.

Kula, połączona czymś na kształt szyi z tkwiącym w studni ciałem, wyginała się, skręcała, zmieniała. Przybrała kształt kobiecej twarzy. Richard musiał sobie przypomnieć, że powinien oddychać. Teraz zrozumiał, dlaczego Kolo pisał o sylfie "ona".

Twarz w końcu dostrzegła siedzącego na podłodze chłopaka. Wyglądała jak srebrny posąg, ale się poruszała.

- Panie - powiedziała niesamowitym głosem, który odbił się echem od ścian pomieszczenia. Wargi nie poruszyły się, kiedy mówiła, ale uśmiechnęła się z zadowoleniem. Na srebrzystej twarzy odmalowała się ciekawość. - Przywołałeś mnie? Pragniesz podróżować?

- Tak. Podróżować. - Richard poderwał się na nogi. - Chcę podróżować.

- Więc pójdź. - Miły uśmiech powrócił. - Będziemy podróżować. Richard wytarł o koszulę zakurzone dłonie.

- Jak? Jak będziemy... podróżować? Ściągnęły się srebrne brwi.
- Jeszcze nigdy nie podróżowałaś? Chłopak potrząsnął głową.
- Nie. Ale teraz muszę. Muszę się dostać do Starego Świata.
- Ach. Często tam bywałam. Pójdź i udamy się tam. Richard się zawahał.
- Co mam zrobić? Co chcesz, żebym zrobił? Uformowała się ręka i dotknęła szczytu ściany.
- Pójdź do mnie. - Głos odbił się echem. - Zabiorę cię.
- Długo to potrwa?
Obicze znów się nachmurzyło.
- Długo? Stąd tam? Tak, długo. Jestem wystarczająco długa. Już tam byłam.
- Miałam na myśli... Godziny? Dni? Tygodnie? Nie pojmowała.
- Inni podróżnicy nigdy o tym nie mówili.
- Więc to nie potrwa długo. Kolo też nigdy o tym nie wspominał. - Pamiętnik bywał czasami irytujący, ponieważ Kolo nigdy nie wyjaśniał tego, co dla jego ludu było chlebem powszednim. Nie starał się ani pouczyć, ani przekazać informacji.
- Kolo?
- Nie znam jego imienia. - Richard wskazał kości. - Nazywam go Kolo.
Twarz wysunęła się poza studnię, żeby spojrzeć pod ścianę.
- Nie przypominam sobie, bym to widziała.
- Hmm, on nie żyje. Przedtem tak nie wyglądał. - Richard uznał, że lepiej nie tłumaczyć, kim był Kolo, bo ona jeszcze sobie przypomni i się zdenerwuje. Nie były mu potrzebne żadne emocje, chciał się dostać do Kahlan. - Zależy mi na czasie. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy się pospieszyli.
- Zbliź się, żebym mogła ocenić, czy możesz podróżować. Richard podszedł do murku i stał spokojnie, kiedy srebrna dłoń dotknęła jego czoła. Cofnął się. Była ciepła, a spodziewał się zimnej. Znów się przysunął i pozwolił, by dłoń przesunęła się po jego czole.
- Możesz podróżować - oznajmiła sylfa. - Masz obie wymagane strony. Jednak umrzesz, jeśli taki będziesz.
- Co to znaczy "taki"?
Srebrna dłoń zniżyła się i wskazała miecz, lecz nie dotknęła oręża.
- Tego magicznego przedmiotu nie da się pogodzić z życiem w sylfie. Gdy owa magia wniknie we mnie, skończy się każde życie, które noszę.

- Chcesz, żebym go tu zostawił?

- Musisz go zostawić, jeśli chcesz podróżować, bo w innym wypadku umrzesz.

Richard zupełnie nie miał ochoty zostawiać Miecza Prawdy bez żadnej ochrony, tym bardziej że dowiedział się, ilu ojców rodzin zginęło przy jego wykuwaniu. Zdjął przez głowę pendent, wpatrzył się w trzymaną w dłoniach pochwę. Obejrzał się przez ramię na obserwującego go mriswitha. Mógłby poprosić swojego przyjaciela mriswitha, żeby strzegł miecza.

Nie. Nie mógł prosić nikogo o strzeżenie czegoś tak niebezpiecznego, czegoś, czego tak wielu pożałowało. Miecz Prawdy to jego obowiązek i tylko jego.

Chłopak dobył oręza, czysty dźwięk stali rozbrzmiał w pomieszczeniu i z wolna ucichł. Gniew magii nie zniknął, szalał w Richcirdzie.

Chłopak uniósł klingę i spojrzał na nią. Czuł, jak wypukłe złote litery słowa PRAWDA wbijają mu się w dłoń. Cóż miał uczynić? Musiał się dostać do Kahlan. Miecz powinien być bezpieczny podczas jego nieobecności.

Instynktownie zrozumiał.

Obrócił broń w dół, złapał oburącz gardę. Stęknął z wysiłku, lecz sił dodała mu magia i furia, jaką ona wyzwoliła, i uderzył.

Poleciały iskry i odłamki kamienia. Richard wbił miecz aż po rękojeść w wielki kamienny blok podłogi. Cofnął dłonie, ale w dalszym ciągu czuł w sobie magię. Musiał zostawić oręż, lecz zachował jego magię. Był prawdziwym Poszukiwaczem.

- Wciąż jestem związany z magią miecza. Zatrzymałem ją w sobie. Czy to mnie zabije?

- Nie. Grozi śmiercią jedynie to, co magię tworzy, a nie to, co ją przyjmuje.

Richard wspiął się na murek, nagle zaniepokojony tym wszystkim. Nie. Musiał to uczynić. Musiał.

- Krewniaku.

Chłopak spojrzał na wołającego go mriswitha.

- Nie masz broni. Weź to. - Stwór rzucił Richardowi jeden z noży o trzech ostrzach.

Nóż łagodnie odwrócił się w powietrzu i chłopak złapał go za rękojeść. Zacisnął ją w pięści, osłony otoczyły jego nadgarstek. Nóż doskonale leżał w

dioni, był niczym przedłużenie ramienia.

- Yabree wkrótce zaśpiewa dla ciebie. Richard potaknął.

- Dziękuję. - Obrócił się ku sylfie. - Nie wiem, czy potrafię wystarczająco długo wstrzymać oddech.

- Już ci powiedziałam, iż jestem na tyle długa, że sięgnę tam, dokąd mamy dotrzeć.

- Nie, chodzi mi o to, że będę potrzebował powietrza. - Zademonstrował wdech i wydech. - Muszę oddychać.

- Oddychaj mną.

Wysłuchał się w odbijający się echem głos. - Co?

- Aby żyć podczas podróży, musisz mną oddychać. Możesz być przestraszony, bo podróżujesz pierwszy raz, ale musisz to uczynić. Ci, którzy tego nie robią, umierają we mnie. Nie bój się: oddychanie mną zachowa ci życie. Gdy dotrzemy na miejsce, wypuścisz mnie i wciągniesz powietrze. Będziesz się tego obawiał tak samo jak teraz oddychania mną, jednakże musisz to uczynić albo umrzesz.

Richard patrzył z niedowierzaniem. Oddychać tym żywym srebrem? Zmusi się do zrobienia czegoś takiego?

Musiał się dostać do Kahlan. Była w niebezpieczeństwie. Musiał to uczynić. Musiał.

Przełknął ślinę, a potem wziął długi, słodki wdech.

- No dobrze. Mogę ruszać. Co mam robić?

- Iy nic. Ja zrobię.

Płynne srebrne ramię wyciągnęło się, owinęło wokół niego, spinając chłopaka w mocnym uścisku. Uniosło go z murku i zanurzyło w srebrzystej pianie.

Nagle Richard miał wizję: przypomniał sobie panią Rencliff wciągana pod rozszalałą wodę.

ROZDZIAŁ 47

Drzwi otworzyły się i Verna zamrugała w ostrym świetle lampy. Miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła. Leoma wróciła zbyt szybko. Verna już trzęsła się ze strachu, łzy napłynęły jej do oczu, a przecież Leoma nie zaczęła jeszcze nawet próby bólu.

- Wchodź - warknęła do kogoś Siostra Mroku.

Verna usiadła i zobaczyła w drzwiach niską, chudą kobietę.

- Dlaczego ja muszę to robić? - pozałił się znajomy głos. - Nie chcę sprzątać jej izby. To nie mój obowiązek!

- Muszę tu nad nią pracować, a ten smród niemal odbiera mi wzrok. Właź i sprzątaj albo cię tu z nią zamknę, żebyś się nauczyła szacunku dla Siostry.

Kobieta, mruczając pod nosem, wtargała z wysiłkiem do środka ciężkie wiadro z mydlinami.

- Ależ smród - oznajmiła. - Cuchnie jak i ona. - Wiadro uderzyło o podłogę. - Plugawa Siostra Mroku.

- Umyj tu trochę i szybko znikaj. Mam tu robotę.

Verna podniosła wzrok i zobaczyła wpatrującą się w nią Millie.

- Millie...

Verna odwróciła twarz, bo stara kobieta na nią plunęła, ale nie była dość szybka. Grzbietem dłoni otarła ślinę z policzka.

- Wredna szumowina. I pomyśleć, że ci ufałam. Pomyśleć, że szanowałam cię jako Ksienię. A ty cały czas służyłaś Bezimiennemu. Jak dla mnie, to możesz tu sobie zgnić. Całe to miejsce śmierdzi twoim brudnym chodzącym trupem. Mam nadzieję, że ci zedrę skórę z...

- Wystarczy - rzekła Leoma. - Posprzątaj i możesz się uwolnić od jej obmierzłej obecności.

- Tb i tak zbyt długo jak na mnie - burknęła zde gustowana Millie.

- Żadnej z nas nie cieszy przebywanie w jednym pomieszczeniu z istotą tak złą jak ona, ale moim obowiązkiem jest przesłuchać ją. Ty zaś przynajmniej mogłabyś uczynić ten zapach znośniejszym dla mnie.

- Tak, Sostro. Zrobię to dla ciebie, dla prawdziwej Siostry Światła, żebyś przynajmniej nie musiała cierpieć z powodu jej smrodu. - Millie znów

splunęła w kierunku Verny.

Verna była bliska łez. Upokorzyło ją to, że Millie myśli o niej te wszystkie okropne rzeczy. Inni też tak o niej myśleli. Już nie była taka pewna, czy się mylili. Jej umysł był tak otumaniony próbami bólu, że nie była wcale przekonana, czy słusznie wierzy we własną niewinność. Może i źle było zachowywać lojalność wobec Richarda? W końcu to zwyczajny człowiek.

Kiedy Millie skończy, Leoma znów będzie mogła zacząć. Verna usłyszała swój szloch: jej sytuacja była zupełnie beznadziejna. Leoma usłyszała ten płacz i uśmiechnęła się.

- Opróżnij cuchnący nocnik - poleciła. Kobieta aż zasapała z oburzenia i niesmaku.

- Dobrze, dobrze, uważaj na spódnicę, a ja go opróżnię. Millie popchnęła wiadro z mydlinami bliżej siennika Verny i wzięła wypełniony po brzegi nocnik. Zacisnęła palcami drugiej dłoni nos i wyniosła naczynie, trzymając je jak najdalej od siebie. Poczłapała korytarzem, a Leoma spytała Verne;

- Zauważyłaś jakąś różnicę?

- Nie, Siostró. - Verna potrząsnęła głową.

- Bębny. - Leoma znacząco uniosła brew. - Umilkły.

Verna uświadomiła sobie, że to prawda. Musiały umilknąć, kiedy spała.

- Wiesz, co to oznacza? - Nie, Siostró.

- To znaczy, że imperator jest już blisko i wkrótce się tu zjawi. Może jutro. Czeka na rezultaty naszego małego eksperymentu. Tej nocy albo wyrzekniesz się swojej wierności wobec Richarda, albo odpowiesz za to Jagangowi. Twój czas dobiegł końca. Przemyśl to, zanim Millie zmyje trochę tego smrodu.

Millie, mamrocząc przekleństwa, wróciła z pustym nocnikiem. Postawiła go w rogu izby i zaczęła szorować podłogę. Zamoczyła szmatę w wiadrze i pacnęła nią o podłogę. Posuwała się ku Vernie.

Verna wpatrywała się w wodę, oblizując spękane wargi. Nie przeszkadzałoby jej, że to woda z mydlinami. Ciekawe, czy zdążyłaby łyknąć choć trochę, nim Leoma ją powstrzyma. Raczej nie.

- Nie powinnam tego robić - burczała do siebie Millie, ale na tyle głośno, by obie ją słyszały. - To i tak źle, że muszę sprzątać pokoje tego nowego Proroka. A myślałam, że już nie będę musiała sprzątać u wariata. Czas, żeby ta robota przypadła młodszej kobiecie. To dziwny człowiek. Wszystkim

Prorokom brak piątej klepki, o tak, z całą pewnością brak. Tego Warrena ani trochę bardziej nie lubię niż poprzedniego.

Na wzmiankę o Warrenie Verna omal nie wybuchnęła płaczem. Tak za nim tęskniła. Ciekawa była, czy dobrze go traktują. Leoma odpowiedziała na jej bezgłośnie pytanie.

- Tak, jest trochę dziwny. Ale próby z obrozą przywracają go do porządku. Dbam o to.

Verna odwróciła wzrok od Leomy. I jemu też to robiła. O, najdroższy Warrenie!

Szorując wciąż podłogę, Millie przysunęła bliżej wiadro kolaniem.

- Nie gap się na mnie. Nie życzę sobie, żeby twoje wredne ślepia na mnie patrzyły. Aż mnie od tego trzęsie, bo to tak, jakby gapił się na mnie sam Bezimienny.

Verna spuściła oczy. Millie wrzuciła szmatę do wiadra i zanurzyła dłoń, żeby ją wypłukać. Obejrzała się przez ramię.

- Skończę raz-dwa. Nie za szybko jak dla mnie, ale raz-dwa. I będziesz miała dla siebie tę podłą zdrajczynię. Mam nadzieję, że nie będziesz dla niej zbyt miła.

- Dostanie to, na co zasługuje. - Leoma się uśmiechnęła. Millie wyjęła ręce z mydlin.

- No i dobrze. - Przycisnęła mokrą, zgrubiałą dłoń do uda Verny. - Zabieraj nogę! Jak mogę zmyć podłogę, kiedy się tak rozsiadłaś.

Millie cofnęła rękę, a Verna poczuła na udzie coś sztywnego.

- Z tego Warrena też świnia. Ale ma nieporządek w komnacie. Byłam tam wcześniej i cuchnęło w niej prawie tak jak tu.

Verna przesunęła dłoń i podłożyła je pod uda, jakby chciała lepiej utrzymać równowagę, kiedy uniesie stopy dla Millie. Palce dotknęły czegoś cienkiego i twardego. Z początku jej otumaniony umysł nie mógł rozpoznać, co to takiego, po chwili jednak nagle zrozumiała.

To była dakra.

Poczuła ucisk w piersi. Mięśnie jej zdrętwiały. Ledwo mogła oddychać.

Nagle Millie znów splunęła Vernie w twarz. Verna drgnęła i odwróciła się.

- Nie gap się tak na uczciwą kobietę! Odwróć ode mnie te swoje paskudne ślepia!

Verna uświadomiła sobie, że Millie musiała zauważyć, jak szeroko otwiera oczy.

- Skończyłam - oznajmiła kobieta, prostując swoje żylaste ciało. - Chyba że jeszcze chcesz, bym ją wykąpała, ale jeśli tak, to lepiej dobrze to przemyśl, bo nie dotknę tej złej kobiety.

- Zabierz wiadro i odejdz - powiedziała Leoma, tracąc powoli cierpliwość.

Verna tak mocno zaciskała dąkrę w dłoni, że aż bolały ją palce. Serce tak jej waliło, że bała się, iż rozsadzi jej zębra.

Millie wyczłapała z izby, nie oglądając się za siebie, a Leoma zamknęła za nią drzwi.

- To twoja ostatnia szansa, Verno. Jeśli nadal będziesz odmawiać, to oddamy cię imperatorowi. I mogę ci obiecać, że bardzo prędko pożałujesz, iż nie chciałaś ze mną współpracować.

Podejdz bliżej, pomyślała Verna. Podejdz bliżej.

Poczuła pierwszą falę bólu. Opadła na siennik i odwróciła się od Leomy. Podejdz bliżej.

- Usiądź i patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

Verna krzyknęła krótko, ale nie poruszyła się, w nadziei, że przywabi bliżej Leomę. Atak z tej odległości byłby skazany na niepowodzenie: zdążyłaby ją spętać. Musiała się zbliżyć.

- Powiedziałam, siadaj! - Kroki Leomy rozległy się bliżej.

O drogi Stwórco, błagam, spraw, żeby podeszła dostatecznie blisko.

- Spójrz na mnie i powiedz, że zapierasz się Richarda. Musisz się go zaprzec, by imperator mógł wnikać do twojego umysłu. Będzie wiedział, czy wyrzekłaś się swojej lojalności, więc nie próbuj kłamać.

Jeszcze jeden krok.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Kolejny krok. Dłoń złapała Verne za włosy i uniosła jej głowę. Tamta była wystarczająco blisko, lecz ból poraził ramiona Verny i nie mogła uderzyć.

O drogi Stwórco, nie pozwól, żeby zaczęła próbę od moich rąk. Niech zacznie od nóg. Ręce są mi potrzebne.

Ale to nie nogi poraził palący nerwy ból, lecz ramiona. Verna ze wszystkich sił starała się unieść ramię z dakrą. Nic z tego. Palce skręcały się z bólu.

W końcu pomimo wysiłków rozwarły się i dakra wypadła.

- Błagam, tym razem zostaw nogi w spokoju. Nie nogi, błagam cię - załkała Verna.

Leoma szarpnęła do tyłu jej głowę i uderzyła Verne w twarz.

- Nogi czy ręce, jakie to ma znaczenie. Poddasz się.

- Nie zmusisz mnie. Nie uda ci się i... - Verna nie zdołała nic więcej dodać, bo znów dostała w twarz.

Szarpiący ból przeskoczył do nóg: drgały nieopanowanie. Ramiona wciąż mrowiły, ale przynajmniej mogła nimi poruszać. Na oślep przesuwiała dłońią po sienniku, desperacko szukając dakry. Dotknęła jej kciukiem. Zacisnęła palce na chłodnym metalowym uchwycie, zamykając go w dłoni. Zebrała wszystkie siły i odwagę i zatopiła dakrę w udzie Leomy.

Leoma krzyknęła i puściła włosy Verny.

- Nie ruszaj się! - wysapała Verna. - Wbiłam w ciebie dakrę. Stój spokojnie.

Tamta powoli opuściła rękę i roztarła nogę ponad dakrą.

- Chyba nie sądzisz, że ci się uda? Verna przełknęła ślinę, złapała oddech.

- Mamy okazję się o tym przekonać, czyż nie? Ja nie mam nic do stracenia. Ty tak: twoje życie.

- Uważaj, Verno, bo gorzko pożałujesz tego czynu. Zabierz dakrę, a uznam, że nic się nie stało. Cofnij ją.

- To niezbyt mądra rada, doradczyni.

- Kontroluję twoją obrożę. Muszę tylko zablokować twoją Han. Jeśli mnie do tego zmusisz, to tylko gorzej się to dla ciebie skończy.

- Czyżby, Leomo? Wiedz, że jeśli chodzi o posługiwanie się dakrą, w trakcie mojej dwudziestoletniej podróży wiele się nauczyłam. To prawda, że poprzez Rada'Han możesz zablokować moją Han, ale najpierw przemyśl dobrze dwie sprawy. Po pierwsze, jesteś w stanie zablokować moją Han, ale nie na tyle szybko, bym nie zdążyła jej przedtem choć musnąć. A z mojego doświadczenia wynika, że to by zupełnie wystarczyło. Jeżeli dotknę Han, ty natychmiast umrzesz. Po drugie, żeby zablokować moją Han, musisz się z nią połączyć przez obrożę. W ten sposób możesz nią manipulować; tak to właśnie działa. Nie myślisz, że samo dotknięcie mojej Han, by ją zablokować, wystarczy, żeby dakra cię zabiła? Co prawda nie jestem tego pewna, lecz chętnie się o tym przekonam, bo z mojej strony wygląda to inaczej niż z twojej. Jak myślisz? Chcesz się o tym przekonać, Leomo?

W słabo oświetlonej izdebce na długo zapadła cisza. Verna czuła, jak ciepła krew tamtej ścieka jej po ręce. W końcu Leoma powiedziała słabym głosem:

- Nie. Co mam uczynić?

- Przede wszystkim zdejmij mi Rada'Han, a potem, skoro już mianowałam cię moją doradczynią, trochę sobie porozmawiamy. Doradzisz mi.

- Ja zdejmę obrożę, ty cofniesz dakrę i powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Verna spojrzała w obserwujące ją przerażone oczy.

- W twojej sytuacji nie masz prawa stawiać żadnych warunków. Skończyłam w tej izbie, bo byłam zbyt ufna. Oduczyłam się tego. Dakra pozostanie tam, gdzie jest, dopóki z tobą nie skończę. Jeśli nie spełnisz mojego żądania, twoje życie nie będzie miało dla mnie żadnej wartości. Zrozumiałas to, Leomo?

- Tak - odparła tamta z rezygnacją.

- No to zaczynamy.

Mknął w księżycową noc jak strzała, a jednocześnie sunął z powolną gracją żółwia pod powierzchnią spokojnych wód. Nie było tu ani ciepła, ani chłodu. Jego oczy widziały zarówno mrok, jak i jasność, a płuca wypełniała słodka obecność sylfy, którą wdychał do swojej duszy.

To było upojenie.

I nagle się skończyło.

Dokoła eksplodowały obrazy. Drzewa, skały, gwiazdy, księżyc. Ów widok sprawił, że wpadł w panikę.

- Oddychaj - nakazała sylfa. Sama myśl o tym go przeraziła. - Nie.

- Oddychaj.

Przypomniał sobie Kahlan, to, że musi jej pomóc, i wypuścił z płuc słodkie upojenie. Niechętnie, opornie wciągnął obce powietrze.

Otoczyły go dźwięki. Owady, ptaki, nietoperze, żaby, liście na wietrze - wszystko ćwierkało, szumiało, pogwizdywało, rechotało, a bolesna wszechobecność dźwięków raniła uszy chłopaka.

Pomocne ramię postawiło go na kamiennym murku, nocny krajobraz znowu stał się znajomy. Zobaczył mriswithy, swoich przyjaciół, rozproszone w ciemnych lasach za kamiennymi ruinami wokół studni. Kilka stworów

siedziało na porozrzucanych kamiennych blokach, inne stały wśród resztek kolumn. Otaczały skraj starożytnej, rozsypującej się budowli.

- Dziękuję, sylfo.

- Jesteśmy tu, gdzie chciałeś dotrzeć - powiedziała, a jej głos rozległ się echem w nocy.

- Czy... będziesz tutaj, kiedy znów zechcę podróżować?

- Jeśli nie śpię, to zawsze jestem gotowa do podróży.

- A kiedy śpisz?

- Kiedy mi to nakazesz, panie.

Richard potaknął, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego. Spojrzał w noc i odszedł od studni. Znał te lasy. Nie widział tej okolicy, lecz budziła te same odczucia. Tb były lasy Hagen, choć miejsce, w którym się znajdował, leżało o wiele głębiej, niż się kiedykolwiek zapuścił, tak więc nigdy nie zobaczył tych kamiennych pozostałości. Z gwiazd wyczytał kierunek na Tanimurę.

Z mrocznych, okalających ruiny lasów wychodziło mrowie mriswithów. Wiele mijało go, mówiąc: "Witaj, krewniaku", i uderzając swoimi nożami o trzech ostrzach w jego nóż. Ostrza dźwięczały. "Oby twój yabree wkrótce zaśpiewał, krewniaku", mówiły, uderzając nożem o nóż. "Dziękuję", odpowiadał Richard, bo nie znał właściwej odpowiedzi.

Mriswithy przekradały się obok chłopaka do sylfy, uderzając w jego yabree, i wibrujący dźwięk trwał coraz dłużej. Ow miły pomruk przyjemnie rozgrzewał ramię Richarda. Zbliżały się kolejne mriswithy, więc zmienił kierunek, by uderzyć swoim yabree w ich noże.

Richard spojrzał na wznoszący się księżyc, na gwiazdy. Opuścił Aydindril w środku nocy. Tb nie mogła być ta sama noc. Może to była kolejna, to musiała być kolejna noc. Spędził w sylfie niemal cały dzień.

A może dwa dni. Albo trzy. Albo miesiąc czy nawet rok. Nie potrafił tego określić. Wiedział tylko, że musiał to być przynajmniej jeden dzień. Księżyc był tej samej wielkości. Więc może to zaledwie jeden dzień.

Richard przystanął, by kolejny mriswith mógł uderzyć w jego yabree. Za nim mriswithy zanurzały się w sylfę. Cały rząd czekał na swoją kolej. Co kilka sekund kolejny mriswith schodził z murku w połyskujące żywe srebro.

Chłopak zatrzymał się i poczuł, że jego yabree napełnia go ciepłym pomrukiem. Uśmiechnął się do śpiewnej wibracji, cicha pieśń dźwięczała miło w uszach i w kościach.

Radosną pieśń przerwało niepokojące uczucie: potrzebowano go.

Zatrzymał mriswitha.

- Gdzie mnie potrzebują?

- Ona cię zaprowadzi. - Mriswith wskazał swoim yabree. - Zna drogę.

Richard ruszył w kierunku wskazanym przez mriswitha. Jakaś postać czekała w mroku, w pobliżu rozwalonej ściany. Śpiew yabree ponaglał chłopaka.

Postać nie była mriswithem. To była kobieta. Chłopakowi wydało się, że rozpoznaje ją w księżycowej poświacie.

- Dobry wieczór, Richardzie. Cofnął się o krok.

- Merissa.

- Jak się ma mój uczeń? - Uśmiechnęła się sympatycznie. - Dawno się nie widzieliśmy. Mam nadzieję, że wszystko w porządku i że twój yabree śpiewa dla ciebie.

- Tak - wyjąkał. - Śpiewa o potrzebie.

- Królowa.

- Tak! Królowa. Ona mnie potrzebuje.

- Więc jesteś gotów jej pomóc? Uwolnić ją?

Potaknął, a ona odwróciła się i poprowadziła go w ruiny. Gdy wchodzili przez wyłamane drzwi, przyłączyło się do nich kilka mriswithów. Księżycowa poświata wpadała przez okolone lianami szczeliny w ścianach, potem ściany stały się mniej spękane. Zastłaniały blask księżyca, więc Merissa zapaliła płomyk nad wnętrzem dłoni. Richard podążał za nią po schodach w mroczne ruiny, przemierzając puste od tysięcy lat korytarze.

Weszli do wielkiego pomieszczenia i płomyk nad dłonią Merissy przestał wystarczać. Posłała go i zapaliła pochodnie. Zrobiło się jaśniej. Komnatę okalały dawno zamarte, pokryte kurzem i pajęczynami balkony, z których roztaczał się widok na wyłożony płytami zbiornik. Płyty, niegdyś białe, były teraz czarne od plam i brudu, ciemną wodę plamiły smugi błota. Zwieńczony kopułą strop otwierał się pośrodku, a z otworu sterczały jakieś konstrukcje.

Mriswithy wśliznęły się za Richardem i stanęły w pobliżu. Uderzyły swoimi yabree w jego nóż. Miła pieśń dotarła aż do jądra spokoju we wnętrzu chłopaka.

- Tu przebywa królowa - powiedział jeden z mriswithów. - Możemy do

niej przychodzić, a młode mogą stąd odejść, kiedy się narodzą, lecz królowa nie może opuścić tego miejsca.

- Dlaczego? - spytał Richard.

Drugi mriswith wysunął się naprzód i dotknął czegoś łapą. Niewidzialna dotąd osłona rozjarzyła się słabym blaskiem. Iskrząca się kopuła wypełniała tę zbudowaną z kamienia, lecz nie miała otworu w środku. Mriswith comął łapę i osłona zniknęła.

- Mija czas starej królowej, która w końcu umiera. Wykarmiła nas wszystkich, a w ostatnim miocie narodziła się nowa królowa. Ona śpiewa do nas przez yabree i mówi, że ma w sobie mnóstwo młodych. Nadszedł czas, by odeszła i dała początek naszej nowej kolonii. Wielka bariera zniknęła i sylfa się zbudziła. Teraz musisz pomóc królowej, byśmy mogli zająć nowe obszary.

Richard potaknął.

- Tak. Należy ją uwolnić. Wyczuwam jej pragnienie. To we mnie śpiewa. Dlaczego jej nie uwolniliście?

- Nie mogliśmy. Byłeś potrzebny, żeby uciszyć baszty i przebudzić sylfę. Ty jeden możesz uwolnić królową. Ib się musi stać, zanim będziesz miał dwa yabree, nim one dla ciebie zaśpiewają.

Chłopak - wiedziony instynktem - ruszył do widocznych z boku schodów. Czuł, że osłona jest silniejsza u podstawy, więc trzeba ją było rozerwać na górze. Wspinał się po kamiennych schodach, tuląc yabree do piersi. Próbował sobie wyobrazić, jak cudownych wrażeń dostarczą dwa noże. Kojąca pieśń dodawała mu otuchy, jednak pragnienie królowej gnało go naprzód. Mriswithy zostały, lecz Merissa poszła za Richardem.

Chłopak poruszał się tak, jakby już kiedyś przebył tę trasę. Schody prowadziły na zewnątrz, a potem wiły się spiralnie obok potrzaskanych kolumn. Księżyc rzucał poszarpane cienie wśród sterczących jeszcze skalnych bloków.

W końcu dotarli na szczyt niewielkiej, okrągłej wieżyczki. Z boku wznosiły się filary połączone górą resztkami belkowania przyozdobionego chimerami. Wyglądało na to, że niegdyś okalało ono całą kopułę, łącząc ze sobą takie wieżyczki jak ta, na której szczycie stali. Richard mógł spojrzeć w dół przez otwór w kopule. Wygięty dach jeżył się potężnymi kolumnami.

Ubrana w czerwoną suknię Merissa - kiedy go uczyła, zawsze nosiła

czerwone stroje - stała tuż za chłopakiem i w milczeniu patrzyła w mrok panujący pod kopułą.

Richard wyczuwał królową w mrocznym zbiorniku poniżej. Wołała do niego i przynagliła go, żeby ją uwolnił. Yabree śpiewał w nim. Chłopak opuścił rękę i pozwolił wypłynąć pragnieniu. Drugą uniósł, a yabree i palce tej dłoni zwróciły się w dół. Stalowe ostrza zadzwoniły, wibrując od płynącej z Richarda mocy.

Ostrza yabree wydawały wznoszący się dźwięk, aż rozwrzeszczała się noc. Dźwięk wywoływał ból, lecz Richard go nie uciszył. Sprawiał, by trwał i trwał. Merissa odwróciła się i zakryła uszy, chroniąc je przed dzwoniącym w powietrzu wyciem yabree.

Kopuła osłony drżała, rozjaśniając się wraz z narastaniem wibracji. Po jej powierzchni zaczęły się rozbiegać roziskrzony rysy, aż wreszcie pękła z ogłuszającym hukiem. Jej odłamki, gasnąc powoli, spadły niczym szklany deszcz na zbiornik. Yabree umilkł, noc znów ucichła.

Poniżej poruszyło się cielsko, otrząsnęło z wodorostów i szlamu. Skrzydła rozłożyły się i wypróbowały swoją siłę, a potem królowa, energicznie bijąc skrzydłami, wzbijała się w powietrze. Dotarła na skraj kopuły, jej szpony drapały kamień, szukając oparcia. Zwinęła częściowo dopiero co wypróbowane skrzydła i zaczęła się wspinać po kamiennej ścianie wieżyczki, na której stali Richard i Merissa. Pewnymi, powolnymi, bijącymi siłą ruchami podciągała połyskujące cielsko. Pazury czepiały się szczelin, pęknięć i załamania kamienia.

W końcu zatrzymała się i przyłgnęła do filaru obok Richarda jak salamandra wczepiona w śliski pień. W jasnym księżycowym blasku chłopak spostrzegł, że była równie czerwona jak suknia Merissy. Z początku wydawało mu się, że widzi czerwonego smoka, ale przyjrzał się uważniej i dostrzegł różnice.

Nogi i ramiona miała bardziej umięśnione niż smok. Pokrywały je mniejsze łuski, które bardziej przypominały łuski mriswithów. Wzdłuż kręgosłupa - od końca ogona do pęku kolców na tyle głowy - biegł sklepiony rząd płytek. Na szczycie głowy, u podstawy kilku długich giętkich kolców, widać było wzgórek zakończony warstwami pozbawionej łusek skóry, które niekiedy poruszały się przy wydechu.

Głowa królowej obracała się to tu, to tam. Rozglądała się, szukała czegoś.

Skrzydła rozwinęły się i zagarniały powoli powietrze nocy. Królowa czegoś chciała. - Czego szukasz? - zapytał Richard.

Obróciła głowę ku chłopakowi i owiała go oddechem o osobliwej woni. Dzięki temu lepiej zrozumiał jej pragnienie. Woń niosła znaczenie, które pojął. Mówiła: *Chcę dotrzeć do tego miejsca.*

Potem zwróciła głowę w noc za kolumnami. Odetchnęła, wydając długi, niski, wibrujący pomruk, od którego zadrzało powietrze. Richard widział, jak powietrze uchodzi przez fałdę na szczycie głowy. Te fałdy ciała poruszały się przy wydechu, wytwarzając dźwięk. Richard, z nozdrzami wypełnionymi mocną wonią, spojrział w noc przed wieżyczką.

Powietrze lśniło, rozjaśniało się i przed chłopakiem zaczął się pojawiać obraz. Królowa znów ryknęła i obraz jeszcze bardziej się rozjaśnił. Richard rozpoznał widok: to było Aydindril widziane przez niesamowitą, brunatnożółtą mgłę. Chłopak dostrzegł budowle miasta, Pałac Spowiedniczek i - kiedy znów wrzasnęła, rozjaśniając obraz unoszący się na tle nocnego nieba - piętrzącą się na stoku góry Wieżę Czarodzieja.

Królowa obróciła głowę ku Richardowi i ponownie tchnęła nań osobliwą wonią. Tym razem była jednak inna niż za pierwszym razem. Znaczenie też było inne: *Jak się mam tam dostać?*

Richard uśmiechnął się, zachwycony, że dzięki woni pojmuje, o co chodzi królowej. I dlatego, że potrafił jej pomóc. Chłopak wyciągnął ramię i strzelił zeń blask oświetlający sylfę.

- Ona cię zaniesie.

Królowa załopotana skrzydłami, zeskoczyła z kolumny i rozpostarła je szeroko, spływając ku sylfie. Richard pojął, że nie mogła dobrze latać. Skrzydła w jakiś sposób pomagały jej się poruszać, lecz na pewno nie zaniósłby jej aż do Aydindril. Potrzebowała pomocy, żeby się tam dostać. Sylfa obejmowała już zwijającą skrzydła królową. Wchłonęło ją żywe srebro i czerwona królowa zniknęła.

Richard stał i uśmiechał się, yabree śpiewał w jego dłoni, wibrował w kościach.

- Spotkamy się na dole, Richardzie - powiedziała Merissa. Chłopak poczuł, jak łapie go za koszulę na karku i mocą swojej Han zrzuca z wieżyczki. Instynktownie wyciągnął ręce i udało mu się chwycić krawędzi otworu w kopule. Wisiał na palcach, a jego stopy kołysały się nad

przynajmniej stustopową przepaścią. Yabree ze stukiem upadł na kamienie, daleko w dole. Ogarniętemu narastającą paniką chłopakowi wydawało się, że budzi się z koszmaru.

Pieśń ucichła. Umysł Richarda nagle się ocknął. Chłopak zadrżał, uświadomiwszy sobie zdradliwe zauroczenie i jego skutki. Merissa wychyliła się z wieżyczki, zobaczyła, że wisi nad przepaścią, i posłała ku niemu ognistą strzałę. Zdążył odchylić nogi i płomienie chybiły. Wiedział, że kobieta drugi raz nie popełni już tego samego błędu.

Rozpaczliwie szukał czegoś, czego mógłby się złapać. Palce znalazły pokryte rowkami żebro podporowe. Musiał uciec przed Merissą. Chwycił żebro i zsunął się pod kopułę w chwili, kiedy kolejna ognista strzała uderzyła w ciemną wodę, wyrzucając w powietrze bryzgi szlamu.

Richard zaczął się powoli zsuwać po żebrze, poganiany strachem nie tylko przed Merissą, ale i przed wysokością. Siostra Mroku pospieszyła ku schodom. Żebrowaty występ, w miarę jak zbliżał się do skraju kopuły, stawał się coraz bardziej stromy, w końcu - niemal pionowy.

Richard stękał z wysiłku, palce go bolały, a dodatkowo palił go wstyd. Jak mógł być tak głupi? Co sobie myślał? Nagle zrozumiał.

Peleryna mriswitha.

Przypomniawszy sobie biegnącą za nim Berdine, która wymachiwała pamiętnikiem Kolo i wrzeszczała, żeby zdjął pelerynę. Przypomniawszy sobie, że czytał w pamiętniku, iż nie tylko oni, ale ich wrogowie również tworzyli magiczne byty, które wprowadzały zmiany konieczne, by nadać ludziom pewne cechy: siłę i wytrwałość, moc skupienia wiązki światła w niszczący punkt, zdolność widzenia na wielkie odległości, nawet w nocy.

Peleryna mriswitha musiała być jednym z takich przedmiotów. Pozwalała czarodziejom stać się niewidzialnymi. Kolo wspominał, że wiele z owych magicznych wytworów przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Mogło być i tak, że to wróg stworzył mriswithy.

O dobre duchy, jakie znów kłopoty sprowadził? Co uczynił? Powinien zdjąć ową pelerynę. Berdine próbowała go ostrzec.

Trzecie prawo magii: uczucie rządzi rozumem. Tak gorąco pragnął dotrzeć do Kahlan, że nie posłużył się rozumem i nie posłuchał ostrzeżeń Berdine. Jak teraz powstrzyma Imperialny Ład? Jego szalony czyn tylko mu dopomógł.

Richard z wysiłkiem trzymał się niemal pionowego zebra. Jeszcze dziesięć stóp.

W drzwiach pojawiła się Merissa. Chłopak dojrzał zmierzającą ku niemu błyskawicę. Puścił zebro i zaczął spadać, żałując, że dzieje się to tak wolno. Błyskawica przeleciała tak blisko, że omal nie stracił głowy. Huk poraził jego uszy. Musiał się oddalić od tej kobiety. Musiał uciekać.

- Poznałam twoją przyszłą żonę, Richardzie. Chłopak zamarł w miejscu.

- Gdzie ona jest?

- Podejdź bliżej, to porozmawiamy. Opowiem ci, jak się będę radować jej wrzaskami.

- Gdzie ona jest?!

Śmiech Merissy odbił się echem pod kopułą.

- Tutaj, mój uczniu. W Tanimurze.

Rozwścieczony Richard posłał ku niej błyskawicę. Rozjaśniła komnatę, gnając ku miejscu, w którym ostatnio widział Siostrę Mroku. W powietrze strzeliły dymiące odłamki kamienia. Że też mi się to udało, pomyślał smętnie chłopak. Potrzeba.

- Dlaczego?! Dlaczego chcesz ją skrzywdzić?!

- Ależ Richardzie, to wcale nie ją chcę skrzywdzić. Chcę skrzywdzić ciebie. Jej ból sprowadzi na ciebie cierpienie. To takie proste. Ona jest tylko drogą do twojej krwi.

- Dlaczego chcesz mojej krwi? - spytał chłopak, przyglądając się przejściom.

Zadał pytanie, po czym natychmiast się pochylił i ruszył ku jednemu z korytarzy.

- Bo wszystko zniszczyłeś. Ponownie zamknąłeś mojego Pana w zaświatach. A miałam otrzymać nagrodę. Miałam zostać nieśmiertelna. Wykonałam swoje zadanie, lecz ty to zniszczyłeś.

Zygzakowata czarna błyskawica wycięła puste miejsce w ścianie tuż obok Richarda. Merissa korzystała z magii subtraktywnej. Była czarodziejką dysponującą niewyobrażalną mocą i wiedziała, gdzie jest chłopak. Potrafiła go wyczuć. Dlaczegoż więc chybiała?

- Co gorsza - powiedziała, dotykając smukłym palcem złotego kółka osadzonego w dolnej wardze - przez ciebie muszę służyć tej świni Jagangowi. Nie masz pojęcia, co on mi robi. Nie masz pojęcia, co nakazuje

mi czynić. A to wszystko przez ciebie! Przez ciebie, Richardzie Rahlu! Ale zapłacisz mi za to. Przysięgam, że wykąpię się w twojej krwi i zrobię to.

- A co z Jagangiem? Rozgniewa się, jeśli mnie zabijesz.

Za plecami Richarda buchnął ogień i przegnał go do innej kolumny.

- Wprost przeciwnie. Teraz, kiedy zrobiłeś, czego od ciebie wymagano, nie jesteś już potrzebny Nawiedzającemu Sny. W nagrodę pozwolił mi uczynić z tobą, co zechcę, ja zaś mam kilka gorących życzeń.

Chłopak uświadomił sobie, że w ten sposób od niej nie ucieknie. Może się ukryć za ścianą, ale Merissa i tak wyczuje go za pomocą swojej Han.

Znów pomyślał o Berdine. Chwycił pelerynę mriswitha, żeby ją z siebie zedrzeć, i zawahał się. Jeśli otuli się magią peleryny, Merissa nie zobaczy go swoją Han. Lecz to magia peleryny stworzyła mriswithy.

Kahlan była więziona. Merissa powiedziała, że ból Kahlan sprowadzi nań cierpienie. Nie może pozwolić, by skrzywdzili jego ukochaną. Nie ma wyboru.

Richard otulił się peleryną i zniknął.

ROZDZIAŁ 48

- To ostatnie z nich, jak obiecałam.

Verna patrzyła w oczy kobiety, którą znała od stu pięćdziesięciu lat. W sercu miała rozpacz. Nie dość dobrze ją znała. Wiele z nich nie dość dobrze znała.

- Czego chce Jagang od Pałacu Proroków?

- Od zwykłych ludzi różni się jedynie zdolnością nawiedzania snów. - Leomie drżał głos, lecz nie umilkła. - Żeby spełnić swoje pragnienia, posługuje się innymi, zwłaszcza tymi, którzy mają dar. Zamierza wykorzystać naszą wiedzę, aby znaleźć te odgałęzienia prorocत्व, które przyniosą mu zwycięstwo, a potem zadbać, aby zaszły wydarzenia, które skierują świat w owe odgałęzienia. To nadzwyczaj cierpliwy człowiek. Na podbicie Starego Świata poświęcił dwadzieścia lat, a przez cały ten czas doskonalił swoje umiejętności, sondował umysły innych i zbierał potrzebne mu informacje. Nie tylko chce skorzystać ze znajdujących się w podziemiach przepowiedni, ale pragnie też zamieszkać w Pałacu Proroków. Wie o czarze i dlatego umieścił tu swoich żołnierzy. Chciał się upewnić, że czar działa również na tych, którzy nie mają daru, i że nie powoduje żadnych skutków ubocznych. Planuje tu mieszkać i kierować stąd podbojem reszty świata, wspomagając się w tym prorocत्वami, które przechowujemy w pałacowych podziemiach. A kiedy podbije już wszystkie krainy, będzie panował nad światem przez setki lat, radując się swoimi łupami. Uważa, że jeszcze nikt nie marzył o czymś tak wspaniałym, a tym bardziej niczego takiego nie dokonał. Władca stanie się niemal nieśmiertelny.

- Co jeszcze możesz mi powiedzieć? Leoma złożyła dłonie.

- Nic. Powiedziałam ci już wszystko. Puścisz mnie, Verno?

- Ucałuj swój serdeczny palec i błagaj Stwórcę o przebaczenie. - Co?

- Wyrzeknij się Opiekuna. W tym twoja jedyna nadzieja, Leomo.

Leoma potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego uczynić, Verno. Nie uczynię tego.

Verna nie miała czasu do stracenia. Bez dalszych dyskusji dotknęła swojej Han. Z oczu Leomy trysnęło światło i Siostra padła martwa na podłogę.

Verna poszła cicho na koniec pustego korytarza do izdebki Siostry Simony. Złamała osłonę, pełna radości, że znów może do woli korzystać ze swojej Han. Zapukała delikatnie, by nie wystraszyć Simony, i otworzyła drzwi. Usłyszała, jak Siostra Światła pospiesznie chowa się w najdalszy kąt.

- Simono, to ja, Verna. Nie bój się.

- On się zbliża! On się zbliża! - wrzasnęła rozdzierająco Simona. Verna zapaliła nad dłonią niewielki płomyk Han.

- Wiem. Nie jesteś szalona, Siostrzo Simono. On istotnie nadchodzi.

- Musimy uciekać! Musimy się stąd wydostać! - łkała Simona. - Proszę, uciekajmy, zanim on się tu zjawi. Przychodzi do mnie w snach i szydzi ze mnie. Tak się boję. - Zaczęła całować swój serdeczny palec.

Verna przytuliła roztrzęsioną kobietę.

- Posłuchaj mnie uważnie, Simono. Mogę cię ochronić przed Nawiedzającym Sny. Będiesz bezpieczna. Uciekniemy.

Simona uspokoiła się i spojrzała na Verne.

- Wierzysz mi?

- Tak. Wiem, że mówisz prawdę. Ale i ty musisz mi uwierzyć, kiedy powiem, że znam magię, która ochroni cię przed Nawiedzającym Sny.

Simona otarła łzy z brudnego policzka.

- Czy to naprawdę możliwe? Jak można tego dokonać?

- Pamiętasz Richarda? Tego młodziana, którego przyprowadziłam?

Simona skinęła głową z uśmiechem, tuląc się do Verny.

- A któż mógłby zapomnieć Richarda? Sam urok i zarazem same kłopoty.

- No to posłuchaj. Oprócz daru Richard ma magiczną zdolność, którą odziedziczył po przodkach walczących z żyjącymi przed wiekami Nawiedzającymi Sny Ta magia chroni przed nimi również jego. I ochroni każdego, kto przysięgnie mu wierność, kto będzie wobec niego lojalny. Po to właśnie rzucono na początku ów czar. Rzucono go, by pokonać Nawiedzających Sny.

- To niemożliwe. - Simona otworzyła szeroko oczy. - Zwykła lojalność i magiczne właściwości.

- Leoma trzymała mnie w izdebce w głębi korytarza. Założyła mi obrożę na szyję i poddawała próbom bólu, by złamać moją wolę i zmusić mnie do wyparcia się Richarda. Mówiła, że Nawiedzający Sny chce mnie odwiedzić we śnie, jak odwiedza ciebie, lecz moja wierność Richardowi chroni mnie

przed tym. To naprawdę działa, Simono. Nie mam pojęcia jak, ale działa. Ratuje mnie przed Nawiedzającym Sny. I ciebie także uratuje.

Siostra Simona odgarnęła z twarzy kosmyki siwych włosów.

- Nie jestem szalona, Verno. Chcę się pozbyć tej obroży. Chcę uciec przed Nawiedzającym Sny. Co mam zrobić?

Verna mocniej przytuliła Simone.

- Pomożesz nam? Pomożesz w ucieczce pozostałych Sióstr Światła?

Simona dotknęła spękanyimi wargami swojego serdecznego palca.

- Przysięgam na Stwórcę.

- A więc przysięgnij również Richardowi. Musisz być z nim związana.

Simona odsunęła się od Verny, uklękła i dotknęła czołem podłogi.

- Przysięgam wierność Richardowi. Przysięgam na swoje życie i na nadzieję połączenia się ze Stwórcą na tamtym świecie.

Verna pomogła Simonie usiąść. Położyła dłonie na Rada'Han i pozwoliła, żeby jej Han wpłynęła w obrożę, złączyła się z nią. Izbę wypełniło brzęczenie. Obroża trzasnęła i odpadła.

Simona krzyknęła radośnie i uściskała Verne, a ta odwzajemniła jej uścisk. Dobrze знаła radość płynąca z pozbycia się Rada'Han. - Musimy ruszać, Simono. Czeka nas mnóstwo pracy, a mamy mało czasu. Potrzebna mi twoja pomoc.

- Jestem gotowa. - Simona otarła łzy. - Dziękuję, Ksieni.

Kiedy dotarły do drzwi z rygłem chronionym przez zagmatwaną sieć, połączyły swoje Han. Ową sieć utkały trzy Siostry, więc mimo iż Verna miała moc równą ich mocy, i tak trudno byłoby jej samodzielnie ją rozplatać. Dzięki Simonie poszło to całkiem łatwo.

Dwaj strażnicy za drzwiami drgnęli ze zdumienia, gdy zobaczyli brudne więźniarki. Opuścili piki. Verna rozpoznała jednego z żołnierzy.

- Przecież mnie znasz, Walsh. Unieś tę pikę.

- Wiem, że udowodniono, iż jesteś Siostrą Mroku.

- A ja wiem, że w to nie wierzysz. Grot był tuż przy jej twarzy.

- A niby czemu tak myślisz?

- Bo gdyby to była prawda, to już bym cię zabiła, żeby móc uciec.

Milczał chwilę i zastanawiał się.

- Mów dalej.

- Mamy wojnę. Imperator chce zawładnąć całym światem. Posługuje się

prawdziwymi Siostrami Mroku, takimi jak Leoma i nowa Ksieni, Ulicia. Znasz je i znasz mnie. Komu wierzysz?

- Hmm... sam nie wiem.

- No to pozwól, że wyłożę to jaśniej. Pamiętasz Richarda? - Jasne. To mój przyjaciel.

- Richard walczy z Imperialnym Ładem. Przyszedł czas, żebyś opowiedział się po którejś ze stron. Teraz, natychmiast. Richard czy Imperialny Ład?

Walsh zacisnął usta i namyślał się. W końcu uderzył drzewcem piki o podłogę.

- Richard.

Drugi strażnik spoglądał to na Verne, to na Walsha. Nagle pchnął piką i krzyknął:

- Imperialny Ład!

Lecz Verna już dotykała swojej Han. Nim ostrze jej dotknęło, żołnierz poleciał do tyłu z taką siłą, że gdy uderzył o ścianę, pękła mu czaszka. Martwy osunął się na podłogę.

- Coś mi się zdaje, że dobrze wybrałem - powiedział Walsh.

- Istotnie. Musimy zebrać prawdziwe Siostry Światła oraz lojalnych młodych czarodziejów i natychmiast ich stąd wyprowadzić. Nie ma chwili do stracenia.

- Idziemy - stwierdził Walsh, wskazując piką drogę.

Na zewnątrz zobaczyli szczupłą postać, siedzącą na ławce w tę ciepłą noc. Kiedy ich rozpoznała, skoczyła na równe nogi.

- Ksieni! - szepnęła ze łzami radości.

Verna tak mocno uściskała Millie, że starsza kobieta zaczęła się domagać, by ją puścić.

- O Ksieni, wybacz mi te straszne rzeczy, które wygadywałam. Przysięgam, że nie wierzyłam w ani jedno swoje słowo.

Bliska płaczu Verna znów ją uściskała i mnóstwo razy pocałowała w czoło.

- Dziękuję, Millie, dziękuję. Jesteś najwspanialszym dziełem Stwórcy. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś, co zrobiłaś dla Sióstr Światła. Musimy uciekać, Millie. Imperator chce zająć pałac. Pójdziesz z nami, żebyś była bezpieczna?

- Ja? - Millie wzruszyła ramionami. - Ja, stara baba? Uciekać przed bezlitosnymi Siostrami Mroku i magicznymi potworami?

- Tak. Pójdiesz z nami? Proszę.

Millie uśmiechnęła się w księżycowej poświacie.

- To zapowiada lepszą zabawę niż szorowanie podłogi i opróżnianie nocników.

- No to w porządku. A teraz słuchajcie. My...

Zza rogu budynku wyłoniła się wysoka postać. Szła ku nim, więc wszyscy umilkli i znieruchomieli.

- Wygląda na to, Verno, że udało ci się wyjść. Sądziłam, że tego dokonasz. - Podeszła bliżej i zobaczyli ją: była to Siostra Philippa, druga doradczyni Verny. Ucałowała swój serdeczny palec i rozciągnęła w uśmiechu wąskie usta. - Dziękuję ci, Stwórco. Witaj, Ksieni.

- Tej nocy, zanim zjawi się Jagang, musimy zabrać stąd Siostry Światła, Philippo. W przeciwnym wypadku pojmie nas i wykorzysta do swoich celów.

- Co mamy robić, Ksieni? - spytała Siostra Philippa.

- Posłuchajcie wszyscy uważnie. Musimy się pospieszyć i zarazem być nad wyraz ostrożni. Jeśli nas złapią, to wszystkim założą obroże.

Richarda zmęczył bieg z lasów Hagen, więc trochę zwolnił, żeby złapać oddech. Widział Siostry kręcące się na terenach pałacu, one jednak go nie dostrzegły. Nie mógł przeszukiwać całego Pałacu Proroków, nawet otulony w pelerynę mriswitha, bo zajęłoby to całe dni. Musiał się dowiedzieć, gdzie trzymają Kahlan, Zedda i Gratcha, uwolnić ich i wrócić do Aydindril. Zedd będzie wiedział, co robić.

Czarodziej najpewniej straszliwie zrugą go za głupotę, ale Richard sobie na to zasłużył. Żołądek ścisnął mu się na myśl o kłopotach, jakie spowodował. Nie mógł być nawet pewny, że sam nie zginie przez swoje szaleńcze działania. No a życie ilu ludzi naraził na niebezpieczeństwo?

Kahlan najprawdopodobniej też będzie na niego wściekła. W końcu dlaczego nie miałyby być?

Richard zadrżał na myśl o tym, po co mriswithy udały się do Aydindril. Zaczął się bać o pozostawionych w mieście przyjaciół. Może chcą tylko założyć tam nową kolonię, taką jak ta w lasach Hagen, i będą się trzymać z dala od mieszkańców. Wewnętrzny głos Richarda wyśmiał to pobożne życzenie. Musi tam wrócić.

Przestań myśleć o problemie, napomniał się chłopak. Myśl o rozwiązaniu.

Najpierw powinien uwolnić stąd przyjaciół, a potem będzie się martwił o resztę.

Zadziwiające, że Kahlan, Zedda i Gratcha trzymano w pałacu, ale Richard nie wątpił w słowa Merissy. Siostra była pewna, że go dopadła, i nie miała powodu kłamać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Siostry Mroku miałyby ukrywać swoich więźniów w tak dla nich niebezpiecznym miejscu.

Chłopak się zatrzymał. Niewielka grupka szła przez zalany księżycową poświatą trawnik. Nie widział, kto *to*, i już miał podejść i sprawdzić, lecz uznał, że pierwsza myśl była najlepsza. Powinien zobaczyć się z Ann. Ksieni będzie potrafiła mu pomóc. Poza Ksienią Annaliną i Siostrą Verną nie znał żadnej innej Siostry, której mógłby zaufać. Zaczekał, aż ta grupka zniknie w zadaszonym przejściu, i dopiero wtedy poszedł dalej.

Kiedy przed miesiącami opuszczał Pałac Proroków, zdawał sobie sprawę, że wśród tutejszych czarodziejek wciąż są Siostry Mroku. Z pewnością one właśnie ukryły Kahlan, lecz chłopak nie wiedział, które to. Mógłby poszukać Verny, ale nie miał pojęcia, gdzie *może* teraz być. Wiedział za to, gdzie znaleźć Ksienię - i od niej zacznie. Chciał odnaleźć Ksienię i swoich przyjaciół. Jeżeli będzie musiał, to rozbierze Pałac Proroków kamień po kamieniu. Przypomniawszy sobie jednak, by nie pogwałcić znów trzeciego prawa magii, tak więc postanowił, że przynajmniej tym razem będzie się kierować rozumem, nie zaś uczuciami.

Lecz, o dobre duchy, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie? Przed zewnętrzną bramą prowadzącą do sektora Ksieni stał na warcie Kevin Andellmere. Richard znał strażnika i był prawie pewny, że może mu ufać. Tb było jednak trochę za mało, zatem chłopak, otulony peleryną mriswitha, przemknął obok Kevina. Z oddali dobiegał ochryply śmiech nadchodzących ścieżką mężczyzn, ale byli jeszcze dość daleko.

Richard znał poprzednie administratorki Annaliny. Jedna z nich zginęła, kiedy druga, Siostra Ulicia, zaatakowała Ksienię. Po tej napaści Siostra Ulicia wraz z pięcioma Siostrami Mroku uciekła na pokładzie *Lady Sefa*. Teraz biurka przed gabinetem Ksieni były puste.

Nikogo nie było ani w korytarzu, ani w zewnętrznym gabinecie. Drzwi do gabinetu Ksieni stały otworem, więc Richard przestał się koncentrować i

rozchylił pelerynę. Chciał, żeby Ann go rozpoznała.

Przez dwuskrzydłowe drzwi w głębi pomieszczenia wpadało tyle księżycowej poświaty, że Richard ją zobaczył. Siedziała przy stole. Głowę miała schyloną. Pewno drzemała.

- Ksieni - powiedział cicho, by jej nie wystraszyć, budząc tak nagle. Poruszyła się, odrobinę uniosła głowę i podniosła dłoń. - Muszę z tobą porozmawiać, Ksieni. To ja, Richard. Richard Rahl.

Nad wnętrzem jej dłoni zapłonął blask. Uśmiechnęła się do chłopaka. To była Siostra Ulicia.

- Przyszedłeś porozmawiać, tak? To ciekawe. I miłe. Złośliwy uśmiech rozszerzył się, a Richard cofnął się o krok i sięgnął do głowni miecza.

Nie miał miecza.

Usłyszał, jak za nim zatraskują się drzwi.

Obrócił się i zobaczył swoje cztery nauczycielki. Siostry Tovi, Cecilia, Armina i Merissa szły ku niemu. Spostrzegł, że każda miała pierścień w dolnej wardze. Brakowało jedynie Nicei. Wszystkie uśmiechały się jak głodne dzieciaki, które po trzydniowym poście wpatrywały się w obiecane im słodycze.

Richard poczuł, jak budzi się w nim przemożna chęć działania.

- Lepiej nas wysłuchaj, Richardzie, zanim uczynisz coś szalonego, bo zginiesz na miejscu.

Chłopak powstrzymał się i spojrzał na Merisę.

- Jak zdołałaś mnie wyprzedzić?

Zapytana uniosła brew nad czarnym, wrogim okiem.

- Wróciłam konno.

- To wszystko było zaplanowane, prawda? - spytał ją. - Zrobiłyście to, żeby mnie złapać w pułapkę.

- O tak, mój chłopcze, a ty wspaniale odegrałeś swoją rolę. Mówiąc do Ulicii, Richard wskazał za siebie, na Merisę.

- Skąd wiedziałaś, że się nie zabiję, gdy ona zrzuci mnie z wieżyczki?

Ulicia przestała się uśmiechać i łypnęła gniewnie na Merisę. Chłopak zorientował się, że tamta zrobiła to na własną rękę. Ulicia znów patrzyła na Richarda.

- Najważniejsze, że tu jesteś. A teraz uspokój się albo komuś stanie się krzywda. Może i urodziłeś się z podwójnym darem, lecz my również

posługujemy się obiema magiami. Nawet jeśli uda ci się zabić jedną czy dwie z nas, to i tak nie rozprawisz się z wszystkimi, a wówczas Kahlan umrze.

- Kahlan... - Richard spojrzał gniewnie na Ulicię. - Słucham. Ulicia splotła dłonie.

- Masz problem, Richardzie. Tak się jednak szczęśliwie dla ciebie złożyło, że my również go mamy.

- Jaki problem?

- Jagang - odparła. Oczy miała twarde, groźne.

Tamte obeszły stół i stanęły obok Ulicii. Żadna się już nie uśmiechała. Na wspomnienie Jaganga w ich oczach, nawet w oczach łagodnych Tovi i Cecilii, zapłonęła taka nienawiść, że jednym spojrzeniem mogłyby stopić kamień.

- Widzisz, Richardzie, już prawie czas iść do łóżka.

- Co? - Richard zmarszczył brwi.

- Ciebie imperator Jagang nie odwiedza w snach. Nas tak. I staje się dla nas problemem.

Chłopak wyczuł, jak bardzo kontrolowała głos. Ta kobieta pragnęła czegoś ponad życie.

- Problemy z Nawiedzającym Sny, Ulicio? No cóż, ja takich nie mam. Śpię jak dziecko.

Richard zwykle wiedział, kiedy osoby z darem dotykają swojej Han. Wyczuwał to lub rozpoznawał po wyrazie oczu. Wokół tych kobiet powietrze wprost iskrzyło. Ich oczy ujawniały energię, która wystarczyłaby do zrównania góry. Lecz to najwyraźniej nie wystarczało. Nawiedzający Sny musiał być straszliwym przeciwnikiem.

- No dobrze, Ulicio, do rzeczy. Ja chcę Kahlan, ty również czegoś chcesz. Czego konkretnie?

Ulicia dotknęła tkwiącego w dolnej wardze złotego pierścienia i odwróciła wzrok od chłopaka.

- Należy załatwić tę sprawę, nim pójdziemy spać. Dopiero co powiedziałam Siostrze o moim planie. Nie mogłyśmy znaleźć Nicei, żeby i ją wto włączyć. Jeśli pójdziemy spać przed załatwieniem tej sprawy i któraś z nas będzie o tym śnić...

- Załatwieniem? Chcę Kahlan. Powiedz, czego ty chcesz.

Ulicia chrząknęła.

- Chcemy ci przysiąc wierność.

Richard wlepił w nią oczy Wcale nie był pewny, czy aby naprawdę usłyszał to, co - jak mu zdawało - usłyszał.

- Jesteście Siostrami Mroku. Znacnie mnie i pragniecie mnie zabić. Jak możecie złamać przysięgę, którą złożyłyście Opiekunowi?

Ulicia spojrzała nań wzrokiem twardym jak stal.

- Nie powiedziałam, że chcemy ją złamać. Powiedziałam, że chcemy ci przysiąc wierność na tym świecie, świecie żywych. Wcale nie uważam, że obie te przysięgi się wykluczają.

- Nie uważasz, że się wykluczają! Może odjęło ci i rozum!

- Chcesz umrzeć? - Spojrzała nań złowieszczo. - Chcesz, żeby Kahlan umarła?

Richard z ogromnym wysiłkiem uspokoił rozszalałe myśli. - Nie.

- No to milcz i słuchaj. Mamy coś, czego ty chcesz. Ty zaś masz coś, czego my chcemy. Każde z nas stawia pewne warunki. Ty, na przykład, chcesz odzyskać Kahlan, ale całą i zdrową. Mam rację?

Chłopak odwzajemnił złowieszcze spojrzenie. - Wiesz, że tak. Ale dlaczego sądzisz, że zawrę z tobą pakt? Próbowalaś zabić Ksienię Annalinę.

- Nie tylko próbowałam, ale i zabiłam. Richard zamknął oczy i jęknął z rozpacz. - Przyznajesz, że ją zamordowałaś, a potem oczekujesz, że uwierzyłbym...

- Moja cierpliwość dobiega kresu, młodzieńcze, a twojej przyszłej żonie kończy się czas. Jeśli jej nie odzyskasz, nim zjawi się tu Jagang, to zapewniam cię, że już nigdy jej nie zobaczysz. Nie masz czasu na szukanie. Richard przełknął ślinę.

- W porządku. Słucham.

- Ponownie zaryglowałaś przed Opiekunem drzwi prowadzące do tego świata. Pokrzyżowałaś nam plany. Czyniąc to, zmniejszyłaś władzę Opiekuna na tym świecie i przywróciłaś równowagę między nim a Stwórcą. I w tym stworzonym przez ciebie stanie równowagi Jagang wykonał swój ruch. Chce zagarnąć świat, przywłaszczyć go sobie. Może nas nawiedzać, a my jesteśmy jego więźniarkami bez względu na dzielącą nas odcień odległość. Pokazał nam, jakim niemiłym władcą potrafi być. Możemy się przed nim uchronić tylko w jeden sposób.

- Chodzi ci o więź ze mną.

- Tak. Jeśli teraz postąpimy zgodnie z instrukcjami Jaganga, nadal

będziemy na jego łasce i niełasce. Jest... niemiły, ale przynajmniej żyjemy. Chcemy zachować życie. Jeśli przysięgniemy ci wierność, pokonamy władzę, jaką imperator ma nad nami, i uciekniemy.

- Chodzi ci o to, że chcecie go zabić. Ulicia potrząsnęła głową.

- Już nigdy nie chcemy oglądać jego twarzy. Nie dbamy o to, co robi, po prostu chcemy się wyrwać z jego łap. Powiem ci całą prawdę. Ponownie zajmiemy się ustanawianiem dominacji naszego Pana, Opiekuna, na tym świecie. Jeśli się nam powiedzie, otrzymamy nagrodę. Nie wiem, czy zdołamy osiągnąć ów sukces, lecz tu musisz zaryzykować.

- Co masz na myśli, mówiąc, że muszę zaryzykować? Jeśli zwiążecie się ze mną, będziecie musiały działać zgodnie z moimi celami: walczyć z Opiekunem i Imperialnym Ładem.

Usta Ulicii rozciągnęły się w przebiegłym uśmiechu.

- Nie, mój chłopcze. Bardzo dokładnie to przemyślałam. Oto moja propozycja: my przysięgamy ci wierność, a ty pytasz nas, gdzie jest Kahlan, i my ci to mówimy. W zamian już niczego od nas nie chcesz i zgadzasz się, byśmy natychmiast stąd odeszły. Nigdy nas nie zobaczysz ani my ciebie.

- A jednak pracując nad uwolnieniem Opiekuna, będziecie działać przeciwko mnie i pogwałcicie więź. To się nie uda!

- Patrzysz na to ze swojego punktu widzenia. Ochrona, którą zapewnia więź, działa dzięki przekonaniu złączonych z tobą osób. Dzięki temu, że czynią to, co według nich wypływa z ich lojalności wobec ciebie. Chcesz zdobyć świat. Sądzisz, że czynisz to dla dobra żyjących na nim ludzi. Czy wszyscy ludzie, których usiłowałeś przeciągnąć na swoją stronę, uwierzyli ci i zostali przy tobie? A może niektórzy spojrzeli inaczej na twoją propozycję, uznali ją za nadużycie i uciekli ze strachu przed tobą? Richard przypomniał sobie ludzi opuszczających Aydindril.

- Częściowo to rozumiem, ale...

- My nie postrzegamy lojalności poprzez twoje moralne zasady. Oceniamy ją według naszego sposobu myślenia. My, Siostry Mroku, uważamy, że dopóki nie uczynimy czegoś, co cię bezpośrednio skrzywdzi, dopóty pozostaniemy wobec ciebie lojalne. Jest tak, ponieważ to, że nie czynimy ci krzywdy, oznacza działalność na twoją korzyść.

Chłopak wsparł się pięściami o stół i nachylił ku niej.

- Chcecie uwolnić Opiekuna. To mnie skrzywdzi.

- Tb zależy od punktu widzenia, Richardzie. Tak samo jak ty chcemy władzy, choć ty ubierasz swoje ambicje w zasady moralne. Nasze wysiłki nie są skierowane przeciwko tobie. Jeśli osiągniemy sukces w naszej działalności na rzecz Opiekuna, to każdy łącznie z Jagangiem dostanie się pod jego władzę. Wtedy nie będzie miało najmniejszego znaczenia, że utracimy ochronę, jaką daje więź z tobą. Może to nie zgadza się z twoimi zasadami, ale zgadza się z naszymi, więc więź zadziała. A kto wie, może jakimś cudem wygrasz wojnę z Imperialnym Ładem i zabijesz Jaganga. Wówczas więź nie będzie nam potrzebna. Będziemy cierpliwie czekać na to, co się stanie. Tylko nie bądź na tyle głupi, żeby wracać do Aydindril. Jagang właśnie je odbija i nie zdołasz go powstrzymać.

Richard wyprostował się i patrzył na nią przymrużonymi oczami. Próbował to wszystko przemyśleć. - Ale... uwolnię cię, żebyś mogła pracować na rzecz zła.

- Zła według twoich zasad. Tak naprawdę, pozwolisz nam spróbować, a to wcale nie znaczy, że nam się powiedzie. Dzięki temu jednak odzyskasz Kahlan i szansę powstrzymania Imperialnego Ładu oraz przeszkadzania nam w naszych wysiłkach. Przeszkodziłeś nam już w przeszłości. Każde z nas zyskuje coś ważnego. My naszą wolność, ty - wolność Kahlan. Uważam, że to uczciwa wymiana.

Chłopak stał bez słowa i rozważał tę szaloną propozycję. Był aż tak zdesperowany.

- A więc pokłonicie się i przysięgniecie mi wierność, powiecie, gdzie jest Kahlan, a potem uciekniecie. Jaką mam pewność, że naprawdę zdradzicie mi, gdzie jest Kahlan?

Ulicia przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się chytrze.

- To proste. My przysięgamy, a ty pytasz. Jeśli skłamiemy, więź zostanie zerwana i znów wpadniemy w łapy Jaganga.

- A jeśli to ja złamię moją część paktu i kiedy dowiem się, gdzie jest Kahlan, zadam wam inne pytanie? Będziecie musiały odpowiedzieć i na nie, żeby nie zerwać więzi i nie stracić ochrony.

- Właśnie dlatego stawiamy warunek. Zadasz nam tylko jedno pytanie. Zapytasz tylko o to, gdzie jest Kahlan. Jeśli go złamiesz, to cię zabijemy. Podobnie jak wtedy, kiedy nam odmówisz. Nie będziemy wówczas w gorszym położeniu, niż jesteśmy teraz. Ty umrzesz, natomiast Jagang

dostanie Kahlan i zrobi z nią, co zechce, a zapewniam cię, że zechce wiele. Ma nad wyraz perwersyjne gusty. - Spojrzała na stojącą obok niej młodą kobietę. - Spytaj Merisę.

Richard też zerknął na Merisę i zobaczył, jak krew odpływa jej z twarzy. Obciągnęła w dół suknię, ukazując górę piersi. Chłopak poczuł, że i on blednie. Odwrócił oczy.

- Zgodził się jedynie na uleczenie mojej twarzy. Rozkazał, żeby reszta została dla... dla jego rozrywki. To najłagodniejsze z tego, co mi zrobił. Najłagodniejsze - powiedziała lodowatym tonem Merissa. - A wszystko przez ciebie, Richardzie Rahlu.

Richard ujrzał Kahlan z pierścieniem Jaganga w wardze i z owymi strasznymi znakami na ciele. Ugięły się pod nim kolana. Zagryzł dolną wargę i spojrzał na Ulicę.

- Nie jesteś Ksienią. Oddaj mi jej pierścień.

Bez wahania zsunęła pierścień z palca i podała go chłopakowi.

- Chcecie przysiąc mi wierność. Mam spytać, gdzie jest Kahlan, wy zaś powiecie mi prawdę, a potem znikniecie?

- Tak brzmi nasza propozycja. Richard westchnął ciężko.

- Interes ubity.

Richard zatrzasnął za sobą drzwi, a Ulicia westchnęła z poczuciem odzyskanej wolności. Chłopak się spieszył. Nic jej to nie obchodziło: dostała to, czego chciała. Nareszcie zaśnie bez strachu, że we śnie, który nie będzie snem, nawiedzi ją Jagang.

Życie pięciu Sióstr za jedno. Ubiła dobry interes.

I nawet nie potrzebowała mu wszystkiego mówić. Choć i tak musiała zdradzić więcej, niż chciała. No nic, to i tak dobry układ.

- Dokonałaś niemożliwego, Siostrze Ulicio - powiedziała Cecilia głosem, który od miesięcy nie brzmiał tak pewnie. - Wyzwoliłaś nas spod władzy Jaganga. Siostry Mroku są wolne i to za bezcen.

Ulicia zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie byłabym wcale tego taka pewna. Właśnie ruszyliśmy nie oznaczonym szlakiem prowadzącym przez dziewiczą ziemię leżącą w nieznaną krainę. Za to na razie jesteśmy wolne. Nie możemy zmarnować tej szansy. Powinniśmy natychmiast stąd odejść.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Ulicia spojrzała w tamtym kierunku.

Do gabinetu wtoczył się uśmiechnięty kapitan Blake. Za nim weszło dwóch szczerzących zęby marynarzy. Jeden z nich złapał po drodze Arminę. Nie odtrąciła jego rąk.

Kapitan Blake zatrzymał się przed Ulicią. Wsparł dłonie o stół i nachylił się. Uśmiechał się lubieżnie, a ona czuła jego zionący alkoholem oddech.

- No, no, no, paniusiu. Znowu się spotykamy.

- Istotnie. - Ulicia nie zdradziła żadnych uczuć.

Głodny wzrok Blake'a mierzył tak nisko, że kapitan nie widział jej oczu.

- *Lady Sefa* właśnie zawinęła do portu i my, samotni żeglarze, uznaliśmy, że na noc nam przyda się towarzystwo. Chłopaki tak miło wspominają zabawy z paniusiami, że chętnie by je powtórzyli.

- Mam nadzieję, że zamierzacie być delikatniejsi niż ostatnim razem - powiedziała nieśmiało.

- Tak po prawdzie, paniusiu, to chłopaki myślą, że ostatnim razem wcale się na całego nie zabawili. - Pochylił się jeszcze bardziej, wyciągnął prawą rękę, chwycił Ulicę za pierś i szarpnął ją ku sobie. Uśmiechnął się, usłyszawszy jej krzyk. - A teraz, zanim się wkurzę, zabierajcie się z nami, dziwki, na *Lady Sefa*. Tam sobie użyjemy.

Ulicia uniosła pięść i wbiła nóż w lewą dłoń kapitana, przyszpilając ją do stołu. Palcem drugiej dłoni dotknęła pierścienia w dolnej wardze, a ten zniknął za sprawą magii subtraktywnej.

- O tak, kapitanie Blake, chodźmy wszyscy na *Lady Sefa* na bardzo intymne spotkanie z tobą i z twoją załogą.

Pięścią Han odrzuciła go do tyłu. Wbity w stół nóż rozciął na dwie części dłoń kapitana, a powietrzny knebel zatkał mu otwarte do krzyku usta.

ROZDZIAŁ 49

- Coś się tam dzieje - wyszeptała Adie. - Tb muszą być oni. - Wbiła w Kahlan białe oczy. - Na pewno chcesz to zrobić? Ja chcę, ale...

- Musimy - odparła Kahlan, upewniając się, że ogień dobrze się pali. - Musimy uciec. Jeśli nie zdołamy uciec i zabiją nas, to Richarda nie będzie kusiło, żeby tu przyjść i wpaść w ich pułapkę. Zostanie tam, gdzie jest, i przy pomocy Zedda będzie chronił ludy Midlandów.

Adie potaknęła.

- No to spróbujmy - westchnęła. - Wiem, że na pewno to robi, ale nie mam pojęcia dlaczego.

Adie powiedziała Kahlan, że Lunetta czyni coś bardzo szczególnego: bez przerwy dotyka swojej Han. Jest to coś tak wyjątkowego, tłumaczyła kościana babka, że wymaga użycia przepojonego magią talizmanu. W wypadku Lunetty owym talizmanem mogła być tylko jedna rzecz.

- Tak jak powiedziałaś, Adie, nie robiłaby czegoś takiego - chociaż nie znasz powodu - gdyby *to* nie było ogromnie ważne.

Kahlan położyła palec na ustach, ponieważ usłyszała skrzypnięcie podłogi na korytarzu. Kościana babka pospiesznie zdmuchnęła świecę, aż zakolysały się jej szpakowate, sięgające tuż za ucho włosy, i stanęła z boku, przy drzwiach. Ogień w dalszym ciągu oświetlał komnatę, lecz tańczące cienie tylko im pomogą.

Drzwi się otworzyły, a stojąca po drugiej ich stronie Kahlan zaczerpnęła głęboko powietrza, zbierając całą odwagę. Miała nadzieję, że tamci usuną osłonę, bo w przeciwnym razie tylko bez powodu narobiłyby sobie kłopotów.

Do komnaty weszły dwie osoby. To byli oni.

- Co tu robicie, wy brudne złodziejaszki?! - wrzasnęła Kahlan. Brogan, a za nim Lunetta obrócili się ku dziewczynie. Plunęła żołnierzowi w oczy.

Poczerwieniał i spróbował ją złapać. Kahlan kopnęła go w krocze. Krzyknął, więc Lunetta wyciągnęła doń ręce. Stojąca za nią Adie uderzyła przysadzistą czarodziejkę polanem w głowę.

Brogan rzucił się na Matkę Spowiedniczkę, mocował się z nią i bił ją pięścią w zębra. Adie chwyciła "śliczności" padającej na podłogę Lunetty. Szarpnęła z całych sił, których dodała jej desperacja, podarła strój ze

strzępów tkanin i wyłuskała zeń prawie nieprzytomną czarodziejkę.

Otumaniona Lunetta krzyknęła, gdy Adie rzuciła swoją zdobycz w płomienie.

Kahlan i Brogan upadli na podłogę. Dziewczyna zobaczyła, jak strój Lunetty zajmuje się ogniem w kominku, przerzuciła Brogana nad sobą, zerwała się na nogi, po czym kopnęła w twarz usiłującego się podnieść naczelnego wodza Bractwa Czystej Krwi.

Lunetta zawodziła rozpaczliwie. Kahlan nie spuszczała Brogana z oka - poderwał się, krew ciekła mu z nosa. Nim zdążył ponownie rzucić się na dziewczynę, zobaczył za nią swoją siostrę i skamieniał.

Kahlan zerknęła przez ramię. Jakaś kobieta sięgała szaleńczo w ogień, usiłując wydostać z płomieni strój uszyty z kolorowych strzępów.

Nie była to Lunetta.

Była atrakcyjną starszą kobietą w białej koszuli. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Co się stało z Lunetta?

- Lunetta! - wrzasnął rozwścieczony Brogan. - Jak śmiesz rzucać na siebie czar urzeczenia w obecności innych?! Jak śmiesz używać magii, by myśleli, że jesteś ładna?! Natychmiast przestań! Twoja skaza jest obrzydliwa!

- Moje "śliczności", lordzie generale - załkała. - Moje śliczne szatki się palą. Pomóż mi, bracie, proszę cię.

- Ty ohydna *streganichol* Przestań, mówię!

- Nie mogę - szlochała. - Nie mogę bez moich ślicznych szatek.

Brogan warknął z wściekłością, odrzucił Kahlan na bok i skoczył ku kominkowi. Uniósł Lunettę za włosy i uderzył ją pięścią. Upadła, zbijając przy okazji z nóg Adie.

- Mam dość twojego nieposłuszeństwa i twojej przeklętej skazy! - Kopnął siostrę, która usiłowała się podnieść z podłogi.

Kahlan złapała polano i chciała go uderzyć, ale uchylił się i tylko trafiła go w barki. Grzmotnął dziewczynę pięścią w brzuch, aż straciła oddech.

- Ty podła świni! - wysapała walcząca o oddech Kahlan. - Zostaw w spokoju swoją śliczną siostrę!

- Onajest pomyłona! Pomyłona Lunetta!

- Nie słuchaj go, Lunetto! Twoje imię znaczy "Mały Księżyc"! Nie słuchaj go!

Brogan krzycząc w furii, wyrzucił ręce w kierunku Kahlan. Błyskawica

rozświetliła komnatę. Nie trafił w dziewczynę jedynie dlatego, że nie panował nad sobą i rzucił ją na oślep. W powietrze poleciał tynk i odłamki.

Kahlan niemal osłupiała ze zdumienia. Tobias Brogan, naczelny wódz Bractwa Czystej Krwi i człowiek oddany wyplenianiu wszelkiej magii, miał dar.

Brogan znów wrzasnął i uderzył Kahlan powietrzną pięścią. Dostała w pierś, uderzyła o ścianę i osunęła się bez czucia na podłogę.

Lunetta zobaczyła, co uczynił jej brat, i krzyknęła głośniejsz od niego.

- Nie, Tobias! Nie wolno ci korzystać ze zmazy!

Rzucił się na siostrę. Zaczął ją dusić i uderzać jej głową o podłogę.

- Ty to zrobiłaś! Ty używasz zmazy! Rzucasz czar urzeczenia! Ciskasz błyskawice!

- Nie, Tobias, to twoje dzieło. Nie wolno ci korzystać z daru. Mama mi powiedziała, że nie wolno ci z niego korzystać.

Brogan złapał siostrę za białą koszulę i podniósł.

- O czym ty mówisz? Co powiedziała ci mama, ty paskudna *streganicho*?

Urodziwa kobieta krztusiła się, z trudem łapała powietrze.

- Powiedziała, że to ty jesteś tym najważniejszym. Tym, któremu pisana jest wielkość. Powiedziała, że nie powinnam rzucać się ludziom w oczy, tak by widzieli jedynie ciebie. Powiedziała, że to ty jesteś najważniejszy. I mówiła jeszcze, że nie powinnam pozwolić, byś korzystał ze swojego daru.

- Kłamczucha! Mama nigdy czegoś takiego nie mówiła! Mama o niczym nie wiedziała!

- Wiedziała, Tobias. I ona miała niewielki dar. Przybyły Siostry, żeby cię zabrać. Kochaliśmy cię i nie chcieliśmy, by zabrały naszego małego Tobiasa.

- Nie mam skazy!

- Nie skłamałam, bracie. Oznajmiły, że masz dar, i chciały cię zabrać do Pałacu Proroków. Mama powiedziała, że jeśli wrócą bez ciebie, to ściągną na nas inne. Zabiłyśmy je, mama i ja. To tak zdobyłeś tę bliznę w kącie ust. Zostałeś zraniony, kiedy z nimi walczyliśmy. Powiedziała, że musimy je zabić, by nie przysłały innych. Mówiła, że nigdy nie powinnam pozwolić, byś korzystał z daru, bo wrócą, aby cię zabrać.

Brogan dyszał z wściekłości.

- Wszystko to kłamstwa! Ty cisnęłaś błyskawicę i oczarowujesz innych!

- Nie - szlochała. - One spaliły moje śliczne szatki. Mama powiedziała, że

twoim przeznaczeniem jest zostać kimś wielkim, ale że wszystko może przepaść. Nauczyła mnie, jak używać "śliczności", żeby skrywać mój wygląd i powstrzymać cię od korzystania z daru. Chciałyśmy, żebyś został kimś wielkim. Moje "śliczności" przepadły. Cisnąłeś błyskawicę.

Brogan patrzył przed siebie dzikim wzrokiem, jakby widział coś, czego nie dostrzegą żadna z nich.

- To nie skaza-wyszeptał.-To po prostu. Skaza jest złem. To nie jest złe. To po prostu.

Podnosząca się z podłogi Kahlan przyciągnęła uwagę Brogana. W komnacie rozbłysła kolejna błyskawica, którą posłał ku dziewczynie. Zdążyła się schylić i piorun trafił w ścianę nad jej głową. Lord generał poderwał się i chciał się ku niej rzucić.

- Tobias! Przestań! Nie wolno ci używać daru!

Tobias Brogan obejrzał się i z niesamowitym spokojem popatrzył na siostrę.

- To znak. Nadszedł czas. Zawsze wiedziałem, że nadejdzie. - Przesłonił dłonią twarz, między koniuszkami jego palców błyskały błękitne ogniki. - To nie skaza, Lunetto, to boska moc. Skaza byłaby wstrętna, a to jest piękne. Stwórca wyrzekł się prawa narzucania mi swojej woli. Stwórca jest banelingiem. Teraz ja mam moc. Nadszedł czas, bym z niej skorzystał. Teraz ja muszę sądzić ludzi. - Spojrzał na Kahlan. - Teraz ja jestem Stwórcą.

- Proszę, Tobias... - Lunetta uniosła błagalnie rękę.

Odwrócił się ku niej. Mordercze ogniste węże wiły się wokół jego dłoni.

- Ależ będę wspaniały! Nie będę się już stykał z waszym plugastwem i kłamstwami. TV i mama to banelingi. - Dobył miecza, a blask owinął się wężowo wokół klingi. Brogan machnął klingą.

Lunetta skupiła się i natężyła umysł.

- Nie wolno ci używać mocy, Tobias. Nie wolno. - Zgasły ognie pełgające po jego dłoniach.

- Będę korzystać z tego, co moje! - Na koniuszkach jego palców znów zapłonął blask i począł zmierzać w górę klingi. - Teraz ja jestem Stwórcą. Mam moc i mówię, że musisz umrzeć!

Stał nieruchomo i płonącymi szaleństwem oczami wpatrywał się w ogniki na czubkach swoich palców.

- Więc to ty jesteś banelingiem i muszę cię powstrzymać tak, jak mnie

nauczyłeś - wyszeptała Lunetta.

Z dłoni Lunetty trysnęło różowe światło i przeszło serce Tobiasa Brogana.

Ostatni raz zaczerpnął powietrza i padł.

Kahlan trwała bez ruchu, bo nie wiedziała, co teraz zrobi Lunetta. Przycupnęła jak sarenka w wysokiej trawie. Adie wyciągnęła do tamtej rękę i pocieszała ją w ich ojczystym języku.

Lunetta jakby nie słyszała. Podczołgała się sztywno do ciała brata i położyła sobie jego głowę na kolanach. Kahlan poczuła mdłości.

Nagle w komnacie zjawił się Galtero.

Chwycił Lunettę za włosy i odchylił do tyłu jej głowę. Nie dostrzegł za sobą Kahlan, siedzącej pod ścianą, wśród gruzów.

- *Streganicha* - wyszeptał jadowicie.

Lunetta się nie opierała. Trwała w oszołomieniu. W pobliżu leżał miecz Brogana. Kahlan rzuciła się po niego i gwałtownie uniosła oręż. Ale nie była dość szybka.

Galtero podciął Lunecie gardło nożem.

Kahlan przeszła żołnierza, nim czarodziejka osunęła się na podłogę.

Pułkownik upadł, a dziewczyna wyszarpnęła zeń miecz.

- Nie jesteś ranna, Adie?

- Nie na zewnątrz, dziecko.

- Rozumiem, ale nie mamy teraz czasu na żale.

Kahlan złapała Adie za rękę, sprawdziła ostrożnie, czy Lunetta naprawdę usunęła osłonę, nim weszła do nich z bratem, i obie wydostały się na korytarz.

Na obu krańcach korytarza leżały szczątki Sióstr, ich strażniczek. Lunetta zabiła obie.

Dziewczyna usłyszała zbliżający się po schodach tupot butów. Przeskoczyły wraz z Adie przez krwawe szczątki w przeciwległym końcu korytarza, pobiegły w dół schodami dla służby i wydostały się bocznym wejściem. Rozejrzały się w ciemnościach: nikogo nie dostrzegły, lecz z oddali dobiegał jakiś zgiełk, szcękątał stal. Trzymając się za ręce, zaczęły uciekać ile sił w nogach.

Kahlan czuła łzy spływające jej po twarzy.

Ann - z opuszczoną głową, żeby Siostra jej nie rozpoznała - ruszyła ku

tamtej w słabym świetle podziemi. Zedd włożył się za nią. Siedząca za stołem kobieta podniosła się z podejrzliwą miną i wyszła im naprzeciw.

- Kto tu? - spytała lakonicznie Siostra Becky. - Nikomu nie wolno już tam wejść. Wszyscy zostali ostrzeżeni.

Annalina poczuła uderzenie Han: miało ją zatrzymać, gdy Siostra Becky zachodziła jej drogę. Uniosła głowę i tamta otworzyła szeroko oczy. Ann wbiła w nią dakrę. Światło trysnęło z oczu Becky i osunęła się na podłogę.

- Zabiłaś ją! - Zedd wyskoczył z za pleców Ann. - Ot tak sobie zabiłaś ciężarną kobietę!

- To ty skazałeś ją na śmierć - wyszeptała Ann. - Modłę się, by się okazało, że nakazałeś egzekucję Siostry Mroku, a nie Siostry Światła.

Zedd złapał ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Chyba straciłaś rozum, kobieto!

- Rozkazałam, żeby Siostry Światła opuściły pałac. Powiedziałam im, że muszą uciec. Niezliczone razy błagałam cię, byś pozwolił mi skorzystać z książki podróźnej. Musiałam się upewnić, że zrobiły, co nakazałam. Ponieważ odmawiałeś mi do tego prawa, jestem zmuszona założyć, że moje instrukcje zostały wypełnione.

- To nie usprawiedliwia zabicia jej! Mogłaś ją tylko oszołomić!

- Jeśli moje rozkazy zostały wykonane, to ona jest Siostrą Mroku. Nie miałabym najmniejszej szansy w uczciwej walce z żadną z nich. Ty zresztą również. Nie możemy ryzykować.

- A co, jeśli nie była jedną z Sióstr Opiekuna?!

- Dla niej jednej nie mogłam ryzykować życia wszystkich innych.

- Jesteś szalona. - Oczy Zedda pałały lodowatą furiją.

- Tak? - Ann uniosła znacząco brew. - A czy ty zaryzykowałbyś życie tysięcy osób, by rozczulać się nad osobą, co do której jesteś niemal pewny, że to wróg, który chce cię powstrzymać? Dzięki takim wyborom zostałeś czarodziejem pierwszego stopnia?

- No dobrze. - Puścił jej ramię. - Tu mnie masz. Czego chcesz?

- Najpierw sprawdzimy, czy podziemia są puste.

Każde ruszyło w inną stronę. Ann zaglądała między rzędy pótek, sprawdzając, czy stary czarodziej robi, co mu nakazała. Gdyby próbował uciekać, ściągnęłaby go z powrotem za pomocą Rada'Han. Wiedział o tym.

Lubiła dziadka Richarda, jednak potrzeba chwili wymagała, żeby

podsycała w nim nienawiść. Musiał być rozwścieczony i chętnie pochwycić okazję, którą mu podsunie.

Dotarli na krańce mrocznych podziemi i nikogo już nie znaleźli. Ann ucałowała swój pozbawiony pierścienia serdeczny palec i podziękowała Stwórcy. Powstrzymała emocje wywołane zabiciem Siostry Becky, mówiąc sobie, że z pewnością nie strzegłaby podziemi, gdyby nie przysięgała Opiekunowi i gdyby nie była służką imperatora. Starła się nie myśleć o niewinnym nie narodzonym dziecku, które także zabiła.

- I co teraz? - warknął Zedd, kiedy spotkali się w głębi podziemi, w pobliżu jednej z zakazanych komnat.

- Nathan wykona swoją część planu. Przyprowadziłam cię tu, żebyś wykonał swoją. Pałac okala czar rzucony przed trzema tysiącami lat. Udało mi się ustalić, że to rozgałęziająca się sieć - dorzuciła.

Zedd uniósł brwi. Ciekawość przeważała nad oburzeniem.

- To ci dopiero. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto potrafiłby utkać rozgałęziającą się sieć. Jesteś tego pewna?

- Teraz nikt nie potrafi utkać takiej sieci, ale dawni czarodzieje mieli taką moc.

Zedd zapatrzył się przed siebie i pocierał kciukiem gładki policzek.

- Tak, wyobrażam sobie, że mieliby taką moc. - Znów spojrzał jej w oczy. - Ale w jakim celu to zrobili?

- Czar oddziałuje na ziemie pałacu. Zewnętrzna osłona, ta, przy której zostawiliśmy Nathana, jest niczym zamykająca całość muszla. Tworzy otoczenie, w którym może istnieć ta część. Czar na wyspie łączy się natomiast z innymi światami. Oprócz wielu innych rzeczy zmienia także czas. Właśnie dlatego starzejemy się wolniej niż ludzie żyjący poza osłoną tego czaru.

- Tak, to by to tłumaczyło - orzekł stary czarodziej po chwili namysłu.

Ann odwróciła wzrok.

- Ja i Nathan mamy niemal tysiąc lat. Od prawie ośmiuset jestem Ksienią Sióstr Światła.

Zedd wygładził szatę na kościstych biodrach.

- Wiedziałem o tym czarze, o tym, że przedłuża życie, by dać wam czas na wykonanie waszego plugawego dzieła.

- Gdy dawni czarodzieje zaczęli zazdrośnie strzec swojej mocy i nie

chcieli uczyć mających dar młodzieńców, żeby ci nie zagrozili ich dominacji, utworzono Siostry Światła. Miały ocalić owych młodzieńców od śmierci. Nie każdemu się to podoba, ale tak się stało. Skoro nie ma czarodziejów, którzy chcieliby im pomóc, to zadanie owo spada na nasze barki. Nie mamy takiej Han jak mężczyźni, więc zajmuje nam to o wiele więcej czasu. Obroza utrzymuje młodzieńców przy życiu i sprawia, że dar nie czyni im krzywdy. Rada'han chroni ich przed popadnięciem w szaleństwo, więc noszą ją dopóty, dopóki nie nauczymy ich tego, co jest im potrzebne. Czar otaczający pałac daje nam potrzebny czas. Rzucono go dla nas trzy tysiące lat temu, a uczynili to nieliczni wspomagający nas czarodzieje. Mieli moc konieczną do uplecenia rozgałęziającej się sieci.

Zedd się zaciekawił.

- Tak. Rozumiem, o co ci chodzi. Rozgałęzienie zawraca moc i tworzy wnętrze, w którym mogą zachodzić nadzwyczajne efekty. Starożytni czarodzieje potrafili dokonać tego, o czym ja mogę jedynie marzyć.

Ann bez przerwy czuwała, by mieć pewność, że są sami.

- Rozgałęzienie sieci zagina ją na siebie, tworząc strefę wewnętrzną i zewnętrzną. Są dwa węzły: jeden w osłonie zewnętrznej, drugi - w wewnętrznej.

Zedd łypnął na nią jednym okiem.

- Ale ten wewnętrzny węzeł, w którym zachodzą prawdziwe wydarzenia, byłby podatny na rozdarcie. Groźny słaby punkt, choć wynikający z konieczności. Czy wiesz, gdzie go umieszczono?

- Stoimy w nim.

Zedd zeszywniał. Rozejrzał się dokoła.

- Tak, rozumiem myśl, która temu przyświecała. Należało umieścić go w skalnym łożysku, pod wszystkim, w miejscu, gdzie byłby najlepiej chroniony.

- To właśnie dlatego surowo zakazałyśmy używania ognia czarodzieja na całej wyspie Halsband.

- Nie, nie. - Zedd machnął z roztargnieniem ręką. - Ogień czarodzieja nie zrobiłby nic takiemu węzłowi. - Spojrzał na Ann z gniewną podejrzliwością. - Co my tu robimy?

- Sprowadziłam cię tutaj, żebyś miał okazję uczynić to, czego pragniesz. Żebyś mógł zniszczyć czar.

Zagapił się na nią, zamrugał i znów się zagapił. W końcu powiedział:

- Nie. To by nie było w porządku.

- Czarodzieju Zoranderze, to wysoce nieodpowiedni czas na skrupuły moralne.

Skrzyżował kościste ramiona.

- Ten czar rzucili czarodzieje więksi, niż ja kiedykolwiek będę, i potężniejsi, niż potrafię sobie wyobrazić. To cud, twór najwspanialszego mistrzostwa. Nie zniszczę takiego dzieła sztuki.

- Złamałam rozejm. Zedd zadarł brodę.

- Złamanie rozejmu skazuje na śmierć każdą Siostrę, która znajdzie się w Nowym Świecie. Nie jesteśmy w Nowym Świecie. Złamanie rozejmu nie mówi nic o tym, że mam iść do Starego Świata i siać zniszczenie. Nie mam prawa uczynić czegoś takiego.

Ann pochyliła się ku niemu i spojrzała groźnie.

- Obiecywałaś, że jeśli powlokę cię za tę obrożę, wystawiając na niebezpieczeństwo twoich przyjaciół, to zjawisz się w moim kraju i obrócisz w perzynę Pałac Proroków. Daję ci szansę dotrzymania owej obietnicy.

- To był przelotny wybuch gniewu. Odzyskałem rozum i rozsądek. - Patrzył na nią z gniewną miną. - Stosowałaś sztuczki i chytne podstępny, by przekonać mnie, że jesteś nędzną, niegodziwą, niemoralną zbrodniarką, lecz nie zdołałaś mnie oszukać. Wcale nie jesteś zła.

- Spętałam cię! Uprowadziłam!

- Nie zniszczę ani twojego domu, ani twojego życia. Zniszczenie czaru zmieniłoby sposób życia Sióstr Światła i doprowadziło do tego, że szybciej by się ono kończyło. Siostry oraz ich podopieczni żyją według standardów czasowych, które dla mnie są dziwaczne, ale dla nich normalne. Życie to postrzeganie. Gdyby żyjąca zaledwie kilka lat mysz miała magiczną moc, dzięki której mogłaby uczynić moje życie równie krótkim jak jej, to zgodnie z moim postrzeganiem, zabiłaby mnie, choć samej myszy zdawałoby się, że dała mi życie równie długie jak swoje. To miał na myśli Nathan, mówiąc, że go zabijasz. Skracając ich życie do długości naszego, zabiłbym je, nim miałyby szansę naprawdę pożyć. Nie uczynię tego.

- Jeśli będę musiała, czarodzieju Zoranderze, to wykorzystam obrożę i tak długo będę cię dręczyć bólem, aż się zgodzisz. Zedd uśmiechnął się drwiąco.

- Nie zdajesz sobie sprawy, przez jakie próby bólu musiałem przejść,

żeby zostać czarodziejem pierwszego stopnia. No dalej, pokaż, co potrafisz.

Ann, zdesperowana, zacisnęła mocno usta.

- Przecież musisz to zrobić! Założyłam ci obrozę! Traktowałam cię okropnie, byś rozzłościł się na tyle, żeby to zrobić! Proroctwo mówi, że do zniszczenia naszego domu niezbędnym jest gniew czarodzieja!

- Myślałaś, że będę tańczyć, jak mi zagrasz? - Pływne oczy znalazły się bliżej. - Nie zatańczę, dopóki nie poznam melodii.

Zawiedziona Ann jakby zapadła się w siebie.

- Prawda jest taka, że imperator Jagang chce zawładnąć Pałacem Proroków i wykorzystywać go do własnych celów. Jest Nawiedzającym Sny i kontroluje umysły Sióstr Mroku. Zamierza skorzystać z przepowiedni i odnaleźć rozgałęzienia, dzięki którym wygra wojnę. A potem będzie żył przez setki lat pod osłoną czaru i rządził światem oraz jego mieszkańcami jak swoją własnością.

Zedd patrzył na nią gniewnie.

- No i teraz krew we mnie zawrzała. To wystarczający powód, żeby zrównać pałac z ziemią. Kurczę, kobieto, dlaczego od razu nie powiedziałaś mi prawdy?

- Razem z Nathanem pracowaliśmy setki lat nad tym odgałęzieniem proroctwa. A proroctwo mówi, że doprowadzony do furii czarodziej zniszczy pałac. Nie chciałam ryzykować, bo niepowodzenie miałoby zbyt straszne skutki dla świata, więc zrobiłam to, co według mnie powinno podziałać. Starłam się rozzłościć cię na tyle, żebyś chciał zniszczyć Pałac Proroków. - Ann potarła zmęczone oczy. - To rozpaczliwe działanie spowodowane rozpaczliwą potrzebą.

- Rozpaczliwe działanie - uśmiechnął się Zedd. - Podoba mi się to. Podoba mi się kobieta, która potrafi docenić nadarzącą się okazję do desperackiego działania. Masz charakter.

Ann złapała go za rękaw.

- Więc jednak to zrobisz? Nie mamy czasu do stracenia. Umilkły bębny. Lada moment może się tu zjawić Jagang.

- Zrobię to. Ale lepiej cofnijmy się ku wyjściu.

Gdy ponownie znaleźli się w pobliżu potężnych zaokrąglonych drzwi do podziemi, Zedd sięgnął do kieszeni i wyjął coś, co wyglądało jak kamień. Położył kamień na podłodze i obejrzał się przez ramię na Ann.

- Mniemam, że kazałaś Nathanowi zarzucić sieć światła.

- Tak. Tylko Nathan, ja i kilka Sióstr wiemy, jak zarzucić sieć światła. Myślę, że moc Nathana wystarczy, by rozerwać zewnętrzny węzeł, gdy w węzle wewnętrznym ruszy kaskada. Wiem jednak również, że ani ja, ani on nie mamy mocy wystarczającej do zainicjowania rozerwania wewnętrznego węzła. Dlatego musiałam cię tu sprowadzić. Obawiam się, że konieczną moc może mieć jedynie czarodziej pierwszego stopnia.

- Cóż, zrobię, co tylko będę mógł - burknął Zedd. - Ale muszę cię uprzedzić, Ann, że ten węzeł, choć może i jest podatny na zerwanie, jest czarem rzuconym przez czarodziejów o takiej potędze, iż ja mogę o niej tylko marzyć. - Zedd zakręcił palcem i kamień na podłodze w podskokach i trzaskach urósł w szeroką, płaską skałkę. Czarodziej stanął na niej. - Wyjdź stąd. Zaczekaj na zewnątrz. Zadbaj, żeby Holly była bezpieczna, kiedy będę tu działał. Gdyby coś poszło nie tak i nie zdołałbym kontrolować kaskady światła, nie miałabyś czasu, by się stąd wydostać.

- Akt desperacji, Zeddzie?

Mruknął coś w odpowiedzi, odwrócił się twarzą ku komnacie i uniósł ramiona. Migotliwe barwy już unosiły się ze skałki, otaczając czarodzieja spiralnymi wstęgami drgającego i brzęczącego blasku.

Ann słyszała o skałkach czarodzieja, lecz nigdy żadnej nie widziała i nie miała pojęcia, jak działają. Czuliła moc, która zaczynała emanować ze starego czarodzieja, gdy stanął na skałce. Zgodnie z jego życzeniem pospiesznie opuściła jednak podziemia. Nie była pewna, czy chciał, żeby wyszła dla jej własnego bezpieczeństwa, czy też dlatego, że nie chciał, by widziała, jak zamierza to wszystko uczynić. Czarodzieje zwykle strzegli swoich tajemnic.

Poza tym Zedd okazał się jeszcze przebieglejszy niż Nathan. A uważała, że to niemożliwe.

Ann przykucnęła w ciemnym kącie i Holly objęła ją drobnymi ramionkami.

- Czy ktoś tędy przechodził?

- Nie, Ann - szepnęła Holly.

- To doskonale. Schowam się tutaj razem z tobą i poczekamy, aż czarodziej Zorander wykona swoje zadanie.

- On bardzo krzyczy, mówi mnóstwo okropnych słów i wymachuje rękami, jakby chciał ściągnąć na nas burzę, ale uważam, że jest bardzo miły.

- Bo nie swędzi cię dotąd skóra po śnieżnych pchłach. - Ann uśmiechnęła się w mroku kryjówki. - Ale chyba masz rację.

- Moja babcia czasem gniewała się jak wtedy, kiedy ludzie nas chcieli skrzywdzić, lecz ona naprawdę się złościła. A czarodziej Zorander nie. On tylko udaje.

- Jesteś, dziecinko, bardziej spostrzegawcza ode mnie. Będzie z ciebie wspaniała Siostra Światła.

Ann przytuliła do swojego ramienia główkę Holly i czekały w milczeniu. Miała nadzieję, że czarodziej się pospieszy. Z podziemi było tylko jedno wyjście, więc gdyby ich przyłapano, walka z Siostrami Mroku, i to pomimo mocy Zedda, mogłaby się okazać bardzo niebezpieczna.

Czas mijał straszliwie wolno. Ann poznała po spokojnym, miarowym oddechu, że Holly zasnęła na jej ramieniu. Biedne dziecko nie wysypiało się dostatecznie - żadne z nich nie spało, ile trzeba, bo gnali ku Tanimurze całymi dniami i przez większość nocy. Chcieli zdążyć na czas, chcieli wyprzedzić Jaganga. Wystraszyła się, bo ktoś szarpnął ją za ramię.

- Uciekajmy stąd - wyszeptał Zedd.

Ann przytuliła Holly i wydostała się wraz z nią z kryjówki.

- Zrobiłeś to?

Zedd, okropnie poirytowany, obejrzał się przez ramię i popatrzył w podziemia przez potężne drzwi.

- Nie mogę sprawić, by to paskudztwo zaczęło działać. Zupełnie jakbym chciał rozpalić ogień pod wodą.

Ann zacisnęła dłoń na jego szacie. - Musimy to zrobić, Zeddzie.

- Wiem. - Spojrzał na nią strapionym wzrokiem. - Lecz ci, którzy upletli tę sieć, mieli również magię subtraktywną. Ja mam tylko addytywną. Próbowałem wszystkiego. Nie jestem tak potężny, by zerwać sieć otaczającą pałac. Nie dam rady. Przykro mi.

- Ale ja uplotłam w pałacu sieć światła. To się da zrobić.

- Nie powiedziałem, że nie mogę upleść takiej sieci, lecz że nie mogę sprawić, by zadziałała. A przynajmniej nie tutaj, nie w węzle.

- Próbowałeś sprawić, by zadziałała?! Chyba ci rozum odjęło!

- Akt desperacji, pamiętasz? - Zedd wzruszył ramionami. - Miałem pewne podejrzenia co do tego, czy zadziała, więc musiałem to sprawdzić. I dobrze, że to zrobiłem, bo myślelibyśmy, że się uaktywni. Otóż nie. Zadziała

tylko wtedy, gdy ktoś tu wejdzie. Ale nie rozpręży się i nie zniszczy czaru.

Ann była przybita.

- Lecz przynajmniej zabije każdego, kto tu wejdzie, i miejmy nadzieję, że to będzie Jagang. W każdym razie dopóki nie odkryją twojej sieci. Potem ją zniszczą i będą mieli podziemia do swojej dyspozycji.

- Ale drogo ich to będzie kosztować. Ukryłem tam kilka moich "sztuczek".
Tb miejsce jest śmiertelną pułapką.

- Nie możemy już nic zrobić?

- Jest na tyle duża, by zniszczyć całutki pałac, ale nie mogę sprawić, by zadziałała. Jeśli te Siostry Mroku naprawdę posługują się, jak twierdzisz, magią subtraktywną, to możemy poprosić jedną z nich, żeby zechciała nam uruchomić sieć światła.

Ann potaknęła.

- A więc tyle tylko możemy zrobić. Miejmy nadzieję, że zabije ich to, co tam zostawiłeś. Może to wystarczy, chociaż nie zdołamy zniszczyć pałacu. -
Wzięła Holly za rączkę. - Lepiej już stąd chodźmy. Nathan czeka. Musimy uciec, nim zjawi się Jagang, bo inaczej Siostry nas znajdą.

ROZDZIAŁ 50

Verna spostrzegła, że w księżycowej poświacie błysnęła stal, i ukryła się za kamienną ławką. Zbliżały się ku niej odgłosy walki rozpoczętej gdzieś dalej na pałacowych gruntach. Powiedziano jej, że żołnierze w szkarłatnych pelerynach przybyli nie tak dawno, by przyłączyć się do Imperialnego Łądu. Teraz jednak wyglądało na to, że postanowili zabić każdego, kto wejdzie im w drogę.

Z ciemności wypadli dwaj żołnierze w szkarłatnych pelerynach. Ktoś wyskoczył z przeciwnej strony, z miejsca, w którym dostrzegła wcześniej błysk stali, i w mgnieniu oka pozbawił ich życia.

- Dwaj żołnierze bractwa - szepnął kobiecy, brzmiący znajomo głos. - Chodź, Adie.

Z mroków wyłoniła się druga postać. Kobieta władała mieczem, a Verna miała do obrony swoją Han. Postanowiła zaryzykować i wstała.

- Kto tu jest? Pokaż się.

Verna miała nadzieję, że nie postąpiła głupio, ale przecież miała przyjaciółki wśród tutejszych kobiet. Mimo to na wszelki wypadek ścisnęła mocno w dłoni dąkrę.

- To ja, Verna.

Skryta w mrokach postać zatrzymała się.

- Verna? Siostra Verna?

- Tak. A ty kim jesteś? - szepnęła.

- Kahlan Amnell.

- Kahlan! Nie może być! - Verna skoczyła w księżycową poświatę i stanęła przed tamtą. - Drogi Stwórco, to naprawdę ty. - Objęła ją mocno. - Kahlan, tak się martwiłam, że cię zabili.

- Nawet nie wiesz, Verno, jak się cieszę, że widzę przyjazną twarz.

- Kto jest z tobą?

Zbliżyła się starsza kobieta.

- Minęło tyle czasu, a ja wciąż dobrze cię pamiętam, Siostrze Verno.

Verna bacznie się jej przyglądała, usiłując rozpoznać twarz.

- Przykro mi, ale cię nie poznaję.

- Ja Adie. Byłam tu jakiś czas w młodości, pięćdziesiąt lat temu.

- Adie! - Verna uniosła brwi. - Pamiętam Adie.

Nie dodała, że pamięta Adie jako młodą kobietę. Już dawno nauczyła się, że takich rzeczy lepiej głośno nie mówić. Ludzie z zewnętrznego świata żyli w szybciej biegnącym czasie.

- Myślę, że możesz pamiętać moje imię, ale nie pamiętasz już twarzy. To było tak dawno temu. - Adie gorąco uściskała Verne. - Ciebie jedną zapamiętałam. Byłaś dla mnie miła, kiedy tu przebywałam.

Kahlan przerwała im te wspominki.

- Co się tutaj dzieje, Verno? Przywlekli nas tu ludzie z Bractwa Czystej Krwi i dopiero co udało się nam uciec. Musimy się stąd wydostać, a wygląda na to, że w Pałacu Proroków zaczyna się walka.

- To długa historia i nie mam teraz czasu, żeby ją wam opowiedzieć. Nawet nie jestem pewna, czy znam całą. Ale masz rację, musimy natychmiast uciekać. Siostry Mroku opanowały pałac i lada chwila ma się tu zjawić imperator Jagang z Imperialnego Łądu. Muszę natychmiast wyprowadzić stąd pozostałe Siostry Światła. Pójdziecie z nami?

Kahlan obrzuciła wzrokiem trawniki.

- Dobrze, lecz muszę uwolnić mojego woźnicę Aherna. Nie ugiął się, więc nie mogę go tu zostawić. A jak go znam, będzie chciał zabrać powóz i konie.

- Siostry też cały czas zbierają swoje lojalne towarzyszeki - powiedziała Verna. - Mamy się spotkać o tam, po drugiej stronie tego muru. Strażnik kryjący się przy bramie jest lojalny wobec Richarda, jak i pozostali, którzy strzegą bram w tym murze. Ma na imię Kevin. Można mu ufać. Kiedy wrócisz, powiedz mu po prostu, że jesteś przyjaciółką Richarda. To hasło, które zna. Wpuści cię do tego sektora.

- Lojalny wobec Richarda?

- Tak. Pospiesz się. Muszę pójść do pałacu, żeby wydostać przyjaciela. Ale nie możesz pozwolić Ahernowi, by sprowadził swój zaprzęg. Pałacowe ziemie stają się polem bitwy. Nie zdoła tutaj dotrzeć. Stajnie są na północnym krańcu. Tamtędy odejdziemy. Siostry strzegą niewielkiego mostu, który tam jest. Niech jedzie na północ, do pierwszej farmy po prawej, z ogrodem otoczonym kamiennym murkiem. To nasze drugie miejsce spotkania. Jest bezpieczne. Przynajmniej na razie.

- Pospieszę się - obiecała Kahlan. Verna złapała ją za ramię.

- Jeśli nie zdążysz na czas, nie będziemy mogły na ciebie poczekać.

Muszę uwolnić przyjaciela, a potem uciekamy.

- Nie oczekuję, że będziecie czekać. Nie martw się. I ja muszę się stąd wydostać. Sądzę, że jestem przynętą na Richarda.

- Richard!

- To kolejna długa historia, ale muszę się stąd wydostać, zanim wykorzystają mnie, by go tutaj zwabić.

Noc rozświetliła się nagle, jakby strzeliły bezgłośnie błyskawice, tyle tylko że nie przypominało to błyskawic. Wszystkie spojrzały na południowy wschód i zobaczyły wielkie kule ognia unoszące się w nocne niebo. W powietrzu kłębił się czarny dym. Wyglądało na to, że cały port stanął w płomieniach. Potężne fale unosiły wielkie statki.

Ziemia zadrżała nagle i w tym samym momencie powietrzem wstrząsnął grzmot odległej eksplozji.

- O drogie duchy - odezwała się Kahlan. - Co się dzieje? - Rozejrzała się. - Czas się nam kończy. Adie, zostań z Siostrami. Mam nadzieję, że raz-dwa wrócę.

- Mogę ci zdjąć Rada'Han - zawołała Verna, lecz było już za późno. Kahlan zdążyła zniknąć w mrokach.

- Chodź. - Verna ujęła ramię Adie. - Zaprowadzę cię do Sióstr, które są za tym murem. Jedna z nich zdejmie ci obrożę, a ja pójdę do pałacu.

Verna zostawiła Adie z innymi i z bijącym sercem wśliznęła się do sektora Proroka. Szła ciemnymi korytarzami i zbierała siły na wypadek, gdyby Warren nie żył. Nie wiedziała, co mu zrobiły i czy aby nie postanowiły go po prostu wyeliminować. Nie sądziła, by zdołała się pogodzić z jego śmiercią, gdyby znalazła zwłoki.

Nie. Jagang potrzebował Proroka, żeby ten pomógł mu czytać księgi. Ann całe wieki temu ostrzegła ją, by natychmiast zabrała stąd Warrena.

Przyszło jej na myśl, że może Ksieni dlatego kazała jej wyprowadzić Warrena, by Siostry Mroku nie zabiły go za to, że za dużo wiedział. Wyrzuciła z umysłu te niepokojące myśli i przeszukiwała wzrokiem korytarze, sprawdzając, czy aby nie schroniła się w nich jakaś uciekająca przed bitwą Siostra Mroku.

Przed drzwiami do apartamentów Proroka Verna zaczerpnęła głęboko powietrza i pokonawszy osłony, które przez tysiąc lat więziły tu Nathana, a teraz nie pozwalały wyjść Warrenowi, weszła do wewnętrznego korytarza.

Otworzyła wewnętrzne drzwi i zanurzyła się w mrok. Dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do ogrodu Proroka stały otworem.

Wpływało przez nie ciepłe nocne powietrze, wpadała księżycowa poświata. Na stole stała zapalona świeca, ale dawała niewiele światła.

Ktoś wstał z fotela i Vernie załomotało serce.

- Warren?

- Verna! - Skoczył ku niej. - Uciekłaś. O dzięki ci, Stwórco! Verna poczuła niepokój. Nadzieje i pragnienia rozbudziły w niej stare lęki. Opanowała się. Pogroziła mu palcem.

- Co to była za głupota, posyłać mi swoją dakrę! Dlaczego z niej nie skorzystałeś, nie uwolniłeś się i nie uciekłeś?! Przesłanie mi jej było bardzo lekkomyślnym posunięciem. A gdyby coś się stało? Już ją miałeś i wypuściłeś z rąk! O czym ty myślałeś?

Warren się uśmiechnął.

- I ja się cieszę, Verno, że cię widzę.

- Odpowiadaj na pytanie - burknęła, skrywając uczucia.

- Po pierwsze, nigdy nie używałem dakry i bałem się, że zrobię coś nie tak, a wtedy stracimy naszą jedyną szansę. Po drugie, mam na szyi obrożę, więc dopóki się jej nie pozbędę, dopóty nie przejdę przez osłony. Bałem się, że jeśli nie zmuszę Leomy, by zdjęła mi obrożę, że jeśli będzie wołała raczej umrzeć, niż to zrobić, to wszystko pójdzie na marne. Po trzecie - dodał, zbliżając się ku niej niepewnie - jeśli tylko jedno z nas miało mieć szansę, to chciałem, żebyś to była ty.

Verna patrzyła nań długo, czując, jak coś dławi ją w gardle. Już nie mogła się opanować i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Kocham cię, Warrenie. Naprawdę, szczerze cię kocham. Objął ją czule.

- Nawet nie wiesz, od jak dawna marzyłem, że usłyszę kiedyś od ciebie te słowa, Verno. I ja cię kocham.

- I nie przeszkadzają ci moje zmarszczki?

Na twarzy Warrena pojawił się jego charakterystyczny ciepły, promienny i słodki uśmiech.

- Jak je kiedyś wreszcie będziesz miała, to pokocham i twoje zmarszczki.

I za to właśnie - i za wszystko inne - go pocałowała.

Garstka żołnierzy w szkarłatnych pelerynach wyskoczyła z za rogu i chciała go zabić. Richard rzucił się na nich. Jednego kopnął w kolano,

drugiemu wbił nóż w brzuch. Zanim zdolali go dosięgnąć mieczami, podciął gardło trzeciemu i łokciem rozbił nos czwartemu.

Był siny z wściekłości - Zatracił się w szalejącym w nim magicznym gniewie.

Nie miał miecza, lecz magia go nie opuściła: był prawdziwym Poszukiwaczem Prawdy, człowiekiem nieodwołalnie sprzęgniętym ze swoją magią, z magią swojego miecza. Płonęła w nim wołą śmiertelnej zemsty. Proroctwa nazywały go *fuer grissa ost drauka*, co w górnod'harańskim oznaczało "dawcę śmierci", i właśnie poruszał się jak jej cień. Teraz pojmował te słowa tak, jak je napisano.

Parł przez żołnierzy Bractwa Czystej Krwi, jakby byli powalanymi wichrem posągami.

Po chwili znów zapanowała cisza.

Dyszący gniewem Richard stał nad ciałami i żałował, że to nie Siostry Mroku, a tylko ich służalcy. Chciał tamtych pięciu. Powiedziały mu, gdzie trzymano Kahlan, kiedy jednak dotarł na miejsce, jej już nie było. W powietrzu unosił się wciąż dym walki. Komnatę zniszczyła rozszalała magia. Znalazł zwłoki Brogana, Galtera i jakiejś kobiety, której nie rozpoznał.

Jeśli była tam Kahlan, to może uciekła, lecz chłopaka dręczyła obawa, że ukryły ją Siostry Mroku, że wciąż była więziona, że ją skrzywdzą lub - co gorsza - wydadzą Jagangowi. Musiał ją odnaleźć.

Powinien dopaść jakąś Siostrę Mroku i zmusić ją do mówienia.

Na terenie pałacu szalała walka. Richardowi zdawało się, że Bractwo Czystej Krwi atakowało wszystkich w pałacu. Widział zabitych gwardzistów, służące i Siostry.

Widział też wielu martwych członków bractwa. Siostry Mroku zabijały ich bez litości. Był świadkiem, jak jedna z Sióstr w okamgnieniu uśmierciła blisko setkę żołnierzy. Zobaczył również, jak atakujący ze wszystkich stron żołnierze powalili inną Siostrę. Rozdarli ją na strzępy niczym rozszalała sfora psów lisa.

Nie zdążył dopaść Siostry, która odparła atak, i teraz szukał następnej. Jedna z nich musi mu powiedzieć, gdzie jest Kahlan. I jedna z nich powie, choćby miał wybić wszystkie Siostry Mroku w Pałacu Proroków.

Dostrzegło go dwóch członków Bractwa Czystej Krwi i runęło ku niemu ścieżką. Richard czekał. Ich miecze przecięły jedynie powietrze. Powalił ich

nożem, nawet się nad tym nie zastanawiając, i pobiegł dalej, nim drugi z żołnierzy uderzył twarzą o ziemię.

Nie potrafił już policzyć, ilu członków bractwa zabił od początku walki. Uderzał nożem tylko wtedy, kiedy go atakowali; nie mógł ominąć wszystkich dostrzeżonych przez siebie żołnierzy. Jeśli uderzali na niego, to był to ich wybór, a nie jego. To nie ich chciał dopaść, lecz Siostrę.

W pobliżu muru, kierując się ku jednemu z osłoniętych dachem przejść, Richard trzymał się cieni zalegających pod kępą rozłożystych, pachnących wrzosów. Przyłgął do przypory w murze, bo z przejścia wyskoczyła jakaś postać. Kształty i powiewające w biegu włosy świadczyły, że to kobieta.

W końcu miał Siostrę.

Wysunął się przed nią i dojrzał błysk noża. Wiedział, że wszystkie Siostry noszą dakrę, więc najprawdopodobniej była to dakra, a nie zwyczajny nóż. Wiedział również, jak śmiertelnie groźna była ta broń i jak biegle Siostry się nią posługiwały. Nie ośmielił się ryzykować.

Kopnięcie wytrąciło jej nóż. Chętnie złamałby tej kobiecie szczękę, żeby nie mogła wołać o pomoc, ale musiała mówić. Jeśli będzie wystarczająco szybki, ta nie zdąży narobić krzyku.

Złapał ją za nadgarstek, skoczył za plecy, chwycił drugą pięść, kiedy chciała go uderzyć, i zdusił oba jej nadgarstki w jednej dłoni. Drugim ramieniem, tym z nożem, otoczył szyję kobiety i poleciał do tyłu. Upadł na plecy, przyciskając ją do piersi, i unieruchomił jej nogi, żeby nie kopała. W mgnieniu oka była bezradna. Przycisnął jej nóż do gardła.

- Jestem w bardzo złym humorze - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Umrzesz, jeśli mi nie powiesz, gdzie jest Matka Spowiedniczka.

Dyszała, chwytając z trudem powietrze. - Właśnie chcesz jej poderżnąć gardło, Richardzie. Jego umysł całą wieczność przesączał te słowa przez szalejącą w nim furie, próbując pojąć, co powiedziała. Tb jakaś zagadka.

- Pocałujesz mnie czy podetniesz mi gardło? - spytała, wciąż ledwo łapiąc oddech.

Tb był głos Kahlan. Puścił jej nadgarstki. Odwróciła się, jej twarz była tuż nad jego. To była ona. Naprawdę ona.

- Dziękuję warn, dobre duchy - wyszeptał i w końcu ją pocałował.

Gniew Richarda wyciszył się jak powierzchnia jeziora w letnią księżycową noc. Tulił Kahlan przepętniony tak wielkim, że bolesnym

szczęściem. Delikatnie dotknął palcami twarzy dziewczyny, dotknął swojego spełnionego snu. I ona przesunęła palcami po jego policzku, jej również słowa nie były potrzebne. Na jedno mgnienie świat się zatrzymał.

- Wiem, Kahlan - powiedział w końcu Richard - że jesteś na mnie zła, ale...

- Gdybym nie złamała miecza i nie musiała go zastąpić nożem, tak łatwo by ci nie poszło. Ale wcale się nie gniewam.

- Nie o to mi chodzi. Mogę wyjaśnić...

- Wiem, o co ci chodzi, Richardzie. Nie jestem zła. Ufam ci. Musisz się trochę wytłumaczyć, ale nie jestem zła. Mógłbyś mnie rozzłościć tylko w jeden sposób: oddalając się ode mnie choć o dziesięć stóp przez resztę swojego życia.

Richard się uśmiechnął.

- No to już nigdy się na mnie nie rozzłościysz. - Uśmiech zniknął, głowa chłopaka uderzyła o ziemię. - Ależ tak, rozgniewasz się. Nie wiesz, do czego doprowadziłem. Drogie duchy, ja...

Znów go pocałowała - czule, łagodnie, gorąco. Przesunął dłonią po gęstych, długich włosach Kahlan. Ujął ją za ramiona i odsunął od siebie.

- Musimy się stąd wydostać, Kahlan. Natychmiast. Mamy mnóstwo kłopotów. Ja mam mnóstwo kłopotów.

Kahlan usiadła na ziemi.

- Wiem. Nadchodzi Imperialny Ład. Musimy się spieszyć.

- Gdzie Zedd i Gratch? Chodźmy po nich i znikajmy.

- Zedd i Gratch? - Nachyliła ku niemu głowę. - Nie są z tobą?

- Ze mną? Nie. Myślałem, że są z tobą. Wysłałem Gratcha z listem. O drogie duchy, tylko mi nie mów, że nie dostałaś listu. Nic dziwnego, że jesteś na mnie zła. Wysłałem...

- Dostałam list. Zedd rzucił czar i stał się na tyle lekki, że Gratch mógł go nieść. Całe tygodnie temu Gratch zabrał Zedda do Aydindril.

Richard poczuł gorącą falę mdłości. Przypomniał sobie martwe mriswithy zaścielające wał obronny w Wieży Czarodzieja.

- Nie widziałem ich - wyszeptał.

- Może wyjechałeś, nim się zjawili. Przecież podróż tutaj musiała ci zająć wiele tygodni.

- Zaledwie wczoraj opuściłem Aydindril.

- Co takiego?! - szepnęła, otwierając szeroko oczy. - Jak mogłeś...

- Sylfa mnie przyniosła. Nie potrzebowała nawet dnia, żeby mnie tu dostarczyć. Przynajmniej tak mi się zdaje. Ale może to były dwa dni. Nie umiem powiedzieć, jednak księżyc wygląda tak samo...

Richard uświadomił sobie, że plecie bez związku, i zamilkł. Twarz Kahlan zaczęła mu się rozpywać we łzach. Jego głos brzmiał mu w uszach tak głucho, jakby mówił ktoś inny.

- Znalazłem na murach Wieży Czarodzieja miejsce, w którym toczyła się walka. Wszędzie dokoła leżały martwe mriswithy. Pamiętam, że pomyślałem, iż to wygląda tak, jakby Gratch je pozabijał. To było na skraju wysokiego muru. W wycięciu w murze było pełno krwi, krwawy ślad biegł w dół tej strony wieży. Dotknąłem krwi palcami. Krew mriswithów cuchnie. Część tej krwi nie należała do nich.

Kahlan objęła go pocieszająco.

- Zedd i Gratch - wyszeptał. - Tb musieli być oni.

- Tak mi przykro, Richardzie. - Przytuliła go mocniej. Wyswobodził się z jej ramion, wstał i pomógł się jej podnieść.

- Musimy się stąd wydostać. Zrobiłem coś okropnego i Aydindril jest w niebezpieczeństwie. Muszę tam wrócić.

Richard dostrzegł na szyi Kahlan Rada'Han.

- A co to robi na twojej szyi?

- Pojmał mnie Tobias Brogan. To długa historia.

Zanim skończyła mówić, chłopak położył dłoń na obroży. Bez świadomego myślenia, lecz dzięki potrzebie i gniewowi z wewnętrznego ośrodka spokoju trysnęła moc i popłynęła ramieniem Richarda.

Obroża pękła chłopakowi w dłoni, jakby zrobiono ją ze spieczonej słońcem ziemi.

Kahlan dotknęła palcami szyi. Westchnęła, niemal jęknęła z ulgą.

- Wróciła - szepnęła, przytulając się do chłopaka i przyciskając dłoń do piersi. - Znów czuję moją moc Spowiedniczki. Znów mogę jej dotknąć.

Richard objął ją ramieniem.

- Lepiej stąd chodźmy.

- Dopiero co uwolniłam Aherna. To wtedy złamałam miecz: na jednym z żołnierzy bractwa. Źle upadł - wyjaśniła, odpowiadając na jego nieme pytanie. - Powiedziałam Ahernowi, żeby się kierował na północ, wraz z

Siostrami.

- Siostrami? Jakimi Siostrami?

- Znalazłam Siostrę Verne. Zbiera Siostry Światła, młodych czarodziejów, nowicjuszek i gwardzistów. Zamierzają uciec. Właśnie idę do niej. Zostawiłam z nimi Adie. Pospieszmy się, a dogonimy ich, nim odejdą. Nie są daleko.

Kevin wyłonił się zza muru, żeby ich zatrzymać, i rozdziawił usta.

- Richard! - wyszeptał. - To naprawdę ty? Chłopak się uśmiechnął.

- Przepraszam, Kevinie, ale nie mam żadnych czekoladek. Kevin energicznie potrząsał dłonią Poszukiwacza.

- Jestem lojalny, Richardzie. Prawie wszyscy gwardziści są lojalni.

Chłopak zmarszczył brwi.

- Jestem... zaszczycony, Kevinie.

Gwardzista odwrócił się i zawołał głośnym szeptem:

- To Richard!

Kahlan i Richard przemknęli przez bramę, za mur, i od razu zebrał się wokół nich tłumek. W blasku ognia płonącego w dalekich dokach Richard dojrzał Verne i objął ją serdecznie.

- Verna! Tak się cieszę, że cię widzę! - Odsunął ją na odległość ramienia. - Ale muszę powiedzieć, że przydałaby ci się kąpiel.

Verna się roześmiała. Rzadko można było u niej usłyszeć ten radosny śmiech. Obok Siostry Światła przesunął się Warren i uściskał Richarda, śmiejąc się wesoło.

Chłopak ujął dłoń Verny, położył na niej pierścień Ksieni i zamknął na nim palce Siostry.

- Słyszałem, że Ann nie żyje. Tak mi przykro. To jej pierścień. Lepiej ode mnie będziesz wiedziała, co z nim zrobić.

Verna uniosła dłoń ku twarzy i wpatrzyła się w pierścień.

- Richardzie... skąd go masz?

- Kazałem Siostrze Ulicii, żeby mi go oddała. Tb nie ona powinna go nosić.

- Kazałeś...

- Verne mianowano Ksienią, Richardzie - wtrącił się Warren, kładąc uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

- Jestem z ciebie dumny, Verno. - Richard się uśmiechnął. - Więc znów

go załóż.

- Richardzie, Ann nie jest... Odebrano mi pierścień... Trybunał orzekł moją winę... i usunął mnie ze stanowiska Ksieni.

Zbliżyła się Siostra Dulcinia.

- Jesteś Ksienią, Verno. Każda z obecnych tu Sióstr broniła cię podczas procesu.

Verna przyjrzała się zwróconym ku niej twarzom.

- Uczyniłyście to?

- Tak - powiedziała Siostra Dulcinia. - Głosy tamtych przeważały, ale my wszystkie w ciebie wierzymy. To ciebie wyznaczyła Ksieni Annalina. Potrzebujemy Ksieni. Wsuń pierścień na palec.

Verna ze łzami wdzięczności skinęła potakująco Siostrami, które głośno poparły Dulcinię. Wsunęła pierścień na palec i ucałowała go.

- Musimy natychmiast uciekać. Imperialny Ład chce zająć pałac.

Richard złapał ją za ramię i obrócił ku sobie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że Imperialny Ład nadchodzi, żeby zająć pałac? Po co im Pałac Proroków?

- Chodzi o proroctwa. Imperator Jagang chce za ich pomocą poznać odgałęzienia, żeby móc nagiąć wydarzenia na swoją korzyść.

Pozostałe Siostry zachłyśnęły się oddechem. Warren z jękiem zakrył dłońią twarz.

- No i - dorzuciła Verna - chce zamieszkać tu, pod osłoną pałacowego czaru, by móc władać całym światem, kiedy już przepowiednie pozwolą mu zmiażdżyć całą opozycję.

Richard puścił jej ramię.

- Nie możemy mu na to pozwolić. Krzyżowałby nam plany przy każdym odgałęzieniu. Nie mielibyśmy najmniejszej szansy. Cały świat musiałby przez setki lat cierpieć pod jego tyranią.

- Nic na to nie poradzimy - odparła Verna. - Musimy uciekać, bo inaczej wszyscy tu zginiemy i nie będziemy już mogli nic zrobić, nie będziemy mogli wymyślić odwetu.

Richard przesunął wzrokiem po Siostrach, spośród których wiele znał, i ponownie spojrzął na Verne.

- A gdybym tak zniszczył to miejsce, Ksieni?

- Co?! Jak zdołałbyś to uczynić?

- Nie wiem. Ale zniszczyłem baszty, a i one zostały wzniesione przez dawnych czarodziejów. Może jest jakiś sposób?

Verna oblizła wargi, zapatrzyła się przed siebie. Tłum Sióstr milczał. Siostra Phoebe przepchnęła się naprzód.

- Nie możesz na to pozwolić, Verno!

- Może to jedyny sposób, by powstrzymać Jaganga.

- Ale nie możesz - powiedziała bliska łez Phoebe. - Tb Pałac Proroków. To nasz dom.

- Który teraz stanie się domem Nawiedzającego Sny, jeśli mu go zostawimy.

- Ależ Verno - Phoebe złapała ją za ramiona - przecież bez czaru się postarzejemy. Umrzemy, Verno. Nasza młodość przeminie w mgnieniu oka. Zestarzejemy się i umrzemy, nim zdążymy rozpocząć życie.

Verna otarła łzę z twarzy Phoebe.

- Wszystko umiera, Phoebe, nawet Pałac Proroków. Nie może żyć wiecznie. Spełnił swoje zadanie, a w tej chwili, jeżeli czegoś nie zrobimy, stanie się źródłem krzywdy.

- Nie możesz tego zrobić, Verno! Nie chcę się zestarzeć. Verna objęła młodą kobietę.

- Jesteśmy Siostrami Światła, Phoebe. Służymy Stwórcy, żeby uczynić lepszym życie ludzi na tym świecie. Teraz, by poprawić im życie, musimy się stać jak inne dzieci Stwórcy, musimy zamieszkać wśród nich. Rozumiem twój strach, Phoebe, ale uwierz mi, to wcale nie będzie tak, jak się obawiasz. Żyjąc pod czarem pałacu, inaczej odczuwamy czas. Nie czujemy powolnego biegu stuleci, lecz gwałtowny nurt życia. Żyjąc na zewnątrz, nie odczuwa się większej różnicy. Przysięgałyśmy służyć, a nie długo żyć. Jeśli chcesz mieć długie i puste życie, Phoebe, to możesz tu pozostać z Siostrami Mroku. Jeśli chcesz mieć życie pełne, bogate i pożyteczne, to chodź z nami, z Siostrami Światła, i dziel z nami nasze nowe życie.

Phoebe stała cichutko, a po jej policzkach spływały łzy. W oddali ryczał ogień, od czasu do czasu coś wybuchało. Zbliżały się krzyki walczących. W końcu Phoebe powiedziała:

- Jestem Siostrą Światła. Chcę odejść z moimi Siostrami... dokąd zaprowadzi nas los. Stwórca nadal będzie nad nami czuwał.

Verna się uśmiechnęła i pogładziła czule policzek Phoebe.

- Jeszcze ktoś? - spytała, patrząc na zebranych. - Czy jeszcze ktoś ma jakieś wątpliwości? Jeśli tak, to przedstawcie je teraz. Nie przychodźcie do mnie później i nie mówcie, że nie było okazji ich przedstawić. Słucham.

Wszystkie Siostry potrząsnęły głowami. Wkrótce wszystkie oznajmiły, że chcą odejść.

Verna poruszyła pierścieniem na palcu i spojrzała na Richarda.

- Myślisz, że zdołasz zniszczyć pałac? Czar?

- Nie wiem. Pamiętasz, jak pierwszy raz po mnie przysłaś i Kahlan posłała tę błękitną błyskawicę? Spowiedniczki dostały od czarodziejów, którzy stworzyli ich moc, element magii subtraktywnej. Może to narobi trochę szkody w podziemiach, jeśli mi się nie uda.

Kahlan dotknęła palcami pleców chłopaka i szepnęła:

- Nie sądzę, Richardzie, żebym to mogła zrobić. Tę magię przyzwałam dla ciebie, żeby cię bronić. Nie mogę jej przywołać z żadnego innego powodu.

- Musimy spróbować. Przynajmniej podpalimy prorocтва. Jeśli wzniesimy tam pożar, to spalą się wszystkie księgi i Jagang nie będzie mógł ich użyć przeciwko nam.

Do bramy podbiegła grupka kobiet i kilku młodych mężczyzn.

- Przyjaciele Richarda - rozległ się nagły szep. Kevin otworzył bramę i wpuścił ich.

Verna złapała jedną z kobiet za ramię.

- To już wszyscy, Filippo?

- Tak. - Wysoka kobieta zamilkła, łapiąc oddech. - Musimy się stąd zabierać. Przednie straże imperatora są już w mieście. Niektóre nadciągają przez południowe mosty. Bractwo Czystej Krwi wydało im walną bitwę.

- Widziałaś, co się dzieje w dokach? - spytała Verna.

- Jest tam Ulicia z kilkoma swoimi Siostrami. Te kobiety rozbijają w puch cały port. Jakby się rozpętały zaświaty. - Philippa położyła na ustach drżące palce i na moment zamknęła oczy. - Mają żeglarzy z *Lady Sefa*. - Głos odmówił jej posłuszeństwa. - Nie masz pojęcia, co czynią tym biednym ludziom. - Philippa odwróciła się, osunęła na kolana i zwymiotowała. Dwie z Sióstr, które z nią przybyły, uczyniły to samo. - Drogi Stwórco - wykrztusiła Philippa pomiędzy falami torsji - nawet sobie tego nie wyobrażasz. Będę miała koszmary przez resztę życia.

Richard spojrział w stronę, z której dobiegały bitewne krzyki i wrzaski.

- Natychmiast musisz stąd uciekać, Verno. Nie ma chwili do stracenia.

Przytaknęła.

- Ty i Kahlan nas dogonicie.

- Nie. Kahlan i ja musimy się natychmiast dostać do Aydindril. Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia, lecz oboje mamy magiczny dar, dzięki któremu możemy tego dokonać. Chciałbym zabrać was wszystkich, ale nie mogę. Pospieszcie się. Kierujcie się na północ. Spotkacie idącą ku południowi stutysięczną armię d'haranska, która poszukuje Kahlan. Będziecie się nawzajem wspierać. Powiedz generałowi Reibischowi, że Kahlan jest ze mną, bezpieczna.

Adie podeszła i ujęła dłoń Richarda.

- Jak Zedd?

Chłopakowi głos zamarł w gardle. Zamknął oczy, porażony bólem.

- Bardzo mi przykro, Adie, ale nie widziałem dziadka. Obawiam się, że mógł zginąć w więzy.

Adie otarła policzek, odkaszlnęła.

- Przykro mi, Richardzie - szepnęła swoim ochrypłym głosem. - Twój dziadek to porządny człowiek. Ale za wiele ryzykuje. Ostrzegalam go.

Richard objął starą czarodziejkę, a ona zapłakała cicho na jego piersi. Od bramy nadbiegł Kevin, z mieczem w dłoni.

- Ruszajmy, bo inaczej będziemy tu mieli walkę.

- Idźcie - powiedział Richard. - Nie wygramy tej wojny, jeśli zginiecie w bitwie. Musimy walczyć według naszych zasad, a nie według zasad Jaganga. Ma przy sobie nie tylko żołnierzy, ale i tych, którzy mają dar.

Verna spojrzała na zgromadzone Siostry, nowicjuszek i młodych czarodziejów. Wzięła za ręce dwoje dziewcząt, które najwyraźniej potrzebowały otuchy.

- Słuchajcie mnie wszyscy. Jagang jest Nawiedzającym Sny. Jediną ochroną przed nim jest nasza więź z Richardem. Richard urodził się z magicznym darem i z pochodzącą od przodków magiczną cechą, która chroni przed Nawiedzającymi Sny. Leoma chciała złamać tę więź, żeby Jagang mógł wniknąć do mojego umysłu i przywłaszczyć mnie sobie. Zanim stąd odejdziemy, wszyscy pokłońcie się i przysięgnijcie Richardowi wierność, byśmy mieli ochronę przed naszym wrogiem.

- Jeśli chcecie to uczynić - odezwał się Richard - to niech się to odbędzie tak, jak to ustalił Alric Rahl, który stworzył ochronną więź. Skoro chcecie to uczynić, proszę, byście wygłosili formułę, którą on zapisał i przekazał.

Chłopak powtórzył im słowa, które sam kiedyś wymawiał, a potem stał w milczeniu, czując ciężar odpowiedzialności nie tylko za tu zebranych, ale i za tysiące uzależnionych od niego ludzi w Aydindril. Siostry Światła i ich podopieczni uklęknęli i jednym głosem, unoszącym się w noc ponad dźwiękami walki, zadeklarowali swoją więź, mówiąc:

“Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie”.

ROZDZIAŁ 51

Richard przycisnął Kahlan do ściany w ociekającym wilgocią, mrocznym kamiennym korytarzu i odczekał, aż garstka żołnierzy w szkarłatnych pelerynach minie skrzyżowanie. Kiedy echo ich kroków ucichło w oddali, Kahlan stanęła na palcach i wyszeptała:

- Nie podoba mi się tutaj. Zdołamy wydostać się stąd żywi? Richard pocałował ją w zmarszczone w trosce czoło.

- Oczywiście, że wydostaniemy się stąd żywi. Obiecuję. - Wziął ją za rękę i pochylił się pod niską belką. - Chodź, podziemia są tuż przed nami.

Woda ściekająca po złączeniach i kamiennych blokach zostawiła w zimnym korytarzu jasnożółte ślady. Miejscami z sufitu sterczały żółte kamienne sople, z których od czasu do czasu kapąły krople wody, uderzając o kamienne wzniesienia na podłodze. Za dwiema pochodniami korytarz rozszerzył się i stał wyższy, tak że swobodnie mieścił potężne zaokrąglone wejście do podziemi.

Gdy tylko zobaczyli grube na sześć stóp kamienne drzwi, Richard od razu zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Nie tylko dostrzegł za nimi niesamowitą poświatę, ale też zjeżyły mu się włosy na karku. Poczł również na ramionach muśnięcia magii przypominające dotknięcia pajęczyny. Potarł ramiona i nachylił się ku Kahlan.

- Czujesz coś dziwnego? Potrząsnęła przecząco głową.

- Ale w tym blasku jest coś dziwnego.

Kahlan zmyliła krok. Zbliżyli się do zaokrąglonego wejścia do podziemi i Richard zobaczył ciało. Przed nimi leżała na podłodze skulona kobieta. Wyglądała jakby spała, lecz chłopak wiedział, że nie śpi. Była nieruchoma jak kamień.

Podeszli bliżej i spostrzegli, że po prawej leżał na podłodze pod ścianą blisko tuzin ciał żołnierzy Bractwa Czystej Krwi. Chłopak drgnął i poczuł mdłości. Każdego z żołnierzy przecięto na wysokości piersi na półpancerz, pelerynę, całą resztę. Na podłodze stało jezioro krwi.

Obawy chłopaka rosły z każdym stawianym powoli krokiem przybliżającym ich ku otworowi w ścianie.

- Słuchaj, najpierw muszę coś zabrać. Poczekaj tu, aż wrócę. To zajmie

mi ledwie kilka minut.

Kahlan złapała go za rękaw.

- Znasz zasady? - Jakie zasady?

- Przez resztę życia nie możesz się oddalić ode mnie dalej niż na dziesięć stóp, bo inaczej się rozzłoszczę.

Richard spojrzął w jej zielone oczy.

- Wolę, żebyś była zła niż martwa.

- Teraz tak uważasz. - Zmarszczyła gniewnie brwi. - Za długo czekałam na to, by być przy tobie, żeby cię teraz puszczać samopas. Co jest tam tak ważnego, że chcesz po to pójść? Możemy spróbować zadziałać stąd. Możemy rzucić pochodnie i wszystko podpalić, albo coś w tym rodzaju. Cały ten papier zapali się jak przesuszona trawa. Nie musimy tam wchodzić.

- Czy kiedykolwiek powiedziałem ci, jak bardzo cię kocham? - Richard się uśmiechnął.

- Mów. - Szturchnęła go w ramię. - Z jakiego powodu ryzykujemy życie?

Chłopak poddał się z westchnieniem.

- W głębi podziemi jest księga prorocत्व, która ma ponad trzy tysiące lat. Są w niej również przepowiednie o mnie. Już mi kiedyś pomogła. Skoro mamy zniszczyć owe księgi, to chciałbym zabrać choć tę jedną. Może się znów przyda.

- Co powiedziano w niej o tobie?

- Nazwano mnie *fuer grissa ost drauka*.

- Co to znaczy?

Richard obrócił się ku podziemiom.

- Ten, który jest dawcą śmierci. Kahlan przez chwilę milczała.

- Jak tam wejdziemy?

Chłopak przyjrzał się martwym żołnierzom.

- Na pewno nie piechotą. - Uniósł rękę na wysokość piersi. - Coś ich przecięło na tej wysokości. Nie wolno nam stać.

Mniej więcej na tej wysokości unosiła się w podziemiach cieniutka warstewka *mgły*. Połyskiwała, jakby czymś rozświetlona, lecz chłopak nie wiedział czym.

Wpełzli na czworakach do podziemi, pod ową dziwną, świetlistą warstwę. Trzymali się blisko ściany, nim dotarli do półek, żeby ominąć kałuże krwi. Od spodu świetlista mgła wydawała się jeszcze dziwniejsza. Nie

przypominała żadnej mgły czy dymu, jakie Richard widział do tej pory. Wyglądała, jakby została utworzona ze światła.

Zamarli, słysząc zgrzytliwy dźwięk. Richard obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że zamykały się sześciostopowe drzwi. Oceniał, że choćby nie wiem jak szybko ku nim skoczyli, to i tak nie zdążą ich dopaść, nim się zamkną.

- Jesteśmy tu zamknięci? - spytała Kahlan. - W jaki sposób się wydostaniemy? Jest stąd jakieś inne wyjście?

- Tb jedyne drzwi, ale mogę je otworzyć - odparł Richard. - Działają w połączeniu z osłoną. Otworzą się, gdy przyłożę dłoń do metalowej płytki w ścianie.

- Na pewno, Richardzie? - Zielone oczy studiowały jego twarz. - Na pewno. Przedtem zawsze się udawało. - Richardzie, skoro jesteśmy już razem po tych wszystkich przejściach, to chcę, żebyśmy stąd wyszli żywi.

- I wyjdziemy. Musimy. Są ludzie, którym potrzebna jest nasza pomoc.

- WYdindril?

Potaknął, próbując znaleźć słowa, którymi mógłby jej opisać to wszystko, co chciał powiedzieć. Słowa, które zasypałyby przepaść między nimi - a bał się, że taka istnieje. Przepaść, którą sam wykopał.

- Kahlan, tego, co zrobiłem, nie uczyniłem dlatego, że chciałem czegoś dla siebie. Przysięgam, że nie. Chcę, byś to wiedziała. Wiem, jak bardzo cię zraniłem, ale tylko to jedno potrafiłem wymyślić, nim byłoby za późno. Zrobiłem to jedynie dlatego, iż szczerze wierzę, że to jedyna szansa ocalenia Midlandów przed Imperialnym Łądem. Wiem, że Spowiedniczki mają chronić lud, a nie tylko nim władać. Wierzyłem, iż dostrzeżesz, że kierowały mną te same cele, choć nie były one zgodne z twoimi życzeniami. Chciałem chronić ludzi, a nie władać nimi, lecz serce mnie bolało z powodu tego, co tobie uczyniłem.

W kamiennej komnacie długo trwała martwa cisza.

- Byłam zdruzgotana, Richardzie, kiedy po raz pierwszy przeczytałam twój list. W moich dłoniach spoczywała uświęcona wiara i nie chciałam być tą Matką Spowiedniczką, która straci Midlandy. Gdy wieźli mnie tu z obrożą na szyi, miałam wiele czasu na myślenie. Dzisiejszej nocy Siostry uczyniły coś szlachetnego. Poświęciły liczące trzy tysiące lat dziedzictwo, żeby pomóc ludziom. Poświęciły je dla wyższego celu. Mogę nie być zadowolona z tego,

co zrobiłeś, i wciąż musisz wyjaśnić mi kilka rzeczy, lecz wysłucham tego z sercem przepelnionym miłością, nie tylko do ciebie zresztą, ale i do ludzi Midlandów, którzy nas potrzebują. Przez całe tygodnie podróży na południe myślałam o tym, że powinniśmy żyć przyszłością, a nie przeszłością. Chcę, by przyszłość umożliwiła nam życie w pokoju i bezpieczeństwie. To ważniejsze niż wszystko inne. Znam cię i wiem, że nie kierowały tobą samolubne pobudki.

Richard pogłaskał jej policzek.

- Jestem z ciebie dumny, Matko Spowiedniczo. Ucałowała jego palce.

- Potem, kiedy nie będą już próbowali nas zabić, postąpię, jak przystało na Matkę Spowiedniczkę: skrzyżuję ramiona, zmarszczę brwi i będę tupać nogą, ty zaś będziesz się jąkał i plątał, próbując wyjaśnić swoje postęпки. Ale czy teraz nie moglibyśmy się stąd wreszcie wynieść?

Uspokojony Richard uśmiechnął się i popęzł w głąb podziemi. Cienka warstwa lśniącej mgiełki rozciągała się na całą komnatę. Chłopak bardzo chciał wiedzieć, co to takiego.

Kahlan trzymała się bliżej niego. Bacznie obserwował każdy mijany rząd półek i omijał miejsca, w których wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiedział, czy przeczucie jest prawdziwe, czy nie, nie ośmielał się go jednak ignorować. Uczył się polegać na swoich instynktach i zwracać mniej uwagi na dowody.

Wreszcie dotarli do małej komnaty na tyłach i Richard przyjrzał się księgom na półce. Dojrzał tę, której szukał. Cała rzecz w tym, że była ponad mgiełką. Z pewnością nie będzie ryzykował i sięgał przez mgłę. Nie wiedział, czym dokładnie był ów świetlisty blask, ale pojmował, że to jakiś rodzaj magii, i pamiętał, co spotkało żołnierzy. Wraz z Kahlan tak długo kotysali regał, że w końcu się przewrócił. Oparł się o stół i książki się rozsypały, lecz ta właściwa spadła na blat. Świetlista mgiełka wisiała tuż nad księgą. Richard przesunął ostrożnie dłoń po blacie, czując mrowienie powodowane przez tak bliziotką magię. W końcu złapał końcami palców księgę i ściągnął ją ze stołu.

- Coś jest nie tak, Richardzie.

Chwycił wolumin i pospiesznie go przekartkował, by upewnić się, że to ten właściwy. Teraz czytał już w górnod'harańskim, więc rozpoznał kilka słów, nie miał jednak czasu zastanowić się, co mówiła księga.

- Co? Co jest nie w porządku?

- Spójrz na tę mgłę. Kiedy tu weszliśmy, była na wysokości piersi. To na pewno ona rozcięła owych żołnierzy. Przyjrzyj się jej teraz.

Nawet nie zauważył, kiedy mgła opadła na wysokość stołu. Richard wsunął księgę za pas.

- Pospieszmy się. Posuwaj się za mną.

Chłopak wypełził z komnaty, Kahlan tuż za nim. Nie wiedział, co się stanie, gdy mgła ich dosięgnie, lecz mógł to sobie wyobrazić.

Kahlan krzyknęła. Richard odwrócił się i zobaczył, że leży rozplaszczona na podłodze.

- Co się stało?

Usiłowała się podciągnąć na łokciach - bez skutku.

- Coś mnie trzyma za kostkę.

Chłopak cofnął się ku niej i chwycił ją za nadgarstek.

- Puściło. Kiedy tylko mnie dotknąłeś, puściło.

- Chwyć moją kostkę i znikajmy stąd.

- Richardzie! Spójrz! - Kahlan aż zachłysnęła się oddechem.

Gdy dotknął Kahlan, mgła nad ich głowami obniżyła się, zupełnie jakby magia wyczuła owo dotknięcie, jakby wyczuła swoją zdobycz, i opadała, by ich pochwycić. Ledwo mieli dość miejsca, by pełznąć. Richard pomknął ku drzwiom, a Kahlan za nim, trzymając go za kostkę.

Nim dopadli drzwi, mgła obniżyła się na tyle, że Richard czuł już na plecach jej żar.

- Padnij!

Kahlan rozplaszczyła się na podłodze i dalej już się czołgali. W końcu dotarli do drzwi, a tam Richard obrócił się na plecy. Blask unosił się kilka cali nad nimi. Kahlan złapała chłopaka za koszulę i podciągnęła bliżej.

- Co zrobimy, Richardzie?

Chłopak patrzył na metalową płytkę. Była powyżej lśniącej, rozciągającej się od ściany do ściany warstwy. Nie dosięgnie jej, jeśli nie wyciągnie ramienia przez groźną poświatę.

- Musimy się stąd wydostać albo to nas zabije, jak zabiło tamtych żołnierzy. Muszę wstać.

- Zwariowałeś? Nie możesz tego zrobić!

- Mam pelerynę mriswitha. Może światło mnie nie znajdzie, jeśli z niej skorzystam.

- Nie! - Kahlan usiłowała go powstrzymać. -I tak umrzemy, jeśli nie spróbuję.

- Nie, Richardzie!

- A masz lepszy pomysł? Mamy coraz mniej czasu.

Warknęła gniewnie i wyciągnęła ramię ku drzwiom. Z jej pięści strzeliła błękitna błyskawica. Drzwi otoczyły błękitne syczące płomyki.

Cieniutka warstwa świetlistej poświaty cofnęła się, jakby była żywa i dotyk magii dziewczyny sprawiał jej ból. Ale drzwi ani drgnęły.

Gdy mgiełka wycofała się na środek komnaty, Richard poderwał się i przycisnął dłoń do metalowej płytki. Wrota jęknęły i zaczęły się otwierać. Uchyliły się i błękitne błyskawice Kahlan zgasły. Mgiełka znów zaczęła się rozprzestrzeniać i obniżać.

Richard złapał Kahlan za rękę. Wstał i przecisnął się przez szparę w drzwiach, po czym wyciągnął za sobą dziewczynę. Po drugiej stronie padli na podłogę, czepiając się siebie i z trudem chwytając powietrze.

- Udało się - powiedziała Kahlan. Nie była już przerażona. - Wiedziałam, że jesteś w niebezpieczeństwie, więc moja magia zadziałała.

Drzwi się otworzyły i światło wymknęło się za nimi na korytarz.

- Musimy uciekać - powiedział Richard.

Wstali i zaczęli się wycofywać, obserwując ścigającą ich mgłę. Oboje jęknęli, gdy uderzyli w niewidzialną przeszkodę, Richard zbadał dłońmi jej powierzchnię, lecz nie wyczuł żadnego otworu. Odwrócił się: mgła niemal już ich dopadła.

W nagłym gniewie potrzeby bez zastanowienia wyrzucił przed siebie ręce.

Strzeliły czarne błyskawice, wijące się linie próżni w życiu i świetle. Wyglądało to tak, jakby biła z wyciągniętych dłoni Richarda sama wiekuista śmierć. Magia subtraktywna z ogłuszającym hukiem wtargnęła w świat. Kahlan drgnęła. Zasłoniła uszy i cofnęła się przed tym widokiem.

W centrum podziemi świetlista mgła rozplomieniała się, zaczynała płonąć. Richard czuł potężne basowe dudnienie w piersi i w kamiennej podłodze pod stopami.

Upadły półki z książkami, mrowie kart uniosło się w powietrze i w mgnieniu oka spłonęło jak iskierki z ogniska. Blask był niczym żywa istota. Chłopak czuł, jak buchają zeń czarne błyskawice, a moc i furia

przekraczająca jego rozumienie rozpała się w nim i wydziera w głąb podziemi.

Kahlan szarpała go za ramiona.

- Richardzie! Richardzie! Musimy uciekać! Richardzie! Wysłuchaj mnie! Uciekaj!

Głos dziewczyny brzmiał tak, jakby dobiegał doń z wielkiej oddali. Nagle czarne linie magii subtraktywnej zniknęły. Świat powrócił, wdarł się do pustki jego świadomości i Richard znów poczuł się żywy. Żywy i przerażony.

Zniknęła niewidoczna przeszkoda przecinająca drogę ich ucieczki. Richard chwycił rękę Kahlan i zaczął biec. Za nimi huczał i zawodził świetlisty rdzeń, rozżarzając się coraz bardziej. Dźwięk osiągał coraz wyższą tonację.

O drogie duchy, pomyślał Richard, co ja zrobiłem.

Biegli kamiennymi korytarzami, w górę schodów, przez hole, które na każdym poziomie stawały się coraz bardziej wyszukane, wyłożone boazerią, wysłane dywanami. Lampy zastąpiły pochodnie. Przed nimi biegły ich długie cienie, ale nie było to dzieło lamp, lecz płonącego z tyłu żywego ognia.

Wypadli na zewnątrz, w noc, w której toczyła się walka. Żołnierze w szkarłatnych pelerynach walczyli z ludźmi o nagich ramionach, ludźmi, jakich Richard nigdy jeszcze nie widział. Niektórzy mieli brody, wielu innych gładko wygolone głowy, ale każdy nosił w lewym nozdrzu kółko. Dziwaczne pasy i rzemienie, niektóre nabijane kolcami, skóry oraz futra sprawiły, że wyglądali na dzikich barbarzyńców. Wrażenie to potwierdzał sposób, w jaki walczyli: wyszczerzone w ponurym uśmiechu, zaciśnięte zęby, miecze, topory oraz cepy spadające na przeciwnika i torujące drogę tarcze z pękiem kolców pośrodku.

Richard nie widział nigdy takiego wojska, lecz zdawał sobie sprawę, iż musi to być Imperialny Ład.

Chłopak nie zwolnił. Ciągnął za sobą Kahlan i przemykał się wśród walczących. Mknął w stronę mostu. Jeden z żołnierzy Imperialnego Ładu rzucił się ku niemu i chciał mu podstawić nogę. Richard ominął go, złapał nogę wojownika i odrzucił go w bok, ani na chwilę nie zwalniając tempa. Zaatakował go drugi najemnik Ładu. Chłopak uderzył go łokciem w twarz i odrzucił z drogi.

Na środku wschodniego mostu, który wiódł w stronę lasów Hagen, kilku

żołnierzy Bractwa Czystej Krwi walczyło z kilkoma żołnierzami Imperialnego Ładu. Richard zanurkował pod wzniesiony nań miecz, zepchnął żołnierza do rzeki i skoczył w powstałą w ten sposób lukę.

Za plecami słyszał górujące nad odgłosami walki, szczękiem mieczy i krzykami żołnierzy wycie magicznego światła. Biegł. Nogi jakby same go niosły, kierowane chęcią ucieczki. Uciekały przed czymś gorszym niż miecze i noże. Kahlan nie potrzebowała pomocy - była tuż za Richardem.

Byli po drugiej stronie rzeki, nie zdążyli się jednak jeszcze zagłębić zbyt daleko w miasto, kiedy noc zniknęła, przegnana oślepiającym blaskiem kładącym atramentowe cienie od strony pałacu. Oboje przykucnęli za tynkowaną ścianą zamkniętego sklepu i z trudem chwyтали oddech. Richard wyjrzał zza rogu budynku i zobaczył oślepiające światło bijące ze wszystkich okien pałacu. Wydostawało się nawet z tych, które były w wysokich wieżach. Zdawało się, że blask przesącza się przez spojenia kamieni.

- Możesz jeszcze trochę pobiec? - zapytał, dysząc ciężko.

- Nie chciałabym cię zatrzymać - brzmiała odpowiedź.

Richard dobrze znał miasto pomiędzy pałacem a przedmieściami. Poprowadził Kahlan przez przerażone, zawodzące tłumy. Przemierzali ciasno zabudowane ulice i pełne drzew aleje, aż w końcu dotarli na obrzeże Tanimury.

W połowie wzgórza wznoszącego się za doliną, w której leżała Tanimura, Richard poczuł wstrząs, który omal nie zwałił go z nóg. Nie obejrzał się. Objął Kahlan ramieniem i zanurkował w płytkie zagłębienie w granicie. Przytulili się do siebie, spoceni i wyczerpani, a ziemia drżała.

Wysunęli głowy w sam czas, by zobaczyć, jak światło rozrywa masywne wieże i kamienne mury Pałacu Proroków, jakby to były roznoszone huraganem papierowe domki. Wyglądało to tak, jakby pękała cała wyspa Halsband. W powietrze poleciały fragmenty drzew, wielkie kawały darni, różnej wielkości kamienie. Oślepiający blask niósł przed sobą otoczkę mrocznych szczątków. Rzeka została pozbawiona wody i mostów.

Kula ognia rozdymała się z rykiem. Miasto poza wyspą jakoś opierało się tej furii.

Niebo zapłonęło, tak jakby sklepienie niebieskie paliło się ze współczucia dla oślepiającego żaru na dole. Lśniący klosz światła opadał ku ziemi całe mile od miasta. Richard pamiętał tę granicę: to była zewnętrzna osłona,

która nie pozwalała mu odejść, gdy miał na szyi Rada'Han.

- Rzeczywiście, dawca śmierci - wyszeptła Kahlan, kiedy patrzył na to wszystko porażony grozą. - Nie wiedziałam, że potrafisz uczynić coś takiego.

- Ja też nie - szepnął Richard w odpowiedzi.

Fala ryczącego powietrza biegła wzgórzem. Schylili się, a nad nimi przemknęła ściana piasku i ziemi.

W końcu wszystko się uspokoiło i ostrożnie usiedli. Powróciła noc. W mroku, który nagle zapadł, Richard widział niewiele, lecz zdawał sobie sprawę, że Pałac Proroków zniknął.

- Uczyniłeś to, Richardzie - powiedziała wreszcie Kahlan.

- My to uczyniliśmy - odparł, wpatrzony w martwą, czarną wyrwę w światłach miasta.

- Cieszę się, że zabrałeś tę księgę. Chcę wiedzieć, co jeszcze o tobie mówi.

- Zaczęła się uśmiechać. - Coś mi się zdaje, że Jagang tu nie zamieszka.

- Raczej nie. Nic ci się nie stało?

- Nic. Ale cieszę się, że jest już po wszystkim.

- Obawiam się, że to dopiero początek. Chodź, sylfa zanieś nas do Aydindril.

- Jeszcze mi nie powiedziałeś, czym ona właściwie jest.

- Z pewnością byś mi nie uwierzyła. Chodź i sama zobacz.

- Wstrząsające, czarodzieju Zoranderze - powiedziała Ann, odwracając się.

- Ale to nie moje dzieło - odburknął Zedd.

Ann otarła policzki z łez, ciesząc się, że mrok skrywa je przed Zeddem, lecz musiała uważać, by głos nie zdradził jej uczuć.

- Może i nie rzuciłeś pochodni, ale przygotowałeś stos. To imponujące. Widziałam, jak sieć światła rozrywa komnatę, lecz to...

- Przykro mi, Ann. - Zedd dotknął łagodnie jej ramienia.

- Cóż, stało się to, co musiało się stać. Zedd ścisnął jej ramię na znak, że rozumie.

- Ciekaw jestem, kto rzucił pochodnię.

- Siostry Mroku mogą korzystać z magii subtraktywnej. Może jedna z nich przypadkowo aktywowała sieć.

Zedd spojrział na nią w mroku.

- Przypadkowo? - Cofnął dłoń i chrząknął powątpiewająco.

- Tak to musiało się odbyć - powiedziała z westchnieniem.
- Powiedziałbym, że to trochę więcej niż przypadek. - W owym szepcie pobrzmiwała nutka dumy.

- A co?

Udał, że nie słyszy.

- Lepiej odszukajmy Nathana - zaproponował.

- O tak. - Ann nagle przypomniała sobie o Proroku. Ścisnęła rączkę Holly.
- To tutaj właśnie go zostawiliśmy. Powinien tu gdzieś być. - Ann wpatrzyła się w oświetlone księżycem wzgórze. Dostrzegła grupę zmierzającą drogą na północ: powóz i tłumek ludzi, przeważnie konno. Było ich tak wiele, że je wyczuła. To jej Siostry Światła. Dziękuję ci, Stwórco. Jednak się wydostały.

- Sądziłam, że znajdziesz go dzięki tej przeklętej obroży. Ann zaczęła przeszukiwać chaszczę.

- Owszem. Ona informuje mnie, że gdzieś tutaj powinien być. Może ranił go prąd powietrza. Skoro czar został zniszczony, to Nathan musiał tu być, wykonując swoje dzieło przy zewnętrznej osłonie. Może więc jest ranny. Pomóż mi szukać.

Holly też szukała, ale trzymała się w pobliżu. Zedd zapędził się ku otwartej, płaskiej przestrzeni. Kierował się linią nachylenia połamanych krzaków i gałęzi. Szukał w centrum węzła, gdzie moc powinna być największa. Ann właśnie się schylała, żeby przejrzeć zagłębienia w skałach, kiedy ją zawołał. Wzięła Holly za rączkę i pospieszyła do starego czarodzieja.

- O co chodzi?

Wskazał ręką. Ze szczeliny granitowego głazu sterczało coś okrągłego. Tkwiło prościutko, żeby nie mogli nie zauważyć. Ann wyjęła to. Wpatrzył się z niedowierzaniem.

- To Rada'Han Nathana.

Holly wstrzymała oddech.

- Och, Ann, może on nie żyje. Może magia zabiła Nathana. Ann obróciła w palcach obrożę. Była zatrzęsnięta.

- Nie, Holly. - Pogłaskała małą po główce. - Nie został zabity, bo coś byśmy znaleźli. Ale co to znaczy, drogi Stwórco?

- Co to znaczy? - zachichotał Zedd. - A to, że się uwolnił. Wbił to w kamień, by mieć pewność, że to zobaczysz. Jakby zagrał ci na nosie. Nathan chciał, byśmy wiedzieli, że sam zdjął obrożę. Pewno przyłączył do niej moc

węzła, albo coś w tym rodzaju. - Zedd westchnął. - Cóż, odszedł. A teraz zdejmij moją brozę.

Ann opuściła rękę z Rada'Han i zapatrzyła się w noc.

- Musimy go odszukać.

- Zdejmij moją brozę, jak obiecałaś, a potem możesz za nim popędzić.

Dodam, że beze mnie.

- Idziesz ze mną. - W Ann narastał gniew.

- Z tobą? Kurczę, na pewno tego nie zrobię!

- Idziesz.

- Zamierzasz złamać swoje słowo!

- Nie, zamierzam dotrzymać słowa, kiedy tylko odnajdziemy tego nieznośnego Proroka. Nie masz pojęcia, jakie komplikacje może spowodować ten człowiek.

- I po co ci jestem potrzebny!?! Pogroziła mu palcem.

- Pójdiesz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie. Kiedy go znajdziemy, to zdejmę ci brozę. Ale nie wcześniej.

Zedd potrząsnął gniewnie pięściami, a Ann poszła po konie. Jej wzrok powędrował ku odległemu, oświetlonemu księżycem wzgórzu, ku kierującej się na północ grupie Sióstr. Przyproceedziła konie i przykucnęła przed Holly.

- Holly, mam dla ciebie ważne i nagłe zadanie. Pierwsze zadanie dla nowicjuszek, która zostanie Siostrą Światła.

Holly skinęła poważnie główką.

- Co to takiego, Ann?

- Ja i Zedd musimy odszukać Nathana. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, ale musimy się pospieszyć, nim zdąży stąd zniknąć.

- Nim zdąży stąd zniknąć! - jęknął za nią Zedd. - Miał na to całe godziny. Bardzo nas wyprzedził. Nie wiadomo, w którą stronę poszedł. Już zniknął.

Ann obejrzała się na niego przez ramię.

- Musimy go znaleźć. - Znów popatrzyła na Holly. - Musimy się spieszyć i nie mamy czasu, żeby gonić Siostry Światła, o te, na tamtym wzgórzu. Chcę, żebyś do nich dotarła i opowiedziała Siostrze Vernie wszystko, co wiesz o tym, co się wydarzyło.

- Co powinnam jej powiedzieć?

- Wszystko, co wiesz o tym, co zobaczyłaś i usłyszałaś, kiedy byłaś z nami. Powiedz jej prawdę i niczego nie ubarwiaj. Tb ważne, by wiedziała, co

się dzieje. Przekaż jej, że Zedd i ja ruszamy za Nathanem i że dołączymy do nich, kiedy tylko będziemy mogli, ale że najpierw musimy odnaleźć Proroka. Powiedz Vernie, żeby w dalszym ciągu szły na północ, by uciec przed Imperialnym Ładem.

- Zrobię to.

- To nie jest daleko, a ta droga doprowadzi cię do tej, po której oni pojadą, więc ich nie miniesz. Twój koń zna cię i lubi. Zaopiekuje się tobą. Dotrzesz tam za godzinę lub dwie, a potem wszystkie Siostry będą o ciebie dbać i kochać cię. Siostra Verna wie, co robić.

- Będę za tobą tęsknić, dopóki do nas nie dojedziesz. - Głosik Holly dławili łzy.

Ann przytuliła dziewczynkę.

- I ja będę ogromnie za tobą tęskniła, Holly. Chciałabym cię z nami zabrać, bo byłaś bardzo pomocna, ale musimy się spieszyć, jeśli mamy dogonić Nathana. Siostry, a szczególnie Ksieni Verna, powinny wiedzieć, co się stało. Tb bardzo ważne i dlatego muszę cię do nich wysłać.

Ann podsadziła dziewczynkę na siodło, ucałowała jej rączkę i podała małej lejce. Patrzyła i machała na pożegnanie, a Holly kłusowała w kierunku Sióstr Światła.

Potem Ann odwróciła się ku ziejącemu gniewem czarodziejowi.

- No to ruszajmy, skoro mamy dogonić Nathana. - Poklepała Zedda po kościstym ramieniu. - To nie potrwa długo. Obiecuję, że gdy tylko go złapiemy, to zdejmę ci obrożę.

ROZDZIAŁ 52

Lasy Hagen były równie mroczne i niegościnnie jak zawsze, jednak Richard był pewny, że mriswithy odeszły. Nie wyczuł ani jednego, kiedy szli z Kahlan przez posępny bór. Lasy Hagen, choć odpychające, były opuszczone: wszystkie mriswithy odeszły do Aydindril. Chłopak zadrżał na myśl, co to oznacza.

Kahlan westchnęła nerwowo, splótła palce i wpatrzyła się w miłą, uśmiechniętą srebrną twarz sylfy.

- Zanim to zrobimy, Richardzie, to na wszelki wypadek, gdyby coś się nie udało, chcę ci powiedzieć, że wiem, co się stało, kiedy byłeś tutaj więźniem, i że nie mam o to do ciebie żalu. Myślałeś, że cię nie kocham, i byłeś zupełnie sam. Rozumiem to.

Chłopak zmarszczył brwi i nachylił się ku niej.

- O czym ty mówisz? Co zrobiłem? Kahlan odkaslnęła.

- Merissa. Wszystko mi powiedziała.

- Merissa!

- Tak. Rozumiem i nie mam do ciebie pretensji. Myślałeś, że już nigdy mnie nie zobaczysz.

Richard był zdumiony.

- Merissa jest Siostrą Mroku. Chce mnie zabić.

- Ale powiedziała mi, że była twoją nauczycielką, gdy tu wcześniej byłeś. Powiedziała, że... Poznałam ją, jest piękna. Byłeś sam i nie żywię do ciebie urazy.

Richard ujął Kahlan za ramiona i siłą odwrócił od sylfy.

- Kahlan, nie wiem, co ci powiedziała Merissa, aleja mówię ci prawdę: od dnia, kiedy cię spotkałem, kocham jedynie ciebie. Nikogo innego. Tak, byłem samotny, kiedy zmusiłaś mnie do założenia obroży i kiedy myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę, nigdy jednak nie sprzeniewierzyłem się miłości do ciebie. Nie zrobiłem tego nawet wtedy, gdy myślałem, że ją utraciłem. Chociaż myślałem, że mnie nie chcesz, to nigdy... ani z Merissa, ani z żadną inną.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Na twarz Kahlan wypląnął ów specjalny, przeznaczony wyłącznie dla niego uśmiech.

- Adie próbowała mi powiedzieć to samo. Bałam się, że umrę, nim cię znów zobaczę, i chciałam, żebyś wiedział, że kocham cię bez względu na wszystko. Jakaś część mnie boi się to uczynić. Boję się, że się tam utopię.

- Sylfa cię dotknie i powie, czy możesz nią podróżować. I ty masz element magii subtraktywnej. Podróżować mogą tylko ci, którzy mają dar obu magii. Na pewno się uda. Zobaczysz. - Uśmiechnął się do niej pogrzipiająco. - Nie ma się czego bać, zapewniam cię. To jest niepodobne do wszystkiego, czego dotąd doświadczyłaś. Cudowne. Już w porządku?

Potaknęła.

- W porządku. - Objęła go tak mocno, że aż stracił oddech. - Ale na wypadek gdybym się utopiła, chcę, żebyś wiedział, jak bardzo cię kocham.

Richard pomógł jej wejść na okalający sylfę kamienny murek i spojrzął na mroczne lasy wokół ruin. Nie wiedział, czy istotnie obserwowały ich czyjeś oczy, czy też poczucie to wynikało jedynie z jego obaw. Nie wyczuł żadnego mriswitha, więc nie był to żaden ze stworów. Chłopak uznał, że to doświadczenia wyniesione z lasów Hagen napawały go tym lękiem.

- Jesteśmy gotowi, sylfo. Wiesz, jak długo to potrwa?

- Jestem wystarczająco długa - zabrzmiała odpowiedź. Richard westchnął i mocniej ścisnął dłoń Kahlan.

- Zrób to, co mówiliśmy.

Potaknęła, po raz ostatni łapczywie chwytając powietrze.

- Będę przy tobie. Nie bój się.

Uniosło ich ramię z płynnego srebra i noc naprawdę stała się czarna. Richard mocno trzymał dłoń Kahlan, kiedy spadali. Wiedział, jak trudno było mu po raz pierwszy odetchnąć sylfą. Gdy dziewczyna odwzajemniła uścisk, byli już w próżni, w której nie istniał ciężar.

Powróciło znajome uczucie bezwolnego unoszenia się i zarazem pędu naprzód i Richard wiedział, że są w drodze do Aydindril. Tak jak przedtem, nie było ani ciepło, ani zimno. Nie było również uczucia pogrążenia się w płynnym srebrze sylfy. Widział jednocześnie światło i mrok, a jego płuca wypełniała słodka obecność sylfy. Radował się, wiedząc, że Kahlan odczuwa to samo uniesienie. Mówiła mu o tym jej dłoń zaciśnięta na jego dłoni. W końcu puścili swoje ręce, żeby płynąć w nieruchomym pędzie.

Richard płynął przez blask i mrok. Poczuł, jak Kahlan chwytła go za kostkę, żeby ją holował.

Czas nie miał znaczenia. Mógł to być przelotny moment lub upływający powoli rok. Płynął przed siebie z Kahlan uczeponą jego kostki. I tak jak przedtem, nagle wszystko się skończyło.

Dokoła chłopaka eksplodowała komnata w Wieży Czarodzieja, lecz wiedział już, czego się spodziewać, i tym razem się nie wystraszył.

- Oddychaj - nakazała sylfa.

Wypuścił ją z płuc, wypuścił z płuc słodkie uniesienie i zaczerpnął obcego powietrza.

Czuł, jak Kahlan wyłania się za nim, i w ciszy komnaty Kolo słyszał, jak wypuszcza z płuc sylfę i wdycha powietrze. Wyskoczył, sylfa spłynęła zeń, wydostał się na murek, a potem zeskoczył na podłogę. Odwrócił się, żeby pomóc Kahlan się wydostać.

Uśmiechnęła się doń Merissa.

Richard skamieniał. W końcu odzyskał zdolność myślenia.

- Gdzie Kahlani?! Jesteś ze mną połączona więzią! Złożyłaś przysięgę!

- Kahlan? - rozległ się melodyjny głos. - Jest tutaj. - Merissa sięgnęła w płynne srebro. - Ale nie będzie ci już potrzebna. A ja dotrzymuję przysięgi. Przysięgi, którą złożyłam sama sobie.

Merissa uniosła bezwładną Kahlan za kołnierz i pomagając sobie mocą, wyrzuciła dziewczynę ze studni sylfy. Matka Spowiedniczka osunęła się bezwładnie na podłogę; nie oddychała.

Nim Richard zdążył skoczyć ku dziewczynie, Merissa przeciągnęła po kamieniu ostrzami yabree. Dopadła go słodka pieśń i sprawiła, że nie mógł się ruszyć z miejsca na słabych nagle nogach. Jak urzeczony patrzył w uśmiechniętą twarz Merissy.

- Yabree śpiewa dla ciebie, Richardzie. Jego pieśń cię przywołuje. Podpłynęła bliżej, przynosząc mu wibrujący yabree. Uniosła nóż i obróciła w dłoni ten obiekt pragnień chłopaka. Pokazywała go, hipnotyzując nim Richarda. Chłopak oblizwał wargi, jego kości drżały w rytm wibrującego pomruku yabree. Paraliżował go ów wibrujący dźwięk.

Podpłynęła jeszcze bliżej i w końcu podała mu nóż. Palce Richarda dotknęły wreszcie yabree i pieśń popłynęła każdym włóknem jego ciała, oczarowując wszystkie zakątki jego duszy. Merissa uśmiechnęła się, widząc,

jak zaciska palce na rękojeści. A on drżał z zachwytu, że wreszcie ma w dłoni yabree. Palce zdrętwiały mu z bolesnej rozkoszy.

Siostra Mroku wydobyła z płynnego srebra drugi yabree.

- To zaledwie połowa, Richardzie. Potrzebujesz obu. - Roześmiała się wesoło i uderzyła o kamień drugim yabree. Pieśń niemal oślepiła chłopaka pragnieniem dotknięcia drugiego noża. Ze wszystkich sił starał się ustać na uginających się nogach. Musiał mieć drugi yabree. Przechylił się ponad murkiem i sięgnął po niego.

Merissa uśmiechała się drwiąco, ale nie zważał na to. Pragnął, potrzebował drugiego yabree.

- Oddychaj - powiedziała sylfa.

Odwróciło to nieco uwagę Richarda od Merissy, obejrzał się. Sylfa patrzyła na kobietę leżącą bezwładnie pod ścianą. Chłopak miał już coś powiedzieć, lecz Merissa znów uderzyła o kamień drugim yabree.

Nogi odmówiły Richardowi posłuszeństwa. Chwycił murek lewą ręką, tą z yabree, żeby nie upaść.

- Oddychaj - rozkazała ponownie sylfa.

Hipnotyzująca, wibrująca pieśń grała w Richardzie, a on z całych sił starał się zrozumieć, kim jest ta dziewczyna pod ścianą, do której mówi sylfa. Wydawało się to ważne, ale nie mógł pojąć dlaczego. Któż to był?

Merissa znów uderzyła yabree o kamień, a jej śmiech odbił się echem od ścian komnaty.

Richard załkał bezradnie, tak z ekstazy, jak i z tęsknoty.

- Oddychaj - powiedziała znowu sylfa, tym razem z większym naciskiem.

I zrozumiał mimo otępiającej pieśni yabree. Wewnętrzna potrzeba przedarła się przez ogłupiającą chłopaka pieśń.

Kahlan.

Spojrzał na nią. Nie oddychała. Wewnętrzny głos wołał o ratunek.

Yabree znów zaśpiewał, zwiotczały mięśnie szyi Richarda. Błędnyimi oczami dostrzegł coś w kamieniu.

Potrzeba sprawiła, że napiął mięśnie. Wyciągnął rękę. Palce dotknęły tej rzeczy. Zacisnął je na niej i wypełniło go inne pragnienie. Pragnienie, które dobrze znał.

Nagle eksplodowała w nim furia i Richard jednym szarpnięciem wyrwał z kamiennej podłogi Miecz Prawdy. Komnata rozbrzmiała nową pieśnią.

Merissa wbiła weń morderczy wzrok i raz jeszcze pociągnęła yabree po kamieniu.

- Umrzesz, Richardzie Rahlu. Przysięgam, że wykąpię się w twojej krwi, i zrobię to.

Ostatkiem sił, wzmocniony furią miecza, Richard podciągnął się na szczyt kamiennego murku, nachylił i zanurzył ostrze w płynnym srebrze sylfy.

Merissa wrzasnęła.

Po jej ciele rozbiegły się srebrne pręgi. Wrzaski Siostry Mroku odbijały się echem od ścian komnaty. Wyrzuciła przed siebie ramiona w szaleńczej próbie wydostania się z sylfy, lecz było już za późno. Dokonywała się metamorfoza: Merissa stawała się szklista jak sylfa, była niczym srebrzysty posąg w srebrnym gładkim jeziorze. Rysy jej twarzy zmiękły i to, co było Merisą, rozpląnęło się w obmywających ją falach płynnego srebra.

- Oddychaj - powiedziała sylfa do Kahlan.

Richard cisnął na bok yabree i skoczył ku dziewczynie. Wziął ją na ręce i zaniósł do studni. Przechylił Kahlan przez murek i ucisnął jej brzuch.

- Oddychaj! Kahlan, oddychaj! - Znów ucisnął jej brzuch. - Zrób to dla mnie! Oddychaj! Błagam, Kahlan, oddychaj!

Wyrzuciła z płuc płynne srebro i desperacko zaczerpnęła powietrza, a potem wzięła kolejny oddech.

W końcu obróciła się w ramionach Richarda i przytuliła się do niego.

- Och, Richardzie, miałeś rację. To było takie cudowne, że zapomniałam o oddychaniu. Uratowałeś mnie.

- Ale zabił tę drugą - oznajmiła sylfa. - Ostrzegałam go. Mówiłam o tych magicznych przedmiotach, które przy sobie nosi. To nie moja wina.

Kahlan spojrzała ze zdumieniem w srebrną twarz.

- O czym ty mówisz?

- O tej, która jest teraz częścią mnie.

- O Merissie - wyjaśnił Richard. - To nie twoja wina, sylfo. Musiałem to zrobić, bo inaczej zabiłaby nas oboje.

- A więc zdjęto ze mnie odpowiedzialność. Dziękuję, panie. Kahlan obróciła się ku Richardowi i spojrzała na miecz.

- Co się stało? Skąd Merissa?

Richard rozwiązał rzemień i zdjął pelerynę mriswitha.

- Poszła za nami w sylfę. Próbowwała cię zabić i... no, chciała się ze mną wykąpać.

- Co takiego?!

- Nie - poprawiła go sylfa. - Ona powiedziała, że chce się wykąpać w twojej krwi.

Kahlan otworzyła usta.

- Ale... co się stało? - wykrztusiła wreszcie.

- Teraz jest we mnie - powiedziała sylfa. - Na zawsze.

- To znaczy, że jest martwa - odezwał się Richard. - Wytlumaczę ci to, gdy będziemy mieli więcej czasu. - Spojrzał na sylfę. - Dziękuję za pomoc, sylfo. A teraz nakazuję ci spać.

- Oczywiście, panie. Będę spać dopóty, dopóki znów nie będę ci potrzebna.

Jaśniejąca srebrna twarz rozmyła się, wtopiła w płynne srebro. Richard instynktownie skrzyżował nadgarstki. Rozjarzyło się połyskujące srebro. Sylfa znieruchomiała i zaczęła opadać w studnię - początkowo powoli, potem coraz szybciej, aż w końcu zniknęła.

Kahlan wpatrywała się w Richarda.

- Wygląda na to, że musisz mi wyjaśnić mnóstwo rzeczy.

- Obiecuję, że to zrobię, kiedy tylko będziemy mieli czas.

- A gdzie jesteśmy?

- W niższej części Wieży Czarodzieja, u podstawy jednej z baszt.

- W niższej części Wieży Czarodzieja? Richard potaknął.

- Pod biblioteką.

- Pod biblioteką! Nikt nie może zejść poniżej poziomu biblioteki. Są tam osłony, które od zawsze już powstrzymują czarodziejów.

- No cóż, ale tu właśnie jesteśmy, i o tym również będziemy musieli później porozmawiać. Teraz musimy się dostać do miasta.

Wyszli z komnaty Kolo i natychmiast przyłgnęli do ściany. W wodzie za barierką była czerwona królowa mriswithów. Osłaniała skrzydłami setki jaj wielkości sporych melonów. Jej ostrzegawcze porykiwania odbijały się echem we wnętrzu wielkiej wieży.

Po świetle wpadającym przez otwory nad ich głowami Richard zorientował się, że było późne popołudnie. Dotarcie do Aydindril zajęło im mniej niż dzień, taką przynajmniej miał nadzieję. Światło pozwoliło mu

także dojrzyć mnóstwo zielonych i szarych jaj na szczycie skałki.

- To królowa mriswithów - wyjaśnił pospiesznie, przechodząc przez barierkę. - Muszę zniszczyć te jaja.

Kahlan wykrzykiwała imię chłopaka i starała się go przywołać, ale przeszedł przez barierkę i zanurzył się w ciemnej, mulistej toni. Richard podniósł miecz i zaczął brnąć przez sięgającą mu do piersi wodę ku gładkim skałkom pośrodku zbiornika. Królowa uniosła się na łapach i zaryczała głośno.

Wężowym ruchem wysunęła ku chłopakowi łeb i kłapnęła szczękami. W tej samej chwili Richard ciął mieczem. Groteskowy łeb cofnął się. W jednoznacznym ostrzeżeniu królowa posłała ku chłopakowi chmurę gorzkiej woni. Richard jednak wytrwale parł naprzód Rozdziawiła paszczę i ukazała długie, ostre kły.

Chłopak nie mógł pozwolić, żeby mriswithy opanowały Aydindril. A jeśli nie zniszczy tych jaj, będzie się musiał uporać z większą jeszcze ich liczbą.

- Richardzie! Spróbowałam przywołać błękitną błyskawicę, ale tutaj mi się to nie uda! Wracaj!

Sycząca królowa kłapnęła szczękami. Gdy łeb się zbliżył, Richard uderzył mieczem, ale zatrzymała się w porę i ryknęła gniewnie. Szukając oparcia dla ręki, mógł utrzymać łeb królowej w bezpiecznej odległości.

W końcu zdołał się uchwycić jakiegoś załamania skałki i wspiał się na czarne, oślizle kamienie. Zamachnął się mieczem, a kiedy groźne szczęki odsunęły się, zaczął siekać jaja. Rozcinał grube, skórzaste otoki i na czarne kamienie zaczęło wypływać cuchnące żółtko.

Królowa oszalała. Załopotana skrzydłami, uniosła się ze skałek i odleciała na tyle daleko, by Richard nie mógł jej dosięgnąć. Ogon matki mriswithów uderzał jak wielki bat. Richard ciął go mieczem, by utrzymać królową w odpowiedniej odległości. Na razie bardziej interesowało go zniszczenie jaj.

Rzuciła się nań, kłapiąc zębami. Richard pchnął ją mieczem, raniąc w szyję, i królowa cofnęła się, rozwścieczona i obolała. Szaleńczo młójące skrzydła zbiły chłopaka z nóg. Przetoczył się w bok, żeby uniknąć uderzenia pazurów. Raz jeszcze uderzyła go ogonem i kłapnęła zębiskami. Richard musiał na razie zapomnieć o jajach i bronić się. Jeśli zdoła ją zabić, będzie miał ułatwione zadanie.

Królowa skrzeczała gniewnie. Po chwili Richard usłyszał chrzęszczący

dźwięk. Spojrzał tam, skąd on dobiegł i zobaczył Kahlan uderzającą w otoczki jaj deską z drzwi komnaty Kolo. Popęzł po oślizłej skale, żeby znaleźć się między dziewczyną a królową. Ciął raz za razem łeb, kiedy chciała ich ugryźć, a ogon, gdy usiłowała zrzucić go ze skałki. Łapy ciął, gdy starała się go rozedrzeć na strzępy.

- Tyją trzymaj z dala ode mnie - krzyknęła Kahlan, miażdżąc deską jaja i brnąc w cuchnącym, żółtym błocku - a ja się zajmę resztą.

Richardowi nie podobało się, że Kahlan naraża się na niebezpieczeństwo, lecz rozumiał, że i ona broniła swoje miasto, więc nie mógł jej prosić, by trzymała się z boku. Poza tym potrzebował jej pomocy. Musiał się dostać do Aydindril.

- Tylko się pospiesz - wysapał pomiędzy unikami i atakami. Wielkie, czerwone cielsko rzuciło się na niego i chciało go przydusić do skały. Richard skoczył w bok, ale królowa i tak trafiła go w nogę. Krzyknął z bólu i uderzył mieczem szczerzącą zęby bestię. Niespodziewanie na mięsiste fałdy na szczycie łba królowej spadła deska. Bestia zaryczała z bólu i cofnęła się. Łopotą dziko skrzydłami, jej szpony darły powietrze. Kahlan ujęła Richarda pod ramię i pomogła mu się odsunąć. Czerwone cielsko wzbiło się w górę, a młodzi wpadli do stojącej wody.

- Załatwiłam wszystkie - powiedziała Kahlan. - Uciekajmy stąd.

- Najpierw muszę ją zabić, bo inaczej złoży następne.

Ale królowa mriswithów, widząc, że zniszczono jej jaja, przestała atakować i zdecydowała się na ucieczkę. Szaleńczo załopotą skrzydłami i uniosła się w powietrze. Dotarła do ściany, wczepiła w nią pazury i zaczęła się wspinać ku widocznemu wysoko w górze dużemu otworowi.

Richard i Kahlan wydostali się z cuchnącej wody na chodnik okalający zbiornik. Chłopak ruszył ku wznoszącym się spiralnie schodom, lecz padł na podłogę, kiedy stanął na obolałej nodze. Kahlan pomogła mu wstać.

- Teraz jej nie dosięgniesz. Zniszczyliśmy wszystkie jaja. Nią samą będziemy się martwić później. Masz złamaną nogę?

Richard oparł się o barierkę i patrząc, jak królowa wydostaje się przez otwór w wieży, masował bolesne stłuczenie.

- Nie, tylko mija przygniotła do skały. Musimy się dostać do miasta.

- Przecież nie możesz chodzić.

- Będzie dobrze. Ból mija. Idziemy.

Richard wziął jedną ze świetlistych kul, żeby oświetlać drogę, i wspierając się na ramieniu Kahlan, ruszył w drogę na powierzchnię wieży. Kahlan nigdy nie była w komnatach i holach, przez które ją prowadził. Musiał ją trzymać w ramionach, żeby mogła przejść przez osłony, i bez przerwy mówić, czego nie wolno jej dotknąć i gdzie nie powinna stawać. Nieustannie podawała w wątpliwość te ostrzeżenia, ale wykonywała powtarzane z uporem polecenia, mrużąc do siebie, iż nigdy nie miała pojęcia, że w Wieży Czarodzieja istnieją takie osobliwe miejsca.

Kiedy wreszcie pokonali te wszystkie komnaty i hole i dotarli na górę, noga Richarda była w lepszym stanie; choć nadał bolała. Utykał, ale mógł sam iść.

- W końcu wiem, gdzie jesteśmy - oznajmiła Kahlan, gdy dotarli do długiego korytarza przed bibliotekami. - A bałam się, że nigdy się stamtąd nie wydostaniemy.

Richard ruszył ku prowadzącym na zewnątrz korytarzom. Kahlan upierała się, że nie powinien tamtędy iść, on jednak twierdził, że właśnie tą drogą zawsze chodził, więc ostatecznie niechętnie poszła za nim. Objął ją, by przeprowadzić przez osłonę do wielkiego holu przed wejściem, i oboje byli bardzo zadowoleni z tego pretekstu.

- Daleko jeszcze? - spytała, rozglądając się po ogołoczonej komnacie.

- To już tutaj. Tam są drzwi.

Wyszli na zewnątrz i Kahlan rozejrzała się zdumiona. Złapała Richarda za koszulę i wskazała na drzwi.

- Tędy? Tędy wchodziłeś!? To tędy zawsze wchodziłeś do wieży? Chłopak potaknął.

- Tu prowadzi kamienna ścieżka.

Pokazała gniewnie umieszczony nad drzwiami napis.

- Patrz, co tam napisano! A ty tędy wchodziłeś.

Richard spojrzął na słowa wyryte w kamieniu ponad wielkimi drzwiami.

- Nie wiem, co one znaczą.

- *Tavol de ator Mortado* - przeczytała na głos. - To znaczy "Droga Umarłego".

Chłopak omiótł wzrokiem inne drzwi rozmieszczone wokół pokrytego żwirem i kamiennymi odłamkami podwórca. Przypomniał sobie coś, co ruszyło pod żwirem ku niemu i jego strażnikom.

- Cóż, to były największe drzwi i ścieżka prowadziła wprost do nich, więc sądziłem, że to wejście do wieży. To całkiem sensowne jak się nad tym zastanowić. Poza tym nazwano mnie przecież dawcą śmierci.

Skonsternowana Kahlan rozmasowała ramiona.

- Baliśmy się, że pójdziesz do wieży. Śmiertelnie się baliśmy, że tam pójdziesz i zginiesz. Drogie duchy, nie mogę uwierzyć, że przeżyłeś. Nawet czarodzieje nie korzystali z tego wejścia. Ta osłona w środku nie przepuściłaby mnie, gdybyś mnie przez nią nie przeprowadził. Już tylko to świadczy o grożących dalej niebezpieczeństwach. Mogę pokonać wszystkie osłony z wyjątkiem tych, które chronią najniebezpieczniejsze miejsca.

Richard posłyszał chrzęst kamiaków i zobaczył ruch pod żwirem. Wciągnął Kahlan na środek kamienia, a owo coś sunęło ku nim.

- O co chodzi? - spytała dziewczyna.

- Coś nadchodzi.

Kahlan spojrzała nań dziwnie przez ramię i zeszła na żwir.

- Chyba się tego nie boisz, hmm? - Przykucnęła i zanurzyła dłoń w żwirze, a to coś się do niej zbliżyło. Poruszała dłonią, jakby drapała jakiegoś zwierzaka.

- Co ty wyprawiasz?

Kahlan najwyraźniej bawiła się z tym czymś.

- To tylko kamienny pies. Wyczarował go Giller, żeby odstraszyć kobietę, która riagle go nachodziła. Bała się wejść na żwir, a oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się pójść Drogą Umarłego. - Kahlan wstała. - To znaczy... tylko mi nie mów, że wystraszyłeś się kamiennego psa.

- Hmm... nie, niezupełnie... ale... Kahlan wsparła się pięściami pod boki.

- Wszedłeś na Drogę Umarłego i pokonałeś te wszystkie osłony, bo bałeś się kamiennego psa? Dlatego nie podszedłeś do innych drzwi?

- Ależ Kahlan, nie miałem pojęcia, czym jest ten stwór pod żwirem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. - Podrapał się po łokciu. - No dobrze, bałem się. Staralem się być ostrożny. No i nie potrafiłem odczytać tych słów, więc nie wiedziałem, że to wejście jest tak niebezpieczne.

Kahlan spojrzała ze zgrozą w niebo.

- Richardzie, mogłeś...

- Ale nie zginałem w wieży. Odnalazłem sylfę i dotarłem do ciebie. Chodźmy stąd wreszcie. Musimy się dostać do miasta.

Objęła go ramieniem w pasie.

- Masz rację. Po prostu jestem trochę podenerwowana tym... - Wskazała na drzwi. - Tym wszystkim, co się tam wydarzyło. Wystraszyła mnie królowa mriswithów. Dziękuję, że ją przepłoszyłeś.

Ramię w ramię przeszli przez wielkie, zwieńczone łukiem przejście w zewnętrznym murze.

Kiedy mijali spiesznie uniesioną kratę, z kąta wystrzelił potężny ogon. Trafił oboje. Nim Richard odzyskał oddech, załopotaly już nad nimi skrzydła. Dosięgnęły go pazury. Uderzenie ogona odrzucił Kahlan.

Wbite w ramię pazury ciągnęły chłopaka ku rozwartym szczękom. Zdołał wyrwać miecz z pochwy. Natychmiast przepełniła go magiczna furia i ciął skrzydło bestii. Królowa wyszarpnęła mu z ramienia pazury i cofnęła się. Magia pomogła chłopakowi zignorować ból, poderwał się na nogi.

Stwór rzucił się na niego, kłapiąc zębami, i uderzył. Cofał się, a on atakował skrzydłami, kłami, pazurami i ogonem. Trafił ją w ramię i cofnęła się, czując ból. Machnęła ogonem, uderzyła go w brzuch i rzuciła o ścianę. Zamierzył się zapamiętałe i udało mu się odciąć czubek.

Czerwona królowa mriswithów cofała się na tylnych łapach; minęła uniesioną kratę. Richard rzucił się ku dźwigni i uwiesił się na niej całym ciężarem. Krata ze skrzypieniem runęła na rozszalałą bestię, lecz królowa obróciła się i krata minęła jej grzbiet. Trafiła jedynie w skrzydło i przyszpiliła je do ziemi. Zawyla jeszcze głośniej.

Richard zadrżał z przerażenia: Kahlan leżała na ziemi po drugiej stronie kraty. Królowa też ją dostrzegła i ze strasliwym wysiłkiem wyrwała przyszpilone do ziemi skrzydło.

- Kahlan! Uciekaj!

Oszołomiona upadkiem dziewczyna starała się odpełznąć, lecz bestia ją dopadła. Złapała Kahlan za nogę i silnie trzymała. Królowa odwróciła się i zionęła na Richarda smrodliwą wonią. Bez trudu zrozumiał: zemsta.

Jak oszalały szarpnął kołem podnoszącym kratę. Unosiła się wolniutko. Królowa kuśtykała, ciągnąc za sobą Matkę Spowiedniczkę.

Richard puścił koło i - przepełniony magiczną furia - ciął mieczem sztaby kraty. W powietrze poleciały iskry i dymiące stalowe opiłki. Krzyczał z wściekłości i uderzał mieczem w żelazo, ponownie rozcinając sztaby. W trzecim cięciu odciął fragment, odrzucił go kopnięciem i wypadł przez

powstały otwór.

Pobiegł pędem za cofającą się czerwoną bestią. Kahlan wbijała palce w ziemię, desperacko starając się uwolnić. Królowa dotarła do mostu i skoczyła na obrzeżający go mur, warcząc przy tym na nadbiegającego Richarda. Machała poszarpanymi skrzydłami, jakby nie zdawała sobie sprawy, że się już nie wzbije. Richard, biegnąc ile sił w nogach, wrzasnął, bo królowa odwróciła się i rozłożyła skrzydła, gotowa zeskoczyć z mostu wraz ze swoją zdobyczą.

Gdy chłopak wpadł na most, stwór smagnął go ogonem. Richard odciął zeń dobre sześć stóp. Królowa okręciła się ku niemu. Trzymała mocno w łapie nogę Kahlan i dziewczyna wisiała teraz głową w dół jak kukielka. Bestia kłapnęła zębami na chłopaka, a ten, nieprzytomny z wściekłości, ciął ją mieczem. Odrąbał połowę skrzydła a klinga gładko przecięła kość i na chłopaka trysnęła krew. Królowa próbowała uderzyć go resztką ogona, machając przy tym drugim, również pokiereszowanym skrzydłem.

Kahlan krzyczała i wyciągała ręce ku Richardowi. Palce dziewczyny znajdowały się tuż-tuż, lecz jednak za daleko, by mógł ich dosięgnąć. Wbił klingę w czerwony brzuch, jednak czerwona łapa odsunęła Kahlan, gdy starał się pochwycić dłoń dziewczyny. Chłopak odciął drugie skrzydło - wysoko, przy ramieniu. Tryskała krew, a szalejąca bestia miotła się, usiłując dosięgnąć Richarda. Przynamniej zrezygnowała z zamiaru rozszarpania Kahlan.

Ogon znalazł się blisko i Richard odciął kolejny jego fragment. Cuchnąca krew plamiła wszystko dokoła, królowa stawiała się coraz bardziej niemrawa i chłopak mógł jej zadawać wciąż nowe rany.

Richard wychylił się i złapał nadgarstek Kahlan, wbijając jednocześnie aż po rękojeść miecz w bok dyszącej czerwonej piersi. I to był błąd.

Śmiertelnie ranna królowa mriswithów zaciskała mocno łapę na nodze Kahlan. Bestia zakołysała się i powoli jak w koszmarnym śnie zsunęła się z mostu w ziejącą pod nim przepaść. Kahlan wrzasnęła. Richard z całych sił wczepił się w jej nadgarstek. Zawieszony na ramieniu chłopaka ciężar królowej przycisnął go brzuchem do kamiennego muru na rozpiętym ponad straszliwą otchłanią moście.

Richard przerzucił miecz rzec skraj mostu i jednym potężnym cięciem odrąbał łapę wczepioną w nogę Kahlan. Czerwona bestia zaczęła opadać,

pomiędzy mającymi tysiące stóp pionowymi skałami, aż wreszcie zniknęła w czeluści.

Kahlan wisiała na ręce Richarda. Krew płynęła po ramieniu chłopaka i ściekała po ich dłoniach. Czuł, jak wymyka mu się nadgarstek dziewczyny. Tylko mocno wbite w ziemię stopy i rozplaszczony o mur uda chroniły Richarda przed wypadnięciem poza obmurowanie mostu. Natężył wszystkie siły i podciągnął Kahlan o kilka stóp.

- Chwyć drugą ręką mur. Nie utrzymam cię. Wyślizgujesz mi się.

Kahlan chwyciła wolną dłoń szczyt muru i nie wisiała już całym ciężarem na ramieniu Richarda. Chłopak rzucił miecz za siebie, na drogę, i złapał ją drugą ręką. Zaciśnął zęby i - z jej pomocą - przeciągnął na mur, a potem na drogę.

- Zdejmij to! - krzyczała. - Zdejmij!

Richard rozwarł zaciśnięte pazury i uwolnił nogę dziewczyny. Wyrzucił czerwoną łapę w przepaść. Kahlan padła mu w ramiona, wyczerpana, zdyszana i zbyt osłabiona, żeby mówić.

Pomimo pulsującego bólu Richard poczuł olbrzymią ulgę.

- Dlaczego nie skorzystałaś ze swojej mocy... z błyskawic? - W wieży to się nie udało, a tutaj ta bestia pozbawiła mnie przytomności. A dlaczego ty nie skorzystałaś ze swojej mocy, z tych straszliwych czarnych błyskawic, jak w Pałacu Proroków?

Chłopak zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak działa mój dar. To ma coś wspólnego z instynktem. Nie mogę z niego korzystać na zawołanie. - Przesunął dłoń po włosach Kahlan i zaniknął oczy. - Tak bym chciał, żeby Zedd tu był. On by mi pomógł to kontrolować, nauczył z tego korzystać. Bardzo za nim tęsknię.

- Wiem - szepnęła dziewczyna.

Ponad ich ciężkie oddechy przebiły się dalekie krzyki ludzi i szczęk stali. Richard uświadomił sobie, że czuje woń dymu. W powietrzu unosiły się całe jego kłęby.

Pomógł Kahlan wstać, zignorował ból ramienia i pobiegli drogą do miejsca, z którego było widać miasto.

Zatrzymali się gwałtownie. Kahlan wstrzymała oddech, a zaszokowany Richard osunął się na kolana.

- O drogie duchy - wyszeptał - co ja narobiłem.

ROZDZIAŁ 53

- To lord Rahl! - Głosy niosły owo wołanie wśród dTiarzańskich oddziałów.
- Trzymajmy się! To lord Rahl!

Krzyk narastał, grzmiał w powietrzu późnego popołudnia. Tysiące głosów wzbijało się ponad bitewną wrzawę. W wypełnione dymem powietrze rzucono w uniesieniu broń.

- Lord Rahl! Lord Rahl! Lord Rahl!

Richard szedł z ponurą miną wśród żołnierzy na tyłach toczącej się bitwy. Zakrwawieni, ranni gwardziści podnosili się chwiejnie i podążali za nim ławą.

Przez kłęby gryzącego dymu chłopak widział zapamiętałą walkę odzianych w ciemne uniformy D'Harancyków, a za nimi morze czerwieni, które wlewało się do miasta, spychając ich do tyłu. Bractwo Czystej Krwi. Szli zewsząd - nieustępliwi, nie do zatrzymania.

- Musi ich być sporo ponad sto tysięcy - powiedziała jakby do siebie Kahlan.

Richard wysłał sto tysięcy swoich żołnierzy na poszukiwania Matki Spowiedniczki. Byli o całe tygodnie drogi od miasta. Podzielił niemal siły stacjonujące w Aydindril na połowę i jedną z nich odesłał. A teraz nadciągało Bractwo Czystej Krwi, żeby skorzystać z jego błędu.

Ale i tak w mieście pozostało dość D'Harancyków. Mogli skutecznie stawić napastnikom czoło. Musiało się stać coś strasznego.

Richard, za którym ciągnął coraz większy tłum rannych, dotarł na tyły największego ogniska walki. Bractwo Czystej Krwi ze wszystkich stron wdzierало się do Aydindril. Z Kings Row strzelały w niebo płomienie. Białą wspaniałość Pałacu Spowiedniczek otaczały ciemne uniformy.

Przybiegli oficerowie. To, co się działo, przyćmiewało ich radość z powrotu Richarda. Wrzaski dobiegające z pola walki grały im na nerwach.

Richard ze zdumieniem stwierdził, że mówi zadziwiająco spokojnym tonem.

- Co się dzieje? Tb d'harancy żołnierze. Dlaczego się cofają? Nie walczą z przeważającymi siłami. Dlaczego Bractwo Czystej Krwi tak głęboko wdarło się do miasta?

Zaprawiony w bojach dowódca powiedział tylko jedno słowo:

- Mriswithy.

Richard zacisnął pięści. Wobec mriswithów ci żołnierze byli bezbronni. Jeden stwór mógł w kilka minut uśmiercić tuziny D'Harańczyków. A chłopak widział długi szereg mriswithów wchodzących do sylfy. Były ich całe setki.

Może na początku D'Haranczycy nie walczyli z przeważającymi siłami, ale teraz - tak.

Już mówiły doń głosy duchów, zagłuszając krzyki śmiertelnego bólu. Richard spojrział na przesłoniętą dymem kulę słońca. Zostały dwie godziny dnia.

Napotkał wzrok trzech poruczników.

- Ty, ty i ty. Zbierzcie takie siły, jakich potrzebujecie. - Nie odwracając się, wskazał Kahlan. - Zaprowadźcie Matkę Spowiedniczkę, moją królową, do pałacu i chrońcie ją.

Wyraz oczu Richarda sprawił, że nie musiał mówić o wadze owej misji ani ostrzegać o skutkach jej niepowodzenia. Kahlan zaprotestowała. Richard dobył miecza.

- Natychmiast.

Żołnierze rzucili się, by wypełnić rozkaz. Ciągnęli ze sobą opierającą się i krzyczącą do Richarda Kahlan. Nie spojrział na nią, nie słyszał jej słów.

Już zatracił się w żywej magii. W jego oczach tańczyły groźnie magia i śmierć. Żołnierze ucichli i cofali się coraz szerszym kręgiem.

Richard przesunął klingą po zranionym ramieniu, żeby posmakowała krwi. Gniew zawrzał mocniej.

Obrócił głowę - oczy zmarłych wypatrywały chodzących trupów. Szalały w nim dwie burze, była furia miecza i jego własny gniew. Słyszał tylko wycie kłębiącej się w nim furii, i wiedział, że to jeszcze za mało. Kolejno opuszczał wszelkie wewnętrzne bariery. Uwolnił całą magię, niczego nie zataił. Stanowił jedność z będącymi w nim duchami, z magią, z palącą potrzebą. Był prawdziwym Poszukiwaczem i kimś więcej.

Był dawcą śmierci, który zstąpił na świat.

A potem ruszył. Mijał żołnierzy starających się dotrzeć do pierwszych linii; odzianych w ciemne skóry żołnierzy walczących desperacko z napastnikami w szkarłatnych pelerynach i lśniących zbrojach, którzy przedarli się aż tu; kupców, którzy pochwycili miecze; młodzieńców z

pikami; chłopców z pałkami.

Szedł, zabijając żołnierzy z Bractwa Czystej Krwi jedynie wtedy, gdy chcieli go zatrzymać. Szukał czegoś o wiele groźniejszego niż oni.

Richard wskoczył na przewrócony wóz, w samym centrum walki. Żołnierze roili się wokół niego, chroniąc przed złem. Wzrokiem drapieżcy omiótł plac boju. Chciał siać śmierć.

Morze szkarłatnych peleryn zalewało przed nim ziemię zasłaną martwymi D'Harancykami. Ich liczba była przerażająca, lecz chłopak zatracił się w magii i mógł myśleć jedynie o swoich wrogach.

Hen daleko, w odległych zakamarkach umysłu, płakał nad zabitymi, lecz wicher furii zagłuszał ów płacz.

Richard najpierw wyczuł ich obecność, a potem je zobaczył.

Płynny ruch, który kosił żywe ciała i zbierał żniwo śmierci. Bractwo Czystej Krwi wlewało się za nimi, druzgocząc zdziesiątkowanych D'Harańczyków.

Richard uniósł Miecz Prawdy i dotknął czoła purpurową klingą. Całkowicie poddał się magii.

- Nie zawieź mnie dziś, mieczu - szepnął błagalnie. Dawca śmierci.

- Tańcz ze mną, śmierci - wyszeptał. - Jestem gotów.

Buty Poszukiwacza uderzyły o ulicę. Instynkty tych wszystkich, którzy przed nim władali mieczem, zlały się w jedno z instynktem Richarda. Miał ich wiedzę, doświadczenie, umiejętności.

Pozwolił, by prowadziła go magia, ale i tak górę wziął szalejący w nim gniew i jego wola. Nie powstrzymał już chęci zabijania i prześliznął się przez szeregi żołnierzy.

Jego klinga, zwinna jak śmierć, znalazła pierwszy cel i mriswith padł.

Nie marnuj sił na zabijanie tych, których mogą zabić inni, powiedziały mu głosy duchów. Zabijaj wyłącznie tych, których inni zabić nie mogą.

Richard poszedł za tą radą i zdał się na wewnętrzny zmysł ostrzegający go o obecności mriswithów. Niektóre były owinięte w swoje peleryny. Tańczył ze śmiercią, a ona czasem znajdowała je, nim zauważyły jej nadejście. Zabijał, nie tracąc sił na zadawanie dodatkowych ciosów. Każdy sztych trafiał w cel.

Richard skradał się wzdłuż szeregów, szukając pokrytych łuską stworów, które prowadziły Bractwo Czystej Krwi. Gdy polując, przemykał się ulicami,

czuł żar ognia. Słyszał pełne zdumienia syki, gdy obracał się w ich stronę. Nozdrza wypełnił mu odór ich krwi. Nieustająca walka.

Wciąż jednak wiedział, że to nie wystarczy. Ogarniało go przerażające poczucie, że to wciąż za mało. Był tylko on sam i wystarczyłby najmniejszy błąd, żeby również zabrakło jego. Tb tak jakby chciał zniszczyć mrowisko, rozdeptując po jednej mrówce.

Yabree już podchodziły bliżej, niż zamierzał im pozwolić. Dwa razy musnęły go, zostawiając krwawe draśnięcia. Co gorsza, wokół ginęli setkami jego żołnierze, a Bractwo Czystej Krwi spokojnie dobijało rannych. Bój toczył się w nieskończoność.

Richard spojrzał na słońce: tkwiło do połowy za horyzontem. Ostatnie oddechy umierających przysłaniał całun nocy. Wiedział, że i on nie doczeka poranka.

Poczuł piekący ból w boku, okręcił się. Rozprysnął się trafiony ostrzem łeb mriswitha. Ogarniało go zmęczenie, a one podchodziły coraz bliżej. Szarpnął miecz w górę i rozpruł brzuch następnemu. Był głuchy na ich przedśmiertne wycia.

Przypomniał sobie Kahlan. Nie będzie poranka. Dla niego. Dla niej. Śmierć szła po nich jak ciemność.

Z wysiłkiem wyrzucił Kahlan ze swoich myśli. Nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Obrót. Miecz w górę, obciąć łapę. Przekręcić ostrze, rozplatać brzuch. Obrót, miecz w dół, na gładki łeb. Pchnięcie. Unik. Cięcie. Głosy mówiły doń, a on bez sprzeciwu i wahania wykonywał ich polecenia.

Z dławiącym w gardle przerażeniem uświadomił sobie, że spychano ich do centrum Aydindril. Odwrócił się i spojrzał poza wielki plac, na którym kłębiła się walka: Pałac Spowiedniczek był niecałą milę stąd. Wkrótce mriswithy przedrą się przez ich szeregi i wpadną do pałacu.

Usłyszał głośny wrzask i zobaczył dTiarzańskich żołnierzy wypadających z bocznej ulicy. Atakowali tyły Bractwa Czystej Krwi, odwracających ich uwagę od głównej bitwy. Z drugiej strony uderzyła inna grupa D'Haranczyków, odcinających w szerokiej ulicy sporą liczbę żołnierzy w szkarłatnych pelerynach. Wierni Richardowi żołnierze siekli ich na kawałki.

Richard skamieniał, dostrzegłszy, że to Kahlan prowadzi atak z prawej. Wiodła nie tylko D'Haranczyków, ale i mężczyzn oraz kobiety z obsługi pałacu. Wspomnienie o tym, jak mieszkańcy Ebinissi przyłączyli się do

ostatniej obrony miasta, zmroziło mu krew w żyłach.

Cóż ona czyniła? Miała być w pałacu, bezpieczna. Wiedział, że ten odważny czyn źle się skończy. Żołnierze bractwa byli zbyt liczni, okrążają, zamkną w pułapce.

Wycofała swoich ludzi, nim do tego doszło. Richard ściał łeb mriswithowi. Już myślał, że wycofała się w bezpieczne miejsce, kiedy poprowadziła kolejny atak, z innej bocznej ulicy.

Szkarłatne peleryny zwróciły się ku nowemu zagrożeniu po to tylko, żeby kolejne pojawiło się z tyłu. Mriswithy zmniejszyły efektywność tej taktyki, atakując, jak przez całe popołudnie, ze straszliwą skutecznością.

Richard parł poprzez szkarłatne peleryny wprost ku Kahlan. Po walce z mriswithami ludzie zdawali się powolni i ospali. Tylko odległość wszystko utrudniała. Richard miał już zmęczone ramiona, zaczynały go opuszczać siły.

- Kahlan! Co ty wyprawiasz?! - Magiczny gniew wzmógł siłę jego głosu. Richard złapał dziewczynę za ramię. - Odesłałem cię do pałacu, byłabyś tam bezpieczna!

Wyrwała się. W drugiej ręce trzymała ociekający krwią miecz.

- Nie zamierzam umierać, chowając się w kącie mojego rodzinnego domu, Richardzie! Będę walczyć o swoje życie! I nie wrzeszcz na mnie!

Richard wyczuł czyjąś obecność i obrócił się. Kahlan uchyliła się, bo w powietrze trysnęła krew i odłamki kości.

Odwróciła się i wykrzyczała rozkazy. Na jej komendę żołnierze ruszyli do ataku.

- Więc umrzemy razem, moja królowo - wyszeptał Richard, nie chcąc, by usłyszała, jak jest zrezygnowany.

Szeregi walczących spychano na plac. Richard wyczuł zmasowane siły mriswithów. Poczucie ich obecności było tak przemożne, że nie mógł odróżnić pojedynczych osobników. Ponad głowami morza żołnierzy w szkarłatnych pelerynach i lśniących zbrojach chłopak dostrzegł, jak z oddali zbliża się ku miastu coś zielonego. Nie miał pojęcia, co to może być.

Odepchnął Kahlan do tyłu. Jej protest ucichł, gdy chłopak zwrócił się ku szeregowi łuskowatych stworów, które nagle zjawiły się znikąd tuż przed nimi. Tańczył wśród ich ataków, kosząc stwory najszybciej, jak mógł.

W trakcie tej szaleńczej rzezi dostrzegł jeszcze coś, czego nie mógł pojąć.

Zobaczył plamki. Pomyślał, że jest już tak zmęczony, iż zaczyna widzieć na niebie mnóstwo plamek.

Wrzasnął gniewnie na yabree, który znalazł się zbyt blisko. Odciął łapę i zaraz potem głowę. Pojawiło się kolejne ostrze, więc pochylił się i rozprostował, trzymając przed sobą miecz. Drugiego ciął nożem trzymanym w lewej ręce. Kopnął atakującego z tyłu, by zdążyć uwolnić miecz.

Z zimną wściekłością pojął, że mriswithy uznały w końcu, iż jedynie on im zagraża, i okrążały go. Słyszał, jak Kahlan krzyczy jego imię. Wszędzie widział paciorkowate ślepia. Nie mógł nic zrobić. Nie miał dokąd uciec, nawet gdyby chciał. Czuł ułtucia noży, które sięgały zbyt blisko, nim udawało mu się je powstrzymać.

Było ich zbyt wiele. Dobre duchy, stanowczo zbyt wiele.

Już nie widział w pobliżu żadnych żołnierzy. Otaczał go mur łusek i błyskających noży o potrójnych ostrzach. Powstrzymywał je wyłącznie gniew magii. Żałował, że nawrzeszczał na Kahlan, zamiast powiedzieć jej, że ją kocha.

Kątem oka dostrzegł coś brązowego. Usłyszał wycie mriswitha, ale to nie on go zabił. Skołowany, zaczął się zastanawiać, co czuje umierający. Kręciło mu się w głowie od ciągłego wirowania, wymachiwania mieczem, druzgoczących kości uderzeń.

Z góry spadło coś wielkiego. Jeszcze jedno. Richard starał się otrzeć z oczu krew mriswithów i zobaczyć, co się dzieje. Dokoła wyły mriswithy.

Ujrzał skrzydła. Brązowe skrzydła. Przed oczami migaly mu pokryte futrem ramiona. Ramiona urywały głowy. Pazury rozdzierały łuskowatą skórę. Kły szarpały szyje.

Chłopak cofnął się, bo tuż przed nim przewracając mriswithy, uderzyła o ziemię potężna chimera.

To był Gratch.

Richard zamrugał i rozejrzał się dokoła. Wszędzie było pełno chimery. Ajeszcze więcej ich nadlatywało. To były te plamki, które dostrzegł wcześniej.

Gratch cisnął rozdartym mriswithem w żołnierzy Bractwa Czystej Krwi i rzucił się na następnego. Wszędzie dokoła chimery szarpały mriswithy. Wszędzie dokoła płonęły zielone ślepia. Mriswithy otulały się pelerynami i stawały się niewidoczne, ale nic im to nie dawało, bo chimery i tak spadały

na nie. Mriswithy nie miały dokąd uciekać.

Richard trzymał miecz oburącz i gapił się. Chimery ryczały, mriswithy wyły. Richard się śmiał.

Z tyłu objęły go ramiona Kahlan.

- Kocham cię - szepnęła mu na ucho. - Myślałam, że umrę i nie zdążę ci tego powiedzieć.

Odwrócił się i spojrział w wypełnione łzami zielone oczy.

- Kocham cię.

Ponad bitewną wrzawę wzbily się jakieś krzyki. Zielen, którą wcześniej widział chłopak, okazała się kolorem mundurów. Dziesiątki tysięcy żołnierzy zaatakowało tyły Bractwa Czystej Krwi Wybiegali pomiędzy budynków, druzgocąc napastników w szkarłatnych pelerynach. D'Haranczycy wokół Richarda, uwolnieni nagle od mriswithów, przegrupowali się i runęli na bractwo ze straszliwą i słynną fachowością.

Szeroki klin żołnierzy w zieleni przebijał się przez wojska Bractwa Czystej Krwi, dążąc ku Richardowi i Kahlan. Po każdej stronie tuziny chimer szarpały mriswithy. Gratch uderzał bestie, spychając je do tyłu. Richard wspiął się na fontannę, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Ujął dłoń Kahlan i pomógł dziewczynie stanąć obok siebie. Żołnierze otoczyli ich, aby go chronić i odepchnęli wroga.

- To Keltończycy - powiedziała Kahlan. - Żołnierze w zielonych mundurach to Keltończycy.

Na przedzie Keltończyków szedł człowiek, którego Richard rozpoznał. Był to generał Baldwin. Generał dostrzegł ich na fontannie i wraz z małą grupką odbił od głównych sił, wydając przy tym rozkazy. Przebili się wprost przez żołnierzy w szkarłatnych pelerynach, tratując ich końmi niczym zwiędłe liście. Baldwin dla równowagi gładził kilku mieczem. Przedarł się przez pole bitwy i zatrzymał konia przed stojącymi na fontannie Kahlan i Richardem.

Generał Baldwin schował miecz i skłonił się w siodle. Jego gruba peleryna z serży, spięta dwoma guzikami na jednym ramieniu i udrapowana po jednej stronie, ukazała zieloną podszewkę. Wyprostował się i oddał honory, przykładając pięść do brązowej oponczy.

- Lordzie Rahlu - powiedział ze czcią. Znów się skłonił. - Moja królowo - dodał z jeszcze większym szacunkiem.

Kahlan pochyliła się ku niemu i rzuciła złowieszczym tonem:

- Twoja co?

Nawet lśniąca łysina mu się zaczerwieniła. Znów się pokłonił. - Moja naj... najwspanialsza... najgodniejsza szacunku królowo i Matko Spowiedniczko?

Richard pociągnął ją za bluzę, nim się zdołała odezwać.

- Powiedziałem generałowi, że postanowiłem mianować cię królową Keltonu.

Otworzyła szeroko oczy.

- Królową...

- Tak - potwierdził generał Baldwin, spoglądając na toczącą się walkę. - Dzięki temu Kelton się nie rozpadł i nasze poddanie nie zostało odwołane. Kiedy tylko lord Rahl powiadomił mnie o owym wielkim zaszczycie, o tym, że Matka Spowiedniczka zostanie naszą królową, podobnie zresztą jak zostanie królową Galei, i okazał tym, że szanuje nas jako sąsiadów, od razu wyruszyłem po wojska i sprowadziłem je do Aydindril. Przybyliśmy, żeby chronić lorda Rahla i naszą królową i włączyć się do walki z Imperialnym Ładem. Nie chciałem, by któreś z was myślało, że nie byliśmy przygotowani do wykonania naszego zadania.

Kahlan w końcu zamrugnęła powiekami i dumnie się wyprostowała.

- Dziękuję, generale. Twoja pomoc przybyła w samą porę. Doceniam to i jestem ci wdzięczna.

Generał zdjął długie czarne rękawice i zatknął je za szeroki pas. Ucałował dłoń Kahlan,

- Jeśli moja nowa królowa zechce wybaczyć, to wrócę do żołnierzy. Połowa naszych sił otacza miasto, na wypadek gdyby te zdradzieckie sukinsyny chciały uciec. - Znów się zaczerwienił. - Wybacz żołnierski język, moja królowo.

Generał wrócił do swoich wojsk, a Richard przyjrzał się bitwie.

Chimery szukały mriswithów, lecz znalazły tylko parę. A i te długo nie pożyły.

Od czasu kiedy chłopak ostatni raz widział Gratcha, ten chyba znów urósł o stopę. Osiągnął już rozmiary dorosłego osobnika. Wyglądało na to, że właśnie on przewodzi poszukiwaniom. Richard patrzył na to w osłupieniu. Jednak radość chłopaka tłumiły rozmiary rzezi, którą miał przed oczami.

- Królowa? Mianowałaś mnie królową Keltonu? Mnie, Matkę Spowiedniczkę? - spytała się Kahlan.

- Wtedy wyglądało to na dobry pomysł. I było jedynym sposobem na utrzymanie przy nas Keltonu - wyjaśnił.

Nagrodziła go przelotnym uśmiechem.

- Znakomicie, lordzie Rahlu.

Richard w końcu schował miecz. Zobaczył, jak przez szeregi ubranych w ciemne mundury D'Harańczyków przedzierają się trzy czerwone punkty. Trzy Mord-Sith, z Arielami w dłoni, przebiegły przez plac. Każda miała na sobie czerwony uniform, ale tego dnia nie ukryło to oblepiającej je krwi.

- Lordzie Rahlu! Lordzie Rahlu!

Berdine skoczyła na niego jak wiewiórka na konar. Oplotła go ramionami oraz nogami i zepchnęła z murku wprost do wypełnionej stopionym śniegiem fontanny. Usiadła mu na brzuchu.

- Lordzie Rahlu! Zrobiłeś to! Zrzuciłeś pelerynę, jak powiedziałam! Jednak usłyszałeś moje ostrzeżenie!

Znów do niego przypadła, zdusiła w czerwonych ramionach. Richard wstrzymał oddech, zanurzając się pod wodę. Co prawda sam nie wybrałby lodowatej kąpieli, ale cieszył się, że pozwoliło mu to zmyć z siebie choć trochę cuchnącej krwi mriswithów. Berdine złapała go za koszulę i wyciągnęła z wody. Chciwie łapał powietrze. Usiadła mu na kolanach, otoczyła nogami w pasie i znów uściskała.

- Berdine, ramię mnie boli - szepnął. - Nie ściskaj tak mocno.

- To drobiazg - oznajmiła z typową dla Mord-Sith pogardą dla bólu. - Tak się niepokoiłyśmy. Gdy zaczął się atak, myślałyśmy, że już nigdy cię nie zobaczymy. Myślałyśmy, że przegramy.

Kahlan odkaszlnęła. Richard wskazał je dłonią.

- Oto moja osobista ochrona, Kahlan. To Cara, Raina i Berdine. Moje panie, to Kahlan, moja królowa.

Berdine, nie próbując nawet zejść mu z kolan, uśmiechnęła się do Kahlan.

- Jestem ulubienicą lorda Rahla.

Kahlan skrzyżowała ramiona na piersi, a jej gniewne zielone oczy pociemniały.

- Pozwól mi wstać, Berdine.

- Wciąż cuchniesz jak mriswith. - Wepchnęła go do wody i znów wyciągnęła. - Już lepiej. - Przyciągnęła go do siebie. - A spróbuj jeszcze raz tak uciec, nie słuchając mnie, to zgotuję ci nie tylko kąpiel.

- Dlaczego nieustannie słyszę o tobie, kobietach i kąpeli? - zapytała niby to obojętnie Kahlan.

- Pojęcia nie mam. - Spojrzał na trwającą wciąż bitwę i znów w niebieskie oczy Berdine. Przytulił ją zdrowym ramieniem. - Przepraszam. Powinienem cię usłuchać. Zbyt drogo zapłaciliście za moje szaleństwo.

- Nic ci nie jest? - szepnęła mu na ucho.

- Złóż ze mnie, Berdine. Pozwól mi wstać. Zsunęła się z jego kolan.

- Kolo napisał, że mriswithy to wrodzy czarodzieje, którzy zamienili swoją moc na zdolność bycia niewidzialnym.

Richard pomógł jej wstać.

- I ja byłem tego bliski.

Stała na palcach w wodzie, odgięła mu kołnierz i sprawdziła kark. Westchnęła z ulgą.

- Zniknęło. Jesteś bezpieczny. Kolo opisał, jak pojawiały się zmiany i jak łuski zaczynały pokrywać im skórę. Napisał również, że ten twój przodek, Alric, stworzył przeciwników mriswithów. Chimery.

- Chimery...? Berdine przytaknęła.

- Obdarzył je zdolnością wyczuwania mriswithów nawet wtedy, kiedy są niewidoczne. To dlatego ślepiach chimer płoną zielenią. Owa magia jest wspólna dla nich wszystkich. Te chimery, które kontaktowały się bezpośrednio z czarodziejami, zyskały prymat nad innymi i zostały czymś w rodzaju wodzów chimerzego rodu. Pozostałe ogromnie szanowały tych pośredników w kontaktach z czarodziejami. Dzięki nim walczyły u boku ludzi z Nowego Świata z wrogimi mriswithami, spychając je z powrotem do Starego Świata.

- Co jeszcze pisał Kolo? - spytał Richard, słuchając tego z zadziwieniem.

- Nie miałam czasu, żeby dalej czytać. Trochę byliśmy zajęci po twoim odejściu.

- Jak długo? - Wszedł z fontanny i spytał Carę: - Jak długo mnie nie było? Cara spojrzała na Wieżę Czarodzieja.

- Blisko dwa dni. Od przedwczorajszej nocy. Tego poranka zjawili się na spienionych koniach wartownicy i powiedzieli, że tuż za nimi postępuje

Bractwo Czystej Krwi. A ci wkrótce potem zaatakowali. Walka trwa od dzisiejszego ranka. Na początku szło całkiem dobrze, ale potem mriswithy...- Zamilkła.

Kahlan objęła Richarda w pasie, podtrzymując go, a on powiedział:

- Tak mi przykro, Caro. Powinienem być tutaj. - W oszołomieniu spoglądał na bezmiar zabitych.

- Zabiłam dwa - oznajmiła Raina, nie ukrywając dumy. Nadbiegli Ulic z Eganem i natychmiast zajęli swoje zwykłe pozycje.

- Lordzie Rahlu - powiedział Ulic przez ramię - radzi jesteśmy, że znów cię widzimy. Słyszeliśmy wiwaty, ilekroć jednak się do ciebie przebijaliśmy, ty byłeś już w innym miejscu.

- Czyżby? - Cara uniosła znacząco brew. - A nam się udało. Ulic przewrócił oczami i znów patrzył na bitwę.

- Oni tak zawsze? - spytała szeptem Kahlan.

- Nie - szepnął do dziewczyny. - Ze względu na ciebie zachowują się najlepiej, jak potrafią.

Richard dojrzał białe flagi powiewające wśród wojsk Bractwa Czystej Krwi. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

- D'Haranczycy nie darowują życia pokonanym - wyjaśniła Cara, widząc, gdzie patrzy. - Tną do ostatniego.

Richard zeskoczył z fontanny. Ruszył przed siebie, a jego gwardziści za nim. Kahlan dopędziła go, nim zdążył zrobić trzy kroki.

- Co robisz, Richardzie?

- Powstrzymam to.

- Nie możesz. Przysięgliśmy wybić Imperialny Ład do ostatniego żołnierza. Musisz na to pozwolić. Oni zrobiliby to z nami.

- Nie mogę, Kahlan. Nie mogę. Jeśli wybijemy tych, to inni żołnierze Imperialnego Ładu już nigdy się nie poddadzą, bo to będzie dla nich oznaczać śmierć. Jeśli pokażę im, że będziemy brać jeńców, nie zaś wybijać ich do nogi, to chętniej się poddadzą. A gdy będą skłonni się poddawać, zaczniemy wygrywać bitwy, nie tracąc tylu naszych żołnierzy, dzięki czemu staniemy się silniejsi. I wówczas wygramy.

Richard wykrzykiwał rozkazy Powtarzano je w szeregach jego żołnierzy i wrzawa bitewna stopniowo cichła. Zaczęły się ku niemu zwracać tysiące oczu.

- Przepuście ich - polecił dowódca.

Chłopak podszedł z powrotem do fontanny i stanął na murku.

Patrzył, jak dowódcy Bractwa Czystej Krwi prowadzą ku niemu swoich żołnierzy. Dokoła czuwali najeżeni orężem D'Haranczycy. Otworzyli przejście i szkarłatne peleryny ruszyły ku Richardowi, patrząc po drodze na boki.

Idący na ich czele oficer zatrzymał się przed Richardem i powiedział ochryplym, przygnębionym głosem:

- Czy przyjmiesz naszą kapitulację?

- To zależy. - Richard skrzyżował ramiona. - Czy powiesz mi prawdę?

Tamten obejrzał się na swoich milczących, okrwawionych żołnierzy.

- Tak, lordzie Rahlu.

- Kto kazał ci zaatakować miasto?

- Mriswithy wydawały nam polecenia, a wielu z nas było pouczanych w śnie przez Nawiedzającego Sny.

- Czy chcecie się od niego uwolnić?

Wszyscy albo skinęli głowami, albo potwierdzili słabymi głosami. Chętnie też zgodzili się powiedzieć wszystko, co wiedzieli o znanych sobie planach Nawiedzającego Sny i Imperialnego Ładu.

Richard był tak wyczerpany i obolały, że ledwo trzymał się na nogach. Przyzwał gniew miecza, by dodać sobie sił.

- Jeśli chcecie skapitulować i podporządkować się prawu obowiązującemu D'Haranczyków, to uklękniście i przysięgnijcie mi lojalność.

I członkowie Bractwa Czystej Krwi, przy akompaniamencie jęków rannych, padli na kolana w blasku gasnącego dnia i wypowiedzieli słowa przysięgi przekazane im przez D'Haranczyków, którzy do nich dołączyli.

Dotknęli głowami ziemi i jednym głosem, który poniósł się przez miasto, przysięgli:

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Potem odprowadzono - przynajmniej na razie pod straż - żołnierzy bractwa, który odchodząc, ciskali w ogień swoje szkarłatne peleryny. Kahlan

spojrzała na Richarda.

- Właśnie zmieniłeś prawa wojny, Richardzie. - Popatrzyła na plon rzezi.
- Tak wielu już zginęło.

- Zbyt wielu - wyszeptał, patrząc, jak rozbrojeni żołnierze Bractwa Czystej Krwi maszerują w noc, otoczeni wojakami, których usiłowali zabić. Zastanawiał się, czy aby nie oszalał.

- Osłania nas twoje miłosierdzie - zacytowała Kahlan. - Może właśnie tak powinno być. - Dotknęła go pokrztającą dłonią. - Wiem, że to słuszne.

Stojąca w pobliżu pani Sanderholt, która trzymała w garści okrwawiony toporek rzeźnicki, uśmiechnęła się potwierdzająco.

Na placu zbierały się gorejące zielone ślepa. Richard zobaczył przerażający uśmiech Gratcha i od razu poprawił mu się humor. Wraz z Kahlan zeskoczyli z fontanny i pospieszyli ku chimerze.

Wspaniale było ponownie znaleźć się w uścisku futrzastych ramion. Richard śmiał się przez łzy, kiedy Gratch unosił go w powietrze.

- Kocham cię, Gratch. Tak bardzo cię kocham.

- Grrrrratch koooa Raaa chaaarg.

Kahlan objęła ich obu, a potem została oddzielnie wyściskana. -1 ja cię kocham, Gratch. Ocaliłeś Richardowi życie. Wszystko ci zawdzięczam.

Gratch mruczał z zadowolenia i ostrożnie gładził łapą jej włosy. Richard odpędził muchę.

- Gratch! Masz gończe muchy!

Pełen zadowolenia uśmiech Gratcha jeszcze się rozszerzył. Chimery używały much do wypłaszania zdobyczy, ale Gratch nigdy przedtem nie miał swoich much. Richard nie chciał zabijać much Gratcha, te jednak stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Kłuły go w szyję.

Gratch nachylił się, przesunął łapą po zakrzepłej krwi mriswitha, po czym wymazał nią napiętą różową skórę na brzuchu. Muchy posłusznie wróciły do uczy. Richard był zdumiony. Rozejrzał się dokoła i popatrzył na obserwujące go zielone ślepa.

- Wygląda na to, Gratch, że przeżyłeś niezłą przygodę. To ty zebrałeś te wszystkie chimery?

- Gratch potaknął, nie kryjąc dumy. -1 zrobiły, co chciałeś?

Gratch władczy gestem uderzył się w pierś. Odwrócił się i wydał pomruk. Pozostałe chimery powtórzyły ów dźwięk. Gratch uśmiechnął się,

pokazując kły.

- Gdzie Zedd, Gratch?

Uśmiech zniknął. Wielka chimera skurczyła się odrobinę i obejrzała przez ramię na Wieżę Czarodzieja. Znów spojrzała na Richarda, zielone ślepia straciły nieco swój blask i żałośnie potrząsnęła głową. Richard ukrył ból.

- Rozumiem - wyszeptał. - Widziałeś, jak to się stało? Gratch grzmotnął się w pierś, uniósł skórę na ciemieniu, co najwyraźniej miało oznaczać Zedda, wskazał na wieżę i zakrył łapami oczy. W ten sposób Gratch pokazywał, że chodziło mu o mriswitha. Dzięki znakom chimery i pytaniom Richarda powstała opowieść o tym, jak Gratch przyniósł Zedda do wieży, że tam walczyli z wieloma mriswithami, że widział Zedda leżącego bez ruchu na ziemi i jak krew mu ciekła z głowy, i że potem Gratch nie mógł już znaleźć starego czarodzieja. No i wyruszył na poszukiwanie pomocy, by walczyć z mriswithami i chronić Richarda. Bardzo się napracował, żeby odszukać inne chimery i przekonać je do swojego pomysłu.

Richard ponownie uściskał przyjaciela. Gratch długo trzymał go w objęciach, a następnie cofnął się i obejrzał na inne chimery. Chłopak poczuł, jak coś ściska go w gardle.

- Możesz zostać, Gratch?

Gratch wskazał jedną łapą na Richarda, drugą na Kahlan, po czym złączył łapy. Uderzył się w pierś i wskazał na jedną z chimer. Podeszła i stanęła obok niego. Richard uświadomił sobie, że to samiczka.

- Masz ukochaną, Gratch? Jak ja Kahlan?

Gratch się uśmiechnął i grzmotnął obiema łapami w pierś. -1 chcesz być z chimerami? - dodał Richard. Gratch potaknął niechętnie, jego uśmiech zbladł. Chłopak uśmiechnął się najsympatyczniej, jak potrafił.

- Uważam, że to wspaniale, przyjacielu. Zasłużyłeś sobie, żeby być z ukochaną i nowymi przyjaciółmi. Lecz zawsze możesz nas odwiedzić. Zawsze z radością powitamy i ciebie, i twoją przyjaciółkę. Was wszystkich, prawdę mówiąc. Wszyscy będziecie tutaj mile widziani.

Gratch znów się uśmiechał.

- Mógłbyś jeszcze coś dla mnie zrobić, Gratch? To ważne. Mógłbyś poprosić chimery, żeby nie jadły ludzi? My nie będziemy polować na chimery, a wy nie będziecie jadły ludzi. Zgoda?

Gratch spojrział na swoich towarzyszy i zamruczał w dziwnym gardłowym języku, który rozumieli. Chimery odpowiedziały równie osobliwymi pomrukami i wywiązała się dyskusja. Gratch pomrukiwał coraz wyższym tonem, uderzając się w krzepką pierś, a co najmniej dorównywał tamtym rozmiarami. W końcu uzyskał zgodę. Popatrzył na Richarda i potakująco skinął głową.

Kahlan raz jeszcze uściskała futrzastego stwora.

- Dbaj o siebie i odwiedź nas, kiedy tylko będziesz mógł. Zawsze będę twoją dłużniczką, Gratch. Kocham cię. Oboje cię kochamy.

Gratch i Richard wyściskali się po raz ostatni. Nie potrzebowali słów. Potem chimery wzbiły się w powietrze i zniknęły w mrokach nocy.

Richard stał obok Kahlan, otoczony przez swoich gwardzistów i widma zmarłych.

ROZDZIAŁ 54

Richard obudził się nagle. Zwinięta w kłębek Kahlan opierała się plecami o jego pierś. Chłopaka bolało ramię zranione przez królową mriswithów. Pozwolił wojskowemu lekarzowi opatrzyć ranę, a potem, zbyt zmęczony, by utrzymać się na nogach, padł na łożo w komnacie gościnnej, którą przedtem zajmował. Nie zdjął nawet butów, a teraz zdrętwiałe biodro uświadomiło mu, że wciąż ma u boku Miecz Prawdy i że leży na nim.

Kahlan poruszyła się w jego ramionach i Richarda przepełniła radość, potem jednak przypomniał sobie tysiące żołnierzy, którzy zginęli z jego winy, i radość uleciała.

- Dzień dobry, lordzie Rahlu - rozległ się nad nim czyjś radosny głos.

Spojrzał chmurnie na Carę i odmruknął powitanie. Kahlan zmrużyła oczy w bijącym od okna słonecznym blasku.

- Lepiej się udaje bez ubrań. - Cara machnęła ku nim dłonią. Richard zmarszczył brwi i wychrypiął:

- Co?

Mord-Sith udała, że pytanie ją zdumiało.

- Szybko się przekonacie, że takie sprawy lepiej udają się bez ubrania. - Wsparła się pod boki. - Myślałam, że choć tyle wiecie.

- Co tu robisz, Caro?

- Ulic chciał się z tobą zobaczyć, ale bał się wejść, więc powiedziałam, że ja to zrobię. Jak na takiego wielkoluda jest czasem okropnie nieśmiały.

- Powinien ci udzielić kilku lekcji. - Richard usiadł i skrzywił się. - Czego chce?

- Znalazł ciało.

- To raczej nie było trudne. Kahlan przetarła oczy i usiadła.

Cara uśmiechnęła się, lecz uśmiech zniknął, kiedy Richard go zauważył.

- Znalazł ciało u stóp urwiska, poniżej wieży.

- Dlaczego od razu nie powiedziałaś? - Chłopak spuścił nogi z łoża.

Kahlan pospieszyła za nim, gdy wypadł na korytarz do czekającego Ulica.

- Znalazłeś go? Znalazłeś ciało starca?

- Nie, lordzie Rahlu. To było ciało kobiety.

- Kobiety?! Jakiej kobiety?

- Po takim czasie było już w złym stanie, ale rozpoznałem te szczerbate zęby i wystrzępiony koc. To była ta starucha, Valdora. Ta, która sprzedawała miodowe ciasteczka.

- Valdora. - Richard rozmasował bolące ramię. - Dziwne. A co z tą małą, jakże ona miała na imię?

- Holly. Nie znaleźliśmy po niej śladu. Nie znaleźliśmy nikogo innego, lecz sporo jeszcze trzeba przeszukać, no i zwierzęta mogły... cóż, możemy już nic więcej nie znaleźć.

Richard skinął głową, bo nie mógł wykrztusić słowa. Czuł wokół siebie śmiertelny całun.

- Zaraz zapłoną stosy pogrzebowe - powiedziała współczującym głosem Cara. - Chcesz pójść?

- Oczywiście! - złagodził ton, gdyż Kahlan położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu. - Muszę tam być. Zginęli przeze mnie.

Cara się zachmurzyła.

- Zginęli przez Bractwo Czystej Krwi i przez Imperialny Ład.

- Wiemy, Caro - wtrąciła Kahlan. - Pójdziemy tam, gdy tylko się umyjemy i zmienię mu opatrunek.

Stosy pogrzebowe płonęły przez wiele dni. Zginęło dwadzieścia siedem tysięcy ludzi. Richard miał wrażenie, że w płomieniach ulatują nie tylko dusze zmarłych, ale również i jego duch. Trwał tam i powtarzał za innymi rytualne słowa, nocami czuwał przy stosach wraz z pozostałymi. Czynił tak, dopóki wszystko się nie dokonało.

Poprzez blask tego ognia w Światło. Bezpiecznej podróży do świata duchów.

Rana Richarda ogniła się przez kilka dni, ramię było spuchnięte, zaczerwienione, odrętwiałe.

Nastrój też miał paskudny.

Chodził po korytarzach, czasem wyglądał przez okna na miasto, ale mało z kim rozmawiał. Kahlan szła u jego boku, dodając mu otuchy swoją obecnością i milczała, dopóki się nie odezwał. Prześladowało go miano, które nadały mu proroctwa: dawca śmierci.

Pewnego dnia, gdy ramię zaczynało się już goić, Richard usiadł przy stole, który służył mu za biurko, i zagapił się w pustkę. Nagle zrobiło się jasno. Podniósł wzrok. Do komnaty weszła Kahlan - czego nawet nie zauważył - i odsunęła kotary, żeby wpuścić słoneczny blask.

- Zaczynam się o ciebie martwić, Richardzie. - Wiem, ale nie potrafię się zmusić, żeby zapomnieć.

- Obowiązki władcy mają prawo być ciężkie, Richardzie, nie możesz jednak dopuścić, by cię przytłoczyły.

- Łatwo tak mówić, lecz oni wszyscy zginęli przeze mnie. Kahlan usiadła przed nim na stole i podniosła palcem podbródek Richarda.

- Naprawdę tak uważasz, czy tylko żałujesz, że tak wielu musiało zginąć?

- Byłem głupi, Kahlan. Tylko działałem. Ani razu się nie zastanowiłem. Gdybym ruszył głową, to może ci wszyscy ludzie by nie zginęli.

- Kierowałeś się instynktem. Mówiłeś, że tak właśnie działa twój dar, przynajmniej czasami.

- Aleja...

- Pogdybajmy trochę. A gdybyś postąpił inaczej, tak jak teraz uważasz, że powinieneś być postąpić?

- Wtedy wszyscy ci ludzie nie zginęliby.

- Czyżby? Nie stosujesz się do zasad gdybania. Przemyśl to, Richardzie. A gdybyś nie posłuchał instynktu i nie poszedł do sylfy? Co by się wtedy stało?

- Pomyślmy. - Poglądził jej nogę. - Nie wiem, ale wszystko wyglądałoby inaczej.

- O tak, na pewno. Byłbyś tu, kiedy zaczął się atak. Ruszyłbyś do walki z mriswithami rankiem, a nie wieczorem. Zmęczony byś się i zginął na długo przed przybyciem chimer. Nie żyłbyś. Wszyscy ci ludzie straciliby swojego lorda Rahla.

Richard uniósł głowę.

- To brzmi sensownie. - Zastanawiał się przez chwilę. - A gdybym nie wyruszył do Starego Świata, to Pałac Proroków wpadłby w łapy Jaganga. Imperator zdobyłby prorocтва. - Chłopak wstał i podszedł do okna, wyrztał w jasny wiosenny dzień. - I nikt nie miałby żadnej ochrony przed Nawiedzającym Sny, bo ja byłbym martwy.

- Pozwalałeś, żeby twoje emocje panowały nad rozsądkiem. Richard wrócił do dziewczyny, ujął jej dłonie i dopiero teraz naprawdę zauważył, jaka była promienna.

- Trzecie prawo magii: uczucia rządzą rozumem. Kolo ostrzegł, że to zdradliwe. Łamałem trzecie prawo, myśląc, że je złamałem.

- Trochę lepiej się poczułeś? - spytała Kahlan, obejmując go. Richard objął

ją w talii i uśmiechnął się pierwszy raz od wielu dni.

- Pomogłaś mi. Zedd czynił podobnie. Chyba mogę liczyć na to, że zawsze mi pomożesz.

Oplotła go nogami i przyciągnęła do siebie.

- Nie tylko.

Pocałował ją leciutko i właśnie miał obdarzyć prawdziwym pocałunkiem, kiedy do komnaty wmaszerowały trzy Mord-Sith. Kahlan przytuliła policzek do policzka Richarda.

- Czy one nigdy nie pukają?

- Rzadko kiedy - szepnął w odpowiedzi. - Uwielbiają poddawać innych próbom. Tb ich ulubione zajęcie. Nigdy ich to nie nudzi.

Cara, która szła na przdzie, zatrzymała się przed Kahlan i Richardem. Popatrzyła na jedno i na drugie.

- Wciąż w ubraniach, lordzie Rahlu?

- Wszystkie trzy ładnie dzisiaj wyglądacie.

- Owszem - odparła. -1 mamy sprawę.

- Jaką sprawę?

- Jeśli masz czas, to zawiadamiamy, że w Aydindril pojawili się niektórzy ambasadorowie i proszą lorda Rahla o audiencję.

- A ja - Berdine potrząsnęła pamiętnikiem Kolo - chciałabym skorzystać z twojej pomocy przy tym. To, co już przeczytaliśmy, bardzo nam pomogło, a do przetłumaczenia jest jeszcze więcej. Czeka nas dużo pracy.

- Tłumaczenie? - zainteresowała się Kahlan. - Znam wiele języków. W jakim to zapisano?

- W gornod'haranskim - odparła Berdine, nadgryzając gruszkę, którą trzymała w drugiej dłoni. - Lord Rahl zaczyna być w nim lepszy ode mnie.

- Naprawdę? - odezwała się Kahlan. - Jestem pod wrażeniem. Niewielu ludzi zna gornod'haranski. Mówiono mi, że to nadzwyczaj trudny język.

- Pracowaliśmy nad tym razem. - Berdine się uśmiechnęła. - Nocami.

Richard chrząknął.

- Chodźmy do tych ambasadorów. - Podniósł Kahlan ze stołu i postawił na podłodze.

Berdine machnęła gruszką.

- Lord Rahl ma bardzo duże dłonie. Wspaniale pasują do moich piersi.

- Czyżby? - Brew uniosła się nad zielonym okiem.

- Tak - stwierdziła Berdine. - Pewnego dnia kazał nam wszystkim pokazać sobie piersi.

- Czy to prawda? Wszystkim?

Cara i Raina miały twarze bez wyrazu, a Berdine potaknęła. Richard zakrył twarz dłonią.

Berdine odgryzła kolejny kęs gruszki.

- Ale jego wielkie dłonie najlepiej pasowały do moich piersi. Kahlan ruszyła ku drzwiom.

- Cóż, moje piersi nie są tak duże jak twoje, Berdine. - Zwolniła, mijając Rainę. - Myślę, że do moich bardziej pasowałyby dłonie Rainy.

Berdine zakrztusiła się gruszką, a Kahlan wymaszerowała z komnaty. Na usta Rainy wypłynął uśmiech.

Cara zaśmiała się serdecznie i klepnęła Richarda w plecy, gdy ją mijał.

- Lubię ją, lordzie Rahlu. Możesz ją zatrzymać. Richard przystanął.

- Dziękuję, Caro. Mam szczęście, że pochwalasz mój wybór.

- O tak, masz - przytaknęła energicznie.

Chłopak pospiesznie wyszedł z komnaty i dogonił Kahlan w głębi korytarza.

- Skąd wiedziałaś o Berdine i Rainie? Spojrzała nań ze zdumioną miną.

- Czyż to nie jest oczywiste, Richardzie? Wyraz ich oczu? I ty musiałeś to od razu zauważyć.

- Hmm... - Richard obejrzał się za siebie, by upewnić się, że trzy kobiety jeszcze ich nie doganiają. - Ucieszysz się, gdy usłyszysz, że Cara cię lubi i pozwoliła mi ciebie zatrzymać.

Kahlan objęła go ramieniem w pasie.

- I ja je lubię. Wątpię, czy znalazłbyś strażników, którzy lepiej by cię chronili.

- Czy to ma być pociecha?

Uśmiechnęła się, przytuliła głowę do jego ramienia.

- Dla mnie tak. Richard zmienił temat.

- Chodźmy się przekonać, co mają do powiedzenia ambasadorowie. Od tego zależy nasza przyszłość, przyszłość wszystkich.

Kahlan, w białej szacie Matki Spowiedniczki, siedziała w milczeniu na swoim krześle obok Richarda pod namalowaną na suficie podobizną Magdy Searus, pierwszej Matki Spowiedniczki, i jej czarodzieja, Merritta.

Po lśniącej marmurowej posadzce nadeszli ku nim, eskortowani przez uśmiechniętego generała Baldwina, przedstawiciel Lifanii Garthram, przedstawiciel Herjborgue Theriault, i ambasador Bezancort z Sanderii. Wszyscy wydali się zaskoczeni, ale i zadowoleni, gdy przekonali się, że obok Richarda siedzi Matka Spowiedniczka.

- Moja królowo, lordzie Rahlu - skłonił się generał Baldwin.

- Dzień dobry, generale Baldwin. - Kahlan uśmiechnęła się doń ciepło.

- Panowie - odezwał się Richard - mam nadzieję, że w waszych krainach wszystko idzie dobrze. Co postanowiliście?

Przedstawiciel Garthram przyglądał szpakowatą brodę.

- Po dokładnym skonfrontowaniu tego z naszym prawem oraz ze względu na to, iż Galea i Kelton pokazały nam drogę, uznaliśmy, że nasza przyszłość jest przy tobie, lordzie RahJu. Wszyscy przywieźliśmy dokumenty ogłaszające poddanie się. Bezwarunkowe, jak tego żądałeś. Pragniemy się do ciebie przyłączyć i zostać pod twoją władzą częścią D'Hary.

Następnie odezwał się ambasador Bezancort:

- Jesteśmy tu co prawda po to, żeby się poddać i przyłączyć do D'Hary, mamy jednak nadzieję uzyskać na to zgodę Matki Spowiedniczki.

Kahlan przyglądała się im przez chwilę.

- My i nasze dzieci musimy żyć przyszłością, a nie przeszłością. Pierwsza Matka Spowiedniczka i jej czarodziej uczynili, co było najlepsze dla ich ludów i dla ich czasów. Teraz jednak ja, obecna Matka Spowiedniczka, i mój czarodziej, Richard, musimy zrobić to, co jest najlepsze dla naszych. Musimy dopełnić tego, czego potrzebuje nasz świat, lecz - podobnie jak i oni - dążymy do pokoju. Lord Rahl jest dla nas najlepszą gwarancją siły mogącej zapewnić trwałą pokój. Wytyczyliśmy nowy kurs. Przy Richardzie jest moje serce i mój lud. Jestem częścią tej unii jako Matka Spowiedniczka i z zadowoleniem was w niej powitam.

Richard odwzajemnił jej uścisk dłoni.

- Nadal będziemy mieli naszą Matkę Spowiedniczkę - powiedział. - Tak jak zawsze potrzebujemy jej mądrości i wskazówek.

Kilka dni później, pięknego wiosennego popołudnia, Richard i Kahlan chodzili, trzymając się za ręce, ulicami i sprawdzali, jak postępuje usuwanie szkód bitewnych i odbudowa tego, co zostało zniszczone. Nagle chłopak coś sobie przypomniał. Odwrócił się, czując na twarzy chłodny wiaterek i ciepłe

słoneczne promienie.

- Wiesz, zażądałem poddania się wszystkich krain Midlandów, a nawet nie wiem, ile ich jest i nie znam ich nazw.

- Będę cię musiała sporo nauczyć, jak widzę - odparła Kahlan. - Zawsze musisz mnie mieć w pobliżu.

Uśmiechnął się promiennie.

- Jesteś mi potrzebna. Teraz i zawsze. - Dotknął dłonią jej policzka - Nie mogę uwierzyć, że w końcu jesteśmy razem. - Obejrzał się na idących tuż za nimi dwóch mężczyzn i trzy kobiety. - Żebyśmy tylko mogli być sami.

- Czy to aluzja, lordzie Rahlu? - Cara uniosła brew.

- Nie, to rozkaz.

Cara wzruszyła ramionami.

- Przepraszam, ale nie możemy go wykonać. Potrzebna ci ochrona. Czy wiesz, Matko Spowiedniczko, że czasem musimy mu mówić, jak wykonać kolejny krok? Niekiedy trzeba mu udzielać najprostszych instrukcji.

Kahlan westchnęła bezradnie, a potem spojrzała na wielkoludów idących za Cara.

- Zadbaleś, Ulic, żeby na drzwiach naszej komnaty zamocowano rygle?

- Tak, Matko Spowiedniczko.

- To dobrze. - Kahlan się uśmiechnęła. Spojrzała na Richarda. - Może wrócimy do domu? Już się trochę zmęczyłam.

- Najpierw musisz go poślubić - oznajmiła Cara. - Tb rozkaz lorda Rahla. Do jego komnaty może wejść wyłącznie jego żona. Nie wolno nam wpuścić żadnej innej kobiety.

Richard ściągnął brwi.

- Powiedziałem, że oprócz Kahlan. Nigdy nie mówiłem o żonie. Powiedziałem: żadna oprócz Kahlan.

Cara spojrzała na Agiel zawieszony na łańcuszku na szyi Kahlan. To był Agiel Denny. Richard dał go Kahlan w owym miejscu pomiędzy światami, do którego zabrała ich Denna, żeby mogli być razem. Agiel stał się amuletem. Trzy Mord-Sith nigdy o nim nie wspominały, ale dostrzegły go natychmiast, kiedy tylko pierwszy raz zobaczyły Kahlan. Richard podejrzewał, że bicz ów znaczy dla nich równie wiele jak dla niego i Kahlan.

Nonszalanckie spojrzenie Cary spoczęło ponownie na Richardzie.

- Nałożyłeś na nas obowiązek chronienia Matki Spowiedniczki, lordzie

Rahlu. My tylko bronimy honoru naszej siostry.

Kahlan uśmiechnęła się, widząc, że Carze w końcu udało się mu dopiec, podczas gdy jej samej rzadko się to udawało. Richard odetchnął głęboko, aby się uspokoić.

-I doskonale wam to wychodzi, ale nie masz się czym martwić. Przysięgam, że ona wkrótce będzie moją żoną.

Kahlan leciutko pogłaskała go po plecach.

- Obiecaliśmy Błotnym Ludziom, że weźmiemy ślub w ich wiosce i że udzieli go nam Człowiek Ptak, a ja będę w sukni uszytej na tę okoliczność przez Weselan. Ta obietnica, złożona naszym przyjacielom, bardzo wiele dla mnie znaczy. Zgodzisz się, byśmy wzięli ślub u Błotnych Ludzi?

Nim Richard zdążył odpowiedzieć, że się zgadza i że dla niego znaczy to równie wiele, otoczył ich tłum dzieci. Zaczęły go ciągnąć za ręce i prosić, by przyszedł popatrzeć, jak obiecał.

- O czym one mówią? - spytała Kahlan, zaśmiaawszy się wesoło.

- Ja'La - odparł Richard. - Pokażcie mi swoją piłkę do Ja'La - powiedział do dzieci.

Podaly mu ją. Położył piłkę na dłoni i pokazał Kahlan. Dziewczyna wzięła ją, obejrzała i przyjrzała się wytłoczonemu złotemu "R".

- Co to?

- Przedtem grano piłką nazywaną broc. Była tak ciężka, że bez przerwy raniła dzieci. Powiedziałem szwaczkom, żeby uszyły nowe lekkie piłki, tak by grać mogły wszystkie dzieci, a nie tylko najsilniejsze. Teraz w grze bardziej liczą się umiejętności niż brutalna siła.

- A to "R"?

- Powiedziałem im, że każdy, kto chce używać tej nowej piłki, powinien dostać oryginalny egzemplarz z pałacu. "R" oznacza Rahl i dowodzi, że to oficjalna piłka, Gra nazywała się Ja'La, od kiedy jednak zmieniłem zasady, nazywają ją Ja'La Rahl.

- Skoro lord Rahl obiecał - Kahlan oddała dzieciom piłkę - a on zawsze dotrzymuje słowa...

Richard spojrział na gromadzące się chmury.

- Nadciąga burza, ale mamy chyba jeszcze czas na grę.

I ramię w ramię poszli za zachwyconymi dziećmi. Richard się uśmiechał.

- Gdyby tylko Zedd był z nami.
- Myślisz, że umarł tam, w wieży? Chłopak spojrzał na górę.
- Zawsze powtarzał, że jeśli zaakceptujesz jakąś możliwość, to sprawiasz, że staje się realna. Postanowiłem, że nie zaakceptuję jego śmierci dopóty, dopóki ktoś mi jej jakoś nie udowodni. Wierzę w niego. Wierzę, że żyje i że gdzieś tam sprawia komuś kłopoty.

Oberża wyglądała na przytulną, nie tak jak poprzednie, w których się zatrzymywali. W tamtych był zbyt wielki hałas i za dużo picia. Nie mógł pojąć, dlaczego kiedy tylko robiło się ciemno, ludzie chcieli tańczyć. To najwyraźniej szło ze sobą w parze, jak pszczoły i kwiaty albo muchy i łajno. Mrok i taniec.

Przy kilku stolikach siedzieli ludzie i posilali się spokojnie. Przy jednym ze stolików pod przeciwległą ścianą siedziała grupa starszych mężczyzn, paląc fajki, grając w jakąś grę, sącząc piwo i żywo rozmawiając. Wyłapał urywki zdań o nowym lordzie Rahlu.

- Siedź cicho - ostrzegła go Ann - i pozwól mi mówić. Wyglądająca sympatycznie para za kontuarem uśmiechnęła się do nich, gdy podeszli.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odparła Ann. - Chcielibyśmy porozmawiać o pokoju. Chłopak w stajni powiedział, że macie ładne pokoje.

- O tak, pani, mamy. Dla ciebie i twojego... Ann otworzyła usta, lecz Zedd ją ubiegł.

- Brata. Jestem Ruben. Ato moja siostra Elsie. Ruben Rybnik. - Uczynił szeroki gest dłonią. - Jestem dość znanym wróżbitą. Wróżę z chmur. Może słyszeliście o mnie. Ruben Rybnik, sławny wróżący z chmur.

Kobieta poruszała ustami, jakby szukała słów, które jej gdzieś uciekły.

- Cóż... ja... hmmm... tak, chyba słyszałam.

- A widzisz. - Zedd poklepał Ann po plecach. - Prawie każdy o mnie słyszał, Elsie. - Oparł łokieć o kontuar i pochylił się ku tamtej parze. - Elsie myśli, że zmyślam, ale przecież była daleko, w owej rezydencji z tymi biedakami, co to słyszą głosy i gadają do ścian.

Obie głowy jak na komendę zwróciły się ku Ann.

- Pracowałam tam - zdołała wykrztusić przez zaciśnięte zęby. - Pracowałam tam, opiekując się tymi biedakami, którzy byli naszymi pensjonariuszami.

- Tak, tak - powiedział Zedd. - I doskonale się spisywałaś, Elsie. Nigdy nie pojmę, dlaczego pozwolili ci odejść. - Znów patrzył na milczącą parę. - Ponieważ nie ma roboty, postanowiłem zabrać ją ze sobą w świat, pokazać jej życie, no nie?

- Tak - odparła para jednym głosem.

- A tak w ogóle to wolimy dwa pokoje - stwierdził Zedd. - Jeden dla mojej siostry, a jeden dla mnie. - Tamci zagapili się na niego. - Ona chrapie - wyjaśnił. - A ja muszę się wyspać. - Wskazał na sufit. - Czytanie z chmur, rozumiecie. Odpowiedzialna robota.

- Hmm, mamy przytulne pokoje - powiedziała kobieta. W jej policzkach znowu zrobiły się dołeczki. - Jestem pewna, że dobrze wypoczniecie.

Zedd potrząsnął ostrzegawczo palcem.

- Najlepsze, jakie macie, rozumie się. Elsie może sobie na to pozwolić. Jej wujek odszedł i zostawił Elsie wszystko, co miał, a był zamożnym człkiem.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Czy on nie był i twoim wujkiem?

- Moim wujkiem? I owszem, ale mnie nie lubił. Odrobinę kłopotliwy staruszek. Nieco ekscentryczny. W pełni lata nosił grube skarpety i rękawice. Elsie była jego ulubienicą.

- Pokoje - warknęła Ann. Odwróciła się i wbiła weń oczy. - Ruben musi się wyspać. Czeka go wiele wróżenia z chmur, a musi to zrobić wcześniej rano. Jak się nie wyśpi, to dostaje dziwacznej swędzącej wysypki wokół szyi.

Kobieta ruszyła się zza kontuaru.

- No to pozwólcie, że was zaprowadzę.

- Czy to aby nie zapach pieczonej kaczki?

- A tak - odparła kobieta, odwracając się. - To nasza dzisiejsza kolacja. Pieczona kaczka z pasternakiem, cebulą i sosem.

Zedd wciągnął głęboko powietrze.

- Cóż za wspaniały aromat. Trzeba umieć upiec kaczkę. Ani zbyt słabo, ani zbyt mocno. Ale z tych aromatów wnioskuję, że upiekłaś ją jak należy. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Kobieta zarumieniła się i zachichotała.

- Słynę z mojej pieczonej kaczki.

- Brzmi zachęcająco - wtrąciła Ann. - Czy byłabyś uprzejma przysłać porcje do naszych pokoi?

- Ależ oczywiście. Z największą przyjemnością. Kobieta poprowadziła ich w głąb korytarza.

- Zmieniłem zdanie - odezwał się Zedd. - Ty idź, Elsie. Wiem, że bardzo nie lubisz, kiedy ludzie przyglądają się, jak jesz. Ja zjem kolację tutaj, pani. Z dzbankiem herbaty, jeśli można.

Ann odwróciła się i spojrzała nań gniewnie. Poczuł, jak rozgrzewa się obroża na szyi.

- Nie zasiedź się, Rubenie. Musimy wstać wcześniej rano. Zedd zbył jej słowa machnięciem ręki.

- Na pewno się nie zasiedzę, moja droga. Tylko zjem kolację, może zagram z tymi panami i prościutko do łóżka. Zobaczymy się wczesnym rankiem i wyruszymy, żebym mógł ci pokazać świat.

- Dobranoc, Rubenie. - jej wzrok mógłby zagotować smołę. Zedd uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie zapomnij zapłacić tej dobrej kobiecie i dodaj coś ekstra za jej hojne porcje wspaniałej pieczonej kaczki. - Nachylił ku niej głowę, łypnął z powagą i dorzucił ciszej: - I nie zapomnij popisać przed snem w swoim pamiętniku.

- W moim pamiętniku? - Ann zeszywniała.

- Tak, w tym swoim małym pamiętniczku podróжным. Wiem, jak lubisz opisywać swoje przygody, a nie robiłaś tego tak regularnie, jak powinnaś. Myślę, że najwyższy czas, byś go uzupełniła.

- Tak... - wykrztusiła. - Zrobię to, Rubenie.

Kiedy Ann odeszła, cały czas rzucając mu ostrzegawcze spojrzenia, zaprosili go siedzący przy stoliku mężczyźni, którzy słyszeli całą rozmowę. Zedd rozpostarł rdzawe szaty i zstąpił pomiędzy nich.

- Wróżący z chmur, powiedziałeś? - spytał jeden z nich.

- Najlepszy. - Zedd uniósł kościsty palec. - Królewski wróżbita. Rozległy się zdumione szepty. Siedzący z boku mężczyzna wyjął fajkę z zębów.

- Powróżyłbyś i nam z chmur, mistrzu Rubenie? Złożylibyśmy się, żeby ci zapłacić.

Zedd uniósł chudą dłoń, jakby ich odsuwał.

- Obawiam się, że nie mógłbym. - Zaczekał na głosy rozczarowania. - Nie mógłbym przyjąć waszych pieniędzy. Poczytam sobie za zaszczyt odczytanie tego, co chmury mają do powiedzenia, ale nie przyjmę ani miedziaka.

Uśmiechy powróciły.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, Rubenie.

- A co chmury mają do powiedzenia? - spytał mocno zbudowany mężczyzna.

Oberżystka postawiła przed Zeddem talerz z gorącą pieczoną kaczką, co odwróciło jego uwagę od rozmowy.

- Wkrótce przyniosę herbatę - powiedziała, spiesząc z powrotem do kuchni.

- Chmury mają wiele do powiedzenia o wiatrach niosących zmiany, panowie. O niebezpieczeństwach i sposobnościach. O wspaniałym nowym lordzie Rahlu i o... pozwólcie, że posmakuję tej soczystej pieczonej kaczki, a potem z przyjemnością warn o wszystkim opowiem.

- Zajadaj, Rubenie - zachęcił go któryś.

Zedd napawał się kęsem pieczeni, robiąc teatralne pauzy na pełne zachwyty westchnienia, a mężczyźni obserwowali go jak urzeczeni.

- Strasznie dziwaczny naszyjnik nosisz. Zedd, zajadając, poklepał obrozę.

- Dzisiaj już takich nie robią - rzucił.

Tamten przymrużył oczy i wskazał cybuchem na Rada'Han.

- Jakby nie miała zapięcia. Zupełnie jakby była z jednego kawałka. Jakes to włożył przez głowę?

Zedd rozpiął obrozę i pokazał im, poruszając obiema połówkami na małym zawiasie.

- Owszem, ma zapięcie. Widzicie? Wspaniała robota, nieprawdaż? Zapięcie jest takie delikatne, że wcale go nie widać. Mistrzowska robota. Dzisiaj już się takiej nie widuje.

- Zawsze to mówię - potwierdził człowiek z fajką. - Już nie spotyka się delikatnej, mistrzowskiej roboty.

Zedd na powrót zatrzasnął obrozę na szyi.

- Nie, nie spotyka się.

- Widziałem dziś dziwaczny chmurę - powiedział siedzący z boku człowiek o zapadniętych policzkach. - Dziwną chmurkę. Wyglądała jak wąż. Czasem wiła się na niebie.

Zedd nachylił się i ściszył głos.

- A więc widziałeś ją.

Wszyscy się pochyłili.

- Co to znaczy, Rubenie? - wyszeptał któryś. Zedd spojrział im kolejno w oczy.

- Niektórzy mówią, że to obłok tropiący przyczepiony do człowieka przez czarodzieja. - Ucieszyły go ich zdumione sapnięcia.

- Po co? - zapytał ten tęgi, wytrzeszczając oczy.

Zedd odegrał spozieranie na pozostałe stoliki, a potem powiedział:

- Żeby go śledzić i wiedzieć, gdzie jest.

- A czy on nie zauważy takiej węzowatej chmury?

- Mówiono mi, że są na to specjalne sposoby - szeptał Zedd, wymachując widelcem. - Wskazuje prosto na śledzonego, więc on widzi tylko malutki punkcik. Jak czubek laski, można by rzec.

Mężczyźni westchnęli, odchyłili się do tyłu na krzesłach i trawili zasłyszane wieści, a Zedd zajął się pieczoną kaczką.

- A wiesz coś o tych wiatrach zmian? - spytał w końcu któryś. - I o tym nowym lordzie Rahlu?

- Nie byłbym królewskim wróżbitą, gdybym nie wiedział. - Zedd uniósł widelec. - To wspaniała opowieść, o ile zechcecie jej wysłuchać, panowie.

Znów pochyłili się w jego stronę.

- To wszystko zaczęło się dawno temu, podczas starożytnej wojny - zaczął Zedd - kiedy stworzyliśmy istoty zwane Nawiedzającymi Sny.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54